

George R.R. Martin

Rockowy Armagedon

The Armageddon Rag

Przełożył Michał Jakuszewski

Wykorzystane w książce cytaty z *Drugiego przyjscia* W.B. Yeatsa w przekładzie Stanisława Barańczaka pochodzą z wydania: *Poezje wybrane*. PIW, Warszawa 1987.

Podziękowania

The Nazgul nigdy by nie zagrali, gdyby nie Gardner R. Dozois, który zwrócił się do mnie z prośbą o napisanie opowiadania do planowanej przez siebie antologii. Z pewnością też nie brzmieliby tak dobrze, gdyby nie trio moich konsultantów do spraw rocka: Lew Shiner z The Dinosaurs, Stephen W. Terrell z Potato Salad Band oraz Parris. Dziękuję im wszystkim.

George R.R. Martin październik 1982

* *

Dla Beatlesów, dla Airplane, dla Spoonful i dla Dead, dla Simona i Garfunkela, dla Joplin i dla Hendrixa, dla Buffalo Springfieldda i Rolling Stonesów, dla Doorsów, The Byrds i The Mamas and Papas, dla Melanie, Donovana i dla Petera, Paula i Mary, dla The Who, The Moody Blues i Moby Grapę, dla Country Joe and the Fish, dla Paula Revere'a and the Raiders, dla Boba Dylana, Phila Ochsa, Joan Baez i Joni Mitchell, dla The Mother of Invention i The Smothers Brothers, dla The Hollies, The Association, The Beach Boys i nawet Herman and the Hermits, dla Creedence Clearwater Revival, dla utraconej niewinności i jasnych, wspaniałych marzeń.

Ale przede wszystkim dla Parris: gdy na ciebie patrzę, słyszę muzykę.

Those Were The Daze

(z wyrazami przeprosin dla Normana Leara)

Och, jak Hendrix wtedy grał, wszyscy często się kochali,

I kwas dobry był jak nigdy. To były piękne dni.

Zawsze wiedziałeś, komu możesz ufać, kiedy jeździłeś swym mikrobusem.

Byliśmy my i byli oni. To były piękne dni.

Czegośmy wtedy nie próbowali, karty tarota, I Ching i zen, kurde, przydałby się nam ktoś taki dzisiaj jak Timothy Leary!

Forsy nikt nie potrzebował. Każdy działkę odstępował I przekimac się gdzie było.

To były piękne dni.

© Stephen W. Terrell Sidhe Gorm Musie, BMI Zamieszczone za zgodą

Jeden

To były piękne dni, Po prostu piękne dni!

To nie był jeden z najlepszych dni w życiu Sandy'ego Blaira. Co prawda agent postawił mu obiad, ale to tylko po części wynagrodziło Sandy'emu przykre słowa, jakich się od niego nasłuchiwał w związku z terminem ukończenia powieści. W metrze było pełno ćwoków i miał

wrażenie, że droga powrotna do Brooklynu wlecze się bez końca. Spacer przez trzy kwartały ulic dzielące stację od budynku z elewacją z piaskowca, który zwał domem, również wydawał mu się dłuższy niż zwykle. Było mu też zimniej. Gdy dotarł na miejsce, poczuł przemożną ochotę, by łyknąć sobie piwa. Wyjął jedno z lodówki, otworzył je i powłókł się ospale do swego gabinetu na drugim piętrze, gdzie czekał na niego stos czystych kartek, które miał ponoć przerabiać na książkę. Po raz kolejny okazało się, że elfy nie wystukały pod jego nieobecność ani jednego rozdziału. W maszynę nadal była wkręcona strona numer trzydzieści siedem. Sandy pomyślał z przygnębieniem, że w dzisiejszych czasach nie robią już dobrych elfów. Popatrzył z niesmakiem na napisane przez siebie słowa, pociągnął łyk z butelki, którą trzymał w dłoni, i rozejrzał się wokół w poszukiwaniu czegoś ciekawego.

Wtedy właśnie zauważył czerwone światelko na automatycznej sekretarce i dowiedział się, że dzwonił do niego Jared Patterson.

Czy raczej jego sekretarka. Sandy uśmiechnął się. Po siedmiu latach i po wszystkim, co się przez ten czas wydarzyło, Patterson wciąż obawiał się z nim rozmawiać.

- Jared Patterson prosi pana Blaira o jak najszybszy kontakt w sprawie zlecenia - oznajmił miły głos o profesjonalnym brzmieniu. Sandy wysłuchał tych słów dwa razy, zanim skasował zapis.

- Jared Patterson - mruknął do siebie zdumiony. To nazwisko niosło ze sobą całą masę wspomnień. Sandy wiedział, że właściwie powinien zignorować tego skurczybyka. Patterson nie zasługiwał na nic lepszego. Nie było jednak na to szans. Wiadomość zanadto pobudziła jego ciekawość. Podniósł słuchawkę i wykręcił numer, trochę zdziwiony faktem, że po siedmiu latach nadal go pamięta. Telefon odebrała sekretarka.

- „Hedgehog” - powiedziała. - Biuro pana Pattersona.

- Mówi Sander Blair - zaczął Sandy. - Jared do mnie telefonował. Niech pani poinformuje tego nędznego cykora, że odpowiedziałem.

- Zgadza się, panie Blair. Pan Patterson polecił mi, żebym natychmiast pana z nim połączyła. Proszę nie odkładać słuchawki.

Po chwili w uchu Sandy'ego zabrzmiał znajomy, pełen fałszywej serdeczności głos Pattersona.

- Sandy? Miło znowu cię słyszeć, daję słowo. Kupę czasu, stary. Jak leci?

- Przestań chrzanić, Jared - odparł ostrym tonem Sandy. - Cieszysz się z tej rozmowy nie bardziej ode mnie. Czego chcesz, do diabła? Streszczaj się, mam kupę roboty.

Patterson zachichotał.

- Czy tak się gada ze starym kumplem? Widzę, że niezmiennie brak ci dobrych manier.

No dobra, jak sobie życzysz. Przejdźmy do rzeczy. Chcę, żebyś napisał artykuł do „Hedgehoga”.

- Gryź się w odwłok - warknął Sandy. - Czemu niby miałbym coś dla ciebie pisać? To ty mnie wylałeś, chrzaniony dupku.

- Cóż za gorycz - skarcił go Jared. - To było siedem lat temu, Sandy. Prawie już o tym zapomniałem.

- Śmieszne, bo ja pamiętam bardzo dobrze. Powiedziałeś mi, że już sobie nie radzę. Że nie nadążam za nowymi czasami. Że jestem za stary, żeby pracować w piśmie dla młodzieży. Że przeze mnie „Hedgehog” splajtuje. Gówno prawda. Ja stworzyłem to pismo i sam doskonale o tym wiesz.

- Nigdy temu nie przeczyłem - rzucił od niechcienia Jared Patterson. - Ale czasy się zmieniały, a ty wciąż byłeś taki sam. Gdybym cię zatrzymał, padlibyśmy tak samo jak „Freep”, „Barb” i cała reszta. Cały ten kontrkulturowy syf musiał zniknąć. Kogo to obchodziło? Politykowanie, recenzenci, którzy nie znosili nowych, modnych trendów w muzyce, artykuły o narkotykach... to się po prostu nie sprzedawało, kapujesz? - Jared westchnął. Posłuchaj, nie dzwoniłem do ciebie po to, żeby spierać się o stare dzieje. Miałem nadzieję, że nabrałeś do tego dystansu. Do diabła, Sandy, zwolnienie cię zabolowało mnie bardziej niż ciebie.

- No jasne - skontrował Sandy. - Sprzedałeś pismo sieci i dali ci etat redaktora z niezłą pensyjką, a trzy czwarte zespołu wywaliłeś na bruk. To musiało być diabelnie bolesne - zachnął się. - Jared, nadal jesteś dupkiem. Razem stworzyliśmy to pismo. Było wspólną własnością i nie miałeś prawa go sprzedać.

- Hej, komuny były w porządku, kiedy wszyscy byliśmy młodzi, ale chyba zapominasz, że właśnie moja forsa utrzymywała cały ten interes na powierzchni.

- Twoja forsa i nasz talent.

- Boże, ty faktycznie w ogóle się nie zmieniłeś, co? - zdziwił się Jared. - Dobra, myśl sobie, co chcesz, ale mamy obecnie trzykrotnie większą sprzedaż niż w czasach, kiedy ty byłeś redaktorem, a wpływy z reklam przekraczają wszelkie oczekiwania. „Hedgehog” ma dziś klasę. Dostajemy nominacje do prawdziwych dziennikarskich nagród. Czytałeś jakieś nowsze numery?

- Jasne - potwierdził Sandy. - Macie bombowy materiał. Recenzje restauracji. Profile gwiazd filmowych. Suzanne Somers na okładce, na Boga. Opinie klientów o grach wideo. Ogłoszenia dla samotnych. Jak to się teraz nazywacie? „Czasopismo alternatywnych stylów życia”?

- Już to zmieniliśmy. Zrezygnowaliśmy z „alternatywnych”. Teraz to są po prostu

„Style Życia”. Między dwoma H w logo.

- Jezu - jęknął Sandy. - Wasz redaktor muzyczny ma zielone włosy!

- On świetnie czuje muzykę pop - bronił się Jared. - Przestań na mnie krzyczeć. Zawsze to robiłeś. Zaczynam żałować, że do ciebie zadzwoniłem. Chcesz pogadać o tym zleceniu czy nie?

- Szczerze mówiąc, guzik mnie to obchodzi, mój drogi. Skąd ci przyszło do głowy, że potrzebuję twojego zlecenia?

- Nikt nie twierdzi, że go potrzebujesz. Trzymam rękę na pulsie i wiem, że sobie radzisz. Ile powieści wydałeś? Cztery?

- Trzy - poprawił go Sandy.

- W „Hedgehogu” znalazły się recenzje każdej z nich. Powinieneś być mi wdzięczny. Wylewając cię, wyświadczyłem ci tylko przysługę. Zawsze był z ciebie lepszy pisarz niż redaktor.

- Och, moja dziękować, psze pana. Moja być wdzięczna Murzyna. Moja wszystko panu zawdzięczać.

- Mógłbyś przynajmniej być uprzejmy - poskarżył się Jared. - Posłuchaj, ty nie potrzebujesz nas ani my nie potrzebujemy ciebie, ale pomyślałem sobie, że fajnie byłoby znowu zrobić coś razem, jak za dawnych czasów. Przyznaj, że ucieszyłbyś się, znowu widząc swój podpis w starym, dobrym „Hogu”. Płacimy też lepiej niż kiedyś.

- Nie narzekam na brak pieniędzy.

- A kto powiedział, że narzekasz? Wiem o tobie wszystko. Trzy powieści, dom z elewacją z piaskowca i sportowe auto. Co to było, porsche, czy coś w tym rodzaju?

- Mazda RX-7 - wyjaśnił krótko Sandy.

- Aha, i żyjesz z pośredniczką handlu nieruchomościami, więc nie mów mi, że się sprzedałem, kolego.

- Czego właściwie chcesz, Jared? - zapytał urażony Sandy. - Mam już dosyć tej całej słownej szermierki.

- Mamy temat, który byłby idealny dla ciebie. Chcemy zrobić z tego dużą historię i pomyślałem sobie, że byłbyś tym zainteresowany. Chodzi o morderstwo.

- Co znowu wykombinowałeś? Chcesz zmienić „Hedgehoga” w „Prawdziwego Detektywa”? Zapomnij o tym, Jared. Nie pisuję kryminalnych kawałków.

- Ofiarą był Jamie Lynch.

Sandy zamarł w bezruchu, słysząc to nazwisko. Kąśliwy komentarz uwiązał mu w gardle.

- Ten promotor?

- Nie kto inny.

Sandy usiadł, pociągnął łyk piwa i zaczął się zastanawiać. O Lynchu nie słyszano od lat. Jego gwiazda zgasła, zanim jeszcze Sandy'ego zwolniono z „Hoga”. W swoim czasie był jednak ważną figurą w rockowej subkulturze. To z pewnością będzie interesująca historia. Lynch zawsze budził kontrowersje. Pełnił dwie funkcje: promotora i menażera. Jako promotor organizował niektóre z największych tournée oraz koncertów w swoich czasach. Zapewniał im sukces w ten sposób, że rezerwował dla siebie grupy, które kontrolował jako menażer, nie pozwalając im grać dla konkurencji. Trzymał w garści wykonawców tak utalentowanych, jak American Taco, Fevre River Packet Company i The Nazgul, trzeba więc było się z nim liczyć. Przynajmniej do roku 1971, gdy katastrofa na West Mesa, rozpad The Nazgul i kilka wpadek z narkotykami dały początek jego długotrwałemu upadkowi.

- Co się z nim stało? - zapytał Sandy.

- To wygląda dość perwersyjnie - odparł Jared. - Ktoś włamał się do domu Lyncha w Maine, zawlókł go do jego gabinetu i tam wykończył. Przywiązali gościa do krzesła i... hmm... złożyli w ofierze. Wycięli mu serce. Okazało się, że jednak je miał. Pamiętasz te stare kawały? Ech, mniejsza z tym. Tak czy inaczej, wyglądało to dość makabrycznie. No wiesz, w stylu Mansona. To mi przywiodło na myśl tę serię, którą robiłeś w czasach, gdy załatwili Sharon Tate, kapujesz - przybliżenie tego... jak tam to nazwałeś?

- Ciemnej strony kontrkultury - przypomniał mu cierpkim tonem Sandy. - Dostaliśmy za tę serię parę nagród, Jared.

- Aha. No właśnie, pamiętałem, że była dobra. Dlatego pomyślałem o tobie. To dokładnie twoja działka. Wiesz, prawdziwe lata sześćdziesiąte. Mamy na myśli długi, treściwy tekst, taki jak te szczegółowe analizy, które kiedyś pisałeś. Rozumiesz, wykorzystamy zbrodnię jako news. Będziesz mógł pobawić się w detektywa i może uda ci się wygrzebać coś, czego policja nie zauważy, ale głównie zrób z tego odskocznię do retrospektywnego tekstu o Jamiem Lynchu i jego promocjach, wszystkich jego grupach, koncertach z dawnych czasów i tak dalej. Mógłbyś też skontaktować się z facetami z jego starych grup, tymi z Fevre River albo Nazgulami, przeprowadzić z nimi wywiady, napisać coś o tym, co robią teraz. To pewnie byłby taki nostalgiczny kawałek.

- Twoi czytelnicy myślą że Beatlesi to był zespół, w którym grał Paul McCartney, zanim założył The Wings - odparł Sandy. - Kurczę, oni nawet nie wiedzą, kto to był Jamie Lynch.

- I tu właśnie się mylisz. Udało się nam zachować bardzo wielu starych czytelników.

Artykuł o tym Lynchu miałby wzięcie. Dasz radę go napisać czy nie?

- Pewnie, że dam. Pytanie brzmi: Czemu miałbym to robić?

- Zwrócimy ci koszty i zapłacimy najwyższą stawkę. To suma nie do pogardzenia. Nie będziesz też musiał sprzedawać gazety na rogach. Te czasy już minęły.

- Rewelacja - zachwyił się Sandy. Miał ochotę powiedzieć Jaredowi, żeby się wypchał, ale - choć przyznawał to z niechęcią - jego propozycja pociągała go na swój perwersyjny sposób. Miło byłoby znowu napisać coś dla „Hedgehoga”. W końcu to czasopismo było jego dzieckiem. Nawet jeśli zeszło na złą drogę i stało się płytkie, nadal czuł się z nim związany. Poza tym, jeśli napisze artykuł o Lynchu, pomoże „Hogowi” odzyskać dawny poziom, choćby tylko na moment. Jeśli odmówi, artykuł napisze kto inny i będzie to zwykły chłam.

- Coś ci powiem - zaczął. - Zagwarantujesz mi, że to będzie temat z okładki, i zobowiązesz się na piśmie, że artykuł zostanie wydrukowany dokładnie w takiej postaci, w jakiej go napiszę, bez żadnych zmian, skrótów i tak dalej. W takim przypadku jestem skłonny rozważyć tę możliwość.

- Sandy, wszystko, co tylko chcesz. Nie mam zamiaru ingerować w twój tekst. Dasz radę napisać to na wtorek?

Sandy roześmiał się ochryple.

- Nie ma mowy. Powiedziałeś: „szczegółowa analiza”. Musisz mi dać nieograniczony czas. Może skończę go za miesiąc, a może nie.

- Wtedy to już nie będzie news - rozżalił się Jared.

- No i co z tego? Na razie wystarczy krótka notatka w rubryce „Wiadomości”. Jeśli mam się tego podjąć, chcę to zrobić porządnie. Takie są moje warunki. Możesz je przyjąć albo odrzucić.

- Gdyby chodziło o kogoś innego, kazałbym mu się pocałować - oznajmił Patterson. - Ale, kurczę, czemu by nie? Znamy się kopę lat. Umowa stoi, Sandy.

- Mój agent zadzwoni do ciebie i dasz mu to wszystko na piśmie.

- Hej! - zaprotestował Jared. - Po wszystkim, przez co razem przeszliśmy, żądasz umowy na piśmie? Ile razy płaciłem za ciebie kaucję? Ile razy wspólnie kopciliśmy jointy?

- Wiele razy - przyznał Sandy. - Ale, jeśli dobrze pamiętam, to zawsze były moje jointy. Jared, siedem lat temu zwolniłeś mnie z trzygodzinnym wypowiedzeniem i dałeś pieniądze na autobus zamiast odprawy. Tym razem chcę mieć wszystko na piśmie. Mój agent do ciebie zadzwoni.

Odłożył słuchawkę, nim Patterson miał szansę się sprzeciwić, włączył automatyczną sekretarkę, by nagrać go, gdyby spróbował jeszcze raz zatelefonować, i rozsiadł się wygodnie

na krześle z dłońmi splecionymi za głową, a ustami rozciągniętymi w lekko zdziwionym uśmiešku. Zastanawiał się, w co właściwie wpakował się tym razem.

Przyszło mu do głowy, że Sharon z pewnością nie będzie zachwycona. Jego agent również. On jednak z jakiegoś powodu czuł się usatysfakcjonowany. Nie ulegało wątpliwości, że wyjazd do Maine, by spróbować rozwiązać sprawę morderstwa, to głupi pomysł. Bardziej racjonalna strona osobowości Sandy'ego Blaira zdawała sobie z tego sprawę, wiedziała, że termin ukończenia książki i spłata hipoteki powinny być dla niego ważniejsze, że nie może sobie pozwolić na marnowanie czasu, który będzie musiał na to poświęcić, w zamian za raczej nędzne wynagrodzenie, jakie otrzyma od „Hedgehoga”. Niemniej jednak czuł się ostatnio przybity i niespokojny. Musiał się oderwać na jakiś czas od tej cholernej strony trzydziestej siódmej. Stanowczo zbyt długo też nie zrobił nic głupiego, nic spontanicznego, nowego czy choć odrobinę ryzykownego. W dawnych czasach był na tyle nieobliczalny, że doprowadzał Jareda do szaleństwa. Tęsknił za tamtymi latami. Pamiętał, jak kiedyś o drugiej w nocy pojechał z Maggie do Filadelfii, bo miał ochotę na serowy stek. I jak wybrali się z Larkiem i Bambi na Kubę, by pracować przy zbiorze trzciny cukrowej. Jak próbował wstąpić do Legii Cudzoziemskiej, jak Żabcio poszukiwał idealnej pizzy albo ten tydzień, który poświęcili na eksplorację kanałów. Marsze, wiece, koncerty, gwiazdy rocka, bohaterowie undergroundu i ćpuny, których znał, wszystkie te niewiarygodne historie, które powiększały objętość jego notatnika i poszerzały jego horyzonty. Brakowało mu tego. Zdarzały się dobre i złe chwile, ale w sumie było to znacznie bardziej ekscytujące niż siedzenie w gabinecie i czytanie trzydziestej siódmej strony po raz nie wiadomo który.

Zaczął grzebać w dolnych szufladach biurka. W ich głębi trzymał pamiątki, rzeczy, które nie mogły mu się do niczego przydać, ale nie miał serca ich wyrzucić - ulotki reklamowe, które sam pisał, zdjęcia, których nigdy nie włożył do albumu, kolekcja starych znaczków z politycznymi hasłami. Pod tym wszystkim znalazł pudełko ze starymi wizytówkami. Ściągnął gumkę i wyjął kilka z nich.

Dzieliły się na dwa rodzaje. Na pierwszych, wydrukowanych intensywnie czarną farbą na nieskazitelnie białej tekturce, nazywał się Sander Blair i był akredytowanym korespondentem National Metropolitan News Network. Nie było w tym żadnego szwindlu, gdyż tak właśnie nazywała się firma, która wydawała

„Hedgehoga”, zanim Jared sprzedał go sieci. Sandy sam wymyślił tę nazwę, sądząc - jak się okazało, trafnie - że będą sytuacje, gdy reporterowi firmy o tak szumnej nazwie znacznie łatwiej będzie zdobyć akredytację niż reporterowi czegoś, co nazywało się „Hedgehog”.

Wizytówki drugiego rodzaju były przesadnie wielkie, drukowane srebrną, metaliczną

farbą na jasno fioletowym papierze. Widniał na nich jeź - zwierzę, na którego cześć nazwano pismo - dłubiący sobie w zębach i noszący pieluchę z amerykańskiej flagi. W lewym górnym rogu widniał napis: „Sandy”, a na dole, nieco większymi literami: „Pracuję dla «Hoga»„. Te karty również niekiedy się przydawały. Otwierały przed nim drzwi i rozwiązywały ludziom języki w sytuacjach, w których zwykle wizytówki byłyby bardziej niż bezużyteczne.

Sandy wsunął do portfela po dwanaście wizytówek obu rodzajów. Potem wziął w rękę piwo i ruszył powoli na dół.

Gdy Sharon wróciła do domu o szóstej, zastała go siedzącego po turecku na dywanie w salonie. Wokół niego leżały mapy samochodowe, stare notatniki z tekstami opublikowanymi w najlepszych czasach „Hedgehoga” oraz puste butelki po michelobie. Stała w drzwiach w swym beżowym kostiumie i z teczką w ręce. Jej jasnoblond włosy potargał wiatr. Wpatrywała się w Sandy’ego pełnym zdumienia wzrokiem spod barwionych szkielek.

- Co się tu dzieje? - zapytała.

- To długa historia - odparł Sandy. - Weź sobie piwo, wszystko ci opowiem.

Popatrzyła na niego z powątpiewaniem, przeprosiła go i weszła na górę, by się przebrać w parę dzinsów ze znanego domu mody oraz luźną, bawełnianą bluzkę. Kiedy wróciła, trzymała w ręku kieliszek czerwonego wina. Usiadła w jednym z wielkich foteli.

- No to mów.

- Obiad zakończył się kłapą - zaczął Sandy - a pierdzielone elfy nie napisały za mnie ani słowa, ale kiedy wróciłem, duch minionych czasopism uniósł swą okazałą głowę

- Opowiedział jej wszystko. Słuchała go z tym samym miłym, profesjonalnym uśmiechem, z jakim sprzedawała kamienice i mieszkania, przynajmniej z początku. Na koniec zmarszczyła jednak brwi.

- Ty wcale nie żartujesz, prawda? - zapytała.

- Nie żartuję - potwierdził Sandy. Takiej reakcji właśnie się obawiał.

- Nie mogę w to uwierzyć - stwierdziła Sharon. - Zapomniałeś o terminie? Patterson na pewno nie zapłaci ci tyle, ile dostałbyś za powieść. To głupota, Sandy. Z poprzednimi dwiema książkami też się spóźniłeś. Czy możesz sobie pozwolić na powtórkę? I odkąd to zostałeś reporterem kryminalnym? Po co mieszać się do spraw, na których się nie znasz? Co ty możesz wiedzieć o morderstwach?

- Przeczytałem połowę serii o Travisie McGee - zaprotestował Sandy.

Sharon prychnęła z niesmakiem.

- Sandy! Bądź poważny.

- Dobra - zaczął. - Nie znam się na kryminalnych sprawach. No i co z tego? Za to wiem

bardzo dużo o Jamiem Lynchu i o kultach też. Okoliczności sugerują że to coś w rodzaju sprawy Mansona. Może uda mi się zrobić z tego książkę, coś zupełnie innego, takiego jak *Z zimną krwią*. Możesz to uznać za inwestycję w rozwój. Zawsze mi powtarzasz, że trzeba się rozwijać.

- Nie mówisz o rozwoju - warknęła Sharon. - Mówisz o cofaniu się. „Hedgehog” daje ci pretekst, który pozwoli ci być nieodpowiedzialnym, a ty natychmiast się na to rzucasz. Chcesz jechać na miejsce zbrodni, bawić się w Sama Spade’a, rozmawiać z byłymi gwiazdami rocka i starymi radykałami, żeby za pieniądze Pattersona na jakiś miesiąc wrócić do lat sześćdziesiątych. Pewnie spróbujesz udowodnić, że to Richard Nixon jest mordercą.

- Stawiałem raczej na LBJ - wyznał Sandy.

- On ma alibi. Nie żyje.

- Niech to szlag - mruknął Sandy z czarującym uśmiechem.

- Przestań się zgrywać - burknęła Sharon. - Ten interes nic ci nie da. Dorośnij, Sandy.

To nie jest zabawa. To twoje życie.

- To był program z Ralphem Edwardsem - skontrował. Zamknął notatnik i odłożył go na bok. - Naprawdę się zirytowałaś, co?

- Tak - potwierdziła krótko Sharon. - To nie jest żart, bez względu na to, co ty na ten temat sądzisz.

W końcu wzięła go zmęczeniem. Irytacja była zaraźliwa. Postanowił jednak dać jej jeszcze jedną szansę.

- To nie potrwa długo - zaczął. - A w Maine o tej porze roku potrafi być pięknie. Jesień dopiero się zaczyna. Pojedź ze mną. Zrób sobie wakacje. Powinniśmy więcej czasu spędzać razem. Gdybyś ze mną pojechała, może lepiej zrozumiałabyś mój punkt widzenia.

- Jasne - odparła ociekającym sarkazmem głosem. - Zadzwońię do agencji, do Dona, i powiem mu, że biorę sobie wolne na... och, kto wie na jak długo, i ma mnie przez ten czas zastępować. Marne szanse. Muszę myśleć o swojej karierze, Sandy, nawet jeśli ciebie ona nie obchodzi.

- Obchodzi mnie - obruszył się, szczerze urażony.

- Poza tym - dodała słodkim tonem - czułbyś się trochę skrępowany moim towarzystwem, kiedy zechciałbyś przelecieć jakąś panienkę.

- Cholera, kto powiedział, że mam zamiar...

- Nie musisz nic mówić. Znam cię. Rób sobie, co chcesz, to mi nie przeszkadza. Nie jesteśmy małżeństwem, tworzymy otwarty związek. Tylko nie przyprowadzaj żadnej do domu.

Sandy wstał w nagłym gniewie.

- Wiesz co, Sharon, kocham cię, ale czasami naprawdę mnie wnerwiasz. To jest temat. Zamówienie. Jestem pisarzem i mam napisać o zamordowaniu Jamiego Lyncha. To wszystko. Nie wykręcaj kota ogonem.

- Używasz takich dziwnych, nostalgicznych wyrażeń prychnęła Sharon. - Nie wykręcałam kota ogonem od czasów college'u, mój drogi. - Wstała. - Nie zamierzam już dłużej tego ciągnąć. Idę do gabinetu popracować.

- Wyjeżdżam jutro z samego rana - poinformował ją Sandy. - Myślałem, że może wybralibyśmy się gdzieś na kolację.

- Mam robotę - warknęła Sharon, kierując się ku schodom.

- Aleja nie wiem, jak długo to potrwa. Może mnie nie być... Odwróciła się i spojrzała na niego.

- Lepiej niech za długo nie trwa, bo mogę o tobie zapomnieć i zmienić zamki.

Sandy śledził ją wzrokiem, gdy wchodziła na górę. Z każdym uderzeniem jej obcasa o drewniane stopnie narastała w nim frustracja. Kiedy usłyszał, że Sharon weszła do gabinetu, zakradł się do kuchni, wziął sobie kolejne piwo i spróbował kontynuować przygotowania do podróży. Szybko jednak zdał sobie sprawę, że jest zbyt wściekły, aby się skupić. Pomyślał, że potrzebna mu muzyka. Uśmiechnął się. Potrzebny mu rock.

Ich zbiór płyt zajmował dwie wysokie szafki ustawione po obu stronach kolumn - wielkich, starych JVC 100, które już od wielu lat wiernie służyły Sandy'emu. Szafka Sharon była pełna bluesa, melodii z Broadwayu, a nawet disco, ku niezmiernemu przerażeniu Sandy'ego.

- Lubię tańczyć - odpowiadała zawsze, gdy na nią za to naskakiwał. Płyty Sandy'ego to był wyłącznie folk i rock z najlepszych lat. Nie potrafił znieść tego, co stało się z muzyką w ciągu ostatniego dziesięciolecia. W ostatnich czasach kupował jedynie wznowienia, by zastąpić nimi swe ulubione albumy, zdarte od wielokrotnego używania.

Nie tracił czasu na wybór muzyki odpowiedniej do nastroju. Istniała tylko jedna możliwość.

Ich pięć albumów stało między Mothers of Invention a New Riders of the Purple Sage. Wyjął wszystkie i przyjrzał się im kolejno. Ich okładki były znajome niczym twarze starych przyjaciół. Tytuły również. Pierwszy, *Hot Wind out of Mordor*, miał na okładce tolkienowskie motywy: hobbiti kulili się w pastelowych zaroślach, w oddali wulkany rzygały czerwonym ogniem, a w górze krążyli czarni jeźdźcy na swych skrzydlatych, pokrytych łuską wierzchowcach. Okładkę drugiego albumu, *The Nazgul*, zdobiła ilustracja przedstawiająca surrealistyczny krajobraz: czerwone słońce, szkarłatna mgła, poszarpane górskie szczyty oraz

dziwaczne postacie - pół żywe istoty, pół maszyny. Wszystko było jaskrawe, gorące, szalone. Wielki podwójny album miał błyszczącą, czarną okładkę - z przodu, z tyłu i w środku. Nie było na niej żadnych liter ani w ogóle nic oprócz czterech maleńkich par gorących, czerwonych oczek w lewym dolnym rogu. Album nie miał tytułu. Zwano go *Czarnym albumem*, co było świadomą parodią *Białego albumu* Beatlesów. Następny, *Napalm*, miał na okładce dzieci w jakiejś dżungli - ukrywające się, płonące, krzyczące - nad którymi krążyły dziwnie zdeformowane odrzutowce rzygające na nie ogniem. Trzeba było przyjrzeć się uważniej, by zauważyć, że jest to przeróbka okładki pierwszego albumu, *Hot Wind out of Mordor*, podobnie jak utwory na tej płycie były odpowiedzią na wcześniejsze, bardziej niewinne kompozycje grupy... choć żadne z nich nigdy nie były niewinne do końca.

Sandy przyjrzał się wszystkim tym albumom po kolei i odstawił je z powrotem do szafki. Zatrzymał tylko piąty, ostatni, nagrany kilka tygodni przed tragedią na West Mesa.

Okładka była mroczna i złowieszcza, utrzymana w ciemnych odcieniach czerni, szarości i fioletu. Było to zdjęcie z koncertu, wyretuszowane, by usunąć widzów, salę, rekwizyty i całą resztę. Została tylko sama grupa. Czterech muzyków stało na jakiejś bezkresnej, pustej płaszczyźnie. Z przodu i z dołu napierała na nich ciemność, która sprawiała wrażenie oślizłej i roili się w niej jakieś sugestywne kształty rodem z koszmaru. Za plecami mieli ogromne, złowieszcze słońce fioletowej barwy. Ich sylwetki rysowały się straszliwie wyraziście w jego promieniach, a rzucane przez nich cienie były czarne jak grzech i ostre niczym noże.

Byli ustawieni tak jak zawsze podczas koncertów. Z tyłu, za bębnami tworzącymi czarno-czerwoną spiralę, siedział Świstak John z zasepioną miną. Był potężnie zbudowanym mężczyzną o okrągłej twarzy, której rysy niemal całkowicie zasłaniała gęsta, czarna broda. W jego wielkich łapskach pałki wyglądały jak wykałaczki. Mimo imponującego wzrostu sprawiał wrażenie przycupniętego między bębnami niczym jakaś ogromna, sroga bestia zaskoczona w swym legowisku. Przed mrocznym gniazdem Świstaka Johna, z obu jego boków, stali Maggio i Faxon. Ten pierwszy przyciskał gitarę do nagiej, chudej piersi. Rozciągał usta w szyderczym uśmiešku, a jego długie włosy i opadające wąsy kołysały się na niewidocznym wietrze. Sutki miał jaskrawoczerwone. Grający na gitarze basowej Faxon miał na sobie białą kurtkę z frędzlami. On również się uśmiechał. Był gładko wygolony, miał długie blond loki i zielone oczy. Patrząc na niego, nikt by nie odgadł, jaki jest świetny.

A przed nimi wszystkimi stał Hobbins. Nogi miał szeroko rozstawione, głowę odrzuconą do tyłu w ten sposób, że sięgające mu pasa białe włosy opadały strumieniem w dół za jego plecami. Oczy gorzały szkarłatnym płomieniem. W jednej dłoni trzymał mikrofon, a

palcami drugiej rozdzierał powietrze. Ubrany był w czarny, dżinsowy kombinezon z kościanymi guzikami, a w krocze spodni miał wszytą amerykańską flagę z okiem Mordom w miejscu, gdzie powinny być gwiazdy. Wyglądał jak jakaś nadnaturalna istota, mała i wątła, lecz obdarzona witalnością tak potężną, że była w stanie powstrzymać ciemność.

Na tle wielkiego, fioletowego słońca wypisano czarnymi, spiczastymi literami, wyglądającymi jak skrzyżowanie błyskawicy z wężem, dwa słowa: *The Nazgul*. Pod spodem, bardzo delikatnymi, szarymi literami, ledwie widocznymi na czarnym tle, wyszeptano tytuł: *Musie to Wake the Dead*.

Sandy wysunął album z okładki i położył go ostrożnie na talerzu. Potem włączył gramofon, podkręcając głośniki na maksa. Dzisiaj zamierzał słuchać tej muzyki głośno, tak jak wtedy, gdy usłyszał japo raz pierwszy, w siedemdziesiątym pierwszym. Tak jak chcieli tego *The Nazgul*. Jeśli granie będzie przeszkadzało Sharon, która przerzucała na górze papiery, to już wyłącznie jej problem.

Przez moment panowała cisza, potem rozległ się słaby dźwięk, który stawał się coraz głośniejszy. Brzmiał jak gwizdek czajnika albo może świst spadającej na ziemię bomby. Odgłos wciąż się nasilał, aż wreszcie przeszedł w przenikliwy pisk, który przesywał mózg jak nożem. Potem rozległ się głuchy łoskot. To bębny Świstaka Johna zaczęły wybijać rytm. Po chwili zabrzmiały gitary, a na koniec odezwał się Hobbins śpiewający pełnym głosem *Blood on the Sheets*. Gdy Sandy usłyszał pierwsze słowa tekstu, przeszył go lekki dreszcz. *Kochanie, wycięłaś mi serce* - śpiewali *The Nazgul*. - *Kochanie, przelataś moją kreeeew!*

Zamknął oczy i wsłuchał się w muzykę. Czuł się niemal tak, jakby dziesięć ostatnich lat zniknęło bez śladu, incydent z West Mesa nigdy się nie wydarzył, jakby w Białym Domu ciągle urzędował Nixon, wojna w Wietnamie wciąż trwała, a Ruch nadal żył. Jednakże z jakiegoś powodu nawet w tej utraconej przeszłości jedna rzecz pozostawała niezmienną. W oświetlonej muzyką *The Nazgul* ciemności wydawała się nawet jeszcze wyrazistsza.

Jamie Lynch nie żył. Rzeczywiście wycięto mu serce.

Dwa * *

Ujrzałem, że wschodzi zły księżyc, Pojąłem, że kłopoty są tuż.

Na szeryfa Edwina Theodore'a wszyscy w jego okręgu mówili „Notch”. Sandy Blair nie bardzo rozumiał dlaczego. Notch był niewysokim, chudym człowieczkiem o mizernej postawie i wąskiej, zapadniętej twarzy. Nosił okulary bez oprawy i miał stalowosiwe włosy, które zaczesywał gładko do tyłu. Gdyby dać mu do ręki widły, wyglądałby jak postać przedstawiona na rodzajowym obrazie. Sandy spojrział na Notcha tylko raz i zdecydował, że będzie do niego mówił „szeryfie Theodore”.

Szeryf wziął w rękę elegancką, białą, świeżą wizytówkę Sandy'ego, przyglądając się nieufnie jej właścicielowi. Gdy zwróciły się na niego jasne, załzawione oczy Theodore'a, Sandy poczuł się przez chwilę tak, jakby wrócił rok 1969, a on miał włosy opadające do tyłka i pacyfę z nierdzewnej stali zawieszoną na rzemieniu na szyi. Trudno mu było zapamiętać, że choć jest niechlujnie ubrany, nie prezentuje się gorzej od innych reporterów. Może i miał na sobie dzinsy, ale to były drogie dzinsy. Brązowa, sztruksowa kurtka również powinna być do przyjęcia, nawet jeśli była nieco znoszona. Przesunął ze skrzepowaniem dłońią po gęstej, czarnej czuprynie. Cieszył się, że dawno już dał sobie spokój z noszeniem brody.

Theodore zwrócił mu wizytówkę.

- Nigdy nie słyszałem o National Metropolitan News Network - rzucił obcesowo. - Co to za kanał?

- To nie telewizja - wyjaśnił Sandy, decydując, że lepiej mówić prawdę. - Publikujemy wychodzący w Nowym Jorku tabloid o ogólnokrajowym zasięgu, poświęcony muzyce i rozrywce. To wymarzony temat dla nas z uwagi na związki łączące Lyncha z rockiem.

Szeryf Theodore odpowiedział mu cichym, niewiele mówiącym chrząknięciem.

- Konferencja prasowa była przedwczoraj - oznajmił. Spóźnił się pan. Większość gazeciarzy już się rozjechała. Nie dowiedzieliśmy się niczego nowego.

Sandy wzruszył ramionami.

- To ma być większy artykuł - odparł. - Chciałbym przeprowadzić z panem wywiad na temat tej sprawy, zapytać, czy macie jakieś teorie, być może też obejrzeć dom Lyncha, gdzie to się wydarzyło. Znalazł już pan jakiś trop?

Theodore zignorował jego pytanie.

- Wszystko już powiedziałem na konferencji prasowej. Nie mam nic do dodania. Szkoda mi czasu, aby powtarzać to samo każdemu głupiemu reporterowi, który przyjechał za późno. Rozejrzał się z niezadowoloną miną po pomieszczeniu i przywołał skinieniem jednego ze swych zastępców. - Mój człowiek zawiezie pana do domu Lyncha i odpowie na pańskie pytania, ale nie mogę go zwolnić na dłużej niż godzinę, więc lepiej niech pan się śpieszy, panie Blair, bo inaczej National Metropolitan News Network będzie miało cholernego pecha. Jasne?

- Hmm, no pewnie - odparł Sandy, ale Theodore nie czekał na jego odpowiedź. Po paru minutach Sandy'ego wsadzono do jednego z samochodów szeryfa i wyjeżdżał już z miasteczka w towarzystwie zastępcy Notcha, patykowatego mężczyzny o końskiej twarzy, który nazywał się David („Mów mi Davie”) Parker. Był mniej więcej w wieku Sandy'ego, chociaż wyglądał starzej z uwagi na rzadniejące, brązowe włosy. Uśmiechał się sympatycznie i miał lekko nieskoordynowane ruchy.

- Ile czasu potrzeba na dojazd do domu Lyncha? - zapytał Sandy, kiedy ruszyli.

- Zależy, jak szybko będziemy jechać - odparł Parker. W linii prostej to nie jest daleko, ale musimy zapychać bocznymi drogami. To chwilę potrwa.

- Miałem ci zająć tylko godzinę. Parker parsknął śmiechem.

- Ach, to. Nie ma się czym przejmować. Właśnie kończyłem zmianę i nie miałem nic lepszego do roboty, więc równie dobrze mogłem odwiedzić cię do Lyncha. Notch po prostu wkurzył się na reporterów. Po konferencji prasowej dwóch z nich błędnie podało jego nazwisko.

- Nazywa się Theodore, prawda? - upewnił się Sandy, sprawdzając swoje notatki.

- Tak, ale na imię ma Edwin, nie Edward. Sandy sprawdził również i to.

- Skoro już mowa o nazwiskach, jesteś Sandy Blair, zgadza się? Ten pisarz?

- Hmm, tak.

- Czytałem twoje książki. No, przynajmniej dwie z nich.

- Które? - zapytał zdumiony Sandy.

- *Otwarte rany* i *Wyjście z gry*. Dziwi cię to?

- Tak.

Parker spojrzał na niego z ukosa.

- Gliniarze też czasem coś czytają. Przynajmniej niektórzy. Poza tym, to wcale nie jest taka głusza, jak sądzą nowojorczyki. Mamy tu filmy, książki, gazety, a nawet rock and rolla.

- Nie chciałem... - zaczął Sandy, powstrzymał się jednak na czas. - I jak ci się podobały te książki? - zapytał.

- *Otwarte rany* były zbyt przygnębiające jak na mój gust - odparł Parker - chociaż muszę przyznać, że piszesz niezle. Nie podobało mi się zakończenie *Wyjścia z gry*.

- A dlaczego? - zapytał Sandy, lekko oszołomiony myślą że toczy debatę o zaletach i wadach swej pierwszej powieści z zastępcą szeryfa z lesistych okolic Maine, który wiezie go w miejsce, gdzie popełniono morderstwo.

- Dlatego że twój bohater to głupi dupek. O co mu właści - wie chodzi? Wreszcie znalazł porządną robotę, zarabia jakieś pieniądze, po raz pierwszy w życiu jest odpowiedzialny i nagle rzuca wszystko. Dlaczego? Nawet on tego nie wie. Jeśli dobrze pamiętam, książka kończy się tak, że idzie sobie ulicą, zastanawiając się, dokąd ona prowadzi. W ogóle się nie przejmuje, że stracił pracę i zawiódł wszystkich, którzy na nim polegali.

- W tym właśnie rzecz - odparł Sandy. - Nie przejmuje się tym wszystkim. Szczęśliwe zakończenie. Jest wolny. Wreszcie. Przestał się sprzedawać.

- Ciekawe, jak długo to potrwało? - zastanawiał się Parker.

- Nie rozumiem.

- Kiedy napisałeś tę książkę?

- Zacząłem gdzieś w sześćdziesiątym dziewiątym, ale zabrałem się za jej ukończenie dopiero siedem lat temu, jak odszedłem z „Hoga”.

- W tamtych czasach całe to hasanie na swobodzie było w porządku, ale chciałbym się dowiedzieć, jak długo tak wytrzymał - wyjaśnił Parker. - Czy mu się podoba życie w nędzy po dziesięciu latach? Gdzie teraz nocuje? Założę się też, że nie zalicza już tylu panienek, co w twojej powieści. Chciałbym zobaczyć, jak ten ćwok radzi sobie w latach osiemdziesiątych, przyjacielu. Stawiam na to, że znowu się sprzedaje.

- Masz rację - przyznał z przygnębieniem Sandy. - No dobra, ta powieść jest trochę naiwna. Co więcej mogę dodać? Jest odbiciem epoki i stosunków społecznych. Trzeba to znać z pierwszej ręki.

Parker zerknął na niego.

- Jestem mniej więcej w twoim wieku.

- Może to zależy od tego, po której stronie barykady byłeś.

- Po żadnej stronie. Byłem w Wietnamie i wystawiałem tyłek na strzały, podczas gdy ty i twoje postacie ćpaliście prochy i zaliczaliście panienki.

Zastępca szeryfa nadal się uśmiechał, ale w jego głosie pojawiła się lekka nuta gorczy, która zaniepokoiła Sandy'ego.

- Ja cię tam nie wysłałem, przyjacielu - zapewnił i zmienił pośpiesznie temat, gdyż ten wydawał mu się zbyt drażliwy. - Pomówmy o tym morderstwie. Kto jest sprawcą? Śmiech Parkera brzmiał ciepło.

- Przechodzisz prosto do rzeczy. Cholera, nie wiemy tego. Jakiś czas wcześniej zbczyli z głównej szosy i jechali teraz wąską, krętą polną drogą przez gęsty las. Wszystkie drzewa miały w promieniach popołudniowego słońca pomarańczową bądź rdzawą barwę. W samochodzie trzęsło, lecz mimo to Sandy położył notes na kolanie, wpatrując się w niektóre z przygotowanych przez siebie pytań.

- Sądzicie, że zabójcą był ktoś miejscowy? Parker zręcznie pokonał ostry zakręt.

- Raczej wątpliwe. Lynch unikał kontaktów. Powinieneś to wywnioskować już z tej cholernej drogi. Pewnie lubił prywatność. Och, przypuszczam, że dochodziło do pewnych tarć między Lynchem a tymi, którzy się z nim stykali. No wiesz, on nie bardzo tu pasował. Ale nikt nie miał powodu, żeby go zabić, a tym bardziej zrobić to tak... no wiesz, tak jak to zrobiono.

- Chodzi ci o to, że wycięto mu serce? - zapytał Sandy, zapisując to w notesie. Ruch samochodu sprawiał, że jego pismo zamieniało się w bazgroły.

Parker skinął głową.

- Tu jest Maine. Takie rzeczy robi się w Nowym Jorku. Albo może w Kalifornii - dodał z namysłem.

- A czy je znaleziono?

- Narzędzie zbrodni?

- Nie, serce.

- Nie. Ani jednego, ani drugiego.

- W porządku - ciągnął Sandy. - To znaczy, że to nie był nikt miejscowy. A czy macie jakichś podejrzanych? Na pewno kogoś sprawdzacie.

- No więc, mamy parę teorii, ale żadna właściwie nie pasuje. Z początku myśleliśmy o tle rabunkowym. Lynch mógł być skończony w branży muzycznej, ale nadal miał forsy jak lodu. Ale nie znaleźliśmy dowodów, że cokolwiek zabrano.

- Zapominasz o sercu - wtrącił Sandy.

- Aha - przyznał Parker niezobowiązująco. - Potem przyszło nam do głowy, że sprawa ma coś wspólnego z narkotykami. No wiesz, Lynch miał parę wyroków.

Sandy pokiwał głową.

- Zaopatrywał swoje grupy w hasz i kokę. Wszyscy o tym wiedzą. Czy znaleźliście jakiś związek?

- Och, być może. Krążyły plotki, że Lynch często urządzał szalone balangi. Że zawsze miał pod ręką prochy. Ale nic nie znaleźliśmy. Może morderca zabrał cały zapas.

Sandy zapisał to w notesie.

- No dobra. I co jeszcze? Zastępca szeryfa wzruszył ramionami.

- Jest też kilka innych dziwnych spraw związanych z tym morderstwem.

- Opowiedz mi o nich.

- Zrobię coś więcej. Pokażę ci. Jesteśmy na miejscu. Pokonali kolejny zakręt, wjechali na szczyt wzgórza i nagle ujrzeli przed sobą dom Jamiego Lyncha. Parker zatrzymał samochód na wysypanym żwirem podjeździe i Sandy wysiadł.

Duży, otoczony ze wszystkich stron lasem dom prezentował się pięknie wśród gęstwy jesiennego listowia. Był nowoczesny i gustowny, zbudowany z drewna i czerwono-szarego kamienia. Po jednej stronie miał wyłożone czerwonymi kamieniami patio, a nad nim wielki, otwarty taras. Od podjazdu do drzwi frontowych wiodło dwanaście stopni z nieheblowanego drewna. Wszystkie okna były szczelnie zamknięte. W środku rosło wielkie, przebijające dach drzewo.

- Przez salon płynie też niewielki strumyk - poinformował Sandy'ego Parker. - Nocą

dom wygląda jeszcze bardziej imponująco. Wszędzie palą się światła.

- Możemy wejść do środka? Parker wyjął klucze z kieszeni kurtki.

- Po to tu przyjechaliśmy.

Weszli przez drzwi frontowe. Wewnątrz ujrzeli wyłożone bo - azerią ściany oraz grube dywany na podłogach. Każdy z pokoiów zbudowano na nieco innym poziomie. Co chwila pokonywali krótkie, złożone z trzech stopni schody i Sandy'emu trudno było zdecydować, ile tu właściwie jest pięter. Parker pośpiesznie oprowadził go po domu. Były tu świetliki, okna z barwionego szkła oraz - zgodnie ze słowami zastępcy szeryfa - płynący przez salon, wokół pnia starego drzewa, strumyk. Kuchnia była czysta i nowoczesna. W czterech sypialniach znajdowały się łóżka wodne, sufitowe lustra oraz kominki. Nagłośnienie było tu niewiarygodne.

Półki z płytami zajmowały całą ścianę, a Lynch w każdym pokoju umieścił głośniki. Parker wyjaśnił Sandy'emu, że można nimi kierować z salonu, głównej sypialni albo z gabinetu Lyncha. Pokazał gościowi ośrodek decyzyjny, ukryty za suwaną, drewnianą płytą w wielkim salonie. Wyglądał jak mostek statku kosmicznego „Enterprise”. Główne kolumny były wyższe niż Parker i bardzo smukłe.

- Z takim nagłośnieniem można by grać na Woodstock stwierdził zdumiony Sandy. - To sprzęt koncertowej klasy.

- Są głośne - zgodził się Parker. - To jeden z czynników istotnych dla sprawy.

- Dlaczego?

- Dojdę do tego później - odparł zastępca szeryfa. - Najpierw skończmy obchód. Chodźmy. - Wrócili do wejścia. Parker odsunął kolejną drewnianą płytę, odsłaniając jeszcze jeden zestaw świateł i przełączników. - System bezpieczeństwa wyjaśnił. - Lynch miał całe mnóstwo alarmów. Paranoidalny typ. Można by pomyśleć, że ktoś zamierzał go zabić. Żaden z alarmów nie zadziałał. Nikt się nie włamał do środka. Śmierć weszła przez drzwi frontowe.

- To znaczy, że znał mordercę?

- Tak sądzimy. Chyba że to był facet z firmy sprzątajacej.

- Mów dalej.

- No więc, wyobrażamy to sobie tak: zabójca albo zabójcy otwarcie podjechali pod dom i podeszli do drzwi. Lynch wpuścił ich do środka. Wokół zamka nie widać śladów włamania. Weszli do salonu i tam właśnie doszło do kłótni. Znaleźliśmy ślady wal' ki. Sądzimy, że Lyncha szybko obezwładniono i zaciągnięto d° gabinetu. Był nieprzytomny albo nie stawiał oporu. Być może już nie żył, ale raczej w to wątpimy. Na dywanie w salonie sft ślady odcisnięte przez wleczone ciało. Jeszcze nie widziałeś g** binetu. Chodź ze mną.

Sandy posłusznie podążył za zastępcą szeryfa. Gdy przecho' dzili przez salon, Parker pokazał mu ślady na dywanie. Poteil1 wyciągnął klucze i otworzył drzwi gabinetu.

Pokój, w którym pracował Jamie Lynch, był trzy razy ta* długi, jak szeroki. Nie było tu okien, a tylko pochyły świetlic w suficie. Umeblowanie składało się jedynie z wielkiego, maho' niowego biurka w kształcie podkowy, krzesła oraz dwudziesto czarnych szaf z szufladami na akta, ostro kontrastujących z gn*'' bym, mlecznobiałym dywanem. Jedną z długich ścian pokrywały od podłogi aż po sufit lustrzane płytki inkrustowane dekoracyjny mi, spiralnymi wzorami. Dzięki nim gabinet wydawał się większy niż w rzeczywistości. Na pozostałych ścianach wisiały plakaty i zdjęcia; fotki z ilustrowanych magazynów, przedstawiające klieH' tów Lyncha, sławnych i niesławnych; fotografie Jamiego w to' warzystwie rozmaitych znakomitości, plakaty z koncertów, poli' tyczne ulotki, powiększenia okładek albumów oraz plakaty x&~ klawowe. Sandy spoglądał na to wszystko z odrobiną nostalgii? Byli tu Che i Joplin, wiszący obok siebie. Nixon sprzedawał uży wane samochody w sąsiedztwie osławionego pornograficznego plakatu American Taco, który doprowadził do odwołania koH' certu i omal nie wywołał zamieszek. Północną ścianę, za biur' kiem, zajmowały wyłącznie stare plakaty z Fillmore.

- Niezła kolekcja - zauważył Sandy. Parker przysiadł na skraju biurka.

- Tu właśnie go zabili.

Sandy oderwał wzrok od plakatów.

- Na biurku?

Zastępca szeryfa skinął głową.

31

- Mieli sznur. Przywiązali faceta do blatu z rozpostartymi kończynami. Po jednej pętli na każdą kończynę. - Wyciągnął rękę. - Na dywanie są ślady krwi.

Sandy zauważył wielką, nieregularną plamę pod jedną z nóg biurka oraz parę mniejszych, które ją otaczały. Na białym dywanie rzucały się boleśnie w oczy, przynajmniej teraz, gdy Parker już mu je pokazał.

- Niedużo krwi - zauważył Sandy.

- Ach - odparł Parker z uśmiechem na twarzy. - Ciekawe spostrzeżenie. W rzeczywistości krwi było mnóstwo, ale zabójca okazał się czyścioszkiem. Zdjął jeden plakat i rozłożył go na blacie pod ofiarą, żeby nie zniszczyć drewna. Tu widać ślad po nim.

Wskazał głową na ścianę.

Sandy odwrócił się i po chwili zauważył puste miejsce wśród plakatów, wysoko na wschodniej ścianie, około dziesięciu stóp od punktu, w którym stali. Zmarszczył brwi. Poczuł

się zaniepokojony, ale przez chwilę nie potrafił powiedzieć dlaczego.

- To dziwne - mruknął, zwracając się ponownie w stronę Parkera. - Jak go znalezione?

- Muzyka grała za głośno. Sandy wyjął notes.

- Muzyka? Parker skinął głową.

- Być może Lynch słuchał płyty w chwili przybycia sprawcy, a może zabójca ją włączył, żeby zagłuszyć krzyki ofiary. Tak czy inaczej, aparatura odtwarzała w kółko jeden album. I to głośno. Sam zauważyłeś, że to nie jest taki sobie zwyczajny domowy sprzęt hi-fi. Była trzecia nad ranem i najbliższy sąsiad Lyncha, który mieszka pół mili stąd, skarżył się na hałas.

- Aż tak głośno? - zdumiał się Sandy.

- Aż tak. W dodatku to była głupota. Nasz człowiek zapewne rozminął się z zabójcą na tej polnej drodze najwyżej o minutę albo dwie. Bez sensu. Poza tym jednym faktem, sprawca był bardzo ostrożny. Nie zostawił odcisków palców, narzędzia zbrodni ani serca. Fizycznych dowodów jest bardzo niewiele. Brak świadków. Mamy ślady opon, ale były bardzo pospolite, więc to bezużyteczne. Po co nastawił stereo tak głośno? Jeśli chciał zagłuszyć krzyki Lyncha, czemu nie wyłączył muzyki po jego śmierci?

Sandy wzruszył ramionami.

- Potrafisz to wytłumaczyć?

- Nie potrafię - przyznał zastępca szeryfa. - Ale mam pomysł. To mógł być jeden z tych kultów hipisowskich.

Sandy spojrzał na niego i roześmiał się niepewnie.

- Kultów hipisowskich?

Parker obrzucił go chytrym spojrzeniem.

- Blair, chyba nie sądzisz, że każdemu reporterowi, który przyjedzie, funduję zwiedzanie domu? Przywiozłem cię tu, bo pomyślałem sobie, że możesz dać mi coś w zamian. Wiesz o sprawach, o których ja nie wiem. No to gadaj.

- Nie mam nic do powiedzenia - odparł zdumiony Sandy. Parker przygryzł dolną wargę.

- Chcę ci powiedzieć coś nieoficjalnie. Czy możesz mi obiecać, że o tym nie napiszesz?

- No, nie wiem - odparł Sandy. - Nie jestem pewien, czy chcę usłyszeć jakieś poufne informacje. Dlaczego to taka tajemnica?

- Odkąd gazety doniosły o śmierci Lyncha, do zabójstwa przyznało się już trzech świrów. Będzie ich więcej. Wiemy, że ich zeznania były fałszywe, bo żaden z nich nie potrafił odpowiedzieć na kilka kluczowych pytań. Chcę zapoznać cię z jednym z tych pytań, razem z odpowiedzią.

- Dobra - zgodził się zadowolony Sandy.

- Pytamy ich, jaką płytę odtwarzano. Odpowiedź brzmi...

- Mój Boże - przerwał mu Sandy. - To byli The Nazgul, zgadza się? - wygarnął bez zastanowienia, podświadomie wiedząc, że to musi być prawda.

Zastępca szeryfa Davie Parker przyjrzał się mu uważnie. Na pociągłej, końskiej twarzy pojawiła się bardzo dziwna mina. Jego oczy nabrały odrobinę twardszego wyrazu.

- Bardzo interesujące - stwierdził. - Może tak byś mi powiedział, skąd o tym wiesz, Blair.

- Po prostu... wiedziałem, gdy tylko zacząłeś o tym mówić. To musieli być oni. Lynch był ich menażerem. Album... założę się o wszystko, że to była *Musie to Wake the Dead*, zgadza się?

Parker skinął głową.

- Wysłuchaj pierwszego utworu. Tekst mówi o wycinaniu czyjś serca. Wydawało mi się, że to... no, nie wiem...

- Pasuje - uzupełnił Parker z lekkim marsem podejrzliwości na czole. - Wysłuchałem płyty i też zwróciłem uwagę na ten tekst. Manson i jego banda również kierowali się jakąś płytą zgadza się?

- *Białym albumem* Beatlesów. Manson był przekonany, że muzyka do niego przemawia, wydaje mu polecenia.

- Aha. Czytałem coś na ten temat. Pożyczyłem kilka książek z miejscowej biblioteki. Ale ty wiesz znacznie więcej, Blair. Dlatego przyszło mi do głowy, że mógłbyś mi pomóc. Co ty na to? Czy to może być druga sprawa Mansona?

Sandy wzruszył ramionami.

- Manson siedzi. Niektórzy członkowie rodziny są jeszcze na wolności, ale głównie w Kalifornii. Czemu mieliby przyjeżdżać do Maine, żeby załatwić Jamiego Lyncha?

- A może to inny świrowaty kult? Podobny do Mansona?

- Nie mam pojęcia - przyznał Sandy. - Już od wielu lat nie mam kontaktu ze zwariowanymi radykałami i nie wiem, co się wśród nich dzieje. Ale The Nazgul... to chyba musiałby być ktoś w naszym wieku, żeby mieć obsesję na ich punkcie. Grupa z lat sześćdziesiątych, nie istnieje już od z górą dziesięciu lat. *Musie to Wake the Dead* to był ich ostatni album. Nie występowali ani nie nagrali od czasu West Mesa.

Parker przymrużył powieki.

- Przed chwilą znowu powiedziałeś coś bardzo interesującego, przyjacielu. Mów dalej. Co to jest West Mesa?

- Chyba żartujesz - zdziwił się Sandy. Parker potrząsnął głową. - Niech to szlag - ciągnął. - West Mesa była sławna.

Czy może niesławna. Nie widziałeś nic na ten temat w telewizji? Był nawet film dokumentalny.

- W strefie zdemilitaryzowanej odbiór był bardzo kiepski - wyjaśnił Parker.

- Wiem, że nie jesteś fanem rocka. West Mesa to był koncert rockowy, jeden z trzech, o których wszyscy słyszeli. Woodstock to był świt, Altamont zmierzch, a West Mesa to była czysta, mroczna, koszmarna północ. Sześćdziesiąt tysięcy ludzi zebrało się pod Albuquerque we wrześniu 1971. To niewiele, jak na tego typu imprezy. Główną gwiazdą byli The Nazgul. W samym środku występu ktoś z karabinem o dużym zasięgu trafił prosto w głowę ich wokalistę, Patricka Henry'ego Hobbinsa. Wybuchła panika, podczas której zginęło osiem dalszych osób, ale więcej strzałów nie oddano. Tylko jedna kula. Zabójcy nigdy nie odnaleziono. Rozpłynął się bez śladu. A The Nazgul nigdy więcej już nie zagrali. *Musie to Wake the Dead* była już gotowa, album wydano jakieś trzy tygodnie po West Mesa. Nie muszę dodawać, że zarobili na nim cholerną kupę forsy. Lynch i firma nagraniowa naciskali na trzech pozostałych Nazguli, żeby nagrali album poświęcony pamięci Hobbinsa albo zastąpili go nowym wokalistą i grali dalej, ale do tego nie doszło. Bez Hobbinsa The Nazgul nie istnieli. West Mesa stała się ich końcem i był to jednocześnie początek końca kariery Jamiego Lyncha. W końcu on był promotorem tego koncertu.

- Ciekawe - stwierdził Parker. - A więc mamy dwa niewyjaśnione morderstwa.

- Co? Po trzynastu latach? - sprzeciwił się Sandy. - Te sprawy nie mogą być powiązane.

- Czyżby? Posłuchaj, Blair. Opowiem ci o plakacie. Sandy gapił się na niego bez zrozumienia.

- Nasz porządnicki zabójca zerwał plakat ze ściany, pamiętasz? Nakrył nim biurko. Lyncha uśmiercono właśnie na tym plakacie. Był paskudnie zniszczony, ale oczyściliśmy go nieco i udało się nam ustalić, co przedstawiał. To była taka nastrojowa litografia wyobrażająca pustynny krajobraz o zachodzie słońca. Nad słońcem widać było cztery ciemne postacie dosiadające czegoś w rodzaju latających jaszczurek. Wyglądały jak smoki czy coś w tym rodzaju, ale były brzydsze. A pod spodem był napis...

- Wiem jaki - przerwał mu Sandy. - Jezu. Było tam napisane: „The Nazgul” i „West Mesa”, zgadza się? Plakat z koncertu. Ale to niemożliwe... to na pewno przypadek... - Nagle jednak odwrócił się, uświadamiając sobie, co go niepokoiło już od chwili, gdy Parker wskazał puste miejsce na ścianie. Ponownie spojrzął na zastępcę szeryfa. - To nie jest przypadek stwierdził. - Ten, kto zabił Lyncha, mógł zerwać którykolwiek z plakatów wiszących tuż za

biurkiem, w zasięgu ręki. A mimo to poszedł tam i wdrapał się na coś, żeby zdjąć plakat z West Mesa.

- Jak na starego hipisa nie jesteś taki głupi - pochwalił go Parker.

- Ale dlaczego? Co to miało znaczyć? Zastępca szeryfa wstał z westchnieniem z biurka.

- Liczyłem na to, że ty mi to powiesz, Blair. Przyszło mi do głowy, że kiedy opowiem ci o plakacie i o albumie, nagle cię olśni i powiesz mi o jakimś tajemnym kulcie, który otacza wciąż tych facetów i popycha do mordowania ludzi przy akompaniamencie ich muzyki. Uwierz mi, że to by mi znacznie ułatwiło życie. Ale nie ma takiego kultu, prawda?

- Przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo - odparł Sandy.

- No cóż, w takim razie udamy się prosto do źródła i wezwiemy tu tych trzech muzyków, żeby ich przesłuchać.

- Nie - sprzeciwił się Sandy. - Mam lepszy pomysł. Ja to zrobię.

Parker zmarszczył brwi.

- Mówię poważnie - ciągnął Sandy. - W końcu i tak mam napisać ten artykuł. Będę musiał przeprowadzić wywiady z ludźmi, którzy znali Lyncha, zaprezentować czytelnikom wspomnienie o nim i o jego czasach. Logicznie byłoby zacząć od The Nazgul. Jeśli wokół nich albo ich muzyki powstał jakiś kult, po - winni o tym wiedzieć, prawda? Mógłbym ci przekazać, czego się dowiem.

- A czy uczyli cię metod przesłuchania? - zapytał Parker.

- Wsadź sobie swoje metody - odparł Sandy. - Ja to ja, a ty to ty. Dowiem się od Nazguli więcej od ciebie. W dawnych czasach mawialiśmy, że „Hog” wie o sprawach, o których glinom nawet się nie śniło.

Zastępca szeryfa wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Może i masz trochę racji. Nie wiem. Musiałbym pogadać o tym z Notchem. Niewykluczone. To i tak bardzo niepewna hipoteza. Mamy mnóstwo innych śladów, kupę ludzi do przesłuchania. Sprawdzamy całą jego korespondencję i akta. Bardzo wielu ludzi nie darzyło go sympatią. Notch zapewne się zgodzi, jeśli mu powiem, że to dobry pomysł. Czy mogę liczyć, że pozostaniesz w kontakcie?

Sandy uniósł do góry otwartą dłoń.

- Słowo skauta.

- Jakoś nie bardzo mi wyglądasz na skauta - zauważył Parker.

Sandy uśmiechnął się. Nadal trzymając uniesioną rękę, opuścił trzy palce i rozpostarł dwa pozostałe w znajome V.

- Może przysięgnę na pokój? Parker skinął głową.

- Zobaczę, co się da zrobić. Jesteś pewien, że sobie poradzisz? Mam złe przeczucia. Jeden z tych muzyków może się okazać zabójcą. Albo wszyscy trzej. Lynch był pięć cali wyższy i czterdzieści funtów cięższy od ciebie, a mimo to wycięto mu nożem serce.

- Nie zrobię nic głupiego - zapewnił Sandy. - Poza tym przeprowadzałem już wywiady z tymi facetami. Pierwszy raz w sześćdziesiątym dziewiątym, a potem drugi, w siedemdziesiątym pierwszym. To nie są zabójcy. Właściwie w tej całej sprawie wyglądają raczej na ofiary. Najpierw Hobbins, a potem Lynch.

- Może ktoś nie lubi ich muzyki.

Sandy prychnął pogardliwie.

- Ich muzyka jest w porządku, szeryfie. Szkoda, że nie próbowałeś doszukać się w niej niczego poza wskazówkami. Wielka rzecz. Posłuchaj gitarowych riffów Maggia w *Ash Manie* albo bębnow Świstaka Johna. I te teksty. Do diabła. Zwłaszcza druga strona. To jeden długi utwór. Stał się klasykiem, nawet jeśli trwa zbyt długo, żeby większość stacji radiowych mogła go nadawać w całości. Nie było drugiej takiej grupy jak The Nazgul, ani przedtem, ani potem. Byli tak dobrzy, że ludzie się ich bali. Czasami przychodzi mi do głowy, że za West Mesa stał Hoover, pierdolona CIA albo ktoś, kto się wystraszył, że śpiew Hobbinsa i jego cholerna charyzma spowodują, że ludzie zaczną zwracać uwagę na przekaz zawarty w jego muzyce. Ten strzał zabił coś więcej niż tylko grupę. Zabił ideę, okaleczył ruch.

- Osobiście wolę Johnny'ego Casha - odparł lakonicznie Parker. - Chodź, odwiozę cię do miasta. Pogadajmy z Notchem, zanim zmienię zdanie i dojdę do wniosku, że lepiej cię nie wciągać w tę sprawę.

Sandy uśmiechnął się.

- Zdajesz sobie sprawę, Davie, że twoja opinia nie znaczy tu wiele? Nadal obowiązuje pierwsza poprawka i mogę zadawać pytania Nazgulom bez względu na to, co sądzi o tym Notch.

- Tylko mu tego nie mów - ostrzegł go Parker.

Przed wyjściem z domu zgasił światła. Sandy na moment przystanął w ciemnym salonie. Zapadła już noc i za świetlikami widział blady krąg księżyca. Barwione szkło przydawało jego słabemu blaskowi całej gamy różnych kolorów. Ujrawszy pokój w tym dziwnym świetle, Sandy poczuł ukłucie nerwowego strachu. Przez krótką chwilę ciche szemranie strumyka brzmiało dla niego jak krew wypływająca z ust konającego, a szelest liści muskających szyby stał się zgrzytem paznokci drapiących o drewniany blat biurka. Trwało to jednak tylko chwilę. Potem dźwięki znowu stały się zwykłymi odgłosami, nocnym szelestem liści i strumyka. Sandy powiedział sobie, że takie obawy to czysta głupota.

Gdy schodził po schodach, Parker zapalił już silnik i włączył reflektory. Gdyby Sandy spróbował, mógłby z aż nazbyt wielką łatwością usłyszeć słabe dźwięki muzyki dobiegające z ciemnego, pustego domu za jego plecami, odległy grzmot perkusji, żalosne zawrodożenie gitar, a także głos, urywki piosenki płynące z ust od dawna już nieżyjącego wokalisty.

Ale nie próbował.

*■**

To rzadko jest łatwe i rzadko jest miłe! Skąd na podjęcie decyzji wziąć siłę?

Sandy zatrzymał się na noc w motelu na peryferiach Bangor tańszym i bardziej obokurnym, niżby tego pragnął. Jego rachunki pokrywał Jared Patterson i Sandy był zdecydowany korzystać z pierwszej klasy. Rozmowa z Notchem okazała się jednak dłuższa i bardziej nieprzyjemna, niż się tego spodziewał, zwłaszcza od chwili, gdy jasno oznajmił, że proponowana przez niego pomoc nie obejmuje łamania etyki dziennikarskiej i zdradzania poufnych informacji. Gdy dotarł do Bangor, czuł się zmęczony i pragnął tylko zwalić się na jakiegokolwiek łóżko, zatrzymał więc mazdę przy pierwszym szyldzie z napisem: „WOLNE POKOJE”.

Na szczęście Jared Patterson nie zmienił w ciągu ostatnich czterech lat swego zastrzeżonego numeru telefonu. Sandy poczuł lekką satysfakcję na myśl, że wyrwał dawnego pracodawcę ze snu.

- Masz kłopoty, Patterson - oznajmił radosnym tonem. Ta dziewczyna obok ciebie to moja córka i muszę ci powiedzieć, że ma dopiero piętnaście lat. Zamkniemy cię w celi i wyrzucimy klucz.

- Kto mówi, do diabła? - zapytał Patterson nieufnym, pełnym dezorientacji tonem. Sandy wyobraził sobie, jak odziany w bokserki Jared siada nagle na łóżku i pociera powieki, próbując zwalczyć senność.

- Psst, jestem ranny. Clark Kent dzwoni z Maine, szefie. Twój najlepszy reporter. Nie poznałeś mnie po głosie?

- Jezu - mruknął Patterson. - Minęło siedem lat i prawie już zapomniałem o twoich debilnych numerach, Blair. Czego chcesz, do diabła? Wiesz, która godzina?

- Trzecia siedemnaście - oświecił go Sandy. - Dokładnie. No wiesz, mam teraz elektroniczny zegarek. Trzy lata temu padłem ofiarą napadu. Skurwysyn zabrał mi spiro, czy dasz wiarę? Potrzebuję paru informacji z kostnicy „Hoga”. Zapisz sobie numer.

Na drugim końcu linii doszło do niewyraźnej wymiany zdań. Jared coś mruknął i ktoś mu odpowiedział. Sandy'emu przemknęło przez głowę, że faktycznie brzmi to jak głos piętnastoletniej dziewczyny.

- No dobra - odezwał się po chwili Patterson. - Mam ołówek. Gadaj.

Sandy podał mu numer.

- Potrzebna mi informacja o miejscu pobytu trzech żyjących Nazguli. Na wypadek gdyby królowe disco, które teraz dla ciebie pracują nie wiedziały, kto to taki, nazywają się Peter Faxon, Rick Maggio i John Slozewski. Jeśli ci twoi durnie uaktualniają archiwa, te dane powinny się w nich znaleźć. Przekaż mi je jutro, najwcześniej jak dasz radę. Tu już zrobiłem wszystko, co tylko można, i chcę jak najszybciej ruszyć w dalszą drogę.

- Jasna sprawa - zgodził się Patterson. - Hej, a jak już przy tym jesteś, może sprawdziłbyś też paru facetów z innych grup Lyncha?

- Nie - odparł krótko Sandy.

- Todd Oliver śpiewał w American Taco, prawda? Jest teraz wokalistą Glisten. Powinieneś porozmawiać chociaż z nim, żeby mieć przynajmniej jedno nazwisko z topu na dodatek do tych wszystkich byłych gwiazd.

- Pierdolę Todda Olivera - odparł Sandy. - On nie ma za grosz dumy. Jeśli zgodził się występować w Glisten, to znaczy, że jest zdolny do wszystkiego. Nie zgadzam się przeprowadzać wywiadu z nikim, kto pokazuje się na scenie w jednoczęściowym kostiumie ze srebrnej lamy. Tylko Nazgule, jeśli łaska. Powody nie muszą cię obchodzić, ale mogę ci powiedzieć, że to będzie znacznie ciekawsza historia, niż nam się zdawało. Ucałuj ode mnie swoją przyjaciółkę. Pa.

Odłożył słuchawkę, uśmiechając się szeroko.

W brudnym, cichym pokoju motelowym uśmiech szybko jednak zniknął z jego twarzy. Choć był straszliwie zmęczony, z jakiegoś powodu nie sądził, by sen miał przyjść z łatwością. Czuł też dziwne opory przed zgaszeniem światła. Zastanawiał się przez chwilę, czy nie zadzwonić do Sharon, na Brooklyn, ale odrzucił ten pomysł, nawet nie sięgając po słuchawkę. Gdyby zadzwonił o tej godzinie, byłaby wściekła, zwłaszcza że właściwie nie miał jej nic do powiedzenia. Westchnął głęboko. Po raz pierwszy od wielu lat żałował, że nie ma jointa. Pomógłby mu się uspokoić. To było jednak tylko ciche marzenie. Palił w ostatnich latach tak mało, że dawno już urwały mu się wszystkie kontakty.

Myśl o kontaktach nasunęła mu jednak inne skojarzenia. Wyjął notes i przejrzał wszystkie nazwiska oraz numery, które zapisał jeszcze w domu. Starzy znajomi, stare kontakty, stare źródła. Większość numerów zapewne nie była już aktualna. Ludzie często się teraz przemieszczali. Niemniej gdyby potrzebował porozmawiać z którąś z tych osób - a w tego rodzaju sprawie wszystko było możliwe - numery pomogą mu w ich odnalezieniu.

Wpatrywał się w jeden z nich przez dłuższą chwilę. Wreszcie się uśmiechnął. Przyszło

mu do głowy, że Maggie się nie obrazi. Chyba że zmieniła się nie do poznania. Sięgnął po telefon i wykręcił numer.

Tak jak się tego spodziewał, nie był już aktualny, ale w informacji w Clevelandzie nadal znano Margaret Sloane. Sandy zapisał numer, licząc na to, że to ta sama osoba. Potem wykręcił go i zaczął liczyć sygnały.

Za dziesiątym ktoś odebrał telefon.

- Słucham? - usłyszał w słuchawce znajomy, zaspany głos.

- Cześć, Maggie - przywitał ją cicho. - Mówi Sandy.

- Mój Boże - odparła. - Sandy? Sandy Blair! - Wydawało się, że z każdym słowem opuszcza ją senność. Sandy z zadowoleniem słyszał niekłamany zachwyt w jej głosie. - Mój Boże, to naprawdę ty! Czy jesteś w mieście? Powiedz mi, że jesteś w mieście!

- Obawiam się, że nie. Jestem w Maine. Daję słowo. Nie wiem, czy mi uwierzysz, ale znowu pracuję dla Jareda.

- Dla tego kretyna?

- Aha, ale to tylko jednorazowa sprawa. Zabito Jamiego Lyncha i mam o tym napisać artykuł. Wszyscy, którzy pracują teraz dla „Hoga”, wyskoczyli w pełnej zbroi z czaszki Jareda w 1976 roku, więc tylko ja mam kwalifikacje. Mam przeprowadzić wywiady z Nazgulami, gdziekolwiek mogą teraz przebywać, i pomyślałem sobie, że może wpadnę do Clevelandu.

- Lepiej do mnie zajrzyj, słyszysz? Ile to czasu minęło, trzy lata? Sarah to byłam ja, prawda? *W Poszukiwaniach Kaseyal*

- Nie, do licha - obruszył się Sandy. - Wszystkie moje postacie są fikcyjne i wszelkie podobieństwo do rzeczywistych osób, żywych lub umarłych, jest czysto przypadkowe. Tak jest napisane na stronie tytułowej.

- Ty dupku - rzuciła Maggie z sympatią w głosie. - Dobrze chociaż, że napisałeś, że była niezła w łóżku.

- Bo była.

- Ale uśmierciłeś ją! - zawołała płacząco.

- Nie sądzisz, że to było bardziej wzruszające?

- Ja ci pokażę wzruszające. Naprawdę przyjedziesz?

- Być może. Nie licz na to zbytnio - ostrzegł ją Sandy. Nie mam pojęcia, gdzie mogą teraz być Nazgule. Jeśli wszyscy mieszkają obecnie na Guam, będę musiał tam polecieć. Ale jeśli tylko będzie to leżało w ludzkich możliwościach, postaram się podjechać do ciebie po drodze.

- Podjechać, tak? Jedziesz Hogmobilem?

Sandy parsknął śmiechem. Hogmobil był zielonym mustangiem z rocznika 1966, ozdobionym kwietnymi kalkomaniami pozostałymi po kampanii McCarthy'ego z sześćdziesiątego ósmego. Wyduślił z niego prawie sto osiemdziesiąt tysięcy mil, nim maszyna wreszcie wyzionęła ducha i odeszła na pastwiska niebieskie dla martwych mustangów.

- Hogmobil zakończył żywot jakiś czas temu. Mam teraz nowy samochód.

- Szkoda - westchnęła Maggie. - Lubiłam staruszka. No, trudno. A jak ma na imię ten nowy?

- Na imię? - zapytał Sandy. - Hmm... chyba nie ma imienia.

To wyznanie zabrzmiało dziwnie w jego ustach. Kupił mazdę prawie dwa lata temu. Kiedy właściwie przestał nadawać swym samochodom imiona? Zawsze to robił, zaczynając od pierwszego - czarnego, przerdzewiałego garbusa, którego dostał, gdy miał siedemnaście lat, i natychmiast nazwał Karaluchem.

- Coś się stało? -7- zapytała zaniepokojona Maggie. - Twój głos nagle zabrzmiał jakoś dziwnie.

- Wszystko w porządku - uspokoił ją Sandy z nutą żalu w głosie. - Po prostu nagle sobie uświadomiłem, że chyba jestem starszy, niż chciałbym przyznać. Ale mniejsza z tym. Czym się teraz zajmujesz?

Opowiedziała mu, a potem plotkowali o wspólnych znajomych, którzy poszli tą albo tamtą drogą. Nagle zrobiła się piąta rano, a Sandy niemal nie zauważał upływu czasu.

- To będzie kosztowało ładną sumkę - stwierdził, gdy się żegnali. - Całe szczęście, że wszystko idzie na rachunek Jareda. Wpadnę do ciebie, gdy tylko będę mógł.

- Lepiej to zrób, do cholery - ostrzegła go Maggie. Sandy odłożył słuchawkę, czując się bardzo dobrze. Był też straszliwie zmęczony i bez trudności zapadł w głęboki, pozbawiony snów sen.

Przed południem obudził go telefon.

- Chciałem zamówić pizzę z pepperoni, ale bez anchois odezwał się głos w słuchawce.

- Jesteś za gruby na pizzę, Jared - odparł znużonym tonem Sandy, sięgając po notes. - Masz adresy?

- Mam - potwierdził gderliwie Jared. - Czeka cię kupa jeżdżenia. John Słozewski mieszka w Camden. W stanie New Jersey, ni mniej, ni więcej. Maggio jest w Chicago. A Peter Faxon ma wielki dom pod Santa Fe. Mam zarezerwować dla ciebie bilety lotnicze?

- Nie - zaprzeczył Sandy. - Pojadę samochodem.

- Samochodem? To będzie trwało wieki.

- Mam tyle czasu, ile tylko będzie potrzeba, pamiętasz? Nie narzekaj. W ten sposób

zaoszczędzę ci wydatków. Podaj mi te adresy. Numery telefonów też, jeśli je masz.

Zapisał wszystko starannie, obiecał Jaredowi, że nigdy już nie zadzwoni o tak absurdalnej porze, i powiedział „do widzenia”.

W niewielkiej odległości od motelu znalazł International House of Pancakes i zatrzymał się na jajecznicę z boczkiem oraz mnóstwo kawy. Potem poczuł się prawie jak człowiek, nawet jeśli - jadąc do motelu - czuł, że lekko pluska mu w brzuchu. Potem szybko się spakował, usiadł na brzegu łóżka i zadzwonił do Sharon do pracy.

- Jestem teraz dość zajęta - powiedziała. - Nie możesz poczekać?

- Nie mogę - odrzekł Sandy. - Zaraz się stąd zabieram i jadę do New Jersey. Nie wiem, kiedy znowu będę mógł zadzwonić.

Opowiedział jej krótko, co się wydarzyło, ale kiedy doszedł do Lyncha, przerwała mu.

- Posłuchaj, Sandy - powiedziała. - Rzecz nie w tym, że to mnie nie interesuje. Interesuje. Ale wybrałaś nieodpowiednią chwilę. Mam klienta i już jestem spóźniona z prezentacją. Zadzwoni wieczorem. Aha, swoją drogą, telefonował Alan. - Alan to był jego agent. - On również nie jest zachwycony twoją nową karierą prywatnego detektywa. Masz do niego zadzwonić.

- Znakomicie - odparł Sandy.

- Który to z twoich idoli ciągle powtarzał: „Wiedziałeś, że to niebezpieczna robota, kiedy się jej podjąłeś”? - zapytała.

- Superkurczak - mruknął Sandy.

- Aha. Tak sobie myślałam, że to albo on, albo Gene McCarthy.

- No dobra, zadzwonię do Alana. Weź na wstrzymanie. Dziękuję, że mi powiedziałaś.

Gdy Sandy zadzwonił, Alan Vanderbeck rozmawiał przez inny telefon. Alan Vanderbeck niemal zawsze rozmawiał przez inny telefon. Sandy czekał cierpliwie, uspokojony świadomością, że wydaje pieniądze Jareda Pattersona. Wreszcie agent się odezwał.

- Proszę - powiedział. - Dzwoni głupawy syn marnotrawny. Sander, co ci strzeliło do łba, do wszystkich diabłów?

- Ja też się cieszę, że cię słyszę, Alan. Masz wszystkie obietnice Pattersona na piśmie? Zostawiłem wiadomość na twojej automatycznej sekretarce.

- Pewnie, że mam. Dostaniesz temat z okładki, żadnych skrótów i tyle czasu, ile tylko zechcesz. A także najwyższą stawkę „Hedgehoga”. Wiesz, ile to jest? Pięćset dolców, Sander. Z tego dla mnie pięćdziesiąt. Mam co robić ze swoim czasem. Ty również, skoro już o tym mowa. Nie zachwyca mnie twoje zachowanie. Zostawiłeś mi wiadomość i prysnąłeś z miasta. Cała ta sprawa mnie nie zachwyca. Mówiłem Sharon...

- Aha, powtórzyła mi to. Nie jesteś zachwycony i ona też nie jest zachwycona. Tylko ja jestem zachwycony. Mam farta.

Alan westchnął bardzo teatralnie.

- Jak długo to potrwa?

- Nie mam pojęcia. W sprawie zaszło parę ciekawych mutacji. Może miesiąc, może dwa.

- A przypominasz sobie, że zaledwie kilka dni temu jedliśmy razem obiad? Może pamiętasz też, jak zwróciłem ci uwagę na to, że do terminu ukończenia nowej powieści zostały ci tylko trzy miesiące? Nie możesz sobie pozwolić na zmarnowanie dwóch z tych trzech miesięcy na jakiś niepraktyczny, wart czterysta pięćdziesiąt dolarów gest mający być hołdem dla minionej młodości, Sander. Czy nie powiedziałem ci tego bardzo wyraźnie?

- Do cholery, Alan, nie mów mi, co mam robić! - warknął

Sandy, czując, że nie powinien tak się zachowywać. - Dość już mam pouczania. Posłuchaj, powieść nie idzie najlepiej. Dobrze mi zrobi, jeśli wezmę sobie od niej urlop i napiszę ten artykuł. Może w ten sposób pozbędę się zastoju. Dobra, nie dotrzymam terminu. No i co z tego? Nie zauważyłem, żeby cały świat czekał z zapartym tchem na moją książkę. Z *Poszukiwaniami Kaseya* spóźniłem się dwa miesiące, a z *Otwartymi ranami* prawie rok. Kurwa, twórcy nie mogą pracować według harmonogramu!

- Nie, Sander - sprzeciwił się Alan. - To nie przejdzie. Tym razem sytuacja jest inna. Dali ci bardzo wysoką zaliczkę, głównie dlatego że *Wyjście z gry* sprzedało się naprawdę świetnie, ale teraz tego żałują. Nie zapominaj, że *Otwarte rany* nadal nie znalazły wydawcy w miękkiej okładce.

- Miały dobre recenzje - obruszył się Sandy.

- To nie wystarczy. Sprzedają się do dupy. Ostrzegalem cię, że jeśli spóźnisz się z następną, unieważnią umowę i zażądadzą zwrotu zaliczki. Nie możemy dać im na to szansy.

- Jesteś cholernym pesymistą - odparł Sandy. - Nie będzie tak źle. Napiszę ten artykuł dla Jareda i na tym koniec. Potem wrócę do pracy nad powieścią. Do diabła, może nawet zdążę w terminie. A jeśli nie, to znajdziesz jakiś sposób, żeby ich ugłaskać.

- Jestem agentem, nie czarodziejem - skontrował Alan. - Przeceniasz moje zdolności perswazji. Pozwól, że wyrażę to jasno...

- Jezu - przerwał mu Sandy. - Mówisz jak Nixon.

- Niech i tak będzie - nie ustępował Alan. - Muszę cię ostrzec, że nie zajmuję się tą robotą po to, żeby zawierać pięćsetdolarowe kontrakty z „Hedgehogiem”. Jeśli nie dostarczysz powieści na czas i zerwą z tobą umowę, lepiej zacznij sobie szukać innego przedstawiciela.

- Może i tak powinienem go poszukać. ■- Może i powinieneś - zgodził się z westchnieniem Alan. ~ Nie chcę tego zrobić, Sander. Lubię cię i lubię twoje pisarstwo. To dla twojego dobra. Zapomnij o tym artykule, wracaj do Nowego Jorku i weź się do roboty. Masz zawodowe zobowiązania.

- Pieprzę zobowiązania - warknął Sandy. - Odczep się ode mnie, Alan. Czy nie masz żadnej rozmowy na innym telefonie?

- Właściwie mam. Liczyłem, że może uda mi się przemówić ci do rozsądku, ale widzę, że to była czcza nadzieja. Zastanów się nad tym, co ci powiedziałem, Sander. Decyzja należy do ciebie.

- Cieszę się, że o tym pamiętasz - odparł Sandy. - Do widzenia, Alan. Będę w kontakcie.

Z wysiłkiem powstrzymał się przed walnięciem słuchawką o widelki. Odłożył ją bardzo delikatnie.

W kwaśnym, ponurym nastroju zostawił klucze w recepcji i zaniósł walizkę do samochodu. Zmarnował już większą część dnia, a do tego po rozmowach z Sharon i Alanem czuł się przygnębiony. Miał też wrażenie, że się na niego uwzięli. „Może i mają rację” - pomyślał jednak. Może faktycznie powinien zająć się pracą nad powieścią, zamiast uganiać się za Nazgulami. Może rzeczywiście był niedojrzały i nieodpowiedzialny. Ale niech to szlag - miał czasami prawo do odrobiny niedojrzałości, czyż nie tak? W końcu nie uciekł z domu, żeby występować w cyrku. Pracował nad artykułem i mogło się okazać, że to będzie diabelnie dobry artykuł, ważny i znaczący. Może nawet dostanie za niego jakąś cholerną nagrodę. Zacisnął paski przytrzymujące walizkę, wyprostował się i zatrzasnął bagażnik mazdy silniej, niż to było konieczne. Stał jeszcze przez chwilę na motelowym parkingu, szukając czegoś, na czym mógłby wyładować złość. Nie znalazł jednak nic. Miał ochotę kopnąć samochód. W minionych latach nieraz obijał sobie palce u nóg o opony Karalucha, Jezebel, Pancernika Missouri i Hogmobila.

Mazdy jednak nie można było kopać. Nawet gdy stała na parkingu, opływowa i piękna, niska, brązowa i błyszcząca, z szyberdachem, wysuwanymi antenami i efekciarskimi, czarnymi żaluzjami na tylnej szybie, wydawała się szybka jak diabli, a do tego nieporównanie bardziej seksowna od nich. Sandy zawsze marzył o sportowym samochodzie. Kochał swoją mazdę, ale z jakiegoś powodu nie była dla niego starym przyjacielem, jak poprzednie samochody, nie była towarzyszem przygód i przeciwności, zdolnym zrozumieć i wybaczyć zrodzony z irytacji kopniak, wyrządzający większą szkodę palcom nogi niż oponie. Nie. To była piękna maszyna. Symbol statusu, coś, z czego można było być dumnym, co można było pucować na wysoki połysk. Była warta swej ceny... ale na tym koniec. Karaluch był kumplem, a mazda

- pieprzoną inwestycją. Popatrzył na nią ze złością i ruszył do drzwi.

Nagle się zatrzymał.

- Do diabła z tym! - zawołał głośno. Zatrzasnął drzwi i kopnął z całej siły przednią oponę. Potem obiegł wkoło parking, skacząc na jednej nodze, krzywiąc się z bólu i uśmiechając na przemian.

Nadal się uśmiechał dziesięć minut później, gdy mknął autostradą z prędkością siedemdziesięciu mil na godzinę, a mały silnik Wankła mruczał gładko. Sandy zerknął na swoje nagrania, wybrał starą kasetę Lovin' Spoonful i wepchnął ją do magnetofonu, zwiększając głośność, by muzyka wypełniła całe wnętrze samochodu. *Jaki piękny dzień na mrzonki* - śpiewał John Sebastian - *dzień specjalnie stworzony na mrzonki*.

- Mrzonka - powtórzył Sandy. Spodobała mu się ta nazwa. Była zabawna, frywolna, oznaczała coś, czemu ludzie w zasadzie nie powinni się oddawać, ale i tak to robili. - Mrzonko

- oznajmił samochodowi - jedziemy do New Jersey. Mamy się spotkać z jednym świstakiem.

Nacisnął gaz i maszyna przyśpieszyła.

^ Cztery

Popatrz na niebo czerwone jak piekło! To czyjś dom płonie, płonie, płonie.

Sandy nienawidził autostrady New Jersey z intensywnością wykraczającą poza wszelkie zdolności pojmowania. To była piekielnie nieprzyjemna droga, zawsze pełna ruchu, a do tego biegła przez chyba najpaskudniejszy krajobraz na świecie, pomijając Cleveland, cuchnącą ziemię niczyją pełną zawalonych odpadami zagłębień terenu, rafinerii, cmentarzyk samochodów oraz wysypisk niebezpiecznych odpadów. Szosę zawsze spowijała szarawa mgielka mająca własny, szczególny odór: miazmaty tlenku węgla, spalin dieslowskich silników i szkodliwych chemikaliów. Gdy tylko Sandy go poczuł, obudziły się w nim dawne lęki.

W minionych latach nieraz zatrzymywano go tu za fikcyjne naruszenie przepisów i poddawano rewizji w poszukiwaniu narkotyków. Miejscowi gliniarze nienawidzili odmieńców równie zawzięcie, jak w całym kraju, i często urządzali zasadzki na hipisów i długowłosych, ścigając ich z zapalem bliskim szaleństwa. Jeśli ktoś miał nieodpowiednie nalepki na zderzakach, na autostradzie New Jersey czekały go kłopoty, a pokazać się tu w ozdobionym stokrotkami McCarthy'ego Hogmobilu równało się ogłoszeniu sezonu polowań na samego siebie.

Wszystko to jednak dawno już minęło. Mrzonka była drogim, budzącym szacunek autem i nie było na niej ani jednego kwiatka, a podobne konflikty należały już do przeszłości.

Mimo to coś w tej drodze nadal niepokoiło Sandy'ego. Sam jej zapach przywodził mu na myśl błysk koguta w lusterku wstecznym, gaz łzawiący, tajniaków, cholerne pałki policyjne i Richarda Milhousa Nixona.

Nawet od sprzedawanych tu posiłków dostawał niestrawności. Poczul ulgę, gdy skręcił do Camden.

Norka Świstaka przycupnęła przy dużej, bocznej szosie, niespełna milę od wjazdu na autostradę. Z zewnątrz wyglądała brzydko: pustaki, zielona, aluminiowa okładzina, neon z nazwaną dachu i kartonowy szyld wypełniający jedyne duże okno. Było na nim napisane: „MUZYKA NA ŻYWO”. Choć budynek był spory, robił wrażenie małego z uwagi na otaczający go wielki, pusty, asfaltowy plac parkingu. Sandy zatrzymał Mrzonkę nieopodal wejścia, między czarnym stingrayem bardzo starego rocznika a małą, zgrabną toyotą. To były jedyne samochody na całym parkingu. Wysiadł, rozprostował kończyny, przerzucił sobie kurtkę przez ramię i wszedł do środka.

Dzień był pochmurny, lecz jasny i minęła z górą minuta, nim oczy przywykły Sandy'emu do panującego wewnątrz mroku. Zaczekał w foyer przy szatni, aż mógł wreszcie zobaczyć, dokąd idzie. Przed drzwiami głównej sali ustawiono na drewnianym trójnogu tablicę reklamującą występy grupy o nazwie Steel Angels. Muzycy uśmiechali się do niego ze zdjęcia i Sandy pomyślał, że mają bardzo białe zęby. Za tablicą znajdował się wielki, pusty teraz klub. Sandy zdołał wypatrzeć scenę, nadal zastawioną instrumentami i sprzętem, parkiet, mnóstwo stołów i krzeseł oraz co najmniej trzy bary: jeden długi pod zachodnią ścianą i dwa mniejsze, okrągłe, pośrodku parkietu, otoczone stołkami barowymi. Na pokrytych boazerią ścianach wisiały stare rockowe plakaty, co przypomniało mu w niemiły sposób gabinet Jakiego Lyncha.

Za jednym z okrągłych barów jakiś młodzieniec ustawiał naczynia, rozmawiając z roslym, opierającym się o barierkę facetem w garniturze w prążki. Mężczyzna wyglądał niemal jak zawodowy morderca na usługach mafii. Sandy rozejrzał się wokół i nie zauważył nikogo innego, ruszył więc w ich stronę. Obaj skierowali na niego spojrzenia.

- Zamknięte - zawołał po chwili barman.

- Wiem - odparł Sandy. - Szukam Świstaka Johna. Kiedy się tu zjawi?

Mężczyzna w garniturze w prążki odchrząknął.

- Ja jestem John Slozewski - oznajmił, wyciągając rękę. - Sandy Blair, zgadza się?

Poznałem cię.

Sandy uściśnął jego dłoń, starając się nie okazać zaskoczenia. Świstak John Slozewski był potężnym jak niedźwiedź mężczyzną o ponurym spojrzeniu, który lubił się ubierać w wystrzępione dzinsy i luźne, nierównomiernie farbowane bluzy. Miał czarną brodę, puciołową

twarz, rumiane policzki i wydatny brzusek, przez co przypominał niekiedy Sandy'emu kogoś w rodzaju mrocznego odpowiednika świętego Mikołaja. Natomiast nieznanego, który ścisnął mu teraz dłoń, mógłby minąć na ulicy, nie zwracając na niego uwagi. Słozewski stracił na wadze, jego twarz nie była już pyzata jak u aniołka, sylwetka zaś zrobiła się szczupła. Broda zniknęła, a czarne włosy, które zaczynały nieco rzednieć, były modnie przystrzyżone i uczesane. Tylko jego rozmiary się nie zmieniły. Dłoń, którą wyciągnął do Sandy'ego, była wielka. To była ta sama potężna, czerwona pięść, która wybijała mocny, nieubłagany rytm lecących Nazguli.

- W życiu bym cię nie poznał - przyznał Sandy.

- Czasy się zmieniają - wyjaśnił Słozewski. - Muszę kierować tym lokalem, a pan John Słozewski poradzi sobie z tym zadaniem znacznie łatwiej niż jakiś kudłaty hipis zwany Świstakiem Johnem. Czy uwierzyłbyś, że jestem teraz członkiem Izby Handlowej? Czego się napijesz?

- Piwa - poprosił Sandy.

- Nalej mu, Eddie - polecił Słozewski. Barman napełnił szklanekę i podsunął ją Sandy'emu. Słozewski skinął na niego głową. - Zajmij się głównym barem, żebyśmy mogli swobodnie porozmawiać, dobra? - Barman się oddalił. - A więc nadal pracujesz dla „Hoga”, he?

- I tak, i nie - odpowiedział Sandy. Pociągnął łyk piwa i usiadł wygodnie na stołku. - To praca na zlecenie. Zajmuję się teraz głównie pisaniem powieści.

- Masz farta - stwierdził pozbawionym wyrazu głosem Słozewski. Ani w jego tonie, ani w wyrazie twarzy nie można się było dopatrzeć śladu ciepła, Sandy wiedział jednak, że to mylne wrażenie. Świstak John Słozewski słynął z wiecznie ponurej miny oraz z obcesowego traktowania prasy i publiczności. W połączeniu z szaloną grą na bębnach spowodowało to, że uważano go za trochę wrednego, trochę szalonego i bardziej niż trochę głupiego. Nic z tego nie było jednak prawdą, o czym Sandy przekonał się już podczas swego pierwszego wywiadu z Nazgulami. W gruncie rzeczy, Słozewski był jednym z najspokojniejszych i najsympatyczniejszych facetów w całym rockowym świecie, ale jego urok skrywała wrodzona nieśmiałość i rezerwa. Najwyraźniej pod tym względem nie zmienił się zbyt wiele. Wygłosiwszy swą uwagę, czekał spokojnie, aż Sandy zacznie mówić dalej.

- Pewnie się domyślasz, o czym chcę z tobą porozmawiać - stwierdził ten.

Na widok notatnika usta Słozewskiego rozciągnęły się w bladym, przelotnym uśmiešku.

- Tylko spojrz - mruknął. - Od wieków nie widziałem, żeby reporter coś zapisywał.

Teraz wszyscy chodzą z tymi małymi magnetofonami. - Westchnął. - Pewnie chcesz mnie zapytać o Lyncha, zgadza się? I o The Nazgul?

Sandy skinął głową.

- Tak też myślałem - ciągnął Słozewski. - No wiesz, miałem cichą nadzieję, że może „Hog” zechce zamieścić krótki kawałek o naszym lokalu. Przydałaby się nam odrobina reklamy. Ale na to pewnie trudno liczyć. - Skrzywił się wściekle. - Powinni napisać o Norce Świstaka. Wspomnisz o tym Pattersonowi, dobra?

- Jasne - potwierdził Sandy. - Ładny lokal - skłamał.

- Nie wciskaj kitu - mruknął Słozewski. - Dla ciebie to tylko zwykły bar. Wiem, jak obskurnie wygląda z zewnątrz. Pu-

- staki i tak dalej. Nie jestem głupi. Ale nie wiesz nawet połowy. To ważny lokal.

- Ważny? - zdziwił się Sandy.

- Dla mnie Norka Świstaka jest czymś w rodzaju spełnionego marzenia - wyjaśnił Słozewski. - Włożyłem w ten klub wszystko, co miałem. Dokładam do niego, ale chuj mnie to obchodzi. Uważam, że w ten sposób spłacam dług. - Znowu się skrzywił. - Muzyka to ciężki kawałek chleba. Pamiętam, jak trudno było mi się przebić. Nigdy o tym nie zapominałem, nawet gdy staliśmy się sławni.

- Mówisz o The Nazgul? Słozewski skinął głową.

- Ty widziałeś tylko sam koniec, lata, gdy byliśmy na topie. Początek wyglądał inaczej. Było ciężko. Mieliśmy nowe brzmienie, surowe i gniewne, jak czasy, w których żyliśmy, a do tego graliśmy tylko własne kawałki. Kompozycje Faxona. Nikt nie chciał tego słuchać. Nikogo nie obchodziła nasza muzyka. Podczas koncertów zawsze mieliśmy w tłumie jakichś baranów domagających się najróżniejszego gówna. No wiesz, standardów. Menażerowie naciskali na nas, żebyśmy grali ten syf. A zarobki były... cholera, nie ma na to słowa. Każdy z nas miał na boku inną robotę. Ja byłem kucharzem u Denny'ego, na nocnej zmianie. - Wzruszył potężnymi ramionami. - Dlatego gdy wreszcie się przebiliśmy, postanowiłem, że postaram się ułatwić zadanie dzieciakom zaczynającym karierę. Po to właśnie jest Norka Świstaka. Przyjdź za parę godzin posłuchać Steel Angels. Są cholernie dobrzy. Mają nowofalowe brzmienie. Niekomercyjne, ale dobre. Tylko takie zespoły tu wpuszczam. Jeśli chcą u mnie występować, muszą grać oryginalne kompozycje. Żadnego disco i takiego syfu. Daję im start, regularne występy, jeśli tego potrzebują. Do tego płacę całkiem nieźle. Płaciłbym więcej, gdybym mógł, ale nie mamy tu tylu gości, ilu bym chciał. - Ponownie wzruszył ramionami. - Ale stać mnie na to, do cholery. Liczy się muzyka, nie forsa. Ty jednak nie chcesz o tym słuchać, prawda? Chcesz, żebym ci opowiedział o Jamiem Lynchu.

— I o Nazgulach - dodał Sandy. - P^0™- Może uda mi się namówić Jareda, żeby zamieścił o tobie krotki kawałek. _ Jak zobaczę, to uwierzę - warknął Slozewski. Jego bas brzmiał równie głęboko jak w dniach, gdy koncertował. - Posłuchaj, chętnie z tobą pogadam, ale z góry ci mówię, że^marnujesz czas. Za cholere nie wiem, kto zabił Jamiego, i w ogole mnie to nie obchodzi. A poza tym mam juz serdecznie dosc opowiadania o The Nazgul.

Dlaczego? - zapytał Sandy.

- A dlaczego Lennon miał dosć opowiadania o rozpadzie Beatlesów'? - To było retoryczne pytanie. Slozewski wszedł za bar i zaczął spokojnie robić sobie drinka. - Za miesiąc skończę trzydzieści siedem lat - mówił. - Czterdziestka już niedaleko. Mam kupę życia za sobą. Wkładam w ten klub wiele sił. Staram się zrobić coś pożytecznego dla muzyki. Przez długi czas byłem dobrym perkusistą. Po West Mesa grałem trzy lata w Nasty Weather, a potem w Morden & Slozewski & Leach i przez krotki czas w Smokehouse Riot Act. Riot Act też mógłby być cholernie dobrym zespołem, gdyby tylko Morden i Jencks nie byli takimi konkursowymi dupkami. Nagraliśmy parę świetnych kawałków. Gdyby zespół się nie rozpadł, może ludzie zapomnieliby o The Nazgul. Ale czy ktoś mnie o to wszystko pyta? Nie. - Skrzywił się, potrząsając ze złością głową. - Obchodzą eh tylko The Nazgul. Rozumiesz, jestem ostatnim, kto chciałby umniejszać wagę tego zespołu. Byliśmy świetni. Byliśmy grupą światowej klasy. Jestem dumny z tej części swego życia. Ale to się skończyło na West Mesa. Jakiś świr nacisnął spust w ciemności i było po wszystkim, a my musieliśmy zająć się czymś innym. Tyle że nie chcą mi na to pozwolić. Słyszysz, co mówi?? Jestem John Slozewski i chcę, żeby mnie traktowano jak Johna Slozewskiego, a nie jak jedną czwartą The Nazgul. Pierdolić tak. interes.

W niskim głosie Slozewskiego pojawiła się nuta lekkiej,rytacji. Sandy słuchał jego słów z pewną dozą zdumienia. Miał nadzieję, że nie uwidaczniało się ono na jego twarzy. Po rozwiązaniu The Nazgul Świstak John nie osiągnął mc szczególnie godne - go uwagi. Nasty Weather, która uformowała się wokół niego i Maggia po West Mesa, była w najlepszym razie wtórnym zespołem. Smokehouse Riot Act byli znacznie oryginalniejsi i bardziej obiecujący, ale wewnętrzne spory doprowadziły do rozpadu grupy po nagraniu zaledwie jednego albumu. A o Morden & Slozewski & Leach lepiej było mówić jak najmniej. Można by się spodziewać, że Świstak John wolałby, żeby o wszystkich tych grupach jak najszybciej zapomniano.

Sandy zdołał jednak rozciągnąć usta w bladym, wyrażającym zrozumienie uśmiešku.

- Wiem, co czujesz - stwierdził. - Moja pierwsza książka, *Wyjście z gry*, sprzedała się dwa razy lepiej niż następne. Co jakiś czas czytam recenzje głoszące, że od tego czasu wciąż schodzę w dół. Można się od tego wkurzyć, prawda?

Slozewski skinął głową.

- Masz cholerną rację.

Sandy nie dodał jednak, że w przypadku Świstaka Johna zgadza się z opinią ogółu. Jim Morden, Randy Andy Jencks, Denny Leach i inni późniejsi partnerzy Slozewskiego byli kompetentnymi, profesjonalnymi muzykami, ale żaden z nich nie był godny tego, by trzymać mikrofon Hobbinsowi albo naciągać struny gitary basowej Petera Faxona. Takt nie pozwalał mu jednak powiedzieć tego na głos.

- No dobra, rozumiem, dlaczego masz już dość pytań o The Nazgul, ale chyba zdajesz sobie sprawę, że zamordowanie Lyncha musiało pobudzić zainteresowanie?

Slozewski skrzywił się wściekle.

- Jasne. Ale to nie znaczy, że ja też muszę być zainteresowany.

- A czy wielu dziennikarzy zjawilo się tu od tego czasu?

- Niewielu - przyznał Slozewski. - Jeden facet z kablówki prosił przez telefon o wypowiedź, a drugi, z filadelfijskiej stacji telewizyjnej, przysłał tu ekipę. Rozmawiałem z nimi, ale nic z tego w końcu nie poszło. Nie miałem im wiele do powiedzenia. Przynajmniej nic interesującego. - Pociągnął łyk. - Ty również nie dowiesz się nic ciekawego, ale jeśli chcesz mi zadać trochę pytań, to wal. Zostało mi jeszcze parę godzin do otwarcia.

- Czy domyślasz się, kto mógł zabić Jamiego Lyncha?

- Nie.

- A kto mógł pragnąć jego śmierci?

Z ust Slozewskiego wyrwał się cichy, złośliwy chichot.

- Połowa pieprzonego świata. - Wzruszył ramionami. Przynajmniej tak było dziesięć lat temu. Muszę przyznać, że ostatnio Lynch nikomu nie wykręcił żadnego numeru. Nie miał takich możliwości. Ale kiedy jeszcze miał wpływy, był z niego bezwzględny skurczybyk. Podejrzewam, że zabił go ktoś, kto długo chował urazę.

- To faktycznie musiałoby być dość długo - zgodził się Sandy. - Mam wrażenie, że ty też zbyt nie przepadałeś za Lynchem.

- Bez komentarza.

- To trochę zakrawa na niewdzięczność - zauważył Sandy. - Sądziłem, że właśnie Jamie Lynch stworzył The Nazgul. Dał wam szansę, wprowadził na szczyty rocka.

- Jasne. Zawdzięczamy mu sławę. I bogactwo. Sam też się przy okazji wzbogacił. Zawsze spłacam długi, Blair. Dlatego właśnie prowadzę ten lokal. Wiem, co znaczy lojalność. Ale Jamie stracił wszelkie prawa do naszej wdzięczności już dawno temu. Kiedy nas odkrył, wiedział, że jesteśmy dobrzy. Ale wiedział też, że jesteśmy spragnieni sukcesu. Szkoda, że nie widziałeś kontraktu, jaki wtedy podpisaliśmy. Co, kurwa, mogliśmy wiedzieć? Byliśmy

czterema dziećmiakami, które chciały grać i znaleźć się na okładce „Hedgehoga”.

Sandy zapisał to wszystko.

- Chcesz powiedzieć, że Lynch was oszukał?

- Wycyckał nas. Wyruchał bez mydła. - W głosie Slozewskiego pojawiła się nagle nuta goryczy. - Zastanawiałeś się kiedyś, dlaczego The Nazgul nie grali na Woodstock? Byliśmy wystarczająco sławni. Chcieliśmy tam pojechać. Nadal mnie wkurza, że tam nie byliśmy. Lynch nam zabronił. Powiedział, że jeśli go nie posłuchamy, uzna to za złamanie kontraktu i wyprocesuje od nas grube miliony. Ten pierdolony kontrakt dawał mu pełną władzę nad tym, kiedy i gdzie będą występować The Nazgul, a on uważał, że Woodstock nie byłby dla nas dobry. Nie byłby dobry! Jezu! - Świstak John zacisnął wielką dłoń na szklance tak mocno, że aż kostki mu zbieleły. - I były jeszcze narkotyki - dodał.

- Lynch zaopatrywał w prochy wszystkie swoje grupy przyznał Sandy. - Wszyscy wiedzieli, że ma kontakty. I co z tego?

- I co z tego? Jasne. Nic nie kapujesz. Prochy były dla niego kolejnym sposobem sprawowania kontroli nad nami. Do diabła, lubiłem wtedy hasz i nadal go lubię. Lekki odjazd od czasu do czasu nikomu jeszcze nie zaszkodził. To fajna sprawa. Potrafię nad tym zapanować. A Peter nigdy nie tknął żadnego syfu. Nawet trawy. Taki już był. Ale Hobbins i Maggio mieli problemy. Przed West Mesa Hobbins nie mógł się nawet ruszyć bez garści pigulek i łyku whisky, a Rick szprycował się regularnie. To źle wpływało na jego muzykę. Nie masz pojęcia, ile razy musieliśmy nagrywać niektóre ścieżki na *Napalmie* i *Wake the Dead*, żeby gitara Maggia zabrzmiała jak trzeba.

- I uważasz, że to wina Jamiego Lyncha?

- Do diabła, to on dał Rickowi pierwszą działkę. Na Gwiazdkę, potrafisz w to uwierzyć? Owinął strzykawkę białą wstążką. Peter toczył pianę ze złości, ale Lyncha to nie obchodziło. Darmowe narkotyki pozwalały mu łatwiej nas kontrolować. Sam brał bardzo niewiele. Jamie Lynch był uzależniony od władzy.

- To nie brzmi przyjemnie - przyznał Sandy.

- Ehe, faktycznie było nieprzyjemne. A na tym jeszcze wcale nie koniec. Rick lubił też groupies*, zwłaszcza kiedy się czegoś naćpał albo po występie. Nie minęło dziesięć minut, odkąd wyszliśmy za kulisy, a on już spuszczał portki i jakaś panienka

* Groupies - fanki, które towarzyszą zespołom rockowym w trasach koncertowych; ich uwielbienie dla muzyków graniczy z obsesją, dla swoich idoli są gotowe zrobić wszystko, łącznie ze świadczeniem usług erotycznych. robiła mu laskę. No i pewnego wieczoru, po koncercie w Pitt*' burghu, Maggio zajął się takimi bliźniaczkami i nagle do pokój u wpadł

Jamie z polaroidem i zaczął mu cykać fotki. Faxon *ni0* było, a Hobbit i ja byliśmy naćpani, więc nikt nic nie zrobi**' Wszyscy uważaliśmy to za bombowy żart. Maggio chichot** i stroił miny do aparatu. - John Slozewski zasępił się tak gębo'' ko, że bruzdy wyglądały jak wryte na jego twarzy. - A *potei*^ się okazało, że te bliźniaczki były nieletnie. Miały po czternaści^ lat! Nie wyglądały na to, ale tyle właśnie miały i Jamie o ty**» wiedział. No więc, nigdy nie zobaczyliśmy tych zdjęć, ale Jami^ cały czas na ten temat żartował. No wiesz, ciągle gadał, że lepiej, żebyśmy robili, co nam każe, bo inaczej sprzeda gdzieś te zdjęcia, ha, ha, ha. Wszyscy się z tego śmialiśmy, Maggio najgłośniej, ale kiedy spojrzałem na jego twarz, widziałem, że poci się jak skurwysyn, bez względu na to, jak głośno rechocze. On wiedział, że Jamie nie żartuje. Ten skurwiel mówił poważnie

- Czego się tak bał? - zdziwił się Sandy. - Nie byłby pierwszą gwiazdą rocka złapaną w łóżku z małodatą. Połowa groupies nie miała osiemnastu lat.

- Ehe, może i tak. Ale nie znasz Ricka. To był chudy katolicki chłopak z południowej dzielnicy Filadelfii. I do tego brzydki Nigdy nie potrafił sobie z tym poradzić. Próbował każdego narkotyku, jaki dał mu Jamie, i ruchał wszystko, co miało dwie nogi i było gotowe je dla niego rozłożyć, ale cały czas bał się czegoś z tego powodu. Jakby w każdej chwili z jakiejś dziury mogła wyskoczyć zakonnica i dać mu po łapach pierdoloną linijką. Bardzo się gryzł tymi zdjęciami. Ale Peter załatwił tę sprawę.

- Faxon? Slozewski skinął głową.

- Pewnej nocy upił Jamiego i udało mu się go przekonać że chciałby sobie pooglądać te fotki. W jakiś sposób zdołał go namówić, żeby mu je dał, i wtedy podarł je na jego oczach. Ale to niewiele pomogło. Lynch miał mnóstwo haków na nas wszystkich. - Slozewski dopił drinka i odstawił szklankę. - Hej, chyba tego nie wydrukujesz, co? sO

- Nie chcesz, żeby świat poznał prawdę o Jamiem Lynchu?

- Daj spokój! - zaprotestował Slozewski. - Czy to nie może pozostać między nami? Chuj mnie obchodzi, co świat sądzi o Lynchu, ale Maggio i tak ma pod dostatkiem problemów. Może i za nim nie przepadam, ale to jeszcze nie znaczy, że chcę mu dodatkowo zatruć życie.

Sandy wzruszył ze zrozumieniem ramionami.

- No, nie wiem - mruknął. - Muszę jeszcze przeprowadzić wywiad z Maggiem. Może sam ukreśli na siebie pętlę własnymi słowami. Ale jeśli tego nie zrobi, zobaczę, czy nie da się trochę stonować informacji na jego temat. - Uniósł pośpiesznie rękę. - Nie mogę niczego obiecać. Interesuje mnie przede wszystkim Lynch. Znałem jego reputację, ale bez szczegółów. Teraz rozumiem, dlaczego nie ubrałeś się na czarno.

Świstak John rozciągnął usta w smutnym, pełnym zażenowania uśmiešku.

- No dobra, próbowałem.

- A co z późniejszymi czasami? Po West Mesa?

- Po West Mesa nie stykałem się z Jamiem Lynchem zbyt często - wyjaśnił Slozewski. - Nie miałem na to ochoty. No wiesz, miał kontrakt z The Nazgul. Z całą naszą czwórką. Grupa była jego własnością. Wiedziałaś o tym? Słyszałaś, jak nazywał go Hobbins?

- Wielmożnym panem Lynchem? Slozewski parsknął śmiechem.

- Nie. Ale możesz się tego domyślić. Wiesz, skąd wzięła się ta nazwa? The Nazgul?

- Patrick Henry Hobbins - odparł Sandy. Zamieścił tę historię w obu swych wcześniejszych wywiadach z grupą. To był powszechnie znany szczegół. - Hobbins był niski, tylko pięć stóp i dwa cale, miał mnóstwo białych włosów, w tym również trochę na stopach, i palił fajkę. Co prawda, nabijał ją trawą, ale zawsze była to fajka. Dlatego, gdy ukazał się *Władca pierścieni*, było naturalne, że nadano mu ksywkę Hobbit. To wciągnęło go w cały ten tolkienowski interes i właśnie on wymyślił dla grupy nazwę The Nazgul, od latających czarnych charakterów z książki.

- Ehe - zgodził się Slozewski. - To zgadnij, jak nazwał Lyncha.

Minęło wiele lat, odkąd Sandy czytał trylogię Tolkiena. Musiał się chwilę zastanowić.

- Sauron - domyślił się wreszcie. - Sauron rządził Nazgulami.

- Wygrałeś piwo - pochwalił go Slozewski. Nalał mu szklanekę i popchnął ją w jego kierunku. - Jamie był zachwycony. Kiedy *Hot Wind out of Mordor* wspiął się na pierwsze miejsce listy sprzedaży albumów, podarował nam czterem identyczne pierścienie na pamiątkę tego sukcesu.

- Miłe - stwierdził Sandy, pociągając łyk piwa. - Ale nie jestem pewien, czy to rozumiem. Co to znaczy, że grupa była jego własnością?

- Był właścicielem nazwy - wyjaśnił Slozewski - a do tego zarezerwował sobie prawa do kierowania każdym zespołem, w którym występowałoby co najmniej trzech z nas, więc nie mogliśmy się po prostu rozwiązać i połączyć ponownie pod inną nazwą. Do czasu West Mesa miał nas w ręku. Ale po zamordowaniu Hobbita wszystko się zmieniło. Lynch domagał się, żebyśmy znaleźli nowego wokalistę i występowali dalej, ale Peter nie chciał o tym słyszeć. Po West Mesa zupełnie wymiękł i postanowił się wycofać. Ja i Rick założyliśmy Nasty Weather i Lynch nie miał z tą grupą nic wspólnego. Mógł nam naskoczyć. Odzywał się do mnie mniej więcej raz do roku, zawsze z jakimiś pomysłami wskrzeszenia The Nazgul. Próbował mnie do tego namówić, ale ja zawsze kazałem mu spierdalać.

Sandy postukał z namysłem długopisem w notes.

- Wyjaśnijmy to sobie. Jamie Lynch nadal był menażerem The Nazgul?

- Jeżeli można być menażerem grupy, która nie istnieje od 1971 roku, to tak. Gównem z tego miał, bo wszyscy poszliśmy

6] własnymi drogami, ale Jamie był takim skurwielem, że za nic w świecie nie zrezygnowałby z tego kontraktu.

- A czy poruszaliście ten temat?

- Tak, parę razy. Kiedy otwierałem ten klub, trzy lata temu, pomyślałem sobie, że to byłaby dobra reklama, gdyby The Nazgul zagrali na otwarciu. No wiesz, tylko jeden występ, kilka starych utworów, nie prawdziwa reaktywacja grupy. Ale mielibyśmy komplet i Peter był skłonny się zgodzić, żeby wyświadczyć mi przysługę, a Rick wręcz się do tego palił. Nie szło mu za dobrze i chyba uważał to za swoją szansę. Jamie zamordował ten pomysł. Zażądał absurdalnego honorarium, na które nie mogłem sobie pozwolić, a potem zagroził, że poszczuje na mnie drogiego adwokata. Nie warto było się użerać, więc dałem spokój. Strzelił palcami, a potem wskazał na Sandy'ego. - Drugi raz to było z miesiąc temu. Dostałem list od promotora, jakiegoś pokręconego faceta nazwiskiem Morse, który miał plan wielkiego comebacku Nazgulli. Zdążył już przekonać do tego pomysłu Maggia, który zadzwonił do mnie, błagając, żebym się zgodził. Szczerze mówiąc, w ogóle nie byłem zainteresowany. Nie potrzebowałem forsy aż tak bardzo, a Norka Świstaka znaczy teraz dla mnie więcej niż The Nazgul. Widziałem jednak, że Maggio bardzo tego pragnie, a że nie było sensu wdawać się z nim sprzeczkę o coś, co i tak nie mogło się wydarzyć, więc odpowiedziałem: „Jasne, wystąpię, ale muszą mieć zgodę Jamiego”. Kapujesz, wiedziałem, że nie ma najmniejszych szans, aby Jamie zgodził się odstąpić Nazguli innemu promotorowi. I rzeczywiście, więcej już o tym nie usłyszałem. Jamie zamordował ten pomysł, w taki czy inny sposób, on i jego kontrakt, ten cudowny, żelazny, nienaruszalny, dożywotni kontrakt.

Sandy spojrzał na Świstaka Johna, a potem przeniósł wzrok na scenę z instrumentami i sprzętem. Przygryzł z namysłem koniec długopisu.

- Dożywotni. To ciekawe słowo - zauważył. Słozewski zmarszczył brwi.

- Hej - mruknął. - Masz rację.

- Jamie Lynch nie żyje, więc ten drugi promotor może się znowu do ciebie odezwać. Jak on się nazywał?

- Morse - odparł Słozewski. - Edan Morse. Cholera. O tym nie pomyślałem. Będę musiał pogadać na ten temat z Rickiem. Nie ma mowy, żebym rzucił wszystko, co próbuję osiągnąć z Norką Świstaka, i wrócił na trasę. Poza tym i tak nic by z tego nie wyszło. Nie wyobrażam sobie Nazguli bez Hobbinsa.

- Nowy wokalista? Słozewski chrząknął z pogardą.

- No jasne. Równie dobrze można by urządzić comeback Beatlesów i wziąć Petera Framptona na miejsce Johna. Kurwa, nie. To nie może się udać. A poza tym Peter w życiu się nie zgodzi.

- Frampton czy Faxon? - zapytał z uśmiechem Sandy.

- Żaden z nich. Chcesz jeszcze piwa? Wypiłeś już całe.

- No, nie wiem - zastanowił się Sandy. - Ale chętnie bym coś zjadł.

- Nie mamy tu kuchni - odparł Slozewski. - Mogę najwyżej dać ci torebkę chipsów. - Zerknął na zegarek. Elektroniczny, zauważył Sandy. Z jakiegoś powodu wydało mu się to z lekka surrealistyczne. Świstak John z The Nazgul nosi elektroniczny zegarek. To tak, jakby Richard Nixon uprawiał seks. Wiedział, że takie rzeczy się dzieją, ale wydawały się zbyt dziwaczne, by można było to sobie wyobrazić. - Posłuchaj - ciągnął Slozewski - niedługo przyjdzie tu reszta moich ludzi, a grupa zacznie próbę. Nie będziesz słyszał ani słowa. Chcesz zjeść obiad? Jakąś milę stąd jest całkiem niezła restauracja.

Sandy wstał i przeciągnął się.

- Mam wrażenie, że to świetny pomysł - zgodził się, podnosząc płaszcz. - No to chodźmy.

Na parkingu zawahał się między Mrzonką a czarnym stingrayem.

- Pojedziemy twoim autem czy moim? - zapytał. Świstak John wybuchnął śmiechem.

- Corvette należy do Eddiego - wyjaśnił. - To jest mój samochód.

Wskazał na maleńką toyotę zaparkowaną po drugiej stronie Mrzonki.

- W takim razie moim - zdecydował Sandy. Otworzył drzwi i Świstak John wsunął się do środka.

Restauracja była tylko trochę dalej, niż twierdził Slozewski. Nie było w niej prawie nikogo.

- Jared Patterson postawi nam obiad - oznajmił Sandy, gdy już przyniesiono im menu. Obaj zamówili wyśmienite żeberka, a do tego butelkę najdroższego wina. W restauracji było spokojnie. Na stołach leżały czerwone obrusy, w małych łzach z barwionego szkła paliły się świece, a podłogę pokrywały grube, ciemne dywany. Gdy czekali na koktajle, Sandy wpatrzył się w widoczny za oknem zachód słońca, a Świstak John wdał się w pogawędkę z właścicielem, którego znał z Izby Handlowej. Na zewnątrz widać było mknące autostradą samochody. W miarę jak zapadał zmrok, ich reflektory zaczynały się zapalać. Sandy zastanawiał się, jak ma zadać Slozewskiemu pytania, które jeszcze mu pozostały, i ile powinien mu zdradzić na temat tego, co wydarzyło się w Maine. Gdy wreszcie podjął decyzję, Świstak John wrócił już do stolika. Towarzyszyły mu drinki.

- Mam jeszcze kilka pytań - oznajmił Sandy, wyciągając notes.

Słozewski przewrócił oczyma, spoglądając na sufit.

- Nienawidzę pieprzonych dziennikarzy - rzucił swobodnym tonem. - Gadaj.

- Chcę się czegoś dowiedzieć o twoich fanach.

- Mam kota, który jest mną naprawdę zachwycony. Sandy uśmiechnął się.

- W dawnych czasach wokół Nazguli na pewno kręciło się trochę świrów. Osobliwych typów. Czy któryś z nich wbił ci się szczególnie w pamięć? Albo może cała grupa? Jacyś ludzie, którzy naprawdę przejęli się waszą muzyką?

- Mnóstwo ludzi przejmowało się naszą muzyką. Setki tysięcy. Kurwa, miliony. Byliśmy Nazgulami. Cholera, wiesz, jak to było.

Sandy machnął niecierpliwie ręką.

- Tak, ale mnie nie chodzi o zwyczajnych fanów. Mam na myśli świrów, tych, którzy uważali, że przemawiacie bezpośrednio do nich, próbowali żyć według wskazań waszej muzyki, identyfikowali się z wami.

- Mieliśmy liczny fanklub. Mówili na siebie orkowie.

- Nie, nie, chodzi mi o naprawdę niebezpiecznych ludzi. Takich jak Manson. Jak Mark David Chapman. No wiesz.

- Nie - zaprzeczył Słozewski. - Takich nie było. Mieliśmy tylko klakierów, grupies i orków.

Pociągnął łyk ze swojej szklanki.

Sandy zmarszczył brwi i również przełknął trochę szkockiej z sodą. Pomyślał, że nic z tego nie będzie. Albo wokół The Nazgul nie powstał żaden kult, albo Słozewski nic o tym nie wiedział, albo ukrywał przed nim ten fakt. Sandy nie miał pojęcia, jak ustalić, która z tych możliwości jest prawdziwa.

- Jeszcze jedno - odezwał się po chwili. Odstawił szklankę, wpatrzył się w nią i roztargnionym ruchem nakreślił na szkle pacyfę. - Gdzie byłeś nocą dwudziestego września?

Słozewski parsknął śmiechem.

- W tym roku czy w siedemdziesiątym pierwszym? Sandy wybałuszył oczy.

- Jezu - zawołał. Nie potrafił uwierzyć, że był aż tak głupi. - Jestem pierdolonym kretynem - wyznał głośno. Kurwa, to był ten sam dzień, zgadza się? Dwudziesty września!

W ciemnych oczach Słozewskiego pojawił się wyraz zrozumienia.

- Och - mruknął. - Chcesz powiedzieć, że Jamiego zabito tego samego dnia. - Skrzywił się. - To dziwne.

Sandy wałnął pięścią w stół.

- To więcej niż dziwne - oznajmił gniewnie. Do tej pory nie zamierzał mówić Slozewskiemu wszystkiego, o czym usłyszał od Daviego Parkera, lecz nagle zmienił zdanie. Świstak John musiał się o tym dowiedzieć. - To w najwyższym stopniu perwersyjne. Jezu, dlaczego od razu tego nie zauważyłem! Sharon miała rację. Nigdy nie zostanę hipisowskim Sherlockiem Holmesem. Posłuchaj, to nie był przypadek, że Lyncha zabito w rocznicę West Mesa. Jest w tym coś więcej.

Opowiedział Slozewskiemu o odtwarzanym raz po raz albumie i o plakacie, który zdjęto ze ściany, by położyć na nim ciało Lyncha. W trakcie tej relacji przyniesiono sałatki. Slozewski wziął widelec i zaczął jeść - powoli i metodycznie. Przeżuwał dokładnie każdy kęs, nie spuszczać wzroku z twarzy rozmówcy.

- Rozumiem - mruknął, gdy Sandy skończył.

- Dlatego pytałem cię o kult. Nasunęła się nam myśl, że sprawcą mógł być ktoś w tym rodzaju. Ktoś, komu odbiło od słuchania waszej muzyki.

- Nie. Nikogo takiego nie znałem.

Sandy zjadł trochę sałatki, niemal nie czując jej smaku, i odłożył widelec.

- To gdzie byłeś tej nocy?

- W Norce Świstaka - odparł Slozewski. - Tak jak co noc. Chyba że to była niedziela.

Ale nie była, prawda?

- Nie była - potwierdził Sandy. - No cóż, w takim razie jesteś czysty.

Slozewski odsunął na bok pustą miseczkę.

- Czysty?.

- Masz alibi.

- A czy go potrzebuję?

- Ktoś wykończył Lyncha na jednym z waszych plakatów, przy akompaniamencie jednej z waszych płyt, w rocznicę waszego ostatniego koncertu, w sposób opisany w jednym z waszych tekstów. Jak ci się zdaje? Sam przyznajesz, że nie lubiłeś Lyncha. Jeśli nie powstał wokół was kult zwariowanych fanów, podejrzenie z natury rzeczy pada na ciebie, Maggia albo Faxona.

- No więc, ja byłem tutaj - zapewnił Slozewski, marszcząc brwi. - Rick ani Peter też tego nie zrobili. To wykluczone, słyszysz?

Kelnerka zabrała sałatki. Sandy prawie nie tknął swojej.

- Jest jeszcze jedno - oznajmił, gdy przyniosła żeberka.

Slozewski wbił w niego wzrok.

- Słucham?

- Ty możesz być następny.

- Co?

- Zastanów się - ciągnął Sandy. Odciął zręcznie kawałek mięsa, dodał chrzanu i przełknął pośpiesznie kasek. - Najpierw Hobbins, a teraz Lynch.

- Kurwa, chyba nie mówisz poważnie - zaprotestował z lekceważeniem w głosie Slozewski. - A nawet jeśli mówisz, to nic mi nie grozi do następnego dwudziestego września, mam rację?

- Może i masz, ale na twoim miejscu miałbym się na bacności.

- Ja zawsze mam się na bacności - odparł Slozewski. Potem zajął się obiadem, pochłaniając go metodycznie w złowrogim milczeniu. Sandy obserwował przez dłuższą chwilę jego twardą, wykrzywioną w grymasie złości twarz, po czym przeniósł swą uwagę na żeberko. Zjedli posiłek pełni niepokoju.

Wznowili rozmowę dopiero wtedy, gdy przyniesiono deser i kawę.

- To mi się nie podoba - przyznał Slozewski, wsypując do filiżanki trzy czubate łyżeczki cukru, który następnie zawzięcie starał się rozmieszać. - Kurewsko nie podoba. Nie wiem, co tu, do licha, jest grane, i nie chcę mieć z tym nic wspólnego. - Wykrzywił twarz. - Masz zamiar pogadać z Rickiem i Peterem?

Sandy skinął głową.

- Uważaj na Maggia - ostrzegł go Slozewski. - On przeżył złe chwile. Czasami trochę mu odbija. Mam nadzieję, że nie jest w to zamieszany. Nie lubię go zbytnio, ale nigdy bym nie pomyślał, że jest zdolny do czegoś takiego.

- Nieźle ciął na gitarze - przypomniał Sandy.

- Był najlepszy. Przynajmniej na początku, zanim zaczął ćpać. Prochy go zniszczyły. Mógł zostać gwiazdą światowej klasy, ale po West Mesa staczał się coraz niżej. Jeśli ktoś miał powody, by nienawidzić Jamiego Lyncha, to właśnie Rick. - Przerwał na chwilę, a potem zaczął opowiadać o Maggiu i o Nazgulach, o tym, jak powstała grupa. - No wiesz, nie byłem pierwszym perkusistą - mówił. - Podobało mi się ich brzmienie, więc kręciłem się przy nich, starałem się im pomagać. Wtedy właśnie zaczęli na mnie mówić Świstak John. W końcu Peter dał mi szansę i pokazałem, co potrafię. Następnego wieczoru wyrzucili Regettiego i przyjęli mnie.

- Ten Regetti - zainteresował się Sandy. - Czy miał o to żal? Może on jest zabójcą?

- Nie. Zginął w wypadku motocyklowym, zanim jeszcze wydaliśmy pierwszą płytę. No wiesz, on był w porządku, ale ja byłem lepszym perkusistą.

Slozewski mówił jeszcze długo, a Sandy słuchał go z szacunkiem.

- Tęsknisz za tymi czasami - stwierdził, gdy Świstak John wreszcie umilkł.

- Trochę tak - przyznał potężnie zbudowany mężczyzna w prążkowanym garniturze i Sandy ujrzał przez chwilę ducha rozczochranego, skrzywionego gniewnie młodzieńca w nierównomiernie farbowanym poncho i dzinsach, pełnego magii szaleńca, otoczonego czarno-czerwonymi bębniami chłopaka o zaczerwienionych policzkach, wybijającego z błyskawiczną szybkością werbel gromu.

- Brakuje mi występów. Na całym tym kurewskim świecie nie ma nic lepszego, Blair. Widzisz tysiące widzów, setki tysięcy, i wszyscy się ruszają, ruszają, kołyszą, tańczą, klaszczą w dłonie, a wszystko to dzięki tobie, twojemu brzmieniu. Twoja muzyka ich wypełnia, działa na nich i w jakiś sposób coś z tego wraca do ciebie. Kapujesz? Czujesz to. Ta energia doprowadza cię do szału, sprawia, że stajesz się lepszy. Robi z ciebie coś w rodzaju pierdolonego boga. - Zrobił zadumaną minę. - I muzyka - dodał. Jej brakuje mi najbardziej. Te grupy, które teraz grają w Norce Świstaka, do licha, staram się je lubić, to znaczy wiem, że muzyka nie może stać w miejscu i nowe brzmienia... no wiesz, jeśli będziemy o nich źle mówić, to czym będziemy się różnili od dupków, którzy gardzili naszą muzyką? Dlatego daję im tu miej - sce do grania, tym, którzy na to zasługują. Ale w głębi duszy wiem jedno. - Pochylił się z miną spiskowca. - Nie są tacy dobrzy jak my - wyszeptał.

Sandy roześmiał się. Zalało go ciepłe uczucie.

- Szczerze mówiąc, większość z nich jest gówno warta. Świstak John Slozewski wyprostował się, szczerząc zęby w uśmiechu. Zerknął przelotnie na zegarek.

- Powinniśmy już wracać? - zapytał Sandy. Świstak John wzruszył ramionami.

- Ehe, chyba tak. Klub jest już otwarty. Za chwilę Steel Angels złączą pierwszy występ. Ale wiesz co? Właściwie nie chce mi się tam jechać. Prawdę mówiąc, lokal świetnie kieruje się sam. Wypijesz jeszcze filiżankę kawy?

- Jasne - zgodził się Sandy.

Slozewski uniósł palec, wzywając kelnerkę. Siedzieli nad kawą jeszcze długo, radując się panującą w restauracji ciszą. Świstak John opowiadał o dawnych czasach, o The Nazgul i ich koncertach, o wiecach i piosenkach. Gadał, głądził i gawędził, powtarzając stare anegdoty głosem, który nabrał lekko tęsknego tonu, z pewnością pod wpływem wina. „Wino tak działa na człowieka” - pomyślał Sandy, który od czasu do czasu parskał śmiechem albo również opowiadał jakąś historyjkę o kimś, kogo znali ze świata rocka albo z Ruchu. Przez większość czasu jednak słuchał, wyglądając przez okno. Świstak John nie przestawał mówić, a filiżanki raz po raz napelniano kawą. Przyniesiono rachunek i Sandy zapłacił kartą Visa. Na zewnątrz samochody puły przez noc stanu New Jersey, przesywając ciemność reflektorami. Sandy

popatrzył na nie i zadał sobie pytanie, dlaczego tak im się śpieszy do rozpościerającej się przed nimi ciemności, która je pochłaniała. W pewnej chwili zobaczył w górze światła pasażerskiego samolotu.

Później, znacznie później, usłyszał syreny i zerknął na drogę akurat na czas, by ujrzeć migające gorączkowo światło.

- Na pewno jakiś hipis wjechał na autostradę - stwierdził, przerywając Świstakowi Johnowi.

- Słucham? - zdziwił się Słozewski.

- Gliny - wyjaśnił Sandy, wskazując palcem. - Nie widziałeś ich? Jeszcze słysząc syrenę.

Słozewski zmarszczył brwi, wyężając słuch.

- Nie - zaprzeczył. - To straż pożarna.

Miał rację. Hałas narastał, zamiast cichnąć, i po chwili autostradą przemknęły dwa długie, czerwone samochody, pędzące szybko jak wszyscy diabli. Po krótkiej przerwie pojawiła się karetka, potem jeszcze większy samochód strażacki, a na koniec dwa policyjne radiowozy, których syreny faktycznie brzmiały zupełnie inaczej.

- Co się dzieje, do licha? - mruknął Słozewski. Nagle wstał. - Chodźmy.

Sandy zabrał kurtkę i kwit, a potem podążył za Słozewskim na parking. Świstak John zatrzymał się przed Mrzonką, spoglądając na wschód. Nie odzywał się ani słowem.

W kierunku, w którym patrzył, całe niebo zasnęła czerwona łuna.

Autostradą przemknął kolejny policyjny samochód. Świstak John powęszył.

- Czuję zapach dymu - powiedział.

- Pali się jakaś fabryka? - zapytał Sandy. - Jest ich tu mnóstwo, prawda?

Słozewski odwrócił głowę i spojrzał na niego.

- Ehe. I mój klub też tam jest. Jedźmy.

- Mam nadzieję, że to nie...

- Jedźmy! - ryknął Słozewski głosem, w którym nagle zabrzmiała nieprzyjemna nuta strachu.

Sandy zerknął jeszcze na coraz większą czerwoną ranę na niebie i pośpiesznie otworzył drzwi Mrzonki. Po krótkiej chwili byli już na autostradzie, mknąc w kierunku pożaru. Świstak John siedział bez ruchu, z ramionami ciasno skrzyżowanymi na piersi. Krzywił się wściekle i nie mówił zupełnie nic. Sandy czuł narastający ucisk w żołądku.

Poznali prawdę na długo przed tym, nim dotarli na miejsce.

Szosa zakręcała lekko obok Burger Kinga i sklepu Midasa Mufflera. Za tym zakrętem

wyraźnie ujrzeli buchające ku niebu płomienie, kłęby gęstego dymu oraz otaczające pożar pierścieniem samochodu straży pożarnej. Świstak John nie odezwał się ani słowem. Sandy wjechał na parking i nacisnął hamulec, nawet nie szukając miejsca. Pełno na nim było policyjnych i strażackich samochodów, a także gliniarzy oraz strażaków, którzy biegali w kółko, wykrzykując rozkazy. Kłębił się tu też tłum cywilów, którzy gapili się na pożar z szaleństwem w oczach, płakali i nawoływali się nawzajem. Stało tu również mnóstwo prywatnych aut. Sandy'emu przemknęło przez głowę, że w klubie był komplet.

Gdy tylko otworzył drzwi i wysiadł, poczuł na twarzy dotknięcie żaru. Był chłodny październikowy wieczór, ale on nie potrzebował kurtki. Słozewski wyskoczywszy z samochodu przed nim, przepychał się już przez tłum. Sandy wsadził kluczyki do kieszeni i podążył za nim. Zauważył, że niektórzy ludzie mają podarte ubrania i plamy sadzy na twarzach. W powietrzu unosiło się mnóstwo dymu. Minał młodą dziewczynę, która krzyczała histerycznie, okładając pięściami asfalt. Towarzyszący jej chłopak starał się ją uspokoić. Sandy popatrzył na nią bezradnie, po czym przeniósł spojrzenie z powrotem na ogień. Z węży strażackich lała się woda, ale wydawało się, że nic to nie daje. Wtem ku niebu buchnęły jasnopomarańczowe płomienie. Tłum zadrżał nagle, jak przestraszone zwierzę i cofnął się, uciekając przed kolejną falą gorąca i gryzącego dymu.

Sandy znalazł Świstaka Johna przed policyjnym kordonem. Słozewski kłócił się z otyłym gliniarzem.

- Musicie mnie wpuścić. Jestem właścicielem. To mój lokal.

- Nikogo nie wpuszczamy - odparł policjant. - Rozumie pan? Chce się pan spalić?

- Ale ja jestem właścicielem! - upierał się Słozewski. Sandy położył mu dłoń na ramieniu, lecz Świstak John strącił ją, przeszywając go wściekłym spojrzeniem. Jego twarz lśniła czerwono w blasku pożaru, a w oczach tańczyły płomienie.

- Nic nie poradzisz - tłumaczył mu Sandy. Słozewski go zignorował.

- Przepuście mnie! - zażądał po raz kolejny. Policjant potrząsnął krótko głową i zawołał następnych. Podeszło do nich dwóch innych gliniarzy.

- On mówi, że jest właścicielem - poinformował ich grubas.

- Niech pan pójdzie z nami - powiedział jeden z nowo przybyłych, biorąc Słozewskiego za ramię.

Świstak John popatrzył na niego, potrząsnął głową i pozwolił poprowadzić się przez tłum. Sandy próbował ruszyć za nim, ale gruby gliniarz złapał go za rękaw.

- Hej, a pan dokąd?

- Jestem z prasy - odparł Sandy, próbując się wyszarpnąć.

- No i co z tego? Proszę zaczekać tutaj.

Sandy czekał. Pożar wciąż nie chciał się skończyć. Nikt nie wychodził z budynku i nikt do niego nie wchodził. Wrócił do samochodu po notes i zaczął krążyć w tłumie, zadając pytania. Na parkingu pełno było oszołomionych, oszalałych, brudnych od sadzy dzieciaków. Przemknęło mu przez głowę, że wszyscy tu wyglądają bardzo młodo. Dziewczyna w podartej sukience, o oczach pomalowanych intensywnie zielonym cieniem do powiek, bredziła coś od rzeczy. Wyglądało na to, że nic nie wie. Gruby, ostrzyżony na jeża chłopak wzruszył tylko ramionami.

- Zobaczyłem, że się pali, więc przyszedłem się przyjrzeć - wyjaśnił.

Kilka innych osób powiedziało mu, że pożar pojawił się „znikąd”. Sandy wypatrzył jakiegoś młodzieńca, który łkał konwulsyjnie, ale gdy spróbował zadać mu parę pytań, inny mężczyzna odepchnął go mocno.

- On nie może znaleźć swojej dziewczyny, słyszysz? - powiedział. - Zjeżdżaj stąd, kutasie. Daj mu spokój, słyszysz? Dupek. Skurwysyn.

Przekleństwa stawały się coraz głośniejsze. Sandy wycofał się ze skrzepowaniem, rozglądając się wokół w poszukiwaniu policji. Cały czas musiał się przepychać przez gęsty tłum.

W końcu udało mu się znaleźć kogoś, kto zapewniał, że widział wszystko. Młody, chudy mężczyzna o krótko ostrzyżonych, blond włosach był ubrany w zieloną, skórzaną kurtkę, a w jednym uchu nosił złote kółko. Z rozbitych ust ściekała mu krew.

- Przewrócili mnie - wyjaśnił, ocierając usta grzbietem dłoni. Mimo to z chęcią odpowiadał na pytania Sandy'ego. Jim - przedstawił się. - Niech pan nie pisze w gazecie „James”, dobra? Jestem Jim. Aha, byłem tam. Było naprawdę paskudnie. Angels grali, publika tańczyła i nagle wydało mi się, że słyszę krzyk, ale nie byłem pewien, bo muzyka była piekielnie głośna. Dlatego tańczyłem dalej, aż nagle paru facetów zaczęło przepychać się przez tłum jak wariaci. Wrzeszczeli coś, odpychając ludzi na boki. Stąd właśnie mam to. - Ponownie otarł dłonią krew z ust. - Ale potem poczułem dym i skapowałem, że trzeba wiać. Ludzie krzyczeli „pali się”, ale nic nie widziałem poza odrobiną dymu, który przedostawał się przez te drzwi. No wie pan, przez szczelinę nad nimi. To nie wyglądało zbyt groźnie. Nagle grupa przestała grać i jeden z barmanów podbiegł do tych drzwi...

- Do których drzwi? - przerwał mu Sandy.

- Do jakichś. Nie jestem pewien. Z tyłu sali. Pamiętam, że było na nich napisane: „Tylko dla personelu”. No więc, ten facet podbiegł do drzwi, zza których wydostawał się dym, złapał za klamkę i otworzył je, wtedy cały ten ogień wtargnął do środka. No wie pan, w jednej

chwili. Z takim głośnym „puff!” - Rozpostarł szeroko ramiona dla podkreślenia dźwiękowego efektu. Ten gość, który otworzył drzwi, po prostu się zwęglił. - Na twarzy Jima pojawił się niezdrowy uśmieszek. Jego oczy lśniły w blasku ognia. - Widziałem, że innych ludzi też ogarnęły płomienie. No wie pan, biegali w kółko albo tarzali się po podłodze. Dlatego pomyślałem sobie, że trzeba zwiewać jak najszybciej. Wyjście ewakuacyjne było tuż obok. Skoczyłem do niego, ale to kurestwo nie chciało się otworzyć. Dlatego przepchałem się do głównego wyjścia i wydostałem na zewnątrz. Wszyscy się przepychali. Zauważyłem tratowanych ludzi. Szkoda, że pan nie widział, jak pożar ogarnął cały klub! Strażacy nic nie mogli poradzić. Widziałem, jak wbiegli do środka całą bandą i w te pędy stamtąd zwiali.

- W porządku - powiedział Sandy. - Dziękuję panu. Ruszył w dalszą drogę.

- Jim - zawołał za nim mężczyzna. - Nie James!

- Kurwa - mruknął pod nosem Sandy. Nie przestawał krążyć pośród tłumu, aż wreszcie znalazł jednego z kierujących akcją strażaków, który rozmawiał z innym reporterem.

- Wiecie, jak zaczął się pożar? - zapytał.

- Jeszcze nie - odparł strażak. - Badamy sprawę.

- Ile jest ofiar? - zainteresował się drugi dziennikarz.

- Co najmniej pięciu zabitych. Dwie osoby zatruty się dymem, a trzy stratowano na śmierć podczas paniki. Wszystko wskazuje na to, że ogień odciął dostęp do dwóch wyjść ewakuacyjnych na zapleczu, a dwa pozostałe były zamknięte. Zostało tylko główne wyjście. Podejrzewamy, że ostateczna liczba ofiar okaże się wyższa. Znacznie wyższa. Bardzo wielu osobom nie udało się wydostać z budynku.

- Może mi pan podać jakąś liczbę? - nie ustępował reporter. - Muszę za chwilę przekazać materiał.

- Co najmniej pięćdziesięciu zabitych. Może nawet stu. Proszę nie podawać mojego nazwiska, to są tylko domysły.

- Ale dlaczego awaryjne wyjścia były zamknięte? - zapytał Sandy.

- Niech pan zapyta właściciela! - warknął strażak i oddalił się w tłum.

Sandy schował notes do kieszeni i wrócił do policyjnego kordonu, by obserwować dogasający pożar. Stał bez słowa, wpychając ręce głęboko w kieszenie. Po chwili ostatnie pomarańczowe węże zniknęły, na długo po tym, jak dach zawalił się pośród gęstych kłębow dymu. Czerwona łuna śmierci, która zmaćla noc, wygasła, ale strażackie sikawki nie przestawały polewać wodą dymiących ruin. Gapie i ocaleni wsiedli do samochodów i odjechali. Na miejscu została tylko garstka ludzi, wśród nich Sandy. Gdy zaczął wiać wiatr, niósł ze sobą mnóstwo popiołów. Świstak John Słozewski stał samotnie przy porzuconej już

przez policjantów barierze. Twarz miał równie szarą jak będący jego własnością budynek. Sandy położył mu dłoń na ramieniu i potężnie zbudowany mężczyzna zwrócił się w jego stronę. W pierwszej chwili w jego ciemnych oczach nie było widać śladu rozpoznania. Po chwili skinął jednak głową.

- Och - powiedział tylko, spoglądając na ruiny Norki Świstaka.

- Przykro mi - odezwał się Sandy.

- Zginęło tylu ludzi - mruknął Słozewski, nie zwracając się do nikogo w szczególności. Nie patrzył na Sandy'ego. - Nawet nie są pewni ilu. Ale na pewno więcej niż w West Mesa. Znacznie więcej. Mówią, że drzwi ewakuacyjne były zamknięte. - Wreszcie zwrócił się w stronę rozmówcy. - Blair, to niemożliwe, musisz mi uwierzyć. Red mówił mi, żebym je zamknął. No wiesz, zastępca kierownika. Powtarzał, że dzieciaki zakradają się tamtędy do środka, żeby nie płacić za wejście, że powinniśmy zamknąć te drzwi i wreszcie z tym skończyć. Ale ja mu powiedziałem: „Wykluczone”. Przysięgam!

- Może i tak je zamknął - zasugerował Sandy.

Słozewski znowu popatrzył na ruiny. Gapił się na nie tak intensywnie, jakby siła jego wzroku mogła w jakiś sposób sprawić, że pocerniałe, powyginane belki wyprostują się i powstaną na nowo. Jego twarz była pozbawiona wszelkiego wyrazu, wolna od zmarszczek i niewinna jak u dziecka. Pod wpływem rozpaczy stracił swą srogą minę.

- Czy wiesz już, co spowodowało pożar? - zapytał Sandy. Świstak John Słozewski roześmiał się gorzko.

- Tak sądzą - odparł. - To było podpalenie - dodał bardzo cicho.

Pięć * - *

Wczoraj wszystkie moje kłopoty wydawały się tak dalekie. Teraz potrzebuję miejsca, by się schować. Och, wierzę w dzień wczorajszy.

Otworzyła mu drzwi, nie odzywając się ani słowem, ale jej uśmiech był najlepszym pozdrowieniem, jakie mógł sobie wymarzyć. To był ten sam krzywy, przemądrzały, ironiczny uśmieszek, który pamiętał. Złamany nos również wyglądał tak samo. Upłynęło cholernie wiele czasu, odkąd widział go po raz ostatni. Sandy także się uśmiechnął. Maggie podeszła do niego i ściskali się mocno przez bardzo długi czas. Gdy wreszcie odsunęli się od siebie, objęła dłońmi jego dłonie.

- Jezu, cieszę się, że cię widzę - wyszeptała. - Naprawdę.

- Aha - zgodził się Sandy. Jego głos zabrzmiał nieco głupawo, ale to go nie powstrzymało. - Aha - powtórzył. - Ja też się cieszę.

Maggie była jak powiew świeżego powietrza z przeszłości. Przez trzy dni użerał się z

upartymi gliniarzami z New Jersey, by zdobyć materiały do artykułu o pożarze, którego domagał się Jared, i wysłuchiwał przez telefon zgryźliwych komentarzy Sharon. Potrzebował uśmiechu Maggie.

- Wejdz - zaprosiła go, odsuwając się na bok. - Zaraz coś zjemy. Nadal lubisz lasagnę?

- To czwarta na liście moich ulubionych rzeczy - zapewnił Sandy. - Zaraz po książkach, seksie i pizzy. - Wszedł za nią do środka. Mieszkanie było mniejsze od tego, które pamiętał sprzed pięciu lat, gdy widzieli się ostatnio, ale za to Maggie nie musiała już użerać się ze współlokatorami. Większą część zagraconego salonu zajmowały sfatygowana sofa, wielki regał sięgający od podłogi do sufitu oraz staroświecki bufet. W kącie, obok wąskiego okna wychodzącego na zaułek, stał wygodny szezlong, na którym wylegiwały się dwa koty: jeden syjamski, wielki i tłusty, a długi mniejszy, o krótkiej, pomarańczowej sierści.

- Ho Chi Minh? - zapytał zdziwiony Sandy. Syjamski kot otworzył jedno oko i popatrzył na niego podejrzliwie.

- Nie kto inny - potwierdziła Maggie. - Jest już stary i diabelnie marudny, ale jeszcze się trzyma. Ten nowy to Pomarańczowy Julius. Przegoń je i usiądź, a ja przyniosę jakieś wino. Musimy sobie opowiedzieć, co słychać.

Nie zważając na głośne protesty kotów, Sandy zgonił je z szezlonga i rozsiadł się na nim. Maggie poszła do kuchni, a po chwili wróciła z butelką chianti i dwoma kieliszkami. Sandy trzymał kieliszki, a ona nalewała. Potem ze skrzyżowanymi nogami usiadła na podłodze, pociągnęła łyk wina i uśmiechnęła się do niego.

- I jak tam twoje życie miłosne? - zapytała. Sandy parsknął śmiechem.

- Przechodzisz od razu do rzeczy, co? Wzruszyła ramionami.

- Kurczę, czemu by nie?

Sandy'emu przemknęło przez głowę, że w ogóle się nie zmieniła. Miała na sobie wyblakłe, niebieskie dzinsy i białą, luźną bluzkę chłopkę, pod którą swobodnie poruszały się piersi. Sandy nigdy nie widział, żeby nosiła biustonosz. To była jedna z pierwszych rzeczy, na jakie zwrócił uwagę, gdy się poznali w 1967 roku. Strasznie go to wtedy podniecało. Maggie nigdy nie cechowała się klasyczną urodą. Usta miała nieco za duże, a do tego trochę asymetryczne, zwłaszcza gdy się uśmiechała, wielki nos nadal był krzywy w miejscu, gdzie złamała go pałka policyjna podczas konwencji demokratów w sześćdziesiątym ósmym. Miała też jednak ładne, zielone oczy oraz gęstą szopę rudoblond włosów, które - re zawsze wydawały się potargane przez wiatr, nawet w zamkniętym pomieszczeniu, a do tego więcej werwy niż jakakolwiek kobieta, którą Sandy w życiu spotkał. Maggie była pierwszą miłością jego życia i jego pierwszą kochanką. Teraz, gdy siedział w jej salonie, spoglądając na nią z góry, nagle

sobie uświadomił, jak bardzo mu jej brakowało.

- Moje życie miłosne - zastanawiał się głośno. - No cóż, żyję z pewną kobietą. Chyba ci o niej pisałem.

- Niewykluczone - przyznała. - Wiesz, jak jest ze mną i z listami.

Maggie fatalnie sobie radziła z korespondencją, do tego stopnia, że wszystkie wysiłki próbującego utrzymać z nią kontakt Sandy'ego spełzały na niczym. Nie tylko nie odpowiadała na listy, ale je gubiła, a potem nawet nie pamiętała, czy w ogóle do niej dotarły.

- Czy to ta tancerka? - zapytała.

- Nie. To była Donna. Zerwaliśmy ze sobą parę lat temu. Teraz jest Sharon. Zajmuje się handlem nieruchomościami.

- Aha - zgodziła się. - Faktycznie mi o niej pisałeś. Kurczę, ten list powinien gdzieś tu być. A więc mieszkacie teraz razem?

- Kupiliśmy dom na własność - odparł. - Jeżeli potrafisz w to uwierzyć. Zarobiłem trochę forsy na książce, a Sharon przekonała mnie, że lepiej zainwestować je w nieruchomość, niż trzymać w banku. Wydawało mi się wtedy, że to dobry pomysł. - Pociągnął łyk wina. - Ale teraz nie jestem już taki pewien. Jeśli się rozstaniemy, sytuacja zrobi się nieprzyjemna.

- Hmm - mruknęła Maggie. - To nie brzmi optymistycznie. Macie kłopoty?

- Trochę - odparł niejasno Sandy. Poczul się skrępowany. Maggie nie tylko była kiedyś jego kochanką, ale zawsze uważał ją za najlepszą przyjaciółkę. Nigdy nie miał oporów przed zwierzeniem się jej, ale nie widzieli się już od dość dawna i gdyby opowiedział jej zbyt wiele o swych kłótniach z Sharon, zakrawałoby to na zdradę. - Może wszystko się jakoś ułoży - dodał po chwili wahania. - Mam taką nadzieję. No wiesz, ona jest wspaniałą osobą i tak dalej. Bardzo inteligentną, kompetentną i oddaną swej karierze. Ale ostatnio trudno nam jest się ze sobą dogadać. - Skrzywił się. - To w znacznej części moja wina. Pisanie nie szło mi ostatnio za dobrze i zrobiłem się taki... jakby to powiedzieć... pewnie niespokojny. Humorzasty. Później wypłynęła ta sprawa, a Sharon wścieka się na myśl, że mam pracować dla „Hedgehoga”.

Maggie dopiła wino, wstała i wyciągnęła rękę, żeby pomóc Sandy'emu dźwignąć się z szezlonga.

- No wiesz, będziesz mi musiał opowiedzieć wszystko na ten temat. Koniecznie chcę się dowiedzieć, w jaki sposób Jared zdołał cię namówić do wznowienia współpracy po tym, jak cię potraktował. Ale o tym będziemy mogli pogadać przy czwartej na liście twoich ulubionych rzeczy.

Zjedli lasagnę w kuchni, gdzie stół był nakryty prawdziwym obrusem, a zastawa również reprezentowała podobny poziom, co skłoniło Sandy'ego do wygłoszenia komentarza,

że wszystko bardzo się zmieniło. W odpowiedzi uśmiechnęła się z ironią. Niemniej jedno nadal pozostało takie samo. Maggie wciąż robiła bombową lasagnę, bardzo ostrą, z mnóstwem sera i sosu pomidorowego. Sandy jadł na obiad plastikowego cheeseburgera gdzieś na pensylwańskiej autostradzie i zabrał się do kolacji z gwałtowną pasją. Kobieta napełniała kieliszki z oplecionej wikliną butelki, która stała pośrodku stołu. W przerwach między kęsami Sandy opowiedział jej całą historię, zaczynając od telefonu Jareda. Przekonał się, że bardzo chciał się tym z kimś podzielić, a Maggie zawsze była znakomitą słuchaczką.

Opowieść i lasagna skończyły się mniej więcej jednocześnie. Sandy z teatralnym jękiem odsunął talerz.

- Boże - oznajmił. - Nigdy już nic nie zjem.

- Mów dalej - odparła z uśmiechem Maggie. - Czy zamknęli Świstaka Johna za podpalenie?

Sandy potrząsnął głową.

- Oczyszczono go z zarzutów. Okazało się, że lokal był ubezpieczony na śmiesznie niską sumę, a nie ma sensu podpalać własnego deficytowego zakładu, jeśli nie jest solidnie ubezpieczony. Ale to było podpalenie. Znaleźli ślady nafty i plastiku. Tyle że Slozewski nie był winny. Do diabła, sam mogłem im to powiedzieć. Jeśli ktoś próbuje podpalić własny lokal, wynajmuje zawodowca i robi to nad ranem, żeby nikomu nic się nie stało. Nie wtedy, gdy w środku jest pełno gości. Zginęło w sumie siedemdziesięcioro dziewięcioro ludzi, a rannych było dwa razy więcej. Slozewskiego oczyszczono z zarzutu podpalenia, ale nadal ma poważne kłopoty. Może mu grozić sprawa karna za zamknięcie tych drzwi ewakuacyjnych, a rodziny dzieciaków, które zginęły, domagają się wielomilionowych odszkodowań. Żal mi faceta. Jestem przekonany, że to nie jego wina. Widziałem, ile znaczył dla niego ten klub.

- Naprawdę myślisz, że to jakiś świr próbuje załatwić Nazguli?

- Na to wygląda, prawda? Hobbins w West Mesa, Lynch przed dwoma tygodniami i teraz to. Ale ci gliniarze z New Jersey nie chcą o tym słyszeć, niech to szlag. Parker był rozsądniejszy. Mam wrażenie, że prawie udało mi się go przekonać. Obiecał, że skontaktuje się z glinami z Santa Fe i Chicago i powie im, żeby mieli oko na Faxona i Maggia. Ale nie wiem, czy to coś da. Wstał od stołu. - Pomóc ci pozmywać naczynia?

Maggie zbyła tę propozycję machnięciem ręki.

- Wrzuć je do zlewu, niech się pomoczą. One mogą zaczekać. Ty nie.

Zabrali resztkę wina do salonu i Maggie zapaliła parę świec, zamiast włączyć światło. Tym razem oboje usiedli na kanapie. Ho Chi Minh skoczył swojej pani na kolana i usadowił się na nich ze wzgardliwą miną właściciela. Kobieta podczas rozmowy głaskała jego śmietankowe

futerko, ale kot był zbyt dumny, żeby mruczeć.

- Teraz jadę do Chicago - oznajmił Sandy. - Maggio mieszka na Starym Mieście, a w weekendy gra w jakiejś nędznej kapeli barowej. Może od niego czegoś się dowiem. - Zawahał się, a potem mówił dalej. - Mam też jeszcze jeden pomysł i dlatego chciałem cię o coś zapytać. Kiedy ostatnio miałaś kontakt z Bambi Lassiter?

Uśmiechnęła się, przeszywając go ostrym spojrzeniem.

- Och - odparła - może z rok temu. Mam gdzieś tam ten list. - Wskazała dłonią na regał zapelniony wystrzępionymi książkami w miękkich okładkach. Sandy przyjrzał się mu uważniej i zauważył, że oprócz książek jest tam mnóstwo listów, kopert i rozmaitych innych papierów. Niektóre leżały na półkach, a inne były zatknięte między tomy.

- Dlaczego przyszła ci do głowy Bambi? - zapytała.

- Próbowałem się do niej dodzwonić, ale mam tylko numer sprzed sześciu lat, już nieaktualny. Nie wiem, jak ją wytropić. Bambi zawsze miała kontakty z prawdziwym podziemiem i liczyłem na to, że mogłaby mi pomóc. To był podszept intuicji.

- Właściwie nie ma już żadnego podziemia - wskazała Maggie. - Dlaczego to miałyby być akurat ono?

Sandy wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Ale w Norce Świstaka znaleźli plastik, pamiętasz? To wystarczyło, żeby wzbudzić moje podejrzenia. Nie zaszkodzi sprawdzić.

- Pewnie nie zaszkodzi - zgodziła się Maggie. - Poszukam tego listu, zanim odjedziesz.

- Zgoniła delikatnie Ho Chi Minha z kolan, zsunęła pantofle i wyciągnęła się na kanapie, kładąc stopy na kolanach Sandy'ego. Nie wymienili ani słowa, ale ten znany z dawnych czasów gest obudził w nim wspomnienia. Położył dłoń na jej stopie. Maggie nigdy nie przepadała za noszeniem butów i po zewnętrznej stronie jej palucha zaczynało się wielkie, twarde zgrubienie, biegnące wzdłuż całej podeszwy stopy, które zaczynało już pękać. Przebiegł palcem wzdłuż niego, a potem uściśnił mocno stopę i zaczął ją masować. Jego palce pamiętały. Maggie westchnęła.

- Jezu, uwielbiam to - wyszeptała. - Nie znam nikogo, kto masowałby stopy tak jak ty, Sandy.

Uśmiechnął się do niej, nie przerywając masażu.

SI

- Wszyscy mamy jakieś talenty - odparł. Potem oboje umilkli. Ho Chi Minh wrócił, wskoczył na kanapę i znowu usiadł na brzuchu Maggie. Zaczęła go głaskać i kocur wreszcie raczył zamruczeć. Kobieta popijała od czasu do czasu łyk wina, spoglądając na palące się

świecie. Na jej twarzy pojawił się krzywy uśmieszek. Masując jej stopy, Sandy pogrążył się w zadumie.

- Wyglądasz na zamyślonego - zauważyła po chwili przyjaciółka.

- Wspominam - wyjaśnił Sandy, przenosząc swą uwagę na drugą stopę.

- Co wspominasz? Uśmiechnął się.

- Och, dawne dni, inne mieszkania, poprzednie masaże stóp. - Przerwał, sięgnął po kieliszek i potrzymał go chwilę, zanim pociągnął łyk. - Pamiętam czasy, kiedy przychodząc do ciebie na wino, wiedzieliśmy, że będziemy żłopać tanie bełty ze słoików po dżemie - ciągnął. - I to siedząc na podłodze. Nie miałaś żadnych mebli poza tą czarną poduchą, na której ciągle wylegiwał się Ho Chi Minh.

- Miałam poduszki - sprzeciwiła się Maggie. - Sama je robiłam.

- Poduszki - powtórzył Sandy. - Aha. Ale kiepsko mi się siedziało po turecku. Stopy mi drętwiały. A jeszcze gorzej radziłem sobie zjedzeniem z talerza trzymanego na kolanach. Zawsze cały się usmarowałem jedzeniem.

- Ale i tak do mnie przychodziłeś - zauważyła.

- Przychodziłem - zgodził się z czułością w głosie. Zawsze. - Wyciągnął rękę. - Wtedy nie miałaś regału. Tylko stare deski i te pustaki, które zwędziliśmy z Żabciem dla ciebie z budowy. I chyba z połowę mniej książek. I jeszcze tę wielką szpulę z kablem. Zawsze powtarzałaś, że ją rozmontujesz, pomalujesz i zrobisz z niej stół. Było też mnóstwo plakatów.

- Nie wspomniałaś o materacu w małym pokoiku - zauważyła Maggie. - Chyba o nim nie zapomniałaś, co? Często się na nim bzykaliśmy.

Sandy wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Materac? - zapytał. - Jaki materac? Prychnęła ze wzgardą.

- Pamiętam, jak czytałaś nam to, nad czym akurat pracowałeś, a potem wszyscy o tym dyskutowaliśmy.

- Wasz krytycyzm był efektem spożytych bełtów - poskarżył się Sandy. - Nigdy nie zapomnę tych sprzeczek z Larkiem. Byłem dla niego za mało radykalny. Bez względu na to, co czytałem, zawsze się tylko uśmiechał i mówił, że to sprawnie napisana burżuazyjna rozrywka, ale nie widzi, w czym może pomóc rewolucji.

Z ust Maggie wyrwał się nagły okrzyk zachwyty.

- Cholera, zapomniałam o tym. Masz rację. Nasz stary, dobry Lark. Wiesz, czym on się teraz zajmuje?

- Nie mam pojęcia - przyznał Sandy.

Maggie uśmiechnęła się tak szeroko, że twarz omal jej nie pękła na pół.

- Zajrzyj do niego, kiedy pojedziesz do Chicago pogadać z Maggiem - nalegała. - Znajdziesz go pod L. Stephen Ellyn.

Sandy poczuł, że szczęka mu nagle opadła.

- L. Stephen Ellyn? - powtórzył z niedowierzaniem. Lark Ellyn zawsze czuł przewrotną dumę ze swego imienia, mimo że prowokowało mnóstwo żartów i było powodem nieporozumień odnośnie do jego płci. Sandy nabijał się z niego z tego powodu, gdy spotkali się po raz pierwszy, ale Lark odpowiedział mu chłodno, że nadali mu imię na cześć skowronka, stworzenia obdarzonego zdolnością pięknego śpiewu oraz najwyższą wolnością jaką jest lot, i dlatego właśnie imię Lark jest odpowiednie dla człowieka, który wierzy w miłość i wolność, podczas gdy Sander znaczy „obrońca ludzkości” czy jakiś syf w tym rodzaju, co implikuje militarystykę i seksizm. Lark bardzo głęboko wierzył w symbolizm imion.

- L. Stephen Ellyn? - powtórzył raz jeszcze Sandy. - Nie wierzę.

- Naprawdę - zapewniła. Uniosła dłoń, jakby chciała złożyć przysięgę. - L. Steve jest wielką figurą w świecie reklamy. Pracuje jako kierownik działu księgowości.

Sandy wytrzeszczył oczy. Potem zachichotał. Nie mogąc się powstrzymać, zachichotał po raz drugi, a potem wybuchnął otwartym śmiechem.

- Nie, nie - mruknął - to niemożliwe, po prostu niemożliwe.

Maggie jednak nie ustępowała, a Sandy nie przestawał się śmiać.

- L. Stephen Ellyn. O nie, Jezus, niech mnie szlag, nie gadaj... nie!

Wtedy zaczęli się wygłupiać na dobre. Przez jakieś dziesięć minut dowcipkowali na temat L. Stephena Ellyna, wypili jeszcze trochę wina i zaczęli śpiewać stare piosenki, fałszując obrzydliwie. Potem wypili jeszcze więcej wina i z jakiegoś powodu przerwali się na tematy ze starych seriali telewizyjnych. Przeszli przez *Superkurczaka* i *George 'a z dżungli*, większość westernów ze studia Warner Brothers oraz *Car 54, Where Are You?*, a potem nadmiar trunku zaniósł ich na *Tombstone Territory*.

- *Wygwiżdż mi wspomnienie* - śpiewała niepewnym głosem Maggie. - *Zanieś mnie tam, gdzie pragną być. Dum, dum, coś tam, coś tam, Tombstone Territory!* - zakończyła z ekspresyjnym gestem.

Sandy'emu kręciło się w głowie od wypitego alkoholu. To, co śpiewała Maggie, wydawało mu się bardzo głębokie i straszliwie istotne.

- A gdzie pragniesz być? - zapytał nagle.

Maggie przestała śpiewać, nalała sobie wina i uśmiechnęła się do niego.

- Hę? - mruknęła miłym tonem.

- Gdzie pragniesz być? - powtórzył Sandy. - Czy to wiesz? Jakie wspomnienia

próbujemy wygwizdać? Dokąd nas zabiorą? - Przebiegł sobie palcami po włosach, zdezorientowany - Jestem pijany - oznajmił - ale to nieważne. Chcia - łem tylko... nie wiem, pomieszało mi się w głowie. Co się stało, Maggie?

- He? - powtórzyła. - Stało? Z czym? Z *Tombstone Territory* - Zachichotała. - Przestali je nadawać, Sandy.

- Nie - warknął. - Z nami! Co się stało z nami?

- Z tobą i ze mną kochanie?

- Z tobą i ze mną - zgodził się - i z Bambi Lassiter, Jaredem Pattersonem, Świstakiem Johnem Slozewskim i Jamiem Lynchem, z Żabciem, Łajzą Jerrym Rubinem, AngeląDavis, Dylanem, Lennonem, Jaggerem, Weathermenami, Chicago Seven, Williamem Kunstlerem, Gene'em McCarthym, SDS i... i L. Stephenem Ellynem, do licha! Co się z nami stało? Z nami wszystkimi?

Zamachał rękami jak szaleniec w geście, który miał objąć wszystkie nadzieje, marzenia i demonstracje, zamieszki, zamachy i parady ze świecami, Bobby'ego Kennedy'ego, Donovana i Martina Luthera Kinga, Melanie i Smothers Brothers, hipisów, yippies i wojnę wietnamską wszystkie wspomnienia burzliwego dziesięciolecia, przeznaczenie całego pokolenia amerykańskiej młodzieży. Omal nie zrzucił przy tym kieliszka chianti z sofy. Odzyskał jednak równowagę i złapał go w ostatniej chwili.

Maggie przysunawszy się bliżej, objęła go ramieniem.

- To był czas - wyjaśniła. - Czas nas zmienił, kochanie.

- Zmienił - powtórzył Sandy z goryczą w głosie. - Maggie, my chcieliśmy zmian. O to właśnie w tym wszystkim chodziło. Mieliśmy zmienić ten cały pieprzony świat, czyż nie tak? Gówno z tego wyszło. Pieprzony świat zmienił nas. Zmienił Larka w kogoś, kto nazywa się L. Stephen Ellyn, Jareda w bogatego dupka, Jamiego Lyncha w trumnę, a Świstaka Johna w garnitur w paski. Nie jestem nawet pewien, w co zmienił mnie, ale to coś mi się nie podoba. Nie podoba!

Maggie uściskała go.

- Drżysz, kochanie - powiedziała cicho.

- Od wina - mruknął Sandy, wiedząc, że to nieprawda. Od pierdolonego wina zrobiło mi się niedobrze. Ale ludzie mó - wią, że w winie jest prawda. Prawda. Pamiętasz prawdę? W latach sześćdziesiątych była naprawdę ważna, tak samo jak pokój, miłość i wolność. Co z tym wszystkimi zrobiliśmy, Maggie? Wydaje mi się, że o wszystkim zapomnieliśmy. O tym, kim byliśmy i w co wierzyliśmy. - Westchnął. - Wiem, wiem, wszystko to już przeszłość. Jesteśmy dorośli, starzejemy się. Ale coś ci powiem. Wtedy byliśmy lepsi.

- Chyba raczej młodzi - poprawiła z uśmiechem.

- Aha - przyznał Sandy. - Może to tylko to. Może po prostu przechodzę kryzys wieku średniego, tak? Opłakuję utraconą młodość. Tak uważa Sharon. - Spojrzał na Maggie z upartą miną. - Ale ja w to nie wierzę. Jest coś więcej. Pamiętam... pamiętam, cholera, wiem, że wszystko było wtedy do dupy, mieliśmy wojnę, rasizm, Nixona i staruszka Spiro, ale mieliśmy też, no nie wiem... taki jakiś optymizm. Wiedzieliśmy, że przyszłość będzie lepsza. Wiedzieliśmy. Sami mieliśmy o to zadbać. Zamierzaliśmy wszystko zmienić. Byliśmy młodzi i mieliśmy słuszość, więc czas był po naszej stronie. Wiedzieliśmy, co było słuszne, a co nie, i wiedzieliśmy, kim są nasi przeciwnicy. Mieliśmy też poczucie wspólnoty. - Jego głos stawał się coraz cichszy, jakby powoli wygasał. - To był początek cholernej, pierdolonej Ery Wodnika, pamiętasz? Ruchami planet miał wówczas kierować pokój, a gwiazdom przewodzić miłość. Tyle że pokój i miłość wyszły z mody razem z dzwonami, długimi włosami i minispódniczkami, a do tego nie mam teraz pojęcia, kim są nasi wrogowie. Skrzywił się. - Podejrzewam, że niektórzy z nich to my sami.

- Hej - odezwała się Maggie. - Rozchmurz się. Nie jest tak źle, kochanie. Może to faktycznie nie jest jutro, na jakie liczyliśmy, ale przyszłość nigdy nie wygląda tak, jak przewidywaliśmy. Naprawdę zmieniliśmy świat, Sandy. Powstrzymaliśmy wojnę. Zmieniliśmy uczelnie, system rządzenia i wszystkie zasady dotyczące mężczyzn i kobiet, miłości i seksu. W końcu udało się nam nawet pozbyć Tricky Dicka. Może i nie nastąpiła Era Wodnika, ale dzisiejsze czasy wyglądają inaczej, niż wyglądałyby bez nas. Są lepsze. - Pochyliła się i pocałowała go szybko w koniuszek nosa. - Pomyśl o tym tak: gdyby nie lata sześćdziesiąte, lata pięćdziesiąte trwałyby wiecznie. Sandy zadrżał i uśmiechnął się do niej.

- Tobie osobiście również się powiodło, kochanie - ciągnęła Maggie. - Pisziesz książki. To już coś. Zostawiłeś w świecie swój ślad.

Niepewny uśmiezek zniknął z jego twarzy. Sandy odwrócił od niej wzrok. Aha, w winie faktycznie jest prawda - pomyślał.

- Nie odniosłem zbyt wielkiego sukcesu - wymamrotał z wyraźną nutą gorzkości w głosie. - Każda książka, którą napiszę, sprzedaje się gorzej od poprzedniej, mój agent chce się mnie pozbyć, w „Timesie” piszą że mam tyle samo wspólnego z literaturą co Steal This Book albo Zieleni się Ameryka, a do tego cierpię na gwałtowny przypadek powieściopisarskiego zatwardzenia. To naprawdę znakomita metafora, gdy się nad tym zastanowić, bo jeśli kiedykolwiek uda mi się skończyć tę cholerną powieść, przecucie mi mówi, że to będzie gównem. Za osiem miesięcy zabraknie mi forsy na moją połowę rat za hipotekę, co potwierdzi opinię Sharon o tym, jaki jestem nieodpowiedzialny. Mamy z Sharon naprawdę świetny

związek. No wiesz, podpisaliśmy kontrakt, coś takiego jak umowa małżeńska, tyle że nie jesteśmy małżeństwem. Wszystko jest w nim spisane, dosłownie wszystko. Na przykład, kto co robi w domu, cały finansowy syf i co się stanie, jeśli postanowimy się rozstać. Każdy cholerny szczegół, poza tym, co robimy w łóżku. Tam improwizujemy, staramy się być spontaniczni. Znakomicie się nam układa. Równo dzielimy się odpowiedzialnością dajemy sobie nawzajem swobodę i mamy otwarty związek, więc możemy sobie pozwolić na skoki w bok. Jedyne kłopot w tym, że mam wrażenie, iż Sharon nie za bardzo mnie lubi. - Sandy czuł się okropnie pijany i bardzo mu było żal samego siebie. Uniósł swój kieliszek i przekonał się, że jest pusty. - Potrzebuję więcej wina - poskarżył się.

- Skończyło się - odparła Maggie. Sandy wstał z sofy.

S7

- Przyniosę więcej! - oznajmił. - Będziesz musiała iść ze mną, bo inaczej zabłądzą. Wskaż mi drogę do 7-Eleven, szalona pani. A poza tym musisz poznać Mrzonkę.

Podwinęła nogi i ujęła jego dłoń.

- Mrzonkę?

- Mój samochód! - wyjaśnił Sandy. - Nadałem mu imię. To twoja wina. Zawstydziałaś mnie i musiałem to zrobić. Chodź.

Wywłókł ją na ulicę. W pewnym momencie zaczęli biec, trzymając się za ręce. Maggie zanosila się śmiechem, Sandy nie był pewien z jakiego powodu. Właściwie nie był też pewien, dlaczego biega.

Gdy dotarli do mazdy, oboje byli zdyszani.

- Oto ona - oznajmił z zamaszystym gestem. Ulica była ciemna i opustoszała. Byli na niej sami, oboje tylko w koszulach, Maggie boso. Sandy nagle sobie uświadomił, że na dworze jest zimno. Mrzonka jednak czekała na nich bezgłośnie w żółtym blasku latarni, otoczona innymi zaparkowanymi samochodami. Sandy wydał z siebie odgłos naśladujący trąbienie.

- Chcę usłyszeć ochy i achy, kobieto. To nie jest zwyczajna maszyna. To mazda RX-7, dysponująca mocami, które znacznie przewyższają moce zwyczajnych fordów. To jest Mrzonka.

- Och - odezwała się Maggie, chichocząc. - Ach. Wsunęła się w jego ramiona, uniosła wzrok i pocałowała go w nos.

- Chcesz się przejechać? - zapytał Sandy.

- Nie, nie - zaprzeczyła z chytrym uśmieszkiem. Przysunęła się bliżej i objęła go.

- Wino - mruknął. - Co z winem?

- Wystarczy już wina - stwierdziła. Patrzyła na niego. Oczy miała wielkie, zielone i

figlarne.

- Wystarczy - zgodził się Sandy. - To dobrze, bo nie mogę znaleźć kluczyków. Chyba zostawiłem je w kurtce. U ciebie. Musimy wrócić.

- Och - powtórzyła Maggie. - Ach.

Zaczęła rozpinąć jego koszulę. Pierwszy guzik. Drugi. Trzeci.

Sandy się nie opierał.

- Jesteś tak samo pijana jak ja - oskarżył ją. Czwarty. Piąty. Pociągnęła za koszulę, wrywając ją z dzinsów. Został tylko jeden guzik. Szósty. Zdarła z niego koszulę.

- Tutaj? - zapytał. - Tutaj? Mrzonka patrzy. Ma dopiero dwa latka. Nie może oglądać takich świństw. Uraz mógłby jej zostać na całe życie.

Zamrugnął powiekami.

Maggie rzuciła jego koszulę na beton i zabrała się za podkoszulek, który zaczepił się o coś, gdy próbowała go ściągnąć mu przez głowę. Zostawiła go w takiej pozycji, opartego o samochód. Uniósł rękę, by uwolnić zaczepioną tkaninę, i poczuł, że kobieta całuje go w nagą pierś. Było zimno. Zdjął T-shirt i rzucił go na ziemię. Kobieta przebiegła językiem wokół jego brodawki, aż przeszył go dreszcz. Zaczęła rozpinąć mu pas.

- Stoi mi jak w pięćdziesiątym dziewiątym, kiedy zobaczyłem kuzynkę Sally w kąpielni - oznajmił Sandy. - Zrobił się taki twardy, że aż mnie boli.

Ściągnęła mu dzinsy.

- To niesprawiedliwe - dodał. - Ja zamierzam na śmierć, a ty jesteś całkowicie ubrana.

Wyprostowała się z uśmiechem i rozpięła bluzę.

- Proszę bardzo - zgodziła się. Jej piersi lśniły blado w słabym świetle ulicy w Clevelandzie. Nie nosi biustonosza - pomyślał Sandy. Nadal. Niektóre rzeczy się nie zmieniają. Nigdy go nie nosiła. Mimo to wyglądała pięknie. Wyciągnął rękę, bardzo niepewnie, i dotknął jej lewej piersi.

- Lewa zawsze była moją ulubioną - oznajmił z powagą. Maggie wysunęła się z dzinsów.

- Cześć - odezwała się z szelmowskim uśmiechem. Nie jesteś nagi.

Sandy ściągnął slipy pośpiesznym, niezgrabnym ruchem.

- Umrę z zimna - poskarżył się. - Chodź. Potrząsnęła głową.

- O nie.

Schyliła się szybko, chwyciła stertę ubrań i zerwała się do ucieczki.

Oslupiały Sandy śledził ją spojrzeniem. Minęła dłuższa chwila, nim sobie uświadomił, co się dzieje. Wreszcie dotarło do niego, że stoi golusienki na ulicy w Clevelandzie, sam

pośrodku nocy.

- Hej! - wrzasnął i ruszył w pościg.

Miał dłuższe nogi, ale nie był przyzwyczajony do biegania boso. Kamienie diabelnie raziły jego podeszwy, a do tego nie był w zbyt dobrej formie. Maggie wciąż się oddalała. Zobaczył, że minęła róg, pochylił głowę, pognął za nią i wpadł prosto na wielkiego, czarnego faceta w niegustownym garniturze z szerokimi klapami, który nagle pojawił się znikąd. Tamten łypnął na niego spode łba, ale potem się odsunął. Dziwni biali mężczyźni biegający nago po nocy najwyraźniej nie mieścili się w zakresie jego doświadczeń.

- Przepraszam - mruknął Sandy. - Trenuję przed olimpiadą.

Potem znowu zerwał się do biegu, myśląc, że ten gość zapewne nawet nie wiedział, iż na dawnych olimpiadach rzeczywiście startowano nago.

- Nawet, kurwa, nie zrozumiał żartu - burknął, nie zwalniając kroku.

Maggie czekała w drzwiach swego mieszkania. Zdyszany Sandy podbiegł do niej chwiejnym krokiem.

- Ty złośliwa suko - wydyszał. Serce waliło mu w piersi. Miał wrażenie, że bieg pomógł rozproszyć miazmaty wina. Została tylko żądza.

- Cześć - odparła cichym głosem. Ujęła go za rękę, wciągnęła do środka i zatrzasnęła drzwi. W mieszkaniu było ciepło, ale Sandy nie przestawał dygotać. Objęła go i pocałowała.

Gdy się od niego odsunęła, oboje się uśmiechali.

- Jesteś pewien, że tego chcesz? - zapytała. Sandy jęknął.

- O Jezu - wymamrotał. Jej piersi ocierały się o jego ciało, muskając go leciutko. Pragnął jej tak bardzo, że aż sprawiało mu to ból.

Znowu się pocałowali.

- Mam teraz łóżko - poinformowała go. - Prawdziwe. Potrafisz z tym sobie poradzić? - Sięgnęła między jego nogi, dotknęła go lekko, a potem zacisnęła dłoń. - Chodź - powiedziała, prowadząc go do sypialni. - Och - mówiła, gdy jego dłonie wędrowały po jej ciepłej, gładkiej skórze. - Ach dodała, gdy zaczął ją całować. Potem jednak wszystko stało się mniej figlarne, bardziej gwałtowne. Oboje trawiła gorąca żądza. Sandy pamiętał jej ciało, pamiętał, co sprawiało jej przyjemność. Zrobił to wszystko i zareagowała zgodnie z przewidywaniami. Wydawało się, że ich zar rozświetlił ciemność. Gdy nadszedł orgazm, Maggie zacisnęła ramiona na jego plecach, ściskając go ze straszliwą desperacją, i otworzyła usta w bezgłośnym krzyku. Sandy skończył po paru chwilach, ale nie wyszedł z niej. W środku było ciepło. Ciepło, bezpiecznie i wygodnie. Lubił czuć wokół siebie jej ramiona, obejmowali się więc przez pewien czas, ciesząc się posmakiem dogasającej rozkoszy. Poczuł, że po twarzy kobiety

spływają łzy, ale nic nie powiedział. Nie można było nic powiedzieć.

Wreszcie odsunęli się od siebie w bezsłownym porozumieniu. Sandy widział, że Maggie uśmiecha się w ciemności, kilka cali od jego twarzy. Pocałowała go lekko w czubek nosa.

- Ty skurczybyku - wyszeptała czule. - Nie zmieniłeś się. Nadal zostawiasz mnie wilgotną.

- Och, Maggie - odparł. Poczul, że drży, choć w sypialni było ciepło. To było wspomnienie po ich miłosnym akcie. Brakowało mi ciebie. Brakowało mi tego. Jesteś szalona. Kocham to. Kocham cię. Nigdy nie wiedziałem, co za chwilę zrobisz. Napalam się na ciebie jak trzynastolatek.

Nie tyle zobaczył, co wyczuł uśmiech kobiety.

- A Sharon? - wyszeptała. - Czy ona nie wprawia cię w szal, kochanie?

Wspomnienie o Sharon otrzeźwiło go nieco. Z jakiegoś powodu jedna wzmianka wystarczyła, by wszystko zmienić. Poczul, że oddała się od Maggie, mimo że nawet nie drgnął.

- Sharon - powtórzył z niechęcią. - Z nią jest inaczej. To nie znaczy, że źle. Jest nam dobrze ze sobą, przynajmniej w łóżku. Tam oboje chcemy tego samego. Sharon jest bardzo seksowna. Nie ma zahamowań. Lubi dawać rozkosz. Ale, sam nie wiem, jest inaczej. - Usiadł, oplatając ręce wokół kolan. Ona nie jest szalona. Może w tym właśnie rzecz. Nie jest ani trochę szalona. A ja potrzebuję szaleństwa.

Maggie przebiegła palcami wzdłuż krzywizny jego pleców delikatnym, machinalnym ruchem.

- Ale potrzebujesz też rozsądku, kochanie. Pamiętasz? Dlatego właśnie ze sobą zerwaliśmy. Byłam dla ciebie zbyt szalona. Pragnąłeś więcej stabilności. Zdrowego rozsądku.

- Sam chciałbym wiedzieć, czego właściwie pragnąłem, niech to szlag - poskarżył się Sandy. - Nie sądzę, bym chciał zmierzać w tym kierunku co Sharon, ale ona przynajmniej dokądś podąża. A ja tylko wałęsam się bez celu, żyję z dnia na dzień. Odwrócił się, spojrzal na Maggie, ujął delikatnie jej dłoń i pocałował ją. - A co z tobą? - zapytał. - Tak się pograżyłem w opowiadaniu ci o swoim życiu, że nawet nie zapytałem, co u ciebie słyhać.

Wzruszyła leniwie ramionami.

- Uprawiam swój ogród - odparła. - Pracuję w biurze, wystukuję na maszynie różne pierdoły. Czytam. Od czasu do czasu wychodzę na miasto i zaliczam jakiegoś faceta. A czasami czuję się samotna. Na ogół jest w porządku.

- Miałaś facetów?

- Jasne. Kilku wyjątkowych, takich jak ty. Dwa lata żyłam z gościem, który nazywał się

Bob. Uczył w liceum. Ale w końcu okazało się, że jestem dla niego zbyt szalona. Działam w ruchu wyzwolenia kobiet. Próbuję trochę zaoszczędzić, żeby wrócić do college'u. Źle zrobiłam, że rzuciłam naukę.

- Mówiłem ci to - przypomniał Sandy.

- Wiem. Ale wtedy rewolucja wydawała mi się ważniejsza. Na wykładach opowiadali straszne pierdoły. Komu był potrzebny świstek papieru? No wiesz!

Sandy uśmiechnął się ze smutkiem.

- Pamiętam te teksty.

- Dam sobie radę - zapewniła Maggie. - Brakowało mi ciebie. Popeliłam trochę błędów i często tego żałuję, ale kto ich nie popelnia? Dam sobie radę, Sandy.

W jej głosie zabrzmiała nuta rezygnacji, która z jakiegoś powodu napełniła Sandy'ego głębokim smutkiem.

Położył się obok niej, wziął ją w ramiona i pocałował. Teraz, po akcie miłosnym, znowu poczuł działanie wina, odzyskującego teren, z którego wygnała je żądza. Mruczał coś cicho do Maggie, a ona odpowiadała mu równie cichym głosem. W którymś punkcie tej rozmowy przekroczyli granicę, którą tak często przekraczali razem w dawnych czasach.

- Nie śpię - usłyszał Sandy własny, brzęmiący stanowczo głos, ale to właśnie te słowa go obudziły. Zdał sobie z zażenowaniem sprawę, że oskarżenie Maggie usłyszał przed paroma godzinami i że zbliża się już świt. Kobieta pochrapywała cicho w jego ramionach. Jej twarz była bardzo blisko jego twarzy. Sen pozbawił ją znacznej części ożywienia i Sandy dostrzegł bruzdy pod oczyma oraz zgrubienie poniżej podbródka. Za duży nos zakrzywił się w miejscu, gdzie kiedyś był złamany, a rozchylone usta wypełniała ślina. Pomyślał o Sharon, która z pewnością spała teraz w ich domu z elewacją z piaskowca na Brooklynie, w wielkim, mosiężnym łożu. Jej jasnoblond włosy były rozrzucone na poduszce, a szczupłe ciało spowijała jedwabna koszula nocna. Była piękna, a Maggie nigdy taka nie będzie. I kochała go, na swój sposób. Była dla niego dobra. Niemniej jednak, w tej chwili Sandy cieszył się, że jest tutaj, a nie tam. Pocałował delikatnie Maggie, tak żeby jej nie obudzić, przytulił się do niej i znowu zapadł w sen.

Sześć

Wskaż mi drogę do najbliższej dziewczyny! Nie pytaj dlaczego, och, nie pytaj dlaczego.

Sandy dobrze poznał Stare Miasto w czasach, gdy studiował w Northwestern College. Nawet wtedy była to droga dzielnica nastawiona na turystów i jednocześnie pełna przestępców. Można tam jednak było posłuchać dobrej muzyki. Raczej folku niż rocka, ale dobrej. Dlatego Sandy nie miał nic przeciwko temu, żeby tam wrócić.

Niestety, Rick Maggio mieszkał na Starym Mieście, ale to nie znaczy, że tam grał. Sandy musiał zawrócić i wjechać Mrzonką w Dan Ryan Expressway na południe od Chicago, żeby znaleźć spelunkę, w której co wieczór występowała grupa Maggia.

Po odwiedzinach w Clevelandzie i spotkaniu z Maggie jego samopoczucie się poprawiło, ale sam widok nory, w której grał dawny gitarzysta Nazguli, wystarczył, żeby zepsuć mu humor. Come On Inn była małym, obskurnym budynekciem, wcisniętym między dwa większe i bardziej efektowne bary przy przygranicznej szosie oddzielającej Illinois od Indiany. Wielkie C w neonie było uszkodzone i co chwila gasło, a potem zapalało się na nowo. Jedno z okien zajmował neon z reklamą Budweisera. W drugim ustawiono kartonowy szyld głoszący: „MUZYKA NA ŻYWO - WSTĘP BEZPŁATNY”. Sandy pomyślał, że z pewnością w całym kraju grupy o nazwie Muzyka na Żywo grają dziś w barach zwanych Come On Inn przy drogach znanych tyl - ko jako przygraniczne szosy. Był to szczególny, odrębny rodzaj rozrywki. Powinni kazać muzykom wdziewać białe kombinezony z napisami: „ORKIESTRA” na plecach, wypisanymi prostymi, czarnymi literami, i z kodami kreskowymi na kieszeniach. Westchnął i wszedł do środka.

Come On Inn był wąskim lokalem przesyconym odorem piwa. Dzięki lustrzanym ścianom pomieszczenie wydawało się większe. Grupa męczyła się na małej scenie za barem. Muzycy nie grali zbyt dobrze, ale to nie miało większego znaczenia, bo i tak nikt ich nie słuchał. Sandy podszedł do tylnej ściany i znalazł sobie miejsce pod lustrzaną ścianą. Rozglądał się wokół, czekając, aż zauważy go kelnerka. Tylko jeden stolik był zajęty. Siedziała przy nim siwiejąca para o ponurym wyglądzie. Oboje byli bardziej zainteresowani gapieniem się na swoje drinki niż rozmową. Przy barze stało troje klientów: kobieta, która piła samotnie, popatrując na muzyków, oraz dwóch mężczyzn w roboczych koszulach, którzy kłócili się o Chicago Bears. Mówili tak głośno, że Sandy słyszał strzępki ich rozmowy, przebijające się przez hałaśliwą, kiepsko graną muzykę. Nie zaskoczył go mały ruch. Sąsiednie lokale były barami topless, podczas gdy Come On Inn oferowała tylko „MUZYKĘ NA ŻYWO”.

Gdy kelnerka wreszcie się zjawiała, okazało się, że jest dziewczyną o bujnych kształtach i zaciętej twarzy. Sądząc po wyglądzie, stwierdził, że dopiero niedawno skończyła liceum. Używała za dużo cienia do powiek i starała się sprawiać wrażenie starszej i bardziej cynicznej, niż wskazywałyby na to jej lata. Sandy zamówił piwo z beczki i postanowił, że postara się pić je jak najdłużej. Rano obudził się z okropnym kacem po chianti i nie czuł się na siłach ryzykować powtórki.

- Kto gra? - zapytał.

Kelnerka popatrzyła na niego bez zrozumienia.

- A co gra?

- Muzykę - wyjaśnił Sandy, podnosząc głos, by nie zagłuszyły go dźwięki grającej *Help Me Make It Through the Night* grupy.

Kelnerka obrzuciła scenę wzgardliwym spojrzeniem.

- Ach, oni - mruknęła. - To Rolling Stonesi. Nie poznaje pan Micka Jaggera?

Potrząsnęła krótkimi, ciemnymi włosami i oddaliła się.

Sandy usadowił się wygodnie, czekając na piwo. Nie poznał Micka Jaggera. W gruncie rzeczy minęła dłuższa chwila, nim zdołał poznać Ricka Maggia. Cały ten hałas produkowało czworo ludzi. W klawisze tukała chuda, drobna dziewczyna, perkusista wyglądał, jakby dopiero co wyszedł z Treblinka, na basie grał rudy chłopak, a na gitarze prowadzącej wielki, obrzydliwie tłusty facet. Maggio nie był z tych, którzy farbują włosy albo decydują się na zmianę płci, z czego wynikało, że musiał być gitarzystą prowadzącym. Trudno było w to uwierzyć. Dopiero gdy grubas odwrócił się w jego stronę, Sandy dojrzał w obrzęklej, oświetlonej reflektorami twarzy odległe echo rysów Maggia. Przygnębiło go.

Pamiętał dawne, lepsze dni. Pamiętał chudego chłopaka, który potrafił sprawić, że gitara krzyczała, zawodziła, brzdąkała i błagała o litość. Pamiętał wokalistę tak pełnego energii, że koszulka zawsze ociekała mu potem już w połowie pierwszego koncertu. Zdejmował ją wtedy, zwijał w kulę i ciskał w publikę. Od tej chwili grał rozebrany do pasa, a pod skórą wyraźnie zaznaczały się mu żebra. Dziewczyny biły się z piskiem o te koszulki, z reguły rozdzierając je na przepocone strzępy.

- Uwielbiam to, koleś - oznajmił kiedyś Maggio Sandy'emu podczas wywiadu. - Zlewają się od tego w dzinsy.

Gdyby Maggio zdjął teraz koszulkę, mógłby sprowokować krzyki, ale raczej wyrażające obrzydzenie niż seksualny szal. Zyskał na wadze tyle samo, co Świstak John na niej stracił, ale on wyglądał znacznie gorzej jako masywny mężczyzna. Słozewski był potężnie zbudowany i szeroki w barach, podczas gdy Maggio był po prostu tłusty i zaniedbany. Twarz miał obrzmiałą, a usta, ongiś zmysłowe i rozciągnięte w szyderczym uśmiechu, zrobiły się grube i mięsiste. Znacznie skrócił swoje wąsy w stylu Fu Manchu, a do tego nosił teraz również brodę, która jednak była zmierzwiona i wyglądała jak mnóstwo używanych, metalowych zmywaków przyklejonych do jego twarzy. Sandy podejrzewał, że jej zadaniem jest ukrywanie podwójnego podbródka. Maggio nosił dzinsy, kamizelkę ze złotej lamy oraz zielony T-shirt z wielkimi, ciemnymi plamami od potu pod pachami. Koszulka była za mała i gdy tylko Maggio obrócił się za szybko, podwijała się na brzuchu, odsłaniając pas białej skóry.

Kelnerka postawiła piwo na stoliku, na podstawce ozdobionej dowcipami o teściowych.

- Dwa dolary - oznajmiła.

- Za beczkowe? Wzruszyła ramionami.

- Kiedy Stonesi nie grają, kosztuje tylko jednego dolca. Sandy wyciągnął portfel i wyjął z niego trzy dolarowe banknoty oraz jedną ze swych fioletowo-srebrnych wizytówek z jeżem.

- Dwa za piwo i jeden dla pani, jeśli da pani tę wizytówkę Mickowi Jaggerowi, kiedy grupa będzie miała przerwę. Niech mu pani powie, że chcę z nim pogadać.

Dziewczyna popatrzyła niepewnie na kartonik.

- Jest pan prawdziwym reporterem? Naprawdę?

- Jasne. Nie poznaje pani Dana RATHERA? Prychnęła pogardliwie i oddaliła się.

Piwo miało za dużo piany. Sandy pociągnął łyk i znowu oparł się wygodnie, by posłuchać muzyki. Po tym, jak grupa zamordowała *Michelle* i zmasakrowała *The City of New Orleans*, doszedł do wniosku, że jest naprawdę okropna. Rudy basista tylko udawał, że śpiewa większość tekstów. Perkusista żył we własnym świecie i lubił rozpoczynać solówki w najmniej odpowiednich momentach. Dziewczyna przy klawiszach sprawiała niekiedy wrażenie, że gra zupełnie inną piosenkę niż pozostali. Choć Maggio upadł nisko, nie ulegało wątpliwości, że tylko on nadaje zespołowi pozory profesjonalizmu. Grał apatycznie, czego można się było spodziewać, ale od czasu do czasu słyszało się przebłyski jego dawnego stylu, a głos zachował surowe, ochryple brzmienie, które było tak znakomitą kontrapunktem dla wokalu Hobbinsa w czasach, gdy Nazgule wlatywali wysoko pod niebiosa. To był złowrogi głos, pełen trucizny, bólu i możliwości. Sandy'emu robiło się niedobrze, gdy słyszał, jak śpiewa *Tie a Yellow Ribbon Round the Old Oak Tree*.

Na szczęście zaraz po pierwszej piosence Barry'ego Manilowa nastąpiła przerwa i kelnerka wręczyła zlączemu ze sceny Maggiowi wizytówkę. Ten zerknął na nią zdumiony, a potem przeniósł wzrok na siedzącego po drugiej stronie baru Sandy'ego. Gdy okrążył bar i ruszył w stronę gościa, zdziwienie na jego twarzy ustąpiło miejsca podejrzliwości połączonej z lekką wrogością.

- Nabijasz się ze mnie, koleś? - zapytał twardym, nieprzyjaznym tonem. Rzucił wizytówkę na blat, w kałużę piwa.

- To nie żart - zapewnił Sandy, prostując się nieco. Wskazał drugie krzesło. - Siadaj. Postawię ci drinka.

Maggio sprawiał wrażenie rozgniewanego. Nie ruszył się z miejsca.

- Mam tu drinki za darmo, koleś - warknął. - Nie potrzebuję twojej łaski, kurwa. Robisz sobie jaja? Nie jesteś z „Hedgehoga”, więc nie wciskaj mi kitu.

Sandy był nieprzyjemnie zaskoczony gwałtownym tonem Maggio.

- Hej - zaprotestował. - Spokojnie. Naprawdę jestem z „Hedgehoga”. Sandy Blair. Kurczę, nie poznajesz mnie? Dwa razy robiłem z tobą wywiad.

- Tak? A kiedy?

- W sześćdziesiątym dziewiątym w Bostonie, zaraz po wydaniu *Czarnego albumu*. A drugi raz w siedemdziesiątym, pierwszym, dwa tygodnie przed West Mesa. Byłeś wtedy z taką zakręconą czarną dziewczyną z ogoloną głową, ale prosiłeś mnie, żebym o niej nie wspominał, więc tego nie zrobiłem.

To najwyraźniej złagodziło nieco wrogość Maggia. Gitarzysta uśmiechnął się nawet półgębkiem i usiadł naprzeciwko Sandy’ego.

- Aha, pamiętam - zgodził się. - To była naprawdę bombowa dupka. Może i mówisz prawdę. Jak to się nazywasz? Blair?

Sandy skinął głową.

- No jasne - ciągnął Maggio. - Chyba cię pamiętam. Kurwa, udzieliliśmy chyba z miliona wywiadów, koleś. Trudno spamiętać tych wszystkich głębów, z którymi rozmawialiśmy. Faceci z prasy byli jak groupies. W każdym mieście nowa banda, próbująca wyssać z nas wszystkie soki. - Maggio z pewnością uświadomił sobie nagle, że wywiera raczej niekorzystne wrażenie. Przerwał i wbił spojrzenie w twarz rozmówcy. Potem na jego obliczu wykwitł jeden z najbardziej fałszywych uśmiechów, jakie Sandy w życiu oglądał. - Hej, jasne, koleś - zawołał. Pamiętam cię. No tak. Ty byłeś inny od tych wszystkich bałwanów. Naskrobałeś parę niezłych kawałków. Heeeeeej! Sandy, staruszk, kopę lat!

Brzmiało to mniej więcej tak samo szczerze jak przemówienie Richarda Nixona w Checkers, ale Sandy niczego po sobie nie okazał.

- Miałem wtedy bujną brodę - wyjaśnił, podsuwając Maggiowi usprawiedliwienie. - Pewnie dlatego mnie nie poznałeś.

- No tak. Jasne, koleś, tak było. - Maggio odwrócił się i skinął na kelnerkę. - Nadal chcesz fundnąć mi drinka, koleś?

- Jasne - potwierdził Sandy.

Maggio zamówił chivas z lodem. Gdy kelnerka przyniosła szklanekę, niepewnie pociągnął mały łyk.

- To co mogę dla ciebie zrobić, koleś? - zapytał. - Pisziesz jakiś artykuł, czy co?

Sandy skinął głową.

W podpuchniętych, niespokojnych oczach Maggia znowu pojawił się błysk nieufności.

- Hej, posłuchaj, chyba nie chcesz mnie schlastać, co? No wiesz, napisać o tym, jak to nisko upadłem, i inne takie pierdoły? - Zatoczył ręką krąg, wskazując na nędzę Come On Inn,

swojego zespołu i wszystkiego, co go otaczało. - To by nie było uczciwe, Sandy. No wiesz, to nie jestem ja. Gram z tymi dupkami tylko dlatego, że chcę komuś wyświadczyć przysługę. Wiesz, jak to jest. Różnę się z tą małą, która gra na klawiszach, a ona chciała założyć grupę, więc postanowiłem jej pomóc. Gram z nimi tymczasowo.

- Rozumiem - zgodził się Sandy. - Nie to mnie interesuje. Chciałem cię zapytać o Jamiego Lyncha.

Rick Maggio wyraźnie się uspokoił.

- Och, Jamie - rzucił. - No jasne. Czytałem o tym. Co za zwierzęta mogłyby zrobić coś takiego?

- Ty mi powiedz.

Na twarzy Maggia pojawiła się niepewność.

- Ja? Niby jak, koleś? Nic na ten temat nie wiem. To po prostu smutne, koleś.

- Naprawdę?

- To oskarżenie naszych czasów - odparł Maggio. - Możesz mnie zacytować.

Sandy udał, że notuje jego słowa.

- Zabawne - stwierdził. - Nie sądziłem, że tak się przejmiesz zabójstwem Jamiego Lyncha.

Wokalista przymrużył lekko powieki.

- Co chcesz przez to powiedzieć, koleś?

- Tylko to, że nie miałeś powodów, żeby go kochać. Maggio odpowiedział ochryplym, wymuszonym śmiechem.

- Kto ci to powiedział, Sandy?

- Na przykład Świstak John Slozewski.

- No tak - mruknął Maggio. - Wiesz co, opowiadaliśmy o Johnie taki dowcip. Co powstanie, jeśli skrzyżujesz świstaka z polaczkiem?

Sandy wzruszył ramionami.

- Nasz perkusista. - Maggio ryknął głośnym śmiechem. - No wiesz, Świstak nigdy nie był szczególnie bystry. Wiele rzeczy błędnie pojmował. Pewnie tak właśnie było ze mną i z Lynchem. Jamie nas stworzył. Kurde, nieraz się sprzecaliśmy. Który zespół nigdy się nie kłóci z menażerem? Ale to było bardzo dawno temu i przeszliśmy razem długą drogę, koleś. Dlaczego Świstak uważa, że mógłbym mieć coś przeciwko Jamiemu?

- Och, z paru powodów - odparł Sandy. - Na przykład, prochy.

- Prochy - powtórzył Maggio. - Widzisz, w czym rzecz? Głupi, zaszranego polaczka myśli, że mógłbym się wściec na faceta, który daje mi prochy za darmo. Cholera, chciałbym, żeby

dzisiaj znalazł się ktoś taki.

- A co z tymi fotkami, na których byłeś ty i bliźniaczki z Pittsburgha?

Przez krótką chwilę Sandy'emu zdawało się, że widzi na twarzy Ricka Maggia rumieniec. Potem jednak zniknął, zastąpiony zażenowanym uśmiechem.

- Kurwa, prawie już o tym zapomniałem. Mówię ci, były naprawdę bombowe. Szkoda, że nie pamiętam ich nazwiska. Rewelacja. A teraz byłyby już legalne. Ile miałyby lat? Jakieś dwadzieścia sześć, dwadzieścia siedem. To z nimi powinieneś zrobić wywiad, Sandy. Ale, hej, no wiesz, Świstak po prostu tego nie łąpał. Jamie zrobił parę fotek, fakt, ale to był tylko żart. Naprawdę świetny ubaw. Te maślaki nie miały nic przeciwko temu. Wierciły się przed aparatem, uśmiechały się i wystawiały dupeczki. Nigdy się tym nie przejmowałem. Jamie lubił się czasem powyglądać. No i co z tego? Umiałem się wyluzować i to mi nie przeszkadzało. - Zawahał się. - Hej, koleś, ale nie napiszesz nic o tym w gazecie, co? - No wiesz, mi to nie przeszkadza, ale moja stara mogłaby się wkurzyć.

- Nie sądzę, bym miał tego potrzebować - odparł ostrożnie Sandy, niczego nie obiecując. - Słozewski wspominał też, że chcesz, żeby The Nazgul znowu się zeszli. Ty i jakiś promotor, który się z tobą skontaktował. Czy to prawda?

Maggio uśmiechnął się.

- Tym razem Świstak miał rację. Zejdziemy się. Tylko zaczekaj. Edan wszystko załatwi. To będzie sensacja, koleś. Największy kurewski comeback w historii rocka. Powiedz Jaredowi Pattersonowi, żeby dał to na okładkę zamiast pierdolonej Farrah Fawcett. Powiedz mu, że Rick Maggio i The Nazgul wracają i są lepsi niż kiedykolwiek.

Sandy'emu przemknęło przez głowę, że to żalosne marzenia. Powstrzymał się przed zażartowaniem, że „Rick Maggio i The Nazgul” to całkiem nowa nazwa.

- Czy to już załatwione? - zapytał.

Maggio dopił drinka i potrząsnął głową. Długie, ciemne włosy opadające w strąkach na jego puciołowate policzki zakołysały się miarowo.

- Nie, ale Edan nad tym pracuje.

- Edan - powtórzył Sandy. Przerzucił kilka stron notesu, by zajrzeć do notatek z wywiadu ze Świstakiem Johnem. Edan Morse, zgadza się?

Maggio skinął głową.

- Znasz Edana?

- Słozewski wymienił jego nazwisko. Powiedział też, że Jamie Lynch nie chciał mieć z tym nic wspólnego. Czy to prawda?

- No dobra, dobra - odparł Maggio zestresowanym tonem. - Lynch był potwornie

upierdliwy. To fakt, koleś. No i co z tego?

Sandy wzruszył ramionami.

- Gdyby gliniarze zechcieli się zrobić podejrzliwi, mogliby pomyśleć, że miałeś motyw.

Maggio obrócił się niezgrabnie na krześle, włożył dwa palce w usta i zagwizdał.

- Francie! - zawołał. - Chodź no tutaj! Przenikliwy gwizd uciszył wszystkie rozmowy w

Come On

Inn. Gdy dziewczyna wstała od stolika dla muzyków i ruszyła w stronę Maggio, znowu rozległy się niepewne głosy. Kiedy podeszła bliżej, Sandy uświadomił sobie, że nie mylił się co do jej wieku. Rick Maggio nadal lubił młode dziewczyny. Francie wyglądała na jakieś siedemnaście lat - dziewczynka udająca kobietę. Nasunęły mu się na myśl słowa: „dziecko ulicy”. Przypominała Sandy’emu niektóre ze zbiegłych z domu dzieciaków, które pamiętał z lat sześćdziesiątych. Dzieci-kwiaty, które wędły przedwcześnie w zimowym świecie, nie mając innego pożywienia poza blaknącymi wspomnieniami lata miłości. Francie była bardzo niska i ładna na swój niewinny sposób. Długie, roz-

czochrane, opadające w strąkach włosy, wielkie, brązowe oczy, zapadnięte policzki i mnóstwo pierścionków na palcach. Miała na sobie brudny, biały T-shirt z napisem: „PROSZĘ NIE ŚCISKAĆ ROLEK” biegnącym nad dwiema rolkami papieru toaletowego umieszczonymi w miejscach, które powinny być strategiczne. Niestety, szczupła, chłopięca figura Francie nie oferowała nic do uścisknięcia i koszulka wywierała raczej żałosne niż erotyczne wrażenie. Cienki, niepewny uśmiech dziewczyny pojawiał się i znikał zupełnie jak wielkie C na neonie na zewnątrz.

Gdy podeszła do stolika, Maggio złapał ją za ramię, przyciągnął do siebie i posadził na kolanie.

- To jest Francie, moja stara - poinformował Sandy’ego. - Francie, powiedz temu chujowi, gdzie, do diabła, byłem tej nocy, gdy Jamiemu Lynchowi wycięto serce.

- Był ze mną - oznajmiła cichym głosem. - Tamtego wieczoru nie mieliśmy występów, więc zostaliśmy w domu, oglądaliśmy telewizję i bzykaliśmy się. Daję słowo.

- W porządku - odparł Sandy, chociaż przyszło mu do głowy, że Francie zbyt szybko udzieliła tej odpowiedzi. Zupełnie jakby Maggio z góry przygotował ją.

- Widzisz? - zapytał wokalista. Jedna z jego rąk powędrowała pod koszulkę dziewczyny w poszukiwaniu rolki. Z pewnością chce wytrzeć ten kit, który mi wciska - pomyślał Sandy.

Francie ignorowała to, pozwalając mu szukać i ścisnąć.

- Naprawdę jest pan z „Hedgehoga”? - zapytała. Sandy skinął głową.

- Napisze pan o nas artykuł? Podobamy się panu?

- To nie jest mój ulubiony rodzaj muzyki - odparł uprzejmie Sandy. - Wolę ostrzejszy rock.

Skinęła leciutko głową bynajmniej nie zaskoczona.

- Nie sądziłam, że chodzi panu o nas. Tylko o Ricka, prawda? On jest dla nas naprawdę za dobry. To geniusz. Grał w wielu sławnych grupach, wie pan? Nasty Weather, Catfight i The Nazgul.

Maggio uśmiechał się szeroko za plecami dziewczyny, nie przestając obmacywać jej piersi. Zachowywała się tak, jakby tego nie zauważała.

- Wiem - potwierdził Sandy. - Pisałem kiedyś o The Nazgul. Byłem ich wielkim fanem.

- Przeniósł wzrok na Maggia.

- Naprawdę wierzysz, że uda się wam reaktywować zespół? zapytał.

- Hej, facet, nie robiłbym sobie z ciebie jaj. Powiedziałem ci, że się zejdziemy, nie? Sandy wzruszył ramionami.

- Powiedziałeś. Ale raczej w to wątpię.

- To sobie wątp. Mówię ci, że tak będzie. Tylko zaczekaj.

- Stoi przed wami kilka łatwych do zauważenia trudności

- nie ustępował Sandy. - Na przykład, chyba sobie przypominam, że Hobbins nie żyje. Szeroki uśmiech Maggia wydawał się pełen samozadowolenia.

- Edan rozwiązał ten problem. Tylko zaczekaj. Kurwa, padniesz z wrażenia.

- Tak? A w jaki sposób zastąpi umarłego?

- Nic nie powiem - odparł Maggio. - Zaczekaj, koleś. Albo zapytaj Edana.

- Może i to zrobię - zgodził się Sandy. - Jak można się z nim skontaktować?

Maggio znowu zrobił się nieufny.

- Edan nie lubi, żeby dawać ludziom jego numer - odpowiedział. - Może zapytam go o ciebie. Jeśli będzie chciał z tobą pogadać, sam cię znajdzie.

- A to ciekawe - zainteresował się Sandy. - Dlaczego jest taki skryty?

Maggio wyciągnął łapę spod koszulki Francie. Miał zażenowaną minę.

- Powiedziałem, że go o ciebie zapytam. Edan nie lubi, żeby o nim mówić.

- Rozumiem. No dobra, w takim razie wróćmy do comebacku Nazguli. Mówisz, że ten Edan Morse ma jakiś pomysł na

zastąpienie Hobbinsa. Świetnie. W to jeszcze uwierzę. Ale dlaczego uważasz, że Faxon i Słozewski się zgodzą?

- Zgodzą się.

- Niby dlaczego? Mają teraz własne życie. Nie potrzebują już The Nazgul.

Maggio zaczerwienił się. Jego twarz przybrała dziwny, gniewny i gorzki wyraz.

- W przeciwieństwie do mnie, tak? Tak właśnie sobie pomyślałeś. Oni już nie potrzebują pierdolonego The Nazgul, ale Maggio potrzebuje go cholernie mocno. Skończył się, nie umie już grać, występuje w spelunach i śpi z małoletnimi zdzirami takimi jak ona.

Popchnął mocno Francie w bark. Dziewczyna zsunęła się bez słowa z jego kolan. Jej twarz nic nie wyrażała. Stała niepewnie obok stolika, nie wiedząc, czy ma odejść, czy zostać.

- Nic takiego nie powiedziałem - sprzeciwił się Sandy.

- Kurwa, koleś, nie musisz tego mówić. Pomyślałeś to, czy nie tak? No i co z tego? Wydaje ci się, że potrzebuję The Nazgul? - Jego głos ociekał sarkazmem. - Nie ja, koleś. Kurwa, po co miałbym znowu grać z tymi dupkami? Po co miałbym wydawać kolejne albumy, zarabiać miliony pierdolonych dolarów i pozwalać, żeby małe, napalone cipki zrywały ze mnie portki, gdy tylko się odwrócę? To by było kurewsko nudne. Ja tam wolę grać w Cal City, Gary i Wschodnim Saint Louis, oglądać te wszystkie piękne Ramada Inn i słuchać, jak Moe, Larry i Kudłaty Joe za moimi plecami starają się nie wypaść z tonacji, podczas gdy wszystkie te kutafony siedzące w lokalu wydzierają się na całe gardło i żłopią piwsko. Lubię pocić się jak świnia i gównno za to dostawać. Czemu, do diabła, miałbym chcieć znowu grać z prawdziwymi muzykami?

Walnął pustą szklanką o blat tak mocno, że Sandy bał się przez chwilę o jej całość.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie - przypomniał cicho Maggiowi. - Chcesz, żeby grupa znowu się zeszła. A co na to Faxon i Slozewski?

- Pierdolę Faxona i Slozewskiego - warknął gniewnie Maggio. - Przemądrzalec i głupi polaczek. Kurwa, Świstak John nawet nie grał w The Nazgul od początku. Tylko kręcił się przy nas i biegał na posyłki. No wiesz, wystarczyło na niego zaświstać i już robił, co mu kazano. Są na świecie inni perkusiści. Nie potrzebuję go, słyszysz, koleś?

- Nie możesz sam urządzić comebacku The Nazgul wskazał Sandy.

- Cholera, koleś, mówiłem, że się zgodzą. Kurwa, gwarantuję ci to. Słyszysz? Napisz o tym w „Hedgehogu”. Oba te skurwysyny są mi coś winne. Wycyckali mnie i tyle. Świstak John kupił sobie piękny klub nocny, Faxon żyje jak pierdolony król, a co ja dostałem? Nic. Gównno. Zero. To wszystko, co z tego mam. Beze mnie The Nazgul byłiby niczym. Można by pomyśleć, że te dupki będą wdzięczne, ale nie, nie, wszystko zawsze było na starego Ricka. Kiedy Nasty Weather się rozlecieli, prosiłem tego durnego polaczka, żeby założył ze mną nową grupę, ale nie, on wolał grać z Mordenem i Leachem, a mnie zostawił na lodzie. A Faxon siedzi sobie w Santa Fe na swojej kurewskiej górze i bogaci się na prawach autorskich. On ma kupę forsy, a ja nie mam nic. Ale jego to nie obchodzi. Obaj są mi coś winni. Wiesz, dlaczego mnie wyruchali?

Powiem ci dlaczego? Przez panienki. Zawsze na mnie leciały. Faxon nigdy żadnej nie tknął, ale było widać, że ma na to ochotę. Kurwa, był taki napalony, że sperma tryskała mu z uszu, ale nic nigdy w tej sprawie nie zrobił. A Świstak dostawał tylko resztki po mnie. Wszystkie leciały na mnie i pierdoliły się z polaczką tylko dlatego, że je o to prosiłem. Widzisz, co się dzieje, kiedy jesteś dla kogoś miły? Panienki wołały mnie i obaj mi to pamiętają. - Spojrzał na Francie z twarzą tak czerwoną, złowrogą i gniewną, że Sandy bał się przez chwilę, iż może uderzyć dziewczynę. - W tamtych czasach miałem dziewczyny z najwyższej półki, nie takie małe, trzeciorzędne pizdy jak ta. I dzieliłem się nimi, niech ich szlag. Dlatego muszą się zgodzić, słyszysz? Są mi coś winni. - Zerwał się w nagłym gniewie, tak szybko, że krzesło przewróciło się

z głośnym trzaskiem. - Chyba nie mam ci już nic więcej do powiedzenia, koleś. Chodź - rzucił do Francie - musimy znowu zagrać dla tych dupków.

Rozgniewany Maggio odszedł od stolika, ale dziewczyna nie ruszyła się z miejsca. Choć wyglądała na przygnębioną, Sandy nie widział w jej oczach łez. Pomyślał, że na pewno jest do tego przyzwyczajona.

Maggio zauważył, że Francie nie poszła za nim, odwrócił się i przeszył ją gniewnym spojrzeniem.

- Hej! - zawołał. - Chodź.

- Chciałam tylko... - zaczęła dziewczyna. Roześmiał się bardzo złośliwie.

- Chciałaś - rzucił z drwiną w głosie. - Założę się, że chciałaś. Proszę bardzo. Pierdol się z nim, jeśli masz ochotę. Nic mnie to nie obchodzi. Może zobaczysz własne nazwisko w „Hedgehogu”. Nie potrzebuję cię, pizdo. Nikogo nie potrzebuję. - Mrugnął do Sandy’ego. - Spróbuj jej, staruszku. Nie jest z najwyższej półki, ale nie jest też taka najgorsza.

Odwrócił się i poczłapał ciężko w stronę sceny. Wszyscy w barze gapili się na niego. W końcu udało mu się przyciągnąć uwagę widzów.

Francie postąpiła mały, niepewny krok w stronę Sandy’ego.

- On czasem tak się zachowuje - wyjaśniła. - Ale to nic nie znaczy, naprawdę. Mówi paskudne rzeczy, ale nigdy mnie nie uderzył ani nic. On nie jest zły, proszę pana, nie w głębi duszy. Po prostu miał pecha i to go wścieka. Kiedyś był gwiazdą. Proszę, niech pan nie napisze o nim w „Hedgehogu” nic nieprzyjemnego, dobrze? To by go naprawdę zabolalo.

Sandy wstał od stolika, zmarszczył brwi i schował notes do kieszeni.

- Rick na ciebie nie zasługuje, Francie - powiedział z uśmiechem. Wyciągnął rękę i uścisnął jej ramię.

- Nieprawda - zaprzeczyła, odwracając wzrok. - Rick zasługuje na wszystko, co

najlepsze. Ja prawie w ogóle nie umiem grać.

- Są rzeczy ważniejsze niż muzyka - odparł Sandy. Ujął dziewczynę pod brodę i uniół jej twarz, żeby patrzyła mu prosto w oczy. - Powiedz prawdę. Rzeczywiście byłeś z nim tamtej nocy?

- Daję słowo.

Nim Sandy zdążył zadać następne pytanie, ze sceny popłynęły ostre dźwięki muzyki. Maggio zagrał na gitarze elektrycznej gniewny akord.

- No dobra, dupki - powiedział głośno do mikrofonu. Znowu wszyscy na niego spojrzeli. Rudy basista i perkusista siedzieli za nim z nieufnymi minami. - Mamy tu porypanego reportera, któremu się wydaje, że Maggio nie potrafi już grać. Przekona się, że się myli. Teraz. Dlatego możecie sobie wsadzić wszystkie zamówienia w swoje małe dupki i owiązać żółte wstążki wokół małych kutasików. Pora na rock and rolla! - krzyknął. Podskoczył w górę i wylądował ciężko, aż zatrzęsała się scena. Potem cała nędzna spelunka zadrżała od dźwięków jego gitary. Zabrzmiały pierwsze akordy, świetnie znane Sandy'emu. Surowy, złowrogi głos Maggia uczeplił się tekstu, tak jak człowiek cierpiący ból czepia się swego krzyku.

Nie będę już spokojny

Nie będę tego znosił.

Mam dość tego, że mnie deptają,

Gdy leżę tu, na podłodze.

Śpiewając, Maggio spoglądał ze złością na Sandy'ego. Na jego twarzy pojawił się znajomy, szyderczy uśmiech. Gdy przeszedł do refrenu, reporter miał przez chwilę wrażenie, że widzi podwójnie, jakby obrzmiała twarz, broda i zwały tłuszczu były jedynie elementami jakiejś groteskowej iluzji, fałszywej, a z jakiegoś powodu nieistotnej, i dopiero teraz udało mu się ujrzeć uwieczzonego pod tym kamuflażem prawdziwego Ricka Maggia.

- *Bo jestem wściekły!* - śpiewał Maggio.

- *Wściekły!* - powtórzyli za nim jego muzycy.

Pamiętali stary przebój Nazguli wystarczająco dobrze, by mogli udawać, że grają razem z nim. Gitara basowa brzmiała niepewnie, a rytm perkusji nie był nawet w połowie tak gniewny i rozgorączkowany, jak powinien, ale przynajmniej znali tekst, to jedno słowo tekstu, i udało im się wyśpiewać je z odrobiną wściekłości. Maggio uśmiechnął się, wydobywając ból ze swojej gitary.

- *Tak, jestem wściekły!* - śpiewał.

- *Wściekły!* - powtarzali za nim.

Głośniki podkreślono na ful, więc nie sposób było rozmawiać. Muzyka przenikała swą

wibracją całą Come On Inn. Niektórzy z gości mieli wystraszone miny. Sandy nie miał im tego za złe. Maggio wyglądał groźnie. To była *Ragin!*, która zawsze była jego piosenką, jedyny utwór na *Musie to Wake the Dead*, na którym to on był głównym wokalistą, a nie Hobbins. Maggio wkładał teraz w śpiew cały swój ból, jad i wypaczone namiętności.

- *Tak bardzo wściekły!* - śpiewał.

- *Wściekły!* - krzyczeli jego muzycy.

Sandy przypomniał sobie West Mesa. Światła reflektorów nabrały wówczas nagle surrealistycznego szkarłatnego odcienia i chudy, szyderczo uśmiechnięty Maggio wyszedł na scenę, żeby zaśpiewać utwór z nowego, jeszcze niewydanego albumu. Przy trzeciej linijce refrenu publiczność załapała, o co chodzi, i kiedy wokalista warknął: „*Wściekły!*”, sześćdziesiąt tysięcy ludzi powtórzyło to za nim krzykiem. Czerwone światła, żądza krwi i nagi gniew na okrucieństwo świata. Sześćdziesiąt tysięcy głosów połączonych w jeden chór. To robiło niemal seksualne wrażenie.

Nie będę nosił karabinu, Nie będę zmywał podłogi! Pieprzyć kłamaców w garniturach, Dłużej już tego nie zniosę!

Wykonanie było niedoskonałe, amatorskie, ale tkwiła w tym siła. Naga, złowroga siła. Sandy ją czuł. Czuł krew, którą Mag-

gio przekazywał swej gitarze, ból w jego głosie, narastający gniew.

Bo jestem wściekły!

Wściekły! Tak, jestem wściekły!

Wściekły! Tak bardzo...

Nagle muzyka umilkła z przejmującym jękiem, jakby ktoś przejechał paznokciami po wielkiej tablicy. Towarzyszący Maggiowi wykonawcy zamarli w bezruchu, gapiąc się na siebie nawzajem.

Barman wyciągnął wtyczkę z kontaktu za sceną.

Rick Maggio zachwiał się jak człowiek, któremu przerwano akt miłosny, wywleczony - gwałtownie i brutalnie - z partnerki na chwilę przed orgazmem. Wyglądał na oszołomionego. Wydawało się, że dręczą go mdłości. Gdy wreszcie uświadomił sobie, co się stało, aż zbieła z gniewu.

- Co ty, kurwa, wyprawiasz! - wrzasnął do barmana.

Zabieraj łapska od mojego sprzętu. Zabiję cię, ty lachociągu!

Barman był żyłastym, pięćdziesięcioparoletnim mężczyzną o wystającym podbródku, pomarszczonej twarzy i twardych jak kawałki krzemienia oczach.

- Coś ci się pomyliło, kolego - odparł. - Nikogo nie zabijesz. Pakujcie się, śmiecie, i

zmiatajcie stąd. Tylko spokojnie, nie chcę żadnych kłopotów. Możesz też zapomnieć o forsie.

- Mamy umowę! - zawołał Maggio.

- Umawialiśmy się, że będziecie u mnie grać. Sympatyczną muzykę, taką, jaką lubią moi goście. Nie mam zamiaru płacić ci za to, że wykrzykujesz plugawe słowa, odstraszasz klientów i ogłuszasz ludzi tym syfem, który śpiewasz. Zmiataj stąd, śmieciu, bo zawołam gliny.

Maggio wyszarpnął gwałtownie przewód gitary i zszedł ze sceny. Wyglądał naprawdę złowieszczo.

- Kurwa, graliśmy dwie zmiany - warknął. - Musisz nam za nie zapłacić, koleś.

Barman cofnął się o krok, sięgnął pod bar i wyciągnął stamtąd kij do bejsbola.

- Zmiataj - powtórzył. - Jeśli mnie dotkniesz, śmieciu, połamię ci wszystkie paluchy.

Patrząc na niego, Sandy potrafił w to uwierzyć.

Maggio zacisnął pięść, uniósł ją, opuścił i odwrócił się z wyraźnym wysiłkiem. Cały dygotał. Pozostali muzycy zaczęli się już zbierać. Maggio wyglądał jak człowiek, który za chwilę straci panowanie nad sobą. Sandy nie chciał być tego świadkiem. Robiło mu się niedobrze na tę myśl. Pora stąd zniknąć. Dotknął lekko ramienia Francie.

- Był dobry - zapewnił. - Powtórz mu to. Powtórz, że powiedziałem, że był dobry.

Skinęła głową ze zrozumieniem. Potem podeszła do Maggia, objęła go chudymi ramionami i ścisnęła, gdy dygotał. Pokonany, poblady, bezsilny.

„Wściekły” - pomyślał Sandy, gdy drzwi zamykały się za nim.

Siedem

Witaj, mroku, stary przyjacielu! Przyszedłem rozmawiać z tobą jeszcze raz.

Jadąc Dan Ryan Expressway z powrotem do Chicago, Sandy był w ponurym nastroju. Czuł się tak przygnębiony, że nawet nie chciało mu się włożyć kasety do magnetofonu. Nie był pewien, dokąd właściwie zmierza. Tak samo jak Rick Maggio - pomyślał - albo Świstak John, Maggie czy biedny, martwy Jamie Lynch. Tak samo jak oni wszyscy. Było już jednak późno i robiło się coraz później, a on był zbyt zmęczony, żeby jechać autostradą, opuścił ją więc i zjechał na puste ulice Pętli. Gnała go senność, która nabrała niemal siły przymusu. Zatrzymał się na noc w hotelu Conrad Hilton.

- Piętnaste piętro - zażądał od recepcjonisty. Mężczyzna spojrzał na niego z obojętnym wzruszeniem ramion i wręczył mu klucz.

Gdy boy już się oddalił, zegarek Sandy'ego wskazywał kilka minut po północy. A w Nowym Jorku jest o godzinę później pomyślał. Najlepsza pora na telefon do Jareda. Postanowił, że będzie udawał nocnego prezentera prowadzącego w radiu telefoniczny kwiz i każe Jaredowi zaśpiewać temat z *Superkurczaka*.

Gdy jednak w słuchawce zabrzmiał zaspany, niewyraźny głos Pattersona, Sandy przekonał się, że brak mu sił i ochoty na żarty.

- To ja, Jared - oznajmił ze znużeniem w głosie. - Chcę, żebyś coś dla mnie sprawdził.

- Nie możesz dzwonić o cywilizowanej porze, do cholery? - zirytował się Patterson. - Obiecałeś, że nie będziesz mi zawracał głowy w domu. Go do licha mam z tobą zrobić, Blair?

- Dowiedz się dla mnie czegoś o Edanie Morse - odparł Sandy.

- Jak?

- Morse, jak ten od alfabetu. Na imię ma Edan. Przeliterował.

- A co to za facet?

- To właśnie masz mi powiedzieć - wyjaśnił Sandy. Nie mam pojęcia, kim jest. To pewnie nic nie znaczy, ale jego nazwisko wypłynęło w rozmowie z Maggiem i ze Słozewskim. Jakiś promotor, który chce zorganizować comeback Nazguli.

- Hej! - ożywił się Jared. - To by było coś, prawda? Znacznie by uatrakcyjniło ten twój artykuł.

- Nic z tego nie będzie - zgasił go Sandy. - Ten cały Morse oszukuje sam siebie. Niemniej chciałbym wiedzieć, kogo reprezentuje, z jakiego rodzaju grupami pracował, jakie więzi łączą go z muzycznym biznesem. Niech jeden z tych twoich małolotów z zielonymi włosami pogrzebie w kostnicy i podeśle mi wszystkie dane. Jestem w hotelu Conrad Hilton w Chicago. Przyślij to ekspresem. Myślę, że zatrzymam się tu na trochę dłużej.

- A po co? - zapytał Patterson. - Czy nie widziałeś się już z jak-go-tam-zwał?

- Widziałem - potwierdził Sandy. - Ale muszę jeszcze dopaść sam-wiesz-kogo.

Odłożył słuchawkę. Miał nadzieję, że udało mu się całkowicie zamieszać w głowie Pattersonowi.

Prawda wyglądała tak, że Sandy nie miał pojęcia, jak długo zostanie w Chicago ani dlaczego właściwie chce to zrobić. Z tym miastem - zwłaszcza z kampusem Northwestern College w Evanston - wiązało go mnóstwo wspomnień i te stare wspomnienia zrobiły się ostatnio niespokojne. Łaziły po jego głowie jak stado świeżo zmartwychwstałych zombi. Może o to właśnie chodziło.

Może Chicago pomoże mu je uspić. Miał też wrażenie, że powinien odwiedzić Larka Ellyna, aczkolwiek nie był pewien, dlaczego. Nigdy nie był blisko z Larkiem, nawet w dawnych czasach, choć wymogi sytuacji często zbliżały ich do siebie. W ostatnim dziesięcioleciu ich drogi rozeszły się całkowicie i zniknęli sobie z oczu. Mimo to Sandy w jakiś niejasny sposób wiedział, że Lark Ellyn również wiąże się z tą sprawą, tak samo jak Maggie. Ta myśl była dla niego niemal jak objawienie, ale gdy się pojawiła, wiedział, że jest prawdą.

Wszystkie jego reporterskie instynkty mówiły mu, że chodzi tu o coś większego niż The Nazgul i nieskończenie większego niż zabójstwo Jamiego Lyncha. Skinął sennie głową i obiecał sobie, że rankiem zastanowi się, dlaczego tak jest, a także umówi się na rozmowę z L. Stephenem Ellynem.

Nie rozebrał się ani nie zgasił światła. Sen zaskoczył go, gdy leżał na wąskim, jednoosobowym łóżku w hotelowym pokoju.

Nawiedzały go niejasne, chaotyczne sny. The Nazgul stali na scenie, grając w jakiejś ogromnej, mrocznej hali. Ludzie tańczyli jak szaleni. Zauważył, że niektórzy z nich płoną. Maggie przemknęła wokół niego, śmiejąc się i wirując. Z nosa kobiety płynęła krew, a jej partner był poczerniałym, zwęglonym szkieletem. Gdy poruszał się w rytm muzyki, odpadały od niego kawały dymiącego mięsa. Widział też inne znajome twarze: Lark, Łajza, Bambi. Był tam również Jamie Lynch, pogrążony w gorączkowym tańcu, mimo że w piersi miał ziejącą, krwawą dziurę. Wokół parkietu gromadziły się niewyraźne, bezkształtne demony. Sandy widział je w mroku. Krzyknął, by ostrzec tańczących, ale wszyscy poza nim byli ślepi. Nie zwracali na niego uwagi, nie przerywali płasów. The Nazgul grali *The Armageddon/Resurrection Rag z Music to Wake the Dead*. To był bardzo długi utwór, zajmował całą drugą stronę albumu, i tańczący pogrążyli się w nim z całkowitym zapamiętaniem. Dopóki muzyka nie przestanie grać, nie usłyszą ostrzegawczych krzyków Sandy'ego, nie zobaczą wroga. Ale demony się gromadziły, gromadziły i przybierały konkretne kształty. Sandy ujrzał zbierającą się wokół nich armię - w mundurach niebieskich i khaki, z karabinami,

pałkami i ciemnymi hełmami, ukrywającymi niehumanoidalne, demoniczne twarze. A na scenie Hobbins płażał i wirował, śpiewając o śmierci i ponownych narodzinach. A na scenie Świstak John wykrzywił wściekle twarz, wybijając na swych bębnach opętany rytm. A na scenie Maggio ociekał krwawym potem, który wsiąkał w jego koszulkę. Zdjął ją i cisnął w tłum, odsłaniając obrzękłe, zielone, rozkładające się ciało. Kobiety z kwiatami wytatuowanymi na policzkach biły się o zakrwawiony łach. Sandy poczuł woń gazu łzawiącego i krzyknął do nich. Wszyscy unieśli wzrok, ale było już za późno, za późno, demony ruszyły ku nim... ale muzyka nie cichła.

Obudził się i z głośnym krzykiem usiadł gwałtownie na łóżku. Nie przestawał dygotać, dopóki nie uwolnił się z objęć koszmaru. Rozejrzał się wokół i zobaczył obskurny pokój hotelowy o nagich ścianach. Przebiegł palcami po swych zmierzwionych, czarnych włosach, zaczerpnął tchu, poszedł do łazienki i napił się wody ze szklanki odkażonej dla jego bezpieczeństwa.

Pijąc drugą szklanekę, uświadomił sobie, dlaczego zatrzymał się w tym hotelu i dlaczego poprosił o pokój na piętnastym piętrze.

Nie będzie tu spał. Nie mógłby zasnąć w tym miejscu. Popatrzył w lustro. Ubranie, w którym się położył, było wymięte, oczy miał lekko przekrwione, a włosy straszliwie rozczochrane. Ochlapał sobie twarz odrobiną wody, wyjął z szafki walizkę, przebrał się w świeżą parę dżinsów i niebieski, kaszmirowy sweter, a potem uczesał włosy. Następnie zdjął płaszcz z krzesła, na którym go powiesił, i wyszedł bezgłośnie na korytarz.

Było tu ciemno i cicho. Sandy nie potrafił sobie przypomnieć, czy przez te wszystkie lata coś się zmieniło. Zapewne tak - pomyślał. Pewnie pomalowali ściany albo położyli nowe dywany, czy coś w tym rodzaju. Nie przypominał sobie. Wyglądało tu tak samo. Tak samo jak wtedy.

Korytarz był pusty i pogrążony w bezruchu. Wszystkie drzwi były zamknięte. To jednak nie miało znaczenia. Zamknięte drzwi nie zapewniały ochrony. Daleko, daleko słyszał otwierającą się windę, a potem kroki, kroki biegnących i krzyki. Zrozumiał, że

wrócił do dawnych czasów. Oszołomiony, na wpół śpiący Sandy ruszył przed siebie, spoglądając na numery pokojów. Minął róg i stanął jak wryty. Wszystko było tak jak wtedy. Wypadali z wind, biegli korytarzami, nie zadawali pytań ani na nie nie odpowiadali, bili i kopali. Ludzie w mundurach ciemnoniebieskich i khaki unosili w rękach okrwawione pałki. Rzecz jasna, mieli też pistolety. Nie wyciągnęli ich jeszcze z kabur, ale widział, jak kołyszą się u ich bioder. Nie mieli twarzy ani odznak. Wypadali z wind, a z ich oczu mógł wyczytać, że jest wrogiem, wcale nie człowiekiem, tylko wrogiem, wrogiem. Atakowali wszystkich, okładając ich pałkami. Żadne słowa ani gesty nie mogły powstrzymać ciosów. Na korytarzu panował chaos. Napastnicy walili w drzwi, wyważali inne kopniakami, wyciągali młodych ludzi na korytarz, bili ich i popychali, krzycząc: „Wychodź, wychodź, wychodź!”. Nie docierały do nich błagania. Słyszał stukot pałek uderzających w ramiona, zęby, czaszki. To nie był dźwięk, który można zapomnieć. Nie zapomni go nigdy. Słyszał stęknienia, jęki bólu i wymieniane przez obie strony epitety. Widział, jak jakiś chudy, czarny chłopak spróbował stawiać opór. Rzucili się na niego hurmem, wymachując pałkami, a potem otoczyli go pierścieniem i zaczęli tłuc. Bili go, bili i bili. Na pałkach widać było krew. Nagle jeden z nich uniósł wzrok i zobaczył Sandy'ego. Otworzył bezgłośnie usta, przymrużył powieki zimnych oczu i wyciągnął okrytą niebieskim rękawem rękę. Wszyscy ruszyli w stronę Sandy'ego, który cofnął się, a potem rzucił do ucieczki. Biegł korytarzami, tak szybko, jak tylko zdołał, wykrzykując słowa ostrzeżenia. Mijał kolejne zakręty, słysząc za sobą tupot stóp ścigających. Przed nim był apartament, centrum dowodzenia. Bezpieczeństwo, bezpieczeństwo, ci, którzy

wszystkim kierowali, ich nie spałują. Drzwi apartamentu były otwarte. Sandy wpadł do środka i wszyscy spojrzeli na niego ze zdziwieniem. Czworo z nich było zajętych grą w brydża, a reszta siedziała na różnych miejscach, rozmawiając cicho, przerzucając papiery, pijąc gorzkie wino klęski, liżąc rany. Sandy zaczął krzyczeć: „Zamknijcie drzwi, zamknijcie drzwi”, ale było już za

późno, wróg wtargnął między nich, wymachując pałkami. Jeden z grających w brydża uniósł rękę, by osłonić się przed ciosem i Sandy usłyszał przyprawiający o mdłości odgłos uderzenia. Pałka się złamała. Ktoś pytał o nakaz, krzyczał coś o nakazie, zaczęli go bić, aż wreszcie umilkł.

- Przestańcie! - zawołał Sandy. - Przestańcie! Co tu się dzieje!?

Uchylił się przed ciosem, osłaniając twarz ręką. Otworzył oczy. Kręciło mu się w głowie. Korytarz był pusty. Pusty i martwy. Sandy dyszał. Nie - powiedział sobie w duchu.

- Nic tu nie ma. Nie było słyhać krzyków, wrzasków, odgłosów uderzeń. Skąd miałyby się tu wziąć? To nie był sześćdziesiąty ósmy i te namiętności dawno już wygasły. Nie wierzył w duchy. Za tymi wszystkimi zamkniętymi drzwiami kryły się tylko puste pokoje oraz garstka uczestników zjazdów, personelu linii lotniczych i zmęczonych wędrowców. Słyhać było jedynie szum wind, gdzieś daleko za rogiem.

Wepchnąwszy ręce głęboko w kieszenie kurtki, ruszył w stronę, z której dobiegał ów dźwięk. Gdy dotarł na miejsce, nacisnął guzik i zaczął czekać. Po chwili zjawiała się winda. Kiedy drzwi się otwierały, jakieś dawne wspomnienie, jakiś instynkt, kazał mu się cofnąć. W środku jednak nie było nic. Sandy wszedł do kabiny i zjechał do holu.

- Chcę dostać inny pokój - oznajmił recepcjonście. Oddał mu klucz. - Proszę. Niech boy przeniesie moje rzeczy. Idę się przejść. Nowy klucz wezmę, kiedy będę wracał.

Recepcjonista z obojętną miną skinął uprzejmie głową.

- Proszę bardzo. Czy tamten pokój był niezadowolający?

- Nie chcę pokoju na piętnastym piętrze - odparł Sandy.

- Chcę się przenieść na inne.

- Sam pan prosił o to piętro - wspomniał recepcjonista. Był to starszy mężczyzna, szczupły i schludny. Rzedniejące włosy zaczesał sobie starannie do tyłu. W jego ciemnych oczach było widać błysk dezaprobaty.

- Byłem już tu kiedyś - mruknął Sandy. Odwrócił wzrok,

przebiegając palcami po włosach. - Tak, Boże, byłem już tu kiedyś.

- Tak, proszę pana. A kiedy to było?

Sandy spojrzał na recepcjonistę, zastanawiając się, czy pracował on w Hiltonie już

wówczas, czy miał tamtej nocy dyżur.

- Wie pan kiedy - warknął. - Wie pan cholernie dobrze. Tam właśnie mieściło się centrum dowodzenia. Kwatera główna była na dwudziestym trzecim. Pamiętam to, tam właśnie był Gene, ale piętnaste piętro również należało do nas, tam było centrum dowodzenia i tam właśnie po nas przyszli.

- Rzucaliście różnymi przedmiotami - odparł recepcjonista. Wyglądał dziwnie, jakby mówił, nie poruszając ustami. - Popielniczkami, torebkami z moczem i ludzkimi odchodami. Wyrzucaliście to wszystko przez okna. Zasłużyliście na to, co was spotkało.

- Nieprawda - sprzeciwił się Sandy. - To wszystko kłamstwo. Byłem tam, dobry Boże, byłem. Nikt niczym nie rzucał, nikt z nas. Wszystko to jedno kurewskie kłamstwo, słyszy pan?

Mężczyzna gapił się tylko na niego z uprzejmym, drwiącym uśmiechem. Sandy'emu zrobiło się niedobrze. Odwrócił się i ruszył w stronę wyjścia. Czuł się osaczony, ścigany. W holu pełno było niebieskich cieni bez twarzy i zamaskowanych gwardzistów. Wszyscy spoglądali na niego złowrogo. Minął ich biegiem, chwiejąc się na nogach. Rozpaczliwie pragnął zaczerpnąć tchu.

Michigan Avenue była pusta jak okiem sięgnąć. Sandy spojrział na zegarek, opierając się o ścianę budynku. Było wpół do piątej. Po drugiej stronie ulicy ciągnęła się ciemna, groźna pustka Grant Park, ogromna mroczna równina pokryta zbrązowiałą trawą i betonem, a otoczona klifami wieżowców. Zwrócił się w stronę jeziora Michigan i Balbo. Kierowało nim coś, czego nie potrafił określić.

Tam również czekały na niego duchy. Sandy zatrzymał się, drżąc na zimnym, październikowym wietrze dmącym od jeziora. Przypomniawszy sobie inną, gorętszą noc, upalną i parną, gdy nawet

najłżejszy wietrzyk niósł błogą ulgę. Ze wszystkich stron otaczały go widma przybierające migotliwą, niedotykalną postać. Armie nocy - pomyślał. Po jednej stronie ulicy zgromadził się pstrokaty tłum obdartych, wykrzykujących obelgi dzieciaków, uzbrojonych we wstążki, transparenty, kwiaty i slogany. Wszyscy są tacy młodzi - pomyślał Sandy, przypominając sobie, jak zupełnie inaczej wszystko wówczas wyglądało. Nie widział twarzy, żadnych twarzy, tylko niewyraźne plamy, ulotne obrazy i symbole. Młode blond włosy, czyste i błyszczące, opadające poniżej niezliczonych szczupłych talii. Wyblakłe, znoszone dzinsy z łąkami w kształcie kwiatów. Opaski na głowę. Stokrotki. Okrągłe okulary w drucianych oprawkach, trykotowe koszulki z wyciętymi plecami, koszule w tureckie wzory, dzwony, opaski na ręce i na głowy. Yippies, hipisi, motocykliści i członkowie ruchu Clean for Gene. Trzymali się za ręce. Śpiewali. Skandowali. Ich usta poruszały się bezgłośnie. Pierwszy szereg

składał się wyłącznie z kobiet, młodych i ładnych, właściwie dziewcząt. Widział, jak porządkowi chodzą w tłumie, powtarzając: „Dziewczyny do przodu, dajcie dziewczyny na przód. Spokojnie. Tylko spokojnie”. Cały tłum pozostawał w nieustannym ruchu. Ludzie przepychali się w różne strony, panował zamęt, wszystko mieszało się ze sobą w wielkim galimatiasie widmowych postaci. Nad tłumem unosiły się sztandary, czerwone i czarne chorągwie, slogany wypisane na transparentach, symbole pokoju i flagi Wietkongu, wszędzie pełno było flag kołyszących się i powiewających na docierających tu znad jeziora podmuchach wiatru. Wszyscy się kołysali, dziewczyny i faceci, a chorągwie razem z nimi. Trzymali się za ręce i ramiona i kołysali się, poruszając ustami.

A naprzeciwko nich stali ci drudzy; linia, szereg, sztywny, równy i wojowniczy. Stali naprzeciwko tej żywej, kłębiącej się masy, zamarli w całkowitym bezruchu. Niebieskie mundury. Hełmy. Ciemne twarze, twarze bez rysów, nogi mocno wsparte o ziemię, odznaki, ciemne, błyszczące od smaru pistolety spoczywające wygodnie w czarnych, skórzanych kaburach u mięsi-

stych bioder. Twarze jak maski. Czekali. Pałki, przemoc i nienawiść powstrzymywane tylko z największym wysiłkiem.

Miłość i pokój kontra ład i porządek; duchy i widma, które były już martwe, należały do przeszłości, lecz mimo to z jakiegoś powodu ożyły. Sandy widział je, widział narastające napięcie, widział wszystko oprócz twarzy, które pozostawały wypaczone, zamazane.

Przeszedł przez tłum, prawie się przez niego przedarł, i dotarł na środek ulicy. Obracał się wkoło raz po raz, przypominając sobie, jak wyglądało to wówczas. Wiedział, że należał do tej armii łachmaniarzy, nosił na ramieniu opaskę porządkowego i próbował utrzymać ład. Maggie również tam była, gdzieś z przodu. Wykrzykiwała rytmicznie slogany, a jej nos był jeszcze prosty, niezłamany. I inni, cała reszta.

Sandy skierował się w stronę nieruchomej armii, tej niebieskiej, tej, która czekała bezgłośnie, powstrzymując wściekłość. W kierunku pozbawionych twarzy, oczu i ust cieni w ciemnych mundurach. Wydawało mu się, że ich pałki i pistolety mają w sobie więcej życia niż ich ciała. Zatrzymał się przed nimi.

- Nie - powiedział i cały szereg zwrócił lekko głowy w jego stronę. Poczuł na sobie ciężar bezokich, nieludzkich, pozbawionych wyrazu spojrzeń. - Nie - powtórzył. - Nie róbcie tego. Nie możecie tego zrobić. Nie rozumiecie? To właśnie w tym punkcie wszystko się zmieniło. Oni chcą tylko pokoju, to wszystko Oni i McCarthy. W końcu to tylko dzieciaki. Próbuja zmienić system od środka. Przybyli na konwencję po to, by ich wysłuchano. Tylko po to. Oni nadal wierzą, naprawdę wierzą. Nie zwracajcie uwagi na flagi Wietkongu i cały ten syf.

Nie o to chodzi. Wysłuchajcie mnie. Pamiętam, jak to było. Pracowaliśmy bardzo ciężko i wygraliśmy, kandydaci, którzy chcieli pokoju, Gene i Bobby, zwyciężyli we wszystkich prawyborach, wszystkich co do jednego, kurwa. A mimo to nadal nie chcą ich wysłuchać. Czy tego nie widzicie? Jeśli ich zaatakujecie, jeśli zaczniecie bić, wszystko się zmieni. Staną się twardsi. Przestaną wierzyć. Będzie coraz gorzej i gorzej. To ostatnia szansa, ostatni

moment przed zmianą. Dajcie im przejść. Dobry Boże, dajcie im przejść! - Cienie jednak odwróciły od niego wzrok, przestały go słuchać. Sandy poczuł, że płacze. Uniósł ręce przed siebie, jakby mógł w jakiś sposób powstrzymać nadchodzący atak, rozproszyc przemoc, która narastała wokół niego. - Kurwa, oni nie są waszymi wrogami! - krzyknął na całe gardło. - To wasze dzieci, wy dupki. Jesteśmy waszymi dziećmi!

Było już jednak za późno, za późno. Usłyszał nagle gwizdki i tupot biegnących. Klin niebieskich cieni popędził przez Balbo i uderzył w kłębiącą się armię śpiewającej młodzieży, która rozpięchła się przed nim. Za pierwszym szeregiem podążały następne, a z tyłu i po bokach widać było zamaskowane, pozbawione twarzy cienie Gwardii Narodowej, które rozpostarły się w wielkie, okrążające tłum kleszcze, a potem się zamknęły, ściskając wszystkich razem. W tłumie zapanował chaos. Skupiska widm miały się, próbowały uciekać. Na wietrze przeszłości niosły się słabe krzyki. Nastąpiła krótka chwila spokoju, gdy obie siły odsunęły się od siebie. Sandy znowu usłyszał porządkowych, nawołujących przez swe megafony. Krzyczeli: „Mamy rannych”, wołali coś o punkcie medycznym, a dzieciaki z białymi opaskami medyków klęczały nad pobitymi, krwawiącymi ofiarami. Niektóre z flag upadły, mnóstwo twarzy było teraz czerwonych, czerwonych od krwi, od furii, od gniewu, który będzie narastał przez lata. Porządkowi wołali: „Zachować spokój”. Sandy ujrzał samego siebie. Był tak cholernie, boleśnie młody, nosił nawet marynarkę, co często się zdarzało w ruchu Clean for Gene. Ciemne, starannie uczesane włosy rozczochrały się w zamieszaniu. To nie tak miało być. Wiara już go opuszczała, wiara w to, że wybory mają jakieś znaczenie. Jej miejsce zajmował gniew. Wołał: „Zachować spokój”. Jego głos brzmiał bardzo młodo, tak samo jak głosy innych porządkowych. „Mamy mnóstwo rannych, zachować spokój”. Wołali też inne rzeczy, ale ich słowa zagłuszył śpiew tłumu, który zabrzmiał teraz na nowo, niosąc się echem przez te wszystkie lata. Widmowe głosy, setki, tysiące widmowych głosów połączyły się ze sobą w ogłuszają-

jącym krzyku. „Cały świat patrzy! Cały świat patrzy! Cały świat patrzy! Cały świat patrzy! Cały świat patrzy!”. Wykrzykiwali to raz po raz, raz po raz, wciąż głośniej, głośniej, głośniej i głośniej. I wtedy właśnie krótki rozejm rozprysnął się niczym lustro uderzone kulą, lustro, w którym odbijała się twarz pokolenia. Dlatego, gdy pękło, to oblicze również się

wypaczyło, rozpadło na fragmenty, by już nigdy więcej się nie zrosnąć. Niebieskie cienie gnały naprzód i wiatr ich szarzy na długie lata zdmuchnął świeczkę zdrowego rozsądku. Pałki poszły w ruch - zaczęła się bitwa. Tłukli wszystkich, każdego, kto się nawinął. Tych, którzy śpiewali, i tych, którzy milczeli, tych, którzy szydzili, i tych, którzy błagali, tych, którzy oddawali ciosy, tych, którzy uciekali, i tych, którzy się trwożnie kulili. Katowali dzieci, starsze panie i funkcyjnych w garniturach, porządkowych i personel medyczny, rannych leżących na ulicach i plujących na nich szaleńców, dziennikarzy unoszących legitymacje prasowe w daremnym geście obrony, tych, którzy kryli się za kamerami, same kamery, mężczyzn i kobiety, chłopców i dziewczęta, wszystko, co się ruszało. Cały świat przesłoniły krzyki, tupot nóg, pięści, łoskot pałek i trzask pękających kości. Sandy stał pośrodku skrzyżowania z rękami opadającymi wzdłuż boków i oglądał to po raz drugi, zaciskając bezsilnie pięści. Duchy omijały go ze wszystkich stron, a jeden z nich przeszedł przez niego na wskroś. Nagle ogarnęło go nieprzyjemne poczucie, że to on sam był owym widmem. Zobaczył, że jego młodsze wcielenie krzyczy coś do przenośnej radiostacji. Potem wytrącono mu ją z rąk i uderzyła go pałka. Przyglądał się, jak młodszy Sandy ucieka przez tłum, uchylając się przed ciosami i klucząc. Maggie przeszła chwiejnym krokiem tuż obok. Z rozbitego nosa ciekła jej jasna krew. Bluzkę miała rozerwaną i uśmiechała się szeroko, ściskając w ręku pałkę, którą zdołała jakoś odebrać jednemu z napastników. Otoczyli dziewczynę ze wszystkich stron, wyrwali jej pałkę z rąk. Posypały się razy i Maggie zniknęła mu z oczu. Cały świat patrzył pomyślał. Uniósł wzrok. Wydało mu się, że w oświetlonych oknach budynków widzi twarze, całe szeregi twarzy, spogląda-

jące na jatkę trwającą na ulicach na dole. A nad budynkami świeciły gwiazdy, miliony milionów gwiazd. Sandy spoglądał na nie i nagle każda z nich przerodziła się w oko. Niebo było pełne żółtych, przymrużonych oczu, zimnych i złośliwych, napawających się wypełniającymi noc rozruchami. Nie tylko świat patrzył.

- Nie! - krzyknął Sandy. Potem odsunął się z trwożnym drżeniem, zasłaniając twarz rękami.

Nie wiedział, jak długo tak stał, w końcu jednak strach minął. Sandy z niechęcią opuścił ręce. Gwiazdy były tylko gwiazdami. Widział Oriona. Noc była zimna, wiał wiatr, a na ulicach Chicago było pusto.

No pewnie, że pusto - pomyślał. Cały czas było tu pusto. Minęły długie lata i wszystko, czego był świadkiem, dawno już minęło. Było martwe, rozproszyło się na wietrze i mało kto już o tym pamiętał.

Wrócił znużonym krokiem do Hiltona. Był sam, a ręce wcisnął głęboko w kieszenie.

Wziął klucz od recepcjonisty. Przenieśli go na siedemnaste piętro. Pokój niemal niczym nie różnił się od tego, z którego uciekł, ale z jakiegoś powodu wydawał mu się zupełnie inny. Mimo to Sandy nie mógł zasnąć. Odsunął roletę w oknie i siedział, spoglądając na jezioro, aż do chwili, gdy niebo na wschodzie pojaśniało. Wtedy poczuł się nagle bardzo zmęczony. Rozebrał się i położył do łóżka.

Zapomniał zamówić budzenie. Gdy wreszcie się ocknął, była prawie trzecia po południu; wydarzenia minionej nocy wydawały się tylko złym snem. Sandy był pewien, że był to po prostu długi koszmar, ale gdy otworzył drzwi i spojrzął na numery pokoi, przekonał się, że przebywa na siedemnastym piętrze. Zamknąwszy drzwi, oparł się o nie z zaszępioną miną. Doszedł do wniosku, że z pewnością jest przemęczony. Pokonał zbyt wiele mil i miał za mało snu.

Zimny jak lód prysznic zmył z niego resztki nocy; Sandy wyszedł spod niego zdeterminowany pozostawić za sobą swe osobiste duchy i zabrać się do roboty. Włożył czystą parę dzinsów

i gruby sweter, a potem odszukał na żółtych kartkach adres agencji Larka Ellyna. Gdy opuścił hotel, była za piętnaście czwarta. Agencja mieściła się przy Michigan Avenue. Sandy'emu nie chciało się szukać miejsca do parkowania, pojechał więc taksówką.

Biuro Ellyna znajdowało się na najwyższym piętrze. Na podłodze poczekalni leżał kosztowny dywan, na którym ustawiono wygodne krzesła. Za wielkim biurkiem z orzecha siedziała ładna, ciemnowłosa kobieta, która sprawiała wrażenie urodzonej do takiego właśnie środowiska. Sandy nie potrafił wyobrazić jej sobie w żadnym innym otoczeniu.

- Ja do pana Ellyna - poinformował ją.

- Jest pan umówiony? - zapytała.

- Nie - przyznał. - Ale na pewno mnie przyjmie. Jestem jego starym kumplem. - Może i trochę przesadził, ale zawsze... - Niech mu pani powie, że przyszedł Sandy Blair.

- Proszę, niech pan spocznie.

Po kilku minutach z wewnętrznego labiryntu agencji wychynął Lark Ellyn. Bardzo się zmienił, ale zarazem wyglądał tak samo. Zamiast dzinsów, T-shirtu i kamizelki miał na sobie trzyczęściowy brązowy garnitur i krawat w paseczki. Opaska na głowę zniknęła, podobnie jak wąsy, a włosy, które kiedyś próbował czesać w białasowską imitację afro, były teraz strzyżone z modelowaniem. Mimo to człowiek wewnątrz tego nowego munduru był nadal ten sam. Niski, szczupły, o kościstej twarzy, zadartym nosie, zdrowych, kasztanowych włosach i wąskich brwiach. Jego krok również się nie zmienił, a gdy tylko wszedł do pokoju, Sandy poczuł otaczającą go aurę świadomego skupienia, którą tak dobrze pamiętał.

Zauważywszy Sandy'ego, Lark wsparł dłonie na biodrach i uśmiechnął się. Uśmiech Larka Ellyna zawsze miał w sobie coś lekko drwiącego. To był ostry uśmiech, pełen poczucia wyższości, i zawsze zjawiał się na jego twarzy, gdy Lark miał zamiar wygłosić jakąś zjadliwą, krytyczną uwagę. Czasami tylko się uśmiechał, nic nie mówiąc. Efekt był ten sam. Ten uśmiech miał wywołać wrażenie, że słowa krytyki są tylko dobrodusznym żar-

tern, a Lark nie miał zamiaru urazić rozmówcy. Było to prawdą, lecz tylko w części. Sandy już dawno doszedł do tego wniosku. Gdy znowu ujrzał ten uśmiech, przypomniał sobie, dlaczego właściwie nigdy się zbytnio nie lubili z Ellynem.

- Blair - odezwał się Ellyn. - To na pewno mój szczęśliwy dzień. - Omiótł Sandy'ego spojrzeniem. - Widzę, że trochę przytyłeś. Wyglądasz okropnie.

- Ja też się cieszę, że cię widzę - odparł Sandy, wstając z krzesła.

Ellyn skrzyżował ramiona na piersi.

- Czy mogę ci w czymś pomóc?

- Właściwie to nie - przyznał Sandy. - Przyjechałem tu, bo pracuję nad artykułem, i pomyślałem sobie, że mógłbym do ciebie zajrzeć. Maggie mi to zasugerowała.

- Maggie Sloane?

- Nie, Maggie Thatcher - warknął Sandy. - Pewnie, że Maggie Sloane. Kurde, Lark...

- Steve - poprawił go pośpiesznie Ellyn. - Posłuchaj, już prawie na dzisiaj skończyłem. Czy nie zaczekasz paru minut, żebym mógł załatwić robotę? Potem skoczmy gdzieś na drinka.

- Świetnie - zgodził się Sandy. Usiadł z powrotem na krześle i zaczął studiować czasopismo.

Zanim Lark Ellyn wrócił, Sandy zdążył już przeczytać wszystkie ciekawe artykuły, a także kilka takich, które nie były zbyt interesujące.

- Przepraszam, że kazałem ci czekać - rzucił Ellyn. W rękę trzymał skórzaną teczkę. - Pojawiło się coś, z czym nie mogłem zwlekać. Mam teraz spore obroty. Równe półtora milionika. Muszę pilnować, żeby klienci byli zadowoleni. - Poprowadził Sandy'ego w stronę wind. - Mówisz, że pracujesz nad artykułem? To znaczy, że nadal jesteś bojaźliwym dziennikarzem?

- Właściwie zostałem teraz bojaźliwym powieściopisarzem - wyjaśnił Sandy, gdy Ellyn nacisnął guzik. - Wydałem już trzy książki.

Drzwi windy otworzyły się.

- Hej, to świetnie - rzucił Ellyn, gdy wchodzili do środka. - Obawiam się, że o nich nie słyszałem. Mam tu mnóstwo roboty i brakuje mi czasu na popularną literaturę. Wiesz, jak jest.

- Kurde, wiem - zgodził się Sandy. - Zresztą z prób bycia na bieżąco z popularną

literaturą nic dobrego nie wynika. Masz szczęście, że nie musisz tego robić.

Ellyn uśmiechnął się, unosząc wąskie, ciemne brwi.

- Ten sam stary Sandy. Sandy również wyszczerzył zęby.

- Ten sam stary Lark.

Z twarzy Ellyna zniknął uśmiech.

- Posłuchaj, Sander, skończ z tym Larkiem. Nazywam się teraz Steve, chyba że wolisz mi mówić „panie Ellyn”.

- Nie ja, szefie - odparł Sandy.

- Już za młodu nasłuchałem się dosyć żartów ze swojego imienia. Mam tego powyżej uszu. Muszę dbać o pozycję. Wszyscy myślą, że moje pierwsze imię brzmi Lawrence. Przyjaciele mówią mi Steve. Zrozumiałeś, Blair?

- Nie, Lark. Uśmiech powrócił.

- Tak trzymać. - Wyszli do holu. - Skoro odbębniliśmy już ten nieprzyjemny temat, to może skoczylibyśmy na Rush Street na drinka? W Archibald's dają o tej porze dwa w cenie jednego.

- Chcesz iść do baru na Rush Street? - zapytał zdeprimowany Sandy. - Wszyscy wiedzą, że tam jest pełno stewardes, sekretarek i kierowników księgowości w średnim wieku w trzyczęściowych garniturach.

- To za wielki szyk dla ciebie, Blair? - zapytał Ellyn.

- Prowadź - zgodził się Sandy.

Bar był wciśnięty między dwa inne, a we wszystkich trzech panował tłok. W wąskim pomieszczeniu roilo się od ludzi, którzy sprawiali wrażenie, że znają się nawzajem. Ellyn zwrócił się do barmana po imieniu i pomachał ręką do trzech kobiet siedzących przy stoliku pod tylną ścianą. Znaleźli wolne krze-

śla pod oknem wychodzącym na ulicę. Sandy zamówił piwo, a L. Stephen Ellyn dzin z tonikiem. Obaj dostali po dwa.

- Tę kolejkę ja stawiam - oznajmił Ellyn.

- Jeśli chcesz kłótni, znalazłeś sobie nieodpowiedniego kandydata - stwierdził Sandy, pociągając łyk z kufła.

Ellyn zdjął krawat i wcisnął go sobie do kieszeni, a potem rozpiął guzik pod szyją. W jego oczach widziało się ten sam wyraz skupienia, który Sandy pamiętał z dawnych lat. -

- Kopę lat, Blair.

- Prawie dziesięć.

Ellyn skinął głową z uśmiechem.

- Nie mogę twierdzić, żebym się za tobą stęsknił. Sandy wyszczerzył zęby.

- Teraz się zacznie - ciągnął Ellyn. - Zgodnie ze scenariuszem powinienem ci opowiedzieć o swoim życiu, a potem ty mnie o swoim. Później, gdy już się należycie znudzimy, obaj zamówimy kilka dalszych kolejek i zaczniemy wspominać dawne, dobre czasy, wszystkie nasze szalone wyskoki. Ja opowiem ci o wspólnych znajomych, z którymi pozostaję w kontakcie, mimo że ty prawie już o nich nie pamiętasz i w ogóle cię to nie obchodzi, a ty odwzajemnisz mi się tym samym. Narąbimy się jak głupi i wrócimy do domu, trzymając się pod rękę, a przy rozstaniu solennie sobie obiecamy, że tym razem nie stracimy kontaktu. Może wyślę ci kartkę na Boże Narodzenie. Ty, jako hipis, nie uznajesz bożonarodzeniowych kartek, więc tego nie zrobisz. Dlatego skreślę cię z listy i już nigdy się nie zobaczymy. A za kilka lat jeden z nas przeczyta nekrolog w gazetce dla absolwentów. - Uśmiechnął się. - Tak wygląda ten scenariusz, prawda?

- Nie sprawiasz wrażenia zachwyconego swoją rolą - zauważył Sandy.

Ellyn znowu uśmiechnął się drwiąco i pociągnął długi łyk dzinu z tonikiem.

- Sentymentalizm mnie nudzi. Możesz mnie nazywać cynikiem.

- Jesteś cynikiem - zgodził się Sandy.

- Widzę, że twój dowcip nie stracił na ostrości od czasów Northwestern College - stwierdził Ellyn. - Mam nadzieję, że oszczędzisz mi powiązanych z nim mądrości.

- Mądrości?

Ellyn wykonał krótki, niecierpliwy gest lewą dłonią.

- No wiesz, Blair. Przyjacielskiego zatroskania tym, co się ze mną stało. Protekcyjnych uwag na temat mojego stylu życia. Złośliwych docinków, że się sprzedałem. Dowcipów o szarych, flanelowych garniturach. Apeli do mojego młodzieńczego idealizmu. A wszystko to wygłosisz tonem pobłażliwego zdumienia tym, jak bardzo się zmieniłem, przerywając swą przemowę wypowiedzianymi namiętym tonem zapewnieniami, że nie potrafisz uwierzyć, iż pracuję w agencji reklamowej, nie potrafisz uwierzyć, że mieszkam w Wilmette, nie potrafisz uwierzyć, że posiadam akcje i nieruchomości, noszę trzyczęściowy garnitur i piję w barach dla samotnych na Rush Street. Po prostu nie potrafisz w to wszystko uwierzyć, nie ja, nie Lark, nie sławny radykał z sześćdziesiątego ósmego. - Uniósł jedną brew w ironicznym grymasie. - Widzisz, Blair, ja już znam cały ten tekst, więc oszczędź nam obu czasu i nie wygłaszaj go.

- Czyżbym wyczuwał w twoich słowach lekką nutę obronną?

- Mylisz się - warknął Ellyn. - Nie próbuję bronić wyborów, których dokonałem. Po prostu nudzi mnie już to wszystko, Blair. Słyszałem już całą tę śpiewkę od twojej przyjaciółki

Maggie i ona nie była pierwsza. Wszystko to stare i niemodne. Wspominanie dawnych, złotych czasów nigdy nie było w moim stylu. Dlatego daruj to sobie, nawet jeśli sprawia ci to ból. Wiem, że właśnie po to chciałeś się ze mną spotkać.

- Ach, więc to był powód - zdziwił się Sandy. - Ciężko się nad tym zastanawiałem.

- Tylko dlatego, że nie przemyślałeś sprawy. Nigdy tego nie robiłeś. Widziałeś się z Maggie, tak? A ona opowiedziała ci o mnie. I dlatego nagle pojawiłeś się pod moimi drzwiami, wyglądając jak uciekinier z pokojowej demonstracji. Zapragnąłeś zobaczyć się ze mną po raz pierwszy od dziesięciu lat. Po cóż

miałbys to zrobić? Chciałeś popatrzeć na mnie z wyższością, Blair. Chciałeś poczuć się ode mnie lepszy na swój młodzieńczy, naiwny sposób. Nigdy nie byliśmy ze sobą blisko. To nie przyjaźń cię tu skierowała, kolego. Nie tylko masz pusto w głowie, ale do tego jeszcze łatwo cię przejrzeć. - Oparł się wygodnie i zakręcił leniwie płynem w szklance. Uśmiechał się, zadowolony ze swojej przemowy. - I co ty na to?

Sandy dokończył pierwszy kufel i sięgnął po drugi, unosząc go w toaście na cześć Ellyna.

- Jesteś niezły - przyznał.

- Słucham? Nie zaprzeczysz z pasją moim słowom?

- Nie zaprzeczę - przyznał Sandy po chwili zastanowienia. - W tym, co powiedziałeś, kryje się odrobina prawdy. Sam nie zdawałem sobie z tego sprawy, ale masz rację. Zawsze wiedziałem, że jesteś ćwokiem, choć potrafiłeś się biegle maskować. Cieszyłem się na myśl, że ujrzę cię takiego, jakim jesteś naprawdę.

Ellyn wyszczerzył zęby w grymasie zwycięstwa.

- Pewnie myślałem, że będziesz się wstydził - ciągnął Sandy. - No bo w zasadzie powinienes. Jesteś chodzącym banałem, La... Steve. Najczystszy przypadek dawnego kontrkulturowca, który się sprzedał. Agencja reklamowa! Doprawdy, jak daleko można się posunąć w sztampie? No wiesz, po cichu spodziewałem się, że spróbujesz mi wmówić, iż przeszedłeś do podziemia, by pomóc rewolucji.

- Ale ja naprawdę pomagam rewolucji - odparł Lark z chytrym uśmieszkiem. - Nie dalej jak w zeszłym roku zajmowałem się nowym, rewolucyjnym dezodorantem.

- Do tego kradniesz mi teksty - poskarżył się Sandy z pełnym żalu podziwem. - Masz to wszystko opracowane, prawda? Rozwaliliś mój okręt w drzazgi, nim zdążyłem zdjąć brezent z dział.

- Chyba trochę wytrąciłem cię z równowagi, Blair. Chcesz się jeszcze napić?

- Nie - odparł Sandy. Oparł się niedbale na krześle i wbił w Ellyna ponure spojrzenie,

czekając na sygnał do następnej run-

dy. Nagle poczuł się bardzo zmęczony. - Schowaj noże, Lark. Brak mi dziś na to siły. Miałem ciężką noc. Tylko mnie oświeć, dobra? Co się wydarzyło? W jaki sposób Lark stał się L. Stephenem? To mnie ciekawi.

Przyniesiono następną kolejkę. Ellyn wziął w rękę trzeci dzin z tonikiem, pociągnął łyk, uśmiechnął się, pociągnął drugi i odstawił szklankę.

- To był prosty proces, Blair. Ten sam, który zamienia wszystkich Willych w Williamów, a Bobbych w Robertów. Dorosłem. To się nazywa dojrzałość.

- Dojrzałość - powtórzył Sandy bezbarwnym głosem. To było jedno z ulubionych słów Sharon. Używała go zawsze, gdy w ich domu z elewacją z piaskowca wybuchała paskudna kłótnia. Sandy go nienawidził.

- Byłem typowym chłopakiem kochającym pokój i wolność - kontynuował Ellyn. - Ale po ukończeniu college'u dla mnie ten styl życia szybko stracił urok. Zrozum, Blair, życie z dnia na dzień może wydawać się fajne i romantyczne, kiedy ma się dwadzieścia lat, ale w wieku dwudziestu pięciu lat staje się nudne, trzydziestu przygnębiające, a czterdziestu wręcz groteskowe. Zaczyna ci brakować tych wszystkich typowych dla klasy średniej wygód, którymi gardziłeś, gdy byłeś głupim dzieciakiem. Lata sześćdziesiąte to był żart. Myliliśmy się pod każdym względem. Byliśmy rozpieszczonymi, pyskatymi dzieciakami. Nie mieliśmy pojęcia o świecie i życiu. Rewolucja! Daj spokój! To był tylko głupi żart. Nigdy nie było szans na żadną rewolucję.

- Nie mogę temu wszystkiemu zaprzeczyć - przyznał Sandy. - Ale to ty byłeś rewolucjonistą, Lark. Ja działałem w ruchu Clean for Gene, popierałem pokojowych kandydatów. Chciałem zmienić system od środka, pamiętasz? Lecz ty tego nie uznawałeś. Mówiłeś, że to strata czasu. Twierdziłeś nawet, że w ten sposób pomagamy w utrzymaniu maszyny burżuazyjnego ucisku, ponieważ tworzymy wrażenie, że system działa. Powtarzałeś, że wszystko musi się zawalić, im prędzej, tym lepiej. Sugerowałeś nawet, żebyśmy wybrali faszystów.

- Byłem niedojrzałym dupkiem - usprawiedliwił się Ellyn.

- A teraz jesteś dojrzałym dupkiem - warknął Sandy.

- Przynajmniej się zmieniłem.

- Wiesz co - zauważył Sandy - to właśnie jest w tym wszystkim najzabawniejsze. Wcale się nie zmieniłeś. Nie naprawdę. Ja się zmieniłem, nawet jeśli nie potrafisz tego zauważyć. Maggie się zmieniła. Pewnie zajrzę też do Bambi, Łajzy i Żabcia i założę się, że oni wszyscy się zmienili. Ale ty nie.

- Masz coś nie w porządku z oczyma, Blair - zauważył Ellyn i pociągnął się z uśmiechem za klapę drogiej marynarki.

- To tylko powierzchwnia i świetnie o tym wiesz. Wewnątrz nie zmieniłeś się ani trochę. Kiedy moda kazała być radykałem, ty byłeś radykalniejszy od wszystkich. Chociaż, jeśli się nad tym zastanowić, sam nigdy nie podejmowałeś ryzyka, prawda? W kartotece L. Stephena nie ma ani jednego aresztowania, he? A teraz oczywiście modny jest sukces, więc ty musiałeś odnieść większy niż ktokolwiek inny. Zwłaszcza niż ja, co?

- Sam to powiedziałaś, Blair. Nie ja. Nasz świat opiera się na rywalizacji. Ja wygrałem, a ty przegrałaś.

Tego już było za wiele. Tym razem Sandy naprawdę się wkurzył.

- Dla ciebie to zawsze była rywalizacja, Lark. Nawet wtedy, gdy wszyscy byliśmy mocno przeciwni rywalizacji, ty musiałeś być bardziej przeciwny niż cała reszta. Jesteś łgarzem, Lark, i to się nie zmieniło, więc nie wciskaj mi kitu o dojrzałości. Zawsze byłeś łgarzem.

- Ale jestem łgarzem, który ma sześciocyfrową pensję, mieszka w drogim domu i jeździ wielkim samochodem - zauważył Lark.

- Ja mam mazdę RX-7. Chcesz się ścigać, palancie? Ellyn parsknął śmiechem.

- Och, bomba - skwitował. - I kto tu mówi o młodzieńczej rywalizacji!

- Ty cały czas śpiewasz tę samą piosenkę - zauważył Sandy. - Po prostu chciałem obyć się bez całej tej ironii i wyrafinowanej subtelności.

- Sandy, chyba wiesz, że sportowy samochód to bardzo szampowy sposób na potwierdzenie swej męskości w obliczu zanikającej potencji. Jaki kolor ma ten twój superpotężny fallus?

- Pierdol się - warknął Sandy. - Twoja rola nie trzyma się kupy. Ten docinek to był czysty Lark. L. Stephen sam powinien mieć sportowy samochód. Co najmniej maserati. Wiesz co, w dawnych czasach nigdy nie potrafiłem zrozumieć, co właściwie do mnie masz, dlaczego zawsze próbujesz mnie umniejszyć. Ale teraz jestem już wystarczająco dojrzały, żeby cię przejrzeć.

- Słucham. To fascynujące.

- To była zazdrość - wyjaśnił Sandy.

- Zazdrość? - zapytał ze śmiechem Ellyn. - Ja miałbym ci zazdrościć?

- Zazdrość i brak poczucia bezpieczeństwa - uściślił Sandy. - Byłem dłużej od ciebie z Maggie, czy o to chodzi? A może o coś innego? Czy może po prostu czułeś się w głębi duszy tak mały, że musiałeś uważać, aby nikt inny cię nie przerósł? Twoje imię też nie było bez

znaczenia, prawda? W dzieciństwie wszyscy się z ciebie nabijali, gdy tylko się im przedstawiłeś, więc nauczyłeś się atakować pierwszy, żeby nie musieć się bronić. Chodziło o to, żeby wytrącić ich z równowagi, tak?

- Jesteś piękny, kiedy się gniewasz - rzucił z przekąsem Ellyn. - Nie przerywaj. Uwielbiam amatorską psychoanalizę Masz niezłą wyobraźnię. Powinieneś pisać powieści.

Sandy wysączył z kufła resztkę piwa i wstał z krzesła.

- To właśnie robię - przypomniał. - W gruncie rzeczy, umieściłem cię w *Poszukiwaniach Kaseya*. Policja pobiła cię na śmierć.

- Hę? - zapytał Ellyn ze zdziwioną miną. - Zabili tylko dziew...

Uświadomił sobie, co mówi, i przerwał raptownie.

- Postać nazywała się Sarah - wyjaśnił Sandy. - Myślałem, że nie masz czasu na literaturę popularną.

Sławetny uśmiezek Ellyna skwaśniał szybciej niż mleko wystawione na pustynne słońce. Na twarzy Larka pojawił się głębo-

ki rumieniec. Kiedy tak siedział w swym trzyczęściowym garniturze, trzymając w dłoni drinka, nagle wydał się żaloszny.

- Nie masz prawa mnie osądzać, Blair - oznajmił zimno.

- Nie muszę tego robić - skontrolował Sandy. - Sam siebie osądzasz. Ale lepiej sobie uświadom, że zamiana czerwonej książeczki Mao na żurnal mody nie zrobi z ciebie lepszego człowieka.

To był świetny tekst na pożegnanie. Sandy opuścił lokal.

Na Rush Street pełno było podpitych ludzi, którzy skorzystali z podawanego po niższych cenach alkoholu. Bez wyjątku były to młode, szykowne kobiety i młodzi, elegancy mężczyźni, którzy jednak szybko się starzeli. Sandy wsadził ręce do kieszeni i ruszył w stronę hotelu. Czuł się doszczętnie wyczerpany. Nie tylko duchy, które widział nocą na ulicach, były skazane na toczenie wciąż tej samej walki.

Osiem

*

Kto uwierzy w obietnicę, której nie musisz dotrzymać? Nie patrz na mnie, nie ty ani nie ja.

W hotelu czekała na Sandy'ego różowa karteczka z zawiadomieniem o telefonie. Popatrzył na nią bez zrozumienia. Dzwonił do niego Jared Patterson. Z pewnością chciał mu przekazać informacje o Edanie Morsie. Niewykluczone, że Jared wygrzebał coś naprawdę dużego, skoro do niego zadzwonił, zamiast wysłać list ekspresem. Sandy nie miał jednak w tej

chwili siły na rozmowę. Zmiał zawiadomienie i wrzucił je do jednej ze stojących w holu popielniczek.

Gdy tylko wrócił do pokoju, zrzucił buty, włączył telewizor i zamówił kolację. Było tu drogo, ale w końcu płacił za niego Jared. Wręczył boyowi spory napiwek i zaczął oglądać powtórkę „Happy Days”, pozerając jednocześnie wykwintnie przyrządzonego kurczaka. Richie i Potsie mieli mnóstwo problemów, ale pod koniec półgodzinnego odcinka Fonz zdołał wszystkie rozwiązać. Sandy żałował, że nie zna Fonza. Rzecz jasna, pamiętał z lat pięćdziesiątych chłopaków podobnych do niego, ale na ogół woleli oni skopać mu tyłek, niż rozwiązywać jego problemy. Gdy pił kawę, zaczęły się wiadomości. t Sandy wyprostował się nagle na krześle. - Policja stanu Maine zawiadomiła o aresztowaniu winnego w sprawie makabrycznego zabójstwa dawnego rockowego promotora Jamiego Lyncha - mówiła mdła, jasnowłosa prezenter-

ka. Sandy gapił się na obraz widoczny za jej ukrytym pod pięknie skrojoną suknią ramieniem. Dwóch funkcjonariuszy popychało wielkiego, ciemnowłosego mężczyznę w kurtce w szkocką kratę w stronę kamery i czekającego na niego radiowozu. Jednym z policjantów z pewnością był David („Mów mi Davie”) Parker. Potem pojawił się nowy obraz. Tego samego faceta prowadził do więzienia Szeryf Notch Theodore, otoczony zwykłym w takich przypadkach tłumkiem dziennikarzy. Prezenterka gadała na ten temat przez całą minutę, po czym beztrąsko przeszła na historię o ciężarnej pandzie. Sandy niczego się nie dowiedział i był zdrowo poirytowany na telewizję. Wyłączył telewizor, znalazł w portfelu kartkę z numerem Parkera i zadzwonił do niego.

Sygnal zabrzmiał sześć razy, nim zastępca szeryfa podniósł słuchawkę.

- Słucham?

- Przed chwilą widziałem w telewizji dziwaczny materiał

- poinformował go Sandy. - Z początku myślałem, że to powtórka *McClouda*. Ale nagle patrzę, nie, to Davie Parker. Co to był za syf, do cholery? Kim był ten facet?

- Tak właśnie sobie myślałem, że do mnie zadzwonisz, Blair

- odparł Parker miłym tonem. - Ten facet, jak go nazwałeś, to niejaki Paul Lebeque. Dzisiaj aresztowaliśmy go za zamordowanie Lyncha. To kanadyjski robotnik sezonowy, wynajmujący się do pracy na farmach. No wiesz, francuskojęzyczny. Tutaj też mamy nielegalnych imigrantów.

- Nie obchodzi mnie, w jaki sposób zarabia na życie. Powiedz mi, co go łączy z Jamiem?

- Lyncha coś łączyło raczej z siostrą Lebeque'a niż z nim samym, jeśli rozumiesz, co

mam na myśli.

Sandy zmarszczył brwi.

- Była jego dziewczyną?

- Tylko na jedną noc. To stara historia. Ładne dziecko, miała może z osiemnaście lat. Lynch gdzieś ją spotkał, zabrał na jedną ze swych bibek, dał jej koki, zaciągnął do łóżka i zapomniał o niej. Musiała sobie zrobić skrobankę. Jej brat się o tym

dowiedział. Przez kilka ostatnich tygodni opowiadał w barach po obu stronach granicy, co zrobił z tym skurwysynem bez serca, który wyruchał, a potem porzucił jego małą siostrzyczkę. Kapujesz? „Skurwysynem bez serca”.

- Kapuję - potwierdził Sandy. - Nie wierzę w to, ale kapuję. Pieprzony robotnik sezonowy? Broniący reputacji siostry? Daj spokój, Parker? Kupiłeś to?

- Notch to kupił. On jest szeryfem, pamiętasz? Ja jestem tylko zastępcą.

- A co z tymi twoimi podchwytliwymi pytaniami? Płyta na gramofonie, plakat? Czy ten cały Lebeque znał odpowiedzi?

- Powiedział, że płyta już grała, kiedy przyszedł. Nawet nie zauważył, co to było. Nastawił muzykę głośniej, żeby nikt nie usłyszał krzyków Jamiego. A jeśli chodzi o plakat, twierdzi, że wcale go nie zdejmował. Lynch go zdjął, z jakiegoś powodu. Leżał już na biurku.

- A po co sznury? - nie ustępował Sandy. - Po co cała ta rytualna heca?

- Lebeque mówi, że chciał, aby Lynch wiedział, co go czeka, żeby czuł się przed śmiercią bezradny i przerażony.

- Nie - sprzeciwił się Sandy. - Nie, nie, nie! Wszystko to lipa i ty o tym wiesz, Parker. A co z datą? Z faktem, że to była rocznica zabójstwa w West Mesa?

- Zbieg okoliczności - odparł Parker.

- A co z pożarem lokalu Świstaka Johna w New Jersey?

- Nie ma związku z naszą sprawą.

- Nie wierzę - upierał się Sandy. - To śmieszne. Wiesz cholernie dobrze, że zabójstwo Lyncha coś łączy z The Nazgul.

- Sprawdzaliśmy. Wszyscy ci trzej muzycy mają alibi. Notch doszedł do wniosku, że nie należy ich wiązać ze sprawą.

- Co za głupie, kretyńskie...

- Nie ma co ciskać gromów, Blair - przerwał mu Parker. - Posłuchaj - dodał po chwili - jeśli mnie zacytujesz, wszystkiemu zaprzeczę, ale, prawdę mówiąc, uważam, że masz rację. Lebeque to nieprzyjemny typ, ale ma też lekkiego świra. Nie

sądzę, by był winny, choć z chęcią przypisze sobie zasługę. Notch zadawał mu pytania

w taki sposób, że każdy potrafiłby udzielić przekonujących odpowiedzi. Mówię o tej płycie i o plakacie. No wiesz, on nie chce przez całe życie być szeryfem. Chciałby się ubiegać o jakiś stanowy urząd, a jeśli rozwiąże sprawę tak szybko, wiele osób zwróci na niego uwagę.

- Ale ten facet jest niewinny!

- Nie wiesz tego na pewno - zauważył Parker. - Tylko to podejrzewasz. Ja również. Ale nie możemy nic w tej sprawie zrobić. Notch jest zadowolony, Lebeque siedzi w pace i zamykamy sprawę.

- Niech to szlag - rzucił z wściekłością Sandy. - No dobra, róbcie, co chcecie, głąby, ale ja nie porzucę tej sprawy. A kiedy wykryję prawdziwego zabójcę, wyjdziecie na niezłych durniów.

- Masz coś? - zainteresował się Parker.

- Właściwie nie - przyznał Sandy. - W każdym razie niewiele. To tylko przeczucie.

Wszystkie moje instynkty...

- Notch nie bardzo wierzy w instynkty.

- Mam nazwisko - wyznał Sandy.

- Gadaj.

- A niby po co? Co to da? Macie Lebeque'a za kratkami, macie motyw i przyznanie się do winy. Czemu miałoby cię to obchodzić?

- W zasadzie nie powinno - przyznał Parker. - Ale obchodzi. Notchowi to się nie spodoba, ale jestem skłonny współpracować z tobą w tej sprawie.

Sandy zawahał się. Jeśli Parker mówił szczerze, mógł mu się przydać. Postanowił mu zaufać.

- No dobra - rzucił. - To nie jest wiele, ale warto to sprawdzić. Edan Morse.

Parker powtórzył nazwisko.

- Kto to jest? - zapytał.

- Promotor, czy może kandydat na promotora - wyjaśnił Sandy. - Chciał doprowadzić do połączenia się The Nazgul

i Lynch stał mu na drodze. Nie potrafię ci powiedzieć nic więcej. Maggio miał wielkie opory przed mówieniem o nim.

- Hmm - mruknął Parker. - Ciekawe. Jego nazwisko wydaje mi się skądś znajome. Pewnie to jeden z pół miliona facetów, których listy Lynch przechowywał w swej kartotece. Sprawdzę to i skontaktuję się z tobą.

- W porządku.

Sandy odłożył słuchawkę, nadal czując się oszukany. Nie ma rady, będzie musiał

porozmawiać również z Jaredem. Równie dobrze mógł to zrobić teraz. Wykręcił numer.

- Pewnie słyszałeś już wieści? - zapytał Jared niemal jowialnym tonem.

- Aha. I co z tym raportem o Morsie, o który prosiłem?

- Ach, to. Nieważne. Kazałem paru dziewczynom sprawdzić to dziś rano, ale nic nie znalazły. Nie ma go w kostnicy, a nasz muzyczny redaktor nigdy o nim nie słyszał.

- I pewnie nie przyszło ci do głowy, żeby kazać reporterom podzwonić po ludziach?

- Podzwonić? A niby do kogo?

- Och, na przykład do promotorów, agentów, rockowych wokalistów, kierowników studiów nagrań. Na początek.

- Hej, „Hedgehog” jest biblią rocka, Sandy. Jeśli my o nim nie słyszeliśmy, to nikt o nim nie słyszał. A poza tym, kiedy się dowiedziałem o aresztowaniu, kazałem im zapomnieć o sprawie. Jaki byłby w tym sens?

- Taki, że ci kretyni zamknęli niewłaściwego faceta. Lebeque tego nie zrobił.

Jared ożywił się nieco.

- Nie zrobił? Hej, to bomba! Jeśli potrafisz tego dowieść, będziemy mieli świetny materiał.

- Nie potrafię. Na razie.

- A co właściwie masz?

- Podejrzenia - odparł Sandy. - Przeczucia. Zaufaj mi.

- Mam ci zaufać? - przeraził się Jared. - Posłuchaj, nie mogę podjąć takiego ryzyka tylko na podstawie twojego przeczucia.

- „Hog” zdobył sławę dzięki podejmowaniu ryzyka.

- To było dawno. Teraz jesteśmy szanowanym pismem. Nie piszemy o nich „świnie”, tylko „policja”. Słuchamy tego, co mówią. Twierdzą że złapali faceta, który zabił Jamiego Lyncha, i jestem skłonny im uwierzyć. Wiem, jak ciężko nad tym pracowałeś, serce mi pęka na myśl, że nic z tego nie wyszło, ale musisz się pogodzić z faktami. Twoja teoria o związku sprawy z The Nazgul jest martwa jak Elvis. Daj sobie z tym spokój. Coś ci powiem. Jeśli ruszysz tyłek z powrotem do Maine, może uda ci się przeprowadzić wywiad albo coś i damy radę sklecić jakiś tekst. Chciałbym go dostać na wtorek, żeby mógł pójść w przyszłym tygodniu, ale mogę ci nawet dać dodatkowy tydzień, jeśli go potrzebujesz. Zgoda?

- Gryź się w dupę, Jared. Nie jadę do Maine. Jadę do Nowego Meksyku, porozmawiać z Peterem Faxonem. I napiszę to tak, jak się umawialiśmy.

- Nie, Sandy - sprzeciwił się Jared. W jego głosie pojawiła się nuta chłodu. - Musimy dbać o reputację.

- Jared, właśnie takie kawałki stworzyły to pismo! Gliny aresztowały niewłaściwego faceta! Tym lepiej dla nas! W dodatku to imigrant. Ucisk mniejszości, tak? Jeśli ich zdemaskujemy, będzie prawdziwa sensacja. Robiliśmy już takie rzeczy.

- Gdybyś miał coś konkretnego, to by brzmiało niezłe. Ale nie masz. Hej, ja też lubię bombowe, sensacyjne materiały, ale jeśli możesz tylko powiedzieć: „Zaufaj mi”, to nie zamierzam wyłożyć kupy forsy na nostalgiczny kawałek o starym zespole rockowym. Bez związku z Lynchem to bezwartościowy syf. Dlatego jeśli chcesz dostać forszę, lepiej wracaj do Maine.

- Zrobię wszystko zgodnie z planem - upierał się Sandy. - Tak jak się umawialiśmy.

- Jak sobie chcesz - odparł Jared. - Może komuś to sprzedasz. Życzę powodzenia.

- Sprzedałem to „Hedgehogowi”. Jared parsknął śmiechem.

- Lepiej na to nie licz.

- Mamy kontrakt - oznajmił sztywnym tonem Sandy.

- Zrywam go - warknął Jared. - Możesz mnie podać do sądu. W końcu dostaniesz swoje pięćset dolców, ale wydasz na adwokatów dziesięć razy więcej.

Znowu ryknął ochryplym, szyderczym śmiechem, na dźwięk którego Sandy odsunął się aż pod ścianę. Potem odłożył słuchawkę.

Sandy siedział bez ruchu, słuchając sygnału.

- Nie wierzę w to - powiedział głośno sam do siebie. Kurwa, nie wierzę!

Walnął gniewnie słuchawką o widelki. Siedział bezradny na brzegu łóżka, zaciskając gniewnie pięści. Przyszło mu do głowy, że mógłby zadzwonić do Sharon, ale powstrzymał się w porę. Powiedziałyby mu, żeby wrócił do domu i zabrał się do pracy nad powieścią. Po cholere mu to wszystko? Może rzeczywiście powinien wrócić. Gliny twierdziły, że złapały zabójcę Lyncha, a on stracił kontrakt na artykuł. Być może nadeszła pora, by rzucić ręcznik na ring. Wszystko to od samego początku było pomyłką. Sharon wściekła się na niego, Alan również, a z całego jego dochodzenia nie wynikło nic dobrego, poza być może słodkogorzkiem spotkaniem z Maggie. Co próbował udowodnić?

Na Brooklynie czekało na niego normalne życie. Być może nadszedł już czas, by się ustatkować. Musiał skończyć stronę trzydziestą siódmą i przejść do trzydziestej ósmej. Tak właśnie postąpiłby rozsądny, racjonalny, dojrzały człowiek. Sandy’emu chciało się rzygać na samą myśl. Powieść okaże się zupełną klapą i świetnie o tym wiedział. Dlatego tak trudno było mu nad nią pracować. Nie był w stanie zaakceptować dojrzałości. Podczas tej podróży naoglądał się jej zbyt wiele. Maggie, zmęczona, skazana na zajęcia niedające szansy awansu, samotna i zaczynająca popadać w desperację. Lark, żłopiący dzin z tonikiem i ze wszystkich sił

usiłujący przekonać samego siebie, że jest cudow-

nie szczęśliwy. Świstak John, patrzący z popielatą twarzą na pożar i opowiadający z promienną miną o dawnych czasach, o tym, jak to było, kiedy grał w The Nazgiił. Rick Maggio, wściekły. Zniszczenia spowodowane przez czas. To właśnie była jego opowieść, ważniejsza od niedokończonej książki. Jared nie chciał jej kupić, Alan nie chciał jej sprzedać, a Sharon nie chciała o niej słyszeć. Sandy jednak wiedział, że musi ją napisać. Ta opowieść mówiła w pewnym sensie również i o nim.

Zdawał sobie sprawę, że to szaleństwo. Nie miał teraz nawet papierka. Pracował zupełnie w ciemno. Niewykluczone jednak, że wyjdzie mu to na dobre. Może uda mu się sprzedać tę historię gdzie indziej. Były lepsze czasopisma niż „Hog”. Może spróbuje szczęścia z „Playboyem” albo „Penthouse’em”, a może nawet zanieśe to do „Rolling Stone”. To by dopiero wpieniło Jareda. Istniała też jednak możliwość, że te pisma tego nie kupią i będzie musiał sprzedać artykuł jakiemuś płacącemu dziadowskie stawki szmatławcowi. Ale to nie miało znaczenia. Musiał go napisać. Z początku wyglądało, że to będzie ciekawa historia, coś, co może się okazać na swój sposób zabawne. Nie natrafił jednak na nic zabawnego, a im dalej się posunie, tym zapewne będzie gorzej. Jednak musiał doprowadzić sprawę do końca. Lynch mógł być skurwielem pierwszej klasy, ale zasługiwał przynajmniej na tyle. Nie wspominając już o ludziach, którzy zginęli w pożarze Norki Świstaka, czy nawet o tym Paulu Lebeque’u. Tego durnia mieli skazać za morderstwo, którego nie popełnił, i nikogo to nie obchodziło. Ani gliniarzy, ani „Hoga”, ani nawet samego obwinionego. Wszystko zależało od Sandy’ego.

Słyszał niemal wzdorczy głoś Sharon.

- Tak, to bardzo w stylu lat sześćdziesiątych - powiedziałaaby. - Dzielny obrońca uciśnionych walczy o sprawiedliwość - powiedziałaaby. - Naczytałeś się w dzieciństwie za dużo *Spidermana* - powiedziałaaby. - Nie przypuszczam, by przyszło ci do głowy, że możesz się mylić - powiedziałaaby. Kurczę, nie ty. Nie Sandy Blair, młody krzyżowiec walczący po stronie dobra. Ty się nigdy nie mylisz. Twój kapelusz jest biały jak świeżo spadły śnieg, prawda?

Słyszał to wszystko już nieraz. Nie potrafił zaprzeczyć jej słowom, ale nie dbał o to.

Wyjął notes. Na pustej stronie pod zapiskami z rozmów ze Slozewskim i Maggiem było napisane: „Faxon”. Sandy dopisał poniżej: „Edan Morse”, stawiając przy tym nazwisku znak zapytania. Przygryzał przez krótką chwilę koniec pisaka, po czym dodał pod wpływem impulsu jeszcze trzy imiona. W końcu widział się już z Maggie i Larkiem. Może równie dobrze odnaleźć Łajzę, Bambi i Żabcia, żeby nie pominąć nikogo. Oni również mieli związek z tą sprawą. Maggie dała mu adres Bambi Lassiter, a adresy pozostałych znajdzie w wydziale absolwentów.

Schował z zadowoleniem notes, wstał i zaczął się metodycznie pakować. Zmęczenie nagle ustąpiło. Ogarnął go niepokój, pragnął znowu wyruszyć w drogę. Nałłapię się kawy i będę jechał przez całą noc - pomyślał, rzucając ubranie do walizki.

Przed wyjściem spojrział w lustro. Powinien się ogolić. Jak najszybciej. Potarł szczecinę pod podbródkiem i uśmiechnął się. A co tam - pomyślał. Ciekawie będzie zobaczyć, jak teraz wygląda z brodą. Minęło już tyle lat.

Dziewięć

Minęło już dwadzieścia lat,

Odkąd sierżant Pepper uczył chłopców grać!

Telefon stał zaledwie kilka cali od jego poduszki. Kiedy zadzwonił, dźwięk zabrzmiał niemiłosiernie głośno. Sandy ocknął się z drzeniem i wyciągnął rękę, ale udało mu się tylko zrzucić słuchawkę na podłogę. Podniósł ją, ciągnąc za przewód.

- Słucham? - mruknął.

- Czwarta trzydzieści. Zamawiał pan budzenie.

Wymamrotał coś niezrozumiałego i odłożył słuchawkę. Potem usiadł niepewnie, ściskając głowę w dłoniach. Czwarta trzydzieści - pomyślał. Faxon oszalał. W motelowym pokoju było ciemno i zimno. Sandy nade wszystko pragnął wrócić pod ciepłe koce. Mimo to wstał i powlókł się pod prysznic.

Nie spędził pod nim wiele czasu. Ciepłej wody nie było, ale zimna ocuciła go nieco. Kiedy się wytarł i wyszedł na zewnątrz, był już na wpół przytomny. Kawiarnię otworzą dopiero za kilka godzin, ale na szczęście pokoje w motelu w Albuquerque wyposażono w pewne udogodnienia, nawet jeśli nie było wśród nich ciepłej wody. Zrobił sobie filiżankę rozpuszczalnej kawy, zalewając ją wodą zagotowaną w elektrycznym czajniku ustawionym nad zlewem, i dosypał do niej śmietanki w proszku, która również była na składzie. Popijał kawę bardzo powoli. Kiedy skończył, wystygła już zupełnie, a nawet na gorąco była poważną

1 *Al* kandydatką do tytułu najgorszej, jaką pił w życiu. Niemniej jednak kofeina przywróciła mu choć pozory człowieczeństwa. Gdy zapinał dzinsy, usłyszał pukanie do drzwi.

- Sekundkę - zawołał. Włożył szybko koszulę przez głowę, wpychając jej końce w spodnie, a potem otworzył drzwi. Peter Faxon opierał się od niechcienia o framugę.

- Za minutkę idę - zapewnił Sandy. - Muszę tylko włożyć buty i skarpetki. Nie jestem przyzwyczajony do funkcjonowania o tej godzinie. Na ogół budzę się w południe.

- Nie ma pośpiechu - uspokoił go Faxon, wchodząc do środka. Prawie wcale nie zmienił się z upływem lat. Nadal nosił długie włosy, choć blond warkocze ustąpiły miejsca czemuś w rodzaju fryzury na pazia, okalającej jego spokojną, pociągłą twarz. Proste, złote włosy

wyblakły na słońcu. Wydawały się jeszcze jaśniejsze i bardziej delikatne niż we wspomnieniach Sandy'ego. Grzywka opadała niemal do zdumiewająco zielonych oczu. W ich kącikach pojawiły się teraz drobne linie od zbyt częstego patrzenia w słońce, a intensywna, ciemna opalenizna świadczyła, że Faxon spędza wiele czasu na świeżym powietrzu. Wyglądał schludnie i czysto w roboczej, niebieskiej koszuli, starych, połatanych dżinsach oraz założonej na bakier dżinsowej czapeczce. Piękny, ręcznie robiony pas zdobiła srebrna sprzączka wysadzana turkusami. Ze swymi jasnymi włosami i wyglądem porządnego Amerykanina Faxon pasowałby raczej do surf rocka albo kowbojskich ballad niż do ciężkiego grania Nazguli. Wielu ludzi dawało się na to nabrać. Faxon zawsze sprawiał wrażenie niepasującego do pozostałych, ale prawda wyglądała tak, że to on był twórczym mózgiem zespołu; znakomitym muzykiem i nadzwyczajnym kompozytorem.

Sandy włożył buty i wyciągnął rękę na przywitanie.

- Dziękuję, że zechciałeś się ze mną spotkać. Nie liczyłem na to, że przyjedziesz dla mnie do Albuquerque. Mam nadzieję, że uda mi się odzyskać przytomność na tyle, by zadać jakieś sensowne pytania. Na początek, dokąd się wybieramy i dlaczego?

- Na West Mesa - odparł z uśmiechem Faxon. - Chodź, robi się już późno.

W bladym świetle przedświt pograżony w bezruchu parking sprawiał lekko niesamowite wrażenie. Było raczej chłodno i wiał słabiutki wiaterek. Faxon otworzył drzwiczki wielkiego, czerwono-białego blazera. Sandy usiadł niepewnie obok niego.

- Na West Mesa? - powtórzył, gdy Faxon zapalił reflektory i wyjechał tyłem z parkingu.

- Nie bój się - uspokoił Sandy'ego. - Tego faceta z karabinem już dawno tam nie ma.

Tak wczesnym rankiem ulice Albuquerque były niemal całkowicie opustoszałe. Gdy Sandy odwrócił się, by popatrzeć na wschód słońca nad Sandias, na północnym wschodzie, zauważył jednak przecnicę za nimi starego forda pikapa. Na skrzyżowaniu dostrzegli też przelotnie drugą maszynę, ale na tym się skończyło. Wszędzie było pusto i cicho, choć miasto z jakiegoś powodu wydawało się bardzo żywe. Z nadejściem świtu światła latarni i reflektorów traciły intensywność. To była dziwna, oszałamiająca pora.

Jechali na zachód, kierując się za miasto. Po chwili zaczęli piąć się w górę. Domy były coraz mniej liczne i położone coraz dalej od siebie. Uliczne latarnie zgasły. Faxon skręcał raz po raz, w coraz węższe drogi. Sandy obejrzał się za siebie i zobaczył z tyłu tego samego forda. Reflektory samochodu zgasły na jego oczach.

- Śledzą cię - zauważył.

- Wiem - odparł z uśmiechem Faxon. - To moja rodzina. Sandy był nieco zbity z tropu tą informacją, poczuł jednak ulgę.

- Dokąd jedziemy?

- Zobaczysz.

Wjechali już na płaskowyż West Mesa. Teren był płaski, suchy i piaszczysty. Przez rozległe, jałowe pola prowadziły puste, polne drogi otoczone płotami z drutu kolczastego. Nie rosło tu zbyt wiele: trochę sosen i jałowców oraz małe, odporne kaktusy. Wiatr niósł po drodze suche, brązowe, oderwane od ziemi rośliny. Blazer zostawiał za sobą obłoki kurzu, zasłaniając podąża-

jącego za nimi forda. Sandy wyglądał przez okno, pogrążony we wspomnieniach. To było właśnie to miejsce. Gdzieś pośród tego pustkowia snajper wycelował karabin w Patricka Henry'ego Hobbinsa i wszystko się skończyło. Tu właśnie umarła muzyka, a sen obrócił się w koszmar. Sandy nie widział tu jednak nic znajomego. Wtedy jego uwaga skupiała się na przyczepach i scenie ustawionej pośrodku morza sześćdziesięciu tysięcy ludzi. Wszystko zniknęło, pozostawiając tylko jałową pustynię. Nie dało się określić, gdzie co było.

Faxon skręcił ostro w prawo w miejscu, gdzie spotykały się dwie polne drogi. Sandy ujrzał na bocznej grani przed nimi kilkanaście samochodów osobowych i ciężarówek. Na polu po lewej coś wielkiego poruszało się, wzbijało w górę. Przez krótką chwilę Sandy miał surrealistyczne wrażenie, że to sama ziemia unosi się w jakiejś gigantycznej fali, gotowa wypluć z siebie świstaka nad świstakami. Potem zrozumiał, że to balon. Wielki balon w niebiesko-białą szachownicę leżał bokiem na ziemi, powoli wypełniając się powietrzem.

Faxon zjechał z drogi i zatrzymał się za innym samochodem z napędem na cztery koła. Pikap zajął miejsce za nimi. Sandy patrzył na balon. Jego palnik gazowy huczał głośno, a wokół zgromadziła się grupa ludzi trzymających powłokę. Nie zdołali tego robić długo. Niemal już wypełniony balon wyprostował się nagle, odtrącając większość z nich. Dwaj mężczyźni wdrapali się do kosza, a pozostali się odsunęli. Powoli, z nieskończone ospaną gracją, balon wzniósł się ku porannemu niebu i po chwili zmienił się w widoczny w oddali niebieski punkcik. Był przepiękny.

Faxon przyprował swoją rodzinę i przedstawił ją Sandy'emu. Jego żona, Trący, była wysoka, szczupła i opalona na ciemny brąz. Proste, brązowe włosy opadały jej aż do szerokiego, srebrnego indiańskiego pasa, który podtrzymywał dzinsy. Podała Sandy'emu chłodną, drobną dłoń.

- Podobały mi się pańskie książki - oznajmiła.

Mały chłopiec, Christopher, wyglądał na jakieś sześć, siedem lat, choć Sandy nie potrafił zbyt dobrze oceniać wieku dzieci.

Miał jasnobrązową czuprynę, był hałaśliwy i pełen energii. Zatrzymał się tylko na

chwilę, by skinąć krótko głową do Sandy'ego, a potem pobiegł pomóc ludziom pracującym przy drugim balonie, który właśnie zaczął się wypełniać. Był on wielki i wyglądał na pozszywany z różnych kawałków. Dziewczynka miała około trzynastu lat i nazywała się Aurora. Była wysoka i chuda, a włosy miała jasne jak sam Faxon. Nosiła koszulkę z postaciami z *Gwiezdných wojen* i dżinsową kurtkę. Spoglądała na Sandy'ego z dobronudszą obojętnością, z jaką wszystkie nastolatki zdają się traktować dorosłych próbujących wtargnąć w ich mały świat. Gdy już Faxon wszystkich sobie przedstawił, klepnął Sandy'ego w ramię.

- A teraz zagonimy cię do roboty - powiedział.

- Do roboty?

- Jak ci się zdaje, po co cię tu przywiozłem? Chodź. Pomożesz nam z Latającym Okiem.

Poprowadził Sandy'ego do pikapa. Trący i Aurora otworzyły już tylne drzwi. W środku spoczywał wiklinowy kosz, wielki wiatrak oraz sam balon, wiele jardów zwiniętej powłoki. Wyglądało na to, że dominuje na niej kolor czerwony. Wszystko to trzeba było wyładować i zanieść na puste miejsce, które Christopher zdążył już dla nich zająć. Faxon powiedział Sandy'emu, co ma robić, i wzięli się do pracy. Zaraz zjawili się inni, którzy oferowali pomoc. Wydawało się, że wszyscy poza Sandym znają się nawzajem. Zachowywali się bardzo przyjaźnie. Bardzo dużo mówili o wietrze. Sandy uważał, że dmie on raczej słabo, ale baloniarze najwyraźniej uważali go za huragan i nie byli pewni, czy powinni dziś startować.

Peter Faxon również nie próbował wzbić się w powietrze natychmiast. Gdy już rozwinęli balon na ziemi, spojrzal pod wiatr, wzruszył ramionami i poszedł pomagać innej grupie, która przybyła wcześniej. Sandy'ego także skierowano do pracy. Wyglądało na to, że start balonu wymaga licznej naziemnej ekipy i obowiązuje tu zasada „jeden za wszystkich, wszyscy za jednego”. Sandy szybko się zorientował w całej procedurze. Balony rozwi-

jano na ziemi, fałda po fałdzie, kosz - przytwierdzony do powłoki - kładło się z boku, a potem przychodziła kolej na propanowe palniki wraz z butlami gazu. Następnie naziemna ekipa łapała za powłokę, ściskając mocno liny i nylonową tkaninę, podczas gdy jeden albo dwóch mężczyzn rozchylało gardziel powłoki i wpychało do niej jeden z wielkich wiatraków, żeby wdmuchać do środka trochę powietrza. Kiedy wiatrak zaczynał wirować, powłoka się nadymała, a gdy już była wystarczająco pełna, pilot uruchamiał palnik gazowy, z którego po jednym czy dwóch kasznięciach buchał z rykiem długi, niebieskobiały jęzor ognia. Teraz Sandy zrozumiał, dlaczego bali się wiatru. Wypełniona powłoka szarpała za liny niczym żywa istota, kołysała się to w tę, to w tamtą stronę, unoszona bryzą. Naziemna ekipa musiała ją mocno trzymać, bo gdyby powłoka przechyliła się z nadto i płomień palnika dotknąłby tkaniny, doszłoby do katastrofy. W pewnej chwili, gdy pomagali przy wielkim

pomarańczowym balonie ozdobionym znakami mającymi się kojarzyć z wydrążoną na Halloween dynią, przez chwilę wydawało się, że właśnie do tego dojdzie, ale wszyscy zaparli się mocno nogami i udało im się w jakiś sposób powstrzymać ruch. Dynia wyprostowała się nagle, stojąc na koszu, a płomień wystrzelił pionowo w górę. Dwaj dynionauci wleźli do kosza, naziemna ekipa puściła liny i balon wzbił się w górę. Sandy miał dłonie otarte od liny, a w podeszwę stopy wbił mu się cierń jakiegoś kaktusa. Schylił się i wyrwał go.

Na szczęście, gdy przyszła pora na nich, wiatr uspokoił się znacznie i Faxon wystartował Latającym Okiem niemal bez przeszkód.

- Tym razem będziesz musiał wsiąść - oznajmił Sandy'emu. - Trzymaj się blisko palnika, obok mnie.

Mieli trochę kłopotów, bo palnik nie zapalił się zgodnie z planem, ale Faxonowi udało się go uruchomić i wszystko odbyło się tak samo jak poprzednio. Tyle że tym razem, gdy balon się wyprostował, Faxon stał w koszu, machając ręką do Sandy'ego.

- Wskakuj - zawołał.

Sandy zawahał się, spoglądając w górę. Balon Faxona miał intensywnie szkarłatny kolor. Teraz widział, skąd wzięła się jego nazwa. Na powłoce przedstawiono wielki, wyobrażający oko symbol, który Sandy natychmiast rozpoznał. To było Oko Mordoru, godło Saurona w trylogii Tolkiena.

Wszyscy krzyczeli na Sandy'ego. Rozejrzał się wokół i zauważył, że Latające Oko porusza się z wiatrem, wrywając się ludziom, którzy próbowali je utrzymać na miejscu, jakby było wielkim, okrągłym psem szarpiącym się na smyczy.

- Chodź! - zawołał znowu Faxon, machając ręką. Sandy podbiegł do niego. Faxon złapał go za ramię. Poczul, że ktoś inny oparł wielką dłoń o jego tyłek i popchnął go z całej siły. Nim zdążył się zorientować, znalazł się w koszu obok Faxona. Naziemna ekipa puściła liny i balon wystartował. Palnik skwierczał głośno, ale balon unosił się w górę tak gładko, że wydawało się, iż prawie się nie porusza. Sandy'emu naprawdę wydawało się, że stoją w miejscu, a ziemia przesuwa się szybko pod nimi.

- A co z Trący i dziećmi? - zapytał Sandy, podnosząc głos, żeby przekrzyczeć palnik.

- Są ekipą pościgową - krzyknął w odpowiedzi Faxon. Pojadą za nami wozem. Takimi balonami nie bardzo daje się sterować. Kiedy wrócimy na ziemię, będą nam potrzebni. Nie martw się, przyjdzie kolej i na nich. Nie trzymam tego balonu tylko dla siebie. Wszyscy jesteśmy starymi wyjadaczami. Startujemy Latającym Okiem raz czy dwa razy w tygodniu, jeśli pogoda pozwoli, już od jakichś pięciu lat.

Sandy rzeczywiście zauważył, że Trący Faxon i jej dzieci wsiadają do pikapa. Potem

ruszyli polną drogą, podążając za niesionym wiatrem balonem. Oko jednak wzbijało się coraz wyżej i ford po chwili zamienił się w maleńki punkcik. Z góry było widać całą West Mesa: jałowe, brązowe pola, krzyżujące się ze sobą polne drogi, inne balony, leżące na ziemi niczym wielobarwne zabawki. Sandy wypatrzył tylko jeden z balonów, które wystartowały przed nimi - pomarańczową dynię, która dotarła już daleko na wschód, nad Albuquerque. Nie miał pojęcia, gdzie podziła się reszta.

- Teraz widzisz, dlaczego zerwałem cię z łóżka o takiej porze - mówił Faxon. - Wczesny ranek to najlepsza pora na start. Na ogół nie ma wtedy zbyt silnego wiatru, a słońce nie zdążyło jeszcze nagrzać mocno ziemi i nie zaczęły się prądy termiczne.

- Myślałem, że prądy termiczne są korzystne - zdziwił się Sandy.

Faxon wzruszył ramionami.

- Dla szybowców i lotni na pewno. One wznoszą się w górę na gorącym powietrzu. Ale balony latają dlatego, że powietrze wewnątrz powłoki jest cieplejsze niż na zewnątrz. Jeśli złapie cię prąd termiczny, tracisz tę różnicę temperatur i siłę nośną. A to znaczy, że spadasz.

Faxon nie wyłączył palnika i cały czas wznosili się w górę. Byli teraz znacznie wyżej niż pomarańczowa dynia. Przelatywali właśnie nad krawędzią West Mesa, niesieni łagodnym wiatrem. Faxon wyciągnął rękę i wyłączył palnik.

Zapadła zdumiewająca cisza. Sandy nie spodziewał się, że w górze będzie tak cicho. Było tu tak spokojnie, że wydawało mu się to niemal nierealne, jakby śnił.

- Nie słyszę nawet wiatru - zdziwił się.

- Lecimy teraz z wiatrem - wyjaśnił z uśmiechem Peter Faxon. - Dlatego go nie słyszysz. Nie przejmuj się, wszyscy reagują tak samo. Nadal masz ochotę wracać do łóżka?

- Nie, nie - zaprzeczył Sandy. - Jest bombowo. - Oparł ostrożnie dłonie o bok kosza, obawiając się nieco, że jeśli wesprze się o niego całym ciężarem, wywróci kosz do góry nogami, i spojrzał na miasto w dole. Na ulicach zaczynał się już ruch. Pod nimi rozciągało się Albuquerque, a góry na wschodzie lśniły w blasku słońca. - To mi przypomina Los Angeles.

Faxon pochylił się nad turystyczną lodówką ustawioną na dnie kosza, wyjął z niej dwie kanapki owinięte w woskowany papier i podał jedną Sandy'emu.

- Szynka i jajka - oznajmił. - Śniadanie. Masz rację. Za jakieś dziesięć, dwadzieścia lat Albuquerque przerodzi się w dru-

gie Los Angeles. Tyle że smog będzie jeszcze gorszy. Sandias zatrzymują cały syf w kotlinie, a zimą, kiedy wszyscy palą w kominkach, mamy tu paskudne warstwy inwersyjne. Do tego miasto wciąż się rozrasta. Niczego się nie nauczyli. To naprawdę paskudne miasto, dzungla pełna restauracji Taco Bell i Chicken Delight. A będzie jeszcze gorzej. - Wzruszył

ramionami. My mieszkamy w Santa Fe. Tam jest znacznie lepiej. Mentalność Izby Handlowej nie zaznacza się tak silnie. Jedyne problemy z tym miastem polega na tym, że robi się zbyt modne. Wprowadza się tam zbyt wielu ludzi podobnych do mnie. Uśmiechnął się i ugryzł kanapkę.

- Dlaczego chcesz tu mieszkać? - zapytał Sandy w przerwie między kęsami chleba z szynką i jajkiem. - To wydaje się trochę dziwne. Zamieszkałeś tak blisko miejsca, gdzie...

- ...zabito Pata? - dokończył z uśmiechem Faxon. - Nie boję się tego powiedzieć. Minęło już wiele czasu. - Wzruszył ramionami. - Nie mam pojęcia. Tak się po prostu złożyło. Po koncercie na West Mesa musieliśmy się tu zatrzymać na pewien czas. No wiesz, dochodzenia, przesłuchania i tak dalej. Do tego byłem w dość kiepskim stanie. Mieszkaliśmy z Trący w Pensylwanii, mieliśmy ładny, stary dom na wsi i dziecko było w drodze. Aurora. Po tym, co się stało, nie mogłem znieść myśli o powrocie do takiego życia.

- Mówią, że po West Mesa wymiękłeś.

- Nieco za modne sformułowanie, jak na mój gust, ale nie jest nazbyt dalekie od prawdy - przyznał Faxon, marszcząc delikatnie brwi. - Pewnie miałem lekkie załamanie nerwowe. Przeżyłem to cholernie ciężko, Sandy. Pat Hobbins i ja przyjaźniliśmy się ze sobą, odkąd poznaliśmy się w czwartej klasie, w Filadelfii. Pobił kiedyś starszego chłopaka, który próbował mi ukraść pieniądze na obiad. To dosyć zabawne, jeśli się nad tym zastanowić, bo był pewnie ze stopę ode mnie niższy. Aleja byłem moim księżkowym, a Pat twardzielem. Jeśli ktoś jest kurdupłowanym albinosem mieszkającym wśród Włochów z niezamożnej klasy średniej, musi umieć się bić albo będzie miał

przechlapane. Tak czy inaczej byłem moim najstarszym i najlepszym kumpłem. Był moim najlepszym przyjacielem. W jednej chwili stał się moim najlepszym przyjacielem. Jak bracia? Patrzyłem na niego z godną energią. Sześćdziesiąt był żywym promieniowaniem niewiarygodnym. I nagle jego głowa i tysiąc widzów łączyła z nim jakaś z prawej strony strącała - Stałem za Patem, nieco przysięgam, że poczułem padł z lewej pod kątem. Po dziś dzień opryskała mnie krwią. Jakkula poleciała obok mojej głowy. wtedy nosiłem, tej z f ' Na białej' skórzanej kurtce, którą chwili kłęczałem i trzymałem nadal widać plamy. W następną chwilę, gdy do niego dotarłem Pata w ramionach. Nie pamiętam obejmowałem, porażony Zedłem. PrzyPominam sobie. Jak go w każdej chwili oczekuję szokiem - wpatrywałem się w ciemność, Skonał w moich rękach następnego strzału. Wybuchu Panikidycznych kryteriów. No, w pewnym sensie - Według mego podszedłem. Urwało już martwy w chwili. Gdy do niego dobiegłem czułem bicie jego serca. Ała głową CZĘŚĆ czaszki Ale Ja nadal ruszał, więc wydawał się ciepły. Krwawił a nawet trochę - siesię. Chciałem wracać h? Si? ZC ŻyjC. Potem no cóż załamałem znowu zobaczę nasz d

TraCy' ^^ mogłem znieść myśli, że ściem. Na myśl o tym' W którym Pat był tak cz?stym górni się rzygać. Dlatego' ^ miałbym znowu wystCPować, chciało w nim. Przez dwa tygo!'ynaJąłem pokóJ' w motelu ' zaszyłem sienie odpowiadałem na Uv żłopałem piwo ' °gladałem telewizję, a telefon ignorowałem e d° drzwi' chyba Że t0 była obsługa> chała, bo nie mogła si Calkowicie - Uratowała mnie Trący. Przyjezobaczyła, w jakim je *6 mną skontaktować telefonicznie. Kiedy i kupiła nowy w Santa fe Stanie' sPrzedała dom w Pensylwanii kowała się mną Potem WProwadziłem sie - do nieS° „zaoPiesię nią zająć. Odpowie Urodziła się Aurora ' oboJe musieliśmy znieść myśli o przesz} alność dobrze mi zrobiła. Nie mogłem we życie. To mi porno?" de Tm°y ^^ „„n°WC miejsce { no~ Sugerowała, żebyśmy Byłem W Stanie Zn°WU funkcJonowaćPata, ale nie chciałem ^ dziecku na imi? Patricia* na cześć bym tego znieść. To j ° tym słyszeć - Wiedziałem, że nie mógł^ymyślilem imię Aurora. Jutrzenka. No-

wy początek i tak dalej. Kochałem tego dzieciaka i uwielbiałem się nim zajmować. A z czasem pokochałem również Santa Fe. Tak właśnie do tego doszło. West Mesa jest miejscem, z którego startujemy naszym balonem. A tamto... no cóż, staram się o tym nie myśleć.

- Mam wrażenie, że udało ci się zapomnieć - stwierdził Sandy.

- Minęło wiele czasu - odparł Peter Faxon, spoglądając na góry z niesionego wiatrem balonu. Wyrazu jego zielonych oczu nie sposób było przeniknąć. - No wiesz, jeszcze pięć lat temu nie zgodziłbym się na rozmowę z tobą. Przez długi czas żyłem jak odludek. Tylko dla rodziny. A gdy znowu poczułem się gotowy udzielać wywiadów, nikogo to już zbytnio nie interesowało.

- Odwrócił się i spojrzał na Sandy'ego, uśmiechając się półgębkiem. - To o czym chcesz rozmawiać? O Lynchu?

Sandy skinął głową.

- O nim i o innych sprawach.

- Wymienialiśmy z Jamiem Lynchem listy kilka razy do roku, ale chodziło tylko o interesy - oznajmił spokojnie Faxon.

- Poza tym nie miałem z nim żadnego kontaktu od śmierci Pata.

- Rozmawiałem z Maggiem i ze Świstakiem Johnem - powiedział Sandy. - Świstak John nienawidził Lyncha. Maggio twierdzi, że go lubił. A jaki ty miałeś do niego stosunek?

- Mieszany - odparł Faxon. - Pod wieloma względami był z niego wredny skurwysyn. Ale ten właśnie skurwysyn dał nam szansę, podczas gdy nikt inny nie chciał tego zrobić. Wyruchał nas z tym swoim kontraktem, ale kiedy go podpisywaliśmy, chcieliśmy być wyruchani.

- Jak sądzisz, kto go zabił? Faxon zmarszczył brwi.

- Myślałem, że mają winnego? To jakiś drwal albo coś?

- Aresztowali jednego faceta - przyznał Sandy. - Ale nie sądzę, żeby to on był winny.

- Wiem tylko to, co przeczytałem w gazetach - wyjaśnił Faxon. - Jeśli nie ten drwal, to nie mam pojęcia kto.

Sandy postanowił spróbować z innej beczki.

- Nie tęsknisz do dawnych dni z The Nazgul? Do sławy, pieniędzy i tak dalej?

Faxon znowu rozciągnął usta w swym dziwnym, pół wesołym, pół smutnym uśmiešku.

- Przez długi czas wszystko to było dla mnie koszmarem. Staralem się uciec, zapomnieć o tym. Nawet gdy w końcu pogodziłem się z tym, co zaszło, nadal wydawało mi się to nierealne. Wszystkie te lata były dla mnie jednym, długim majakiem w gorączce. Nie, nie tęsknię za nimi. Nawet wtedy zawsze czułem się z tym trochę niepewnie. Sam coś takiego napomknąłeś, Sandy, w ostatnim artykule, jaki napisałeś o nas dla „Hoga”. Wspomniałeś wtedy, że nie pasuję do reszty grupy ani do całego rockowego świata. Miałeś rację. Pat, Rick i Świstak John pograżyli się w nim bez reszty, każdy na swój sposób, ale jakaś część mojej jaźni zawsze trzymała się na dystans. Pewnie miałem w sobie zbyt wiele z intelektualisty. Maggio powiedziałby, że się bałem. Może i tak. Groupies zawsze wydawały mi się czymś groteskowym, a prochy i pijaństwo budziły we mnie odrazę. Sława była czymś w rodzaju obłędu. Pieniądze, no cóż, to było fajne, ale nie brakuje mi ich. Zarobiliśmy wtedy całą kupę forsy i potrafiłem mądrze je zainwestować. Poza tym, to ja napisałem prawie wszystkie utwory The Nazgul i zachowałem prawa autorskie. Lynch mógł nas nabrać, gdy chodziło o koncerty i płyty, ale w sprawie kompozycji byłem nieustępliwy. Były moją własnością i nadal mam do nich prawa. A teraz z nich żyję. *Napalm Love, Elf Rock, Blood on the Sheets...* każdy z tych utworów daje mi co roku tyle, że wystarcza na opłacenie rachunków.

- A co z muzyką? - zapytał Sandy, choć sądził, że zna już odpowiedź.

- Muzyka - mruknął Faxon z uśmiechem, który stał się nagle bardziej rzewny. Może i nie pasował do rockowego świata, ale to on był kreatywnym sercem Nazguli, on stał za ich brzmieniem. Był z nich najwszechstronniejszym muzykiem. Z reguły grał na basie, ale w wielu nagraniach brał się za klawisze, sakso-

fon altowy, skrzypki Cajun, a raz nawet za rożek angielski. Potrafił zastąpić Hobbinsa na gitarze rytmicznej. Umiał też śpiewać, choć jego wokal nie dorównywał klasą temu, co prezentowali Hobbins i Maggio. A przede wszystkim świetnie komponował. - Tak - dodał szeptem pośród głębokiej, niezmiennej ciszy nieba. Ziemia przesuwała się pod nimi daleko w dole, a wiklina kosza skrzypiała lekko, kiedy się o nią opierał. - Tak, brakuje mi muzyki. Ona

jest częścią mnie. Zawsze nią będzie.

- Nigdy nie kusilo cię, by do niej wrócić?

- W pierwszych latach ta myśl wydałaby mi się wstrętna odparł Faxon. - Ale później... no cóż, rozważałem taką możliwość. Przyszedł mi do głowy pomysł założenia nowej grupy. Tylko studyjnej. Nie potrafiłbym znieść myśli o tournée, ale doszedłem do wniosku, że mógłbym napisać trochę nowego materiału, zebrać uznanych wykonawców i nagrać album. Jednak potem przyjrzałem się rockowemu światu i zrozumiałem, że to się nie uda. Muzyka się zmieniła. Kiedy włączyłem radio, słyszałem tylko disco. Każda piosenka brzmiała tak samo jak poprzednia. Teksty były głupawe, nudne i również identyczne. Ja próbowałem pisać w swych tekstach o ludziach. O życiu, miłości i bólu. O polityce i ideach, o tym, co słuszne, a co nie. Moja muzyka także była ambitna. Lubilem eksperymentować z nowymi brzmieniami. Kiedy słuchałem tego radia, stacji nadającej przeboje z listy, gdzie kiedyś można było usłyszeć każde nagranie The Nazgul, gdy tylko je wydaliśmy, zrozumiałem, że nie ma już dla mnie miejsca. Do licha, w swoim czasie sam napisałem trochę syfu. Pierwszy to przyznam. Ale starałem się. Pisałem muzykę budzącą umarłych, a teraz wszyscy chcą tylko muzyczki do tańca. Najniższego wspólnego mianownika. - Uśmiechnął się ponuro. - Serdecznie dziękuję. Nowy album Petera Faxona zrobiłby totalną klapę.

- Ale nie album The Nazgul - wskazał Sandy.

- Comebacki grup nigdy się nie udają - odparł Faxon. Spójrz tylko na Petera, Paula i Mary. Albo na Moody Blues. Beatlesi byli rozsądniejsi. Gdyby kiedykolwiek się zesłi, wszyscy

krytycy mieliby używanie. W takiej sytuacji nie można wygrać. Jeśli radykalnie zmienisz brzmienie, powiedzą, że nie jesteś taki dobry jak kiedyś, a jeśli tego nie zrobisz, stwierdzą, że się nie rozwijasz. A jeśli będziesz grał wyłącznie stare utwory, bez żadnych nowych, to nie będzie to muzyka, tylko nostalgia. Znasz tę piosenkę Ricka Nelsona *Garden Party*? Sandy ją znał.

- *Gdybym miał do śpiewania tylko wspomnienia, wolałbym prowadzić ciężarówkę* - zacytował.

- No właśnie - zgodził się Faxon. - Albo, w moim przypadku, latać balonem.

- Kiedy rozmawiałem z Maggiem w Chicago, zapewniał mnie, że do comebacku Nazguli dojdzie bardzo szybko.

Faxon zmarszczył brwi.

- Rick jest uzależniony.

- Uzależniony? - zdziwił się Sandy. - Wiedziałem, że w dawnych czasach brał, ale

myślałem, że się od tego uwolnił.

- Nie chodzi tylko o prochy. On ma osobowość nałogowca. Jest słaby. Może się uzależnić od czegokolwiek. Nie potrafi się powstrzymać. Jest biedny, bo uzależnił się od kart kredytowych i wydaje wszystko, co ma. Zrobił się gruby, bo odkąd nie stać go na narkotyki, uzależnił się od jedzenia. Nadal jest uzależniony od nieletnich dziewcząt. I jest też beznadziejnie uzależniony od marzeń, w tym przypadku od nierealnej mrzonki, że zejdziemy się razem i wszystko będzie jak dawniej. Nie ma takiej możliwości. W gruncie rzeczy...

- Tak?

- Nigdy jeszcze nikomu o tym nie mówiłem - podjął Faxon - ale minęło już tyle czasu, że pewnie można to przyznać. Prawda wygląda tak, że The Nazgul byli bardzo bliscy rozpadu, gdy West Mesa załatwiła sprawę za nas. Wątpię, byśmy wytrzymali razem zbyt długo.

I

To był szok.

- Dlaczego? - zdumiał się Sandy. - Byliście lepsi niż kiedykolwiek wcześniej. 156

- Nasza muzyka i wyniki sprzedaży z pewnością. Ale w środku zrobiliśmy się zimni jak lód. Pożerały nas spory i zazdrość. Prawie się zgodziliśmy w trójkę, że trzeba pozbyć się Maggia. Jemu nie można już było zaufać. Przez dziewięćdziesiąt procent czasu był na haju albo miał kaca, a do tego grał coraz gorzej. Świstak John aż się palił do tego, żeby zerwać się z paska Lynchowi, a ja poniekąd się z nim zgadzałem. Ale to właśnie ja stanowiłem największy problem. Byłem w pełni gotowy odejść. Chciałem raz na zawsze zerwać z Patem. Podejrzewam, że właśnie dlatego tak ciężko przeżyłem jego śmierć. To było poczucie winy. No wiesz, po cichu pragnąłem się go pozbyć. A potem moje życzenie się spełniło.

- Nie rozumiem - odparł zaskoczony Sandy. - Przed chwilą mówiłeś, że byłeś z Hobbinsem bardzo blisko.

- Jak bracia - potwierdził Faxon z ironicznym grymasem ust. - Słyszałeś kiedyś o rywalizacji między rodzeństwem? Przed West Mesa byłem wściekły na Pata. Moje ego przepełniało oburzenie. Odebrał mi moją grupę. Zawsze tak właśnie myślałem o The Nazgfl. Moja grupa. Ja byłem liderem, motorem. To ja nauczyłem Pata grać na tej jego gitarze, jak byliśmy w ósmej klasie. W liceum poznałem Ricka i paru innych chłopaków i założyliśmy grupę, żeby grać na potańcówkach, weselach i tak dalej. Nazywaliśmy się Peter and the Wolves. Potem zrobiło się z tego Peter and the Werewolves. Pat Hobbins był tylko jednym z muzyków. To ja byłem gwiazdą. Kiedy nastał szal na trylogię Tolkiena i wszyscy zaczęli mówić na Hobbinisa „Hobbit”, przeczytałem tę książkę i postanowiłem, że zmienimy nazwę na The Nazgul, ale nie sądziłem, żeby to zmieniało hierarchię w grupie. Nadal uważałem się fa

lidera. Ja zdecydowałem, że pozbedziemy się Tony'ego Regettiego i zastąpimy go Świstakiem Johnem. Ja pisałem wszystkie nasze utwory. Dopóki nie podpisaliśmy kontraktu z Lynchem, ja zajmowałem się angażami. To była moja grupa. Ale pod koniec przestała być moja. Rzecz w tym, że Pat Hobbins miał coś, czego ja nie miałem. Podczas występów byłem kompetentnym, wszechstronnym muzykiem, i na tym koniec. Pat miał

1⁷ w sobie coś... elektrycznego... cholera, nawet nuklearnego. Bóg mi świadkiem, że byłem od niego przystojniejszy i wiedziałem na temat muzyki więcej, niż kiedykolwiek mógłby się nauczyć, ale Pat potrafił wyczyniać z widzami takie rzeczy, o których ja mogłem co najwyżej śnić. Seksapil, szołmeństwo, charyzma... nazwij to, jak chcesz, ale on to miał. Ja stałem sobie na scenie, grałem na basie i śpiewałem chórki. Chociaż wkładałem w swoje utwory całego siebie, nadal pozostawałem w jego cieniu. Pat stał na przedzie, popisывał się i puszył, uśmiechał się szyderczo i nie przestawał się poruszać ani na sekundę przez cały cholerny występ. Do tego śpiewał! Na gitarze rytmicznej był w najlepszym razie średni, z pewnością był najgorszym muzykiem w zespole, ale jak umiał śpiewać! Był w części demonem, w części aniołem i pełnym geniuszem. I na tym właśnie polegał problem. Pat zdominował Nazguli. Wiedział o tym, wszyscy mu to mówili. Oczywiście, przewróciło mu się w głowie. Nie można go winić. Był jeszcze młodym chłopakiem. Tak jak my wszyscy. Zaczął żartować, że to on nas ciągnie. Sugerował, żebyśmy zmienili nazwę na Patrick Henry Hobbins and the Nazgul. Kiedy ja w rewanżu zaproponowałem nazwę Peter Faxon and the Nazgul, roześmiał się tylko. Ale kiedy dałem Rickowi główną partię wokalną w *Ragin'*, wpadł w szal. Powiedział, że chciałem mu zrobić na złość. I częściowo miał rację. Tak, wiem, że teraz to wszystko wydaje się raczej małostkowe, ale wtedy traktowaliśmy to z wielką powagą. A potem...

Faxon przerwał z melancholijną miną. Widząc, że balon obniżył nieco lot, odwrócił się i zapalił palnik. Ogień trysnął z głośnym hukiem i przez chwilę czy dwie Latające Oko wznosiło się w górę. Faxon nie zgasił palnika.

- Potem? - zapytał Sandy. Głośno. Faxon ponownie spojrzał na niego.

- Nawet po śmierci Pata nie potrafiłem pogodzić się z faktem, że to on był gwiazdą. Wspominałem ci już, skąd padł strzał, pod jakim kątem nadleciała kula. Po dziś dzień przysięgam, że przemknęła tuż obok mnie. Przez długie lata opowia-

dałem o swojej teorii Trący i każdemu, kto chciał mnie wysłuchać... byłem przekonany, że snajper celował we mnie, a trafił Pata tylko przez pomyłkę, bo on przeciął drogę kuli. Była w tym odrobina sensu. Ja z reguły stałem na scenie bez ruchu, a Pat przemieszczał się przez cały czas. Był bardzo trudnym celem. I to ja byłem odpowiedzialny za całą tę sugestywną,

wywrotową muzykę. W zasadzie to ja powinienem być ofiarą.

- Czy to kolejny powód, dla którego się wycofałeś? - zasugerował Sandy.

Faxon skinął głową.

- Nie miałem ochoty zostać drugim Kennedym. Ale jednocześnie nie byłem zadowolony, że przeżyłem. Śmierć Pata zrobiła z niego męczennika, zdawała się potwierdzać, że właśnie on był gwiazdą. Byłem przekonany, że zamach miał polityczne podłoże i chciałem uwierzyć... nie, musiałem uwierzyć... że to mnie trzeba było uciszyć. Że byłem Jezusem ery rocka, mówiącym w swych utworach wszystkie te mądre i groźne rzeczy, a ci durnie wzięli i zabili jednego z moich apostołów zamiast mnie. Czy nie wiedzieli, że to ja powinienem umrzeć za ich grzechy?

Kąciki ust opadły mu w smutnym grymasie. Odwrócił się nagle i wyłączył palnik. Ponownie otoczyła ich niebiańska cisza. Zyskali sporo wysokości, wiatr niósł ich na południowy wschód.

Sandy'emu zabrakło słów. Czuł się skrępowany wyznaniem Faxona.

- A teraz? - zapytał po chwili. Peter Faxon potarł kark.

- Przeszło mi. Wiem już, że to nie był polityczny zamach. Po prostu jakiś świr w świecie pełnym świrów. To był przypadkowy akt i każdy z nas mógł stać się ofiarą. Pat wyciągnął najkrótszą słomkę, ot co. Sprawa skończona.

Sandy poczuł nagłą suchość w ustach.

- Nie - zaprzeczył. - Nie jest skończona. Faxon przeszył go ostrym spojrzeniem.

- Jak to?

- Z pewnością wiesz, że Lynch zginął w rocznicę West

Mesa. Ale nie wiesz, że zabójca wyciął mu serce, gdy leżał na waszym koncertowym plakacie, a gramofon odtwarzał *Musie to Wake the Dead*. Nie wiem, co to znaczy, ale coś znaczy z pewnością. Uważam też, że podpalenie klubu Świstaka Johna również ma z tym wszystkim związek. Sprawa nie jest skończona. Coś się nadal dzieje.

Faxon zmarszczył brwi.

- Nic z tego nie rozumiem.

- Ja też nie. Na razie. Ale lepiej uważaj na siebie. Obawiam się, że może ci grozić niebezpieczeństwo.

Faxon parsknął śmiechem.

- Daj spokój! Kto by chciał mnie skrzywdzić? Jestem ojcem rodziny i powoli zmieniam się w starego, nudnego pierdziela.

- Słozewski też się śmiał - odparł Sandy. - A parę godzin później Norka Świstaka

stanęła w płomieniach.

Faxon skrzywił się wściekle.

- Mam za sobą całe lata wypełnione paranoją i strachem, gdy co chwila rozglądałem się w poszukiwaniu zamachowców. Wreszcie zostawiłem to za sobą, a ty chcesz, żebym do tego wrócił.

- Ktoś ma jakąś pretensję do The Nazgul.

v* Ale ja nie jestem już członkiem tego zespołu - nie ustępował Faxon. - Treścią mojego życia są Trący, Aurora i Christopher, nie Pat, Rick i Świstak John. Prawie już zapomniałem o The Nazgul.

- Tak? - zdziwił się Sandy. - To dlaczego na tym balonie jest namalowane Oko Mordom?

Peter Faxon oparł się o bok kosza, krzyżując ramiona na piersi. Zaciął nagle usta, świadomie odwracając w bok spojrzenie intensywnie zielonych oczu.

- No dobra - mruknął po chwili. - No dobra - powtórzył tonem lekkiej urazy.

- Słyszałeś kiedyś o Edanie Morse? - zapytał Sandy.

Faxon nie odpowiedział. Znaleźli się już na południe od miasta i przesuający się pod nimi teren był coraz bardziej opustoszały.

- Sprowadzę nas trochę w dół - oznajmił Faxon. - I poszukam miejsca do lądowania.

Wpuścił nieco powietrza z balonu, który zaczął opadać powolnymi zrywami.

- Edan Morse - powtórzył Sandy. Faxon zwrócił się ku niemu.

- To jakiegoś rodzaju promotor - burknął. - Dostałem kiedyś od niego list. Miał plany comebacku i wielkiego tournee Nazguli.

- I co zrobiłeś z tym listem? Faxon wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Na moim koszu też jest namalowane Oko Mordom wyjaśnił. Obniżyli już znacznie lot i mknęli jakieś pięćdziesiąt stóp nad ziemią. Na tej wysokości miało się wrażenie, że balon leci znacznie szybciej. Pod nimi przesuwały się domy i drogi. Sandy widział ludzi, którzy zatrzymywali się i unosili głowy, by spojrzeć na Latające Oko. W pewnej chwili wydawało się, że uderzą prosto w przeprowadzoną wzdłuż drogi linię elektryczną, ale Faxon włączył na moment palnik i przemknęli zgrabnie nad groźnymi przewodami. Potem znowu wypuścił trochę powietrza. Przelecieli na wysokości trzydziestu stóp nad stacją benzynową i znaleźli się nad pustym, brązowym polem skąpanym w promieniach gorącego słońca Nowego Meksyku. Sandy wypatrzył na szosie obok stacji znajomą sylwetkę pikapa.

- Trzymaj się - rozkazał Faxon. - Lądujemy. Manewrował balonem tak samo zręcznie, jak kiedyś grał na gitarze basowej. Sandy'emu wydawało się, że ziemia pod nimi nagle zaczęła

mknąć bardzo szybko. Kosz uderzył o nią i odbił się w górę. Faxon złapał za czerwoną linę i pociągnął mocno. Balon nad nimi oklapł i zapadł się w siebie. Powłoka kurczyła się, wlokąc kosz po ziemi. Sandy czuł, że jego zęby uderzają o siebie. Na krótką chwilę jego stopy straciły kontakt z podłożem.

Wtem zatrzymali się i Latające Oko z powrotem stało się tylko zwykłym wiklinowym koszem i wielką płachtą czerwonego nylonu. Faxon uśmiechał się szeroko.

- Gratuluję - powiedział. - Uszedłeś z życiem ze swego pierwszego lotu balonem.

Miał w lodówce butelkę szampana. Ledwie zdążył ją otworzyć, gdy nadjechała z hukiem ekipa pościgowa, wzbijając wielkie chmury suchego pyłu spod kół pikapa. Kazali Sandy'emu klęknąć i wtarli mu kurz we włosy, twierdząc, że podobnie jak szampan jest to element jakiegoś dziwaczego, baloniarskiego rytuału. Potem trochę wypili, załadowali Latające Oko na samochód, trochę wypili, trochę się pośmiali, trochę wypili i zjedli obiad na klapie z tyłu samochodu. Mieli w lodówce pełno kanapek, sałatkę ziemniaczaną, surówkę z białej kapusty i pikle, a gdy butelka się skończyła, był jeszcze Dos Equis i sok owocowy z puszek dla dzieci. Obiad był udany.

Gdy jednak wracali, Trący zażądała, by Sandy pojechał z nią w szoferce, a jej mąż usiadł z dziećmi z tyłu.

- Peter jest podenerwowany - oznajmiła Sandy'emu, gdy jechali w stronę Albuquerque.

- O czym pan z nim rozmawiał?

- O The Nazgul - odparł Sandy.

- Rozumiem. Nic dziwnego.

- Przykro mi, że wytrąciłem go z równowagi - tłumaczył się Sandy. - Nie chciałem budzić złych wspomnień.

Trący spojrzała na niego z chytrym uśmieszkiem.

- Myślę, że to dobre wspomnienia sprawiają mi ból.

- Zapewniał, że nie tęskni za tamtymi czasami.

- Mnie też tak mówi - przyznała. Cały czas patrzyła na szosę. - Powtarza to bardzo często. Wydaje mi się, że mój miły za bardzo się sprzeciwia. No wie pan, on nigdy nie przestał pisać nowych utworów.

- Nie wiedziałem o tym - zdziwił się Sandy. Skinęła głową.

- Ma w kufrach pełno tekstów i nut. Czasami łązi po całym domu, a w każdym pokoju gra muzyka. Wszystkie stare utwory, jego utwory. Ucieszyłam się, kiedy pan zadzwonił. Peter też.

- Chciałaby pani, żeby znowu zaczął grać?

- Bez tego nigdy nie będzie szczęśliwy. Kocham go. Przeszliśmy razem bardzo wiele. Chcę, żeby był szczęśliwy.

Na to Sandy nic nie mógł powiedzieć. Pogrążył się w zamyśleniu. Nie mówili już nic więcej, aż do chwili, gdy Trący zatrzymała pikapa na parkingu pod motelem i Sandy wysiadł. Pochyliła się w jego stronę.

- Cieszę się, że pana poznałam. Czekam z niecierpliwością na pański artykuł.

Dzieci go zignorowały, ale Faxon zeskoczył ze skrzyni i uściskał mu dłoń.

- Pamiętaj, co ci mówiłem - ostrzegł go Sandy - nawet jeśli mi nie wierzysz. Bądź ostrożny.

Oczy Faxona nabrały dziwnie skrytego wyrazu.

- Zawsze jestem ostrożny - mruknął, włączając z powrotem na ciężarówkę.

Sandy zastanawiał się nad tymi słowami, wracając do ciemnego, motelowego pokoju. Zasłony były nadal zasunięte i w środku było zimno. Sandy odsunął je, wpuszczając do pokoju promienie słońca. Potem usiadł na łóżku i ściągnął buty, myśląc, że być może Peter Faxon zrobił się obecnie zbyt ostrożny. Nie chciała go opuścić wizja kufra pełnego niewykonanych utworów. Doszedł do wniosku, że Patrick Henry Hobbins nie był jedyną ofiarą West Mesa.

Położył się z rękami splecionymi pod głową i w jego umyśle zaczęły się przesuwać słowa tekstu.

Wrócił z wojny zupełnie nietknięty I usłyszał od nich, że sprzyjał mu los.

Ale ocalony nosił inną bliznę.

Zniszczone marzenia, stracone złudzenia.

Nie mógł żyć bez wody, nie mógł żyć bez kwasu.

Ale ocalony nosił inną bliznę.

Hej, ocalony nosił inną bliznę.

To był *Ocalony z Musie to Wake the Dead*. Nieprzyjemny kawałek - pomyślał Sandy. Nigdy nie stał się przebojem, ale wydawał się dziwnie proroczy, z uwagi na to, że Faxon napisał go w roku 1971. Sandy pamiętał, w jaki sposób Patrick Henry Hobbins wykonywał ostatnią linijkę tekstu. Gapił się na publiczność z twarzą wykrzywioną w nieruchomym grymasie uśmiechu, czekał chwilę wystarczającą, by łomot perkusji Świstaka Johna przeszył tłum dreszczem, i śpiewał dziwnie mrocznym i zimnym głosem: *Do licha, nikt z nas nie ocala!*

Dziesięć

Kryształowe, mistyczne objawienie Prawdziwe umysłu wyzwolenie.

Na mapie odległość dzieląca Wspólnotę Złotej Wizji Ziemi od autostrady międzystanowej była krótka, ale Sandy'emu wydała się zdecydowanie dłuższa. Z początku

mknął przyzwoitą, dwupasmową asfaltową szosą, która jednak szybko zaczęła się zwężać. Asfalt ustąpił miejsca żwirowi, a po chwili Blair jechał już bardzo kamienistą, polną drogą. Mrzonce nie spодobało się to w najmniejszym stopniu. Sandy'emu również nie. Pod koniec drogi musiał co chwila zmieniać biegi, mijając wzgórza, kaniony, parowy oraz wyschnięte koryta strumieni. Otaczało go zimne, piaszczyste pustkowie, choć musiał przyznać, że góry wyglądają pięknie. Nie potrafił sobie wyobrazić, żeby ktoś chciał zamieszkać w tak niegościnnej, surowej okolicy. Zaczął już podejrzewać, że zgubił drogę, i myślał nawet, czy by nie zawrócić, gdy w końcu dotarł do odgałęzienia jeszcze węższej polnej drogi, przy której stała wielka skrzynka pocztowa w wiejskim stylu, oznaczona astrologicznymi symbolami. Na małej plakietce napisano ręcznie: „ZŁOTA WIZJA”.

Skręcił w krętą, stromą, górską drogę. Mrzonka sprzeciwiała się, próbując mu przypomnieć, że jest sportowym samochodem, nie terenówką, ale Sandy nie ustępował.

Wtulona w wąską dolinę między dwoma stromymi górskimi zboczami, Wspólnota Złotej Wizji Ziemi była zbudowaną bez

jednolitego planu osadą, nad którą dominował niski, bardzo stary dom z wypalanej na słońcu cegły - odsłoniętej na jednym z rogów, gdzie odpadał tynk - a także wysoki wiatrak z szarego, zwietrzałego drewna. Jego ramiona obracały się z głośnym klekotem. Po drugiej stronie pokrytego ubitą, brązową ziemią podwórka wznosił się drugi, mniejszy dom, pozbawiony okien i dachu, a pośrodku placu ustawiono największe tipi, jakie Sandy w życiu widział. Liście porastających górskie stoki osik pożółkły już i okolica rzeczywiście była złota.

Sandy wjechał na podwórko i zaparkował w pobliżu starego, oliwkowego dżipa. Obok niego na pustakach ustawiono niebieski mikrobus firmy Volkswagen. Samochód zarósł zielskiem, z pewnością od dawna już był zepsuty. Wysiadając z Mrzonki, Sandy zauważył, że znaczną część południowego muru mniejszego domu usunięto. Trudzili się tam dwaj mężczyźni i kobieta, którzy wstawiali długie szyby. Obok było widać suszone na słońcu cegły, taczkę z cementem, drewno, młotki, gwoździe, narzędzia do cięcia szkła oraz kit. Dwoje nieznajomych spojrzęło przelotnie na Sandy'ego i wróciło do pracy. Trzeci, krzepki, czarnoskóry mężczyzna z brodą i łysą czaszką podszedł do niego.

- W czym mogę panu pomóc? - zapytał niskim głosem.

- Szukam Bambi Lassiter - wyjaśnił Sandy. - To moja stara znajoma.

Czarny mężczyzna skinął głową.

- Jest w tipi - odparł. Wyciągnął chusteczkę i otarł pot z czoła, a potem wrócił do pracy.

Sandy podszedł do tipi, lecz zawahał się przed połą u wejścia, nie wiedząc, jak w nią zapukać. W tej samej chwili poła się uchyliła i na zewnątrz wypadła z wrzaskiem grupka

małych dzieci. Usunął się na bok, by je przepuścić, po czym wszedł do środka.

- Bambi? - zawołał. W namiocie panował półmrok. Światło dostawało się do wewnątrz tylko przez dziurę w szczycie. W powietrzu unosiła się woń kadzidła. Pośrodku tipi stał wielki, czarny, brzuhaty piec otoczony zdumiewającą liczbą starych, sfatygowanych mebli, które jednak wyglądały na wygodne. Wię-

kszą część klepiska pokrywały resztki dywanów w kilkunastu różnych kolorach. Było tu przestronniej, niż Sandy się spodziewał. Na dywanach siedziały po turecku dwie pogrążone w rozmowie kobiety. Obie były niskie, śniade i miały czarne włosy. Jedna nosiła dżinsy i męską, flanelową, czerwono-niebieską koszulę, druga zaś luźną, brązową suknię z wielkim, białym kołnierzem. Pierwsza miała sandały. Druga była bosa. Pierwsza szyła. Druga była w ciąży. Obie spojrzały na Sandy'ego.

- Bambi? - powtórzył niepewnie.

Ciężarna kobieta rozciągnęła nagle usta w błogim uśmiechu, wstała i podbiegła do niego, wyciągając ramiona.

- Sandy Blair - powiedziała ciepło, ściskając go z entuzjazmem. Ledwie sięgała mu czubkiem głowy do podbródka, lecz mimo niskiego wzrostu była zaskakująco silna. Sandy również ją uściskał, choć nieco ostrożniej.

Gdy odsunęli się od siebie, Sandy zauważył, że druga kobieta podeszła bliżej. Była nieco wyższa od Bambi i bardzo żyłasta, a czarne włosy spleła sobie w dwa długie warkoczki.

- To moja siostra Fern - oznajmiła Bambi, zbijając na moment z tropu Sandy'ego, który wiedział, że jest jedynaczką. Fern, to Sandy Blair, chodził ze mną do college'u. No wiesz, opowiadałam ci o nim.

Sandy wyciągnął rękę i Fern ujęła ją w dwie dłonie delikatnym, lecz bardzo stanowczym ruchem.

- Ten pisarz - powiedziała. - Tak, czuję to. Masz bardzo twórcze emanacje.

- Och - mruknął Sandy, uśmiechając się niepewnie. Zastanawiał się, kiedy Fern puści jego rękę. Po chwili to zrobiła.

- Cieszę się, że cię widzę - oznajmiła Bambi. - Chodź, usiądźmy. Łatwo się teraz męczę.
- Dotknęła brzucha. - Napijesz się herbaty?

- Jasne - zgodził się Sandy. - Jest tu trochę chłodno. Herbata bardzo dobrze mi zrobi.

- Fern, zrobisz nam herbaty? - zapytała Bambi. Kobieta skinęła z uśmiechem głową i wyszła z tipi.

- Musi pójść do domu - wyjaśniła Bambi. - Namiot jest bardzo wygodny, ale brakuje mu kompletnego wyposażenia. To tylko tymczasowe rozwiązanie, zanim zainstalujemy ogniwa

słoneczne w drugim domu.

- Ognia słoneczne? - zdziwił się Sandy. - Wyglądały jak wielkie okna.

- Tak na nie mówimy - wytłumaczyła z uśmiechem Bambi. - To bierne ognia. Bardzo harmonijne.

W ciąży było jej do twarzy. Sprawiała wrażenie bardzo zadowolonej. Wyraźnie się zmieniła od czasów, gdy Sandy ją poznał. W college'u Bambi była niską, pękatą, szczerą do bólu dziewczyną, jedną z tych, o których zawsze się mówi, że mają wspaniałą osobowość. Łatwo płakała, łatwo wpadała w entuzjazm i łatwo się zakochiwała. Miała na własność więcej pluszowych zwierzaków niż jakichkolwiek sześcioro innych ludzi znanych Sandy'emu. Na pierwszym roku mieszkała w jednym pokoju z Maggie i za jej pośrednictwem poznała Sandy'ego, Larka, Łajzę i innych, wciągnęła się w politykę, potem w narkotyki, a potem w seks. Z biegiem lat zmieniła się bardzo dramatycznie, choć zarazem pozostała taka sama. Choć miała wielu partnerów, w jakiś sposób nie przestała być romantyczna, i mimo że przystała do radykałów, nie utraciła naiwności. Zadawała się z gwałtownymi, podkładającymi bomby rewolucjonistami, ale nie wyrzekła się ani jednego pluszowego królika. Sandy nigdy nie potrafił jej do końca zrozumieć.

Jednakże uśmiechnięta kobieta w zaawansowanej ciąży, która siedziała teraz kilka stóp od niego, sprawiała wrażenie znacznie bardziej pozbieranej. Wyglądała starzej, niż wskazywałyby na to jej wiek. Jej twarz pokrywały liczne linie oraz bruzdy od słońca, wiatru i śmiechu, ale to były dobre linie i bruzdy. Dłonie położyła na kolanach, wewnętrznymi powierzchniami ku górze. Sandy widział na nich stwardnienia. Ciężar dziecka, które nosiła, tolerowała znacznie lepiej niż ciężar zrodzony z okrągłych ciasteczek z Hostess Creme, od których była uzależniona w college'u. To nie mogły być Twinkies, w żadnym wypadku nie Twinkies,

tylko czekoladowe ciasteczka z białym zygzakiem lukru i kremem w środku. Bambi wydawała się nieco zniszczona i zmęczona, ale znacznie bardziej żwawa niż kiedykolwiek.

- Świetnie wyglądasz - skomplementował ją Sandy.

- Dziękuję - odparła. - Czuję się też świetnie. Znalazłam spokój, Sandy. Mam tu bardzo dobre życie.

- Trochę się zdziwiłem, kiedy Maggie mi powiedziała, gdzie mieszkasz. Nie miałem pojęcia, że przetrwały jeszcze jakieś komuny.

- Jak widzisz, przetrwaliśmy - odparła Bambi. - Ale większość wspólnot New Age, założonych w latach sześćdziesiątych faktycznie się rozpadła. Zbyt wielu ich członków nie było naprawdę szczerze zainteresowanych alternatywnym stylem życia. Tacy ludzie

oczywiście nigdy się nie sprawdzają. Wspólnoty, które przetrwały, takie jak Złota Wizja, składają się z ludzi głęboko zaangażowanych w nowe życie. Jesteśmy znacznie mniej liczni niż dziesięć lat temu. Jak rozumiem, przed moim przybyciem było tu trzydziestu dorosłych członków. Teraz zostało nas ośmioro plus dzieci. Ale wszyscy kochamy się nawzajem i Złota Wizja jest teraz bardzo stabilna. To cudowne miejsce dla dzieci.

- Rozumiem - powiedział Sandy, gapiąc się na brzuch Bambi. - Czy to będzie twoje pierwsze?

Uśmiechnęła się.

- Drugie - wyjaśniła. - Mam czteroletniego syna imieniem Jason. Wyszedł na chwilę przed twoim przyjściem.

- O mało mnie nie przewrócił - przypomniał sobie Sandy. - Jest pełen energii.

- I wyobraźni - dodała Sandy. - Wszystkie nasze dzieci są bardzo kreatywne. Nie mamy telewizora i nie sprowadzamy gazet. Większość zabawek dla dzieci robimy własnoręcznie. Nie pozwalamy na nic plastikowego. Nic seksistowskiego. Nic niebezpiecznego. Ani na zabawki w kształcie broni.

- A komiksy? - zainteresował się Sandy. Potrząsnęła głową.

- Tylko dobre książki - oznajmiła z naciskiem.

- Całe plemię dzieciaków nie mających pojęcia, kim jest Spiderman? - zdumiał się Sandy.

- Dzieci nie potrzebują pełnych przemocy fantazji o władzy. Wystarczą im miłość, muzyka i natura. Stworzyliśmy dla nich zdrowe, harmonijne środowisko, wolne od gwałtu i rywalizacji.

- A co się stanie, gdy wkroczą w wiek szkolny? Czy nie będą miały trudności z kontaktem z rówieśnikami, których nie wychowywano pod kloszem?

- Uczymy je w domu - wyjaśniła Bambi. - Jana ma uprawnienia nauczycielskie, a Herb doktorat. To najwyraźniej wystarcza władzom stanowym, chociaż czasami próbują nas nękać. Ale dajemy sobie radę.

- Widzę, że macie tu prawie wszystko.

- Jesteśmy niemal całkowicie samowystarczalni - oświadczyła z dumą Bambi. - Produkujemy połowę tego, co zjadamy, a wszystko to organiczna żywność. Nie jemy mięsa, oczywiście. Złota Wizja nie uznaje mięsożerności. To, czego nie możemy wyprodukować sami, kupujemy w mieście. Potrzebujemy tak niewiele pieniędzy, że nie mamy trudności z ich zdobyciem. Wszyscy w tym pomagają. Fern szyje, haftuje i na spółkę z Herbem produkuje nasze herbaty. Ray jest złotą rączką. Najróżniejsi ludzie przywożą mu tu rzeczy do

naprawienia. On i Mitch łapią też czasem jakąś robotę w mieście. W ogrodzie, na budowie i tak dalej. Jana lepi garnki i małe ceramiczne figurki, które sprzedajemy turystom. Lisa zajmuje się równoważeniem aury i masażami. Przyjeżdżają do niej ludzie z całego stanu. Ed robi bransolety, naszyjniki i pierścienie. Jest w tym bardzo dobry.

- A ty?

- Ja zajmuję się pieczeniem chleba i opieką nad dziećmi. - Bambi uśmiechnęła się szeroko. - A do tego pszczelarstwem.

- Macie pszczoły? - zapytał z niedowierzaniem Sandy.

- Już pięć uli - odparła. - W życiu nie jadłeś lepszego miodu. Czysto organiczny. Niepodgrzewany i niefiltrowany, pełen witamin.

- Kiedyś uciekałaś z krzykiem z pokoju, kiedy na ścianie, dziesięć stóp od ciebie, pokazał się karaluch - zdziwił się Sandy.

- No pewnie. W dzieciństwie mieszkałam w małym domku w River Forest. Matka dostawała hysterii, kiedy jakiś owad pokazał się na trawniku, a co dopiero w domu. Nauczono mnie, że wszystkie robale są brudne i obrzydliwe. - Parsknęła śmiechem. - Dopiero w Złotej Wizji zrozumiałam, że to nieprawda. Żyjemy tu bardzo blisko natury. A pszczoły, mrówki, pająki i nawet karaluchy są elementem harmonii, ekologii, tak samo jak my. Owoc nie staje się gorszy, dlatego że jakiś owad zjadł jego część. Wolę zjeść jabłko z robakiem w środku niż jabłko spryskane trującymi pestycydami.

- Ja dziękuję za oba - skwitował Sandy. Uniósł spojrzenie, gdy do namiotu wróciła Fern. Kobieta przyniosła na dużej, drewnianej tacy ceramiczny dzbanek oraz trzy ręcznie robione kubki. Cały ten serwis był ręcznie pomalowany w różyczki. Obok stał słoik miodu.

- To moja herbata i miód Bambi - oznajmiła Fern, stawiając tacę na klepisku. - Na wypadek, gdybyś chciał posłodzić herbatę. Ale ona właściwie tego nie wymaga.

- Nie używamy rafinowanego cukru - dodała Bambi. To trucizna.

- Ja też z reguły go nie używam - wyznał Sandy. Używał słodziku, co było daremnym gestem mającym powstrzymać tycie. O tym jednak wolał nie wspominać.

Napój był gorący i pachnący. Sandy czuł w nim woń mięty, cynamonu oraz jakiegoś kwiatu. Gdyby o to zapytał, Fern z pewnością zdradziłaby mu jego nazwę, nie zrobił jednak tego. Popijał tylko z uśmiechem herbatę.

- Jest dobra - przyznał.

- Zbliża się pora posiłku - poinformowała go Bambi. Zjesz z nami kolację, Sandy? Dzisiaj gotuje Lisa. Jest cudowną kucharką.

- Jasne - zgodził się Sandy. - Dziękuję za gościnność. Wiesz co, Bambi? Wcale nie

wyglądasz na zdziwioną tym, że się tak nagle zjawilem.

- Maggie przysłała mi kartkę. Wspominała, że pytałeś ją o mój adres.

- Napisała do ciebie? - zapytał z uśmiechem Sandy. - Jestem zdumiony.

- Pisała, że może spotkasz się też z Larkiem. Co u niego słyszeć?

- L. Stephen Ellyn ma wielki samochód, wielki dom, sześciocyfrową pensję i trzyczęściowy garnitur. Tak mi przynajmniej powiedział. Pije też tyle alkoholu, ile może kupić za całą tę forszę. I jest dojrzały. Zrobił się tak cholernie dojrzały, że w każdej chwili grozi mu przemiana w Waltera Cronkite'a.

Fern patrzyła na niego znad brzegu kubka.

- Sprawiasz wrażenie strasznie rozgoryczonego, Sandy.

- Fern zna się na ludziach - poparła ją Bambi. - Ja też to czuję. Czy jesteś aż tak nieszczęśliwy? Cały czas opowiadałam ci o Złotej Wizji, a ty nie mówisz mi nic o swoim życiu. Opowiedz o nim.

Popatrzył na nią ze skrępowaniem. Chociaż Bambi wręcz ociekała empatią godną Matki Ziemi, on z całą pewnością nie był Maggie i nie miał najmniejszej ochoty obnażać swego serca przed tą kobietą. Poza tym, sam nie był do końca pewien, co się w nim kryje.

- Moje życie jest w porządku - oznajmił. - Wydałem trzy powieści i pracuję nad czwartą. Mam dom w Nowym Jorku i żyję z miłą, inteligentną kobietą, która nazywa się Sharon Burnside. Jest bardzo ładna, dobra w łóżku i zarabia więcej ode mnie. Moja praca jest przyjemniejsza niż pierdolenie się z małpą..

- Nie - zaprzeczyła Fern, dotykając jego dłoni. - Wyczuwam w tobie ból, Sandy.

- W ciągu paru ostatnich tygodni przejechałem z górą dwa tysiące mil - wyjaśnił Sandy.

- Diabelnie bolą mnie plecy, ciągle kręci mi się w głowie od jazdy, mam już serdecznie dość cheeseburgerów, od Kansas City nie mogłem złapać w radiu nic poza country and western, a do tego mam za ciasne bokserki. Pewnie, że czuję ból. Też byś go czuła na moim miejscu.

Fern zmarszczyła brwi.

- Lisa mogłaby zrównoważyć ci aurę - zaproponowała. Masz w sobie tyle napięcia i sprzeczności. Wyczuwam obok ciebie coś mrocznego, Sandy.

- To te bokserki. Od Chicago nie robiłem prania. Fern wstała.

- Przykro mi, że sprowokowałam twoją wrogość. Chciałam tylko ci pomóc. W takim razie zostawię cię z Bambi.

Uśmiechnęła się z rezygnacją i wyszła. Bambi przyglądała mu się z uwagą.

- Idź do Lisy - poradziła.

- Moja aura jest w porządku - warknął Sandy. - Nie chcę, żeby ją równoważono.

Przyzwyczałem się do tego, że jest ściśnięta i wypaczona. Sharon też. Ona kocha moją aurę. Gdybym wrócił do domu z jakąś inną aurą, nie poznałaby mnie. Mogłaby nawet wykopać mnie z łóżka.

Bambi potrząsnęła głową.

- Dlaczego zawsze musisz ze wszystkiego żartować?

- W młodości matka wciąż mi powtarzała, że jestem pyskаты, ale ja wolę uważać, że jestem cudownie dowcipny.

- Twoje żarty to forma agresji, Sandy. Powinieneś to wreszcie zrozumieć. Gdy tylko czujesz się zagrożony, atakujesz swym poczuciem humoru wszystko, czego nie rozumiesz. Drwisz, zamiast akceptować. Otaczasz się skorupą tego, co uważasz za dowcip.

Sandy wbił w nią wzrok. Nagle poczuł się bardzo skrępowany.

- Jest w tym trochę nieprzyjemnej prawdy - przyznał ostrożnie. Nagle jednak wzięło w nim górę przyzwyczajenie. - Nie potrafię w to uwierzyć. Siedzę w tipi na szczycie góry i wysłuchuję nauk guru imieniem Bambi.

- Widzisz? - Oboje się uśmiechnęli. - Pamiętasz nasze pierwsze spotkanie? - zapytała.

- Na pierwszym roku? Nie za bardzo.

- Przyszedłeś do akademika po Maggie i przedstawiła nas sobie. Zauważyłeś, że Bambi to dość nietypowe imię, i zapytałeś

mnie, skąd się wzięło. Opowiedziałam ci, że moi rodzice wybrali się do kina na *Bambi* Disneya, kiedy mama była w dziewiątym miesiącu, i nagle zaczęły się bóle, więc musiała pędzić do szpitala. Wydawało mi się, że to ładna historia, ale ty tylko popatrzyłeś na mnie, jakbym była wariatką, i powiedziałeś, że miałam wielkie szczęście. Oczywiście, dałam się złapać i zapytałam dlaczego. I wtedy odpowiedziałeś: „Kurde, mogli się wybrać na *Dutnbof*”.

- Uch - poskarżył się Sandy.

- Tak jest, „uch”.

- No dobra - rzucił Sandy. - Jestem winny. Ale musisz przyznać, Bambi, że niektóre sprawy zasługują na to, aby z nich żartować.

- Na przykład równoważenie aury?

- Między innymi.

- Nie, Sandy - sprzeciwiła się. - Ty po prostu tego nie rozumiesz. I nigdy nie zrozumiesz, bo nie chcesz się otworzyć. Wolisz stroić sobie z tego żarty i w ten sposób potwierdzić we własnych oczach swoje wyobrażenie o sobie jako o bystrym spryciarzu, niż zaakceptować to i uwierzyć. Bo gdybyś uwierzył, ludzie mogliby pomyśleć, że jesteś naiwny. Gdybyś uwierzył, mogliby cię uznać za głupca, uznać, że wcale nie jesteś takim światowcem,

na jakiego wyglądasz. Dlatego jesteś taki smutny i nieszczęśliwy.

- Wcale nie jestem smutny i nieszczęśliwy - sprzeciwił się poirytowany Sandy.

Bambi zignorowała jego słowa.

- Twój problem polega na tym, że próbujesz kierować własnym życiem za pomocą umysłu. Starasz się myśleć o wszystkim. Myślisz, zamiast czuć. Otwórz się, pozwól, by serce, uczucia i ciało stały się dla ciebie przewodnikami. W ten sposób staniesz się szczęśliwszy i bardziej spełniony, będziesz żył w harmonii z naturą. Uwierz. Zaufaj. Zaakceptuj.

- Wyłącz komputer, he? - zapytał Sandy. - Zaufaj Mocy, a zniszczysz Gwiazdę Śmierci?

Bambi popatrzyła na niego bez zrozumienia.

- *Gwiezdne wojny* - wyjaśnił Sandy. - Nie znasz *Gwiezdných wojen*?

Potrząsnęła głową.

- Ale ten przekaz jest słuszny. Komputery to okropne wynaturzenie. Nie powinniśmy pozwalać, żeby myślały za nas maszyny. Dopóki będziesz tłumił swe uczucia, dopóty będziesz cierpieć depresję, ból i tak dalej. Umysł nie potrafi dotrzeć do prawdy o własnych siłach.

- Może i nie - zgodził się Sandy - ale z całą pewnością potrafi rozpoznać fałsz. Nie pociąga mnie myśl o wędrówce przez życie z otwartym sercem i wyłączonym wykrywaczem lipy, Bambi.

- Jeśli natrafisz na coś niezwykłego, nowego albo zbyt dużego, by mógł to objąć twój świadomy umysł, to jeszcze nie znaczy, że to musi być lipa. Przyglądaj się światu, Sandy. Kiedyś to robiłeś. Nasze toksyczne, plastikowe społeczeństwo czci śmierć, jest przesycone wojną, zanieczyszczeniami, rasizmem, głodem i chciwością. A zbudowały je umysł, technika, materialistyczne myślenie wyprane z ludzkich uczuć. Kiedyś odrzucałeś ten świat, tak jak my wszyscy, i miałeś rację. W przeciwieństwie do Larka nie potrafiłeś zaakceptować go na nowo, ale mimo to nie znalazłeś nowego sposobu życia. Odrzucasz teraz wszystko.

- Na przykład co? - zapytał Sandy.

- Na przykład Ruch. Nigdy nie zaangażowałeś się w pełni, Sandy. Zawsze byłeś krytyczny. Stworzona przez elitę władzy etyka dziennikarska znaczyła dla ciebie więcej niż służba sprawie.

- Faktycznie - zgodził się. - Innymi słowy, nie chciałem celowo zniekształcać faktów ani podawać nieprawdziwych informacji.

- Prawda jest ważniejsza niż fakty. Nigdy nie potrafiłeś tego zrozumieć.

Sandy pochylił się ku niej, marszcząc brwi.

- Nie chrzań. Nie zmieniłem poglądów. Nie odrzuciłem Ruchu. Ale Ruch był cholernie wielki. Rzeczywiście nigdy nie ak-

ceptowałem pewnych jego elementów. Tych, które stały się równie złe jak wszystko, z czym walczyliśmy. W Ruchu miało o coś chodzić, a ten skurczybyk Manson i SLA nie mieli nic wspólnego z tym, o co mnie chodziło.

- Odrzucałeś też narkotyki poszerzające świadomość.

- Hej! - sprzeciwił się Sandy. - Próbowałem ich.

- Eksperymentowałeś z nimi. Dla rozrywki. Zawsze bałeś się wszystkiego, co mogłoby cię otworzyć na wyższe poziomy świadomości.

- Chciałaś powiedzieć, że zawsze bałem się wszystkiego, co mogłoby zamienić mój mózg w bryłkę twarogu.

- Nowych systemów wartości, mistycyzmu, medytacji, transcendencji...

- Dwunastoletnich guru, zagranicznych przesądów, samooszukiwania się, eskapizmu, wykrzykujących slogany fanatyków. Serdecznie dziękuję za to wszystko.

- Widzisz, Sandy? - zapytała z uśmiechem Bambi. W ogóle się nie zmieniłaś. Twój umysł nadal pozostaje zamknięty i sztywny. To on mówi te wszystkie rzeczy, wydaje rozkazy twoim uczuciom i ciału. Twój umysł jest uparcie materialistyczny, załęczony i cyniczny.

- Zęby mądrości miałem bardzo uduchowione, ale dałem je sobie wyrwać - skontrował Sandy.

Bambi Lassiter westchnęła.

- Widzę, że nigdy nie otworzysz się na oświecenie. Gdy tylko twoje mechanizmy obronne słabną znowu zaczniesz żartować.

- Żarty są lepsze od bezmyślnej, bezkrytycznej wiary.

- Nie, Sandy. Kocham cię, ale mylisz się bardzo głęboko. Żeby osiągnąć szczęście i spełnienie, musisz nauczyć się wiary. Akceptacji. Spójrz tylko na mnie - zakończyła z uśmiechem. Wydawało się, że wręcz promienieje zadowoleniem.

- Twoja odpowiedź nie jest odpowiednia dla mnie.

- Spróbuj. Uwierz. Wyłącz umysł i poddaj się uczuciom. Sandy zdecydowanie potrząsnął głową.

- Boję się ludzi, którzy wierzą, Bambi. To prawda, że są szczęśliwi, ale są też niebezpieczni. Spójrz tylko na tych ćwoków z Moralnej Większości, na Hitlerjugend albo tych biednych frajerów z Jonestown... wszyscy oni znaleźli szczęście w wierze.

Bambi nie przestawała się uśmiechać.

- Jesteś beznadziejnym przypadkiem, Sandy.

- W to możesz śmiało uwierzyć.

- I tak cię kocham i życzę ci dobrze. - Nadal uśmiechnięta, zmieniła temat. - Czy masz

zamiar spotkać się z kimś jeszcze?

Skinął głową.

- Żabcio jest w Los Angeles. Tam właśnie się wybieram. Łajza mieszka w Denver, z rodziną. Zajrzę tam, wracając na wschód.

- Przekaż im wyrazy miłości - poprosiła Bambi. - Dlaczego właściwie to robisz? Nie widzieliśmy się już od bardzo dawna. Wszyscy poszliśmy własnymi drogami. Dlaczego akurat teraz?

- Trudno powiedzieć - odparł Sandy. - Może czegoś szukam, a może chodzi po prostu o ciekawość. I... no więc, to się wiąże z artykułem, nad którym pracuję. Nie pytaj mnie jak, ale się wiąże. W gruncie rzeczy, niewykluczone, że właśnie ty możesz mi najbardziej pomóc.

- A dlaczego?

- Dlatego że w dawnych czasach zaangażowałaś się w burzenie porządku społecznego znacznie bardziej niż reszta.

- To prawda - przyznała. - Ale to było dawno. Z czasem zrozumiałam, że społeczeństwo jest zbyt wielkie i monstrualne, by mogło się zmienić tak łatwo, i że nie wolno używać przemocy, by uwolnić świat od przemocy.

Sandy wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- To właśnie ci wtedy mówiłem. Ale ty i Lark odpowiadaliście mi, że władza rodzi się z lufy karabinu. To jednak nie należy do sprawy. Miałaś kontakty z ludźmi, którzy rzucali bomby. Z Weather Underground, Czarną Milicją Wolności, Amerykańskim Frontem Wyzwolenia i tak dalej. Muszę porozmawiać z tymi ludźmi. Tymi, którzy jeszcze pozostali.

- Wszystko to dawne dzieje - odparła.

- Podaj mi nazwisko, jakiś sposób nawiązania kontaktu nie ustępował Sandy. - I wystarczy.

Bambi milczała przez chwilę. Miała już zamiar mu odpowiedzieć, gdy nagle przerwało im głośne dzwonięcie.

- Sygnał na kolację - wyjaśniła. Wstała gładkim ruchem, uśmiechając się tajemniczo, i pomogła się podnieść Sandy'emu. Nogi mu zdrętwiały. - Pozwól mi się nad tym zastanowić. Być może będę mogła ci pomóc.

Kolację podano w dużym domu, na długim, grubo ciosanym drewnianym stole zastawionym ręcznie robionymi talerzami i półmiskami. Wszyscy spożywali posiłek razem. Sandy'ego przedstawiono pozostałym dorosłym członkom wspólnoty, a także dzieciom. Było ich w sumie sześcioro, od dziesięcioletniego chłopca imieniem Free aż po sześciomiesięczne niemowlę noszone przez matkę na plecach. Nikt nie używał nazwisk. Gdy wszyscy już usiedli,

uścisnęli się za dłonie, dzieci i dorośli, tworząc okalający stół krąg, i przez długą chwilę z opuszczonymi głowami gapili się bez słowa na talerze. Sandy również ścisnął dłonie sąsiadów - Bambi po prawej i szczupłego mężczyzny z kocią bródką zwanego Mitchem po lewej. Czuł się skrępowany, zupełnie jak podczas bożonarodzeniowego obiadu z rodzicami Sharon, gdy jej ojciec wstawał i odmawiał nad indykiem trwającą bez końca modlitwę.

Tutaj rzecz jasna nie podano indyka. Posiłek był w stu procentach wegetariański: niełuskany ryż i wielkie półmiski pełne świeżych jarzyn, w niektórych przypadkach ostro przyprawionych, gęsta, pyszna zupa domowej roboty i ciepły, świeżo upieczony chleb. Wszystko to popili mrożoną, ziołową herbatą oraz świeżym mlekiem. Posiłek był bardzo smaczny, a członkowie wspólnoty zachowywali się przyjaźnie. Kucharka, wysoka, szeroka w barach kobieta imieniem Lisa, która nosiła na plecach niemowlę, oznajmiła mu z dumą, że w posiłku, który przed chwilą pochwalił, nie było żadnych „konserwantów ani związków chemicznych”.

Sandy unosił właśnie do ust widelec z ryżem, lecz mimo to zatrzymał się i spojrzał na Lisę.

- Żadnych związków chemicznych? W ogóle żadnych?

- Żadnych - potwierdziła Lisa.

- Muszę to sobie zapisać - stwierdził. - Żywność złożona z czystej energii. To mogłoby rozwiązać problem głodu na świecie.

Bambi potrząsnęła głową. Lisa wróciła do kuchni, lekko urażona, a kilku innych popatrzyło na niego dziwnie. Od tej chwili rozmowa przy stole stała się nieco sztywniejsza.

Sandy spróbował zrehabilitować się za swą złośliwą uwagę, proponując, że pomoże pozmywać naczynia. Złapali go za słowo i w rezultacie wylądował w kuchni z Fern. Zrzucili niedojedzone resztki na stertę kompostu za budynkiem, po czym pozmywali naczynia mydłem domowej roboty. Sandy zmywał, a Fern wycierała. Szybko się zorientował, że mydło jest znacznie mniej łagodne niż Palmolive, lecz tym razem rozsądnie trzymał usta zamknięte, pozwalając Fern mówić beztrąsko o literaturze. Była wielką fanką *Obcego w obcym kraju*.

Gdy wyszedł z kuchni, czworo dorosłych nadal siedziało przy stole, rozmawiając. Ruszył w ich stronę, ale jeden z nich, masywnie zbudowany czarny mężczyzna z brodą, który zamienił z Sandym kilka słów po jego przybyciu, wstał i przeciął mu drogę.

- Hej, kolego - zawołał, klepiąc go po ramieniu wielką, stwardniałą dłonią. - Przejdźmy się trochę, dobra?

- Jasne - zgodził się niepewnie Sandy. Czarnoskóry mężczyzna poprowadził go na zewnątrz. Słońce przed chwilą zaszło i nad górami zapadał przynoszący ze sobą chłód

zmierzch. Nie było wiatru i panowała tu głęboka cisza. Słyszał tylko dobiegające z oddali krzyki buszujących gdzieś przy drodze dzieci.

- Nazywam się Ray - oznajmił mężczyzna. Szedł powoli, trzymając ręce w kieszeniach.

- Kapujesz?

- Hmm, jasne - potwierdził Sandy.

Przeszli przez podwórko. Ray zatrzymał się przy starym dżipie i oparł się o niego, krzyżując ramiona.

- Bambi mówi, że chciałbyś porozmawiać z kimś, kto miałby kontakty z podziemiem.

- Aha - potwierdził Sandy. Przyjrzał się z uwagą Rayowi. - Ty?

- Nie mówię „tak” i nie mówię „nie”. Bambi zapewnia, że można ci zaufać, ale ja cię nie znam, więc muszę być ostrożny. Jak już mówiłem, nazywam się Ray. Ale może kiedyś nazywałem się inaczej. To dobre miejsce. Podoba mi się tutaj. Lubię tych ludzi. Nie chciałbym, żeby zdarzyło się coś, co mogłoby mnie zmusić do wyjazdu. Jasne?

Sandy skinął głową.

- Z jaką grupą masz kontakty?

- Ja? Z żadną. Jak już mówiłem, jestem Ray. Ray jest czysty, nie jest notowany ani nic. Nikt go nie ściga. Ale powiedzmy, że mam bardzo starego przyjaciela, który jest poszukiwany w chyba sześciu stanach i w swoim czasie było o nim głośno. Łapsy bardzo chciały go dorwać. I ten facet mógł się związać z każdą grupą, pod warunkiem że coś robiła. Nie lubił gadania. Lubił działać. Kapujesz? To był prawdziwy świr.

- W porządku - odparł Sandy. - Słyszałeś o zamordowaniu Lyncha?

Na szerokim, przechodzącym w łysinę czole pojawiły się głębokie bruzdy.

- Nie mamy tu gazet, kolego. Pełno w nich kłamstw i przemocy. Produkują złe emanacje.

- Jamie Lynch był kiedyś promotorem i menażerem. Jego zespołami były The Nazgul, American Taco, Fevre River Packet Company i parę innych. W zeszłym miesiącu ktoś wyciął mu serce.

Opisał krótko Rayowi makabryczne morderstwo, wspominając również o pożarze Norki Świstaka.

- Pamiętam The Nazgul - przyznał Ray. - Byli całkiem niezli, jak na białą grupę. Z tego Świstaka Johna był diabelnie dobry bębniarz. - Zmarszczył brwi. - Uważasz, że to podziemie załatwiło tego skurwysyna Lyncha?

- Nic nie uważam. Staram się ustalić prawdę. Ray pociągnął się za czarną, kosmatą bródkę.

- Mój przyjaciel wiązał się głównie z grupami, które stawiały sobie polityczne cele, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Porwania. Napady na banki i okradanie innych wyzyskiwaczy. Broń dla getta. W tym syfie nie widzę nic politycznego. Skrzywił się wściekle. - To chyba bardziej w stylu rodziny Mansona. Wykończyć świnie. Ale dlaczego Lynch? - Wzruszył ramionami. - Nie sądzę, by mój przyjaciel wiedział coś, co mogłoby ci pomóc, kolego. Przykro mi.

Sandy skinął głową.

- Nie liczyłem na to zbyt. Jeszcze jedno pytanie?

- Strzelaj.

- Edan Morse. Czy to nazwisko coś ci mówi?

Zapadła cisza. Ray zamarł w bezruchu na długą chwilę. Sandy przyglądał się mu, czekając na znajome wzruszenie ramion i zaprzeczenie. Potężnie zbudowany mężczyzna zwrócił się jednak w jego stronę.

- Zrobiłem mnóstwo rzeczy, których teraz żałuję - zaczął. - To miejsce mnie zmieniło. Mam to i owo na sumieniu, tak samo jak wszyscy, ale nigdy w życiu nie nakablowałem na brata, nawet białego. Jesteś pewien, że nie pójdziesz z tym do łapsów?

Sandy spojrzał mu prosto w oczy. Poczul, że wzdłuż kręgosłupa przebiegł mu dziwny, elektryzujący dreszcz. Wreszcie udało mu się coś znaleźć. Musiał tylko dobrze to rozegrać.

- To zależy - odpowiedział. - Nie będę cię oszukiwał, Ray. W pożarze Norki Świstaka zginęło mnóstwo niewinnych dzieciaków. Jamiemu Lynchowi wycięto serce nożem. Jeśli się dowiem, kto to zrobił, nie będę go osłaniał. A jeśli rzeczywiście się zmieniłeś, ty również nie będziesz.

Ray spojrzał na niego zakłopotany.

- Kurwa - mruknął. - Może i masz rację, kolego. Mówisz, dzieciaki?

- No, w każdym razie nastolatki.

- Ja też niedługo będę miał dziecko - oznajmił Ray. - Je-

stem ojcem tego, które nosi Bambi. - Zacisnął wielką dłoń w pięść i uderzał nią raz po raz w bok dżipa, powoli, lekko i z namysłem. - Ale nie wspomnisz o mnie?

- Jasne.

Ray zaczerpnął tchu.

- No to słuchaj. Nie wiem, czy to ci w czymś pomoże, bo nie ma tego zbyt wiele. Edan Morse jest czysty. Tak samo jak Ray. Mieszka na wybrzeżu. Chyba w Beverly Hills. Ma kupę forsy. Odziedziczył ją, kiedy miał ze dwadzieścia lat. Jego rodzice i starsza siostra zginęli w wielkim pożarze. Edana nie było w domu. Z tym pożarem wiąże się coś dziwnego, ale nie

nikomu nie udowodnili. Edan wierzył w rewolucję. I nie ograniczał się do gadania, potrafił też działać. Dawał pieniądze na sprawę. Dla Panter, SDS, Weather Underground i setki innych grup. Jak potrzebowałeś szmalu, zawsze mogłeś się zwrócić do Edana. Później był jednym z facetów, którzy zakładali AFW.

- Amerykański Front Wyzwolenia - powtórzył Sandy z namysłem w głosie. AFW był radykalnym odłamem podziemia, założonym we wczesnych latach siedemdziesiątych przez ludzi, którzy uważali pozostałe grupy za zbyt umiarkowane. Jego specjalnością był miejski terroryzm i zamachy.

- Edan był w AFW wielką figurą. Nie chodziło tylko o forszę. Planował też akcje, wydawał rozkazy, załatwiał broń. Ale zawsze działał za kulisami. Nie wygłaszał mów. Łapsy wiedziały, że Edan jest w to zamieszany, ale nie złapały go na gorącym uczynku. Był bardzo ostrożny. Rozdawanie pieniędzy nie jest zbrodnią, a jedynie to potrafili mu udowodnić. Ale są rzeczy, o których łapsy nie wiedzą.

- Na przykład?

- Edan Morse jest czysty, tak jak mówiłem. I Ray też jest czysty. Ale mój przyjaciel już nie jest taki czysty. Edan również miał przyjaciół, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Victor Von Doom. Maxwell Edison. Sylvester. To wszystko byli bardzo dobrzy przyjaciele Edana.

Sandy pamiętał wszystkie te nazwiska z dawnych dni, choć

nie słyszał ich już od lat. Maxwell Edison był facetem, któremu przypisywano zamach bombowy na zebraniu rady szkoły w Ohio. Victor Von Doom był ponoć połowym dowódcą AFW, tym, który kierował wszystkimi napadami na banki. A Sylvester... Sylvester przez jakieś sześć lat figurował na liście dziesięciu osób najbardziej poszukiwanych przez FBI. Żadnego z nich nigdy nie udało się schwytać. AFW po prostu zniknął ze sceny, a oni razem z nim.

- Jezu - mruknął Sandy. Ray uśmiechnął się.

- Ale w końcu wykopali go z AFW, bo zaczęło mu odbijać. Takie przynajmniej krążyły pogłoski.

- Odbijać?

- Aha. Odbijać. Ludzie z AFW mogli być świrami, ale to były praktyczne świry. Mieli zamiar obalić system za pomocą karabinów, bomb i innego takiego syfu. Ale Edan z czasem zaczął się robić dziwny. Zainteresował się jakimiś okultystycznymi głupotami. Nie znam szczegółów. Kult diabła i tak dalej. Magia. Tego już było, kurwa, za wiele, nawet dla AFW. Dlatego pozbyli się go, a on założył własną grupę. Ale nic z nią nie zdziałał. O ile mi wiadomo, Edan nadal mieszka w swym domu na wybrzeżu i jest czysty jak wszyscy diabli. O jego przyjaciółach już dawno słuch zaginął.

- Ale o nim usłyszano znowu - stwierdził Sandy. - Chce się teraz zająć biznesem muzycznym. Planuje urządzić comeback The Nazgul.

- To nie taki zły pomysł - zauważył Ray. - Grali lepszą muzykę niż to, co teraz leci w radiu. To jest cholernie pewne.

- Dziękuję za pomoc.

- Jaką pomoc? - obruszył się Ray. - Tylko o mnie nie wspominaj. Ja o niczym nie wiem. Żyj tu sobie spokojnie. Organiczny Ray, kapujesz? - Uśmiechnął się. - Ale lepiej uważaj. Edan Morse nie należy do facetów, których można bezkarnie wkurzyć.

- Zapamiętam to sobie - obiecał Sandy. Odwrócił się i ruszył z powrotem do domu. Bambi i kilkoro innych siedziało wokół kominka. - Chciałbym skorzystać z waszego telefonu, jeśli można.

- Przykro mi, ale nie mamy tu telefonu - odparła Fern. Sandy zaklął.

- A gdzie można znaleźć najbliższy?

- W mieście - poinformowała go Bambi. Potem wstała i podeszła do niego. - Wyglądasz na podenerwowanego, Sandy. Czemu nie usiądziesz z nami, żeby się uspokoić? Mamy trochę dobrej trawy. Sami ją uprawiamy. Możesz zostać na noc, jeśli chcesz.

- Nie, dziękuję - wymówił się Sandy. - Muszę się dostać do telefonu. Chyba już pojedę.

- Odprowadzę cię do samochodu - zaoferowała się Bambi. Ujęła go za rękę i ruszyli w stronę Mrzonki. Ray nadal był na dworze. Siedział w dżipie z rękami za głową i patrzył w gwiazdy. Sprawiał wrażenie głęboko usatysfakcjonowanego. Sandy pomyślał, że po latach ukrywania się z pewnością czuje się tu dobrze.

Bambi najwyraźniej zauważyła jego minę.

- Kiedy Ray tu przybył, prosząc o schronienie, był ściganym, udręczonym człowiekiem - powiedziała cicho. - Nauczyliśmy go lepszego życia. Znalazł tu spokój. Ty też mógłbyś go tu odnaleźć, Sandy. Nie potrzebujesz takich zabawek jak ten samochód. Potrzebujesz miłości.

Sandy westchnął.

- Nie - odparł. - Nie mogę. Nie przeczę, że stworzyliście coś dobrego. Dobrego dla ciebie. Być może również dla Raya. Zbudowaliście dla siebie mały, miły azyl i zapomnieliście o świecie.

- To jest świat - nie ustępowała Bambi. - Prawdziwy świat. Mamy co jeść i pić, mamy siebie, góry, gwiazdy, czyste powietrze i spokój. To jest normalność.

- Być może. Ale nie rzeczywistość. Góry i gwiazdy są w porządku, ale na zewnątrz jest świat pełen zanieczyszczeń, morderstw, głośnych hałasów, świateł neonów i samochodów. I on jest tak samo rzeczywisty jak wasz świat. A nawet bardziej. Was jest tylko ośmioro, a

ich są miliony. Życie tu w oku cyklonu, staracie się udawać, że on nie istnieje, ale wicher nadal szaleje. - Wskazał na drogę. - Autostrada międzystanowa biegnie niespełna trzydzieści mil stąd. W tej chwili jest na niej pełno ciężarówek z naczepami. Pełno cystern i tlenu węgla. Przy wyjeździe na waszą drogę jest stacja benzynowa i bar sprzedający najtłustsze cheeseburgery na świecie. To właśnie jest rzeczywistość, Bambi. Uniosła głowę.

- Nie dla nas - zaprzeczyła. - Jeśli drzewo pada w lesie i nikt tego nie słyszy, to czy dźwięk rzeczywiście istnieje?

Trzymała dłonie na wydatnym brzuchu. Skąpiana w blasku gwiazd, wyglądała surowo, godnie i niezwykle poważnie. Sandy uśmiechnąwszy się do niej, odwrócił się ku Mrzonce. Otworzył drzwi, wsiadł i włączył silnik. Potem opuścił szybę.

- Wasze marzenia są piękne, Bambi - stwierdził. - I jesteście twardsi, niż się spodziewałem. Ale stawiam na świat. On jest dla was zbyt wielki.

- Nic nie jest zbyt wielkie dla ludzkiego ducha - sprzeciwiła się. - Cieszę się, że mogłam się z tobą zobaczyć, Sandy. Zabierz ze sobą moją miłość i odjedź bezpiecznie w świetle i radości.

- Spróbuję - obiecał. - Ale zrób coś dla mnie, dobra?

- A co? - zapytała, spoglądając na niego z powagą. Wskazał na nią palcem, uśmiechając się szeroko.

- Nie daj małemu na imię Tuptuś.

Przez moment gapiała się na niego, porażona grozą. Potem jej usta rozciągnęły się w uśmiechu. I zaczęły drżeć. W oczach pojawiły się błyski. Próbowwała z tym walczyć, ale bez powodzenia. Po chwili dała za wygraną i parsknęła serdecznym śmiechem. Podeszła krok bliżej, zaciskając dłoń w pięść.

- Sandy Blair! - zawołała, nie przestając chichotać. - Jesteś absolutnie okropny! Jesteś niemożliwy! Jesteś niesmaczny!

- Nigdy nie twierdziłem, że jest inaczej - odparł Sandy. Pomachał ręką na pożegnanie, wrzucił bieg, włączył reflektory i ruszył.

Dwa strumienie blasku rozświetlały górską drogę przed nim i Sandy jechał ostrożnie przed siebie, uśmiechając się szeroko.

Gdy minął pierwszy zakręt, usłyszał głosy dzieci i zwolnił, by je przepuścić. Dwoje pierwszych pomachało mu ręką, ale kilka kroków za nimi podążała druga para, która go nie pozdrowiła. Była zajęta zabawą. Sandy przez chwilę wyraźnie ujrzał chłopców w blasku reflektorów Mrzonki. Ich głosy dobiegły do niego przez otwarte okno. Syn Bambi, Jason, trzymał w ręku patyk. Celował z niego w dziesięciolatka imieniem Free.

- Bach, bach! - krzyczał, ale Free nadal człapał ciężko naprzód, wyciągając przed siebie ręce. - Jesteś zabity! - poskarżył się Jason.

- Kule nie mają się Hulka! - odkrzyknął Free, łapiąc młodszego chłopaka.

Sandy obejrzał się szybko przez ramię i wybuchnął głośnym śmiechem. Nagle jednak śmiech zamarł mu w gardle. Poczul się bardzo smutny i zmęczony Wygranie zakładu z Bambi nie przyniesie mu radości. Świat ich zmiążdży.

Wymacał na oślep kasetę i włożył ją do magnetofonu. Potem pomknął przez noc ku telefonowi i Daviemu Parkerowi, podczas gdy Bob Dylan zapewniał go, że czas wszystko zmienia. Najgorsze było to, że miał rację.

Jedenaście

* *

Jedno pokolenie się zestarzało, jedno pokolenie znalazło duszę! To pokolenie nie ma przeznaczenia!

- I co powiedział zastępca szeryfa, Parker? - zapytał Żabcio, gdy Sandy skończył opowieść.

- Oznajmił, że czekał na wiadomość ode mnie. Skontaktował się z FBI. Ich akta na temat Morse'a mają stopę grubości i potwierdzają większość tego, czego dowiedziałem się od swojego źródła. Och, nie mają oczywiście żadnych dowodów, bo w przeciwnym razie Morse już dawno wylądowałby za kratkami. Ale jest podejrzany w bardzo wielu sprawach. W sprawie pożaru, który uczynił go jedynym dziedzicem rodzinnego majątku. W sprawie AFW. W sprawie Sylvestra. Ale nie znaleźli nic, co wystarczyłoby sądowi, a ponieważ o Morsie i AFW już od dawna jest cicho, zapomnieli o sprawie.

- A teraz? - zapytał Żabcio. Siedzieli na wysokich stołkach w barze sushi w Santa Monica, popijając ośmiornicę i surową rybę wielkimi ilościami zielonej herbaty.

- Parker zdrowo się podeksycytował. Próbuje nakłonić szeryfa do ponownego otwarcia sprawy. Jak dotąd nie miał w tym zbyt wiele szczęścia. Ostrzegł mnie jednak, żebym trzymał się z dala od tego interesu, bo teraz może się zrobić niebezpiecznie. Szczególnie ostrzegł mnie przed próbami nawiązania kontaktu z Edanem Morse 'em.

- Posłuchasz go?

Przełknął kawałek ośmiornicy i uśmiechnął się.

- Kurde, nie. Morse ma teraz dom na plaży w Malibu. Zastrzeżony numer. Potrzebowałem trzech dni, żeby go wytropić, ale wczoraj próbowałem złożyć mu wizytę. Drzwi otworzyła mi jakaś kobieta, która powiedziała, że nie ma go w domu. Zostawiłem jej wizytówkę i numer do hotelu. Mogę zaczekać. Przejechałem zbyt wiele cholernych mil, żeby

teraz spakować manatki i wracać do domu. Chcę się dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi.

Żabcio wyszczerzył zęby w uśmiechu. Miał szeroką, płaską twarz, a kiedy się uśmiechał, wydawało się, że kąciki jego ust niemal dotykają uszu i całą przestrzeń poniżej nosa wypełniają zęby. W dodatku żółte.

- To mi wygląda na ciekawą historię - stwierdził. - Jared zesra się w portki, jeśli dostanie ją ktoś inny.

- Nasunęła mi się podobna myśl - przyznał Sandy. Dla odmiany był w dobrym nastroju. Rozmowa z Rayem dała mu klucz, którego potrzebował, i był teraz pewien, że rzeczywiście wpadł na jakiś trop. Poza tym ucieszył się na widok Żabcia.

Harold „Żabcio” Cohen dzielił pokój z Sandym przez dwa lata w Northwestern College i pozostał jego przyjacielem jeszcze przez długi czas. Polubili się niemal od samego początku. Żabcio był niskim, niezgrabnym chłopakiem o wydatnym brzuszku. Nosił grube okulary, miał we włosach łupież, a do tego najbardziej krzaczaste brwi, jakie Sandy w życiu widział. Mieli jednak ze sobą mnóstwo wspólnego. Harold Cohen pochodził z Bronksu, a Sandy z New Jersey, obaj więc byli wygnańcami ze wschodu. Łączyło ich upodobanie do pizzy w nowojorskim stylu oraz piwa Schaefer. Obaj nienawidzili Yankees, choć Żabcio przyznawał, że jako dziecko w Bronksie nieraz za to oberwał. Lubili podobną muzykę, czytali podobne książki, radykalizowali się w zbliżonym tempie i zatrzymali mniej więcej w tym samym miejscu. Jednakże naprawdę połączył ich *Gang Andy 'ego*, program telewizyjny, który z pasją oglądali w dzieciństwie.

Jego gospodarzem był Andy Devine, sponsorem Buster Brown

Shoes, a pokazywano w nim przygody Ghangi, chłopca-słonia, oraz cotygodniowe występy Kota Północka oraz Myszy Piszczki. Północek rzępolił na skrzypcach, a Piszczka robiła sztuczki. Sandy potrzebował sporo czasu, żeby się zorientować, że nie są prawdziwymi, żywymi zwierzętami. Wszystko to jednak były tylko drugoplanowe postacie. Prawdziwą gwiazdą programu był Gremlin Żabcio.

Co tydzień Andy Devine mówił: „Pociągnij za swój magiczny wihajster, Żabcio”, w górę buchał obłok dymu i pojawiała się żaba, gumowa kukielka o odrażającym wyglądem, ubrana w smoking, pasiastą kamizelkę i muszkę. „Hej, dzieci, hej, hej, hej” chrypiała najniższym, najbardziej złowrogim i żabim głosem, jaki kiedykolwiek słyszano, kołyszac się z boku na bok i uśmiechając jak sam diabeł. Potem Andy opowiadał Żabciovi o człowieku, który był w tym tygodniu gościem programu. Mógł to być Jim Nasium demonstrujący ćwiczenia, Makaronowy Kucharz Fazool z lekcją gotowania albo ktoś inny. Andy prosił Żabcia, żeby był grzeczny, a ten obiecywał mu solennie, że tak będzie, wywołując śmiech dzieci. Następnie

pojawiał się Makaronowy Kucharz, który pokazywał dzieciom, jak się robi spaghetti. Żabcio stał za jego plecami i chrzypiał: „A teraz włożysz je sobie we włosy, tak jest, tak jest” - tym swoim złowieszczym, niskim głosem i kucharz robił właśnie to. Wszyscy goście byli równie podatni na sugestię, a może to była magia gremlinów. Wszystkich gości grał ten sam aktor, ale w dzieciństwie Sandy nie zdawał sobie z tego sprawy. Każdy program kończył się katastrofalną klapą i Andy Devine rzucał się na Żabcia, żeby się z nim policzyć, ale winowajca zawsze zniknął w obłoku dymu ku zachwytowi dzieci. Za tydzień wracał i znowu obiecywał, że będzie grzeczny.

Gremlin Żabcio był bohaterem Harolda Cohena.

- To dla mnie wzór do naśladowania. Modelowy anarchista - powtarzał Żabcio Cohen, gdy słowo „modelowy” stało się modne.

W pierwszym numerze szmatławego, sensacyjnego, ale pełnego życia czasopisma, jakim był „Hedgehog”, opublikowano

cudownie złośliwą humoreskę Cohena, która krótko wyjaśniała przyczyny wojny wietnamskiej. Gremlin Żabcio złożył wizytę Nixonowi w Białym Domu.

„A teraz zrzucisz napalm na ich dzieci, tak jest, tak jest” wychrzypiał Żabcio i Nixon zrobił właśnie to. Cohen podkreślał, że Nixon i Jim Nasium mieli ze sobą bardzo wiele wspólnego.

Ten debiut zrobił furorę i od tej pory Cohen miał u nich cotygodniową rubrykę o nazwie „Historia Ameryki”. Opowiadał w niej o rzeczach, których nie można się było dowiedzieć od pani w trzeciej klasie.

Szczytowy punkt jego kariery nastąpił jednak w chwili, gdy wyzwiał na publiczną debatę pracownika rekrutacyjnego koncernu Dow Chemical. Żabcio był w tamtym roku prezesem SDS w kampusie. Biedak przyjął wyzwanie. Siedział na jednym końcu długiego stołu w szarym garniturze, białej koszuli i niebieskim krawacie. Nagle na drugim końcu eksplodowała świeca dymna i pojawił się Harold Cohen w smokingu i muszce. Twarz miał pomalowaną na zielono.

- Hej, dzieci, hej, hej, hej - wychrzypiał złowrogo.

- Hej, Żabcio - odpowiedziało chórem audytorium. Człowiek z koncernu musiał uciekać ze sceny, ścigany salwami śmiechu. To był genialny przykład zaangażowanego teatru.

Żabcio był także najbardziej niewyżytym przedstawicielem ludzkiego gatunku, jakiego Sandy w życiu spotkał. Co więcej, bez względu na łupież, brzuszki i żółte zęby odnosił w tej dziedzinie zdumiewające sukcesy. Sandy, Lark i Łajza spoglądali na niego ze zgrozą. Żabcio na samym pierwszym roku zaliczył więcej dziewczyn niż oni trzej na spółkę przez cztery lata

college'u. Jego tajemnicą był całkowity brak wstydu. Podkradał się do dziewczyny, którą przed chwilą spotkał, uśmiechał się od ucha do ucha i mówił: „Hej, chcesz się bzykać?”. Sandy oskarżył go kiedyś o to, że został radykałem tylko dlatego, że kobiety w Ruchu były łatwiejsze do zdobycia. Żabcio uśmiechnął się tylko i odpowiedział: „Kurde, Sandy, ktoś musi pociągać za mój magiczny wihajster!”.

Sandy utrzymywał kontakty z Żabciem jeszcze przez długi

czas po tym, gdy obaj poszli swoimi drogami: Sandy pojechał do Nowego Jorku, by pracować dla „Hoga”, a Żabcio został nauczycielem akademickim w Kalifornii. Jeszcze długo po tym, jak Sandy stracił z oczu Bambi i Larka, pisali do siebie z Żabciem, telefonowali, a nawet składali sobie wizyty. Wszystko to jednak skończyło się po drugim ślubie Żabcia. Miał za sobą małżeństwo zawarte na pierwszym roku college'u, które zakończyło się fatalnie po dwóch miesiącach. Dziewczyna była licealistką i poznał ją na wiecu. Po dziś dzień mówił, że miała „twarz anioła, cierpliwość świętej, najpiękniejsze cycki na świecie i mózg Myszki Piszczki”. Druga żona Żabcia była straszliwą jędzą, która nienawidziła wszystkich jego starych przyjaciół.

Na szczęście, należało to już do przeszłości. Gdy tylko Żabcio odebrał telefon Sandy'ego, natychmiast go poinformował:

- Hej, nie musisz się bać Liz. Dawno już zniknęła z mojego domu, chociaż nie z mojej książeczki czekowej.

- To znaczy, że znów jesteś samotny - zauważył Sandy.

- Nie. Jestem żonaty.

- Oho. Numer trzeci?

- Numer czwarty - odparł Żabcio. - Z numerem trzecim świetnie się nam układało przez dwa lata, ale potem uciekła z instruktorem karate. Ale numer cztery jest bomba. Poczekaj, aż ją spotkasz. Wygląda zupełnie jak Andy Devine. To była miłość od pierwszego wejrzenia.

Sandy parsknął śmiechem.

- Jasne - stwierdził. - Zjemy gdzieś obiad?

W ten sposób umówili się na spotkanie w barze sushi. Żabcio nie zmienił się zbytnio. Policzki miał nieco bardziej puciołowate, brzusek trochę wydatniejszy, a włosy odrobinę rzadsze. Zęby jednak nadal miał równie żółte, a uśmiech tak samo szeroki i po krótkiej chwili Sandy zaczął zdawać mu relację z całej swej odysei.

Po posiłku Żabcio zaproponował spacer.

- Plaża jest tylko kilka przecznic stąd. Nie mam dziś zajęć. Wykładam w poniedziałki, środy i piątki, a we wtorki urzęduję

na uczelni, ale nikt nigdy do mnie nie przychodzi, więc nie sędzę, żeby ktoś miał zauważyć moją nieobecność.

Sandy z chęcią się zgodził i po chwili przeszli przez nadbrzeżny park i zeszli wykutymi w klifie schodami na plażę. Wiatr był dość silny i powietrze wypełniał wczesnolistopadowy chłodek, ale według nowojorskich standardów nadal było tu ciepło. Na plaży nie widzieli niemal nikogo. Ruszyli niespiesznym krokiem brzegiem morza, rozmawiając i uskakując przed falami. Kierowali się w stronę mola.

Sandy mówił prawie przez cały czas, starając się zaspokoić niewyczerpaną ciekawość Żabcia. Najpierw opowiedział o Maggie, Larku i Bambi, a potem zaczął mówić o sobie: o swoim życiu i domu, o książkach, marzeniach i porażkach. Żabcio z początku stroił sobie żarty, ale wkrótce spoważniał. Po jakimś czasie usiedli w odległości kilku stóp od wody. Sandy przesiewał przez złożone dłonie zimny, suchy piasek, a Żabcio oplótł ręce wokół kolan, przyglądając się mu zza swych grubych szkielec.

- Jak na grupę, która spędziła parę lat jak jedna hipisowska komuna, oddaliśmy się od siebie dość daleko, ale nie jestem pewien, czy ktokolwiek z nas znalazł realną odpowiedź - skonkludował Sandy. - Ja również jej nie znalazłem.

Żabcio wypuścił powietrze przez zaciśnięte wargi, wydając z siebie pogardliwy odgłos.

- Hej, niech ci się nie zdaje, że jesteśmy niezwykli, Sandy. Wszystko to część socjologicznego zjawiska. Mówi do ciebie profesor doktor Harold M. Cohen, więc słuchaj uważnie. Niewykluczone, że ty, ja, Lark, Bambi i cała reszta przesraliśmy życie, ale za to przejdziemy do historii, mój drogi Sanderze. Kiedy już wszyscy będziemy bezpiecznie martwi, nasze pokolenie stanie się znakomitym tematem badań. Rób notatki, bo obsypię cię perłami mądrości. - Odkaslnął. - Jako historyk dostrzegam tu działanie czterech zasadniczych czynników. Po pierwsze, przyjrzyj się okresowi, w którym dorastaliśmy. Powojenna Ameryka, późne lata czterdzieste i wczesne pięćdziesiąte. Czas boomu, Sandy, jednego z największych w całej amerykańskiej historii. Nastaly

pokój i dobrobyt, wszędzie wokół szalał postęp, wszystko z dnia na dzień stawało się coraz większe i lepsze. Nie istniały dla nas granice możliwości. Byliśmy pokoleniem, które chciało wszystkiego i spodziewało się dostać wszystko. Można powiedzieć, że byliśmy najchciwszymi dzieciakami w historii. Ale także najbardziej idealistycznymi. Po drugie, byliśmy pierwszym pokoleniem wychowanym na telewizji. Nasze dzieciństwo to *Father Knows Best*, tańczące papierosy, telewizyjne wiadomości i... zatoczył oczyma - ...Gremlin Żabcio. Od kołyski zalewał nas potop informacji, słyszeliśmy o wszystkim, co jest pod słońcem. No więc, im więcej informacji, tym więcej sprzeczności, zgadza się? Nawet na

dawnym południu właściciel plantacji wiedział, że nauka i książki nie są dobre dla biednych czarnuchów, i miał rację. Świat, który widzieliśmy na ekranie, nie zawsze zgadzał się z tym, co mówili nam rodzice i nauczyciele, a Wietnam uświadomił nam to z całą siłą. Połącz ten drobny fakt z naszym idealizmem, naszymi wygórowanymi oczekiwaniami i to, czemu tak często nadaje się osobliwą nazwę wrzenia lat sześćdziesiątych, stanie się nieuniknione. Po trzecie, i być może najważniejsze, weź pod uwagę liczebność naszego pokolenia. Chcieliśmy zmienić świat z uwagi na dwa pierwsze czynniki, a starsi uśmiechali się i potrząsali głowami, mówiąc, że każde pokolenie czuje tak samo i że wyrośniemy z tego, tak jak oni wyrosli. Ale my się z tego śmieliśmy. I wściekaliśmy się. I wiedzieliśmy lepiej. Upieraliśmy się, że my będziemy inni. Że tym razem to się zdarzy naprawdę. Ironia polegała na tym, że mieliśmy rację. Rzeczywiście byliśmy inni od poprzednich pokoleń, dlatego że było nas kurewsko dużo. Byliśmy dziećmi wyżu demograficznego, najliczniejszą i najbardziej kudłatą zgrają, jaką kiedykolwiek zaproszono na bal, jakim jest życie. Odkąd przyszliśmy na świat, amerykańskie społeczeństwo usilnie próbowało przebudować się na nasz obraz. Przedmieścia zbudowano po to, by nas pomieścić. Zabawki, pieluchy i odżywki dla niemowląt sprzedawały się najlepiej wtedy, gdy my z nich korzystaliśmy. Media cały czas lizały nasze różowe tyłeczki. Kiedy byliśmy młodzi, młodość była mod - na. Kiedy zaczęliśmy się pierdolić, nagle stało się możliwe używanie tego słowa w książkach i pokazywanie gołych cycków w filmach. Tylko zaczekaj, aż się zrobimy starzy i siwi. Zobaczysz wtedy w telewizji tyle sitcomów dla emerytów, że zrobią ci się na oczach starcze plamy od patrzenia. Nic dziwnego, że wydawało się nam, iż możemy zmienić świat. Robiliśmy to od samego początku. Rzecz jasna, nasza liczebność również utrudnia nam zadanie. Spójrz tylko na tych wszystkich młodych pracowników stopnia kierowniczego, którzy ubiegają się o awans na to samo stanowisko. Popatrz na ogromne morze młodych, pełnych ambicji pisarzy, malarzy i filmowców, na szalejące hordy dramaturgów, gęstą cizbę młodych polityków czekających na szansę wygłoszenia mowy! Nikt nie chce zamiatać ulic, czyścić toalet ani pisać pod dyktando, bo wszyscy odebraliśmy za dobre wykształcenie, ale jest nas tak wielu, że większość z nas ląduje w miejscach, które nam nie odpowiadają. Dlatego Maggie czuje się stara, zużyta, niepotrzebna i żałuje dnia, gdy rzuciła naukę w college'u. Lark rozpaczliwie usiłuje grać w grę, w którą nie potrafi szczerze uwierzyć. Bambi stara się zmienić zasady, żeby okazało się, że to ona wygrała. A Sandy cierpi z powodu swego skromnego miejsca w światowej literaturze.

Żabcio świetnie się bawił. Z każdym słowem przemawiał z coraz większą pasją, a kiedy skończył, zerwał się na nogi i pokłonił, płytko, lecz zamasyście. Potem strzepnął piasek z siedzenia brązowych, workowatych sztruksów.

- Napisz to wszystko w swoim artykule - zaproponował.

- Powiedziałeś, że są cztery czynniki - zauważył Sandy. - A wymieniałeś tylko trzy.

- Skłamałem - wyjaśnił Żabcio. - To była taka sztuczka, żeby sprawdzić, czy słuchasz uważnie. Ba, z dziećmiakami na uczelni robię to cały czas.

Sandy uśmiechnął się i podniósł z piasku.

- Na pewno cię uwielbiają - stwierdził. - I nienawidzą.

- Jest mniej więcej pół na pół - przyznał Żabcio. - Ale trend jest przeciwko mnie.

- Naprawdę? - zdziwił się Sandy. - Nie wierzę w to. Z pewnością jesteś elektryzującym wykładowcą. I obchodzi cię to, o czym mówisz.

- Niewłaściwe rzeczy - sprzeciwił się Żabcio Cohen. Obchodzą mnie niewłaściwe rzeczy. Sandy, może i potrafię elokwentnie opowiadać o historycznych procesach, które pozbawiły złudzeń i zraniły dzieci Wodnika, ale to jeszcze nie znaczy, że sam jestem odporny na ten proces. Ja również nie pasuję do dzisiejszych czasów. - Skrzywił się w smutnym grymasie. Jego szeroka, gumowata twarz nabrała wyrazu komicznej trwogi. Wchodzę na mównicę uzbrojony w dowcip, mądrość oraz wielki zasób tajemnej wiedzy, rozpościeram ramiona i wołam: „Słuchajcie mnie, o wy, synowie i córki sprzedawców chevroletów z Orange County! Słuchajcie mnie, a powiodę was ku prawdzie!”. Połowa gapi się na mnie, jakbym oszalał. A druga połowa notuje moje słowa, niech Bóg nam pomoże. - Klepnął Sandy'ego w ramię. - Chodź, Sander, pójdziemy na molo. Postawię ci hot doga w cieście z mąki kukurydzianej albo lody i będziemy mogli przejechać się na karuzeli. No wiesz, tuż nad nią zbudowali apartamenty. Chciałem jeden wynająć, kiedy przyjechałem tu z Oakland, ale numer trzeci nie chciała o tym słyszeć. Mówię ci, ta kobieta nie miała w duszy ani krzty poezji. Wyobraź sobie, jak by to było: spalibyśmy i budzili się przy dźwiękach organów parowych, a kiedy tylko byśmy zechcieli, moglibyśmy popatrzeć z góry przez okno na ludzi jeżdżących w kółko na malowanych konikach. Wciąż w kółko, tak samo jak my.

- *Pory roku przychodzą i odchodzą, a malowane kucyki wciąż zataczają swój krąg* - zacytował Sandy.

- *Jesteśmy więźniami na karuzeli czasu* - dokończył Żabcio. - Złapałeś mnie. Ale nie przyznawaj, ile masz lat. W dzisiejszych czasach nie można bezkarnie cytować Joni Mitchell. Poza tym, w ten sposób zdradzasz swe drobnomieszczańskie inklinacje, jak powiedziałby Lark. Cytuj Yeatsa. Yeats jest ponadczasowy i dzięki niemu będą cię uważać za prawdziwego intelektualistę. - Parsknął złowrogim, gremlinowatym śmiechem,

po czym ujął Sandy'ego za łokieć i poprowadził wzdłuż brzegu. - Opowiem ci o jednej imprezce dla wykładowców w ostatnim college'u, w którym pracowałem. Było tam to

objawienie, ten anioł, ta słodziutka, napalona osoba przeciwnej płci, ta jasnoblond surferka, która w dodatku była asystentką i prowadziła zajęcia z historii, choć w jej przypadku rodzaj tych zajęć mógł budzić niejakie wątpliwości. Ach, Sandy, szkoda, że cię tam nie było! Mój magiczny wihajster popadł w desperację, ale ubiegł mnie człowiek nazwiskiem Fowler Harrison. No wiesz, to była okrutna niesprawiedliwość. Był wysoki i diabelnie przystojny, miał posiwiałe skronie, fajkę i był pełnoprawnym profesorem. A w dodatku miał na imię Fowler! I wiesz, co zrobił? Rzucił na piękną Julię czar, recytując Yeatsa! Jeden wiersz po drugim! Ludzki mózg nie jest w stanie pomieścić tak wiele Yeatsa, chyba że kryje się w czaszce profesora angielskiego o imieniu Fowler. I jaki miał piękny głos! Dziewczyna gapiała się na niego niczym kobra zahipnotyzowana przez wysokiego, szpakowatego ichneumona. Cóż więc mogłem zrobić? - Obejrzał się za siebie i mrugnął znacząco. - Podeszedłem do nich i słuchałem z szacunkiem, a kiedy Fowler wreszcie przerwał, zapytałem z głupia frant, jak to możliwe, że zapamiętał tak dużo. Fowler rozpromienił się, spojrział na mnie z góry i oznajmił, że gdy usłyszysz coś pięknego, nigdy już nie potrafisz tego zapomnieć. A ja mu na to odpowiedziałem: „To zabawne, boja nie potrafię zapomnieć, kiedy usłyszę coś okropnego. Na przykład co dzień obija mi się po mózgu ta przekłeta piosenka z *Patty Duke Show*”. Zacząłem ją śpiewać i niech mnie szlag, jeśli moja wizja nie uśmiechnęła się szeroko i nie parsknęła śmiechem. Ja zrobiłem to samo, Fowler zzieleniał, a Sherry... nie, to chyba była Brandy albo Gin, coś w tym rodzaju... tak czy inaczej, przeszliśmy do *Dobie GilltSa* i *Bogatych biedaków*, a potem wylądowaliśmy w łóżku.

- Pociągnij za swój magiczny wihajster, Żabcio - wtrącił Sandy.

- One wszystkie są takie młode, Sandy, i mają te wypukłości pod swetrami. Nie mogę się doczekać, aż skronie mi posi-

wieją, żeby mogły się we mnie zakochać, ale zamiast tego wypadają mi włosy. - Zamknął usta i znowu wydał z siebie ten swój irytujący, wilgotny dźwięk, pogardliwy i lekceważący. - No cóż, to były jeszcze czasy mojej płytkiej młodości. Skończyłem z tym! Wytatuowałem sobie na magicznym wihajstrze imię numeru czwartego i wyrzekłem się innych kobiet.

Weszli w cień rzucany przez molo, przechodząc z piasku na chodnik. Żabcio szedł pierwszy.

Przy wejściu znaleźli otwarty kiosk i kupili sobie lody w wafelkach, które smakowały jak czekoladowa tektura. Zdarli papierki do połowy i ruszyli brzegiem ku końcowi mola.

- A jak ci się podoba nauczanie? - zapytał Sandy. - Tak naprawdę?

Żabcio spojrział na niego zza grubych szkielek. Jego oczy przybrały sprytny, lekko wesoły

wyraz. Nad górną wargą zrobiły mu się wąsy z białych lodów.

- Pytasz poważnie?

- Poważnie - potwierdził Sandy. Żabcio westchnął.

- Uwielbiam nauczać - odparł. - To całe moje życie. Kocham historię i na swój przewrotny sposób kocham też tę naszą wieżę z kości słoniowej. A już z pewnością kocham swoje studentki. - Mrugnął do Sandy'ego. - Tylko szkoda, że tak rzadko. Wszystko prawda, Sandy, to, co ci powiedziałem na plaży. Nie wymyśliłem niczego. Nie do końca.

- W czym więc rzecz? - zapytał Sandy.

Żabcio zmiął w kulkę papierek po lodach i rzucił go do pobliskiego kosza. Potem starannie oblizał wszystkie palce. Kiedy skończył, oparł się o pal i zmarszczył brwi.

- Uwielbiałem Northwestern College. Jego pełną ekscytacji atmosferę, poczucie fermentu. Spędzone tam lata zmieniły mnie na zawsze. Demonstracje. Debaty. Wykłady. Wykłady Bergena Evansa sprawiły, że przemyślałem na nowo właściwie wszystko w swoim życiu, chociaż podobno uczył tylko angielskiej literatury. A profesorowie od historii. Jezu, kochałem to. Chciałem stać

się taki sam jak ci wykładowcy, których podziwiałem. Pragnąłem wstrząsać młodzieżą. Ukazywać jej prawdę, pozwalać spojrzeć na wszystko inaczej. Wzbudzić jej gniew. Skłonić do myślenia. Ha! Młodzież się zmieniła, Sandy. Młodzi ludzie nie są tacy jak my w ich wieku. I z roku na rok jest coraz gorzej. Są potulni. Są praktyczni. Są uprzejmi. Nie gryzą. A przynajmniej robią to rzadko. Uczyłem już w czterech college'ach, ale nigdzie nie zaszedłem wyżej niż profesor uczelniany. Dlatego prowadzę te wszystkie kursy wstępne. Próbowaliśmy kiedyś sokratycznego dialogu, chciałem wywołać spór, kontrowersje. Totalna klapa. Dałem sobie z tym spokój. Bez względu na to, jak niewiarygodne bzdury wygaduję na wykładzie, nikt nie próbuje ze mną dyskutować. Wszyscy wszystko notują. Albo ten manewr, który stosuję, kiedy mówię, że są cztery główne przyczyny tego czy tamtego, a potem wymieniam tylko trzy. To nie żart, Sandy. Naprawdę robiłem to na wykładzie. To jedyny znany mi pewny sposób na to, żeby ktoś podniósł rękę i powiedział: „Hej, profesorze doktorze Cohen, coś się panu popierdoliło”. Tyle że oni mówią to uprzejmie. Kiedyś prowadziłem kurs wprowadzający z historii Ameryki. Na wykład przyszło siedemdziesięciu dziewięciu studentów i byłem przekonany, że wszyscy umarli albo obrócili się w kamień. Dlatego wygłosiłem cały wykład o administracji prezydenta Samuela Tildena. Mówiłem o jego wyborze, osiągnięciach, niepowodzeniach i reelekcji. Po wykładzie dokładnie trójka dzieciaków podeszła do mnie i powiedziała: „Hmm, przepraszamy, to na pewno jakaś pomyłka, bo w książce jest napisane, że to Rutherford Hayes został prezydentem, nie Tilden”. Kiedy przyznałem się do winy, jeden z nich poszedł na skargę do

szefa wydziału. To był mój ostatni rok w tym college'u. Och, oczywiście są wyjątki. Dzieciaki, dla których warto się trudzić. Ale jest ich tak bardzo niewiele. Nie chodzi o to, że reszta jest głupia. To nawet nie jest apatia. Oni po prostu są inni. Stworzył ich inny czas. Pamiętasz, jak domagaliśmy się wykładów, które miałyby znaczenie? Ta nowa odmiana też tego pragnie, ale dla nich to oznacza podstawy księgowości i wstęp do reklamy. - Wes-

technął Nic dziwnego, że czuję się nieprzystosowany. Naprawdę się czuję? Sandy. Jestem dobrym nauczycielem i ekscytującym wykładowcą ale wciąż wędruję od jednego uniwersytetu do drugiego - Ni8dzie nie dostałem stałego etatu i nigdy już

A t", P Jestem błyskotliwym anachronizmem. Studenci go nie dostaną - ...

I H ' na mme z zrozumiema albo parszają załęcznionym śmiechem, a dziekani uważają mnie za świra i anarchistę ■yzor^wrraa godności ich porośniętych bluszczem budynków. Boże Sandv mówię dzieciakom, zęby kładły sobie spaghetti we włosy, a ofle mnie PytaJ^ Jak może im t0 pomóc w znalezieniu pracy!., ,, jr - wjedziałem, że jest aż tak źle - przyznał Sandy.

Żabcio wykrzywił lwm w &ymasie-

71 9 źle? P°wiem ci' jak bardzo jest źle... wracająkorpo - rac-, Tj^mjechnął się teatralnie, odwrócił i spojrzał na morze.

Byli sami na końcu mola i kiedy Żabcio umilkł, Sandy słyszał szum uderzających ° pale fak Powietrze przesycala woń morskiej soli a na północy widać było łuk spowitych we mgle gór. Żabcio trzymał «ce głęboko w kieszeniach.

K rwa i-" P0WieQ, ział głośno do wiatru i odwrócił się z zasepioną mim\ - - Nie chciałem, żeby to tak wypadło. Zjedźmy dziś razem kolację, dobra? Obiecuję, że nie będę gadał zbyt wiele. Puścimy sobie płyty The Nazşul { będziemy wspominać Timothy'ego Leary'ego° a ja ci powiem, co dokładnie zrobiłeś źle w każdej ze swoich książek. Wliczając w to dedykacje, z których żadna swoJa-droSą> nie była przeznaczona dla mnie. Niech ci się nie zdaje, że tego nie zauważyłem, mój drogi Sanderze. Oto co mnie spotkało p0 wszystkim> co dla ciebie zrobiłem. Uśmiechnął się - - Będzie też Sam.

- Sam?...*

Samantha - wyjaśnił Żabcio. - Znana też pod uroczym tytułem numeru czwartego. Polubisz ją. Ona cię nie polubi, ale ciebie nikt nie lubi' więc Jakie t0 ma znaczenie? I co ty na to?

7 hec;a bym do ciebie wpadł, Żabcio - odparł Sandy.

.i e ^rócić do hotelu i sprawdzić, czy nie dostałem

wiadomości od Edana Morse'a. Chciałbym się dziś z nim spotkać, jeśli to tylko możliwe.

- Sam wcale nie wygląda jak Andy Devine - zapewnił Żabcio. - Nawet nie nosi butów produkowanych przez Buster Brown Shoes.

- Przykro mi - odparł z uśmiechem Sandy. - Ale wpadnę do was przed wyjazdem z miasta. Masz moje słowo.

- Tylko zawiadom mnie z wyprzedzeniem, żebym mógł pożyczyć smoking i pomalować twarz na zielono - zażądał Żabcio. - Chcielibyśmy, żebyś czuł się u nas jak w domu.

Parsknął śmiechem, klepnął Sandy'ego w plecy. Potem obaj ruszyli ku wyjściu z mola, mijając karuzelę i budki z lodami. Żabcio Cohen zaczął opowiadać o historii wesołych miasteczek. Sandy słuchał go z uśmiechem.

Dwanaście

Niektórzy rodzą się do słodkiej rozkoszy! Inni rodzą się do wiecznej nocy!

Gdy Sandy wrócił po południu do hotelu, zastał recepcjonistę, maleńkiego, pulchnego homunkulusa w szarym, rozpinanym swetrze i pantoflach, pogrążonego w lekturze powieści porno.

- Są dla mnie jakieś wiadomości? - zapytał Sandy, opierając się o kontuar.

Mężczyzna popatrzył na niego podejrzliwie, wyraźnie poirytowany tym, że mu przeszkadzono

- Wiadomości?

- Aha. No wie pan, takie małe, różowe karteczki z napisanymi na nich słowami. Od ludzi, którzy chcieli się ze mną skontaktować, kiedy mnie nie było.

Recepcjonista odchrząknął.

- Nie ma wiadomości - odparł i wrócił do swej pornografii. Sandy poszedł do pokoju, który znajdował się w tylnej części budynku, za pokrytym kozuchem rzęsy basenem. Czuł się poirytowany i niespokojny. Edan Morse powinien się odezwać. Dałby głowę, że to zrobi. W gruncie rzeczy niewykluczone, że to właśnie zrobił. W relacji, którą zdał Żabcio, pominął jeden szczegół: tekst wypisany mazakiem na odwrocie fioletowej wizytówki „Hoga”, którą zostawił w Malibu. „Chyba widziałem kotecka”. Nie rozumiał, jak Morse mógłby sobie pozwolić na zignorowanie czegoś takiego.

Nie zignorował tego. Sandy dotarł do pokoju - drzwi były otwarte i czekali już na niego.

Było ich dwoje. Kobieta siedząca na pomarańczowym, winylowym krześle wstała i odwróciła się, gdy tylko Sandy wszedł do środka. Uśmiechnęła się, kiedy na nią spojrział, i przekonał się, że trudno mu oderwać od niej wzrok. Była bardzo atrakcyjna: wysoka, o skórze barwy kawy z mlekiem i czarnych jak noc włosach, opadających kaskadą aż do krzyża. Ta gęsta grzywa sprawiała, że kobieta wydawała się drobniejsza niż w rzeczywistości. Ciało miała

gibkie i muskularne. Biała, trykotowa koszulka zawiązana między wysoko ustawionymi piersiami odsłaniała płaski i twardy brzuch. Wyblakłe dzinsy ciasno opinały uda i łydki. Zamiast paska nosiła czerwoną szarfę, a na głowie opaskę tego samego koloru. Oczy miała czarne, głęboko osadzone i wielkie, a kości policzkowe wydatne i ostro zarysowane. Usta sprawiały wrażenie należących do kogoś, kto często się uśmiecha. Była najpiękniejszą kobietą, jaką Sandy widział od lat, pomijając kino i okładki czasopism. Mógłby z łatwością gapić się na nią przez bardzo długi czas, gdyby nie druga przebywająca w pokoju osoba, która z nawiązką wystarczała, by odciągnąć uwagę nawet od kogoś tak atrakcyjnego.

Mężczyzna leżał na łóżku Sandy'ego. Nogi w wojskowych buciorach wyglancowanych na wysoki połysk kończyły się dobrą stopę za krawędzią łóżka. Był to z całą pewnością największy facet, jakiego Sandy w życiu widział, wliczając w to kino i czasopisma. A także mecze koszykówki. Miał co najmniej siedem stóp i dwa albo trzy cale wysokości, a do tego szerokość jego ramion dorównywała wzrostowi. Miał bary jak komiksowy superbohater i wielkie brzuszysko, które uwydatniało się pod obcisłym, zielonym podkoszulkiem - wyglądało na zrobione z cegły. Był też nieprzyjemnie poparzony słońcem, miał ogoloną głowę, a w prawym uchu nosił złoty kolczyk. Sprawiał wrażenie bękartkiej krzyżówki King Konga z Mister Cleanem.

Sandy przystanął w drzwiach, gapiąc się na gości.

- Żadne z was nie wygląda na pokojówkę - stwierdził. Co właściwie robicie w moim pokoju? Jak dostaliście się do środka?

- Otworzyłam drzwi wytrychem - wyjaśniła radośnie kobieta. - Jestem w tym dobra. Nie wiedzieliśmy, jak długo będziemy musieli czekać, więc pomyślałam sobie, że równie dobrze możemy się rozgościć.

Mężczyzna usiadł na łóżku, wspierając wielkie jak pustaki dłonie na udach grubości słupów telefonicznych. Sandy zmarszczył brwi.

- Kim jesteście?

Patrzył na olbrzyma. Kobieta wyglądała znacznie przyjemniej, ale ten człowiek wzbudzał w nim niepokój, zwłaszcza kiedy się poruszał. Coś tak wielkiego w ogóle nie powinno ruszać się z miejsca bez pomocy animacji poklatkowej.

- To jest Gortney Lyle - odpowiedziała kobieta. - W skrócie Gort. Ja jestem Ananda. Pracujemy dla Edana Morse'a.

- Tego się domyśliłem - odparł Sandy, spoglądając na nią. - Miło mi panią poznać, Amando. <

- Nie Amando - poprawiła go, wyraźnie przyzwyczajona do tej pomyłki. - Anando.

Uścisnęła rękę Sandy'ego, przesuając jego palce na kształt dawnego znaku Ruchu. Sandy już od lat nie ścisnął niczyjej dłoni w ten sposób. Ręka Anandy była chłodna i silna, a wzdłuż jej krawędzi przebiegało pasmo stwardniałej skóry.

- Jemu nie podam ręki - oznajmił Sandy, spoglądając na Gorta. - Zarabiam na życie pisaniem na maszynie.

Uwolnił palce z uścisku.

Ananda parsknęła śmiechem, a Gort wstał z głośnym stęknieniem. Jego buciory miały grube obcasy, głową niemal dotykał sufitu.

- Chodźmy - zażądał głosem niskim jak bas wokalisty The Coasters, ale znacznie mniej melodyjnym.

- Nadal chce pan porozmawiać z Edanem? - zapytała Ananda. Przekrzywiła lekko głowę w bok, otwarcie się mu przyglądając. Przesunęła koniuszkiem języka po dolnej wardze, a potem się uśmiechnęła.

- Hmm, tak - potwierdził Sandy. - Nagle poczuł się straszliwie niepewny siebie. - Równie dobrze mogę to zrobić. W telewizji nie ma dziś nic ciekawego.

- W telewizji nigdy nie ma nic ciekawego - zauważyła Ananda. - No dobra, niech pan bierze notes, płaszcz, czy co tam jeszcze, i zabierzemy pana do Edana. On bardzo chce się z panem zobaczyć, Sandy. Ta kartka zdrowo nim wstrząsnęła.

Sandy uśmiechnął się. A więc jednak się udało.

- Sekundkę - rzucił. Podeszedł do ulokowanego obok łazienki wieszaka, omijając szerokim łukiem stojącego pośrodku pokoju Gorta, i zamienił lekką wiatrówkę na cieplejszą kurtkę. Wsuwając się w nią, rzucił okiem na swoje odbicie w lustrze. Wyrosła mu bujna, ciemna broda, a czarne włosy zrobiły się całkiem długie i potargane przez wiatr. Pomyślał, że wygląda nieźle. Co ważniejsze, wyglądał na radykała. Wystarczająco radykalnego, by Edan Morse zechciał z nim porozmawiać.

Pod hotelem, obok Mrzonki, czekała na nich niebieska, nieprzyciągająca spojrzenia furgonetka. Ananda zatrzymała się, by przyjrzeć się z podziwem jego samochodowi.

- Ładny wozik - stwierdziła. - Pański?

Skinął głową, czując się lekko usatysfakcjonowany tym, że udało mu się wzbudzić jej podziw. Była jedną z tych kobiet, którym mężczyźni rozpaczliwie pragną imponować. Gdyby był tu Żabcio, z pewnością nuciłby już temat z *Patty Duke Show*, bez względu na to, co było wytatuowane na jego magicznym wihajstrze. Zatrzymali się na chwilę w blasku późnopopołudniowego słońca, by porozmawiać o jego mazdzie. Ananda zadała mu kilka inteligentnych pytań, a Sandy odpowiedział na nie najlepiej, jak potrafił.

Podczas drogi do Malibu miał oczy szeroko otwarte. Ananda prowadziła, a Gort siedział bez słowa z tyłu. Z początku Sandy czuł się poważnie zaniepokojony myślą, że ma go za plecami, ale

wkrótce pogrążył się w rozmowie z Anandą i w jakiś sposób udało mu się zapomnieć o trzecim pasażerze. Okazało się, że czytała wszystkie jego powieści, co niepomiaralnie ucieszyło Sandy'ego. Pamiętała nawet niektóre jego kawałki z „Hoga”.

- Byłam zachwycona, kiedy Edan mi powiedział, po kogo mamy pojechać - mówiła. - Podziwiałam pana przez długi czas. Naprawdę. „Hog” był dla nas wtedy bardzo ważny. Wszystkie kontrolowane przez elitę władzy szmatławce publikowały tylko kłamstwa albo przeinaczały fakty, starając się przedstawić nas w złym świetle. Tylko z „Hoga” i z kilku undergroundowych pism można było poznać prawdę. Pana powieści też mi się podobały. Strasznie się wściekłam, kiedy Sarah zginęła w *Poszukiwaniach Kaseya*. Płakałam. Pan nigdy się nie sprzedał, tak jak tyłu innych. Dochował pan wiary.

- I to się pani podoba? - zdumiał się Sandy. Parsknął śmiechem. - Mój Boże, nie wie pani, jaka to ulga spotkać kogoś, kto nie próbuje mnie besztać za to, że jestem niedojrzały!

Spojrzała na niego z ciepłym, pełnym smutku uśmiechem.

- Spychają pana do defensywy, tak? Niech się pan nie przejmuje. Ze mną jest tak samo. Moja matka była wielką aktywistką ruchu walki o prawa obywatelskie i kiedyś uważała, że wszystko, co robię, jest wspaniałe, ale jakieś pięć lat temu załęgła się jej w głowie myśl o wnukach. Cały czas truje mi o dojrzałości. Westchnęła i zacisnęła usta. - Oni nic nie rozumieją. Nie potrafiłabym znieść myśli o wydaniu dziecka na taki świat, jaki mamy teraz. Traktuję zaangażowanie poważnie bez względu na to, czy jest akurat modne. Jeśli Ruch rzeczywiście umarł, tak jak mówią, to znaczy, że ci z nas, którzy pozostali, są jeszcze bardziej potrzebni niż kiedykolwiek, bo wszyscy słoneczni żołnierze pracują teraz dla wielkich korporacji. Zasady się nie zmieniły, prawda? niesprawiedliwość nie zniknęła, ludzie nadal są uciskani, a wojna wciąż jest kurewsko niezdrowa dla dzieci i innych żywych istot, czyż nie tak? Dlatego nie można się poddawać. Nie mogłabym spojrzeć na siebie w lustrze, gdybym dała za wygraną. Ale czasami czuję się samotna. - Spojrzała na niego

z uśmiechem. - To kolejny powód, dla którego chciałam się z panem spotkać. W dzisiejszych czasach trudno znaleźć porządnym facetów.

- Spokojnie - pohamował ją Sandy. - Może i jestem porządnym facetem, ale nie wstąpiłem do niczyjej armii. A już zwłaszcza do armii Edana Morse'a.

Ananda wzruszyła ramionami.

- Wstąpi pan. Gdy tylko pan zrozumie. Ma pan serce na właściwym miejscu.

Szkoda, że nie można tego powiedzieć o Jamiem Lynchu pomyślał Sandy, nie powiedział jednak tego na głos. To było niepokojące skojarzenie. Przestał się uśmiechać. Zaczął też spoglądać nieco ostrożniej na tę zdumiewająco atrakcyjną kobietę, która wręcz promieniała ciepłem, otwartością i dobrymi fluidami.

- Nadal uważa się pani za osobę o radykalnych poglądach? Przyjrzała się mu, zauważając jego poważną minę.

- Radykalnych? - powtórzyła. - Nie, do cholery. Jestem rewolucjonistką, kolego, i ostatnią prawdziwą hipiską na całym szerokim świecie.

Sandy uśmiechnął się mimo woli.

- Przynajmniej ma pani poczucie humoru - stwierdził. Nigdy nie ufałem rewolucjonistom, którzy go nie mieli.

- Kurwa, w dzisiejszych czasach nie da się żyć bez poczucia humoru. W każdej chwili spodziewam się zobaczyć Timothy'ego Leary'ego w reklamie American Express. „Podczas swych dawnych odlotów nie potrzebowałem karty kredytowej, ale teraz, gdy jeżdżę z wykładami, za sam wygląd nie dadzą mi nawet kostki cukru. Dlatego zawsze mam ze sobą to”. Do licha, można się tylko śmiać albo płakać.

- Niech mi pani opowie o Edanie Morsie - poprosił Sandy. Jej wielkie ciemne oczy znowu skierowały się na niego, pełne wesołości i pewności siebie.

- Tak, na pewno widział pan kotecka - potwierdziła z ironią w głosie.

Sandy zmarszczył brwi.

- Widziała pani moją wizytówkę?

- Jasne. Jestem lewą ręką Edana. Gort jest prawą. Bardzo zabawna karteczka. Ale Edanowi nie było do śmiechu. Woli wierzyć, że wszyscy już o tym dawno zapomnieli.

- Czy nie podejmuje pani ryzyka, przyznając to tak otwarcie? - zapytał Sandy. - Sylvester jest poszukiwany przez policję. Co by było, gdybym zakablował pani szefa?

- Po pierwsze - odparła Ananda - nie robi pan tego. Czytałam pana książki i mam dość dobre wyobrażenie o tym, jakim jest pan człowiekiem. Ufam panu. Ale nawet jeśli się mylę, to i tak nie ma znaczenia. To prawda, że Edan się niepokoi, kiedy ktoś go łączy z Sylwestrem, Von Doomem albo AFW. Pan też by się niepokoił. Ale przecież nie można powiedzieć, żeby nikt go nie podejrzewał. W podziemiu zawsze krążyło mnóstwo plotek. I nie muszę panu mówić, do jakiego stopnia FBI udało się spenetrować większość radykalnych grup. To znaczy, że federalni też znają te pogłoski. Chciałby pan do nich zadzwonić i opowiedzieć im o Sylwestrze? Niech pan tylko poprosi Edana, a sam da panu telefon. Niczego pan mu nie udowodni. To, co pan wie, ja wiem i oni wiedzą, nie ma dla sądu żadnego znaczenia bez dowodów, a Edan

zawsze był ostrożny. Chce się pan czegoś dowiedzieć o Edanie? Proszę bardzo. Po pierwsze, jest ostrożny. Musi taki być.

- Tak? - zapytał Sandy. - A jaki jest poza tym?

- Zaangażowany - odparła Ananda. - To wielki człowiek, Sandy. Naprawdę. Przekona się pan. Gdybyśmy mieli kilku więcej takich ludzi jak Edan Morse, rewolucja wybuchłaby wtedy, kiedy powinna, a świat byłby teraz lepszy.

- A jak to się stało, że tego wielkiego, zaangażowanego człowieka wykopali na zбитy pysk z AFW? - zainteresował się Sandy.

- To zniekształcona wersja wydarzeń. W rzeczywistości Edan sam się od nich odciął. Organizacja była skłócona, niekompetentna i fatalnie zinfiltrowana. Kurwa, podejrzewam, że chyba połowa z nich to byli agenci. No wie pan, z tych, co to przy-

chodzą na zebrania i domagają się więcej przemocy, żeby móc opowiadać prasie o krwawych wyczynach terrorystów. Edan miał już tego dość i dlatego zostawił ich wszystkich w diabły.

- Chce mi pani powiedzieć, że osławiony Sylvester wyrzekł się przemocy?

- Edan nigdy nie był zwolennikiem bezsensownej przemocy - odparła Ananda.

- Ciekawe. Ale to nie bardzo się zgadza z innymi relacjami, które słyszałem. Podobno Morse'owi odbiło. Zainteresował się spirytualizmem.

- To nie jest zbyt dalekie od prawdy - przyznała ze spokojem Ananda. - Edan ma wizję. Moc.

Sandy nagle poczuł się bardzo niepewnie.

- Rewelacja.

- Widzę, że jest pan sceptyczny. Świetnie. Ja z początku zareagowałam tak samo. Kto mógłby uwierzyć w ten porąbany, okultystyczny syf, co? No cóż, ja uwierzyłam. Widziałam różne rzeczy. Przeżyłam pewne doświadczenia. Nie twierdzę, że wszystko rozumiem, ale wierzę. - Zerknęła na niego z ukosa, przesuając czubkiem języka po dolnej wardze w geście nerwowym, lecz zarazem dziwnie erotycznym. - Widział pan kiedyś ducha, Sandy? - zapytała.

Przed miesiącem zareagowałby na to pytanie śmiechem, ale to było jeszcze przed niezwykłą nocą w Chicago. Zawahał się.

- Nie... nie jestem pewien. Możliwe. Myślałem, że to był tylko sen.

- Na świecie pełno jest sił, których nie rozumiemy - zapewniła radośnie Ananda. - Może pan zaprzeczać ich istnieniu jak długo pan zechce, ale nie staną się od tego mniej rzeczywiste. To jedna z rzeczy, o które chodziło w całej kontrkulturze, czyż nie tak? Zapomnieć o światopoglądzie klasy średniej, o wszystkich przesądach, które przejęliśmy od mamusi, tatusia

oraz wielebnego Jonesa, i dzięki temu zobaczyć świat takim, jaki jest naprawdę. Niestety, dla większości z nas przesady okazały się zbyt silne. Ale nie dla Edana. On przebił się na drugą stronę.

- I co tam znalazł? - zainteresował się Sandy.

- Sam panu o tym opowie. Tylko niech pan ma umysł otwarty. Więcej jest rzeczy w niebie i na ziemi, niż się wydaje naszym filozofom, drogi Horacjo...

- Jasne - przerwał jej Sandy. Oboje wybuchnęli śmiechem, bez widocznego powodu. Potem na moment zapadła pełna skrępowania cisza. Sandy gapił się na Anandę, czując w powietrzu narastające napięcie seksualne. Próbował przekonać sam siebie, że ta kobieta jest jedynie źródłem, elementem do wykorzystania w artykule, nie mógł jednak zaprzeczyć, że czuje do niej pociąg. Choć starał się obserwować krajobraz, jego spojrzenie ciągle wracało do jej gładkiego, nagiego brzucha, do rozpychających białą tkaninę piersi, rysujących się wyraźnie brodawek oraz do jej uśmiechu. Odchrząknął z zażenowaniem, czując się jak licealista na pierwszej randce.

Ananda przerwała ciszę, pytając go, nad czym obecnie pracuje. Opowiedział jej o powieści, którą porzucił na trzydziestej siódmej stronie. Potem zapytała o jego podróże, a on opowiedział jej pokrótce o przyjaciołach, których odszukał po latach, i dwukrotnie ją rozśmieszył swymi ulubionymi anegdotami o Żabciu. Potem w jakiś sposób przeszedł na temat swego życia domowego. Gdy wspomniał o Sharon, Ananda zmarszczyła brwi z dość teatralnym westchnieniem.

- No tak - mruknęła. - Dlaczego ci fajni zawsze okazują się zajęci, a ci wolni muszą być faszystami? - Potem zaczęła mu prawić drobne złośliwości z powodu zawodu Sharon. - Handel nieruchomościami to oparty na ucisku szwindel. Zastanów się nad tym! Posiadać ziemię na własność! To tak jak posiadać powietrze. Szaleństwo. Ziemia powinna należeć do wszystkich.

Powiedziała to jednak tak dobrodusznym i otwartym tonem, że Sandy nie poczuł się urażony. Nie śpieszyło mu się też zbytnio ze stawaniem w obronie Sharon.

Potem Ananda opowiadała przez pewien czas o swym dzieciństwie w Los Angeles. W końcu dotarli do wielkiego domu na Plaży, będącego własnością Edana Morse'a. Zbudowano go na

dwóch poziomach, a pod spodem miał garaż. Ananda wyjęła ze schowka pilota do garażu i drzwi z grubo ciosanych desek uniosły się w górę, otwierając się przed nimi. W tej samej chwili zapaliły się światła. Wszyscy wyszli z furgonetki i Gort przeciągnął się z głośnym chrząknięciem. Potem poszli na górę. Dom był czysty, nowoczesny i gustownie umeblowany, ale coś w nim budziło niepokój. Sprawiał na Sandym wrażenie urządnego bardzo spartańsko.

Wszystko tu było proste i funkcjonalne, lecz wiszące na białych ścianach obrazy, które dojrzał tylko przelotnie, były jaskrawymi, surrealistycznymi wyobrażeniami wykrzywionych w grymasie twarzy i zgiętych z bólu postaci. Nie chodziło jednak o to. Coś było tu nie w porządku, coś większego. Sandy doszedł do wniosku, że to na pewno nerwy.

W gabinecie Edana Morse'a znajdowało się wielkie, wychodzące na plażę okno z barwionego szkła. Słońce właśnie zaczynało zachodzić. Przed oknem ustawiono masywne biurko z tekowego drewna. To było najporządniejsze, najschludniejsze, najbardziej uporządkowane biurko, jakie Sandy w życiu widział. Dokładnie pośrodku blatu leżał krwawoczerwony bibularz. Była tam złota podstawka na pióro i ołówek w oprawie z czarnego marmuru, antyczny srebrny sztylet o niezwyklej rękojeści ozdobionej ornamentami wyobrażającymi owinięte wokół niej węże, puste, drewniane pudełko na korespondencję przychodzącą puste, drewniane pudełko na korespondencję wychodzącą oraz szklany przycisk do papieru w kształcie kuli, w której wnętrzu można było podziwiać spokojną wiejską scenę. Sandy wiedział, że jeśli potrząsnąć przyciskiem, wewnątrz zacznie sypać fałszywy śnieg. Jego ojciec miał kiedyś taki sam gadżet. Ale pod przyciskiem Morse'a nie było żadnych papierów. Nie było ich nigdzie na biurku, pomijając fioletową wizytówkę Sandy'ego, którą ktoś położył dokładnie na środku bibularza.

Za biurkiem stał obity skórą obrotowy fotel z wysokim oparciem. Morse zwrócił go stroną okna, by patrzeć na zachodzące nad oceanem słońce. Gdy drzwi się zamknęły, odwrócił się jednak i spojrzał na Sandy'ego.

Nastąpiła niepokojąca chwila. W pokoju nie było innych krzeseł i Sandy był zmuszony stać przed biurkiem. Przypomniało mu to czasy, gdy w szkole podstawowej wysyłano go do dyrektora. Gort i Ananda stali po jego bokach niczym najdziwniejsza na świecie para policjantów. Sandy spoglądał na siedzącego Morse'a z góry, co powinno mu zapewniać przewagę psychologiczną, tak jednak nie było.

Musiał przyznać, że Edan Morse z jakiegoś dziwnego powodu wywierał imponujące wrażenie. Na pierwszy rzut oka wyglądał tak normalnie, że Sandy'ego aż rozbolały zęby. Spodziewał się zobaczyć jakąś przypominającą Mansona bądź Rasputina postać o dzikim spojrzeniu, a zamiast tego ujrzał szczupłego, gładko wygolonego, uśmiechniętego mężczyznę w wieku trzydziestu kilku lat. Morse ubrany był w biały golf i nowe, czyste, niebieskie dżinsy. Włosy miał jasnobrązowe, a nad czołem dwa bliźniacze zakola. Miał duże, brązowe oczy, bruzdę na podbródku oraz dołki na policzkach. Człowiek, który był jednym z założycieli Amerykańskiego Frontu Wyzwolenia, nie sprawiał wrażenia, by miał kiedykolwiek do czynienia z jakąkolwiek paramilitarną organizacją oprócz skautów. Sandy'emu przemknęła

przez głowę dziwna myśl, że niewykluczone, iż Ray wcisnął mu kit, chcąc się go pozbyć.

Nagle jednak zauważył biżuterię Morse'a i na tym niewinnym obrazie pojawiła się pierwsza rysa. Gospodarz nosił ciężki brelok ozdobiony astrologicznymi znakami, a na lewej ręce miał wielki, srebrny pierścień z czymś, co wyglądało jak martwa czarna wdowa zatopiona w pleksiglasie. W jego oczach również było coś dziwnego. Pod ciepłą, brązową powierzchnią pojawił się w pewnej chwili jakiś przelotny błysk. Sandy przyglądał się uważnie, ale błysk zniknął bez śladu. Poczul się zmieszany i spuścił wzrok. Być może rzeczywiście widział to, co spodziewał się ujrzeć - fanatyka. Dziennikarz nie powinien kierować się z góry przyjętymi sędami.

Pierwsze słowa Morse'a zabrzmiały całkiem niewinnie. Były też skierowane do Anandy, nie do Sandy'ego.

- Jak podróż? - zapytał.

- W porządku - odpowiedziała. - Chyba będziemy mieli ładny wieczór. Nie jest za chłodno.

- Świetnie - rzucił Morse i strzelił palcami. - Gdzie się podziały moje maniery? - dodał.

- Gort, przynieś Sandy'emu krzesło, dobra? To duże, wygodne, z pokoju gier, będzie w sam raz.

Olbrzym wyszedł bez słowa i po chwili wrócił z wielkim, wyściełanym fotelem. Dźwigał go z taką swobodą, z jaką Sandy mógłby nieść składane krzesło. Z głośnym stęknieniem postawił mebel na podłodze. Sandy usiadł, krzyżując nogi przed sobą, i spojrzał na Edana Morse'a. Musiał teraz unosić wzrok, gdyż obrotowy fotel był wyższy.

Wymienili kilka pozbawionych znaczenia uprzejmości, po czym Morse odesłał Gorta i Anandę. Gdy drzwi zamknęły się cicho za nimi, uśmiech na twarzy gospodarza stał się nagle nieco nerwowy i zaczęła się poważna rozmowa.

- Nie musiał pan zostawiać mi takiej wiadomości - oznajmił Morse. Wziął w rękę srebrny sztylet i postukał lekko jego czubkiem w wizytówkę Sandy'ego. - I tak zgodziłbym się z panem spotkać. Rick Maggio telefonował do mnie i opowiedział mi o artykule, nad którym pan pracuje. Cholera, sam bym się z panem skontaktował, gdybym tylko miał pojęcie, jak pana znaleźć. Chcę rozmawiać z ludźmi o The Nazgul i o moich planach związanych z tym zespołem.

- Naprawdę? - zdziwił się Sandy. - A co z Jamiem Lynchem? O nim też chce pan rozmawiać?

Edan Morse odchylił się do tyłu na fotelu. Zmarszczył brwi, bawiąc się trzymanym w rękach nożem.

- O Lynchu? A po co miałbym rozmawiać o tej świni? Nie rozumiem, do czego pan zmierza.

- Nie wciskaj mi kitu, Morse! A może powinienem mówić na pana Sylvester? Albo Maxwell? Wie pan kurewsko dobrze, do czego zmierzam. Gdzie pan był tej nocy, gdy zginął Jamie?

Morse uśmiechnął się półgębkiem.

- Jeśli koniecznie chce pan wiedzieć, byłem w Beverly Hills, w domu starego przyjaciela rodziny. To bankier, który niegdyś przyjaźnił się z moim ojcem. Bogaty analno-retentywny faszysta, otoczony powszechnym szacunkiem. Było już późno. Wyciągnąłem go z łóżka i siedziałem u niego dość długo, ale musiał to tolerować, bo kieruje miejscową zbiórką na cele dobroczynne, a ja przyszedłem dać mu czek na pięć tysięcy dolarów. Nie znosi mnie, ale jestem pewien, że zapamiętał sobie moją wizytę.

- I co z tego? - skontrował Sandy. - Może i nie był pan w Maine osobiście, ale to pan kierował całą sprawą.

- Nie udowodni pan tego w żaden sposób - odparł Morse, rozciągając usta w swym skautowskim uśmiechu.

Sandy postanowił nieco nim potrząsnąć, chcąc sprawdzić, czy pospadają zeń odznaki sprawności.

- Lynch był bardzo porządnym facetem. Poukładanym. Archiwizował całą swą korespondencję. Gliny znalazły pańskie listy oraz kopie jego odpowiedzi. Wiedzą, że chciał pan The Nazgul, a on nie miał zamiaru ich panu oddać. To jest motyw. Mają list, w którym pisze pan, że wyśle do Lyncha swojego przedstawiciela, więc wiedzą, dlaczego wpuścił mordercę. To jest sposobność. Niczego nie brakuje.

- To dlaczego jestem tutaj, a nie w więzieniu? - zapytał Morse. - Niech pan da spokój. Gdyby takie listy rzeczywiście istniały, sprawca z pewnością przeszukałby archiwum Lyncha i zabrał je, zostawiając tylko kilka najwcześniejszych, w których nie było nic szczególnie obciążającego. Z relacji prasowych wynika, że zabójca Lyncha wiedział, co robi. Z pewnością nie zostawiłby na miejscu nic, co mogłoby go obciążyć, czyż nie tak? - Morse potrząsnął głową.

- Myli się pan. Ale nawet gdyby miał pan rację, nie mógłby pan niczego udowodnić. Proszę uwierzyć. Nie pierwszy raz muszę się bronić przed śmiesznymi zarzutami. Podejrzewano mnie o tak wiele różnych rzeczy, że za cholerę nie potrafię tego spamiętać. Przesłuchiwały mnie, przepytwały i nękały całe bataliony świń, były mnie zbiry pozostające na usługach establishmentu, przeprowadzały ze mną wywiady dzie-

siatki młodych, pełnych entuzjazmu reporterów i dwukrotnie byłem zmuszony

zeznawać przed wielką ławą przysięgłych. Nikt nigdy nie udowodnił mi złamania prawa. - Pochylił się do przodu i wycelował nożem w Sandy'ego, jakby dla podkreślenia słów. - Ale powiem panu jedno. Nie przejąłem się, gdy ktoś wykończył Lyncha. To była świnia. Plugawa świnia.

- A dlaczego? - zainteresował się Sandy.

- Po pierwsze, był wyzyskiwaczem. Sam nie miał talentu. Nie potrafił niczego stworzyć. Karmił się twórczymi duchami naszego wieku. Wysysał z nich muzykę i robił z niej jakąś gównianą, kapitalistyczną zabawkę. I był dilerem. Nie mam nic przeciwko narkotykom, jeśli używa się ich we właściwych celach. Prochy mogą przynieść wyzwolenie, ale Lynch wykorzystywał je po to, by zapanować nad innymi. Widział pan jego dom i wie pan, ile bogactwa wysysał z ludzi.

Sandy prychnął pogardliwie.

- Kurde, sądząc z tego, co słyszałem, mógłby pan kupić Lyncha za pieniądze na drobne wydatki.

Edan Morse wzruszył ramionami.

- No i co z tego? Nie jestem dumny ze swego bogactwa. Większą jego część zgromadzili moja babcia i mój pradziadek, przy użyciu niemoralnych środków. Ja przynajmniej staram się wykorzystać swój majątek, by pomóc przeprowadzić pozytywne zmiany. Jamie Lynch trzymał pieniądze tylko dla siebie. Chciał mieć władzę. To jedyne, co go kiedykolwiek obchodziło. Władza. Pozycja. Pieniądze, seks, miłość, nawet muzyka, którą się zajmował, wszystko to były dla niego jedynie środki służące zdobyciu władzy. Był świnią. Nixonem z długimi włosami. Zasługiwał na śmierć. Gdybym wiedział, kto go zabił, z pewnością bym go nie zakapował. To była egzekucja. Rewolucyjna sprawiedliwość ludowa.

- Jamie Lynch był promotorem rocka, który dawno się już wycofał - zauważył Sandy. - Jak jego śmierć może pomóc rewolucji?

- Pan tego nie zrozumie - odparł Morse. - Jego śmierć

wprawiła w ruch pewne siły, które z niepowstrzymanym impetem zmierzają do celu. Te siły zmiotą jednostki i państwa stojące im na drodze. Na świecie zapanuje nowy, sprawiedliwy porządek. Będziemy w końcu mieli miłość, pokój i wolność, złoty wiek, wszystko, o czym ongiś marzyliśmy. - Uśmiechnął się. - A pan będzie mógł zdać z tego relację, Sandy. Jeśli tylko pan zechce. I co pan na to powie?

- Powiem, że w dzieciństwie naoglądał się pan za dużo kreskówek - skwitował Sandy. - Zalęgły się panu w głowie zwariowane melodie.

- Nie wierzy pan w nadejście rewolucji, prawda?

- Można to tak ująć - zgodził się Sandy. - Podczas mojej podróży spotkałem się z wieloma dawnymi kumplami z college'^ Jeden z nich był w owych czasach naprawdę wściekłym radykałem. Teraz pracuje w agencji reklamowej. Jest dupkiem, ale on to ujął najcelniej. „Nigdy nie było szans na żadną rewolucję”. Tak powiedział.

Edan Morse spoglądał prosto na rozmówcę. W jego oczach na chwilę znowu pojawił się ten dziwny błysk. Sandy próbował jakoś go określić. Pewność? Fanatyzm? Coś innego?

- Idę o zakład - ciągnął Morse - że nie zawsze pan tak myślał. Niech pan będzie ze sobą szczerzy. Niech pan zapomni o tym, co powiedział ten dupek od reklamy, i spojrzysz w głąb siebie, przypomni sobie, co czuł pan wtedy. Woodstock. Kent State. Kambodża.

Sandy zaczął mu odpowiadać, lecz nagle umilkł z otwartymi ustami. Nie potrafił zaprzeczyć tym słowom. Morse go przygwoździł. Naprawdę wówczas wierzył, nawet on - praktyczny, próbujący zmienić system od środka Sandy, członek ruchu Clean for Gene, sceptyk i żartowniś. Nawet on uwierzył na parę magicznych chwil.

Edan Morse uważnie obserwował jego twarz.

- Zna pan *Juliusza Cezara*? - zapytał. - To, co mówi Brutus: *W ludzkim życiu trafia się prąd morski, który żeglarza niesie ku wielkim zyskom; prąd przegapić - to utkwic dziobem*

na resztę żywota w mieliznach nędzy. Dla nas, dla Ruchu, to właśnie był ten moment: Kambodża i Kent State. Chwila, którą należało wykorzystać. Potem utkwiliśmy na mieliznie, użalając się nad sobą. Rewolucja stała się niemal całkowicie zapomnianym żartem, nawet dla nas samych. Marzenie obróciło się w popiół.

Jego głos był cichy i łagodny, ale brzmiał bardzo przekonująco.

- Znam tę sztukę - potwierdził Sandy. - Pamiętam też, że to właśnie ta mowa zaprowadziła Brutusa i Kasjusza pod Filippi, gdzie skończyła się ich rewolucja.

- To tylko sztuka - rzucił nonszalancko Morse, zbywając słowa Sandy'ego lekceważącym ruchem ozdobionego ornamentem z węży sztyletu, który trzymał niedbale w dłoni.

- Nawet jeśli ma pan rację, co to zmieni? - nie ustępował Sandy. - Sam pan przyznaje, że chwila już minęła. Rewolucjoniści kupili sobie jednorodzinne domki i trzyczęściowe garnitury. Już się więcej nie zbuntują.

- To prawda - przyznał Edan Morse. - Chyba że uda się w jakiś sposób zawrócić czas i przywołać ten prąd morski z powrotem. - Pochylił się na fotelu ze skupieniem na twarzy. Niech mi pan powie, kiedy skończyły się lata sześćdziesiąte?

- Pod koniec sześćdziesiątego dziewiątego - odparł Sandy. - Albo pod koniec siedemdziesiątego, jeśli jest pan drobiazgowy, bo nie było...

- Niech mi pan nie plecie bzdur o kalendarzu - przerwał mu Morse. - Chodzi mi o ducha epoki, a nie o to, kiedy opuszczono głupią kulę na Times Square. Lata sześćdziesiąte zaczęły się, gdy zamordowano Kennedy'ego, a Wietnam stał się pierwszoplanową sprawą. A kiedy się skończyły, Sandy? Kiedy?

Sandy wzruszył ramionami.

- Może w dniu rezygnacji Nixona? Albo kiedy Sajgon upadł i wojna dobiegła końca?

- Źle. To zbyt późne daty. Nasza fala zaczęła opadać na długo przedtem. Nasz impet, nasza jedność, poczucie przegna-

czenia, nieuniknionego triumfu, straciliśmy to wszystko, niemal nie zauważając momentu, w którym zaczęło to od nas odpływać, mimo że wyczuwaliśmy, co się dzieje. Studiowałem tę sprawę i wiem, w którym momencie zaszła zmiana. Wiem!

Sandy siedział zupełnie nieruchomo, wpatrując się w Edana Morse'a. Przeszył go zimny dreszcz sięgający aż do szpiku kości. Słońce za szybą już zaszło. Za plecami Morse'a rozciągała się ciemność, mącona jedynie wąską, szkarłatną linią blasku na horyzoncie. Po mrocznym niebie, nad czerwonym morzem, mknęły chmury. Ciemność, sztorm i chaos; a oczy Morse'a błyszczały.

- Kiedy? - zapytał Sandy.

- Wie pan - odpowiedział Morse. - To jest wypisane na pana twarzy. Wie pan to w głębi duszy. Wyczuwał pan to od samego początku. - Jego uśmiech z jakiegoś powodu budził lęk.

- Niech pan to powie - zażądał.

- Dwudziestego września - wykrztusił Sandy przez suche wargi. - Dwudziestego września 1971 roku.

- West Mesa - uzupełnił Morse. - I koniec The Nazgul.

- Ujął srebrny nóż w prawą rękę i przejechał nim po wewnętrznej powierzchni lewej dłoni, pozostawiając długą, czerwoną ranę. Miał na skórze dłoni liczne blizny po podobnych cięciach. Krew zaczęła skapywać na bibularz, tworząc karmazynowe plamy na fioletowej wizytówce Sandy'ego. - Przez cały ten czas mieliśmy ją we krwi - ciągnął Edan Morse tonem niezachwianej pewności. - Muzykę, Sandy, muzykę. Ona była naszym paliwem, naszym duchem, ona nas ogrzewała, była dla nas bodźcem, dawała nam odwagę, poczucie celu i prawdę. To było coś więcej niż tylko piosenki. One kształtowały nasze umysły i dusze, przywoływały jakąś pierwotną siłę, ukrytą we wszechświecie i w nas samych. Zna pan prawdę. Wszyscy ją znamy, instynktownie. Nawet wróg. Proszę tylko spojrzeć, jak wszystkie stacje telewizyjne traktują ten okres! Marsze i zamieszki, demonstracje, wybory, zamachy, Wietnam; każdemu materiałowi, jaki pokazują, towarzyszy rock. Oni również zdają sobie sprawę, że

muzyka była częścią tego wszystkiego. Często powtarza się truizm,

że muzyka jest odbiciem swych czasów, ale w rzeczywistości jest dokładnie na odwrót. Muzyka ma w sobie moc, Sandy. Dotyka nas na poziomie głębszym, bardziej podstawowym i dzikim niż słowa. Każda armia, która kiedykolwiek wyruszała na wojnę, nuciła marszowe melodie i akompaniował jej werbel bębnów. Każda rewolucja miała swoją muzykę. Każda epoka. Muzyka definiuje wiek i nadaje mu kształt. A w naszym wieku Ruch narodził się przy akompaniamencie twardego rytmu rocka. Poruszał się razem z nim, maszerował, pierdolił się i rósł. Prochy, seks, rock i rewolucja, pokój i wolność. Jestem przekonany, że wróg rozumiał to lepiej od nas. Byliśmy zagrożeniem dla całego przegniłego systemu, dla skorumpowanej władzy i niemoralnego bogactwa. Nasza muzyka zmiażdżyła już ich muzykę, przegnała ją z eteru, z ulic i z kultury. Później z pewnością przyszlaby kolej na resztę. Jestem przekonany, że o tym wiedzieli. A potem muzyka umarła. To się stało powoli, sędzę, że częściowo przypadkiem, a częściowo na skutek planu. Beatlesi się rozpadli, a razem z nimi setka innych grup. Z radia wygnano bezkompromisowe, budzące lęk utwory. Finansiści zacieśnili kontrolę nad mediami oraz studiami nagraniowymi i pozbawili rocka witalności, zamienili naszą stal w piankę żelową, stopniowo, dzień po dniu, gasząc płonący w nas ogień, tak że nawet tego nie zauważyliśmy. A tych, których nie można było kupić, złamać ani odesłać na emeryturę, tych najgłośniejszych i najgroźniejszych, zabito, jedno po drugim, w ciągu kilku lat. Hendrixa, Joplin, Jima Morrisona. I wreszcie przyszła kolej na Hobbinsa, przyszła kolej na West Mesa. The Nazgul symbolizowali lata sześćdziesiąte w większym stopniu niż jakakolwiek inna grupa. Byli młodzi, gniewni i pełni życia, ich muzyka miała w sobie krew, i byli też zbyt sławni, by można było ich ignorować, i zbyt zaangażowani, żeby ich przeciągnąć na swoją stronę. Stanowili zagrożenie i trzeba ich było uciszyć. Nie dziwię się, że zabójcy nigdy nie schwytano.

Sandy gapił się na niego zdumiony. Chciał się roześmiać. Potrzebował tego. Ale śmiech nie mógł wydobyć mu się z gardła. To nie było śmieszne. Dłoń Edana Morse'a ociekała krwią, a on nie zwracał na to najmniejszej uwagi. W jego głosie zamiast bólu brzmiała pasja. Wydawało się, że niemal karmi się własnym cierpieniem. Staje się dzięki niemu większy. Silniejszy. W jego oczach stopniowo rozpałał się brązowy ogień niezachwianej pewności.

- A teraz? - zapytał spokojnie Sandy.

Morse zacisnął zbroszoną krwią dłoń w czerwoną pięść, powoli i celowo.

- A teraz czas wreszcie powraca - oznajmił głosem przypominającym głos kaznodziei. - Czas wilka i węża, czas wielkiej pożogi, która zniszczy dom kłamstw. Nazgule znowu polecą. Uniesiemy się na krwawym przypiływie, a gdy on opadnie, zbudujemy nowy świat.

- Pan oszalał! - zawołał Sandy z przekonaniem, którego w rzeczywistości wcale nie

czuł. Racjonalna część jego umysłu mówiła mu, że wszystko to obłąd, ale gdy Edan Morse był blisko, gdy widział jego pulsującą, czerwoną pięść, świat przestał mu się wydawać racjonalny, a szalone słowa nagle zabrzmiały bardzo wiarygodnie.

- Nie - sprzeciwił się Morse. - Armie sformowały już szyki. Wszystko jest na swoim miejscu. Niech pan posłucha muzyki.

- Rozmawiałem z Nazgulami - sprzeciwił się z pasją Sandy. - Ze wszystkimi trzema. Nawet gdyby cały ten syf był prawdą, nigdy nie zgodzą się znowu zagrać razem. Och, Maggio tego pragnie, to prawda, ale nie Slozewski i Faxon.

- Nie rozumie pan sytuacji tak dobrze, jak się panu zdaje odpowiedział Morse, spokojniejszym już tonem. Nawet nie patrzył na Sandy'ego. Gapił się na własną, krwawiącą dłoń, jakby wydawała mu się ona nieskończenie fascynująca. - Jeśli chodzi o Slozewskiego... wie pan o pożarze. Niech pan rozważy jego implikacje. Stracił klub. Był ubezpieczony na zbyt niską sumę i nie zdoła go odbudować. Rodziny ofiar pozwały go do sądu. Domagają się wielkich odszkodowań, a on nie ma pieniędzy. Zagra, gdy nadejdzie czas.

Nagle Sandy zrozumiał.

- Pan wcale nie chciał go zabić! - wygarnął. - Zaczekał pan, aż odjedzie ze mną, i dopiero wtedy podpalił klub. Żeby go zmusić... skłonić...

- Daję panu słowo, jak brat bratu, jak jeden towarzysz walczący o nadejście rewolucji drugiemu, że nie miałem nic wspólnego z tym pożarem. - Morse sięgnął prawą ręką do kieszeni, wyciągnął stamtąd chusteczkę i owinął ją sobie wokół lewej dłoni, by zahamować krwawienie. - On musiał wybuchnąć, Sandy. Był częścią serii wydarzeń, którą przepowiedzieli sami Nazgule. Wszystko to wyprorokowano. Działają tu siły potężniejsze niż ktokolwiek z nas.

Sandy nie słuchał jego słów.

- A co pan zrobi Faxonowi? Porwie jedno z jego dzieci?

- Nic pan nie rozumie. Nie chce pan zrozumieć. Faxon się zgodzi. Musi się zgodzić. Tak mówi obietnica. Wreszcie nadeszła godzina i wszystko będzie na swoim miejscu. Niech pan posłucha muzyki.

Nagle Sandy się wściekł. Nie mógł już dłużej tego słuchać. Wstał z fotela.

- Co pan mi, kurwa, chrzani? - wrzasnął. - Faxon nie chce mieć nic do... Faxon ma już...

- Gdy jednak szukał właściwych słów, przypomniał sobie powolny lot balonem nad Albuquerque i słowa, które usłyszał potem od Trący w ciężarówce. Opuściło go przekonanie. - Chwileczkę - upierał się. - Co, kurwa, zmieni Faxon? Jest pan świrem i ja też jestem świrem, bo siedzę tu i słucham tych głupot. Jeśli nawet namówi pan Faxona i Slozewskiego, co z tego? To nadal tylko trzech. A tego czwartego faceta będzie kurewsko ciężko przekonać. - Sandy zaczął

krzyczeć, jakby siła głosu mogła przydać wagi i prawdziwości jego słowom. - Niech pan wyteży na sekundkę pamięć, a może pan sobie przypomni, że Patrick Henry Hobbins zginął w 1971. Kula wystrzelona z karabinu z lunetą urwała mu połowę czaszki. Od tej pory nic już, kurwa, nie zaśpiewał. Jak pan zamierza uporać się z tą przeszkodą?

Edan Morse przyjął ten wybuch ze zdumiewającym spokojem.

- Śmierć nie zawsze jest tak nieprzewycięzoną przeszkodą, jak się panu wydaje - odparł. Wstał, okrążył szybko biurko i podszedł do drzwi. Otworzył je, odwrócił się i skinął na Sandy'ego skaleczoną dłonią, nakazując mu podążyć za sobą. Chusteczka zrobiła się czerwona. Otepiały Sandy ruszył ku drzwiom.

Na kanapie w salonie siedziała Ananda, pogrążona w rozmowie z niskim, szczupłym mężczyzną w dżinsowym stroju, zwróconym plecami do Sandy'ego.

- Pat? - odezwał się Edan Morse.

Patrick Henry Hobbins odwrócił się, wstał z kanapy i popatrzył na dwóch przybyszów.

- Słucham? - powiedział.

Trzynaście

A kiedy wróciłem, gwiazdy zmieniły miejsca! I nad światem unosił się swąd pożarów.

Sandy usłyszał dźwięk, ciche kroki i obudził się nagle. Serce mu waliło. Był nagi i marzył pod cienką narzutą na wielkim łożu. Nie znał tego pokoju. Wypatrzył w mroku kominek, pokryte boazerią ściany, poczuł słoną woń morza. Był zdezorientowany i kręciło mu się w głowie. Wstał chwiejnie i odsunął ciężką zasłonę wiszącą obok łoża. Pokój zalało blade, chłodne światło. Za parą suwanych, oszklonych drzwi widać było taras oraz szarą, zimną plażę. Nad balustradą tarasu i nad morzem unosiła się gęsta mgła.

I nagle przypomniał sobie niejasno wczorajsze wydarzenia. Znajdował się w pokoju gościnnym domu Edana Morse'a. Tak jest. Ale skąd...?

Kiedy tak stał, marszcząc brwi i mrużąc oczy, drzwi pokoju się otworzyły i do środka weszła Ananda.

- Dzień dobry - powiedziała radośnie. - Tak mi się zdawało, że słyszę, jak się ruszasz. Mamy kawę i świeży sok pomarańczowy, a ja robię najlepsze gofry, jakie w życiu jadłeś. Mama mnie tego nauczyła. Chcesz spróbować?

Miała na sobie biały T-shirt oraz dolną połowę niebieskiego bikini. Wyglądała, jakby przed chwilą wyszła z porannej kąpieli w basenie. Włosy owiązała sobie mechatym, brązowym ręcznikiem, a ociekająca wodą koszulka przylegała do ciała, podkreślając niewiarygodne piersi. Brodawki miała wielkie i twarde.

Sandy gapił się na nią. Nagle uświadomił sobie, że jej brodawki nie są jedyną rzeczą,

która jest wielka i twarda. Zawstydził się własnej nagości i odwrócił lekko od kobiety, starając się zachować spokój.

- Hm - odparł elokwentnie. - Dzień dobry.

Ananda podeszła do niego z uśmiechem na twarzy. Jej drobne, bose stopy zostawiały na parkiecie wilgotne ślady.

- Hej - zawołała. - Po co ta skromność? - Ujęła go pod podbródek i delikatnym ruchem zwróciła jego twarz w swoją stronę. - Widziałam już w nocy to coś, tak? - Usta miała lekko rozchylone i znowu wykonała ten swój ruch językiem, przesuwając nim po dolnej wardze. - I spodobało mi się - dodała.

Wzwód sprawiał mu dotkliwy ból. Sandy przeniósł wzrok z kobiety na łóżko i z powrotem.

- Chcesz powiedzieć, że ty i ja... że my? Ananda skrzywiła się drwiąco.

- Nic nie pamiętasz? To mnie zabolalo. Myślałam, że jestem za dobra, aby o mnie zapomnieć. - Pocałowała go delikatnie. - No cóż, pewnie będziemy musieli spróbować jeszcze raz. I wiele razy do skutku, aż wyjdzie mi, jak trzeba. Jestem mała, pazerna czarnuszka, psze pana.

- Jezu - mruknął Sandy. Wrócił do łóżka i usiadł na nim, kryjąc twarz w dłoniach. - Nic nie pamiętam. No, prawie nic.

- Zerknął na nią. Stała obok, wysuwając jedno biodro do przodu, i spoglądała na niego czule z wielką wesołością w oczach.

- Co się stało w nocy? - zapytał ją. - To znaczy poza tobą i mną. Poza nami. No wiesz.

- Wiem, że musisz się napić kawy - stwierdziła Ananda.

- I gofry też ci nie zaszkodzą. Czemu nie weźmiesz prysznic, zanim zrobię śniadanie? W szafie wisi parę szlafroków. Każdy w innym rozmiarze. Powinieneś znaleźć coś dla siebie.

Odwróciła się na pięcie i wyszła. Sandy z jękiem spojrzał jeszcze na jej zgrabny tyłeczek.

Prysznic mu pomógł. Mężczyzna puścił najpierw gorącą wodę i wyszorował się dokładnie, a potem przełączył na zupełnie

zimną, by odświeżyć sobie pamięć. Wszedł spod prysznic drżący, w brodzie miał kropelki wody, ale znowu czuł się jak człowiek. W wielkiej szafie znalazł dla siebie graby, zielony szlafrok, cały pokryty białymi, haftowanymi pacyfami. Kiedy go włożył, przekonał się, że jest bardzo ciepły. Siedział na łóżku, susząc włosy, i próbował cokolwiek sobie przypomnieć.

Najlepiej jednak zapamiętał koszmary.

Kłębiły się teraz w jego głowie, nie chcąc zniknąć, tak jak sny powinny znikać z nadejściem świtu. Sandy wiedział, że będą mu towarzyszyły jeszcze przez długi czas.

Widział w nocy Sharon. Gapiała się na niego z zupełnie nieruchomą twarzą. Jej ukryte za zabarwionymi szklami oczy miały zimny wyraz. Nagle okulary pokrył szron, który następnie wypełził na policzki, aż wreszcie cała jej twarz zmieniła się w lód. Potem pękła, a okruchy umknęły w dal.

Pamiętał też niesione wiatrem papiery, które wzbijały się coraz wyżej, odlatując od niego, jeden po drugim. Jego szczególną uwagę przyciągnęła jedna kartka, zapisana do połowy, która uniosła się, tańcząc, pod fioletowe, zasnuwane burzowymi chmurami niebo. Śledził ją wzrokiem z dziwnym, słodkogorkim uczuciem.

Słyszał Jareda, który śmiał się z niego złośliwie, z taką siłą, że aż trzęsło mu się brzuszysko.

Był z Łajzą, rozmawiał z nim i patrzył na niego. Ale Łajza się zmienił. Broda i gęsta plereza zniknęły. Wychudł, policzki miał zapadnięte, nosił białe, schludne ubranie, jego uśmiech wyglądał niepewnie, niebieskie oczy wyblakły, były zażawione i pełne strachu. Nagle zaczął krzyczeć przeraźliwie, raz po raz, przesywając wychudzonymi dłońmi powietrze przed sobą.

Sandy'emu śniła się też parada ze świecami, w której brał kiedyś udział. Szedł przez bezkresny mrok, wietrznymi, zlewanymi strugami deszczu ulicami. W dłoni trzymał małą świecę, osłaniając ją skulonymi palcami, by wiatr nie zdmuchnął płomienia. Towarzyszyli mu inni, idący przed nim i za nim. Wyszli na ogromne pole, pod wysokim, białym budynkiem na wzgórzu. Były ich tysiące i każdy trzymał świecę. Wszędzie było widać

płomienie, maleńkie, odważne gwiazdy na morzu nocy, drżące i migoczące w wątych osłonach złożonych dłoni. Na niebie nad ich głowami gwiazdy świeciły niczym milion kolejnych świec. I nagle gwiazdy się zmieniły. Nie były już świecami, lecz oczami. Milionem żółtych, wąskich oczu. Patrzyły na nich. Potem ciemności się rozwarły, runęły na nich szare, pozbawione twarzy postacie obleczone w błękit i khaki. Świece upadły na ziemię i zgasły.

Najdłuższym snem, który Sandy pamiętał najwyraźniej, był jednak ten sam, który przyśnił mu się owej straszliwej nocy w Chicago. Tym razem jednak był dłuższy i bardziej szczegółowy, wydawał się bardziej realny. W jakiejś ogromnej, ciemnej sali bez końca trwał taniec. The Nazgul znowu stali na scenie, grając *The Armageddon/Resurrection Rag*, lecz tym razem wyglądali ohydnie. Świstak John był szary i straszliwie poparzony, a kiedy grał, sypały się z niego chmury popiołu. Uśmiezek Maggia przerodził się w szatański grymas, a na jego piersi roily się larwy. Jedna strona twarzy Faxona była pogodna i przystojna, druga zaś

krwawiła z setki odrażających ran. A przed nimi stał Hobbins, dwukrotnie wyższy niż za życia, lecz mimo to w jakiś sposób niematerialny. Sandy widział przez niego na wskroś. Z tyłu sceny, za postacią Hobbinsa, do wielkiego krzyża w kształcie litery X przybito nagą kobietę. Była jeszcze prawie dzieckiem, chudym i wielkookim. Krzyczała z bólu, gdy krew skapywała jej z piersi i z pochwy, spływając po nogach. Jej głos wydawał się dziwnie znajomy, ale nikt z bawiących się nie zwracał na nią uwagi. Był tam Żabcio, który tańczył z jakąś blondynką i próbował ją obmacywać. Maggie i Lark tańczyli ze sobą, bez przerwy wirując. Otoczona dziećmi Bambi siedziała pod ścianą i czekała na partnera. Przez tłum przepychali się płonący mężczyźni, trupy i obdarte ze skóry kobiety. Sandy krzyczał do nich, ostrzegając przed nadchodzącym potopem krwi, ale nikt go nie słuchał.

Z tego posępnego zamyślenia wyrwała go Ananda, która przyniosła na tacy dzbanek z czarną, pachnącą kawą, dwie filiżanki, sok pomarańczowy i gofry. Zapach był niebiański i Sandy uświadomił sobie nagle, że jest głodny jak wilk.

- Chcesz wyjść na dwór? - zapytała go. - Słońce przegnało już mgłę i robi się przyjemnie ciepło.

Sandy z roztargnioną miną skinął głową, wstał i otworzył przed Anandą oszklone drzwi. Na zewnątrz czekał na nich biały, żelazny stolik z trzema krzesłami. Kobieta postawiła tacę na blacie, a Sandy osunął się na krzesło. Nalała mu kawy i pociągnął zdrowy łyk, zanim jeszcze zdążyła podać mu gofra.

Rzeczywiście robiła dobre gofry. Polał swojego masłem i syropem klonowym - prawdziwym, stuprocentowo autentycznym syropem klonowym, który kosztował tyle, co cały produkt narodowy brutto Ekwadoru. Po kilku kęsach poczuł się znacznie lepiej. Spojrzał na Anandę.

- Upiłem się wczoraj, czy co? - zadał jej pytanie. - Nie mam kaca, ale śniły mi się cholernie dziwne rzeczy.

- To nie były sny - stwierdziła Anandą. - To były wizje.

- Wizje? - powtórzył Sandy, krzywiąc się wściekle.

- Czy w ogóle coś pamiętasz? - zapytała.

- Bardzo dobrze zapamiętałem małą rozmówkę, którą odbyłem z twoim szefem - odparł Sandy. - Wziął ten jebany nóż i rozplątał sobie dłoń aż do kości. Poplamił krwią całe biurko. Muszę przyznać, że takie otwarcie rozmowy cholernie mocno zapada w pamięć. Nie sprawiał też wrażenia, żeby mu to przeszkadzało.

- Edan opanował dyscypliny, które pozwalają zapanować nad bólem - wyjaśniła Anandą. - Nauczył mnie niektórych z nich, ale nie jestem tak dobra jak on. Radzę sobie z bólem

zęba czy siniakiem, ale on potrafi wytrzymać wszystko, jeśli tylko zechce.

Sandy jej wierzył. Wiedział cholernie dobrze, że na dłoni jest więcej nerwów niż na jakiegokolwiek innej części ciała, pomijając genitalia. A Morse ciął głęboko. Dla zwyczajnego człowieka ból byłby straszliwy.

- Ale po co to zrobił? - zapytał Sandy. - Jaki był w tym sens?

- Chodziło o krew - odparła z całą powagą. - Potrzebuje jej, żeby przywołać wizje. Ale nie tylko do tego. On pragnie two-

jej pomocy, Sandy, chce, żebyś zrozumiał. Tym gestem zademonstrował ci, że nie jest kłamcą ani oszustem, prawda?

- Nieprawda - skontrował zwięźle Sandy. - Po prostu udowodnił mi, że jest pieprzonym masochistą i świrem. Ugryzł kolejny kęs gofra, popijając go kawą, i nagle zauważył w oddali idącego plażą człowieka. Podążył za nim wielki pies, który szczekał i podskakiwał wesoło. Mężczyzna podwinął sobie dzinsy do kolan, by iść w zimnym przyboju. Jego długie włosy lśniły biało w blasku słońca. Sandy w jednej chwili przypomniał sobie wszystko. Omal nie wypuścił kawy. - Ten chłopak! zawołał. - Hobbins!

Ananda uśmiechnęła się.

- Byłeś porządnie wkurzony po rozmowie z Edanem. Słyszałam przez ścianę twoje wrzaski. Kiedy drzwi się otworzyły, wyglądałeś tak, jakbyś chciał kogoś uderzyć. A kiedy zobaczyłeś Pata, o mało nie trafił cię szlag. Myślałam, że gały wypadną ci z głowy.

Dął wiatr od morza i Sandy drżał z zimna.

- Tak? Naprawdę myślałem, że zaraz mnie trafi. O mały włos nie zesrałem się w portki! Zobaczyłem ducha! Kilkanaście razy oglądałem na filmie śmierć Hobbinsa, widziałem, jak leży zakrwawiony w ramionach Faxona, z odstrzeloną połową głowy, a w ręku nadal ściska mikrofon. Byłem nawet na jego pogrzebie, a tu Morse otworzył drzwi i zobaczyłem Hobbinsa przed sobą. Był tak samo mały jak wtedy i wyglądał tak, jakby nie postarzał się nawet o jeden dzień od czasu West Mesa. - Sandy westchnął, ściskając głowę w dłoniach. - Pewnie, że to mną wstrząsnęło. Twój szef nie powinien robić takich rzeczy. Ten chłopak jest tak podobny do Pata Hobbinsa, że mógłby być jego pieprzonym klonem. Jeżeli pokażecie go Faxonowi tak samo nagle jak mnie, doprowadzicie go do załamania nerwowego.

Sandy nadal z nerwowością wspominał tę chwilę, ale niepokój powoli ustępował. Chłopak, rzecz jasna, nie był Hobbinssem. Stało się to jasne, gdy tylko otworzył usta i powiedział kilka słów. Wyglądał jak Hobbins, jego głos miał ten sam tembr i ton,

a nawet filadelfijski akcent, ale jego osobowość była diametralnie odmienna, co natychmiast dawało się zauważyć. Prawdziwy Patrick Henry Hobbins posiadał większość cech

często wiążących się z geniuszem, sławą i wielkim sukcesem odniesionym we wczesnym okresie życia - był pewny siebie, arogancki, głośny, miał na wszystko bardzo zdecydowane poglądy i nie stronił od szyderstw. Cechował się potężnym ego, o czym Sandy przekonał się, przeprowadzając z nim wywiad. Chłopak nie przypominał go pod żadnym z tych względów. Miał łagodny głos, był pełen szacunku i boleśnie uprzejmy. Cztery razy powtórzył, że ma nadzieję, iż okaże się wystarczająco dobry, żeby występować z The Nazgul, i Edan Morse oraz Ananda musieli go o tym zapewniać.

Lany Richmond. Gdy Sandy go o to zapytał, przyznał, że tak się naprawdę nazywa. Urodził się w Bethlehem, w stanie Pensylwania, gdzie jego ojciec pracował w hucie żelaza, ale po jego śmierci, gdy miał kilkanaście lat, przeniósł się do Filadelfii. To tłumaczyło jego akcent. Podobnie jak Hobbins, był niskim albinosem i z powodu tych odstępstw od normy często spotykały go drwiny oraz bicie. Ale w przeciwieństwie do Hobbinsa pełne cierpienie dzieciństwo nie uczyniło go twardszym, lecz załęczonym. Patrick Henry Hobbins był jego bohaterem. Jak sam to ujął: „No wie pan, dla albinosów nie ma zbyt wielu wzorów do naśladowania. Hobbit był zdecydowanie najatrakcyjniejszym”. Dlatego Richmond nauczył się grać na gitarze i śpiewać, dlatego założył grupę tak szybko, jak tylko mógł, i dlatego ta grupa specjalizowała się w wykonywaniu utworów The Nazgul. Lany Richmond śpiewał wystarczająco dobrze, by zrobić karierę jako nastoletni imitator Hobbinsa.

A potem znalazł go Edan Morse.

Reszta była jego dziełem. Richmond tylko powierzchownie przypominał Hobbinsa. Podkreślał podobieństwo wzrostu oraz barwy za pomocą kostiumów i odrobiny makijażu. Operacje plastyczne, za które zapłacił Morse, uzupełniły dzieło natury, sprawiając, że podobieństwo wydawało się niemal nadnaturalne. Lany oznajmił z dumą, że operowano go trzy razy. W okresach między

zabiegami, a także potem, mieszkał w domu Edana Morse'a, ucząc się swej roli. Codziennie sześć godzin zajmowali mu The Nazgul. Słuchał ich nagrań, oglądał filmy z koncertów, studiował każdy ruch i każdą intonację głosu Hobbinsa. Brał lekcje śpiewu, żeby nauczyć się śpiewać tak jak on. Uczył się też tańca i gimnastyki, aby poruszać się w podobny sposób. Przeczytał każde słowo, jakie napisano o jego idolu, w tym również teksty ze starych numerów „Hedgehoga”, „Rolling Stone” i „Crawdaddy”. Był wielkim fanem Sandy'ego.

Najgorsze było jednak to, że Richmond był sympatycznym chłopakiem, a Edan Morse, ogarnięty swą obsesją, starał się go unicestwić. W domu Morse'a Larry Richmond nie istniał. Na chłopaka mówiono „Hobbins”, „Pat” albo „Hobbit”. Larry przyznawał z odrobiną żalu, spoglądając na swego gospodarza z cichym, nerwowym śmieszkiem, że reaguje teraz na

wszystkie te miana szybciej niż na nazwisko, z którym się urodził.

Sandy oparł się wygodnie na krześle. Kawa stygła mu w kubku. Spoglądał na Larry'ego Richmonda, który zbliżał się do nich po plaży, pół idąc, pół biegnąc. Bawił się z psem, wielkim, oszalałym ze szczęścia golden retrieverem, który biegał wokół niego, szczekając radośnie. Woda i piasek tryskały mu spod łap. Larry uśmiechał się szeroko, wykrzykując polecenia, które zwierzę beztrudnie ignorowało. Włosy Richmonda, długie, białe i jedwabiste, powiewały na wietrze, gdy pędził ku nim. Sandy'emu ponownie wydało się, że widzi ducha. Błedego ducha o różowych oczach.

- Nadal uważam, że to świństwo - oznajmił siedzącej po drugiej stronie stołu Anandzie.

- Hobbins nie żyje. Chłopak powinien żyć własnym życiem. Morse robi z niego jakąś groteskową karykaturę. Niesmaczny żart.

- To samo mówiłeś wczoraj - zauważyła Ananda - ale myślałam, że cię przekonałam.

Sandy skrzywił się.

- Nadal mi nie opowiedziałaś, co się wczoraj stało. Pamiętam, jak poznałem Larry'ego...

- Pata - poprawiła go Ananda.

- Larry'ego - upierał się Sandy. - Rozmawiałem z nim przez chwilę, a gdy wreszcie wyciągnąłem z niego całą historię, zaznajomiłem Morse'a ze swoją opinią. Która nie była zbyt pochlebna. A potem... - Potarł kark. - Potem moje wspomnienia stają się niejasne.

- Pamiętasz, jak piłeś?

- Hmm, tak. I nie. Przypominam sobie, że kiedy zobaczyłem Richmonda, byłem zdrowo wstrząśnięty. Morse zrobił mi drinka. Szkocką z lodem. Wypiłem, rozmawiając z Larrym. Potrzęsnał głową. - Co było potem?

- Potem wypiliśmy drugiego drinka - wyjaśniła Ananda. I trzeciego. Gadałeś z Edanem, Patem i ze mną, cały czas piłeś, a po chwili zrobiłeś się bardzo wesoły. - Uśmiechnęła się szeroko. - I napalony również. Edan poszedł opatrzeć rękę, Pat położył się spać, a ja zaprowadziłam cię do sypialni. Byłeś kompletnie pijany i trochę też na haju, bo wygrzebałam odrobinę haszu. Gadałeś głupoty i byłeś strasznie rozochocony. Jeśli nie było ci ze mną fajnie, to jesteś cholernie dobrym aktorem.

Sandy nie pamiętał z tego zupełnie nic. Niepokoił się. To nie było do niego podobne, żeby aż tak się usmarować, chociaż z drugiej strony podczas całej tej podróży pił stanowczo zbyt wiele. A już z pewnością nie wydawało się prawdopodobne, by zapomniał, że poszedł do łóżka z Anandą. Ta kobieta zapadała w pamięć.

- Czuję się jak ostatni dureń - przyznał. - I do tego cham. Choć jego związek z Sharon od

samego początku był otwarty, dręczyło go lekkie poczucie winy, jakby w jakiś sposób ją zdradził. Być może to właśnie oznaczał lodowaty wyraz jej twarzy, który prześladował go we śnie. To były wyrzuty sumienia. Czuł się także poniekąd oszukany. Nie dosyć, że zgrzeszył i czuł się z tego powodu winny, to jeszcze nie pamiętał przyjemności, jaką mu to sprawiło.

Ananda traktowała go z wielkim zrozumieniem.

- Jesteś bardzo miły po pijanemu - rzuciła lekkim tonem. - Nie przejmuj się.

Odwróciła się w stronę plaży i pomachała do Richmonda.

Chłopak ją zauważył i również pomachał do niej, po czym potruchtał ku nim. Pies biegł za nim. Po chwili zdyszany Richmond wspiął się na taras i osunął na trzecie krzesło.

- Cześć - wysapał. - Kurczę, ale jestem głodny. Mogę zjeść resztki po was?

Sandy pochłonął już jednego gofra i część drugiego. Podsunął niedojedzoną część, wystygłą i nasączoną syropem, Richmondowi, który pożarł ją z ochotą. Jego towarzysz cały czas biegał wkoło stołu, kreśląc wokół nich psią orbitę.

- Hej, piesku, spokój - odezwał się wreszcie Richmond. - Siad, Bal, siad.

Pies przystanął i otrząsnął się, opryskując Sandy'ego słoną wodą i piaskiem. Potem usiadł i Lany Richmond dał mu kawałek gofra. Zwierzę połknęło kasek, a potem rozejrzało się wokół i popatrzyło podejrzliwie na Sandy'ego. Obwąchało go i najwyraźniej coś w nim mu się nie spodobało, bo zaszczekało głośno. Jak wszystkim psom, paskudnie śmierdziało mu z pyska. Zaszczekało ponownie.

- Lubi pana - stwierdził Richmond.

- Cieszę się - odparł Sandy. - A co robi, jak kogoś nie lubi? Rozszarpuje mu gardło?

- Warczy - wyjaśnił Richmond i poczochnął sierść na psim łbie. - Leżeć, piesku. Leżeć, Bal, leżeć. - Pies na wszelki wypadek szczechnął jeszcze raz na Sandy'ego, zamachał szaleńczo ogonem i uwalil się na deskach. - Dobry Bal - pochwalił go Richmond.

- Bal? - zapytał Sandy. Chłopak uśmiechnął się nieśmiało.

- Balrog - wyjaśnił. - Byłem bardzo zainteresowany Tolkienem, no wie pan, z powodu Hobbinsa. Bal i ja jesteśmy ze sobą już sześć lat. Wychowywałem go od szczeniaka. Wszędzie jeździmy razem. - Pochylił się i pogłaskał zwierzę po łbie. Prawda, piesku? Prawda?

Bal zaszczekał radośnie na znak potwierdzenia.

Sandy zmarszczył brwi.

- Naprawdę zamierza pan zrealizować ten szalony pomysł? - zapytał. - Mówię o naśladownictwie Hobbinsa.

Chłopak popatrzył na niego z niewinnym zdziwieniem.

- Jasne - potwierdził. - W końcu, czemu by nie? Panie Blair, musi pan zrozumieć, że

robiłem to już przedtem. Pan Morse po prostu pozwolił mi robić to lepiej. Postąpiłbym okropnie głupio, gdybym zmarnował szansę. No wie pan, staram się, jak mogę, ale wiem, że nie jestem takim wokalistą jak Pat Hobbins. Nigdy nie będę. Może mi się udać tylko pod warunkiem, że wykorzystam to, co dał mi los. A teraz mam otrzymać szansę grania i śpiewania z The Nazgul. Nie ma pan pojęcia, ile to dla mnie znaczy. The Nazgul! Kurczę! Marzyłem o tym, żeby choć się spotkać z tymi facetami, a teraz mam z nimi grać. - Wstał. Pójdę wziąć prysznic i się ubrać. Miło mi się z panem rozmawiało, panie Blair. Mam nadzieję, że napisze pan o nas pochlebnie. Dziękuję za gofra. - Klepnął się w udo. - Do nogi, Bał, do nogi.

Pies wstał i wszedł za nim do domu.

Sandy zauważył, że Ananda przygląda mu się uważnie.

- Zrobisz to? - zapytała. - Napiszesz o nich pochlebnie?

- Być może w ogóle o nich nie napiszę - odparł. - Po pierwsze, nadal nie bardzo wierzę w ten comeback. Po drugie, wątpię, żebym to ja miał o nim pisać. Raczej nie chciałbym tego robić. - Pochylił się, opierając łokcie na blacie, i wbił w nią uważne spojrzenie. - Anando, twój szef to świr, tak samo jak ten wielki palant, który jest jego ochroniarzem. Nie mam pojęcia, dlaczego się z nimi zadajesz.

Uśmiechnęła się.

- Co taka miła dziewczyna jak ja robi w takim miejscu, prawda? Robię to, co do mnie należy, Sandy. Powinieneś wziąć ze mnie przykład. A jeśli chodzi o Edana, to czy nadal jesteś taki sceptyczny?

- Przyszaję, że wczoraj udało mu się mnie podejść - zgodził się Sandy. - Wszystko to brzmiało bardzo przekonująco.

Edan ma gadane, fakt. Ale teraz, w jasnym świetle dnia, cały ten pomysł wydaje mi się okropnie głupi. Twój szef jest szaleńcem. Samookaleczenie najwyraźniej stanowi dla niego chleb powszedni. Zamienił doktrynę rewolucyjnej przemocy na jakieś obłąkańcze marzenie o rockandrollowym Armagedonie. Daj spokój, Anando!

- Nie jestem pewna, ile mogę ci powiedzieć. Czy raczej, ile powinnam ci powiedzieć. Jeśli nie jesteś elementem rozwiązania, jesteś elementem problemu, zgadza się? Jeśli nie jesteś z nami, jesteś wrogiem, a pewnych rzeczy nie powinno się mówić wrogom. - Pochyliła się do przodu, oblizując nerwowo wargi. - Ale ja cię lubię, Sandy. Mam nadzieję, że o tym wiesz. Naprawdę. Nie do każdego zbliżam się tak szybko. Dlatego chcę spróbować. Chcę ci to wytłumaczyć dla dobra twojego, mojego i dla dobra całego świata. - Przechyliła głowę w bok i spojrzała na Sandy'ego. - Jeśli Edan nie ma mocy, jak wytłumaczysz to, co zdarzyło ci się w Chicago?

Sandy nagle poczuł, że przedramiona pokrywa mu gęsia skórka. Zadrzał, odsuwając się od Anandy. Nadal nie chciał w to uwierzyć.

- W Chicago? - powtórzył. - Nie rozumiem.

- Odwiedziłeś Maggia i rozmawiałeś z nim - wyjaśniła Ananda. - Gdy tylko Rick wrócił do domu, zadzwonił do Edana, żeby mu o tym opowiedzieć. Edan natychmiast doszedł do wniosku, że możesz być dla nas użyteczny albo możesz okazać się zagrożeniem. Dlatego postanowił wpłynąć na ciebie, żeby poddać cię próbie. Hmm, skaleczył się. Zawsze to robi, żeby zacząć ceremonię. A potem sięgnął do ciebie na odległość tysięcy mil. Poczułeś jego moc. Nie możesz temu zaprzeczyć, prawda? Tej nocy w Chicago spotkało cię coś dziwnego.

Sandy siedział sztywno wyprostowany, wbijając spojrzenie w Anandę. Czuł, jak serce wali mu w piersi. Cisza i napięcie, które nagle go otoczyły, wydawały się wręcz namacalne. Otworzył usta, chcąc odpowiedzieć, zawahał się, umilkł i odwrócił wzrok. Nie był w stanie wytrzymać poważnego, z jakiegoś powodu strasznego, spojrzenia Anandy.

- Tak - przyznał cichym głosem. - Myślałem, że to był sen. Bardzo dziwny. Byłem w Hiltonie i nagle wrócił rok sześćdziesiąty ósmy. Konwencja. Demonstracje, szalejąca policja, zamieszki. Wszystko. Widziałem to wokół siebie. Jakby wszystko działo się znowu, ale wydawało się też inne. Niesamowite. W jednych chwilach uczestniczyłem w wydarzeniach, a w innych byłem jak duch. Ludzie nie mieli twarzy, wyglądali strasznie. Myślałem, że to był tylko koszmar, ale podczas tego snu zmieniłem pokoje hotelowe i obudziłem się w innym.

Ananda skinęła głową.

- Dotknąłeś przeszłości. Równie dobrze mogłaby to być przyszłość. Edan mówi, że przeszłość i przyszłość są w pewnym sensie tym samym i że obie w jednakowym stopniu można zmieniać. Jedyne nasz sposób myślenia zamyka nas w chwili bieżącej, zgadza się? Ale Edanowi udało się przebić na drugą stronę. W bardzo ograniczony sposób. Dzięki wizjom. - Wyciągnęła rękę, ujęła dłoń Edana i uściśniła ją. - Sandy, uwierz mi! To może się zdarzyć! Musi! Na pewno się zdarzy! Edan mówi, że w krwi jest moc, podobnie jak w wierze i w muzyce. Działają tu potężne siły, daleko wykraczające poza nasze pojmowanie. Te siły zgromadzą w jednym miejscu krew, wiarę i muzykę. I wtedy mury runą, Sandy, runą, przeszłość stanie się przyszłością, a przyszłość przeszłością. Będziemy mogli wykorzystać ten moment, zmienić to, co było, co jest i co będzie. Możemy to zrobić, zgadza się? Dla sprawy, Sandy. To jedyny sposób. Położymy kres rasizmowi, seksizmowi i uciskowi, uwolnimy się od wojny, zbrodni, przemocy i niesprawiedliwości, zmienimy postać całego pieprzonego świata! Ale każde z nas musi spełnić swoje zadanie. I musimy uwierzyć.

Przez krótką, ciągnącą się bez końca chwilę, wiatr przenikał Sandy'ego na wskroś,

powodując dreszcz. Mężczyzna czuł ciepło i siłę dłoni Anandy, słyszał przekonanie brzmiące w jej głosie. Przypomniał sobie krew wypływającą z dłoni Edana Morse'a, błysk w jego oczach oraz pozbawione twarzy duchy na ulicach Chicago. Przekonało go to. Na krótką, ciągnącą się bez końca

chwilę. Potem jednak wiatr zaczął znowu go owiewać, unosząc ze sobą wszystko. Sandy uwolnił dłoń.

- Nie - powiedział.

Ananda obrzuciła go zdziwionym, nieustępliwym spojrzeniem.

- Czułeś to. Sam to przyznałeś.

- Miałem dziwny sen - odparł Sandy. - Nie wiedziałem, w jaki sposób się o nim dowiedziałas, i dlatego na chwilę udało ci się mnie przekonać. Ale potem połapałem się, w czym rzecz. Uśmiechnął się. - Sam ci o tym opowiedziałem. Nocą, w łóżku.

- Nie.

- Tak - nie dawał za wygraną Sandy. - Jak inaczej to wytłumaczyć? Przyznaję, że nie pamiętam, abym ci o tym opowiadał, ale w ogóle sobie nie przypominam, żebyśmy byli razem w łóżku, więc trudno, żebym pamiętał, o czym rozmawialiśmy. Czasami bywam zbyt gadatliwy. Niezłe zagranie, ale zero puriktów.

- Jak sobie chcesz - westchnęła Ananda. - Mylisz się, lecz widzę, że nie przekonam cię. Trudno. Z czasem zrozumiesz prawdę i wtedy wrócisz do nas. Zastanów się nad tym, co usłyszałeś ode mnie i wczoraj od Edana.

- Coś ci poradzę, Nando. Zerwij z Morse'em, i to szybko. Cały ten plan to obłąd. A Morse to niebezpieczny człowiek. Zaprzecza temu, ale wiem, że to on jest odpowiedzialny za zamordowanie Jamiego Lyncha i zapewne również za pożar Norki Świstaka. Nie sposób przewidzieć, co może zrobić jutro. Jesteś sympatyczną kobietą i wiem, że szczerze pragniesz zmienić świat na lepsze, ale uwierz mi, to nie jest właściwa droga.

Ananda zwróciła na niego spojrzenie swych wielkich, ciemnych oczu, które nabrały na chwilę niezwykłego, obcego wyrazu. Potem uśmiechnęła się i potrząsnęła długimi, czarnymi włosami, a jej oczy rozbłysły wesołością.

- To jedyna droga - zapewniła. - I mylisz się co do Edana. Zabójstwo Jamiego Lyncha i spalenie Norki Świstaka to nie jego robota. Masz na to moje słowo.

- Chciałbym ci uwierzyć. - Wstał. - Muszę już ruszać

w drogę. Czy mogłabyś pokazać mi, gdzie są moje łachy, a potem odwiedzić mnie do Santa Monica?

Ananda skinęła głową i poprowadziła go z powrotem do domu. Gdy Sandy zrzucawszy

z siebie ciężki szlafrok, zaczął się ubierać, podeszła do niego i objęła lekko za szyję.

- Na pewno nie masz czasu na szybki numererek? - zapytała z uśmiechem. - Tym razem lepiej uważaj, bo potem mogę urządzić kwiz.

Przytuliła się do niego ciepło i kusząco, ale ogień już zgasł. Sandy potrząsnął głową.

- Nie mogę. Muszę już jechać.

Ananda odsunęła się, wykrzywiając twarz w drwiącym grymasie.

- Nie można ufać nikomu po trzydziestce - oznajmiła i uderzyła go ręcznikiem.

Później, znacznie później, gdy już się ubrał, odwiozła go do motelu, wychyliła się z furgonetki i pocałowała go w czoło.

- Uważaj na siebie - poprosiła. - Jeszcze się zobaczymy, prawda?

- Nie jestem tego taki pewien.

- Och, ja jestem. Ty jeszcze o tym nie wiesz, ale ja wiem. Wrócisz do nas. - Uśmiechnęła się. - A teraz ruszaj w drogę.

Zawróciła furgonetkę, pomachała mu ręką na pożegnanie i odjechała. Sandy wrócił do swego pokoju. Było tam zimno i pusto. Pragnął odjechać stąd jak najszybciej, więc zaczął się pakować.

Czternaście

* *

Błyskają dla wojowników, których siłą jest odmowa walki. Błyskają dla uchodźców, bezbronnych na drodze ucieczki.

W wysokich górach zachodniego Kolorado Sandy po raz pierwszy napotkał zimę. Mroźne wiatry napierały na Mrzonkę, wdzierając się do środka przez szczeliny drzwi, a gdzieś tam drogę pokrywała cienka warstewka śniegu i musiał jechać wolniej. Droga do Denver trwała dłużej, niż się tego spodziewał, a jeszcze więcej czasu zajęło mu znalezienie posiadłości Byrne'ów, choć był już tam kiedyś, dawno temu.

Posiadłość była imponująca, ciągnęła się na długości całej przecznicy, a od miejskiego brudu dzielił ją płot z kutego żelaza, wysoki na dziesięć stóp i zwieńczony szeregiem budzących lęk czarnych szpikulców. Za tą barierą rósł gąszcz starych drzew, osłaniający dom od strony ulicy, by prostacy nie mogli podglądać bawiących się Byrne'ów. Za drzewami widać było rozległe trawniki i starannie utrzymane klomby, po których krążyły cztery puszczone luzem, chude i wredne dobermany, gotowe zeżreć na obiad nieproszonych gości. Sam budynek był duży, biały i wyglądał wulgarnie. Cztery wysokie kolumny od frontu upodabniały go do starego domu na plantacji. Do uzupełnienia obrazu brakowało tylko paru powłóczących nogami czarnuchów. Z pewnością właściciel domu gorzko żałował tego braku. Sandy

przypomniat

sobie, że na trawniku stała figura ogrodowa w kształcie czarnego dżokeja. Ojciec Łajzy, z typowym dla siebie nieopisanym urokiem osobistym, zwykł poklepywać posązek i nazywać go „małym czarnuszkiem”.

Wewnątrz domu pełno było głów zabitych zwierząt, antycznych mebli i broni palnej. Unosił się tam zapach fajkowego dymu oraz pieniędzy. Northwestern College było drogą szkołą, ale spośród kolegów Sandy’ego jedynie Jefferson Davis Byrne - Łajza - pochodził z naprawdę bogatej rodziny. Koszty nauki Maggie - dopóki nie rzuciła college’u - w całości pokrywał fundusz stypendialny, Sandy korzystał z funduszu, wziął pożyczkę dla studentów oraz pracował dorywczo, natomiast Żabcio Cohen, Bambi Lassiter i Lark Ellyn wywodzili się z zamożnej klasy średniej. Tylko Jefferson Davis Byrne pojawił się na otwarciu pierwszego roku we własnej corvette stingray.

Sandy zaparkował Mrzonkę na zimnej, zalanej słonecznym blaskiem ulicy naprzeciwko wielkiej, dwuskrzydłowej bramy zamykającej podjazd. Wysiadł, okrążył samochód i zatrzymał się na chwilę. Pograżony we wspomnieniach spoglądał na budynek. Na drugim roku Łajza zaprosił Sandy’ego do swego domu na Boże Narodzenie i Sandy się zgodził. To był jeden z największych błędów w jego życiu. O ironio, zrobił to dlatego, że chciał poznać ojca Łajzy. Już wtedy pragnął zostać pisarzem, a przywódca klanu Byrne’ów odniósł wielki sukces w tym zajęciu, nawet jeśli Sandy uważał jego książki za seksistowskie, rasistowskie i dobre dla półanalfabetów. Jego opinia miała jednak niewielkie znaczenie. Joseph William Byrne był autorem niekończącej się serii popularnych, grubych, pełnych seksu i krwi powieści o najemnikach. Wszystkie epatowały przemocą, wysławiały męskie, wojskowe cnoty i opiewały popełniane z radością gwałty. Każda miała przynajmniej sześćset stron i tytuł złożony z tylko jednego słowa. Najlepsze z nich przewodziły liście bestsellerów przez długie miesiące, choć nikt się nigdy nie przyznawał do czytania tego rodzaju powieści. Nawet najgorsze sprzedawały się cztery razy lepiej niż *Wyjście z gry*, najpopularniejsza powieść Sandy’ego.

W świecie wydawców Byrne’a zwano „Rzeźnikiem” - był dumny z tego przydomku.

Sandy spotkał się z nim tylko raz, podczas owego Bożego Narodzenia, ale to mu wystarczyło. Zachował po tym spotkaniu nader żywe wspomnienia. Rzeźnik Byrne był wysoki i szeroki w barach, miał szpakowate włosy, nosił okulary w rogowej oprawie, a jego postawa była sztywna jak u trupa. Palił fajkę i twierdził, że nosi nóż za cholewą czarnego, wojskowego buta. Ubierał się w polowe kurtki khaki, pełne pasów, zapinanych na napy kieszeni oraz dziwnych, barwnych wstążeczek. Sandy podejrzewał, że nawet na podkoszulkach ma pagony. Jego tubalny głos niósł się echem niczym artyleryjski ostrzał. Rzeźnik nie pozwalał nikomu

dojść do słowa. Na zewnątrz domu trzymał cztery dobermany, a w środku wielkiego owczarka niemieckiego. Wszystkie psy były szkolone. Miał pięciu synów - Łajza był trzeci w linii sukcesji - i ich również chętnie by wyszkolił w taki sam sposób. Nie dorobił się córek, ale miał bardzo stanowcze przekonania dotyczące miejsca kobiety w społeczeństwie. W gruncie rzeczy wyrażał bardzo stanowcze przekonania na prawie każdy temat, ale najbardziej lubił rozprawiać o wojnie, polityce i pisarstwie. Sandy popełnił błąd, wspominając o swych literackich aspiracjach i przez dwa dni musiał wysłuchiwać Sławnych Wykładów dla Pisarzy Rzeźnika Byrne'a. Ich sedno sprowadzało się do tego, jak dobrze sprzedają się książki Rzeźnika i ile pieniędzy dzięki nim zarabia.

„Zalewam się łzami w drodze do banku” - powtarzał Sandy'emu osiem czy dziewięć razy, kwitując tymi słowami marne recenzje. Mówił, że on tylko „opowiada historie”. Radził zapomnieć o „całej tej sztuce”. Oznajmił głośno, że „wszystko to tylko ekskrementy”. Mimo że Rzeźnik świetnie potrafił opisać, jak wygląda ludzki mózg rozbryzgany na ścianie przez kulę z karabinu, słowa „gówno” nie było w jego słowniku i nie słyszało się go w jego domu.

Biorąc pod uwagę charakter Rzeźnika oraz naturę życia rodzinnego w domu, który Sandy bezzwłocznie ochrzcił „Fortem

Byrne”, nie było zaskakujące, że gdy Jefferson Davis się zbuntował, został Łajzą, antytezą wszystkiego, co reprezentował sobą jego ojciec, oraz wcieleniem wszystkiego, czym on gardził. Zaskakujący był jednak fakt, że po wszystkich tych gorzkich kłótniach Łajza postanowił wrócić do Fortu Byrne. Gdy Sandy słyszał o nim ostatnio, jego przyjaciel przebywał w Kanadzie, uchylając się przed poborem do wojska. To było chyba gdzieś w siedemdziesiątym trzecim.

Sandy wsadził ręce głęboko w kieszenie, przeszedł przez ulicę i wszedł na podjazd, z niepokojem wypatrując dobermanów. Zastanawiał się, czy Rzeźnik złagodniał, czy raczej Łajza zmienił się w upiorne echo własnego ojca. Dobermany się nie pojawiły. Być może było dla nich za zimno. W powietrzu wyczuwało się przejmujący chłodek, a większość drzew nie miała już liści. Sandy wszedł na ganek, minął figurę dżokeja i nacisnął dzwonek, spodziewając się po cichu, że zabrmi sygnał wzywający do ataku. Usłyszał jednak tylko głośnie brzęczenie.

Nie było tu służby. Nigdy jej nie było. Rzeźnik bez trudu mógłby sobie na nią pozwolić, ale żywił głęboko zakorzenioną nieufność do ludzi obdarzonych, jak to określał, „niepełnowartościowymi genami” i nie chciał wpuścić nikogo z nich do swego zamku. Sandy poderwał się nagle na widok młodzieńca, który otworzył mu drzwi. To mógłby być sam Jefferson Davis Byrne, tak jak wyglądał tego dnia, gdy Sandy zobaczył go po raz pierwszy za kierownicą czerwonej corvette.

Sandy pamiętał tamtego Jeffa Byrne'a bardzo dobrze. Był wysoki, chudy i niezgrabny, miał sterczące łokcie i kolana, ciągle wpadał na meble albo je przewracał. Życie w cieniu Rzeźnika uczyniło z niego cichego, potulnego młodzieńca, wiecznie przepaszającego za wszystko. Był nieśmiały i boleśnie niepewny siebie, miał włosy ostrzyżone najeża, setkę szerokich krawatów oraz całe mnóstwo dwurzędowych marynarek. Uczył się bardzo dużo z obawy przed złymi stopniami i traktował nabór do korporacji ze śmiertelną powagą, przerażony myślą, że nie dostanie się do dobrej.

Potem poznała go Maggie i zaczął się zmieniać. Spotykała się z Jeffem, zanim jeszcze zaczęła chodzić z Sandym. W gruncie rzeczy, zetknęli się za jej pośrednictwem i przez rok czy dwa potrafili dzielić się jej względami bez wzajemnych żalów i zazdrości. Maggie jednak nie tylko rozprawiczyła Jeffa Byrne'a, lecz po raz pierwszy w życiu dała mu odrobinę pewności siebie i w ten sposób zasiała nasiona buntu. Gdy metamorfoza już się zaczęła, postępowała naprzód z prędkością lawiny. Wydawało się, że Jeff zmienił się w Łajzę równie szybko, jak Lon Chaney Jr. zmieniał się w wilkołaka.

W październiku Maggie zabrała go do kina i po raz pierwszy w życiu zobaczył zagraniczny film. Potem zjedli kolację w chińskiej restauracji („żółtkowe żarcie”, jak z właściwym sobie urokiem nazywał to Rzeźnik). W listopadzie poszedł wysłuchać radykalnej prelekcji i po raz pierwszy zapalił marihuanę. W grudniu podpisał petycję przeciwko wojnie i wziął udział w studenckim wiecu.

W lutym wystąpił z korporacji. W marcu zapuścił brodę, a jego włosy zaczęły się robić coraz dziksze. Aż do chwili, gdy Sandy widział go po raz ostatni, Łajza nie ostrzygł już włosów ani nie przyciął brody. W końcu przerodziła się ona w rudobrązowy gąszcz opadający do połowy piersi, a czupryna sięgała na stopę od głowy we wszystkich kierunkach. Loki opadały na czoło, a bokobrody włożyły na policzki, więc prawie w ogóle nie było widać twarzy, pomijając drobne, dobrodusznie uśmiechnięte usta oraz dwoje jaskrawoniebieskich oczu spoglądających zza kosmatej zasłony.

W kwietniu Maggie nauczyła go szyć i uszył sobie Kostium Łajzy, łącząc wszystkie krawaty - poza jednym - w szalone, sięgające kolan poncho w stu różnych, pomieszanych ze sobą kolorach. Był bardzo dumny z tego stroju. Utrzymywał, że zrobił ze swych krawatów - symbolu ucisku - barwną, dumną flagę wolności. Mniej więcej o tej samej porze, gdy Rzeźnik Byrne płacił coroczny, zadziwiająco wysoki podatek dochodowy, jego syn przywdział swe zdumiewające poncho. Nosił je codziennie

przez całą swą karierę w college'u. Zachował sobie jeden krawat - wąski pasek jaskrawoniebieskiego materiału, na którym wypisał słowa: „Pamiętka z Guam” - i zawiązywał

go sobie luźno wokół szyi, tak by jeden koniec był znacznie dłuższy od drugiego.

W maju kupił blok haszyszu wielki jak kamień narożny i podarował po kawałku każdemu chłopakowi w akademiku. To przysporzyło mu wiele popularności. W czerwcu zawiadomił Rzeźnika, że nie wróci na lato do domu, pomalował swoją corvette na zielono i fioletowo, wypisał na masce słowa: „PIERDOŁĘ LBJ” i pojechał z Maggie spędzić lato na wędrownie.

Wrócił jesienią na czerwono-biało-niebieskim trike’u, wioząc za sobą Maggie. Wplótł kwiaty w brodę, a na głowie miał wyblakły kapelusz z szerokim rondem. Od tej pory na zawsze został Łajzą. Nadal był cichy i łagodny, lubił siedzieć w swoim pokoju, pochłaniając niezliczone tace ciasteczek z haszyszem, które sam wypiekał. Kupił sobie trzy kotki (Rzeźnik mówił, że koty to „pedalskie pieszczoszki”) i nadał im imiona Gównno, Szczyny oraz Zepsucie. Płacił paru chłopakom za to, żeby chodzili za niego na zajęcia i pisali testy. Spalił wszystkie swoje buty, a stopy z czasem stwardniały mu i zrobiły się czarne od brudu. Często się uśmiechał i rechotał głośno, oglądając sitcomy. Utuczył się na tych ciasteczkach i Kostium Łajzy zrobił się przyciasny na brzuchu. Tak właśnie wyglądał, gdy w grudniu zabrał ze sobą Sandy’ego na święta do domu. Mina, jaką zrobił Rzeźnik na widok wjeżdżającego na podjazd motoru Łajzy, była niemal warta całego przesyconego gniewem tygodnia.

- Słucham? - odezwał się stojący w drzwiach chłopak. W czym mogę panu pomóc?

Sandy uświadomił sobie, że stoi bez słowa, gapiąc się na niego jak głupi. Chłopak mógł mieć siedemnaście, osiemnaście lat. Miał na sobie koszulkę z aligatorem oraz szyte na zamówienie dzinsy. Tak bardzo przypominał młodego Jeffersona Byrne’a, że jego widok sprawiał Sandy’emu ból.

Ale to oczywiście nie był Łajza, lecz jego brat, najmłodszy brat.

- Jestem Sandy Blair. Byłem bliskim przyjacielem twojego brata Jeffa, w college’u. A ty jesteś... Dave, tak?

- Doug - poprawił go chłopak. - Nie pamiętam pana.

- Kiedy się ostatnio widzieliśmy, byłeś jeszcze mały wyjaśnił Sandy. - Cztery, pięć lat. - Przypominał sobie pełnego energii, głośnego chłopca, który bawił się mnóstwem pistoletów. Doug, tak, oczywiście, nazywał się Doug. Douglas MacArthur Byrne. Miał wielki pistolet maszynowy na wodę i polewał Sandy’ego oraz Łajzę w okolicy krocza, żeby wyglądali tak, jakby się zlali.

- Czy twój brat jest w domu? Chciałbym się z nim zobaczyć.

- Z Jeffem? - zapytał niepewnie chłopak.

- Aha. To jedyny z braci Byrne’ów, którego znam. Doug zrobił niepewną minę.

- No, nie wiem. - Zmarszczył brwi. - Hmm, lepiej niech pan wejdzie. - Wprowadził Sandy'ego do środka i powiódł go przez hol do wielkiego, urządzonego w sztywny, formalny sposób pokoju pełnego półek na broń oraz gablot. - Proszę tu poczekać - rzucił. - Pójdę po Jane.

Sandy nie miał pojęcia, kim jest Jane. Może to matka Łajzy - pomyślał. Poznał ją, rzecz jasna. Była niską pulchną, myszowatą kobieciną o wyblakłych blond włosach i wystraszonego spojrzeniu. O ile jednak sobie przypominał, nazywała się „pani Josephowa Williamowa Byrne” albo czasami po prostu „matka”.

Czekając, Sandy obszedł wokoło pokój, który przypominał mu muzeum lub pomnik poległych. Nad kominkiem umieszczono największą atrakcję: długą szeroką półkę dokładnie zapchaną trofeami Rzeźnika, zgromadzonymi w ciągu czterdziestu albo pięćdziesięciu lat. Trofea z zawodów strzeleckich, wojskowe medale ułożone na czarnym filcu, plakietki rozmaitych łóż masońskich, nagrody z wystaw psów oraz aż trzy wyróżnienia dla „ojca roku”, przyznane przez jakąś organizację zwaną Ligą Patriotyczną w latach 1954, 1957 i 1962. Na ścianie powyżej wisiały dyplomy Rzeźnika i olejny portret, na którym wyglądał on tak jak w czasach drugiej wojny światowej. Miał kapitańskie naszywki, za

jego plecami eksplodowały bomby, a w górze przelatywały messerschmitty. Sandy zastanawiał się, ile messerschmittów mieli w bazie wojskowej w Georgii, gdzie - według Łajzy - kapitan Joseph William Byrne spędził całą wojnę.

Wśród trofeów Rzeźnika nie było nagród literackich, ale regały wbudowane w ścianę po obu stronach kominka były zastawione jego powieściami, ręcznie oprawionymi w czarną skórę.

Każdy z synów Byrne'a również miał swój portret i gablotę. Najstarszy, Joseph William Byrne Jr. zdobył prawie tyle samo trofeów, co ojciec. Jego portret przedstawiał czterdziestoparoletniego mężczyznę o twardej, zrytej bruzdami twarzy. Odziany był w mundur ozdobiony dębowymi liśćmi. Sandy przypomniał sobie, że to zawodowy wojskowy. Po drugiej stronie wisiała spowita w czerń gablota, w której poza trofeami były również rzeczy osobiste, wliczając w to parę skrawków munduru. Portret miał czarne obramowanie i przedstawiał młodego mężczyznę w zielonym berecie, patrzącego w słońce. Robert Lee Byrne był jednym z pierwszych Amerykanów w Wietnamie i jedną z pierwszych ofiar wojny.

Gablota Douga pełna była nagród zdobytych w rozgrywkach bejsbolowych i koszykarskich. Czwarty brat, George Patton Byrne, wolał futbol. Na portrecie przedstawiono go w szarym mundurze kadeta West Point.

Gablota Łajzy była prawie zupełnie pusta. Szereg odznak wzorowego ucznia, dwa małe trofea szachowe i nawet żalozny, plastikowy puchar za zwycięstwo w wyścigu parami podczas

pikniku organizacji weteranów w roku 1957. Portret z pewnością namalowano na podstawie zdjęcia z dyplomu ukończenia liceum.

Gdy przyglądał się tej gablocie, usłyszał kroki.

- Cześć - odezwał się kobiecy głos. - Z pewnością pan Blair? Jestem Jane Dennison. - Z pewnością nie była matką Łajzy. Była szczupłą, dziarską, przystojną kobietą w wieku około trzydziestu pięciu lat. Miała krótko obcięte, brązowe włosy i paznokcie spiłowane do żywego. Ucisnęła od niechcienia dłoń Sandy'ego i zaprowadziła go do krzesła. Potem usiadła naprzeciwko niego ze skrzyżowanymi w kostkach nogami i zapytała: - W czym mogę panu pomóc?

- Niech mnie szlag, jeśli to wiem - odparł Sandy. - Chcę się zobaczyć z Łajzą. Z Jeffem. Powiedziałem o tym Dougowi, a on poszedł po panią.

- Rozumiem - odparła. - A dlaczego chce się pan widzieć z Jeffem?

- Nie mam szczególnego powodu. Jesteśmy przyjaciółmi. Znamy się jeszcze z college'u. Od pewnego czasu jeżdżę po kraju i pomyślałem sobie, że sprawdzę, co u niego słychać. W czym problem? I kim pani właściwie jest? Gosposią dziewczyną Łajzy czy kim?

Zacisnęła mocno wargi.

- Jestem pielęgniarką Jeffa - odparła. - Panie Blair, twierdzi pan, że jest jego przyjacielem, ale bez wątplenia nie kontaktował się pan z nim już od dawna. Czy mogę zapytać, kiedy ostatnio go pan widział?

- Dawno temu - przyznał Sandy. - To było w siedemdziesiątym drugim albo trzecim. W Kanadzie.

Dobrze pamiętał tę wizytę. Łajza spędził na wygnaniu już prawie dwa lata. Rzucił college na początku przedostatniego roku i stracił zwolnienie od poboru, a próby uzyskania statusu obdzektora nie powiodły się, choć z ich powodu Rzeźnik się go wyrzekł.

- Nie będę do nikogo strzelał - upierał się Łajza. - Chciało mi się rzygać, kiedy w dzieciństwie Rzeźnik kazał mi strzelać do jeleni. Musiałem nawet zastrzelić tego kota, którego przyniosłem kiedyś do domu. Zlałem się wtedy w portki. Na pewno nie będę strzelał do ludzi.

Dlatego zwiął do Kanady. Maggie urządziła na pożegnanie wielkie przyjęcie. Zjawiły się setki przyjaciół. Łajza siedział na podium pod transparentem z napisem: „CHOLERA, ŁAJZA NIE PÓJDZIE NA WOJNĘ!”. Uśmiechał się promiennie i nagrodzili go owacją na stojąco. Żabcio wskoczył na stół i nazwał go Jednym z prawdziwych bohaterów tej wojny” oraz „najodważniejszym członkiem klanu Byrne'ów”.

Łajza wylądował na farmie w Nowej Szkocji wraz z trzema innymi uchylającymi się przed poborem Amerykanami, a gdy „Hog” wysłał Sandy'ego w tamte strony, by napisał

reportaż o rzezi młodych foczek, ten wziął sobie urlop, by złożyć wizytę staremu przyjacielowi. Spodobało mu się to, jak wpłynęła na niego północ. Nadal miał brodę i dziką czuprynę, ale zamienił Kostium Łajzy na prosty, dżinsowy ubiór roboczy, a jego tłuszcz obrócił się w mięśnie. Nie ulegało też wątpliwości, że zostawił za sobą ćpanie. Pewnego dnia Sandy pomagał mu kryć dach dachówką. Pamiętał zręczne ruchy Łajzy, który wbijał gwóźdź trzema szybkimi uderzeniami młotka, podczas gdy Sandy potrzebował kilkunastu i z reguły wyginał przy tym skubany gwóźdź. Zapamiętał też prostą dumę, jaką czuł Łajza z dobrze wykonanej roboty. Sprawiał wrażenie zdrowego, bardzo pewnego siebie, dojrzewającego i szczęśliwego. Sandy odjechał, obiecując, że wkrótce odwiedzi go znowu, ale oczywiście tego nie zrobił.

- W Kanadzie - mówiła Jane Dennison. - No cóż, to faktycznie było dawno, panie Blair. Jeff wrócił z Kanady w marcu 1974 roku, kiedy umarła jego matka. Chciał być na jej pogrzebie. Oczywiście, policja już na niego czekała. Aresztowano go i skazano za uchylanie się od poboru. Spędził w federalnym więzieniu z górą dwa lata. Obawiam się, że to doświadczenie okazało się dla niego druzgocącym wstrząsem. Od tego czasu ma poważne problemy psychologicznej natury.

- Jakie problemy? - zapytał Sandy. Nagle ogarnął go gniew. Gniew na pielęgniarkę, która przekazała mu złe wieści. Na Łajzę, który nie pisał do niego, nie próbował się z nim kontaktować. Mógłby mu pomóc, do cholery. Mógłby zacząć w „Hogu” kampanię w jego obronie, mógłby coś zrobić. A przede wszystkim gniewał się na siebie, za to, że nie utrzymywał kontaktu z przyjacielem i pozwolił, by to wszystko wydarzyło się za jego plecami.

- Chroniczna depresja - wyjaśniła pielęgniarka. - I epizody psychotycznej agresji.

- Agresji? - zdumiał się Sandy. - To niemożliwe. Łajza był najłagodniejszym człowiekiem, jakiego w życiu znałem.

- Zapewniam pana, że Jeff jest tak samo zdolny do gwałtownego zachowania jak każdy człowiek. Dwukrotnie przebywał w zakładzie, panie Blair, i odbył pełną terapię elektrowstrząsami, ale mimo to jego problemy nie znikają. Widzi pan więc, że w tej sytuacji rozmowa z panem nie leżałaby w interesie Jeffa. Choć przez większość czasu czuje się szczęśliwy, łatwo wytrącić go z równowagi i obawiam się, że spotkanie z panem mogłoby doprowadzić do ataku. Z pewnością by pan tego nie chciał.

Sandy wbił w nią wzrok.

- Co pani wygaduje, do licha? Jestem jego przyjacielem. Ucieszy się na mój widok.

- Być może część jego jaźni się ucieszy, ale inna część będzie poważnie wytrącona z równowagi. Reprezentuje pan dokładnie ten okres jego życia, o którym musi zapomnieć, okres, w którym zaczął się zachowywać irracjonalnie i przybrał tożsamość „Łajzy”, jak go pan

nazywa. Byłoby dla niego znacznie lepiej, gdyby nie przypomiano mu o tych czasach.

- To były najszcześniejsze lata w jego życiu - sprzeciwił się Sandy. - Nie widzę w tym żadnego sensu. Chcę się widzieć z Łajzą.

- Fakt, że nadal używa pan tego przydomku, przekonuje mnie, że nie można panu pozwolić na rozmowę z nim - odparła sztywno. - Gdyby naprawdę był pan jego przyjacielem, zrozumiałby pan to.

- Chyba nie wie pani, o czym mówi.

Jane Dennison rozprostowała nogi i wstała z krzesła.

- Nie zamierzam siedzieć tutaj i słuchać, jak laik kwestionuje moje zawodowe kompetencje. Obawiam się, że nie mogę panu pozwolić na spotkanie z Jeffem. Doug ma pana odprowadzić czy sam potrafi pan znaleźć drogę?

Sandy również się podniósł i spiorunował pielęgniarzkę wściekłym spojrzeniem.

- Aha - potwierdził. - Potrafię znaleźć drogę. Ale za cholerę nie mam na to ochoty. Najpierw muszę się zobaczyć z Łajzą czy Jeffem, czy jak tam, kurwa, go pani nazywa.

- Ta decyzja nie należy do pana, panie Blair. Należy do mnie i zapewniam pana, że wulgarny język nie zmieni mojej opinii. Czy muszę kazać wyprowadzić pana siłą?

- Aha, chyba pani musi - potwierdził ostrym tonem Sandy. Ominął szybko kobietę, wpadł do holu i rozejrzał się wokół, słysząc za sobą jej kroki. Na górę - pomyślał. Sypialnie były na piętrze i tam właśnie znajdzie Łajzę. Wbiegł na szerokie, biegnące po łuku schody, pokonując po dwa stopnie przy każdym kroku. Z dołu dobiegł go głos Jane Dennison, która głośno wzywała Douga.

- Łajza! - wrzasnął, biegnąc korytarzem i otwierając po kolei wszystkie drzwi. - Gruby dywan pochłaniał jego głos i musiał krzyczeć jeszcze głośniejsze. - Łajza! Gdzie, kurwa, jesteś? Łajza!

Nagle otworzyły się drzwi na samym końcu korytarza i stanął w nich wysoki, boleśnie chudy mężczyzna w stroju do tenisa, który popatrzył na Sandy'ego, mrugając powiekami. Nie nosił brody, włosy miał krótko ostrzyżone i wyglądał staro jak na swoje lata.

- Sandy? - zapytał zdumiony. - To naprawdę ty, Sandy? - Na jego pociągłej twarzy o zapadniętych policzkach pojawił się drżący uśmiech. - Sandy! - zawołał radośnie.

Sandy postąpił dwa szybkie kroki i nagle się zatrzymał, omal się nie przewracając. Wygląd Łajzy był dla niego jak fizyczny cios. Jego posępna twarz. Wyblakłe, zażawione oczy. Straszliwa chudość. I jego ubranie. Strój do tenisa. Biały strój. Tak bardzo biały. Sen, przypomniał sobie Sandy z drżeniem nagłego, irracjonalnego strachu. Ale potem Łajza podszedł do niego i uściskał go serdecznie. Chwila minęła i Sandy z całej siły odwzajemnił

uścisk.

- Wyglądasz... - zaczął. Chciał powiedzieć „świetnie”, ale nie był w stanie przełknąć tego kłamstwa. - ...hmm...inaczej - dokończył.

Łajza uśmiechnął się nieufnie.

- Wiem o tym, Sandy - przyznał. - Chodź. - Zaprowadził go do wielkiej, pełnej światła sypialni i usiadł w pozycji lo-

tosu na podłodze. Sandy spoczął w fotelu. - Jak ci się udało ominąć Rzeźnika? - zapytał Łajza.

- Nie widziałem go. Tylko twojego brata Douga i jakiegoś okropnego babsztyla, który przedstawił się jako Jane Dennison. To babsko nie chciało mnie wpuścić, więc odepchnąłem je na bok i przybiegłem na górę.

- W takim razie lepiej rozmawiajmy szybko. Dennison zapewne już dzwoni po Rzeźnika. Na pewno jest w klubie albo pojechał na obiad. W przeciwnym razie poszczułyby cię psami. Znowu ten pośpieszny, drżący uśmieszek, uśmieszek pełen strachu, jakby Łajza wiedział, że uśmiecha się z niewłaściwych powodów i wkrótce spotka go za to kara. - Kiedy Dennison go zawiadomi, wróci w te pędy i wykopie cię stąd na zbity pysk.

- O co tu chodzi? Dlaczego nie wolno ci przyjmować gości? Czy nie masz nic do powiedzenia na ten temat?

- Nie mam - potwierdził Łajza. Sandy skrzywił się wściekle.

- Ona mówi, że jesteś wariatem. Chroniczna depresja. Epizody psychotycznej agresji. Czy to prawda? Czy naprawdę ci odbiło, Łajza?

Zapytany spojrzał na swe chude, kościste dłonie i zachichotał.

- Wariat - mruknął. - Chyba rzeczywiście nim jestem. - Znowu zachichotał. Jego chichot w najmniejszym stopniu nie spodobał się Sandy'emu. - Jestem ubezwłasnowolniony. Rzeźnik prawnie mnie ubezwłasnowolnił. To pewnie znaczy, że faktycznie jestem wariatem. - Spojrzał na Sandy'ego i uśmieszek zniknął z jego twarzy. Usta mu zadrżały i przez chwilę wydawało się, że się rozplacze. - Sandy, jestem... niezrównoważony. Po wyjściu z więzienia byłem okropnie przygnębiony. Nazwali to chroniczną depresją. Zamknęli mnie w wariatkowie i robili mi elektrowstrząsy. To była terapia, tak to nazywali. I od tego czasu... no cóż, może już nie jestem taki przygnębiony, ale za to się boję, boję się, że znowu mi to zrobią. I nie pamiętam wielu rzeczy. Chociaż powinienem je pamiętać. To tak, jakby część mojego umysłu zniknęła. Pewnie mają rację. Rzeczywiś-

cie jestem wariatem. Ale to ich wina, Sandy. To wszystko wina Rzeźnika.

Oplótl się ramionami i zaczął gwałtownie dygotać.

Sandy czuł, że ogarnia go coraz większy gniew, ale próbował nad sobą zapanować.

- A co z tymi psychotycznymi epizodami? - zapytał. Czy naprawdę jesteś agresywny?

- Kiedy po raz pierwszy wypisali mnie ze szpitala i wróciłem do domu, próbowałem stąd wyjechać. Chciałem wracać do Kanady, ale Rzeźnik mi nie pozwalał, więc złapałem za nóż. Kuchenny. A on po prostu wyrwał mi go z ręki i zdzielił mnie w twarz. Oświadczył, że jestem za wielkim cykorem, aby go użyć. Miał rację. To był jeden z tych epizodów. Czasami się wściekam i rzucam przedmiotami. W zeszłym tygodniu rozwaliłem puchar ojca roku, który Rzeźnik dostał w 1964. Oddał go do naprawy. Jestem niebezpiecznym szaleńcem, Sandy. Niebezpiecznym, agresywnym, ubezwłasnowolnionym szaleńcem. Wolno mi się golić tylko maszynką elektryczną. - Rozciągnął usta w wymuszonym uśmiechu. - Naprawdę się cieszę, że cię widzę, Sandy. Co słychać u starej bandy? Czy nadal się z nimi spotykasz?

- Nie widziałem ich przez długi czas - przyznał Sandy. - Ale ostatnio postanowiłem objechać cały kraj i odwiedzić wszystkich po kolei. Dlatego właśnie tu jestem.

- Co u Maggie? - zapytał Łajza. - Jeśli będziesz się z nią widział, powiedz jej, że często o niej myślę, dobra? - Znowu popatrzył na swe dłonie. - Nie byłem z kobietą, odkąd wyszedłem z kicia. Stałem się impotentem. Nie wiem, czy to przez elektrowstrząsy, czy przez to, co przeżyłem w więzieniu. Tam było paskudnie. Zgwałcili mnie wiele razy. To chyba coś we mnie zламаło, coś ważnego, coś, co czyniło mnie tym, kim byłem. Gwałty tak działają na człowieka.

- Nie wierzę w to! - zawołał przerażony Sandy. - Gdzie cię zamknęli? Myślałem, że uchylających się od poboru trzymali w więzieniach o najłżejszych rygorach, gdzie takie rzeczy się nie zdarzają.

- Nie, takie więzienia są dla tych facetów od Watergate odparł z uśmiechem Łajza. - Och, może niektórzy uchylający się od poboru też do nich trafili, ale oni nie mieli Rzeźnika za ojca. Nie potrafię tego udowodnić, ale sądzę, że to on mi to zrobił. Sędzia był jego starym kolegą z korporacji. Rzeźnik nie chciał, żeby mnie rozpieszczano. Uważał, że surowa kara dobrze na mnie wpłynie. Siedziałem w więzieniu o najcięższym rygorze, dopóki mi nie odbiło. - Zmarszczył brwi. - Kiedy mówię ludziom, że on mnie tam zamknął, odpowiadają, że to dowód na moją niepoczytalność i paranoję. O wszystko oskarżam ojca. To również on wydał mnie policji, kiedy przyjechałem na pogrzeb matki.

- Jesteś pewien? Nawet Rzeźnik...

- Och, sam to przyznał. Byłem przestępcą i musiałem ponieść odpowiedzialność za swoją zbrodnię, jak mężczyzna, zaakceptować jej konsekwencje. Te konsekwencje to było ze sto milionów chujów w mojej dupie. Pod koniec nawet się już nie opierałem. - Tym razem w jego oczach pojawiły się łzy. - Sandy, dlaczego mnie nie odwiedziłeś? Albo przynajmniej nie

napisałeś? Było mi naprawdę ciężko, Sandy. Przydałoby mi się paru przyjaciół. Miałem nadzieję, że się zjawisz, ty albo może Żabcio czy Maggie. Ucieszyłbym się nawet na widok Larka, chociaż nazwałby mnie przyglupem. Dlaczego nikt z was nie przyjechał?

Pod koniec jego głos nabrał przenikliwego tonu.

- O niczym nie wiedzieliśmy - wyjaśnił Sandy. - Mielśmy to wyczytać w twoich myślach, czy jak? Jeszcze kilka tygodni temu byłem przekonany, że nadal mieszkasz w Kanadzie. Dlaczego do nas nie napisałeś, że masz kłopoty?

Sandy wytrzeszczył oczy. Jego usta otworzyły się i zamknęły bezgłośnie. Potem odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem.

- Och, och, och, och - powtarzał wysokim, histerycznym głosem. - Och, och, to takie śmieszne, och, takie śmieszne, och, och. - Otarł grzbietem dłoni łzy z policzka. - Sandy - zaczął - pisałem do ciebie, och, trzy, może cztery razy. Pisałem też do Bambi, Żabcia i nawet do Larka. Do Teda, Melody, Annę i do

wszystkich, którzy przyszedli mi do głowy. Do Maggie przez pół roku pisałem co tydzień, zanim w końcu dałem za wygraną.

- Nic nie rozumiem - odparł Sandy. - Nie dostałem żadnego listu i jestem pewien, że pozostali też nie. Odpowiedzieliby ci. Nawet Lark.

Łajza ponownie wybuchnął śmiechem.

- Świetny żart! - zawołał. - Pewnie, że nie dostaliście żadnych listów. Rzeźnik na pewno je przechwytywał. Przekupił kogoś. Mojego opiekuna, paru strażników albo nawet kogoś na poczcie, cholera wie. Może nawet wszystkich. Stać go na to. Nie chce, żebym się z wami zadawał. Z żadnym z was. Wszyscy wywieraliście na mnie zły wpływ. Zrobiliście z jego syna zaćpanego, komunistycznego pedała. Powie ci to, gdy tylko wróci do domu. Wie, że już przedtem byłem tchórzem, ale nie byłem zaćpanym, komunistycznym pedałem, dopóki nie wpadłem w złe towarzystwo. Och, byłem taki głupi. Zaslługuję na ubezwłasnowolnienie. Powinienem był się domyślić. Jestem jeszcze za małym paranoikiem. Kiedy ma się do czynienia z Rzeźnikiem, paranoi nigdy za dużo. Pewnie chciał, żebym doszedł do wniosku, iż wam na mnie nie zależy, że nigdy nie byliście prawdziwymi przyjaciółmi. - Zacisnął pięści. - Sandy, chcę go zabić. Mój psychiatra powtarza, że to nienormalne, ale chcę to zrobić. Gdybym tylko miał odwagę. Mamy tu pod dostatkiem broni. Strzelby, karabiny, pistolety. Ma nawet uzi i starą bazookę w piwnicy. - Łajza złapał w ręce wymaglinowany karabin maszynowy i zasypał pokój gradem niewidzialnych kul. - Bum, bum, bum, bum - oznajmił głośno. - Odstrzelę mu ten pierdolony łeb, tak jak w jego książkach. Naszczam na jego trumnę. A potem zgwałcę pannę Dennison. Jeśli tylko mi stanie. Wsadzę go jej w dupę, bo na to właśnie zasługuje. -

Zachichotał. - Mówiłem ci, że mają rację, Sandy.

Sandy przypomniał sobie wysokiego, patykowatego młodzieńca, który ciągle wszystko przewracał i potem za to przepraszał. Przypomniał sobie grubego, zarośniętego studenta drugiego roku ubranego w stubarwny kostium, który z uśmiechem słuchał raz po raz piosenki Donovana *Atlantis*, siedząc zupełnie nieruchomo

w obawie, że przeszkodzi śpiącemu na jego kolanach kotkowi. Przypomniał sobie wygnańca, brodatego, muskularnego mężczyznę, który wbijał gwoździe z doskonałą precyzją. Chciało mu się rzygać.

Usłyszał trzaśnięcie drzwi na dole.

- Gdzie on jest? - zagrzmiął znajomy, donośny głos. Odpowiedział mu drugi głos, kobiecy. Brzmiał przenikliwie, ale był zbyt cichy, żeby Sandy mógł rozróżnić słowa. Potem usłyszał kroki dwóch osób zmierzających na górę.

- Masz kłopoty - poinformował go Łajza. - Najpierw powie, że poszczuje cię psem, a potem zagrozi, że cię zastrzeli. Sam się przekonasz. Rzeźnik jest przewidywalny jak fabuły jego książek.

Po chwili Rzeźnik Byrne pojawił się w drzwiach pokoju swego syna. Sandy zdążył jednak wstać, skrzyżować ramiona i podsycić swą furię. Joseph William Byrne wyraźnie się postarzał. Jego ogorzałą twarz o twardych rysach pokrywały głębokie zmarszczki i bruzdy, a szpakowate włosy zrobiły się prawie zupełnie białe. Zamienił rogową oprawkę na srebrne lustrzanki, a polową kurtkę miał skórzaną, nie khaki. Nadal jednak nosił pagony.

- Panie Blair - oznajmił głośno - wtargnął pan do mojego domu. Proszę go natychmiast opuścić.

- Przyszedłem odwiedzić przyjaciela - odparł Sandy. Łajza, czy chcesz, żebym wyszedł?

Łajza uśmiechnął się szeroko.

- Pewnie, że nie chcę.

- Mój syn Jefferson wymaga psychiatrycznej opieki dzięki takim przyjaciołom jak pan. Nie wie, co jest dla niego dobre. Niewykluczone, że pańska wizyta już w tej chwili spowodowała, że całe miesiące albo nawet lata terapii poszły na marne. Pan mu to zrobił, Blair. Pan, ten pański żydowski koleżka i ta wsiowa, irlandzka zdzira, z którą się zadawał. Ale teraz Jefferson z wami skończył. Dopilnowałem tego.

- Aha, wiem o tym - przyznał Sandy. - Przejmowanie cudzych listów to przestępstwo federalne, Rzeźnik.

- Wyjdzie pan dobrowolnie czy nie?

- Nie - oznajmił Sandy.

Rzeźnik naprawdę się uśmiechnął, słysząc tę odpowiedź.

- Mam na terenie kilka psów. Wystarczy, żebym zagwizdał, a one już się panem zajmą. Albo mogę po prostu pana zastrzelić.

Łajza parsknął śmiechem.

- Nie mówiłem?

- A mam wybór? - zapytał Sandy. - Wiesz co, Rzeźnik? Jesteś kupą śmierdzącego gówna.

Byrne zrobił się fioletowy na twarzy. Wielka żyła na jego czole zaczęła pulsować niczym gruby, zgłodniały, niebieski robak.

- Jeśli chce mnie pan zaszokować, proszę sobie oszczędzić trudu. No wie pan, służyłem w wojsku...

- Nigdy bym się tego nie domyślił - wtrącił Sandy.

- ...iw koszarach słyszałem wszystkie wulgarne słowa, które pan zna, i jeszcze kilka na dodatek. Może mi pan darować swoje ordynarne słownictwo.

- Chce pan usłyszeć słownictwo? Mam jeszcze kilka słów dla pana. Sadysta. To jest trafne. Analno-retentywny kutas. Skurwysyn. Psychol. Grafoman. Faszysta. Jeśli połączyć je wszystkie razem, otrzymamy słowo: „Rzeźnik”.

Żyła Byrne'a była o włos od pęknięcia.

- Nie pozwolę, żeby mały, tani, pacyfistyczny śmieć nazywał mnie faszystą - ryknął. - Niech pan nie zapomina, że broniłem tego kraju przed nazistami!

- No jasne. Słyszałem, że w pojedynkę uratował pan fistaszkowe pola Georgii przed Blitzkriegiem. Ale jaja.

- Zdaje pan sobie sprawę, że mamy tego samego wydawcę, Blair? Wystarczy jeden telefon, żebym zakończył pańską karierę.

- Niech pan się nie trudzi, sam ją zakończyłem. Rzeźnik Byrne odwrócił się. Jane Dennison i jego syn Doug stali w drzwiach za jego plecami, przyglądając się temu przedstawieniu.

- Douglas, przynieś mi strzelbę - rozkazał Rzeźnik.

- Tak jest - odparł chłopak i zniknął.

- Lepiej już idź - ostrzegł go Łajza. - On cię zastrzeli, Sandy. Zrobi to. I powie, że bronił domu przed intruzem.

Sandy odwrócił się.

- Odejdę stąd tylko z tobą. Łajza potrząsnął głową.

- Nie mogę tego zrobić - wymamrotał, odwracając spojrzenie. - To nic by nie dało. Rzeźnik zadzwoniłby po gliny i przywlekleliby mnie tu z powrotem albo nawet znowu zamknęli w wariatkowie. Jestem ubezwłasnowolniony i nie odpowiadam za siebie.

- Gówno prawda - mruknął Sandy. - No dobra, zostań. Ale znajdę adwokata, Łajza. Uwolnimy cię stąd, obiecuję.

- Niech pan wynajmuje tylu adwokatów, ilu pan tylko zechce, panie Blair - warknął Rzeźnik Byrne. - Zapewniam pana, że stać mnie na lepszych. Nie odbierze mi pan syna po raz drugi. - Douglas wrócił do pokoju, niosąc dwururkę. Rzeźnik wziął ją od niego bez słowa, złamał, by się upewnić, czy jest naładowana, a potem zamknął ją i wymierzył w Sandy'ego. Wybór należy do pana, Blair. Albo zaraz pan stąd wyjdzie, albo naciśnie spust.

Wylot lufy, odległy tylko o kilka stóp, wydawał się straszliwie wielki. Sandy zadrżał. Rzeźnik sprawiał wrażenie, że mówi śmiertelnie poważnie. Nagle jednak w Sandym coś się obudziło, jakiś gniew, upór czy szalona odwaga, która nie pozwoliła mu ustąpić. Odwołał się do jedyne go środka obrony, jaki udało mu się opanować: słów.

- Przemoc jest ostatnią deską ratunku dla niekompetentnych - wycedził z zuchwałością, której tak naprawdę nie czuł. - Jeśli mnie zastrzelisz, będziesz miał przesrane, dupku.

Rzeźnik przyłożył broń do policzka, mrużąc oczy. Przez chwilę Sandy myślał, że już po nim. Nagle jednak Łajza za jego plecami zawołał:

- Nie! - I coś przeleciało tuż nad barkiem Sandy'ego. To była książka, rzucona z całej siły. Rzeźnik uchylił się, ale zbyt wolno. Ciężki tom trafił go w skroń, tak mocno, że mężczyzna zachwiał się na nogach. Opuścił strzelbę i uniósł dłoń do czoła, mrugając powiekami.

- Nieźle, Jefferson - stwierdził. - Może jeszcze zrobię z ciebie mężczyznę.

Łajza zerwał się na równe nogi. Wyszczrzył zęby, a jego oczy nabrały szalonego wyrazu.

- Zabiję cię, ty chuju, ty chuju! - wrzasnął i rzucił się na ojca.

Ale Sandy zagroził mu drogę i złapał go mocno.

- Nie, nie rób tego.

- Puść mnie - zażądał Łajza, próbując się uwolnić. - On by cię zastrzelił. Naprawdę.

- Być może - przyznał Sandy. Odciągnął przyjaciela do tyłu i stanowczo zagroził mu drogę. - Ale jeśli go zabijesz, staniesz się taki sam jak on. On tego właśnie chce. Tego chciał od samego początku. Ukształtować cię na swoje podobieństwo. Nie pozwól mu na to. Jesteś lepszym człowiekiem niż on. To ty miałeś odwagę potrzebną, żeby powiedzieć „nie”, więcej odwagi niż wszyscy twoi bracia. Nie wyrzekaj się tego. Jeśli go uderzysz, on wygra.

Łajza osunął się pod ścianę. Gniew go opuścił i po chwili wyglądał tylko na zbitego z

tropu.

- No, nie wiem - mruknął, dotykając dłonią twarzy. - Po prostu nie wiem.

Jane Dennison podeszła do niego energicznym krokiem, trzymając w rękach torbę lekarską.

- Widzi pan, co pan narobił - oznajmiła zimno Sandy'emu. - Mówiłam panu, że to spowoduje atak. - Ujęła delikatnie Łajzę za rękę. - Pora na twoje lekarstwo, Jeff.

Łajza wyszarpnął dłoń i odsunął się od niej.

- Nie potrzebuję lekarstwa.- Uniósł ręce, jakby chciał się przed nią zasłonić. - Nie zbliżaj się. - Pielęgniarka zignorowała go jednak. Wyjęła strzykawkę z torby i napełniła ją metodycznie.

- Nie! - sprzeciwił się Łajza, tym razem głośniej. Denni-

son ujęła go za ramię i potarła je alkoholem. Skulił się, ale nie próbował się bronić.

- To tylko środek na uspokojenie, Jeff - powiedziała pielęgniarka, ale gdy igła zbliżyła się do jego żyły, Łajza wrzasnął na cały głos. Sandy'ego dopadły mdłości z przerażenia. Ruszył w jego stronę, ale nim zdążył przeszkodzić pielęgniarce, Rzeźnik złapał go od tyłu. Łajza krzyczał i płakał. Nie uspokoił się jeszcze, gdy Rzeźnik i Doug wspólnymi siłami wywlekli Sandy'ego z pokoju.

Gdy już drzwi się za nimi zamknęły, Joseph William Byrne uśmiechnął się szyderczo.

- On by mnie nawet nie tknął, Blair - oznajmił. - Nie potrzebowałem pańskiego małego kazania. Jefferson jest tchórzem. Zawsze nim był, nawet jako mały chłopiec. Czasami mam wątpliwości, czy to mój syn. Ale nosi moje nazwisko i nie pozwolę, żeby zhańbił je jeszcze bardziej.

- Zhańbił? - zwołał przenikliwym głosem Sandy. Był tak wściekły, że bał się, iż się zadławi, ale jednocześnie oczy wypełniły mu łzy. Ze wszystkich sił starał się je powstrzymać, nie chcąc sprawiać Rzeźnikowi satysfakcji ich widokiem. - Cóż z pana za nędzna świnią! To pański syn! Powinien pan być z niego dumny!

- Dumny z czego? Z tchórzostwa? Odrzucił wszystkie szanse, jakie mu stworzyłem, a kiedy kraj go potrzebował, uciekł. Jego matka umarła ze wstydu. Nie ma w nim ani krzty odwagi.

- Gówno prawda - warknął Sandy. - Myśli pan, że potrzeba było odwagi, żeby jechać do Wietnamu? Cholera, to było łatwe. Wystarczyło robić to, czego od ciebie oczekiwano, wykonywać rozkazy. Potrzeba znacznie więcej odwagi, żeby zrobić to, co zrobił Łajza. Wybrać samotność, posłuchać własnego sumienia. Więcej odwagi, rozumu i pierdolonych zasad. Dokonał trudnego wyboru, wyrzekł się rodziny, kraju i przyjaciół w imię czegoś większego.

Myśli pan, że to było łatwe? Zwłaszcza dla niego, dla cholernego Byrne'a? Czego pan od niego chciał?

- Chciałem, żeby był mężczyzną, żeby spełnił swój obowiązek.

- Mężczyzną? - wybuchnął Sandy. - On jest mężczyzną ty dupku. Mężczyzną, który potrafił niezależnie myśleć i bronić własnych przekonań. Pan chciał zrobić z niego bezmyślnego żołdaka. Gdyby pojechał do Wietnamu, zrzucił napalm na kilka wiosek i przywiózł na pamiątkę trochę żółtkowych uszu, byłby pan zachwycony, nawet gdyby zrobił to tylko ze strachu przed panem. A może by zginął. Tak by było lepiej, prawda? Wtedy miałby pan dwa portrety z czarnymi obwódkami zamiast jednego?

Żyła na czole Rzeźnika znowu zaczęła pulsować.

- Mój syn Robert oddał życie dla tego kraju i nie pozwolę, by pańska pługawa gęba znieważała jego pamięć, Blair.

- Gównno prawda! - warknął Sandy. Łzy w końcu popłynęły i zaczął krzyczeć. - To Łajza jest bohaterem, a nie ten cały sławetny Robert! Żeby zabijać, nie potrzeba odwagi, ty krwiożerczy skurwysynu. Nawet maszyna potrafi wykonywać rozkazy, a żeby oberwać kulą i zginąć, wystarczy tylko odrobina pecha. Ty głupi, zły człowieku, ty...

Rzeźnik znowu złapał za strzelbę. Jego twarz zrobiła się fioletowa jak chmura burzowa. Uniósł broń tak szybko, że Sandy nawet nie zauważył jego ruchu, i uderzył go z całej siły kolbą w twarz. Głowa Sandy'ego odskoczyła do tyłu. Zatoczył się i padł na podłogę. Potem usiadł, spluwając krwią. Ugryzł się w język, a cała lewa połowa twarzy bolała go od ciosu. Rzeźnik stanął nad nim, celując weń ze strzelby.

- Jeszcze jedno słowo, a będziesz trupem.

- Czy to tekst z jednej z twoich gównianych książek? warknął Sandy.

Wtedy w sprawę wtrącił się Doug. Złapał ojca za bark i odciągnął go delikatnie.

- Nie, tato - powiedział tylko, ale to wystarczyło. Rzeźnik przez długą chwilę wpatrywał się jeszcze w Sandy'ego ze straszliwą nienawiścią, po czym odwrócił się i odszedł.

Doug pomógł Sandy'emu wstać.

- Niech pan już lepiej idzie - powiedział. - Rzeźnik się nie uspokaja, tylko wścieka coraz bardziej. Nie spodobało mu się to, co pan powiedział o Bobbym.

- Zauważyłem - odparł ze smutkiem Sandy, dotykając swej twarzy. Była już obolała. Zrobi mu się okropny siniak. Miał szczęście, że nie stracił ani jednego zęba. - Już idę - oznajmił. Doug odprowadził go do drzwi.

Gdy byli już na ganku, Sandy odwrócił się i po raz ostatni spojrzał na najmłodszego z

Byrne'ów. Chłopak był bardzo podobny do Łajzy.

- Musisz to zrozumieć - powiedział z nagłą pasją. Łajza jest dobrym człowiekiem. Twój ojciec się myli. On miał w sobie mnóstwo miłości. I był odważny. To ważne. Prawda, że brakowało mu pewności siebie i bał się wielu rzeczy. A najbardziej twojego ojca. Ale zawsze potrafił stawić czoło strachowi, a to właśnie stanowi odwagę. Odważny jest ten, kto się boi, a mimo to robi to, co należy. Rozumiesz? Rozumiesz, dlaczego Łajza wyjechał do Kanady?

Douglas MacArthur Byrne oparł się o jedną z kolumn i skierował na Sandy'ego spojrzenie chłodnych, przejrzystych oczu, wypełnionych pewnością wieku młodzieńczego. Był tak boleśnie podobny do Łajzy, lecz zarazem tak boleśnie od niego różny. Po chwili chłopak skrzyżował ręce.

- Wkurzają mnie tacy faceci jak pan - oznajmił bezbarwnym, obcym głosem. - To właśnie przez podobnych panu facetów przegraliśmy w Wietnamie, a teraz mogą nam dokopać nawet popaprani Irańczycy. Wiem, dlaczego Jeffy pojechał do Kanady. Dlatego że jest cykorem.

Po tym ciosie nie popłynęła krew, ale ból był sto razy gorszy niż po uderzeniu strzelbą Rzeźnika.

Piętnaście

Dom, do którego uciekają moje myśli!

Dom, gdzie gra moja muzyka!

Dom, gdzie ukochana czeka na mnie bez słowa!

Gdy Sandy opuścił Denver i pojechał na północny wschód autostradą 1-76, lewa połowa jego twarzy była już spuchnięta i obolała. Jeśli będzie miał szczęście, broda zakryje większą część siniaka, ból jednak będzie musiał jakoś wytrzymać. Nie było to zbyt trudne. Wspomagał go gniew. Był taki wściekły, że ból tylko jeszcze bardziej zaognił jego złość. Rozgorączkowaną głowę wypełniały mu chmury burzowe mrocznych fantazji i nierealnych planów.

Przemknął przez płaskie pustkowia wschodniego Kolorado, niemal nie zauważając krajobrazu. Jego świadomość rejestrowała wyłącznie pokonywane mile, zimny wiatr na zewnątrz, głośny dźwięk radia oraz kipiącą w nim wściekłość. Jechał szybko. Furia gnała go naprzód i karmiła ją prędkością. Mrzonka stała się nisko zawieszonym pociskiem z brązu, który wyprzedzał samochody osobowe i ciężarówki, mijał zakręty, zjeżdżając na prawy pas tylko wtedy, gdy lewy blokował ktoś, komu również się śpieszyło, ale nie tak bardzo. Wskazania szybkościomierza wciąż rosły: siedemdziesiąt pięć mil na godzinę, osiemdziesiąt, osiemdziesiąt pięć. Rozjuszony Sandy naciskał pedał gazu coraz mocniej, myśląc o Rzeźniku

Byrnie. Głowę miał pełną wściekłości i planów. Opłaci adwokatów, uwolni Łajzę. Namówi Jareda, żeby obsmarował Rzeźnika w „Hogu”. Będzie pisał złośliwe recen-

zje z jego książek. Musi coś zrobić, cokolwiek. To skandal, zbrodnia. Łajza mógł być bezradny, ale Sandy - co innego. Wywalczy sprawiedliwość.

Szosa przerodziła się w zamazaną serię białych linii, które w jakiś sposób jeszcze bardziej rozniecały jego fantazje. Gdy siedział za kierownicą Mrzonki, miał moc. Czuł jej smak, jej dotyk, widział wszędzie wokół siebie jej dostrzegalne przejawy, gdy krajobraz śmigał wokół niego. Szybkie samochody działają tak na ludzi. Nawet największy nieudacznik na świecie staje się na chwilę kompetentny, gdy w dłoniach trzyma kierownicę, a stopą naciska pedał gazu. W świecie, który tak często przyprawia człowieka o frustrację, w którym tak często czuje się on bezradny, nie mogąc nic zmienić, nic zrobić, na nic wpłynąć, samochód jest posłuszny jego woli. Bak pełen benzyny, pusta autostrada i pudełko wypełnione kasetami wystarczyły, by dać Sandy'emu iluzję pewności siebie, przekonać go o własnej skuteczności.

Ten nastrój opuścił go jednak blisko granicy z Nebraską, gdzie autostrada 1-76 łączyła się z 1-80. Zaczynała mu się kończyć benzyna, a nadającą starą muzykę stację z Denver, na którą nastawił radio, zagłuszyły szумы. Autostrada biegła długim, szerokim łukiem i Mrzonka mknęła po niej z szybkością nieco poniżej osiemdziesięciu mil na godzinę. Nagle Sandy zobaczył przed sobą radiowóz. Było już jednak za późno. Złapali go na radarze i jeden z gliniarzy kazał mu się zatrzymać.

Z ostrym piskiem zahamował na poboczu, opuścił szybę i przyjął mandat w ponurym milczeniu. Policjant zwrócił mu prawo jazdy z nieco zatroskaną miną.

- Nic panu nie jest? - zapytał. - Nie wygląda pan za dobrze.

Sandy dotknął twarzy. Bolała go.

- To nic - zapewnił. - Chociaż chyba przydałby mi się okład z lodu.

Gliniarz skinął głową.

- I niech pan jedzie wolniej.

Aż do następnego parkingu, gdzie się zatrzymał, Sandy nie przekraczał sześćdziesiątki. Napełnił bak Mrzonki benzyną i zrobił sobie okład z lodu na twarz - ulitowała się nad nim pękata kelnerka - po czym wypił trzy filiżanki kawy i zjadł pół kawałka placka z jagodami. Na dworze zapadał już zmrok, ale Sandy'emu się nie śpieszyło. Jego sprawiedliwe oburzenie słabło razem ze słonecznym blaskiem.

Wszystko to złudzenie - pomyślał. Mkniesz naprzód, pewien swej kompetencji, a oni cię zatrzymują. Zawsze czekają gdzieś na ciebie ze swymi światłami, syrenami i pistoletami, zawsze cię zatrzymują, a ty nie możesz nic na to poradzić, bez względu na to, ile filmów z

Burtem Reynoldsem oglądałeś. Również w sprawie Rzeźnika Byrne'a był bezradny. Mógłby oczywiście znaleźć adwokata, ale Rzeźnik wynająłby lepszego, opłaciłby cały batalion adwokatów, i wygrałby sprawę. Dla sądów sprawiedliwość nie miała znaczenia. Mógłby uwolnić Łajzę przemocą, ale Rzeźnik kazałby go aresztować. Mógłby coś napisać, ale czekałby go proces o zniesławienie. Po co się trudzić? Druga strona trzymała w ręku wszystkie atuty.

Lód złagodził nieco ból twarzy. Sandy nie zdołał dokończyć placka, ale poprosił kelnerkę, żeby wypełniła mu termos gorącą czarną kawą, i kupił sobie wielki słoik tabletek kofeinowych w sklepie obok restauracji. Przełknął łyk płynu, gdy tylko zasiadł za kierownicą, a potem przeszukał całą skalę, ale nie znalazł żadnej porządnej stacji. Tylko country and western i jakieś religijne kawałki. Wreszcie zde gustowany dał za wygraną, pogrzebał w pudełku i wepchnął do magnetofonu kasetę Doorsów. Potem włączył światła - ukryte reflektory mazdy unosiły się nad maskę niczym karabiny maszynowe w aston martinie Jamesa Bonda; zdarzały się chwile, gdy Sandy żałował, że nie są naprawdę karabinami maszynowymi - i wjechał z powrotem na autostradę.

Nebraska była jeszcze bardziej płaska i nudna niż wschodnie Kolorado, a w dodatku ciągnęła się bez końca. Na autostradzie 1-80 panował intensywny ruch, ale Sandy nie zwracał zbyt dużej uwagi na inne samochody. Tym razem trzymał się prawego pasa, jadąc z dozwoloną prędkością albo tylko nieco szybciej. Był

przygnębiony i pogrążył się w myślach. Kofeina dodała mu energii, lecz brakowało mu nadziei. Jim Morrison prosił kogoś, żeby rozpałił jego ogień, ale Sandy miał wrażenie, że jego ogień wygasł już na dobre. Cała ta podróż i planowany artykuł - wszystko obróciło się w popiół.

Rzeźnicy Byrne'owie tego świata nadal mieli się świetnie. Czasami wyglądało wręcz na to, że wygrywają wszystkie rozdania. Łajza trafił do więzienia, zgwałcono go i poddano elektrowstrząsom, a Richard Nixon pozostawał na wolności, żył sobie wygodnie i dostatnio. Spiskowcy z Watergate pisali książki i zbijali na nich fortuny, ale Bobby Kennedy nadal nie żył. Nigdy już nie będzie żył.

Na chwilę przed tym, nim Rzeźnik go uderzył, Sandy nazwał go złym człowiekiem. Kłopot w tym, że nawet tego nie był już taki pewien. Rzeźnik z pewnością myślał to samo o nim. Edan Morse stwierdził, że Jamie Lynch zasłużył na egzekucję. Inni o nim z kolei powiedzieliby to samo. Sandy widział przed sobą ich twarze, blade zjawy unoszące się pośród nocy między drogą a gwiazdami, tuż za zasięgiem jego reflektorów. Wydawało mu się, że dołączają do nich inne oblicza: jego przyjaciele, wrogowie, osobistości publiczne, które tłoczyły się i przepychały. Tchórzliwy Jared Patterson, który sprzedał przyjaciół i zasady za

garść dolarów. Rick Maggio, gruby i zgorzkniały, który cierpiał tak mocno, że musiał zadawać ból innym. Charles Manson i Richard Nixon, objęci ramionami. Czy można było powiedzieć, że jeden z nich był gorszy od drugiego?

Widział ich wszystkich. Młodzi gwardziści z Kent State patrzyli w twarze ludziom ze SLA. Żołnierze z My Lai tańczyli z bojownikami AFW. Elegancko ubrani dżentelmeni z koncernu Dow Chemical, robiący pieniądze na produkcji napalmu, potępiali postępowanie czarnej, obdartej hołoty podpalającej getta podczas przerw w dostawach prądu. Dilerzy, zawodowi zabójcy, chciwi kamienicznicy, wszyscy ci mali ludzie bez twarzy, którzy uważali, że pojęcia dobra i zła nie odnoszą się do nich, ci, którzy chcieli po prostu jakoś żyć, ci, którzy czytali Biblię i spełniali

wolę Pana, ci, którzy musieli być praktyczni, ci, którzy wykonywali rozkazy, którzy tylko tu pracowali, którzy realizowali politykę firmy. I ich zwierciadlane odbicia, ich przeciwieństwa, ci, którzy żyli dla sprawy, ginęli i zabijali dla niej, którzy byli ślepi na szarość ludzkich dusz i czerwien ludzkiej krwi. Kiedyś Sandy potrafił odróżnić ich od siebie, tych dobrych i tych złych, ale teraz wszyscy wyglądali w jego oczach tak samo.

Jechał dalej. Patrzył w gwiazdy i na drogę, patrzył na twarze. Nadal dręczył go ból. Odnosił wrażenie, że oblicza łączą się ze sobą przed nim, zlewają w jedną całość. Ludzie z Dow Chemical, kamienicznicy i gwardziści z Kent State zjednoczyli się w jedną, tłumną wizję. Na ich czele maszerował Nixon, ramię w ramię z Rzeźnikiem Byrne'em. Ludzie z SLA, szabrownicy i dilerzy tworzyli drugą armię, a na jej czele szedł Manson z Edanem Morse'em. Jared Patterson zawahał się i skręcił na prawo; Rick Maggio zatrzymał się na chwilę, a potem podążył na lewo. Armie wciąż się skupiały, aż wreszcie zostały tylko dwie twarze, spoglądające na siebie nawzajem: Edan Morse i Joseph William Byrne. Wydawali się tak od siebie różni jak biel i czerń, jak noc i dzień. Nagle, uderzenie serca później, Sandy zorientował się, że w ogóle nie potrafi ich od siebie odróżnić. To jest ta sama twarz - pomyślał. - Obaj mają tę samą twarz.

Nebraska ciągnęła się bez końca. Mijały go z łoskotem ciężarówki z naczepami. Towarzyszący im podmuch potrząsał Mrzonką niczym uderzenia dłoni jakiegoś bezczelnego olbrzymia. Na niebie świecił milion gwiazd, które spoglądały na Sandy'ego z góry niby zastęp żółtych oczu, obserwujących i osądających. Jim Morrison nie przestawał śpiewać. Jim Morrison umarł za nasze grzechy, jak Joplin, jak Hendrix, jak Bobby Kennedy i John Lennon. Jak Patrick Henry Hobbins. Jim Morrison śpiewał o końcu.

Sandy zjechał na pobocze, pozwalając, by samochody przemykały ze świstem obok niego, i zaczął grzebać w schowku w poszukiwaniu aspiryny. Znalazł butelkę i wytrząsnął na

dłoń dwie tabletki, a potem jeszcze dwie. Połknął na sucho wszystkie cztery. Usta wypełnił mu suchy proszek o smaku tłuczonej cegły.

Potem połknął jeszcze parę tabletek kofeinowych, popijając je kawą z termosu. Płyn parzył mu usta. Szumiało mu w głowie od całej tej kofeiny. Wrócił na szosę, zmieniając w pośpiechu biegi, by jak najszybciej odzyskać prędkość. Kierowca wielkiego ciągnika siodłowego musiał jednak uważać, że Sandy włącza się do ruchu zbyt ospale, gdyż zatrąbił gniewnie na niego, a potem oślepił go blaskiem reflektorów, zanim wreszcie zjechał na sąsiedni pas.

- Ty skurwysynu! - zawołał Sandy, ale okna miał zamknięte, a ciężarówka tymczasem odjechała.

Kaseta Doorsów zaczęła grać od początku. Sandy nacisnął klawisz i wyciągnął ją z magnetofonu.

- Świetny pomysł, Blair. Już się tym znudziłem. A poza tym, ta muzyka zdradza, ile masz lat.

Sandy spojrział w bok i w mroku sąsiedniego siedzenia ujrzał drwiący uśmiech oraz uniesione brwi.

- Lark? - zapytał.

- Steve - poprawił go tamten. - Musisz się zmienić, Blair. Czasy się zmieniają i ludzie również. Daj sobie z tym spokój.

- Tak jak ty?

- Uważam, że to niezła perspektywa.

- Jesteś fałszywcem, Lark.

- Świetny żart! Nawet nie istnieję, a ty mnie oskarżasz, że jestem fałszywcem! A poza tym mam na imię Steve.

- Wolałem cię jako Larka - odparł Sandy. - Chociaż nawet wtedy zbyt dla tobie nie przepadałem.

- Dlatego że zawsze byłem inteligentniejszy od ciebie. Pewnie, że kłamałem. Myślisz, że świat cokolwiek obchodzi szczerłość, Blair? Nie jesteś lepszy ode mnie. Ani gorszy. Gówno możesz zdziałać na tym świecie, tak samo jak ja. Więc po co się szarpać? Lepiej pić, zaliczać panienki i tłuc forszę. Kto umiera z największą liczbą zabawek, ten wygrywa.

- Odpierdol się, Lark.

- Steve. Dokąd się właściwie wybierasz, Blair?

- Do domu. Jadę do domu. Lark parsknął śmiechem.

- Ty frajerze. A podobno jesteś sławnym pisarzem. Nie można wrócić do domu, Blair.

Powinieneś o tym wiedzieć. Kupiłeś sobie pieprzony, modny, sportowy wóz, ale to znaczy tylko tyle, że zmierzasz donikąd szybko.

Sandy sięgnął ręką do schowka. Nie było w nim nic poza pudełkiem z kasetami. Wyciągnął na oślep jedną z nich i wepchnął do magnetofonu. Simon i Garfunkel.

- *Czasie, spójrz, co się ze mną stało* - zaśpiewali.

- Spójrz, co się stało z nami wszystkimi - uzupełnił na głos Sandy.

- Mój drogi Sanderze, na tym właśnie polega twój problem - odpowiedział mu Żabcio. - Ujrzałeś to na własne oczy i ten widok nie uradował cię zbytnio. Czy stał się on balsamem na twe serce?

- Serca nie smaruje się balsamem - odparł Sandy. Żabcio wydał z siebie swój nieprzyjemny odgłos.

- Nawet nie próbuj się zgrywać. W porównaniu ze mną jesteś tylko zwykłym ponurakiem i świetnie o tym wiesz.

- Lark mówi, żebym dał za wygraną.

- Niedola lubi towarzystwo, jak powiedział kiedyś ktoś nieznośnie banalny. Zresztą mówisz o Larku. To był chłopak, który przekonywał każdą spotkaną dziewczynę, że romantyczna miłość jest tylko burżuazyjnym wymysłem, mającym odwrócić naszą uwagę od rewolucji. A potem się użalał, że żadna nie chciała z nim spać.

Sandy uśmiechnął się.

- Ale on ma rację. Co właściwie mogę działać? Nie zmienię cholernego świata. Nie pomogę Łajzie. Nie sądzę też, bym zbytnio pomógł Jamiemu Lynchowi.

- Detektywi rzadko pomagają ludziom. Czy zauważyłeś, że nim Charlie Chan znajdzie mordercę, zawsze ginie jeszcze z sześciu ludzi? - Roześmiał się. - Chcesz wygrywać za każdym razem? Nie ma mowy. Dziewięć z dziesięciu słodkich dziewcząt, które prosiłem o to, żeby pociągnęły za mój magiczny wihajster, wołało mnie zdzielić w tę moją uśmiechniętą gębę. Jak ci się

zdaje, skąd mam taką ładniutką, różową cerę? To dzięki ciągłym policzkom. Dzięki tysiącom, milionom policzków, mój drogi Sanderze! - Żabcio zatoczył oczyma. - Ale ta dziesiąta, ach, ta dziesiąta. Wilgotne wargi i falujące biusty, śmiech i truskawkowe wino, poezja i chipsy, i te kostki, te kostki, przyjacielu! Zawsze gdzieś jest ta dziesiąta, ukryta dziesiąta z genitaliami zręcznie schowanymi pod ubraniem i sercem pełnym żądz, gotowa włożyć sobie spaghetti we włosy, jeśli tylko ktoś o to poprosi. To właśnie jest życie, mój drogi Sanderze... poszukiwanie ukrytej dziesiątej.

- To nie jest balsam na moje serce, Żabciu. Rzeźnik Byrne nie jest ukrytą dziesiątą.

Gdybyś go poprosił, żeby włożył sobie spaghetti we włosy, odstrzeliłby ci pieprzony łeb.

- Gremlin Żabcio dałby sobie z nim radę - zapewnił Żabcio Cohen.

- To była gumowa kukielka z programu dla dzieci. Już go nie nadają. Wszyscy o nim zapomnieli.

W głosie Sandy'ego brzmiała gorycz. Żabcio wciągnął powietrze ze zgrozy.

- Nie mów tak! On będzie żył wiecznie w umysłach i sercach swych rodaków. Żabcio miał w sobie magię!

- Nie wierzę w magię - odparł Sandy.

Bambi Lassiter westchnęła tonem łagodnej dezaprobaty.

- Właśnie. Ty w nic nie wierzysz. To właśnie jest przyczyna twego bólu, Sandy. Zamykasz się przed blaskiem, który mógłby rozświetlić twoje życie, nie chcesz go zaakceptować. Wszystko kwestionujesz, wszystko odrzucasz. To właśnie przywiedzie cię do upadku. Nadchodzi czas, gdy będziesz musiał uwierzyć. Uwierzyć albo popaść w obłąd. Wiesz o tym, Sandy. Już to wyczułeś. W Chicago. W Denver. Łajza wyglądał tak samo jak w twoim śnie, nieprawdaż? Odziany w biel. Wychudły. Krzyczący.

- Zbieg okoliczności - nie ustępował Sandy - albo może... no, nie wiem, słyszałem, że mieszka z Rzeźnikiem, więc moja podświadomość mogła dojść do wniosku...

- Nie szukaj wykrętów, Sandy. Świat jest zbyt wielki, byś

mógł go ogarnąć umysłem. Prędzej czy później będziesz musiał to przyznać. Dzieją się dziwne rzeczy.

- Nie pierdol - odparł.

- W głębi duszy wiesz, o co tu chodzi, Sandy. Rozumiesz to w jakiś głęboko zakorzeniony, instynktowny sposób. Widzisz już kształt tego, co się wydarzy. To prawda. Prawda, Sandy. Ale nie zrozumiesz tego świadomie, dopóki nie zaakceptujesz tej możliwości. A musisz zrozumieć. O tym również wiesz. Trzeba będzie dokonać pewnych wyborów. Ważnych wyborów.

Jej głos przeszedł w szept, a potem ucichł zupełnie.

Przed samochodem pojawił się Łajza. Unosił się w pozycji lotosu między snopami światła reflektorów, umykając przed pędzącą ku niemu Mrzonką. Miał na sobie Kostium Łajzy, stary i wystrzępiony, trzymał na kolanach dwa kotki, a za uszy zatknął sobie mleczkę. Jego uśmiech był pełen wyrzutu.

- Zostawiłeś mnie samego - poskarżył się. - Prawie udało mi się go pokonać. Niewiele zabrakło. Potrzebowałem tylko odrobiny pomocy, a ty mi jej nie udzieliłeś.

- O niczym nie wiedziałem - wyjaśnił Sandy z bólem w głosie.

- Pewnie byłeś zbyt zajęty własnym życiem. Zawiodłeś mnie.

- Łajza, znajdę adwokatów, przysięgam. Uwolnimy cię w jakiś sposób. Żabcio mi pomoże, jestem pewien. I Maggie. Kochamy cię.

- Ale za słabo - odparł Łajza, wzruszając ramionami z nieszczęśliwą miną. - Przepraszam. Nie chciałem się ciebie czepiać. Ale jest już za późno. Przewróciłem szklankę i stłukła się. Przepraszam, to moja wina. To ja ją stłukłem. Tyle że to nie była szklanka, tylko mój umysł. To był mój umysł, Sandy, i teraz jest już za późno.

- Łajza! - zawołał Sandy, gdy postać zaczęła zanikać.

- O wiele za późno - dodał Łajza. Włosy mu wypadły i zniknęły, buchając obłokami dymu, a kolory jego kostiumu spłwioły. Zrobił się okropnie chudy, a jego oczy straciły blask. Trzymał w dłoniach karabin maszynowy i chichotał. Nagle chi-

cnot przeszedł w głośny śmiech i Łajza wypuścił serię w kierunku przedniej szyby samochodu. Kule rozpryskiwały się o nią, lecz mimo to Sandy skulił się trwożnie. Zaczął padać deszcz. Deszcz ze śniegiem.

- *Zimowy dzień w mroźnym, ciemnym grudniu* - śpiewali Simon i Garfunkel. - *Jestem zupełnie sam.*

- Nie - zaprzeczyła Maggie. Poczul na ramieniu jej delikatny dotyk. - Masz Sharon. Wracaj do niej, kochanie. W tym właśnie rzecz. Nie jesteś skałą. Nigdy nią nie będziesz. Cierpisz, kochasz i czujesz. Wracaj do domu, zapłacz nad Łajzą, zapamiętaj go takim, jaki był, i zachowaj go w swym sercu. Nie możesz zrobić nic więcej.

- To za mało - sprzeciwił się Sandy.

- Masz rację - zgodziła się Maggie. - To zawsze jest za mało. Dlatego właśnie się gniewasz, prawda? Dlatego chce ci się płakać, he? - Jej dłoń powędrowała do jego kolana. Poczul delikatne, fantomowe muśnięcie po wewnętrznej stronie uda. - Za to właśnie cię kochałam, Sandy. Potrafiłeś płakać nad tym, na co nic nie mogłeś poradzić.

- A ja cały ten czas myślałem, że chodziło ci o moje ciało. Parsknęła śmiechem.

- Także. Było nam razem naprawdę ekstra. A może kasetka to powiedziała?

- A czy to musi być czas przeszły? Cleveland nie jest tak daleko od 1-80. Mógłbym się zatrzymać. Moglibyśmy...

Coś chłodnego dotknęło lekko jego ust, uciszając go.

- Nie, kochanie - odparła. - Chciałabym, żeby to było możliwe, ale my dwoje należymy już do przeszłości. Przeszliśmy do historii, he? Sknóciliśmy to w jakiś sposób. Twoja wizyta była cudowna, ale jest między nami zbyt wiele duchów. Tylko byśmy zepsuli wspomnienie tego, co łączyło nas kiedyś. Pozwólmy temu umrzeć. Wracaj do domu, do swojej Sharon, i

kochaj ją.

Sandy spojrział na Maggie. Jej twarz była półprzezroczysta i spływały po niej ciche łzy.

- Ty się boisz - zauważył zdumiony. - Nigdy się niczego nie bałaś.

Skinęła głową.

- Zbyt wiele wycierpiałam, Sandy. Nie jestem już tą dziewczyną co kiedyś, kochanie.

Nie chcę nikogo skrzywdzić. Nie naciskaj na mnie.

Jej łzy przywołały z powrotem jego ból. Poczuł, że w kąciakach jego oczu również gromadzi się wilgoć.

- Byłaś najlepsza z nas wszystkich - stwierdził. - Wpływałaś na nas, zmieniałaś nas, prowadziłaś. Miałaś w sobie tak wiele życia, tak cholernie wiele miłości. Radości. Zawsze byłaś radosna. Nie potrafili cię tego pozbawić. Twoja radość wprawiała mnie w trans, ekscytowała Żabcia, зараżała Łajzę, opromieniała wszystkich wokół ciebie. A teraz ją straciłaś, prawda? Poczulem to tej nocy w Clevelandzie. Łzy i desperacja. Samotność. To niewiarygodne, żebyś ty była samotna. I, co gorsza, zbyt zraniona, żeby się uwolnić.

Wzruszyła ramionami.

- Uprawiam swój ogród.

- *Kandyd* - zauważył Sandy.

- No dobra, nie jestem oryginalna. Jak chcesz, możesz mnie zaskarżyć. Och, nie rób takiej smutnej miny, kochanie. Proszę. To tylko upływ czasu i odrobina pecha. Może gdybym mogła zacząć wszystko od nowa, sprawy potoczyłyby się lepiej, he? Dla mnie i dla ciebie? Ale nie mogę. Zresztą niewykluczone, że potoczyłyby się gorzej. Rany się nie goją, Sandy. Nie rozdrapuj strupów. Wracaj do Brooklynu, do swojej pośredniczki handlu nieruchomościami, i staraj się ze wszystkich sił. To wszystko, co możemy zrobić.

Deszcz bębnił o szybę. Mrzonka pędziła przez noc. Było już późno i większość kierowców zatrzymała się gdzieś na noc. Sandy z obu stron miał czarne pola, pełne zżętej kukurydzy i ukrytych silosów z raketami balistycznymi. Szosa była śliska. Ścisnął mocno kierownicę, a w ustach czuł suchość. Zauważył, że Maggie, ostatnia z jego majaków, zanika już, odpływa od niego.

- A co, jeśli to nie wszystko? - zapytał.

- He?

Gdy zerknął na sąsiednie siedzenie, wydała mu się nagle nieco bardziej realna.

- Co, jeśli to nie jest wszystko, co możemy zrobić? Jeśli jest coś jeszcze, jakiś sposób, który może dać nam drugą szansę, przywołać wszystko z powrotem? Spowodować, by Lark znowu włożył dżinsowy strój, przywrócić Łajzie zdrowe zmysły, a tobie radość życia?

- Nie ma takiego sposobu, kochanie - wyszeptwała. Simon i Garfunkel śpiewali o niezwykłym człowieku. Sandy nacisnął klawisz. Muzyka ucichła nagle i kasetka wyskoczyła na zewnątrz.

- W tym pudełku jest kasetka The Nazgul. Podaj mi ją.

- The Nazgul? - zdziwiła się Maggie.

- Pokonałem tysiące mil, cały czas słuchając radia albo magnetofonu, ale ani razu nie puściłem nic Nazguli. Chyba się bałem. Bambi miała rację. Wszystko rozumiem. Już dawno ujrzałem kształt tego, co nadchodzi. Po prostu bałem się to przyznać. Daj tę kasetę.

Nie odpowiedziała mu. Zapadła głucha cisza. Słyszeć było tylko deszcz i odgłosy jazdy. Sandy czekał przez długą chwilę z wyciągniętą ręką, nim wreszcie sobie uzmysłowił, że w rzeczywistości Maggie wcale tam nie ma. Żadna ze zjaw nie istniała naprawdę. Ale z drugiej strony wszystkie były realne. Zawsze będą mu towarzyszyć. Sięgnął do pudełka i za pierwszą próbą trafił na właściwą kasetę, jakby coś kierowało jego dłonią.

The Nazgul. *Musie to Wake the Dead.*

Wepchnął kasetę w otwór i zwiększył głośność. Muzyka wypełniła wnętrze samochodu, zagłuszając deszcz i pisk opon mknących po śliskiej nawierzchni. Przypominający gwizd czajnika dźwięk sypiących się na ziemię bomb, łoskot perkusji i głos Hobbinsa.

Kochanie, wycięłaś mi serce. Kochanie, przez ciebie krwaaawię!

- Jamiemu Lynchowi wycięto serce, gdy leżał na biurku nakrytym plakatem koncertowym z West Mesa. Plakat. Arkusz papieru. Kapujesz?

Sandy umilkł, słuchając, jak Hobbins śpiewa o miłości, wierności i zdradzie, a gitara Maggia łąka boleśnie.

Spójrz na człowieka z popiołów.

Jest szary i przerażony, zbyt sypki, żeby płakać.

Tak się zaczynał drugi utwór. Chórek powtarzał raz po raz: *Popiół, popiół, sypie się na ziemię*, a Maggio wyczyniał na swej gitarze szalone rzeczy. Muzyka była żywą istotą, pełną żaru i trzasków. Świstak John grał długie solo na perkusji. Sandy wygrzebał tabletki kofeinowe i połknął całą garść. Dziś w nocy nie będzie spał. Tylko jechał i słuchał muzyki. Nie będzie spał i nic mu się nie przyśni. Dostyc już miał sennych majaków. *Popiół, popiół sypie się na ziemię* - powtarzał chórek. Cztery głosy Nazguli zlewały się w jedną, straszliwą całość, pełną bólu, poczucia utraty i popiołów wypalanej pasji.

- Następny utwór - zapowiedział Sandy. - Richard Maggio i jego sławny, starannie wypracowany ból.

Tak, jestem wściekły! Wściekły!

Warkliwy głos Maggia, pomruk basu Faxona, perkusja, gitara i gniew, wszystko to zlewało się z piskiem opon Mrzonki i gładkim buczeniem silnika Wankla. Tym razem Sandy nie wysłuchał całego utworu. Wcisnął przewijanie do przodu i nie cofał palca przez pewien czas. Wystarczająco długi. Potem znowu rozległ się głos Hobbinsa, któremu towarzyszył mocny rytm perkusji.

Ale ocalony nosił inną bliznę. Hej! Ocalony nosił inn...

Sandy znowu wcisnął przewijanie, słuchając furkotu taśmy.

- Chyba zrozumiałem to, zanim jeszcze opuściłem Albuquerque - mówił. - Ale kiedy spotkałem Morse'a i porozmawiałem z nim, sprawa stała się oczywista. Powiedział mi: „Niech pan posłucha muzyki”. Powtarzał to ze dwa, trzy razy. Co to, kurwa, miało znaczyć? I jeszcze coś. Mówił też, że zbliża się godzina jego rewolucji. Ale ujął to inaczej. Jego sformułowanie było bardzo precyzyjne. „A teraz czas wreszcie powraca”. To również powtarzał kilka razy.

Czy to głos Maggie usłyszał, szept przebijający się przez szum opon i furkot przewijanej taśmy? A może to była kofeina?

- Yeats - oznajmiła.

- Tak i nie - odparł Sandy. - Słowa Williama Butlera Yeatsa, muzyka Petera Faxona. Proszę.

Uruchomił magnetofon w połowie utworu.

Wszystko w rozpadzie - zapowiedzieli Nazgłile - w odśrodkowym wirze.

Psychodeliczne dźwięki, dysonanse. Chaotyczny werbel perkusji. Sprężenia. Śpiew brzmiący jak zawodzenie potępieńców. Irlandzki poeta obracał się w grobie, a sześćdziesiąt tysięcy dzieciaków zrywało się na równe nogi, klaszcząc w dłonie, tańcząc i krzycząc.

On nadchodzi! - głosił tekst. - *On nadchodzi!* - odkrzykiwał raz po raz tłum. Szalone, piękne, mrozące krew w żyłach brzmienie.

Czysta anarchia szaleje nad światem Wzdyma się fala mętna od krwi...

Sandy nacisnął klawisz. Cisza zapadła nagle niczym zasłona, pośmiertny całun.

- *Najlepsi tracą wszelką wiarę - zacytował - a w najgor-*

szych kipi żarliwa i porywcza moc. - Wyjął kasetę. - Larry Richmond, nowy Hobbins, zrodzony z chirurgii plastycznej i umysłu Edana Morse'a. Ale narodził się w Bethlehem. To hutnicze miasto w Pensylwanii.

Sandy zerknął na nalepkę na kasecie.

STRONA PIERWSZA

1. *BLOOD ON THE SHEETS* 2:07

2. *ASH MAN (ASHES, ASHES)* 5:09

3. *RAGIN'* 3:01

4. *THE SURVIVOR* 3:15

5. *WHAT ROUGH BEAST* 2:02

6. *PRELUDE TO MADNESS* 5:23

STRONA DRUGA

1. *THE ARMAGEDDON/RESURRECTION RAG* 23:14

- Rag był najlepszym kawałkiem, jaki nagrali Nazgule stwierdził Sandy. - To właśnie ten utwór grali na West Mesa, kiedy zastrzelono Hobbinsa.

Włożył kasetę drugą stroną do magnetofonu, nacisnął przewijanie, by dotrzeć do początku, a potem puścił muzykę.

Wiedział, że z czasem nabierze ona szybkości, stanie się bardziej gorączkowa i natarczywa, rytm zacznie wnikać pod jego skórę, stapiając się w jedną całość z krwią, gitary i bas będą grały coraz szybciej, a perkusja stanie się wręcz szatańska, rozlegną się niewiarygodne akordy, takie, jakie grywał Hendrix, dźwięki każące się zastanawiać, ile właściwie instrumentów mają muzycy. I będzie też tekst, tekst budzący gniew i smutek, przywołujący wizje z rozpościerającej się wokół ciemności. Później. Później. Początek był powolny, powolny, żałobny i niemal spokojny. Szept gitarowych strun, delikatny deszcz uderzeń bębnow.

To jest kraina, do której wiodą wszystkie szluzne sprawy. To jest kraina, gdzie grzyby będą wyrastały.

Sandy wyłączył muzykę, nim jeszcze zaczęła się na dobre. Nagle ogarnął go strach. Czego się bał? Bał się nazwać przyczynę swego strachu.

- Muzyka budząca umarłych - powiedział do Maggie. Ale jej tu nie było. Był sam, obolały i zmęczony, pośród deszczu i ciemności zimowej nocy Nebraski.

Szesnaście

Czy jest coś, czego człowiek nie straci, Kiedy diabeł chce odebrać mu wszystko?

Nowy Jork miał smak pierwszego zimowego śniegu, a ulice Brooklynu pokrywała brudna, brązowa breja. Sandy jechał powoli, by uniknąć poślizgów, ale i tak spod kół wracającej do domu Mrzonki tryskały strumienie błota. Było późno i na ulicach widziało się bardzo niewielu pieszych, ale na Flatbush Avenue jakaś bezdomna kobieta, którą obryzgał, zasypała go strumieniem przekleństw.

- Witaj w domu - mruknął Sandy.

Zaparkował mazdę w wynajętym garażu, otworzył bagażnik, wyjął walizkę i potaszczył ją do odległego o dwie przecznice domu. Breja przesiąkła mu przez buty. Mokra noga marzły

nieprzyjemnie, więc starał się iść szybko. Jechał przez cały dzień i zmęczenie doskwierało mu coraz silniej. Chciał jak najszybciej znaleźć się w domu. Wydawało mu się, że nie było go tam już długie lata.

W domu było ciemno. Sandy postawił walizkę tuż za drzwiami i poszukał po omacku kontaktu. Korytarz w pierwszej chwili wydał mu się dziwny. Zauważył tępo, że leży w nim nowy dywan, a Sharon kazała przenieść wysoki regał, który zawsze stał w salonie, do korytarza i wypełniła go szklanymi figurkami. Zastanawiał się, co zrobiła z jego wszystkimi książkami. Pewnie wepchnęła do jakiegoś pudełka. Często się skarżyła, że tanie książki nadają pokojowi niegustowny wygląd.

- Sharon! - zawołał. - To ja!

Ruszył na górę po schodach. Gdy był już blisko szczytu, zaczął pokonywać po dwa stopnie za każdym krokiem. Wszedł do sypialni i włączył światło. Sharon usłyszała jego głos. Siedziała na łóżku. Podobnie jak facet, który z nią był.

Sandy zamrugał powiekami, westchnął i spróbował wziąć się w garść.

- Cześć, Don.

Mężczyzna miał masywną budowę, blond włosy i rumianą twarz. Jego pierś porastało mnóstwo włosów. Czterdziestoparoletni mięśniak, który zaczynał już tyć, ale - jak mówiła Sharon robił prawdziwą karierę w handlu nieruchomościami. Mimo to ten widok poirytował Sandy'ego. Myślał, że będzie miała lepszy gust.

- Hm - mruknął Don. Jego twarz zrobiła się odrobinę bardziej czerwona niż zwykle. - Hm, cześć, Sandy. Jaką miałeś podróż?

- Przyjemniejszą niż pierdolenie się z małpą - odparł Sandy, nieco zbyt ostro.

Sharon założyła na nos leżące na nocnym stoliku okulary. Włosy miała rozczochrane po śnie, a koronkowa koszula nocna była zmięta. Kobieta wygładziła ją dłonią, marszcząc brwi.

- Ten sarkazm jest zbędny - oznajmiła Sandy'emu. Przecież wiesz, że nie mamy monogamicznego związku. Nie zawiadomiłeś mnie, kiedy przyjeżdżasz.

- Sam tego nie wiedziałem - wyjaśnił Sandy. - A poza tym miałem na głowie inne sprawy.

- No jasne - odparła Sharon z przekąsem. - Ale przecież mogłeś zadzwonić. Na przykład z New Jersey. Jakoś mnie ostrzec.

- Aha - mruknął Sandy. Hej, Penelopo, twój stary, Odyseusz, wraca do domu. Pora pozbyć się zalotników - pomyślał. Usiadł na brzegu łóżka. - I co teraz? - zapytał. - Zagramy w monopol?

Sharon spojrzała na Dona.

- Lepiej wracaj do domu, kochanie. Musimy z Sandym omówić sprawy.

- Rozumiem - odparł Don. Zmarszczył twarz w wyrazie,

który wydał się Sandy'emu afektowanie czuły, pocałował Sharon w czubek nosa i zaczął się ubierać. Nosił pasiaste bokserki i miał grube, zwiotczałe uda, co z jakiegoś powodu jeszcze bardziej rozsierdziło Sandy'ego. Ani on, ani Sharon nie odzywali się jednak, dopóki drzwi na dole się nie zamknęły. Potem Sandy ściągnął buty i spojrzał na nią, opierając się o podnóże łóżka ze skrzyżowanymi nogami. Mosiężny drążek podtrzymujący baldachim uwierał go w plecy.

- Słucham? - odezwała się Sharon. Jej twarz była bardzo spokojna. Nawet nie próbowała go dotknąć.

- Co mogę powiedzieć? - odparł Sandy. - Pewnie powinienem się cieszyć, że jeszcze się nie wprowadził. Ale Don? Chryste, nie mogłaś znaleźć nikogo innego?

- Nie osądzaj go, Sandy. Nie masz do tego prawa. To atrakcyjny, inteligentny mężczyzna. Jest czuły, odpowiedzialny i mamy ze sobą bardzo wiele wspólnego.

- Kochasz go? - zapytał Sandy.

- Nieszczęśliwie, ale czuję się dobrze w jego towarzystwie, a o tobie nie bardzo można to powiedzieć. Nie było cię długi czas, Sandy. Nie pisałeś, rzadko dzwoniłeś. Miałam wiele czasu, by pomyśleć o nas.

- To mi się nie podoba - zauważył Sandy. - Proszę cię, Sharon, nie teraz.

- Czekanie w niczym nie pomoże. Chcę mieć to już za sobą. Zrobmy to spokojnie, jak cywilizowani ludzie.

Sandy'ego nagle dopadł okropny ból głowy. Potarł skronie.

- Sharon - zaczął - nie rób mi tego w tej chwili. Proszę. Proszę cię tak grzecznie, jak tylko potrafię. Ta podróż, artykuł... wszystko zmienia się w jakiś pierdolony koszmar. To coś surrealistycznego. Muszę o tym z tobą porozmawiać. Potrzebuję cię w tej chwili. Potrzebuję kogoś.

- Ale ja cię nie potrzebuję, Sandy - odparła ze spokojem. Nawet nie raczyła się zasmucić. - Potrzebujesz kogoś, ale tym kimś nie jestem ja. Musimy stawić czoło prawdzie. Między nami

wszystko skończone. Już od dłuższego czasu układało się nam źle. Myślę, że trzymaliśmy się razem tylko siłą bezwładu.

- Jesteś na mnie wściekła za to, że tak nagle wyjechałem...

- Byłam wściekła - przyznała - ale to nie trwało długo. Na tym właśnie polega problem. Gdy nie było cię przez dłuższy czas, przestałam się na ciebie gniewać. Po prostu... nie czułam

nic. Nie tęskniłam za tobą, Sandy. Ani trochę.

- Rewelacyjnie.

- Przykro mi, jeśli sprawiłam ci ból, ale musiałam to powiedzieć. Z iloma kobietami spałeś podczas podróży?

- Z półtorej - przyznał Sandy. - Tej połowy nie pamiętam, co poniekąd pozbawia całą rzecz sensu. Dlaczego pytasz?

Wzruszyła ramionami.

- Po prostu chciałam się dowiedzieć. Przekonać się, czy to mnie obejdzie. Nie obeszło. Od początku mieliśmy otwarty związek, ale kiedyś mnie to obchodziło. Starłam się nie być zazdrosna, ale zawsze byłam, tylko trochę. Potrafiłam nad tym zapanować. Pewnie nawet trochę to lubiłam, bo wiedziałam, że inne kobiety uważają cię za atrakcyjnego, ale zawsze wracasz do mnie, jednocześnie towarzyszyła temu odrobina poczucia zagrożenia. Teraz to również zniknęło. Mógłbyś powiedzieć „z pięćdziesięcioma” i nic by mnie to nie obeszło. Nie czuję do ciebie nienawiści, Sandy. Nie mogę nawet powiedzieć, że bym cię nie lubiła. Nie obchodzisz mnie na tyle, że bym mogła cię nie lubić. Po prostu się dla mnie nie licysz.

Sandy skrzywił się boleśnie.

- Masz wspaniały dar przekazywania tego rodzaju informacji. Mogłabyś chociaż powiedzieć, że zawsze będę dla ciebie bliskim przyjacielem.

- Ale nie będziesz nim, Sandy - oznajmiła. - Kochankowie łączą się ze sobą z najdziwniejszych powodów, tak jak było z nami, ale przyjaciele muszą mieć coś wspólnego. My dwoje żyjemy w różnych światach. Maszerujemy w rytm werbla innych doboszów.

- Linda Ronstadt i the Stone Poneys - burknął ponurym tonem Sandy.

- Słucham? - Sharon zmarszczyła brwi, a potem westchnęła. - Nie, Sandy. To był Thoreau, Rousseau albo ktoś w tym rodzaju. Widzisz, co mam na myśli? Nie mówimy tym samym językiem i nie śpiewamy tych samych piosenek. I nigdy nie będziemy. Nie kocham Dona, ale może z czasem będę mogła go pokochać. Chcę, żeby nasz związek miał czas rozkwitnąć.

- Kurwa - mruknął Sandy. Pomyślał, że powinien się rozplakać, ale nie miał już więcej łez. Być może zużył wszystkie na Łajzę i Rzeźnika Byrne'a. Co więcej, wiedział, że Sharon ma rację. Miał ciężką podróż, ale nie dlatego, że tęsknił za Sharon. Prawie wcale o niej nie myślał. To jednak nie przeszkadzało mu czuć się opuszczonym. - Czy musisz się zachowywać tak cholernie zimno? - oskarżył ją. - Kiedyś coś dla siebie znaczyliśmy. Moglibyśmy przynajmniej zakończyć nasz związek z odrobiną pasji.

- A po co? Próbuję się zachowywać kulturalnie. Oboje jesteśmy dojrzałymi, dorosłymi

osobami. Podjęliśmy próbę, która się nie...

- Pieprzyć dojrzałość - przerwał jej Sandy. Wstał i skrzywił się ze złością. - Mam już potąd słuchania o dojrzałości. Do cholery, nazwij mnie idiotą, rzuć czymś we mnie, krzycz! Płacz, do licha! Byliśmy razem blisko dwa lata. Kurwa, chyba zasługuję na kilka łez?

- Nie chcę płakać - odparła ze spokojem Sharon. - Zajmijmy się nieprzyjemnymi szczegółami, dobra? Właśnie wróciłeś z długiej podróży, więc możesz tu zostać na noc. Ja pójdę do Dona. Ale chciałabym zatrzymać ten dom, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Wykupię twoją połowę. Za dobrą cenę. Oboje wiemy, jak bardzo wzrosła jego wartość. W tej chwili mogę ci dać tylko dziesięć tysięcy dolarów, ale resztę zapłacę w ratach. I co ty na to?

Sandy'emu chciało się krzyczeć.

- Nie obchodzą mnie takie rzeczy - odparł. - Kochaliśmy się ze sobą pół miliona razy. Dzieliliśmy się... śmiechem, marzeniami, całym tym syfem. To jest ważne. Płacz, do cholery!

- Pieniądze teraz cię nie obchodzą, ale będą cię obchodziły - oznajmiła Sharon. Wstała z łóżka i zaczęła się ubierać. Gdy ściągała przez głowę nocną koszulę, Sandy złapał się na tym, że gapi się na jej ciało, którego nigdy już nie będzie obejmował. Fakt, że ją utracił, sprawiał, że z jakiegoś powodu wydawała mu się bardziej atrakcyjna niż kiedykolwiek. Gdy się ubierała, miał wrażenie, że wkłada chroniący ją przed nim pancierz, osłania ostatnie czułe miejsca. Wciągnęła jasnyniebieskie majteczki, a potem włożyła biustonosz tego samego koloru. Sprane dzinsy i nieskazitelnie biały T-shirt. Niebiesko-biała. Jak lód.

- Sharon - odezwał się głosem, w którym pobrzmiwała lekka desperacja - boję się ciebie. To mi się przyśniło. Twoja twarz zamieniła się w lód. A teraz sprawiasz, że sen się sprawdza. Nie rób tego. Proszę. Zostaw mnie, jeśli chcesz, odejź do Dona, ale nie w ten sposób. Okaż trochę uczucia. Proszę. Błagam cię!

Wyciągnęła torbę podróżną i zapakowała do niej ubranie, w którym chodziła do pracy.

- Jesteś dziecinny, Sandy - oznajmiła, nie podnosząc wzroku. - Nic mnie nie obchodzą twoje sny.

Muszę coś zrobić, żeby się rozplakała - pomyślał rozgorączkowany. Musiał jakoś wzbudzić jej gniew.

- Pamiętasz, jak kochaliśmy się w sypialni na tym nudnym przyjęciu na Upper East Side? I ten facet przyszedł po płaszcz? Pamiętasz?

Ignorowała go, nie przestając się pakować.

- A pamiętasz ten tydzień w Meksyku? Przyjęcie, jakie dla ciebie urządziłem, kiedy skończyłaś trzydziestkę? Albo jak oboje ryczeliliśmy niczym dzieci, kiedy ET dzwonił do

domu?

Sharon zasunęła ekspres torby, włożyła ją na ramię i obrzuciła Sandy'ego lodowatym spojrzeniem, w którym widziało się tylko najbledszy cień uczucia. A tym uczuciem była litość.

Sandy ruszył za nią na dół.

- Pamiętasz kotka, którego ci kupiłem? Tego, który wpadł pod samochód, kiedy uciekł przez otwarte okno? Pamiętasz wiece popierające poprawkę o równości praw kobiet, na które razem chodziliśmy?

Sharon zdjęła płaszcz z wieszaka.

- Pamiętasz, jak twój ojciec zachorował? - ciągnął. Wtedy zostałem z tobą. Pamiętasz wszystkie te śmieszne prezenty, które mi dawałaś? Musisz...

Nic nie musiała. Nie raczyła nawet trzasnąć drzwiami. Zamknęły się za nią z cichym, straszliwie ostatecznym stuknięciem, przypominającym dźwięk rozpryskującego się o ziemię sopla lodu.

Niebiesko-biała, ze szronem na szklach okularów - pomyślał Sandy.

Stał na schodach przez długi czas, zbyt zmęczony, by wrócić na górę, zbyt niezdecydowany, by pójść gdzie indziej. W końcu dotarł do kuchni. W lodówce stały dwa sześciopaki schaefera. Zaczął wyciągać jedną puszkę, ale zmienił zdanie, wziął oba sześciopaki pod pachę i zaniósł je do salonu.

Sharon niedawno włączyła gramofon. Jego pokrywa wciąż była uniesiona. Powtarzał jej sto tysięcy razy, żeby opuszczała pokrywę, ale nigdy nie słuchała. Nagle ogarnęła go wściekłość. Zdjął z talerza płytę Donny Summer, i cisnął nią o ścianę. Odbiła się od niej, zostawiając głęboką rysę.

Nie sądził, by mógł w tej chwili znieść Nazguli. Przeszukał swój zbiór płyt, wyciągnął parę wczesnych albumów Beatlesów i ostrożnie położył jeden z nich na talerzu. Nastawił gramofon na ciągłe powtarzanie i zwiększył głośność. Potem wyciągnął się na kanapie i otworzył pierwsze piwo.

Rankiem obudził się ze straszliwym bólem głowy. Otaczał go szereg pustych puszek po piwie, a John, Paul, George i Ringo nadal śpiewali, ile sił w płucach. Sandy z bolesnym grymasem wstał z kanapy i wyłączył muzykę. Nawet nie pamiętał, kiedy zasnął.

Wziął prysznic, zrobił sobie trochę mocnej kawy, wypił dwie

wielkie szklanki soku pomarańczowego i zjadł czerstwego pączka z galaretką, którego Sharon zostawiła w lodówce. Starał się unikać myślenia. Poczłapał na górę i przyjrzał się ubraniom w szafie. Przez bardzo długi czas nosił w kółko te same łachy, piorąc je w całym mnóstwie obskurnych automatów pralniczych, i niemal zapomniał, że ma też inne ubrania.

Wydawało mu się, że patrzy na szafę kogoś obcego. W końcu wybrał parę czarnych sztruksów oraz wygodną, wyblakłą bawełnianą koszulkę w kolorach maskujących. Przypomniał sobie, że dostał ją w prezencie od Maggie.

Sharon położyła całą korespondencję na jego biurku. Sandy przerzucał ją od niechcenia, aż wreszcie natrafił na list od Alana Vanderbecka. Rzecz jasna, mógł to być czek, ale Sandy skądś wiedział, że tak nie będzie. Oderwał koniec koperty i wytrząsnął z niej list.

Drogi Sanderze, sporo się ostatnio zastanawiałem nad naszą współpracą. Biorąc pod uwagę, w jakim kierunku zmierza twoja literacka kariera, nie mam już pewności, czy jestem najodpowiedniejszym kandydatem do reprezentowania twoich interesów. Mogłoby być lepiej dla nas obu, gdybyśmy...

Sandy zmiął list w dłoni i rzucił nim do kosza. Nie trafił i papierowa kula potoczyła się po podłodze, dołączając do sterty odrzuconych stron jego powieści.

Strona trzydziesta siódma nadal tkwiła wkręcona w maszynę. Sandy ją wyciągnął. Kartka była już zwinięta na dobre. Spróbował ją bezskutecznie rozprostować, a potem włożył do pudełka razem z poprzednimi. Następnie zniósł pudełko na dół, włożył ciężką niebieską dwurzędową kurtkę i ruszył w stronę metra, dźwigając pod pachą swą powieść.

Redakcja „Hedgehoga” znajdowała się w Greenwich Village, nieopodal placu Waszyngtona. Sandy zatrzymał się na schodach, spoglądając na drzwi, które tak wiele razy mijał. To był kiedyś jego dom. A gdzie miał dom teraz?

- W czym mogę panu pomóc? - zapytała sekretarka, gdy wszedł do środka. Nie znał jej i ona również nie poznała jego.

- Byłem kiedyś redaktorem w tym szmatławcu - wyjaśnił Sandy. - Chcę się widzieć z Jaredem.

- Kogo mam zapo...

- Niech się pani nie trudzi - przerwał jej. - Znam drogę. Wszedł na schody, ignorując protesty kobiety. Zignorował również osobistą sekretarkę Jareda i wkroczył prosto do jego gabinetu.

Minęły lata, odkąd Sandy ostatnio widział Jareda Pattersona na własne oczy. Jared znacznie przybrał na wadze. Siedział za wielkim biurkiem, przeglądając makiety stron. Miał na sobie granatowy sportowy garnitur i pastelową koszulkę z rozpiętym kołnierzykiem, a na szyi nosił trzy złote łańcuchy. Marynarka była już na niego za mała i wyraźnie piła go pod pachami. Jared zawsze miał nadwagę, ale teraz zrobił się po prostu otyły. Spojrzał z zaskoczoną miną na Sandy'ego, a potem się uśmiechnął.

- Sandy! - odezwał się, odsuwając robotę na bok i odchylając się do tyłu na wielkim,

obrotowym krześle. - Ależ się cieszę! Kiedy to ostatnio się widzieliśmy?

- Jakies siedemdziesiąt czy osiemdziesiąt funtów temu odparł Sandy. Podszedł do biurka i usiadł. Sekretarka zajrzała do środka, ale Jared odprawił ją skinieniem dłoni. - Chcę z tobą porozmawiać o tym artykule o The Nazgul - ciągnął. - Sprawa przerasta wszelkie nasze wyobrażenia, Jared.

- Mówisz o sprawie Lyncha, Sandy? Spóźniłeś się, stary przyjacielu. Już puściliśmy materiał na ten temat. Ostrzegałem cię. - Pochylił się nad biurkiem i nacisnął przycisk interkomu. - Betsy, przynieś mi przedostatni numer, dobrze, kochanie? No wiesz, ten z tym porąbanym rysunkiem na okładce. Hobbici i cały ten syf.

Przyniosła egzemplarz i podała Jaredowi, który z głupkowskim uśmiechem podsunął go Sandy'emu.

- Przykro mi, przyjacielu - oznajmił - ale nie możesz twierdzić, że cię nie ostrzegałem. Naprawdę chciałem, żebyś to

ty napisał dla nas ten artykuł Sandy> ale oczywiście byłeś uparty. Jak widzisz, musieliśmy sobie poradzić bez ciebie.

Na frontowej stronie tablicy>tuż pod logo »Hoga»> widniała stara fotografia Jamiego Lyncha' nałożona na kiczowaty krajobraz w stylu fantasy. Wokół niego - czyli się hobbici, a na różowym niebie unosiły się przypominające rój latających talerzy. Podtytuł głosił: *Kto zabił Saurona?*

Cały artykuł był utrzymany w podobnym stylu. Autor, jeden z członków redakcji, dowiedział się, że Hobbins przezwał Jamiego Lyncha „Sauronem”, i dał się - Ponieważ tematowi, wypełniając całe strony Tolkienoidalnym bredzeniem. Maine stało się Shire, a Paul Lebeque przerodził &S w osobliwe wcielenie Froda. Sandy był wstrząśnięty.

- Nie potrafię uwierzyć - że puściłeś takie gówno - stwierdził.

Jared wzruszył ramionami -

- Kiedy nas wyrolował^' musieliśmy coś szybko zorganizować. Nie miej do mnie pretensji, Sandy. To twoja wina.

Sandy z wysiłkiem pochylił się -

- Jared, posłuchaj. To kretynstwo nie ma nic wspólnego z prawdą.

- No dobra, powiedz mi. Jak wygląda prawda - zgodził się z uśmiechem Jared.

- Po pierwsze, Lebeque tego nie zrobił. Jestem tego pewien. Podejrzewam, że prawdziwym zabójcą jest członek radykalnego podziemia, zbir nazwiskiem Gortney Lyle. Ale nie mogę na razie tego dowiedzieć. Bez względu na to> ^t0 był Lyle' zabójca działał na rozkaz Edana Morse'a, członka naczelnego dowództwa dawnego Amerykańskiego Frontu

Wyzwolenia.

- Brzmi ciekawie - przyznał Jared - pod warunkiem że masz jakieś fakty. Dlaczego AFW miałby chcieć śmierci Lyncha?

- Nie AFW, tylko sam Morse - - Sandy zawahał się. - To brzmi jak szaleństwo, Jared, ale ja w to wierzę - Wierzę - mech mi Bóg pomoże. Cała ta sprawa - chodzi o - wokół The Nazgul

Na krótko przed West Mesa nagrali album o nazwie *Musie to Wake the Dead*. Pamiętasz?

- Pewnie, że pamiętam - potwierdził Jared. - To była platynowa płyta. Nie jestem głupi. W końcu to mój zawód.

- Morse rzeczywiście zamierza obudzić umarłych - zaczął Sandy. Opowiedział Jaredowi całą historię. Omówił po kolei każdy utwór na płycie, wyjaśniając jego znaczenie, mówił o falach i o wizjach, które się sprawdzały. Jared słuchał go z szerokim uśmiechem na twarzy. W końcu nie potrafił się już powstrzymać i ryknął głośnym śmiechem. Nie przestawał się śmiać. Rechotał głośno, trzymając się za brzuch i kołysząc się na wielkim, obrotowym krześle. Sandy czekał cierpliwie. Wiedział, że to nastąpi. W końcu Jared się uspokoił i otarł z podbródka kapkę śliny.

- To też było w mojej wizji - powiedział Sandy. - Twój śmiech. Pozwolisz mi napisać ten artykuł?

- I ty nazywasz nasz kawałek gównem? - zapytał Jared. - Sandy, musisz iść do psychiatry. Mogę ci polecić paru dobrych, jeśli stać cię na ich honoraria.

- Nie wydrukujesz tego? - zapytał Sandy z żelazną pewnością.

- A jedzie mi tu tramwaj? - odparł Jared. - Kurwa, nie, nie wydrukuję tego. To nie jest „National Enquirer”, Sandy. Poza tym to by groziło oskarżeniem o zniesławienie. Zabójcą jest ten głupi Kanadyjczyk.

Sandy wstał.

- Wiedziałem, że to beznadziejne, zanim tu przyszedłem, ale musiałem spróbować. Dziwna sprawa, widzieć przyszłość. Z początku człowiek stara się ze wszystkich sił zmienić to, co zobaczył. Ale z czasem się męczy i daje się nieść wydarzeniom. The Nazgul się zejdą, Jared. Tylko zaczekaj. The Nazgul się zejdą i zagrają *The Armageddon Rag*, a wtedy niech Bóg ma w opiece nas wszystkich.

Odwrócił się i ruszył ku drzwiom.

- Hej, Sandy - zawołał za nim Jared. Sandy odwrócił się.

- Słucham?

- Jeśli wylądują Marsjanie, ciebie zawiadomimy pierwszego! - zapowiedział z głośnym

śmiechem.

Sandy zmarszczył brwi, czekając, aż Jared się uspokoi.

- Cieszę się, że humor ci dopisuje - stwierdził wreszcie. - Dopóki cię nie zobaczyłem, myślałem, że to płetwal błękitny jest zagrożonym gatunkiem.

Zszedł na dół i wyszedł na pokrytą breją ulicę. Nie miał ochoty jechać metrem, a poza tym miał do wykonania jeszcze jeden gest. Zatrzymał taksówkę i podał swój adres na Brooklynie.

Gdy jechali mostem Brooklyńskim, Sandy otworzył pudełko, które trzymał na kolanach, i wyrzucił pierwszą stronę powieści na zimny wiatr.

- Hej! - zaprotestował taksówkarz.

- Niech pan jedzie - polecił Sandy. - Jeśli nas zatrzymają za śmiecenie, zapłacę mandat i dam panu podwójny napiwek.

Wyrzucił drugą stronę. Potem trzecią. I następną. Przy trzydziestej siódmej się zawahał. Nadal była lekko zgięta. Przeczytał ostatnie zdanie, wciąż nieukończony. Potem wzruszył ramionami i wyrzucił kartkę przez okno. Tak jak się tego spodziewał, porwał ją wiatr. Zamiast spaść na ziemię, jak poprzednie kartki, unosiła się coraz wyżej i wyżej, aż wreszcie zniknęła na tle szarego nieba i dachów Brooklynu. Sandy śledził ją wzrokiem przez tylną szybę.

- Na pewno jest pan pisarzem - stwierdził taksówkarz. Sandy parsknął śmiechem.

- Aha - przyznał.

- Wiedziałem. Rzuca pan strony na wiatr i tak dalej.

- To tylko gest - wyjaśnił Sandy. - Mam kopię w szufladzie.

- Och - skwitował taksówkarz. To zakończyło rozmowę.

Gdy Sandy wrócił do gabinetu, znalazł na automatycznej sekretarce nagraną wiadomość. Dzwoniła Sharon. Jeśli był już gotowy zachowywać się jak dorosły, chciałyby się z nim spotkać i omówić warunki separacji. Sandy skasował nagranie, usiadł

i zastanawiał się przez chwilę. Potem zadzwonił do Daviego Parkera w Maine.

- Wysłuchaj mnie - zaczął Sandy, gdy połączył się z zastępcą szeryfa. - Jesteś dla mnie ostatnią szansą. Lebeque jest niewinny.

- Notch w to nie wierzy, Blair - odparł Parker.

- Rozmawiałem z Edanem Morse'em - nie ustępował Sandy. - Uwierz mi, to on za tym stoi.

- Mówiłem ci, żebyś trzymał się z dala od Morse'a - zgał go poirytowany Parker. - Prowadzimy w jego sprawie śledź-: two i tylko nam przeszkodzisz.

- Morse ma alibi na noc morderstwa, ale idę o zakład, że ■ wiem, kto jest prawdziwym

mordercą. Człowiek nazwiskiem Gort - 1 ney Lyle, działający na rozkaz Morse'a. Nie wiem, jak wyglą - | dają połączenia samolotowe z Maine, ale powinniście to spraw - I dzieć w liniach lotniczych. Gort zapewne przyleciał samolotem j z Los Angeles, a potem wynajął samochód. Przynajmniej mam i nadzieję, że tak zrobił. Jeśli całą drogę pokonał samochodem, bę - I dzie piekielnie trudno mu to udowodnić. Ale jeśli leciał samolo - 1 tem, nawet pod przybranym nazwiskiem, znajdziecie ludzi, któ - 1 rzy go zapamiętali. Goli głowę, nosi złoty kolczyk i ma paskudne i oparzenie słoneczne. Kiedy zabijał Lyncha mógł mieć długiej włosy i nie nosić kolczyka, a tę opaleniznę mógł zdobyć dopiero 2 później, ale i tak go zapamiętają. On jest duży, Parker.

- Na świecie jest mnóstwo dużych mężczyzn, Blair - mruk - i nął z powątpiewaniem Parker.

- Nie takich jak Gort - wyjaśnił Sandy. - On ma dobrze i ponad siedem stóp wzrostu, a do tego jest szeroki w barach.; Wygląda jak przerośnięty Mean Joe Greene. Cholera, wygląda j jak Potężny Joe Young. Założę się, że leciał pierwszą klasą. Nie sądzę, żeby facet tych rozmiarów zmieścił się w fotelu. A jeśli j się zmieścił, to gość siedzący obok niego cholernie dobrze zapa - | miętał ten lot.

- Ciekawe - przyznał Parker. - Myślisz, że jest silny?

- Wygląda tak, jakby mógł się siłować na rękę z koparką.,

- Hmmmm - mruknął Parker. - To by odpowiedziało na parę pytań. Wyrwać człowiekowi serce z piersi wcale nie jest tak łatwo. Trzeba się przebić przez klatkę piersiową. Chirurdzy chyba przecinają żebra, ale nasz zabójca po prostu je roztrzaskał. Mówisz: „Gortney Lyle”? - Westchnął. - Notch się wścieknie, ale chyba lepiej będzie, jak sprawdzę.

- Zrób to - zgodził się Sandy. - Potem będziesz musiał radzić sobie sam. Więcej już do ciebie nie zadzwonię. Nie wiem, dlaczego powiedziałem ci choć tyle. Pewnie dlatego że ci to obiecałem, a mam zwyczaj dotrzymywać obietnic.

- Nie jestem pewien, czy podobają mi się twoje słowa.

- Nie zgodziłbyś się zamknąć dla mnie jednego faceta z Denver, co? - zapytał Sandy. - Chodzi o maltretowanie dziecka. Dziecko ma jakieś trzydzieści pięć lat.

- Co ty gadasz?

- Tak sądziłem - mruknął Sandy. - No cóż, muszę to wszystko dokładnie przemyśleć. Na początek spróbuję ustalić, po której stronie jestem. I, Parker...

- Tak?

- Nie przywiązuj się zbyt do tego dziesięciolecia. Może się skończyć szybciej, niż się tego spodziewasz.

Sandy odłożył ostrożnie słuchawkę na widełki.

Siedemnaście

A gdy nadejdzie godzina ciemności Ona stoi przede mną!

Nadeszły śniegi i zamarzające deszcze, szare miesiące zimy. Sandy żył jak lunatyk, robił wszystko automatycznie, nie potrafiąc wzbudzić w sobie zainteresowania szczegółami codziennego życia. Czekał, czekał, aż coś się wydarzy, coś, czego nie potrafił jeszcze zdefiniować.

Przeniósł się do obskurnego, pełnego karaluchów mieszkania w East Village. Była tam tylko jedna sypialnia i mieściło się nad sklepem z używanymi płytami. To wydawało się dziwnie adekwatne. W szybie okna łazienki było długie, ukośne pęknięcie zimny wiatr przedostawał się do środka, mroząc muszlę klozetową i poobtlukiwane płytki, aż ich dotyk przypominał muśnięcie lodu na nagiej skórze. Sandy nie zdobył się na to, żeby poskarżyć się właścicielowi. Po prostu zamykał drzwi łazienki.

Sharon nie dawała mu spokoju, aż wreszcie zgodził się spotkać z nią i podzielić ich życie. Przygotowała papiery dotyczące podziału domu i Sandy podpisał je bez czytania. Przyjął czek na dziesięć tysięcy dolarów, złożył go i wsadził sobie do kieszeni džinsów. Trzymał go tam przez prawie miesiąc, aż wreszcie zabrakło mu gotówki i przypomniał sobie o nim. Oba konta bankowe podzielili na pół. Sandy zażądał gramofonu i otrzymał go. Sharon nalegała, by wziął również połowę mebli: tę starszą, podrapaną i cuchnącą stęchlizną. Dlatego jego niewielkie mieszka-

nie wkrótce zapchało cztery razy więcej rzeczy, niż mogło się w nim wygodnie pomieścić, i Sandy musiał kluczyć po labiryncie pudełek, pustych regałów oraz komód ustawionych jedna na drugiej, by dotrzeć do materaca, na którym spał (łóżko zabrała Sharon).

Przeżył święta pogrążony w szarym otępieniu, rzadko wychodząc z mieszkania. Jakby świat zerwał z nim kontakt, pozostawiając mu tę małą oazę samotności. A może to on zerwał kontakt ze światem. Paru przyjaciół zdobyło jego adres od Sharon i odwiedziło go, starając się pocieszyć, ale przyjmował ich pokrzepiające przemowy z nieprzychylną obojętnością i po pewnym czasie przestali przychodzić. Ciągłe sobie obiecywał, że znajdzie nowego agenta, ale jakoś nigdy tego nie zrobił. Obiecywał też sobie, że zacznie pisać powieść od nowa, lecz z tego również nic nie wyszło.

Sharon przynosiła mu od czasu do czasu pocztę, krzywiąc nos na widok stanu, w jakim było mieszkanie. Tak bardzo starała się zachowywać kulturalnie, że skłaniało to Sandy'ego do gorzkiego sarkazmu. Dostał długi, chaotyczny i zabawny list od Żabcia, w którym przyjaciel czynił mu wyrzuty za to, że wyjechał z miasta, nie spotkawszy numeru czwartego, a także

prosił o dalsze informacje w sprawie The Nazgul i Edana Morse'a. Bambi przysłała krótki, ciepły list, dołączając zdjęcie, na którym karmiła piersią swą nowo narodzoną córeczkę Azure. Był też telegram od Daviego Parkera, krótki, zwięzły i rzeczowy:

ŻADNYCH DOWODÓW NA TO, ŻE GORTNEYLILE ALBO KTOKOLWIEK ODPOWIADAJĄCY JEGO RYSOPISOWI PODRÓŻOWAŁ WE WRZEŚNIU DO MAINE.

Przez pewien czas Sandy właściwie nie był w stanie czytać poczty, nie wspominając już o odpowiadaniu na nią. Nie chciał zastanawiać się nad sobą i swoim życiem, a myśli o tym, że miałby opowiadać o nim przyjacielom, była zbyt bolesna, by ją rozważać. W gruncie rzeczy nie chciał myśleć o niczym. Znalazł

w okolicy kontakt i nabył wielką bryłę haszyszu oraz kilka kopert z trawą kiepskiej jakości. Mijały tygodnie, a on wciąż siedział na materacu, codziennie był na haju i ciągle oglądał telewizję. Kupił sobie stary, czarno-biały przenośny telewizor w znajdującym się nieopodal sklepie z używanym sprzętem. Sharon regularnie płaciła mu za dom i mógłby sobie pozwolić na wielkoekranowy, kolorowy odbiornik, ale mały telewizorek z pokojową anteną i migającym, wiecznie śnieżącym i pełnym podwójnych odbić obrazem wydawał się pasować do tego mieszkania lepiej niż nowy, drogi aparat. Sandy zżył się z fabułami i postaciami kilku nadawanych w dzień mydlanych oper i donośnym krzykiem podpowiadał kretyńskim uczestnikom teleturniejów, ale największą atrakcją dnia zawsze była powtórka „Leave It to Beaver”.

- Gdzie się podziałeś, Eddie Haskell? - mruczał.

To jednak nie mogło trwać wiecznie. I nie trwało. Sandy zbyt długo już był pisarzem i pisanie stało się częścią jego jaźni, głęboko weszło mu w krew. Słowa były jego obroną, nałogiem, środkiem, który pozwalał mu klasyfikować, uzasadniać i usprawiedliwiać swe uczynki i doświadczenia, a także zrozumieć świat i nadawać własnemu życiu jakieś pozory sensu. W ostatecznym rozrachunku, cokolwiek go spotka, będzie próbował zrozumieć to za pomocą słów. I w końcu słowa nadeszły, przebiły się przez mgiełkę haszyszu i alkoholu, kazały mu zapomnieć o Beaverze, Wallym i Lumpym Rutherfordzie, wypełniły niepokojem. Słowa nadeszły i Sandy nie mógł zrobić nic innego, jak przelać je na papier.

Był styczeń. Styczeń stał się dla niego miesiącem pisania listów. Wyłączył na dobre telewizor, włączył do kontaktu maszynę do pisania i kupił kilka żółtych bloków eleganckiego papieru. Jego listy były długie, chaotyczne i pełne dygresji. Pisał je nie tylko do adresatów, lecz również do siebie. Niektóre z nich przepisywał raz po raz, starając się dotrzeć do sedna sprawy, co nigdy mu się do końca nie udawało.

List, który napisał do Maggie, miał dwadzieścia stron, mimo że Sandy wiedział, iż

zapewne nie doczeka się odpowiedzi. Mu-

,1 siał być długi. Był pełen prowadzonych po omacku poszukiwań, dezorientacji i bólu.

List do Żabcia był jeszcze dłuższy i bardziej chaotyczny. Sandy pisał o Edanie Morsie, The Nazgul i *Musie to Wake the Dead*, bezskutecznie próbując nadać słowom sens przez przenoszenie ich na papier. Pisał o seksie, miłości i piosenkach ze starych seriali. O Alanie Vanderbecku, Sharon i o swym pisarstwie. Pisał też bardzo wiele o swym samochodzie.

Poczuł również potrzebę napisania do Bambi. Czuł się teraz bliższy jej niż kiedykolwiek dotąd. Miał wrażenie, że lepiej rozumie to, kim kiedyś była. Napisał jej o tym, opowiedziawszy najpierw pokrótce o swych kłopotach.

Zaczął pisać list do Łajzy, ale przekonał się, że nie ma ochoty go kończyć. Wiedział cholernie dobrze, że Rzeźnik albo Jane Dennison sprawdzają całą przychodzącą do jego przyjaciela korespondencję i szanse, by przedostało się cokolwiek, co napisał Sandy, równają się zeru. Nie było sensu próbować.

Zresztą nie miało to właściwie znaczenia. Gdy już skończył pisać listy do Maggie, Żabcia i Bambi, zamknął je w kopertach, przykleił znaczki, zaadresował, ale jakoś nie zdobył się na zanieśenie ich na pocztę. Po pewnym czasie uświadomił sobie, że nigdy nie miał zamiaru ich wysłać. Nie chodziło o to, żeby je wysłać, a o to, żeby je napisać.

A gdy już to zrobił, poczuł się gotowy wrócić do świata. Zaczął od tego, że porozmawiał z adwokatem w sprawie Łajzy. Prawnik obiecał mu, że zobaczy, co się da zrobić, ale radził nie liczyć na zbyt wiele. Sandy zaczął też znowu czytać gazety, nawet „Hoga”, zastanawiając się, ile czasu minie, nim zobaczy informację o comebacku Nazguli. Obawiał się tej chwili, lecz jednocześnie oczekiwał jej z niecierpliwością. Posprzątał nawet trochę w mieszkaniu, pozbył się mniej więcej połowy mebli, wyjął książki z tekturowych pudeł i poustawiał je na regałach.

Gdy nadeszły urodziny Lincolna, Sandy zdążył już dokładnie wszystko przemyśleć. Miał dwie możliwości. Mógł udawać, że wszystko, co wydarzyło się od dnia zamordowania Lyncha, było

tylko złym snem, zapomnieć o całej sprawie i zacząć odbudowywać swoje życie oraz karierę, jak rozsądny, zdrowy na umyśle człowiek. Albo mógł doprowadzić całą sprawę do końca.

Właściwie nie miał wyboru. Czuł się jak éma, która przed chwilą ujrzała wielki pożar Chicago. Podszedł do półki z płytami, wyjął *Musie to Wake the Dead* i położył ją na talerzu gramofonu.

Podczas następnych miesięcy Sandy odtwarzał tę płytę bardzo często; zużyła się tak

strasznie, że musiał wyszukać nowy egzemplarz w sklepie na dole. Im częściej słuchał muzyki, tym bardziej narastała jego pewność. Jedyнным utworem, który wydawał się nie pasować, było *Prelude to Madness*, ostatni na pierwszej stronie. Tytuł nie pozostawiał wątpliwości - *Preludium do szaleństwa* - ale tekst był niejasny i nie miał dostrzegalnego związku ze sprawą. *Dobro jest złem, czarne jest białe, gdzie, do diabła, jest dziś sprawiedliwość?* - głosił tekst. *Wilkołak popatrzył w zwierciadło i ujrzał twarz Łona Chaneya* - brzmiała inna linijka. Refren wyglądał zaś tak: *Damy zawsze biją asy, tak jest! Ręka umarłego, ręka umarłego! A Charlie jest jokerem w talii.* Ale kto to, do licha, był Charlie?

Sandy grał *Prelude to Madness* częściej niż jakikolwiek inny utwór, zastanawiając się, o czym mu mówi, próbując zrozumieć jego przesłanie. Ale nigdy nie udało mu się to do końca.

The Armageddon Rag nie grał prawie w ogóle. Uważał, że ten utwór rozumie cholernie dobrze, i to zrozumienie budziło jego niepokój.

W marcu znowu zaczęły się sny.

Niektóre z nich Sandy uważał za zwyczajne koszmary. Śniła mu się Sharon pokryta lodem. Jej skóra była sina od zimna, a na okularach osadzał się szron. Śniła mu się płacząca Maggie. Nawiedzał go nocami Rzeźnik Byrne, który polował na niego ze strzelbą w dłoniach. Pod koniec ciągle powracającego snu Sandy widział własną głowę umieszczoną na ścianie w Forcie Byrne, między głowami łosia i wielkiego niedźwiedzia. Budził się drżący i spocony, śmiertelnie zmarznięty pomimo wszystkich wytartych koców, którymi się przykrywał.

Ale inne sny budziły jego strach, te, które nie były zwykłe. Miał wrażenie, że teraz je rozpoznaje. Wyczuwał różnicę między wizjami zrodzonymi z jego własnej niespokojnej podświadomości, a tymi, które w jakiś sposób przysyłał mu Edan Morse. W tamtych snach zawierało się coś obcego. Były jaskrawe i rozgorączkowane, zawsze w pełnym kolorze, a mimo to mniej chaotyczne niż jego własne koszmary.

Nader często śniła mu się wojna. Nigdy nie był na wojnie, nie widział jej na własne oczy, ale te sny wydawały mu się bardzo realne. Był w Wietnamie, srebrne odrzutowce przelatowały z rykiem nad jego głową, na ziemię spadał napalm i Sandy czuł na ciele jego palący pocałunek. Płonął, płonął, a cierpienie trwało połowę nocy. Był zakonnicą w Salwadorze i przychodziły po niego brygady śmierci. Żołnierze gwałcili go raz po raz, dwaj albo trzej na raz, przez usta, odbył i pochwę, a potem wyjmowali noże i wkładali zimną stal wszędzie tam, gdzie wcześniej wchodziło ich ciało. Był gdzieś na Bliskim Wschodzie, pracował na polu naftowym, i z nieba opadali spadochroniarze. Łapał za karabin i próbował walczyć, ale był inżynierem, nie żołnierzem, dostawał kulę w brzuch i konał całymi godzinami.

Były też jednak dobre sny. Czasami nocą przychodziła do niego Ananda. Jej ciemne

oczy błyszczały, a gładka, brązowa skóra lśniła od olejku. Uśmiechała się do niego i dosiadała go, robiąc mu rzeczy, które robi się tylko we śnie. W końcu nadchodził świt i Sandy budził się z cichym jękiem w mokrej, zabrudzonej pościeli.

Zawsze też śniła mu się muzyka. Towarzyszyła mu na jawie i we śnie. The Nazgul grali w sali wielkiej jak noc, połamani ludzie tańczyli, żółte oczy płonęły w górze, głośny rytm rocka zagłuszał jego ostrzeżenia, Świstak John płonął, Maggio gnił, Faxon krwawił z licznych ran, Hobbins krzyczał i wił się jak opętany, a za ich plecami chudą krwawiącą kobietę przybito do wielkiego krzyża w kształcie litery X, gęstniała ciemność, powietrze przesycala aura strachu, seksu i radości oraz metaliczny smak krwi. Ten sen zawsze występował w towarzystwie poczucia, że wkrótce wydarzy się coś strasznego. Narastało ono za każdym

razem, aż wreszcie, pewnej kwietniowej nocy, Sandy'ego obudził dźwięk własnego krzyku. Usiadł w ciemności, oddychając głęboko. Był mokry od potu. Stało się coś złego - pomyślał. Sen był tak wyrazisty, że Sandy nie mógł go znieść. Nadal słyszał muzykę, melancholijną i groźną, jakby nadciągała burza. Dźwięk gitar był pełen bólu, rytm bębnów miał niemal wojskowe brzmienie, do tego stopnia, że krew napłynęła Sandy'emu do głowy. Na mrocznej równinie zbierały się armie dobra i zła. *To jest dzień, do którego przybywamy* - śpiewał Hobbins. - *To jest dzień, który wybieramy*. Rytm nabierał tempa i zaczynała się bitwa, Armagedon, wielka burza, burza dusz - jak mówił tekst, i czterej Nazgule połączyli się w jedność. *Zabij brata, zabij przyjaciela, zabij siebie* - wzywała jedna z linijek tekstu. - *Polegli są podobni do ciebie*. Walczyli dalej. Żywi czy martwi, w dzień Armagedonu nie było między nimi żadnej różnicy.

Jak długo siedział w ciemności, czekając, aż dźwięki ucichną? Jak długo dyszał ciężko, próbując się uspokoić? Jak długo siedział i słuchał, zanim zrozumiał prawdę? To była rzeczywistość. Muzyka brzmiała naprawdę, nie była częścią jego snu.

W drugim pokoju ktoś włączył gramofon i The Nazgul grali *The Armageddon Rag*.

Sandy poczuł, że przeszywa go strach, szybki, zimny i cienki jak sople lodu. Podniósł się z materaca, chwiejąc się na nogach w ciemności, i poszedł ku drzwiom.

Jedynym źródłem światła była czerwona lampka wzmacniacza oraz blade pasmo stacji radiowych, których nigdy nie słuchał. Ciemność była pełna muzyki. Kobieta siedziała na starym, wyściełanym fotelu bujanym przy oknie, ale wstała, gdy Sandy wszedł do pokoju.

Podszedł do gramofonu i wyłączył go, uciszając nagle muzykę. Hobbins umilkł w pół słowa, ostatni, przerwany akord unosił się jeszcze w zimnym, nieruchomym powietrzu mieszkania. Sandy odetchnął nieco spokojniej. Zadrżał. Otworzyła drzwi do jego łazienki i ziąb docierał teraz wszędzie. Zamknąwszy je, zwrócił się w stronę kobiety.

- Śniłaś mi się. Podeszła bliżej.

- Wiem. - Zarzuciła mu ramiona na szyję, pociągnęła go ku sobie i pocałowała. Rozchyliła usta i jej język zaatakował nieustępliwą barierę jego zębów. Odsunęła się, otwierając szeroko oczy w wyrazie zdziwienia. - Co się stało?

- Nic - odpowiedział z drżeniem Sandy. - Wszystko. Twarz miała gładką jak tafla spokojnego jeziora, pod którą kryją się głębie.

- Mam jeszcze coś do załatwienia - oznajmiła. Sandy'ego ogarnął dziwny niepokój. Czuł się tak, jak przed wielu laty, gdy przeżył z Maggie swój pierwszy raz. Znowu stał się chłopcem, do tego przerażonym. Pragnął jej, pragnął potężnie.

- Nie jestem pewien - powiedział mimo to.

- Ale ja jestem - odparła Ananda. Ujęła jego głowę w dłonie i zaprowadziła go z powrotem do sypialni.

Stał mu już w momencie, gdy zobaczył ją siedzącą w salonie, ale to był dziwny wzwód, zrodzony w równym stopniu ze strachu, co z żądz. Czuł się wyjątkowo bierny. Głowę wypełniały mu Sharon, Maggie i Armagedon.

Ananda była jednak mistrzynią egzorcyzmów.

- Tym razem wszystko zapamiętasz - obiecała mu. Było jak w jego snach. Zdjęła bluzkę, rozpięła i ściągnęła dzinsy, a potem stanęła nad nim okrakiem, ubrana tylko w majteczki. Zrobiła tę swoją sztuczkę z językiem. Jej ciało było szczupłe i gibkie, miała długie, silne mięśnie pływaczki, wysoko uniesione, jędrne piersi o brodawkach koloru ciemnej czekolady, które stwardniały natychmiast, gdy tylko Sandy musnął je palcami. Jej włosy opadały mu na twarz i pierś piękną, czarną kaskadą. Całowała go w wargi, sutki, pępek, aż wreszcie wzięła mu w usta. Bawiła się z nim przez całe lata, drażniła go językiem, doprowadzała do samej krawędzi, a potem zmuszała do zatrzymania się, przesuwając z uśmiechem językiem po wargach.

Kiedy zabawa wreszcie się skończyła, gdy w końcu zdjęła majteczki i dosiadła go, zaczęła z nim rozmawiać. Dowcipko-

wała, szeptała czułe słówka, wzdychała cicho i jęczała z przyjemności, udzielała w wulgarnych słowach pośpiesznych instrukcji. W jakiś sposób zwiększało to atrakcyjność całej sprawy, czyniło ją bardziej ekscytującą, bardziej osobistą. Przez głowę przemknęła mu myśl o Sharon, która zawsze milczała, kiedy się kochali, jakby Sandy, wchodząc w nią, wyłączał w jakiś sposób jej osobowość. Poruszała się wraz z nim i czasami jęczała, ale nigdy nic nie mówiła. Można powiedzieć, że gdy się kochali, stawała się dla niego obca, była wyłącznie ciałem. Natomiast Ananda była cały czas obecna, towarzyszyła mu przez całą drogę, a jej

umysł, dowcip i słowa czyniły jej ciało bardziej erotycznie pociągające, niż byłoby to możliwe bez ich pomocy. Gdy nadeszło spełnienie, nie był to zwyczajny orgazm, lecz orgazm wewnątrz Anandy, a to z jakiegoś powodu nie było to samo. Cały czas był świadomy jej obecności, jej uśmiechu i jej krzyków. A gdy ona osiągnęła orgazm, poruszając się na Sandym jak szalona, odrzuciła głowę do tyłu i zadrżała z głośnym westchnieniem. Jej włosy zatrzęsły się gwałtownie, a na piersi wystąpił ciemny rumieniec. Sandy czuł jej skurcze, jeden po drugim, słabnące stopniowo.

Po chwili pociągnął ją na siebie, objął i pocałował. Polizała go w ucho. Kiedy się roześmiał, stoczyła się z niego.

- Mogłabym pracować dla rządu, co? - zapytała z uśmiechem. Potem poszła do łazienki i wróciła z nasączoną ciepłą wodą szmatką, której dotyk był niewiarygodnie uspokajający.

- Powiedz coś - zażądała.

Ale w krótkim czasie jej nieobecności do pokoju wróciła ciemność, która spowiła materac, Sandy już się nie uśmiechał.

- W tych snach tylko ty byłaś dobra - stwierdził. - Całej reszty się boję.

Położyła się obok niego.

- Opowiedz mi o nich - wyszeptała. Spełnił jej prośbę. Kiedy skończył, westchnęła.

- Są paskudne - przyznała. - Ale dla ciebie to tylko sny. Dla innych to jest albo będzie rzeczywistość. Ta wojna na polach naftowych chyba dopiero się wydarzy.

- Tak - zgodził się Sandy. Odnosił podobne wrażenie. Te samoloty miały dziwnie futurystyczny wygląd.

- Chyba to rozumiesz, Sandy. W głębi duszy. Wszystko rodzi się w głębi. Edan jedynie to ujawnia. Wiedziałeś o tym od samego początku. Widziałeś rzeczy, przeciw którym walczyliśmy. Wojnę, ucisk, niesprawiedliwość. Sny miały ci o tym przypomnieć.

- A co ze snem o koncercie? - zapytał.

- Wydaje mi się, że błędnie go interpretujesz. A może nie. Może po prostu próbujesz powiedzieć samemu sobie, że czekają nas nieprzyjemne czasy, racja? To prawda. Pamiętaj, że Rag ma dwie części, a między nimi jest długi pomost. Nim dotrzemy do zmartwychwstania, musimy przejść przez ogień.

- Armagedon - zgodził się Sandy. - Fala krwi. To koszmar.

- Nie - sprzeciwiła się Ananda. - Koszmarem jest świat, który nas otacza.

- A ty jesteś pięknym snem? - zapytał. Pocałowała go lekko.

- To najprzyjemniejsze słowa, jakie od ciebie usłyszałam.

- Jak mnie znalazłaś? - zainteresował się Sandy.

- Dostałam twój adres z „Hoga”. Dalszych wskazówek udzieliła mi twoja pośredniczka handlu nieruchomościami. Miła kobieta, jeśli ktoś lubi farbowane włosy i lakier do paznokci. Co się stało?

- Okazało się, że nasze pragnienia w dziedzinie nieruchomości są zbyt rozbieżne. Ona chciała mieć luksusowe mieszkanie służące jako lokata kapitału, a ja wolałem szopę, w której można by wyprawiać hocki-klocki.

- Cieszę się z tego - stwierdziła Ananda. Przesunęła ospale dłonią po jego ciele, ruchem tak delikatnym, że Sandy aż zadrżał.

- Czemu do mnie przyjechałaś? - zapytał. - Wiem cholernie dobrze, że nie mam aż tak wiele wrodzonego uroku.

- Nie doceniasz siebie - odparła - ale poza tym masz rację. Przesłał mnie tu Edan. Dobiliśmy targu. Nazgule znowu są razem. Siedzą teraz w Filadelfii, prowadząc potajemne próby. Edan polecił mi, żebym cię tam sprowadziła.

- Ale dlaczego? - nie ustępował Sandy. - Czemu się mną interesuje?

- Chce, żebyś był z nami. Potrzebujemy twoich talentów.

- Talentów?

Usiadła, potrząsając czarnymi włosami.

- Gdy nadejdzie godzina, musimy zebrać armię. Setki i tysiące ludzi muszą przyjść wysłuchać Nazguli. Potrafisz tego dokonać. Jesteś pisarzem. Rozumiesz media i masz do nich dostęp. Edan chce, żebyś towarzyszył grupie podczas tournée, zajmując się public relations. Powiedział, że możesz sam określić swoją zapłatę.

Tego Sandy się nie spodziewał.

- Czy dlatego tu jesteś? - zapytał ostro. - Masz być częścią tej zapłaty?

Zmarszczyła brwi, krzyżując ręce na pięknych, wysoko ustawionych piersiach.

- Edan nie mówi mi, z kim mam spać - odparła. - Po takim tekście powinnam splunąć ci w twarz i wyjść, mam rację? Ale nie zrobię tego. Zapomnę o tym, co powiedziałaś. Chodzi o sprawy ważniejsze niż twoje czy moje uczucia. Pamiętaj o snach. Pomyśl, jaka jest stawka.

„Pomyśl, jaka jest stawka”.

„Uprawiam swój ogród” - powiedziała mu Maggie ze znużeniem i rezygnacją. Wydawała się stara i pokonana. Ograbiono ją z żywotności, a jej twarz zrobiła się niemal brzydka. „To był tylko głupi żart” - zadrwił Lark. Czy zawsze był taki zgorzkniały i wypalony? „Uwierz - radziła mu Bambi. - Uwierz, a będziesz szczęśliwy”. Uwierz w Jezusa albo w moc piramid, w wegetarianizm, w miłość albo w demokratów, wszystko jedno w co. Zaangażowanie zbudowane na piasku, mimo że nadchodził przyptyw. Żabcio parsknął

śmiechem. „Mogliśmy coś znaczyć” - mówił. „Ale oni nam powiedzieli: «Dzieciaki, to nie wasza dekada». Nie nasza dekada! Mogliśmy zostać kimś. Zamiast być lumpami. Bo tym właśnie jesteśmy. Lumpami ze spaghetti we włosach”. Ile żon miał za sobą? Ile college'ów? „Jest już za późno

- mówił Łajza ze spuszczoneymi oczami. - Jestem ubezwłasnowolniony. Jest za późno”. A co, jeśli nie było za późno? Edan Morse i Rzeźnik Byrne - który z nich był biały, a który czarny? Karuzela nie przestawała się kręcić, malowane kucyki wznosiły się i opadały, wszyscy się starzeli, poza jedną Mamą Cass. „Pomyśl, jaka jest stawka. Pomyśl, jaka jest stawka”.

Ananda ujęła jego dłoń. Jej ręka była drobniejsza, chłodna i silna. Paznokcie miała krótko obcięte, niemal do żywego. Przebiegł kciukiem po stwardnieniu wzdłuż zewnętrznej krawędzi jej dłoni oraz małego palca w geście czułym, lecz zarazem niepewnym.

- Znam stawkę lepiej, niż ci się zdaje - odezwał się cicho. Uśmiechnęła się.
- W takim razie jesteś z nami, tak? Przyjrzał się jej uważnie.
- Wiesz co, nawet nie znam twojego nazwiska.
- Caine - odparła. - Nigdy go nie używam. Czemu to miałyby być ważne?
- Może i nie jest - przyznał Sandy ze znużeniem w głosie.
- I jak będzie? - zapytała Ananda. - Jeśli nie jesteś elementem rozwiązania, jesteś elementem problemu. Co wybierasz, pisarzu?

Usiadł.

- Chcę zobaczyć, jak to się stanie. Zobaczyć na własne oczy. Uważam, że Edan jest pierdolonym mordercą ale w dzisiejszych czasach trudno jest znaleźć kogoś, kto by nim nie był, więc może to nie ma znaczenia. I tak będę brał w tym wszystkim udział, więc, kurwa, mogę przynajmniej coś na tym zarobić. Powiedz Morse'owi, że zrobię to dla niego.

Ananda dotknęła lekko jego policzka.

- Witaj na wojnie - powiedziała. Sandy objął ją i pocałował chciwie. Potem kochali się znowu. Tym razem on był na wierzchu i wchodził w nią z niemal rozpaczliwą siłą podczas gdy ona poruszała się pod nim, krzyczała i zachęcała go do zwiększonych wysiłków. Wydawało się, że trwa to godzinami. Mroczny, strasz-

liwy akt miłosny. Przez pewien czas Sandy odnosił wrażenie, że będzie on trwał wiecznie, że nigdy nie osiągnie spełnienia. Gdy jednak w końcu się to stało, gwałtowny spazm przypominał eksplozję, która przegnała z jego głowy wszystkie myśli. Nie zostało nic poza samym wrażeniem, pulsowaniem w kroczu oraz - być może, daleko w tle - słabym, odległym crescendo bębnow.

Potem Ananda zasnęła, ale Sandy wciąż rzucał się z boku na bok. Dręczyły go wizje

Jamiego Lyncha z wielką dziurą w piersi. Trup patrzył na niego niewidzącymi oczyma. Sandy słyszał krzyki dzieciaków pływających w Norce Świstaka, czuł zapach dymu. W końcu wstał, ubrał się i wyszedł na zimno, zostawiając Anandę na posłaniu.

W odległości dwóch przecznic znajdowała się mała cukiernia czynna przez całą dobę. Gdy Sandy dotarł na miejsce, została jeszcze godzina do świtu, ale kilku klientów siedziało już przy saturatorze, pijąc kawę i przerzucając wczesne wydanie „Daily News”. Ominął ich, docierając do telefonu, wciśniętego za automaty do flippera. Wygrzebał z kieszeni garść monet, wrzucił jedną do automatu i wykręcił numer.

Po dwunastu sygnałach usłyszał zaspany głos Jareda Pattersona.

- Kto... co? Jezu, która godzina? Kto mówi? Co jest?

- To tylko ja, Jared - wyjaśnił Sandy. - Chciałem ci tylko powiedzieć, że Marsjanie wylądowali. I wiesz co? Zostałem ich rzecznikiem prasowym.

- Osiemnaście * *

Spójrz, co zrobili z moją piosenką, mamó! Spójrz, co zrobili z moją piosenką!

To było wielkie, stare kino w podłej dzielnicy Filadelfii, zabytek z lat trzydziestych, nieczynne już od z górą dziesięciu lat, pełne rozkładu i wyblakłego uroku. Na witrynie nad wejściem było sześć szeregów neonowych rurek, trzy nad i trzy pod szarym obszarem, na którym pojawiały się tytuły filmów. Wszystkie światła od dawna już nie funkcjonowały. Poniżej stała budka biletera, zdobna jak rekwizyt z *Baśni tysiąca i jednej nocy*. Wybite szyby zastąpiono w niej deskami. Stała pośrodku holu, z którego posadzki zniknęła już mniej więcej jedna trzecia kafelków. Drzwi do wewnętrznego pomieszczenia również zabito deskami i zamknięto na kłódkę.

Sandy zaparkował Mrzonkę w zaułku za kinem i oboje wysiedli.

- Tędy - rzuciła Ananda. Poprowadziła go do jednego z wyjść przeciwpożarowych, zamkniętego wielkimi, dwuskrzydłowymi drzwiami ze stali. Z metalu obłaziła stara, czerwona farba. Był tam Gort. Czytał Sartre'a, opierając się o ceglany mur. Gdy ich zobaczył, uniósł wzrok z głośnym stęknieniem.

Sandy przywitał go znakiem pokoju.

- Klaatu borada nicto, Gort - powiedział. Olbrzym łypnął na niego spode łba.

- Cholernie oryginalne. Nienawidzę tego pierdolonego dowcipu. Wszyscy, kurwa, mówią mi to samo.

Wrócił do Sartre'a, pozwalając im przejść.

Weszli do środka, minęli krótki korytarz, odsunęli na bok ciężką aksamitną kurtynę, zakurzoną i nadgryzioną przez mole. Jej rdzawoczerwony kolor wyblakł niemal do szarości.

Gdy oczy Sandy'ego przyzwyczyły się do ciemności, zobaczył przed sobą morze pustych, butwiejących siedzeń, szeroki, opustoszały balkon, wystrój wnętrza w lekko mauretańskim stylu, sufit pomalowany w gwiazdy i chmury oraz scenę zastawioną sprzętem muzycznym. Na skrzydłach stały dwa wielkie głośniki, a pod starym ekranem bębny pomalowane w znajome czarno-czerwone wzory. Świstak John siedział już między nimi, pochłaniając kanapkę. Sandy zauważył też Ricka Maggia oraz Larry'ego Richmonda. Richmond przysiadł na skraju sceny. Wydawał się maleńki i samotny w sposób, który byłby niewyobrażalny w przypadku Patricka Henry'ego Hobbinsa. Zamknął oczy, zajęty czymś, co wyglądało jak ćwiczenia izometryczne. Maggio stał z tyłu, otoczony wianuszkami ludzi, w większości płci żeńskiej. Najwyraźniej wokół The Nazgul zdażyła się już zgromadzić grupka pieczeniarzy, groupies, popychadeł i darmozjadów. Sandy zauważył przynajmniej kilkanaście osób, których nie znał.

- Gdzie Faxon? - zapytał.

- Tam - odpowiedziała Ananda, wskazując pierwszy rząd krzeseł. Peter Faxon siedział obok przejścia, pogrążony w lekturze trzymany na kolanach papierów. Ruszyli w jego stronę.

Basista był wyraźnie zaskoczony jego widokiem.

- Blair - powiedział. Odłożył papiery na bok i wstał. Uścisnęli sobie dłonie. - Co ty tu robisz?

- Mógłbym cię zapytać o to samo - wskazał Sandy. Faxon uśmiechnął się półgębkiem.

- Nie zadawaj sobie trudu. Sam się nad tym zastanawiam. Czasami naprawdę nie wiem, co tutaj robię. - Potrząsnął głową. - To wszystko przez ciebie. Po naszej rozmowie popadłem w ponury nastrój. Być może uświadomiłem sobie, jak bardzo mi tego wszystkiego brakowało. Ale to Trący pomogła mi podjąć decyzję. Pewnego dnia w zeszłym miesiącu podeszła do mnie, wsparła ręce na biodrach i powiedziała: „Nie mogę już dłużej tego znieść. Chcesz to zrobić i wiesz, że tego chcesz, więc łap za telefon i dzwoń, zanim doprowadzisz nas wszystkich do obłądu”. Nim zdążyłem się zorientować, już byłem tutaj.

- Tutaj - powtórzył Sandy i rozejrzał się wokół. Butwiejące siedzenia, kurz, wyblakłe kotary, zapewne mnóstwo karaluchów i szczurów. - Znakomita sala do prób - stwierdził. Miejskie wysypisko śmieci było zajęte, czy co?

Faxon parsknął śmiechem.

- Miej o to pretensję do Morse'a. Mnie to szczególnie nie przeszkadza. Nostalgia. Tu właśnie się to wszystko zaczęło, Blair.

- Proszę, mów mi Sandy.

- To była pierwsza sala, w której koncertowali The Nazgul. Nazywaliśmy się wtedy

jeszcze Peter and the Werewolves. Graliśmy na wielu weselach i szkolnych zabawach, a czasami też w klubach. Staliśmy się lokalną sławą. To kino miało już kłopoty i szukało nastoletnich klientów. Wyświetlali mnóstwo horrorów, filmów o plażowiczach, wszystkiego, co zdaniem kierownictwa mogłoby przyciągnąć młodzież. W końcu wpadli na pomysł, żeby urządzić koncert rockowy z wykorzystaniem miejscowych talentów. Miejscowe talenty nie kosztują drogo. My byliśmy główną gwiazdą. Nasz pierwszy koncert odbył się tutaj, na tej scenie. - Faxon skinął głową. - Już od dłuższego czasu zastanawialiśmy się nad zmianą nazwy i doszliśmy do wniosku, że to byłby diabelnie odpowiedni moment. Dlatego, gdy wywołali nas na scenę, po raz pierwszy byliśmy The Nazgul. Zegraliśmy też mnóstwo nowych utworów. Dzieciaki były zachwycone i kierownictwo zaczęło regularnie zapraszać nas na koncerty. Graliśmy tu sześć razy, co miesiąc przez pół roku. Po ostatnim koncercie na zapleczce przyszedł facet nazwiskiem Lynch. Przyniósł nam butelkę szampana, bryłę haszyszu wielkości cegły i kontrakt.

- Od tego czasu to miejsce trochę podupadło - zauważył Sandy.

- Tak jak my wszyscy.

- Jak długo już tu siedzicie?

- - Parę tygodni.

- I? Jak wam idzie? Faxon skrzywił się.

- Powiedzmy, że musimy jeszcze poprawić parę braków.

- To przez ten cały nowy materiał - wtrąciła Ananda. On jest powodem problemów.

Te słowa wyraźnie poirytowały Faxona.

- W całej tej zabawie chodzi właśnie o nowy materiał oznajmił ostrym tonem. - Mówiłem ci już, że jestem gotowy zagrać trochę starych kawałków, bo publika będzie się tego domagała, ale całe tournée trzeba będzie oprzeć na moich nowych kompozycjach, bo inaczej będziecie musieli wziąć kogoś innego, zamiast mnie. Jasne?

Ananda uniosła ręce, uśmiechając się rozbrajająco.

- Hej, ja tu robię tylko za posłańca. Nie denerwuj się, Peter! Faxon skrzywił się ze złością.

- Przepraszam. Wiesz, co na ten temat sędzę. Jeśli Morse jest niezadowolony, niech opłaci chirurgów plastycznych, żeby wystrugali mu posłusznego, plastikowego Faxona na jego potrzeby.

- Uch - mruknął Sandy. - Widzę, że masz jakieś obiekcje do Richmonda.

Peter Faxon odwrócił się twarzą do niego, marszcząc brwi.

- To miły chłopak i naprawdę się stara, ale nie jest Patem i nigdy nim nie będzie. Poza

tym uważam, że cały ten pomysł z operacją plastyczną jest nieco upiorny. Ostrzegli mnie, ale i tak, gdy zobaczyłem go po raz pierwszy, przez kilka minut czułem się dziwnie.

- A teraz?

- Kurczę, wrażenie nie utrzymało się długo. Nikt nie znał Pata Hobbinsa lepiej ode mnie i ten chłopak nie przypomina go w najmniejszym stopniu. Chryste, on nawet ma psa!

- I co z tego?

- Pat nienawidził psów. W dzieciństwie dotkliwie pogryzł go owczarek niemiecki i musiał brać całą serię zastrzyków prze-

ciw wściekłości. Od tego czasu zawsze bał się psów, a one wyczuwały jego strach i warczały na niego, szczerząc kły. Gdyby tylko mógł, zagazowałby wszystkie psy na świecie. A Richmond wszędzie ciągnie za sobą tego neurotycznego kundla. - Wyciągnął rękę i Sandy rzeczywiście zobaczył Balroga, który siedział z boku sceny, przywiązany do zdobnej kolumny.

- A to tylko początek. Nie mam nic przeciwko chłopakowi. Trudno jest nie lubić kogoś, kto otacza cię czcią. Żałuję tylko, że Morse nie znalazł nam wokalisty zamiast tej taniej, plastikowej imitacji Hobbinsa.

- Jak rozumiem, nie obawiasz się, że Richmond zdominuje grupę tak jak Hobbins?

Faxon parsknął śmiechem.

- Chciałbym, żeby to było możliwe. Larry Richmond nie potrafiłby zdominować Piankowego Marynarzyka. - Z westchnieniem zerknął na zegarek. - No cóż, pora zaczynać. Usiądź sobie wygodnie, Sandy, i posłuchaj, jak będę cierpiał za wszystkie swe grzechy. Ostrzegam, że to może być bolesne. - Włożył dwa palce w usta i zagwizdał. Wszystkie głowy zwróciły się w jego stronę. - Kurwa, koniec przerwy - oznajmił głośno. Wracamy do roboty.

Sandy i Ananda usiedli w pierwszym rzędzie, obok kilkunastu innych widzów. Kilku specjalistów od dźwięku zajęło miejsca i Nazgule przygotowali się do gry. Świstak John popił ostatni kawałek kanapki łykiem piwa i złapał za pałki. To były pro mark 2B, duże, długie, grube i ciężkie pałki używane przez orkiestry dęte. Były masywne, lecz mimo to wyglądały krucho w jego potężnych, sękatych łapskach. Był chudy i gładko ogolony, ale nosił dzinsy i luźną, fioletową koszulkę. Przypominał Świstaka Johna znacznie bardziej niż ubrany w garnitur w paski biznesmen, z którym Sandy przed całą wiecznością przeprowadził wywiad w Camden.

Maggio wszedł na scenę z papierosem w zębach. Jego brzuszysko wystawało spod krwawoczerwonej koszulki The Nazgul, która miała co najmniej piętnaście lat i była o dwa numery za

mała. Zaciągnął się jeszcze potężnie i rzucił papierosa na scenę. Potem rozdeptał go i wziął w rękę gitarę. To był ten sam fender telecaster, na którym grał w dawnych czasach.

Zaczął ją stroić.

- Kurwa - mruknął głośno do mikrofonu.

Larry Richmond stanął z przodu, ubrany w nowe, niebieskie dżinsy i haftowaną, dżinsową koszulę. Jego gibson SG był już nastrojony, czyste buty błyszcząły, a białe włosy opadały na ramiona. Chłopak obliznął nerwowo wargi.

Na koniec na scenę wyszedł Peter Faxon, jasnowłosy i przystojny. Jego twarz miała rzeczowy, poważny wyraz. Wziął w ręce swą gitarę basową, czarnego, połyskującego metalicznie rickenbackera. Przy pomocy dźwiękowca nastroił instrument. Gdy ten skinął wreszcie głową, Faxon zwrócił się ku pozostałym muzykom.

- No dobra, zaczynamy od nowa - oznajmił. Spróbujmy na początek Sins. I wiesz co, Rick, fajnie by było, gdybyś śpiewał te same słowa co my wszyscy, dobra?

- Pierdol się, Peter - warknął Maggio.

Sandy odszukał dłonią dłoń Anandy. Był tak samo podenerwowany jak Larry Richmond. Przez z górą pół roku uganiał się za chimera, jaką byli The Nazgul, raz po raz słuchał ich starych utworów, aż wreszcie nauczył się ich na pamięć, ich muzyka i jej ukryty sens stały się jego obsesją. A wszystko prowadziło do tej chwili. Tutaj, w ruinach kina, w którym zrodziła się muzyka zespołu, wszystko miało się zacząć raz jeszcze. Długie milczenie zostanie raz na zawsze przerwane, karta się odwróci, gniew, miłość i zapomniane marzenia będą przywołane na nowo i cały kraj usłyszy prawdziwy, przerażający głos lat sześćdziesiątych. Nazgule sposobili się do lotu.

Fender Maggia zaszeptał cicho, niemal delikatnie. Richmond przyłączył się gładko do niego ze słodszy brzmieniem gibsona. Świstak John zagrał nieśmiały rytm na dwóch bębnach i Richmond zaczął śpiewać.

Myślałem ostatnio o swych grzechach... 308

Sins były niemal balladą. Muzyka brzmiała zwodniczo łagodnie, choć w tekście można się było doszukać ukrytych, złowrogich znaczeń. Potem przyszła kolej na *Goin' to the Junkyard*, gwałtowny, hardrockowy utwór o zmarnowanym życiu. Gitara basowa wygrywała ciężki, gorący rytm, a refren brzmiał: *Wszyscy idą na śmietnik!* Maggio zmienił gitarę na czerwonego gibsona firebirda w kształcie rakiety i zagrał kilka przeszywających, zniekształconych akordów, które brzmiały tak, jakby szkolny autobus pełen uczniów miażdżono pod prasą. Wrócił do fendera, gdy przyszła kolej na *Good Ol' Days*, utwór w stylu ostrego country rocka, w którym Faxon grał na skrzypkach Cajun.

Dogfood miało zjadliwy, polityczny tekst, jakiego Sandy nie słyszał od dziesięciu lat, mówiący o pekińczyku, który nabawił się podagry, podczas gdy dzieci w Azji umierały z

głodu. *Visions in the Dark* były tajemniczym, fantasmagorycznym utworem, brzmiącym jak bękarcia krzyżówka acid rocka z heavy metalem, będąca zarazem starszym bratem ich obu. Przewidziano w nim solo na perkusji dla Świstaka Johna oraz parę gitarowych wejść, z którymi mogliby sobie poradzić tylko Hendrix, Clapton oraz dawny Rick Maggio. Było tam mnóstwo skomplikowanych akordów, krzyków bólu zmuszających Maggia do skorzystania z pedału kaczki, mrocznych, drżących ech, czerni na czerni, wymagających częstego użycia echopleksu oraz przesunięć fazowych.

Maggio śpiewał główny wokal w *Cupcakes*, kolejnym przykładzie głośnego, ostrego rocka o wyraźnie feministycznym przesłaniu. Jego matowy, męski głos był wręcz stworzony do tego utworu, choć zapewne umykała mu ukryta w tekście ironia. Potem Faxon przesiadł się do klawiszy i grupa wykonała *The Things That I Remember*, słodko-gorzka piosenkę miłosną. Później zagrał na syntezatorze we *Flying Wing*, z jego obietnicą transcendencji pośród gwiazd. Do *Dying of the Light* Faxon przywłaszczył sobie słowa Dylana Thomasa. Żaden z Nazguli nie zamierzał wchodzić łagodnie do tej dobrej nocy.

Serię kończyło *Wednesday 's Child*, długi, szalony utwór z ciągnącym się bez końca pomostem, w którym bębny waliły szaleń-

czo jak młot pneumatyczny, gitary zawodziły przeraźliwie, a bas Faxona grał wciąż niżej i niżej. To powinna być cholerna apokalipsa, jeden z tych utworów, który podrywa publikę z krzeseł, zmuszając do krzyku i wymachiwania nogami, potrząsa nią i rozpala jej krew, jakby była ona spragnioną zapałki benzyną. To powinien być jeden z tych utworów, które trwają na koncercie piętnaście, dwadzieścia minut i omal nie doprowadzają do zamieszek albo do wojny.

Ale nie był.

Nie w tym wykonaniu.

Siedzący w pierwszym rzędzie starego kina Sandy bardzo wyraźnie czuł słaby odór stęchlizny oraz pluskiew dobywający się z fotela. Powinien bez reszty zatopić się w muzyce, ale myślał tylko o rozkładzie, na scenie i poza nią. Z początku był podekscytowany i pełen obaw, ale gdy grupa grała utwór za utworem, zawładnęło nim odrętwienie... a po nim nadeszło dziwne, chłodne uczucie, które było jednocześnie ulgą i rozczarowaniem.

Wszystkie obawy, które dręczyły go przez całą zimę, wydały mu się nagle bardzo odległe i głupie. Sandy siedział w starym, walącym się kinie i przyglądał się, jak trzech facetów w średnim wieku i jeden zielony dzieciak próbują ożywić magię, która dawno już umarła, brzmienie, obietnicę i urok, które odeszły ze świata w 1971, gdy z mroku nadleciała ze świstem kula, by wypisać krwią słowo: „Koniec”. Edan Morse z całym swym gadaniem o mocy

zawartej w muzyce i o prądzie, który musi znowu nadejść, nagle wydał mu się żalonym głupcem. Sandy'emu nasunęła się myśl, że nic dziwnego, iż Jared go wyśmiał. Zaslugiwał na to. Sam miał ochotę się śmiać, ale zacisnął tylko zęby i słuchał dalej.

Nie chodziło o utwory. To był wyłącznie nowy materiał i nawet jeśli niektóre kawałki z pewnością były gorsze od innych, niemal wszystkie przerastały o kilka klas wszystko, co słyszało się w dzisiejszych czasach w radiu. Faxon nie stracił talentu. Nadal był eklektyczny, nieprzewidywalny i zdolny jak wszyscy diabli. Jego utwory zachowały też charakterystyczne dla The Nazgul brzmienie - szybkie, z silnym basowym rytmem, skompli-

kowanymi liniami melodycznymi. Miały też słowa, które coś znaczyły. To była agresywna muzyka, ale nie w ten sposób, jak większość punka. Teksty były ostre i pełne groźby, ale nigdy nie były nihilistyczne, przemoc była złem, nie dobrem, a coś w samej muzyce zawierało w sobie element nie chaosu, lecz nowego, rodzącego się ładu. Nie można też powiedzieć, by Faxon się zestarzał albo nawet stał w miejscu. To nie były tylko przeróbki starych utworów The Nazgul, ale widmowe, muzyczne fantomy tego, jak grupa brzmiałaby w 1972, 1973, 1974, gdyby West Mesa się nie wydarzyła. Najlepsze z nich nie ustępowały niczemu, co The Nazgul kiedykolwiek nagrali. W dawnych czasach *Goin' to the Junkyard* i *Wednesday's Child* z pewnością znalazłyby się w pierwszej dziesiątce już tydzień po wydaniu. Być może niektóre z pozostałych również.

Nie, nie chodziło o utwory. Chodziło o grupę. The Nazgul nie umieli już grać.

Najlepiej wypadł Faxon, być może dzięki temu, że żył z tym materiałem przez tak długi czas. Jego bas i jego głos brzmiały pewnie, a również na innych instrumentach, na których grał podczas próby, reprezentował profesjonalny poziom. Ale rzadko udawało mu się osiągnąć coś więcej niż profesjonalizm. Wyraz straszliwej koncentracji, który tak często gościł na jego twarzy w dawnych czasach, gdy zalewał się krwawym potem, by dotrzymać kroku obdarzonym większym wrodzonym talentem muzykom z grupy, ustąpił miejsca zażenowaniu i frustracji. Utracił błysk. Był kompetentny - nie mniej, ale i nie więcej.

Rick Maggio miał i więcej, i mniej, na zmianę. Ostra uwaga wygłoszona przez Faxona na początku próby okazała się uzasadniona. Maggio kilkakrotnie miał wyraźne problemy z zapamiętaniem tekstu. Sandy zauważył, że markował śpiew, zarówno w *Dogfood*, jak i we *Flying Wing*. Gdy nadeszła pora na *Yisions in the Dark*, Maggio tak był zaabsorbowany grą na gitarze, że zapomniał o udawaniu i naprawdę zaśpiewał inny tekst niż pozostali. Muzyka ucichła z głośnym zgrzytem i doszło do krótkiej, nieprzyjemnej wymiany zdań między nim a Faxonem. Trzeba

jednak przyznać, że znał cały tekst *Cupcakes* i zaśpiewał go z pełną energią,

złowieszczą radością. Na gitarze prowadzącej grał bardzo nierówno. Trudne, szalone fragmenty *Visions in the Dark* zmusiłyby go do wysiłku nawet w dawnych czasach, nim jeszcze zniszczyły go prochy. Teraz znacznie wykraczały poza jego możliwości, lecz Maggio starał się, jak mógł. Sandy widział pot spływający po jego twarzy. Raz czy drugi niemal mu się udało i przez krótki moment jego palce zbliżały się do dawnej sprawności. Były coraz bliżej... ale nagle się mylił i czar pryskał. W *Wednesday 's Child* radził sobie całkiem nieźle, w *Good Ol' Days* był niewiarygodnie drewniany, a w *The Things That I Remember* odnosiło się wrażenie, że całkowicie rozmija się z tym, co powinien zagrać. Pod koniec próby jego T-shirt był mokry od potu, a twarz blada i brzydka jak brzuch śniętej ryby.

Maggio był nierówny, natomiast Świstak John Slozewski grał po prostu słabo. Maggio występował przynajmniej w barach, co pomagało mu zachować formę, a Świstak John miał zbyt długą przerwę. Solo na perkusji w *Visions in the Dark* było pozbawione wyrazu, wyglądało też na to, że nie stać go już na szalone bębnienie, jakiego wymagało *Wednesday 's Child*. Nieraz się mylił, często wydawało się też, że został pół taktu za resztą grupy i ze wszystkich sił stara się ją dogonić, jakby brakowało mu już refleksu potrzebnego, by grać muzykę, z jakiej ongiś zasłynął. Pod koniec *Wednesday 's Child* podrzucił pałkę w górę. W dawnych czasach Sandy ze sto razy widział ten numer w jego wykonaniu. Wielu rockowych perkusistów popisywało się w podobny sposób, podrzucając pałkę, a potem ją łapiąc. Świstak John słyszał z tego, że podrzuca ją wyżej niż ktokolwiek inny, a potem chwyta, nie podnosząc wzroku, gdy spadała tuż obok niego, akurat na czas, by uderzyć z głośnym brzękiem o talerze. Dzisiaj pałka wlatywała coraz wyżej, wirując na tle starego ekranu kinowego... aż wreszcie spadła w odległości dziesięciu stóp, przed Faxonem. Świstak John nie miał nawet siły się skrzywić. Miał zmęczoną zdeorientowaną minę, jakby nie potrafił zrozumieć, z jakiego powodu wszystko idzie tak źle.

I był jeszcze chłopak. Duch, który nie był duchem. Pozostała trójka mogła z czasem odzyskać dawne umiejętności, Faxon miał jednak rację, twierdząc, że Larry Richmond nie jest Patrickiem Henrym Hobbinssem i nigdy nim nie będzie. Wyglądał jak Hobbins, ubierał się jak on i starał się naśladować jego zachowanie na scenie, była to jednak tylko nieudolna karykatura. Chłopak naprawdę nieźle ciął na gitarze rytmicznej. Można nawet powiedzieć, że radził sobie z nią odrobinę lepiej niż prawdziwy Hobbins. Ale po prostu nie był materiałem na wokalistę. Kiedy mówił, jego głos brzmiał podobnie do głosu Hobbinsa, ale gdy śpiewał, wydawał się słaby, bezbarwny i wysilony. Hard rock wymagał od wokalisty wybuchowej energii, której Richmond nie posiadał, spokojniejsze utwory potrzebowały zaś głosu, który potrafiłby wydobyć z tekstu emocje, a choć chłopak się starał, brzmiało to blado i sztucznie.

Brakowało mu skali, nie starczało siły wyrazu i gniewu potrzebnych, by śpiewać tak, jak kiedyś robił to Patrick Henry Hobbins. Miał tylko białe włosy, znajomą twarz i dżinsowy strój, a to mało.

Nie wychodziło im i wszyscy o tym wiedzieli. Nazgule, Sandy, Ananda i każdy z obecnych w kinie ludzi. Gdy wybrzmiał już ostatni akord, Peter Faxon odłożył gitarę basową z pełną niesmaku miną i wyszedł na zaplecze, nie odzywając się do nikogo ani słowem. Był wyraźnie wściekły.

- Chuj z tobą, dupku - zawołał za nim Maggio i oddalił się w przeciwnym kierunku. Świstak John podniósł się ciężko ze swego tronu i poszedł po pałkę. Natomiast Larry Richmond zauważył Sandy'ego i zeskoczył ze sceny z szerokim uśmiechem.

- Cześć - zawołał radośnie. - Zauważyłem pana już w połowie występu. - Wyciągnął rękę. - Pamięta mnie pan? - zapytał niepotrzebnie. - Spotkaliśmy się w Malibu. Jestem Pat Hobbins.

Sandy uściśnił jego dłoń, ale potrząsnął głową.

- Nie, nie jesteś nim.

Richmond zrobił urażoną minę. Ten wyraz z jakiegoś powodu zupełnie nie pasował do jego bladej twarzy, tak bardzo podobnej do twarzy Hobbinsa.

- Nie podobało się panu?

- Niektóre z utworów brzmią obiecująco - odparł ostrożnie Sandy, starając się być uprzejmy. Nie sądził, by Richmond choć w przybliżeniu zdawał sobie sprawę, jak kiepsko brzmi zespół. - Ale będziecie jeszcze potrzebowali mnóstwa prób.

Chłopak skinął głową, jednak nadal wyglądał na niezadowolonego.

- Aha. Brzmielibyśmy znacznie lepiej, gdyby Peter nie był taki uparty. Powinniśmy grać stare utwory. Utwory, które znam. One wychodzą nam o wiele lepiej. No, ale z czasem się wprawimy. - Rozejrzał się wokół z uśmiechem. Ktoś z towarzyszących grupie osób szedł w jego stronę z psem na smyczy. - Hej! zawołał Richmond. - Balrogowi się podobało. Prawda, piesku? Prawda, co? - Ukląkł, podrapał zwierzę po głowie i poklepał je lekko. Balrog szczechnął radośnie na znak potwierdzenia. - To prawda, Bal, byliśmy dobrzy, hę? Brzmimy coraz lepiej, hę, Bal? - Richmond uśmiechnął się do Sandy'ego i Anandy. - Bal to mój najsurowszy krytyk - oznajmił. - Kiedy nie podoba mu się mój śpiew, zaczyna szczekać podczas występu. Słyszeliście, jak cicho siedział, prawda?

Sandy skinął głową.

- Nie szczechnął ani razu. Richmond wstał.

- Widzi pan? No cóż, niech mi pan wybaczy, panie Blair, ale muszę zabrać Bala na

spacer. Zobaczymy się później, tak? A co pan właściwie tu robi? Napisze pan o nas do „Hoga”?

- W pewnym sensie. Jestem waszym nowym rzecznikiem prasowym.

- Bomba! - zawołał z entuzjazmem Richmond. - No to zobaczymy się na następnej próbie.

Potruchtał ku wyjściu przejściem między krzesłami. Pies biegł za nim.

Sandy spojrzął na Anandę.

- Mnie na niej nie będzie - oznajmił. - Chryste, ten

chłopak myśli, że jego pies jest krytykiem rockowym! Rozerwą go na strzępy, Nando.

Twarz Anandy miała ponury wyraz. Wydawało się, że kobieta nie słyszała jego słów.

- Muszę porozmawiać z Edanem - stwierdziła.

- Gdzie on jest?

- W hotelu. Bellevue-Stratford.

- No to chodźmy - rzucił Sandy. - Sam mam mu parę rzeczy do powiedzenia.

Jechali do hotelu bez słowa. Umysł Anandy był zaprzątnięty czymś innym. Wydawało się, że próba z jakiegoś powodu wzbudziła w niej gniew. Sandy również nie miał zbyt wielkiej ochoty na rozmowę. Zatrzymali się przed hotelem i Sandy wyciągnął walizkę z bagażnika.

- Idę się zameldować - oznajmił. - Spotkamy się w pokoju Morse'a. Jaki to numer?

Podala mu go i ruszyła w stronę wind, podczas gdy Sandy udał się do recepcji. Po dziesięciu minutach, gdy zostawił już walizkę w pokoju i powiesił w szafie kilka koszul, zszedł dwa piętra niżej i zapukał do drzwi apartamentu Edana Morse'a.

Drzwi otworzyła Ananda. Nadal wyglądała na wściekłą i nie odzywała się ani słowem. Edan Morse siedział przy oknie po drugiej stronie pokoju. Znacznie mniej przypominał skauta niż w Malibu. Zaczął zapuszczać brodę, gęstą i ciemną, pokryła ona dołeczki na jego policzkach oraz małą bruzdę na podbródku. Wydawał się też szczuplejszy, jakby tracił na wadze, a oczy miał lekko podkrążone. Na tle czarnego golfu widać było masywny, srebrny naszyjnik ze skomplikowanym wisiosem w kształcie pająka i węża. Morse spojrzął na Sandy'ego z błyskiem w brązowych oczach.

- A więc jednak postanowił się pan do nas przyłączyć.

- Nie jestem pewien, czy tak bym to ujął - odparł Sandy. Edan Morse zmarszczył brwi.

- Jeśli nie wierzy pan w to, co robimy, dlaczego pan tu jest?

- Niech pan mi to powie. To pan jest magiem.

Morse złączył dłonie w piramidkę poniżej podbródka i wbił w Sandy'ego spojrzenie ciemnobrązowych oczu.

- Istnieją trzy możliwości - zaczął po krótkiej przerwie.

- Po pierwsze, wie pan, że to będzie bombowa historia i chce pan być tym, który ją spisze. Po drugie, chce pan znowu wleźć do majtek Nandy. Po trzecie, robi to pan dla pieniędzy.

- Po czwarte, wszystkie te powody razem - dodał Sandy.

- Wie pan co, Blair? Nic mnie to nie obchodzi. Dopóki wykonuje pan swoją robotę, pańskie motywacje są dla mnie całkowicie obojętne.

- W takim razie porozmawiajmy o mojej robocie - zaproponował Sandy. Podeszedł do Morse'a i usiadł na krześle naprzeciwko niego. - Ananda pewnie opowiedziała już panu o próbie. Nie potrzebuje pan rzecznika prasowego. Potrzebuje pan nowej grupy. Może powinien pan zapomnieć o Nazgulach i urządzić comeback Beatlesów. Wynająć Paula, George'a i Ringa i zrobić sobie ładną, plastikową kopię Johna Lennona. Tylko niech pan dopilnuje, żeby śpiewała lepiej niż Larry Richmond.

- Nie znam żadnego Larry'ego Richmonda - odparł Morse pozbawionym wyrazu tonem. - Gdy nadejdzie czas, Patrick Henry Hobbins zaśpiewa najlepiej w życiu. - Uśmiechnął się.

- Albo po śmierci. Może pan być tego pewien.

Sandy odchylił się do tyłu na krześle i wydał z siebie pogardliwe prychnięcie. Nie robił tego tak dobrze jak Żabcio, ale można było zrozumieć, o co mu chodzi.

- Sceptycyzm jest zdrową cechą u członka naszego świńskiego społeczeństwa - rzekł Morse. - Ale pan posuwa się w nim za daleko.

- Słyszałem, jak dzisiaj grali - warknął Sandy. - Pan ich nie słyszał.

Edan Morse wzruszył ramionami.

- W takim razie niech pan unika prób. Nie jest pan tam do niczego potrzebny. Ma pan robotę gdzie indziej. Chcę, żeby ludzie wiedzieli, że The Nazgul wracają. Chcę, żeby byli podeks-

cytowani, oczekiwali tej chwili z niecierpliwością. Aby byli na nią gotowi. Potrafi pan tego dokonać?

- Jasne - zapewnił Sandy - ale...

- Nie ma żadnych „ale”. Niech pan to zrobi, Blair. I to szybko. Zarezerwowałem już salę na pierwszy koncert. Chicago. Civic Auditorium. Dwunastego czerwca.

Sandy zmarszczył brwi.

- To tylko sześć tygodni - zdziwił się.

- Nie da pan rady?

- Ja dam. Ale Nazgule nie dadzą. Nie będą gotowi za sześć tygodni. Cholera, sądząc z

tego, jak dzisiaj brzmie, mogą nie być gotowi nawet za sześć lat.

- Będą gotowi. Zresztą nieważne. To będzie tylko wstęp. Potem przyjdzie kolej na inne, ważniejsze koncerty.

Gdy Sandy usłyszał ton, z jakim to powiedział, po plecach przebiegły mu ciarki.

- Słuchałem muzyki - oznajmił. - Ona się za tym wszystkim kryje. Muzyka budząca umarłych. Uważa pan, że ona ma w sobie, no, nie wiem, jakąś moc.

Edan Morse uśmiechnął się półgębkiem, ale nic nie powiedział.

- Prawie już panu uwierzyłem. Ale dzisiaj ta wiara mnie opuściła. *Rag* to tylko utwór muzyczny.

- Na pewno? - zapytał Morse.

- Tak - potwierdził Sandy. - A przepowiednie zawarte w innych utworach z tego albumu sprawdziły się tylko dlatego, że pan to spowodował. Pan zabił Jamiego Lyncha, czy kazał to zrobić Gortowi albo komuś innemu. Z powodu tekstu. Dlatego że jest pan świrem.

- Czy muszę temu zaprzeczać po raz drugi? Nadal nic pan nie rozumie. Naprawdę wyglądało to tak, że Peter Faxon w 1971 roku przewidział, jak będzie wyglądała śmierć Lyncha, i napisał o tym utwór. Wciąż nie chce pan ujrzeć prawdy. Muzyka była przyczyną śmierci. Albo można też powiedzieć, że chciał jej los, a muzyka tylko ją przewidziała. To był przypadek, choć bardzo fortunny dla naszej sprawy.

- A pożar Norki Świstaka? Czy to również przypadek?

- Tak. Element większego wzorca.

- Przypadek, który fortunnie zamknął wyjścia przeciwpożarowe? Nie, Morse. Ktoś chciał, żeby w tym pożarze zginęli ludzie. Ktoś chciał, żeby tekst utworu Nazguli stał się rzeczywistością. Ktoś, kto uległ złudzeniu, że krew znaczy moc. Poza tym plastik nie trafił przypadkowo do gospód w Camden.

- Plastik? - Morse wzruszył ramionami. - Czy powiedziałem, że to nie było podpalenie? Nie. Powiedziałem tylko tyle, że to nie ja byłem podpalaczem. Nie miałem nic wspólnego z tym pożarem.

Ananda słuchała tej wymiany zdań w milczeniu, teraz jednak się odezwała.

- Edan nie kłamie - zapewniła. - Znam go już od dawna i wiem, do czego jest zdolny. Mógłby kogoś okłamać dla sprawy, ale naszym zawsze mówił prawdę. A ty jesteś jednym z naszych, prawda?

Sandy zawahał się.

- Pewnie tak - potwierdził. Spojrzał na Morse'a, który ob - i racał wielki, srebrny pierścień na palcu, gapiąc się na uwięzioną w nim czarną wdowę. - Gdybym tylko potrafił

uwierzyć, że na - I prawdę nie miał pan nic wspólnego z zabójstwem Lyncha ani z pożarem.

- To, w co pan wierzy, to pański cholerny problem - wark-] nął zniecierpliwiony Morse.

- Prawdę mówiąc, wkurwia mnie pan ze swoimi pytaniami i upartą racjonalnością typową dla klasy średniej. Nie warto aż tak się dla pana trudzić, Blair. Może po - i winien pan wrócić do domu i napisać parę małych, nieszkodliwych powieści o porażce i rozpacz.

- Nie - sprzeciwił się pośpiesznie Sandy. Być może zbyt pośpiesznie. Okazał w ten sposób, jak bardzo mu na tym zależy, j Wiedział, że to ważne, by towarzyszył Nazgulom, że musi być świadkiem tego, jak to się skończy. Ale dlaczego? Czy mimo \ wszystko uwierzył? Czy nadal był reporterem i detektywem, który wniknął w szeregi nieprzyjaciela, licząc, że znajdzie jakiś dowód obciążający Morse'a w sprawie zabójstwa Lyncha? Czy też stał się jednym z nich, elementem zrodzonych z gorączki majaków o powrocie dawnych dni? Co zrobi, gdy nadejdzie czas? Powstrzyma ich czy im pomoże? Sam nie znał odpowiedzi na to pytanie. Wiedział jednak, że nie może wrócić do domu. Nie miał już domu... chyba że była nim przeszłość. - Zostaję - oznajmił Edanowi Morse'owi. - Będę pańskim cholernym rzecznikiem.

- Zgoda - odparł Morse. - Niech pan się bierze do roboty, Blair. Nie chcę już więcej słyszeć tego bezcelowego utyskiwania. - Jego twarz nagle nieco złagodniała. Przez chwilę wydawał się niemal zmęczony, jakby ciężar tego wszystkiego zaczynał się stawać dla niego zbyt wielki. - Niech pan posłucha, właściwie chcemy tego samego - powiedział lekko zakłopotanym, bardzo ludzkim głosem. - Nie różnimy się od siebie aż tak bardzo, Sandy. Wydaje ci się, że ja nie miewam wątpliwości? Czasami mam ochotę zostawić cały ten pieprzony syf i cieszyć się swoim bogactwem jak dobra, mała kapitalistyczna świnią. Nie można tracić celu z oczu, bez względu na to, jak bardzo jest odległy.

- A tym celem jest rewolucja? - zapytał Sandy.

- Rewolucja to tylko środek. Celem jest lepszy świat. Lepszy dla wszystkich. To jedyna droga, Sandy. Trzeba połączyć dzień wczorajszy z dzisiejszym. Obudzimy utraconą wizję. Czy raczej oni ją obudzą. Nazgule. Umarły duch ożyje na nowo i ogarnie cały kraj. - Morse wstał nagle. - Sam zobaczysz - oznajmił. Wszystko odbędzie się zgodnie z planem i zobaczysz to na własne oczy.

Wyciągnął do Sandy'ego rękę w uścisku Ruchu. Sandy uścisnął ją. Nie przychodził mu do głowy żaden powód, by tego nie zrobić.

- Pokój - powiedział, wykrzywając usta w ironicznym grymasie.

Nagle poczuł, że między jego kciukiem a palcem wskazującym spływa powolna strużka. Cofnął natychmiast rękę. Wewnętrzną powierzchnię dłoni pokrywała mu krew.

- Skaleczyłeś się - poinformował Morse'a.

- Nie - zaprzeczył ten, ale w tej samej chwili przyjrzał się własnej dłoni. Po jego palcu spływała jaskrawoczerwona krew. Morse patrzył na nią z bliskim grozy wyrazem twarzy. - Nie, to niemożliwe... - zaczął.

- Na pewno otworzyła się któraś ze starych ran - zauważył Sandy.

- Tak, na pewno -, poparła go pośpiesznie Ananda. Edan Morse wbił w nią spojrzenie.

- Nie ta dłoń. Nigdy nie tnę się w prawą, Nando. To zawsze jest lewa. Zawsze. - Uniósł lewą dłoń, by im ją pokazać. Na skórze było widać kilkanaście starych blizn, a także kilka znacznie świeższych. Była jednak sucha. Krwawiła zaś prawa dłoń. Co tu się dzieje, do diabła? - zapytał Morse drżącym głosem.

- Na pewno się skaleczyłeś, Edan - uspokajała go Ananda. - To wszystko. Chodź, obandażujemy ci rękę i wszystko będzie dobrze, zgoda? - Podeszła do niego i objęła go ramionami, spoglądając przez ramię na Sandy'ego. - Lepiej już idź - powiedziała. - Ja się zajmę Edanem. Zobaczymy się w twoim pokoju, kochanie.

Sandy podszedł powoli do drzwi. Gdy wyszedł na korytarz, nadał spoglądał na własną dłoń i na plamę szybko schnącej krwi Morse'a. Coś tu nie jest w porządku - pomyślał. - Coś tu jest naprawdę bardzo nie w porządku.

Dziewiętnaście

Fioletowa mgła w moim mózgu!

Wszystko wydaje mi się inne!

Czuję się dziwnie i nie wiem dlaczego!

Wspomnienie incydentu z krwawiącą dłonią Morse'a prześladowało Sandy'ego przez całą noc, ale w następnych tygodniach nigdy o nim nie wspomniano i już po kilku dniach po prostu zapomniał o całej sprawie. Był tak zajęty pracą rzeczownika, że nie sprawiło mu to trudności. Do koncertu w Chicago zostało bardzo niewiele czasu i miał mnóstwo roboty.

Wolałby zacząć powoli - kilka plotek puszczonej w odpowiednich rubrykach towarzyskich, szeptana kampania w branży, być może jakaś retrospektywa albo dwie, żeby przypomnieć ludziom, kim byli The Nazgul. Nie było jednak czasu na tego rodzaju strategię, a to znaczyło, że musiał narobić mnóstwo hałasu. Znał tylko jeden sposób, który by mu to umożliwił. Zadzwoił do „Hedgehoga”.

Jared z początku próbował zbyć go drwinami, lecz Sandy był gładki i odrobinę uniżony. Znał Jareda i wiedział, jakie guziki trzeba nacisnąć. Był odpowiednio tajemniczy i sypał aluzjami odnoszącymi się do tego, jak wielka to będzie sensacja. Bardzo często używał słowa „wyłączny”. Obiecał, że nigdy już nie zadzwoni do Jareda do domu, w żadnym wypadku, nie ma mowy, jak długo obaj będą żyli, z żadnego powodu, solennie przysięgał na grób matki. W

końcu dostał to, o co mu chodziło: okładkę.

Potem zatelefonował do „Time’a”, „Newsweeka” oraz „Rolling Stone’a” i zawarł taką samą umowę z każdym z tych pism. To było trudniejsze zadanie, gdyż nie miał do nich równie dobrego dojścia, ale po pewnym czasie uzyskał od wszystkich zgodę. W końcu to była naprawdę spora sensacja, a do tego obiecał im wyłączne prawa.

- No cóż - oznajmił Anandzie w dniu, gdy „Time” przystał w końcu z niechęcią na jego warunki - właśnie się pożegnałem z wszelkimi szansami na karierę w public relations. Gdy wszystkie te wyłączne materiały ukażą się jednocześnie, utracę całą kurewską wiarygodność, jaką mam, a także większą część tej, której w życiu nie miałem. Nie wspominając już o fakcie, że nigdy nie doczekam się dobrej recenzji w żadnym z tych pism.

- Wiedziałeś, że to niebezpieczna robota, kiedy się jej podjąłeś - odparła Ananda.

- Dlaczego wszystkie moje kobiety zawsze cytują Superkurczaka? - poskarżył się Sandy. Nagle jednak nastrój mu się poprawił. - No dobra. Warto było wykręcić ten numer, chociażby po to, żeby zobaczyć, jak Jared zrobi się zielony. O ile dobrze rozpracowałem daty, jego wyłączny materiał ukaże się ostatni. - Uśmiechnął się. - Gremlin Żabcio byłby ze mnie dumny - dodał.

Wszystkich reporterów potraktował w ten sam sposób. Przeprowadzili wywiady z Maggiem, Faxonem i Slozewskim. Mogli do woli fotografować całą trójkę, na scenie i poza nią. Ale nie wolno im było wejść na próby i starannie ukrywano przed nimi Larry’ego Richmonda. Rzecz jasna, doprowadzało ich to do szału.

- Ale co z Hobbinsem? - pytali wszystkich: Sandy’ego, Nazguli, groupies i osoby towarzyszące. - Czy macie nowego wokalistę?

- Tak i nie. - Brzmiała odpowiedź, której polecono wszystkim udzielać.

- A co to znaczy?

- Nie możemy w tej chwili wyjawić wszystkich szczegółów. Niech pan przyjedzie do Chicago.

- Musi mi pan coś dać!

- Proszę bardzo. Będzie czwarty Nazgul. Nowy wokalista albo stary. Zależy, jak na to spojrzeć. I to będzie wielkie wydarzenie. Ostatnia osoba na świecie, której by się pan spodziewał.

- A czy może mi pan to powiedzieć nieoficjalnie?

- Przykro mi.

Sandy potrząsał głową z pełną żalu miną.

- A czy skinie pan głową, jeśli zgadnę? Na te słowa uśmiechał się tajemniczo.

- Ostatnia osoba, której bym się spodziewał, tak? Hmm. Rod Stewart? Nie? Mick Jagger? Elton John? Cholera. Bruce Springsteen? Trafiłem, prawda? Nie? Kurwa. Powiedział pan, wielkie wydarzenie? Nie mam pojęcia. Paul McCartney?

Reporter z „Time’a”, skłonny do sarkazmu, najszybciej znudził się tą zgadywanką.

- Wiem - rzucił wreszcie. - To będzie Elvis.

- Ciepło - odparł Sandy z rozbawieniem w głosie. Nie chciał jednak powiedzieć nic więcej.

Wszyscy redaktorzy działu kultury myślą podobnie i Sandy wiedział o tym cholernie dobrze. W środku maja, w ciągu czterech dni, wszystkie cztery pisma trafiły do sprzedaży. „Newsweek” dał na okładkę stare zdjęcie z koncertu The Nazgul, z wielkim, czerwonym znakiem zapytania nałożonym na postać Hobbinsa. „Rolling Stone” wykorzystał fotografię Faxona, Maggia i Slozewskiego zrobioną podczas próby. Pomiędzy nimi narysowano trzymający mikrofon cień, postawą bardzo przypominający Hobbinsa. „Hog” również zrobił użytek z nowych fotografii starych Nazguli, ale grupę uzupełniało pośmiertne zdjęcie Hobbinsa. Na jego postać nałożono wielki, czerwony krzyż nitek z również czerwonym znakiem zapytania pośrodku. Do tego nad grupą krążyła czwórka tolkienowskich Nazguli.

- Kurwa, ale subtelność, Jared - mruknął Sandy. „Time” zrobił go w bambuko i dał na okładkę wydarzenia w Afryce, ale spod górnego, prawego narożnika wystawiali The Nazgul.

- W dzisiejszych czasach nikomu nie można ufać - poskarżył się Sandy.

Nad wszystkimi czterema artykułami dominowała tajemnica Patricka Henry’ego Hobbinsa. Sandy to przewidział. W gruncie rzeczy, na to właśnie liczył. To był najlepszy sposób na przyciągnięcie zainteresowania szerokiej publiczności. Starzy fani The Nazgul i tak by przyszli na koncert, ale rozgrywając to w ten sposób, zwabi do Civic Auditorium tłumy ciekawskich.

Wszyscy czterej autorzy podeszli do tematu mniej więcej tak samo. Mnóstwo fotografii, dawnych i nowych. Wzlot oraz upadek pierwszego wcielenia grupy. Groza West Mesa. Zabójca, którego nigdy nie złapano. Peter Faxon jako jeden z wielkich twórców w historii rocka. Jego załamanie nerwowe. Kariera Slozewskiego i Maggia w latach po rozwiązaniu The Nazgul. Maggio i narkotyki. Nocny klub Slozewskiego i jego tragiczny pożar. Paul Lebeque, który umożliwił comeback grupy, jako „domniemany” zabójca Jamiego Lyncha.

Niemniej jednak ton artykułów oraz umiejętności ich autorów znacznie się od siebie różniły. Sandy z lekkim smutkiem zauważył, że najgorszy był kawałek w „Hogu”. Przysłana przez Jareda reporterka władowała do niego zbyt wiele cholernej waty. Gdyby to on był

naczelnym pisma, wywaliliby ją na bruk z tym jej ładnym tyłeczkiem. Artykuł w „Rolling Stone” był najbardziej treściwy, a w „Timie” najbardziej cyniczny. Czy Nazguli skłaniają do powrotu sfrustrowane twórcze ambicje, czy też po prostu finansowa desperacja? - zapytywał autor. I czy może im się udać w czasach, gdy gust muzyczny zmienił się tak bardzo, a listy przebojów są zdominowane przez grupy takie, jak Styx, Journey i REO Speedwagon, grupy, których brzmienie jest antytezą wszystkiego, co reprezentowali w rocku The Nazgul? „Time” w to nie wierzył. Sandy właściwie również nie, ale starał się zachować wątpliwości dla siebie.

Nie miało to jednak znaczenia. Wyczuwalna podczas prób grupy atmosfera zwątpienia, przygnębienia i nadciągającej katastrofy była tak gęsta, że można ją było ciąć piłą mechaniczną. W miarę zbliżania się daty koncertu w Chicago sytuacja tylko się pogarszała. Sandy przyszedł jeszcze na kilka sesji, żeby zobaczyć, co

się podczas nich dzieje. Czuł się potem zmęczony i przygnębiony. Trzeba przyznać, że nastąpiła pewna poprawa. Poganiany biczem języka Faxon Maggio grał coraz pewniej na gitarze prowadzącej i w końcu nauczył się wszystkich tekstów. A bębnienie Świstaka Johna polepszyło się znacznie, gdy tylko zrzucił z siebie ciężar lat bezczynności i zaczął na nowo opanowywać stare sztuczki. Ale bez względu na to, jak dobrze grali, przed nimi nadal stał Richmond, a on się nie poprawiał. Starał się ze wszystkich sił, ale jedynym, który uważał, że to wystarczy, był Balrog.

- Może powinniśmy grać na wystawach psów - mruknął ponurym tonem Faxon po szczególnie uciążliwej próbie.

W ciągu tych tygodni Sandy prawie w ogóle nie widywał Edana Morse’a. Wolał on porozumiewać się z grupą za pośrednictwem Anandy i wszechobecnego Gorta. Sandy’emu to odpowiadało. Przechodziły go ciarki na myśl o Morsie i jego krwawiących dłoniach. Ananda była znacznie sympatyczniejszą towarzyszką.

Mieszkali teraz razem, dzieląc ze sobą pokój w hotelu i łóżko. Sandy nie był pewien, jak właściwie do tego doszło. Na dobrą sprawę nigdy nie mówili o swym związku. Wszystko wydarzyło się jakoś samo. Nie miał jednak nic przeciwko temu. Im lepiej poznawał Anandę, tym bardziej go intrygowała.

Spędzali w łóżku bardzo wiele czasu. Nie chodziło przy tym wyłącznie o seks, choć był on istotnym elementem całej sprawy. Nigdy jeszcze nie spotkał tak zmysłowej i pozbawionej zahamowań kobiety. Miała w sobie jeszcze więcej szaleństwa niż Maggie, nigdy nie był pewien, co zaraz przyjdzie jej do głowy, przekonał się jednak, że na ogół mu to odpowiada. Pewnego razu, po szczególnie szalonej nocy, uśmiechnął się do niej.

- Za chwilę się obudzę i przekonam się, że to był tylko erotyczny sen - powiedział.

Bardzo dużo rozmawiali ze sobą w łóżku. Raz czy drugi zdarzyło im się przegadać całą noc. Sandy włókł się potem do roboty, ziewając, lecz z jakiegoś powodu był pełen uniesienia. Ananda potrafiła też znakomicie słuchać. Opowiedział jej o rozstaniu

z Sharon i to wystarczyło, by ból zniknął. Gdy Ananda leżała w jego ramionach, ciepła i uśmiechnięta, utrata Sharon przestawała wydawać się ważna. Musiał zresztą przyznać, że nigdy nie łączyło ich ze sobą zbyt wiele.

Opowiedział jej również o Maggie, a także o innych kobietach, które przewijały się przez jego życie i jego łóżko. Powtórzył jej wszystkie ulubione anegdoty o Żabciu i śmiała się razem z nim. Opowiedział jej o Łajzie i Rzeźniku, a ona podzielała jego gniew. Mówili o jego powieściach i o tym, co znaczy dla niego pisanie. O dawnych dniach Ruchu i o „Hogu”. O filmach i komiksach, o polityce i muzyce. Niemal zawsze zgadzali się ze sobą, a nawet gdy mieli odmienne zdania, Sandy nie wyczuwał w Anandzie drwiny, która stanowiła nieodłączny element jego związku z Sharon.

- Dlaczego to zawsze ja mówię? - zapytał ją pewnej nocy, po tym, gdy perorował o czymś od dłuższego czasu. - A co z tobą?

Siedziała po turecku na łóżku, cudownie naga, i uśmiechała się do niego.

- A co ma być? - zapytała.

- Opowiedz mi o sobie. No wiesz, gdzie spędziłaś dzieciństwo, o swojej rodzinie, dawnych chłopakach, to, co zwykle się mówi.

- Ojej - zawołała z pełnym drwiny niepokojem. - On chce się dowiedzieć wszystkiego o mojej burzliwej przeszłości. Od czego powinnam zacząć? Od burdelu w Kairze? Od lat, które spędziłam w cyrku? A może chcesz się dowiedzieć, dlaczego wywalili mnie z kursu dla astronautów?

Sandy walnął ją poduszką.

- Przestań się wygłupiać - burknął. - Gadaj.

- Urodziłam się w bardzo młodym wieku - zaczęła ze śmiertelnie poważną miną. - Moi rodzice prowadzą siedzący tryb życia. Matka dostała pięć lat, a ojciec dwadzieścia.

Sandy warknął pod nosem i znowu uderzył ją poduszką. Przewróciła się na bok, złapała drugą poduszkę i oddała mu. Przez

parę minut trwała wymiana ciosów, której towarzyszyły przekleństwa i śmiech. Potem Sandy stracił poduszkę i walka przerodziła się w zapaśniczy pojedynek, który w mgnieniu oka przeszedł w akt miłosny. Oznaczało to koniec rozmów na tę noc.

Sandy jednak nie dawał za wygraną i w końcu udało mu się skłonić Anandę, żeby opowiedziała mu coś o swej przeszłości. Była dzieckiem sił powietrznych. Jej ojciec był

podoficerem i strasznym służbistą. Wydziedziczył ją przed około dziesięciu laty i od tego czasu już go nie widziała. Była jedynaczką i wychowywała się w kilkunastu bazach wojskowych, w kraju i za granicą. To było trudne, samotne dzieciństwo, po którym została jej głęboka nienawiść do wszystkiego, co wiązało się z wojskiem.

Sandy wierzył w to wszystko przez mniej więcej tydzień, dopóki Ananda nie wspomniała pewnej nocy o swej siostrze.

- Siostra? - powtórzył. - Jaka siostra?

Okazało się, że nic z tego, co mu wcześniej powiedziała, nie było prawdą. Oznajmiła mu, że w rzeczywistości była najmłodszą z trzech sióstr. Nie lubiła mówić o swej rodzinie. Nie znała ojca. Matka wspominała, że był marynarzem, ale to wszystko, co o nim wiedziała. Nigdy nie potrafiła się porozumieć ze starszymi, przyrodnimi siostrami. Najstarsza z nich została pracującą dziewczyną, jak mama. Druga wdała się w szkole w złe towarzystwo, zaczęła brać narkotyki i kopnęła w kalendarz w wieku siedemnastu lat.

Sandy okazał należne współczucie, lecz tym razem potraktował tę opowieść sceptycznie. Nie była to przy tym bynajmniej ostatnia, jaką usłyszał od Anandy. Trzeba przyznać, że nie brakowało jej wyobraźni. Pewnego razu poinformowała go, że musiała rzucić naukę w liceum. Nie, to nieprawda, dostała stypendium w Berkeley i ukończyła studia z wyróżnieniem. Ale tak naprawdę to wyrzucili ją ze studiów za udział w zamieszkach na kampusie. Studiowała dziennikarstwo. Nie, filologię angielską. Albo historię. Albo filmoznawstwo. Przynajmniej we wtorki. Jej matka nie żyła. Jej ojciec nie żył. Oboje żyli, byli miłą, starszą

parą mieszkającą w San Diego. Nie, dziesięć lat temu przenieśli się do Afryki, gdzie małżeństwa międzyrasowe nie spotykały się z tak wielkim społecznym potępieniem. Ananda uważała, że powinna zostać w kraju i walczyć. Byli tacy biedni, że jako nastolatka musiała zagrać w kilku filmach porno. Ale była dziewicą, dopóki nie poznała Edana. Edan był kiedyś jej nieoficjalnym mężem, ale ten związek rozpadł się już przed laty. Nigdy nie byli z Edanem kochankami. Nigdy jej nie aresztowano. Spędziła w więzieniu osiemnaście miesięcy. W dzieciństwie kilkanaście razy trafiała do domu poprawczego. Była najbrzydszym dzieckiem w klasie. W liceum występowała jako cheerleaderka. W liceum przystała do radykałów. Naprawdę nazywała się Sarah. A może Cynthia. Albo Jane.

- Zdajesz sobie sprawę, że wszystko to jest odrobinę niespójne? - zapytał ją wreszcie Sandy.

Ananda uśmiechnęła się tylko.

- Konsekwencja jest hobgoblinem małych umysłów. Ja jestem wielka, prawda? Mogę w

sobie pomieścić różnorodność.

- Z pewnością możesz - zgodził się Sandy. Cała sprawa zaczynała go jednak trochę niepokoić. - Posłuchaj, Nando, mam wrażenie, że nie chcesz mi zaufać. To mi się nie podoba. Czemu nie powiesz prawdy?

- Myślałam, że lubisz tajemnicze kobiety? - skontrowała figlarnym tonem.

- Cholera! - warknął Sandy. - Przestań!

Uśmiech zniknął z jej twarzy. Skrzyżowała ramiona na piersiach i popatrzyła na niego spokojnie.

- Proszę bardzo. Chcesz powagi, będę poważna. Naciskasz na mnie, Sandy, i to mi się nie podoba.

- A dlaczego?

- Być może dlatego, że cię lubię.

- To nie ma sensu.

- Czyżby? No cóż, dla mnie ma. Wiem, jak wyglądało moje życie, nawet jeśli ty tego nie wiesz. Niektóre sprawy... no cóż, powiedzmy tylko, że zrobiłam parę rzeczy, z których nie jestem

przesadnie dumna. I kilka innych, z których jestem dumna, ale których ty mógłbyś nie aprobować. Nie znamy się znowu tak długo, Sandy. Bardzo cię lubię i myślę, że ty też mnie lubisz... ale jestem niespokojna. Boję się. Być może, gdybyś naprawdę wiedział o mnie wszystko, nie lubiłbyś mnie aż tak bardzo. Tego właśnie się obawiam.

- Uważam, że powinnaś dać mi szansę.

- Może to zrobię - zapowiedziała cicho Ananda. Wyciągnęła rękę i uściśnięła jego dłoń.

- Ale nie w tej chwili. Nie tak szybko. Dzieje się zbyt wiele rzeczy i wydarzenia toczą się za szybko. Daj mi trochę czasu. Nie staraj się nic przyspieszać. Pozwól, żeby to się stało spontanicznie.

- A co będziemy robili tymczasem? - zapytał. Uśmiechnęła się do niego.

- Nadal będziemy się świetnie bawić. Poznawać się nawzajem. Cieszyć się sobą.

Zgoda?

- Pewnie tak - odparł z niechęcią. Nie podobało mu się to, ale nie chciał też naciskać zbyt mocno i ryzykować, że ją utraci. Nie sądził, by mógł to znieść, nie po wszystkim, co go spotkało.

- Świetnie - ucieszyła się. - W takim razie umowa stoi. To była jedyna poważna różnica zdań między nimi. Poza tym układało się wspaniale. Ananda była wszystkim, czego mógłby pragnąć Sandy - bystra i inteligentna, atrakcyjna, pełna erotyzmu, chętnie służąca mu

wsparciem, dowcipna. Wierzyła namiętnie we wszystkie stare, niemodne dziś idee, w które Sandy również kiedyś wierzył. W jej towarzystwie jego dawne przekonania wróciły, jakby nigdy się ich nie wyrzekł. Ananda pochłaniała tak wielką część jego życia, czasu i energii, że Sandy mógł niemal zapomnieć o swych koszmarach, o krwawiącej dłoni Morse'a, o Jamiem Lynchu i złowieszczych echach *Musie to Wake the Dead*. Wszystko to wydawało mu się teraz odrobinę głupie. Bez względu na to, jak dziwne sny mogły się przyśnić Morse'owi, nie ulegało wątpliwości, że sami Nazgule nic o nich nie wiedzą. Byli tylko zwyczajnymi ludźmi, czterema muzykami, z których każdy walczył z własnymi problemami, z własnym przeznaczeniem.

A była to ciężka walka.

- Nie chcę tu być - oznajmił pewnej nocy Sandy'emu Świstak John w barze hotelu Bellevue-Stratford. - Dawno już bym odjechał, gdyby nie ten pożar. Nie wychodzi nam. Wspomnienia powinno się zostawić w spokoju. Kiedyś byliśmy dobrzy. Najlepsi. Kurwa, byliśmy najlepsi. A nasz comeback zrobi z tego wspomnienia gówno. - Jego głos był pełen gorczy. Ale jaki mam wybór? Kurwa, nie widzę żadnego wyboru.

Łypnął na Sandy'ego spode łba, dopił piwo i zamówił następne. Słozewski pił ostatnio dużo piwa. Za dużo. Jego twarz już zrobiła się obrzmiała. Porastała ją też gęsta, czarna broda, którą zaczął zapuszczać na koncert. A pod jego pasem uwydatniał się mały brzuszek.

Peter Faxon nie okazywał frustracji tak otwarcie, ale Sandy wiedział, że on również cierpi. Trący Faxon odwiedziła ich w tym czasie trzykrotnie i ostatnim razem sprawiała wrażenie poważnie zaniepokojonej.

- Martwię się o niego - oznajmiła Sandy'emu w prywatnej rozmowie na krótko przed odlotem do Nowego Meksyku. On się boi Chicago. Bardzo. No wie pan, nie pozwala nam przyjechać na ten koncert. Ani mnie, ani dzieciom. Mówi, że nie chce, abyśmy tam byli. Że powinnam tej nocy wybrać się do kina albo polecieć z dziećmi balonem. Nie chce, żebyśmy byli wtedy w mieście. Nie chce nawet o tym rozmawiać, co jest do niego niepodobne. Wiem, co to znaczy. Nie powie tego głośno, ale uważa, że wypadnie źle, bardzo źle, i nie może znieść myśli, że to zobaczę. Sandy, wygląda pan na porządnego faceta. Niech pan ma na niego oko. Proszę po mnie zadzwonić, jeśli zrobi się niedobrze. Nie chcę, żeby coś mu się stało. Nie znowu. On nie zniósłby tego po raz drugi.

Nawet Rick Maggio nie wydawał się zbyt uszczęśliwiony tym, że jego marzenie się spełniło. Civic Auditorium w Chicago było o niebo lepsze niż Come On Inn, ale w Maggiu wyczuwało się nutę przerażenia i desperacji. Sprawiał wrażenie człowieka, który pragnie już dzisiaj zażyć wszelkich grzesznych przyjemno-

ści, ponieważ wie, że jutro to wszystko utraci. Obmacywał wszystkie towarzyszące

grupie kobiety, złożył propozycje większości, przerznął mniej więcej połowę z nich, a rankiem dzielił się z każdym długimi, bezładnymi opowieściami o swych seksualnych wyczynach. Ponieważ wyglądało na to, że nigdy nie spał dwa razy z tą samą kobietą, wkrótce musiał ich szukać coraz dalej. Ponadto jego dziewczyny stawały się coraz młodsze. Pewnej nocy Sandy spotkał go w korytarzu hotelowym. Maggio trzymał pod rękę czarną dziewczynę, która nie mogła mieć więcej niż czternaście lat. Nawet on poczuł się na chwilę zawstydzony, zanim rozciągnął usta w wymuszonym, lubieżnym uśmiechu i zapytał Sandy'ego, czy ma ochotę na resztki po nim.

Maggio twierdził też, że jest na bardzo ścisłej diecie. Rzeczywiście błyskawicznie tracił na wadze, ale z tą „dieta” to był pic na wodę. Maggio odchudzał się amfą. Udało mu się utrzymywać rzecz w tajemnicy aż do chwili, gdy Faxon przyłapał go w męskiej toalecie w przerwie między występami i pastylki posypały się na posadzkę. Klótnia, do której doszło, omal nie zabiła w zarodku comebacku Nazguli. Sandy rozmawiał właśnie ze Slozewskim, gdy nagle usłyszeli krzyki. Pobiegli w tamtą stronę, a wraz z nimi kilku innych ludzi.

Maggio był czerwony na twarzy i darł się na cały głos. Padł na kolana, podnosząc pastylki z posadzki, i zasypywał Faxona epitetami. Faxon nie odpowiadał mu ani słowem. Stał tylko przed pisuarami, spoglądając na swego gitarzystę prowadzącego z twarzą przypominającą oblicze śmierci. Maggio zebrał wreszcie wszystkie pastylki i wstał.

- Kurwa, nie masz prawa, koleś! - wrzeszczał. - Za kogo ty się, kurwa, uważasz? Nie będziesz mi rozkazywał, słyszysz? Słyszysz? Nikt nie będzie mi mówił, co mam, kurwa, robić, nikt, a już na pewno nie ty! - Przeszył wściekłym spojrzeniem Sandy'ego, Slozewskiego i resztę zebranych. - Spieprzajcie stąd, skurczybyki - warknął. - To sprawa między mną a tym pierdolonym waźniakiem. Tym cholernym, mięczakowatym waźniakiem. Nie wasz interes, kurwa. Słyszycie? I tak wszyscy jesteście

przeciwko mnie, niech się wam nie zdaje, że o tym nie wiem. To mnie dostają się wszystkie cipki, a wy mi zazdrościcie, dupki. Tak bardzo mi zazdrościcie, że wam, kurwa, ślina cieknie z pysków. Ty też, Faxon. Zwłaszcza ty. Zawsze się mnie czepiałeś. Masz ten swój wielki dom i cholerne prawa autorskie, a mnie zostawiłeś gówno. Gówno! A przecież pierdoleni Nazgule beze mnie byłiby niczym! Słyszałeś? Niczym!

- Rick... - zaczął niepewnie Świstak John.

- Zamknij się, polaczku - warknął Maggio. - To nie twój interes, koleś. Kapujesz? Kurwa, jesteś za głupi, żeby to zrozumieć. Połknąłem kilka pastylek? No i chuj! Panuję nad tym, słyszałeś, koleś? Panuję nad tym! Chodzi tylko o wagę. Kurwa, muszę stracić na wadze! Nie mogę wyjść na scenę, wyglądając tak jak teraz. Słyszycie, dupki, słyszycie? Chcecie,

żebym grał jak jakiś cholerny hipopotam, czy co? Pewnie uważacie, że wtedy to wam trafią się najlepsze laski, tak? Zapomnijcie o tym, dupki. Nic z tego. Panuję nad tym. - Spojrzał kolejno na każdego z nich. Pierdolę was - oznajmił. - Pierdolę was wszystkich.

Wyszedł zamaszystym krokiem z toalety.

- Rzeczywiście nad tym panuje, co? - zwrócił się Faxon do wszystkich obecnych, gdy Maggio już wyszedł. Odwrócił się do pisuaru i odlał się bez słowa, a potem zapiął spokojnie rozporek, wyszedł z toalety i z kina. Nie wracał przez dwa dni i Sandy zastanawiał się, czy wszystko skończone. Trzeciego dnia Faxon jednak się zjawił.

- Świstak John potrzebuje pieniędzy, a ja potrzebuję muzyki - oznajmił Sandy'emu z zimną, nieruchomą twarzą. - To będzie katastrofa, ale nie mógłbym żyć ze świadomością, że nie spróbowałem.

- A co z Maggiem? - zapytał Sandy.

- Wszystko mi jedno - odparł krótko Faxon. - Był kiedyś moim przyjacielem, ale to było dawno temu i przekonałem się, że teraz chuj mnie on obchodzi. Jeśli nam nie wyjdzie, to i tak nie będzie miało znaczenia, a jeśli nam się uda, znajdziemy zmiennika, jak Rick już się zabije. To nie powinno potrwać zbyt długo.

Od tej pory Maggio brał prochy otwarcie i demonstracyjnie. Przed każdą sesją połykał dwie pastylki, po sesji dwie następne i Bóg wiedział ile, kiedy był sam. Tłuszcz faktycznie topniał, ale razem z nim znikwały znaczące części jego osobowości. Prawie już nie odzywali się do siebie z Faxonem, a jego stosunki ze Słozewskim również stale się pogarszały, aż wreszcie omal się nie pobili z powodu jednego z opowiadanych bez końca przez Maggia kawałów o Polakach. Nawet Larry Richmond, choć traktował wszystkich z szacunkiem, zaczął się wkurzać na to, że Maggio traktuje go jak śmiecia i ciągle mu rozkazuje.

- Gdyby tylko naprawdę był Hobbitem - poskarżył się pewnego pełnego nieprzyjemnych śpięć wieczoru Sandy'emu pełen złości i żalu Świstak John. - Hobbit zawsze potrafił utrzymać Ricka w ryzach... a przynajmniej wychodziło mu to lepiej niż komukolwiek innemu.

Sandy ze wszystkich sił starał się unikać chodzenia na próby. Nie było to zbyt trudnym zadaniem. Gdy tylko rozeszła się wiadomość o comebacku Nazguli, bez przerwy dzwonili do niego reporterzy domagający się faktów i wywiadów, dawni przyjaciele członków grupy, pragnący przekazać im wiadomość, oraz masa pasożytów liczących na darmowe bilety. Poza tym pochłaniała go koordynacja działań promocyjnych w Chicago. Trzeba było przygotować informacje dla prasy, dać ogłoszenia, zaprojektować i wydrukować plakaty oraz opowiedzieć coś miejscowym mediom.

Jednak nie praca była prawdziwym powodem, dla którego unikał prób. Sprawiało mu ból, gdy słyszał The Nazgul brzęących tak źle, a atmosfera ruin filadelfijskiego kina z każdego wizytą wydawała się coraz bardziej toksyczna.

Na próbach zjawiało się coraz więcej ludzi, cała armia nieznajomych. Sandy czuł się skrępowany ich obecnością. Zaplanowana przez niego promocja spełniła swoje zadanie, a resztę zrobił Edan Morse. Na spółkę wyprodukowali niekończący się strumień gapiów, którzy chcieli zobaczyć The Nazgul. To był bardzo niejednorodny tłum. Pojawiły się, rzecz jasna, groupies, choć nie

tak liczne i nie tak ładne, jak pragnąłby tego Maggio. Większość z nich wyglądała zwyczajnie, niektóre były jeszcze niewinne i pełne zachwyty, lecz znacznie więcej sprawiało wrażenie wyblakłych, znużonych i zużytych, a trafiło się też parę naprawdę wypalonych, o uszkodzonych ciałach i pustych spojrzeniach. Były też jednak inne... zimne i opryskliwe, zbyt ciche, niebezpieczne i z jakiegoś powodu budzące strach.

W innych grupach widziało się tę samą dziwną mieszaninę. Główny specjalista od dźwięku był niskim, szerokim w barach, czarnym mężczyzną, który pracował dla Nazguli w dawnych czasach. Był kompetentny i zawsze zachowywał dobry humor, podobnie jak jego dwaj pomocnicy, choć próby w szybkim tempie niszczyły jego ducha. Ale Reynard (używał tylko imienia), oświetleniowiec, był człowiekiem Morse'a i wywierał na Sandym bardzo dziwne wrażenie - straszliwie chudy, niemal wynędzniały, rzadkie włosy miał niedbale uczesane, nosił wystrzępione, workowate spodnie, a w kieszeni koszuli z krótkimi rękawami zawsze trzymał pełno mazaków w kilkunastu różnych kolorach. Reynard był mistrzem w swoim fachu, ale jego zachowanie oscylowało między lodowatą wrogością a szalonym sarkazmem. Organizator trasy był weteranem, wybranym ze względu na swe doświadczenie i radził sobie z zadaniem całkiem nieźle, lecz pracownicy techniczni nie przypominali żadnych, jakich Sandy w życiu widział. Byli cisi, spokojni i pozbawieni poczucia humoru. Nigdy nie pili ani nie ćpali. Jedna z kobiet miała na obu rękach wytatuowane węże wijące się od nadgarstków aż po barki. Jeden z mężczyzn nigdy nie zdejmował okularów słonecznych o srebrnych szklach i nosił ze sobą nunczako. Reszta wyglądała tak irytująco normalnie, że mogliby się wtopić w tłum na zjeździe związku młodzieży. Ale gdy Gort wydawał im rozkaz - to właśnie Gortowi zlecono kierownictwo nad pracownikami technicznymi wykonywali go z niemal wojskową precyzją. Sandy czuł na ich widok gwałtowny ucisk w żołądku i nie sądził, by był w tym odosobniony. Nawet Maggio nigdy nie zaczepiał pracowników technicznych, choć było wśród nich parę całkiem atrakcyjnych dziewczyn.

czyn. Faxon nazwał ich „orkami” i Sandy wiedział, że miał na myśli oryginalny,

tolkienowski sens tego słowa, a nie dawno już nieistniejący fanclub Nazguli.

Dziesięć dni przed koncertem w Chicago Sandy odbył z Anandą krótką rozmowę na temat orków.

- To ludzie Edana, prawda? - zapytał ją. - AFW albo nawet gorzej? Dlatego wydają się tacy cholernie, bo ja wiem... pewnie zdyscyplinowani.

Uśmiechnęła się.

- I co z tego? Ja też jestem człowiekiem Morse'a, pamiętasz?

- Ale nie takim jak oni. Z nimi coś jest nie tak, Nando. Mam wrażenie, że odbierają świat na długości fali Jima Jonesa i Charliego Mansona, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Że zrobiliby wszystko, co im każe Gort. Absolutnie wszystko.

- To prawda.

- I nie niepokoi cię ta myśl?

- Są żołnierzami - odparła. - Na wojnie potrzebni są żołnierze. Wojna zmienia ludzi. Wiesz, co stało się z tymi, którzy walczyli w Wietnamie. Wojna w kraju nie była łatwiejsza, prawda? Czasami nawet trudniejsza. Tato był jednym z wrogów i mama też, i wszyscy twoi nauczyciele, a być może nawet koledzy. Oni ci nie ufają. Sandy. Dlatego są zimni. Daj im czas, dobra?

- To jest koncert rockowy, nie ofensywa w Ardenach sprzeciwił się Sandy. Zakończył jednak na tym rozmowę, czując się niepewnie. I nie była to jedyna taka chwila. Nieraz budził się nocą w swym pokoju w Bellevue-Stratford, wytrącony z równowagi snami, których nie potrafił sobie przypomnieć. Pytał wówczas sam siebie, co, u licha, tu robi, dlaczego wplątał się w to wszystko. Potem nie mógł już zasnąć. Często ubierał się po cichu, nie zapalając światła, żeby nie obudzić Anandy, i ruszał na poszukiwanie czynnej przez całą dobę kawiarni, w której mógłby usiąść za stolikiem i wpatrzeć się w brązowy, mętny płyn. Próbował dostrzec w nim odbicie brodatej twarzy, którą ledwie pamiętał, którą porzucił i zmienił już dawno temu. Wszystkie duchy wciskały się do boksu razem z nim. Widział, jak uśmiechają

- się do niego nad laminatowym blatem i słyszał ich hałaśliwą debatę. Sandy dopijał w milczeniu kawę, wpatrzony w pogrążone w mroku miejskie ulice za szybami.

Z upływem czasu bezsenne noce zdarzały mu się coraz częściej. Tydzień przed terminem pierwszego koncertu opuścili wreszcie filadelfijskie kino. Instrumenty i nowy, masywny sprzęt załadowano na ciężarówkę z naczepą, a pracownicy techniczni, specjaliści od dźwięku i oświetlenia, przyjaciele oraz groupies wsiedli do autobusu i wszyscy razem udali się do Chicago. Maggio, Słozewski oraz Lany Richmond polecili tam samolotem. Faxon miał im towarzyszyć, by jeszcze przez tydzień ćwiczyć z nimi w Chicago, oznajmił jednak, że leci do

Nowego Meksyku spotkać się z rodziną.

- Jeśli do tej pory się nie zgraliśmy, to już się nie zgramy

- wyjaśnił, nie mówiąc głośno tego, o czym wszyscy wiedzieli

- nie zgrali się. - Nie martwcie się, wróćę na koncert. Tylko nie pytajcie mnie po co.

Sandy i Ananda pojechali Mrzonką. Uwolnił się od autobusu i ciężarówki, gdy tylko stało się to możliwe, w ten prosty sposób, że nacisnął gaz do dechy i zostawił je daleko z tyłu. Poświęcił temu wszystkiemu zbyt wiele czasu i chciał choć na chwilę zostać sam. Ananda, która regularnie chodziła na próby, zachowywała się w ciągu ostatniego tygodnia niezwykle cicho, ale na trasie odzyskała werwę. Była radosna, pełna życia i erotyzmu. Urządzili sobie głupią zabawę, kochając się ze sobą w każdym mijanym stanie, a gdy tylko Sandy dawał wyraz swym wątpliwościom albo złym przeczuciom, zmieniała jego nastrój za pomocą słów bądź żartów. Była dobrą towarzyszką.

Gdy mijali Cleveland, zastanawiał się, czy nie odwiedzić Maggie, ale w towarzystwie Anandy nie wydawało mu się to dobrym pomysłem, nawet jeśli Maggie nigdy nie była zazdrosna.

Gdy dotarli do Chicago, Sandy ominął szerokim łukiem hotel Conrad Hilton. Zatrzymali się w nowym, wielkim Hyatt Regency, wysokim, nowoczesnym gigancie, o którym w roku 1968 nikomu się nawet nie śniło. Nawet w ostatniej chwili... czy może

zwłaszcza w ostatniej chwili... pozostało mu wiele rzeczy do zrobienia. Sandy zrobił je wszystkie. Kosztowało go to tyle energii, że nie miał już siły się martwić.

Ale ostatniej nocy powrócił sen.

Sala, wielka, mroczna sala. Lecz Sandy nie widział jej wnętrza. Przebywali na dworze, pod gwiazdami, niezliczonymi gwiazdami przypominającymi żółte oczy. Byli tam Nazgule, skąpani w migotliwym świetle barwy czerwieni, przyćmionego fioletu, w białym świetle, w którym zdawali się płonąć, w czarnym świetle, w którym wydawali się jeszcze jaśniejsi. Wszyscy wyglądali tak samo jak w poprzedniej wizji. Świstak John był spopielony, Faxon miał nieruchomą twarz i krwawił, a całe ciało Maggia sprawiało wrażenie ogarniętego zgnilizną i rozkładem. A przed nimi tańczył Hobbins. Hobbins, nie Larry Richmond - prawdziwy, oryginalny, martwy Patrick Henry Hobbins śpiewający tak, jak tylko on potrafił śpiewać. Był ogromny, wyższy od pozostałych, od trzech zwykłych, żywych ludzi, tak wysoki, że ocierał się o straszliwe, czarne niebo. Był też półprzezroczysty, żarzył się w nim intensywny, wewnętrzny blask. Śpiewał *The Armageddon Rag*. Za sceną stał wielki, grubo ciosany krzyż w kształcie litery X. Przybito do niego nagą, krwawiącą kobietę. Oprawcy wyrwali jej sutki szczypcami i po jej klatce piersiowej spływała krew. Następna czerwona strużka przecinała biel jej ud,

wyływając z pochwy, gdzieś z głębin ciała. Wyrwano jej również oczy. Odwróciła głowę i krzyczała, spoglądając na taniec pustymi, krwawiącymi oczodołami. Wydawała mu się skądś znajoma. Znał ją, znał tę wychudzoną kobietę-dziecko. Znał ton jej krzyków, znał wyraz ślepych, krwawiących oczu, smętne, żalosne ruchy chudego ciała. Ale skąd? Gdzie ją widział? Nie potrafił sobie przypomnieć. A za nią czaiły się demony. Były wszędzie wokół mroczne kształty wijące się w jeszcze głębszej ciemności, wąskie, żółte oczy, przeraźliwie czerwone paszcze, oddechy jak ogień. Ale na parkiecie ludzie bawili się w najlepsze, zatopieni w magii głosu Hobbinsa, w czarze Nazguli. Sandy biegał od jednego do drugiego, potrząsał nimi, uderzał, próbował jakoś do nich do-

trzeć. Żabcio uśmiechnął się do niego i rzucił jakiś żarcik. Lark oznajmił mu, że ma niesłuszne poglądy polityczne. Bambi powiedziała, że musi uwierzyć, uwierzyć w obietnice. Obietnice brzmiały pięknie. Była tam też Ananda. Tańczyła jak szalona, śmiejąc się głośno. Była naga i jej taniec miał porażająco erotyczny charakter. Zatrzymała się jednak, gdy Sandy podszedł do niej.

- Wszystko w porządku - uspokoiła go, po raz kolejny przesuwając językiem po dolnej wardze, tak szybko, tak kusząco. - Nie powstrzymuj tego. Teraz.

Ujęła jego rękę i spróbowała wciągnąć go w taniec. Nagle jednak Sandy zobaczył Edana Morse'a, który stał samotnie z boku, spoglądając na swe dłonie. Na swe krwawiące dłonie. Unosił je w górę i skapywała z nich czarna, lepka posoka.

- Coś tu nie gra - powtarzał Morse. - Coś tu nie gra.

- Nie! - wrzasnął Sandy i usiadł w łóżku, drżąc gwałtownie. Wizja zniknęła, stając się tylko zwykłym snem. Pomyślał, że czeka go kolejna ciemna, bezsenna noc. Jego krzyk obudził jednak Anandę. Kobieta dotknęła delikatnie barku Sandy'ego i pociągnęła go ku sobie.

- Miałem sen - wyjaśnił.

- Nie myśl o tym - poprosiła, kładąc jego dłoń na swej piersi. Była ciepła i żywa. Sandy poczuł, jak brodawka twardnieje pod jego dotykiem.

- To nie jest noc na złe sny - wyszeptała Ananda. Potem go pocałowała i przebiegła dłonią wzdłuż jego kręgosłupa. Wszystko w porządku - zapewniła. - Nie powstrzymuj tego. Teraz.

Zdażył już mu stanąć i rozchyliła przed nim nogi. Była bardzo wilgotna i bardzo ciepła. Wszedł w nią i znalazł w jej wnętrzu pocieszenie, znalazł ciepło i osłodę, znalazł schronienie przed burzą.

- Teraz - szeptała, gdy poruszali się razem. - Teraz, teraz, teraz, teraz.

I w końcu rzeczywiście to było teraz.

Dwadzieścia

/ pójdziemy na tańce, kochanie, i sama zobaczysz! Magia jest w muzyce, a muzyka jest we mnie!

Między hotelem Hyatt a Civic Auditorium znajdowały się ulice duchów, po których Sandy chodził podczas poprzedniego pobytu w Chicago, ulice, na których w upalną, parną noc stoczono bój, zupełnie jak w 1968 roku. Dzisiaj jednak wypełniała je innego rodzaju aktywność, normalny na Pętli ruch powiększony jeszcze przez równomierny strumień par jadących na południe z wynajętych garaży do hali, w której mieli zagrać The Nazgul. Sandy szedł sam, gdyż Ananda całe popołudnie spędziła na miejscu. W bardzo dużym stopniu czuł się częścią tłumów zmierzających na koncert. Składały się one z nieznanomych, ale miał wrażenie, że zna ich wszystkich - mężczyzn, kobiety w dzinsach i T-shirtach, tych w dzinsowych kombinezonach, tych, którzy przyjechali taksówkami, i tych, którzy wysiadali kolejno ze starych volkswagenów mikrobusów, tych, którzy mieli modne fryzury, i tych nielicznych, którzy nadal nosili długie włosy. Wiedział, że publiczność będzie starsza niż na większości koncertów rockowych. Przyjdzie mnóstwo ludzi podobnych do niego, takich jak Bambi, Żabcio i Łajza, wszyscy złączą się razem w radości, po zbyt wielu latach spędzonych oddzielnie, spotkają się raz jeszcze, żeby wysłuchać wspomnień... a być może, tylko być może, dlatego że czuli się zagubieni i czegoś szukali.

Ulica przed halą zamieniła się w istny cyrk. Taksówki podjeź-

dzały jedna po drugiej, wysadzając klientów. Samochody przejeżdżały powoli obok, kobiety wychylały się z nich przez okna i pytały krzykiem, czy ktoś ma bilety. Wszystkie auta zatrzymywały się nagle, gdy podkradał się do nich któryś z koników. Bilety zostały wyprzedane już kilka godzin po otwarciu kas. Podwójna kolejka szczęśliwców zajmowała całą przecnicę. Sandy zauważył, że wielu z nich nadal nosi brody. Dostrzegł też trochę opasek na włosy, a tu i ówdzie również kamizelki z frędzlami. Pierś pewnej kobiety o sięgających pasa rudych włosach pokrywały znaczki; znaczki popieranym przez nią ongiś kandydatów i spraw, a także zapomnianych od lat grup rockowych. Wypisanych na nich sloganów nikt już nie wykrzykiwał. Przepychając się przez tłum, Sandy poczuł zapach trawy. Naliczył mnóstwo koszulek The Nazgul; sławne niebieskie T-shirty z Martwym Hobbitem z tournée w 1969, nieskazitelnie czarne (teraz już sprane) koszulki ozdobione tylko czterema parami czerwonych oczu, które rozdawano w ramach promocji *Czarnego albumu*, zwyczajne, krwawoczerwone koszulki z białymi napisami i cieniowanym rysunkiem, a także oczywiście nowe T-shirty, które pomagał zaprojektować Sandy, ciemnofioletowe jak stary siniak ze srebrnym napisem: „NAZGULE ZNOWU LATAJĄ” umieszczonym nad nadrukiem ukazującym sylwetkę

czarnego jeźdźca na tle ogromnego, czerwonego słońca.

Pokazał w drzwiach przepustkę i wpuszczono go do środka. Na zapleczu panował chaos, jak zwykle przed koncertem, tylko dziesięciokrotnie większy. Wszyscy krzycząc, biegali w kółko. Znalazł Anandę, która towarzyszyła zespołowi. Jego członkowie siedzieli pośrodku zamieszania, starając się wyglądać spokojnie. Rick Maggio palił jointa, opierając nogi na krześle. Nadal był gruby jak świnia, mimo że stracił ze czterdzieści funtów i wywołany tym stres odbijał się w jego oczach. U jego stóp, jak wierny pies, siedziała w pozycji lotosu śliczna blondynka. Maggio nawet gaskał ją od czasu do czasu po głowie. Spoglądała wtedy na niego i w nagrodę rozciągała umalowane usta w krzywym uśmiešku. Świstak John sączył piwo, łypiąc spode łba na

własne odbicie w lustrze. Miał na sobie starą, nierównomiernie farbowaną bluzę. Z pewnością wykopał ciuch z samego dna szafy, gdzie cisnął go piętnaście lat temu. Z powrotem wyrosła mu bujna, dzika broda, dzięki której jego twarz wydawała się bardziej okrągła niż w rzeczywistości. Larry Richmond włożył czerwony, dżinsowy strój oraz czarną koszulę. Długie, białe włosy miał świeżo umyte i uczesane. Wyglądały jak lód, jak zamrożony wodospad. Właśnie wkładał szkła kontaktowe, które miały nadać jego różowym oczom odcień żywej, przesywającej, demonicznej czerwieni. Balrog spał u jego stóp.

- Gdzie Faxon? - zapytał Sandy. Ananda wzruszyła ramionami.

- Biegał jak szalony przez cały dzień. Sprawdzał światła, zatrąwał życie Reynardowi, warczał na Gorta i sprawdzał techników dźwiękowych. Wszystko chce zrobić sam. Nie wiem...

Faxon stanął w drzwiach i spojrzał na nich, marszcząc brwi.

- Już ich wpuszczają - oznajmił. - Mamy komplet. Zaraz się zacznie. - Popatrzył na trzech pozostałych Nazguli. - Próby może i nie wypadły najlepiej, ale wtedy graliśmy tylko dla wprawy. To będzie prawdziwy występ. Kapujecie? Wszyscy? Rick?

- Nie martw się, koleś - uspokoił go Maggio. - Jesteśmy w porządku. Pójdzie gładko jak dziecku sranie. Kurwa, gwarantuję ci to. To będzie największy pieprzony comeback w historii rock and rolla. Nie bądź taki spięty.

Sandy widział, że Faxon z wysiłkiem panuje nad sobą. W każdej linii jego przystojnej, niewinnej twarzy widać było autentyczne napięcie.

- Jeśli coś spierdolisz, Rick - wycedził z uwagą Faxon podejść do ciebie na scenie i wepchnę ci własny bas w pierdoloną dupę. Czy wyrażam się jasno? - Rozciągnął usta w uśmiechu. - I kto tu jest spięty? Na pewno nie ja. John, Pat, jak się czujecie?

- Trochę się denerwuję - przyznał Richmond. Sandy pomyślał, że na twarzy chłopaka wyraźnie widać lęk. To on właśnie

sprawił, że Richmond nigdy nie przypominał Hobbinsa mniej niż w tej chwili.

- Gdybyś się nie denerwował, byłbyś nienormalny - pocieszył go Faxon. - Nie martw się, chłopcze, dasz sobie radę. - W jego głosie nie było słycać przekonania. - No dobra, wszyscy wiemy, jak to ma wyglądać. Zaczniemy od *Napalm Love*, na pamiątkę dawnych czasów, a potem przejdziemy do nowych kawałków. Brzmienie jest tu naprawdę dobre. Ta hala ma rewelacyjną akustykę.

- Wiemy o tym, Peter - odparł Świstak John, uśmiechając się półgębkiem. - Graliśmy tu w siedemdziesiątym pierwszym, pamiętasz? Nie przejmuj się.

Faxon uśmiechnął się z zażenowaniem.

- Masz rację - rzucił i spojrzał na zegarek. - Zostało nam jeszcze około godziny. Ruszajcie tyłki. Idziemy do sąsiedniego pokoju. Morse przygotował prawdziwą ucztę. Gorzała, wino, piwo i tyle żarcia, że wystarczyłoby dla całej polskiej armii. Kręci się tam już mnóstwo sław. Widziałem kupę szytych na zamówienie dzinsów i złotych łańcuchów. Oczywiście, przyszli też ludzie z mediów. Sandy mówi, że mamy być dla nich uprzejmi.

- Pierdolić ten syf - warknął Maggio. - Zostanę tutaj, żeby mi zrobiła laskę.

Pogłaskał dziewczynę, która znowu się do niego uśmiechnęła.

- Jak sobie życzysz - zgodził się Sandy. - I tak to Lany ich naprawdę interesuje.

- Niech ci będzie, kurwa - mruknął Maggio. Wstał, tak jak spodziewał się tego Sandy. - A niech tam. Mogę równie dobrze wysączyć parę browarów i pogadać z tymi głębami. Chodź, maleńka.

Dziewczyna wyszła za nim z pokoju, mniej więcej w taki sam sposób, w jaki Balrog wyszedł za Richmondem.

Sandy opuścił wcześniej przyjęcie poprzedzające koncert. Było tam dla niego za gorąco i zbyt tłoczno, a w powietrzu unosiło się za dużo papierosowego dymu. Ponadto w miarę zbliżania się chwili prawdy denerwował się coraz bardziej. Większość sie-

dzeń w hali była już zajęta. Słysząc było głośny gwar tłumu, który zaczynał się niecierpliwie. Ciemna scena, zastawiona instrumentami i sprzętem wzmacniającym, wydawała się brzemienista w możliwości. Gdy Sandy przystanął, by na nią popatrzeć, u jego boku pojawiła się nagle Ananda i ujęła go pod ramię.

- Popatrz na nich - mruknął Sandy, wskazując głową na szeregi widzów, na balkony, na morze twarzy.

- A co mam tam zobaczyć?

- Mnie - wyjaśnił. - Mnie w bardzo licznych wersjach. Nas, nasze pokolenie, absolwentów z roku 1970. To nie jest koncert rockowy, to zjazd podstarzałych hipisów i

skaptowanych później radykałów. Dlaczego tu przyszli, do licha?

- Dlatego, że kiedyś, przed laty, wybrali niewłaściwą drogę - odparła Ananda z nieoczekiwaną gwałtownością. Jej głos brzmiał śmiertelnie poważnie, a ciemne oczy błyszczały. I coś wtedy stracili, tak samo jak ty. Zdradzili wszystko, w co wierzyli, porzucili swe ideały, zmienili się w swoje cholerne mamusie i tatusiów, ledwie zdając sobie z tego sprawę. A teraz świat sra na nich, tak jak srał na ich rodziców, i wcale nie są z tego zadowoleni. Zrozumieli, nie tylko w głowie, ale i w głębi duszy, że ten świat śmierdzi. Wiedzą, że mogli go zmienić, ale zmarnowali swoją szansę. Dlatego chcą odzyskać. Chcą wrócić do czasów, gdy coś znaczyli, gdy jeszcze w coś wierzyli, gdy istniała jeszcze choć niewielka nadzieja, że ich życie będzie coś znaczyło. A muzyka to jedyna droga, Sandy, jedyna droga powrotu. Mam rację?

- Chciałbym to wiedzieć - odparł z uśmiechem Sandy. Nagle nasunęły mu się na myśl słowa piosenki. - *Jak pył gwiazdny, jak sen złoty, my musimy wrócić tam, gdzie ogrody* - zacytował.

- Otóż to.

- A co, jeśli nigdy nie było tych ogrodów, Nando? Jeśli one nigdy nie istniały?

Nie zdążyła odpowiedzieć. Nagle otoczyli ich ludzie, hałas i nich. Skończyło się przyjęcie na zapleczu i ludzie wyszli na korytarz. Po chwili wszystkie światła w hali zgasły jednocześnie.

Wyczuwało się bezruch, oczekiwanie. Rozmowy nagle ucichły. Puls tłumu wydawał się wręcz dotykalny, podekscytowany, szybki rytm ich wspólnego serca, W powietrzu unosiła się woń strachu i nadziei.

Na długą chwilę nastąpiła ciemność i milczenie. Widzowie wstrzymali oddechy.

Potem ciszę wypełnił głos zapowiadającego:

- Panie i panowie, po raz pierwszy od roku 1971... The Nazgul!

Trzy snopy płomiennie czerwonego blasku padły z góry na pogrążoną w nieprzeniknionym mroku scenę. Nazgule stali na niej tak, jak na koncertach w odległej przeszłości. Odległej, ale nie zapomnianej. Rick Maggio uśmiechnął się i przesunął długimi, twardymi paznokciami po strunach telecastera. Potem oparł się o pedał kaczki, produkując dziki, nieharmonijny dźwięk, którym rzucił wyzwanie nocy. Świstak John, skrzywiony wściekle za czerwono-czarnymi bębnami, zagrał drżący werbel na wielkim tam-tamie. Peter Faxon trzymał przed sobą gitarę basową niczym tarczę chroniącą go przed światem. Jego nieruchoma twarz nic nie wyrażała. Nastroił rickenbackera tak spokojnie, jakby był w hali zupełnie sam.

Widzowie poderwali się z krzeseł. Krzyczeli, klaskali, gwizdali i tupali, wyrażając głośno swą aprobatę. Wszystkie krzyki połączyły się w donośny, nieartykułowany hałas, grom powitania, który ciągnął się i ciągnął, zagłuszając słaby dźwięk werbla Świstaka Johna, niską wibrację basu Faxona oraz przeszywający jęk gitary Maggia. Hałas wciąż narastał, aż wreszcie zaczęło się wydawać, że nigdy się nie skończy, że grupa nie będzie miała jednak okazji zagrać... i nagle, niby głos samego Boga dobiegający z nieba, zabrzmiał głos Larry'ego Richmonda, wypowiadający słowa Patricka Henry'ego Hobbinsa, słowa, które powinno się wypisać na jego nagrobku.

- *No dobra, dzieciaki* - mówił głos, przebijając się przez aplauz niczym nóż - *a teraz zagramy rocka, aż krew popłynie wam z uszu!*

Zapalił się biały reflektor, niewiarygodnie jasny, gorący jak supernowa, snop blasku przeszył mrok, rozświetlając drobinki kurzu. Światło zapłonęło, padło na scenę i dotknęło go. To był on, chodził wokół bębnow, to był on, jego białe włosy lśniły w blasku reflektora, miał na sobie strój czarny i błyszczący jak grzech, czerwony jak zagłada, oczy mu płonęły, to był on, to był on, zawiesił na szyi gitarę, podszedł do mikrofonu, to był on, to był on, niemożliwe, dawno już go pochowano, niemożliwe, ale to był on, Patrick Henry Hobbins, to był on, Hobbit we własnej osobie, stał na scenie, wrócił z cholernego grobu.

Tłum ucichł gwałtownie. Przez niekończącą się chwilę halę wypełniała cisza niedowierzania. Wierni gapili się na cud, nie wierząc własnym oczom. Z tyłu ktoś krzyknął histerycznie. I nagle aplauz powrócił, dwukrotnie głośniejszy niż przedtem, tak szalony, gwałtowny i ochrypły, że wydawało się, iż zerwie dach budynku. Nazgule napawali się nim. Sandy zauważył, że uśmiechnęli się jeden po drugim. Minęło wiele czasu. Naprawdę wiele.

To Peter Faxon pierwszy odzyskał rezon i rozproszył czar. Uniósł głowę, uśmiechając się szeroko.

- Hej, chcecie posłuchać trochę rock and rolla? - zawołał. Audytorium odpowiedziało mu głośnym krzykiem i aplauz ucichł powoli. Nazgule popatrzyli na siebie nawzajem i Maggio zagrał skwierczący riff otwierający *Napalm Love*. Tłum rozpoznał ten dźwięk i krzyknął głośno. Gitara rytmiczna Richmonda podchwyciła rytm, podążając za instrumentem Maggia, a potem dołączyły się bas i perkusja. Tempo rosło, widzowie krzyczeli coraz głośniej, aż wreszcie Larry Richmond odrzucił gwałtownie do tyłu długie białe włosy i zaśpiewał:

Hej, kochanie, co widzisz na nieeeeebie?!

Odpowiedział mu głos Maggia, brzmiący jak napędzana whisky betoniarka:

To miiiiiiłość!

Potem zagrali na ful. Gitary zahuczały chórem, Słozewski krzywił się zawzięcie,

Richmond przechodził od jednej pozy Hobbinsa do drugiej, tańczył, prężył się i wymachiwał swym gibsonem, śpiewając szalony tekst Faxona najlepiej, jak potrafił.

Przez kilka minut widzowie sprawiali wrażenie zachwyconych. Większość z nich nadal stała, kołysząc się i krzycząc. Jakaś kobieta na przedzie weszła na krzesło i zaczęła tańczyć. Gdy Nazgule przeszli do pierwszego refrenu, chyba ze sto głosów zaśpiewało razem z nimi: *Ooooo, napalm! Ooooo, napalmowa miłość!*, tak jak tysiące głosów śpiewały niegdyś te słowa na koncertach, demonstracjach i pierwszomajowych paradach.

Richmond dawał z siebie wszystko, wszystko, na co go było stać...

Jest gorący, bo cię Kocham! Oo, parzy, bo cię Kochamy!

...ale choć audytorium było rozgrzane i spragnione muzyki, mimo że Maggio grał na gitarze prowadzącej tak, jak nie grał od lat, bas brzmiał rytmicznie i złowieszczo, pomimo że mieli po swej stronie wspomnienia, wszystko, na co było stać Richmonda, po prostu nie wystarczało. Sandy'emu trudno było określić, w którym momencie zaczęła się zmiana, ale nie sposób było jej nie zauważyć. Stopniowo, jeden po drugim, widzowie uświadamiali sobie, że nie słyszą prawdziwego Hobbinsa, lecz jego zręczną, plastikową imitację, która śpiewa znacznie gorzej od niego. Wszyscy po kolei siadali na krzesłach. Drugi refren spotkał się ze znacznie słabszą odpowiedzią. Maggio i Faxon starali się ze wszystkich sił podczas pomostu, cięli na gitarach tak szybko i gwałtownie, jak tylko potrafili, i wydawało się, że to trochę pomogło, ale tylko do chwili, gdy Richmond znowu zaczął śpiewać. Ostatni refren grupa zaśpiewała właściwie sama, pomagało jej bardzo niewiele głosów z widowni. Tańcząca kobieta zeszła z krzesła. Brawa były zdrowe, ciepłe i pełne szacunku... ale także pozbawione przekonania.

Widzowie czekali na dalszy ciąg. Pewność ich opuściła.

- A to był jeden ze starych utworów - mruknął do Anandy przygnębiony Sandy. - Mają kłopoty.

Napalm Love powinna była stać się wybuchowym początkiem koncertu i podnieść poziom energii na sali o kilka kresiek. Dlatego w drugim punkcie programu przewidziano *Sins*, jeden ze spokojniejszych nowych utworów. Okazało się to fatalnym błędem. Nieznany kawałek nie obudził w tłumie żadnych wspomnień, nie zagrał na strunach emocji, a ponieważ był stosunkowo wolny, znacznie łatwiej było zauważyć braki imitacji Hobbita. Richmond jak zwykle dawał z siebie wszystko i nadal bardzo przypominał Hobbinsa wyglądem oraz zachowaniem. Wszystkie ruchy i gesty opanował na blachę... ale reakcja publiczności była co najwyżej letnia.

Gdy utwór się skończył, nie tylko Świstak John wykrzywił twarz we wściekłym

grymasie. Faxon również nie wyglądał na zadowolonego, a Maggio już zrobił się mokry od potu. Po *Sins* przyszła kolej na *Goin' to the Junkyard* z jego głośnym, natarczywym rytmem i chwytliwym refrenem. W teorii mógł on być chwytliwy, ale jakoś nikt z widzów go nie podchwycił. A to jest być może najlepszy z nowych utworów - pomyślał Sandy. Stał przy wejściu za kulisy, trzymając Anandę za rękę, a jego uczucia były dziwnie mieszane. Tajemnicze, szalone marzenia Edana Morse'a o rockandrollowym Armagedonie konały właśnie na scenie i Sandy czuł z tego powodu pewną ulgę... ale jednocześnie był rozczarowany i mocno zasmucony.

Flying Wing runęło z hukiem na ziemię, *Dying of the Light* umarło, a po nim niepokój widzów stał się wyraźnie wyczuwalny. To był pierwszy koncert The Nazgul od roku 1971, pełna sala, i nikt nie miał nawet ochoty wstać z krzesła. Istna tragedia. Z każdym następnym utworem reakcja audytorium wydawała się coraz słabsza. Po *Dying of The Light* rozżółony Maggio warknął do mikrofonu:

- Hej, kurwa, śpicie czy co? Gramy tu rocka, koleś.

- Kit z takim rockiem! - odkrzyknął jakiś malkontent.

Faxon obrzucił Maggia długim, zdesperowanym spojrzeniem.

- *Visions of the Dark* - zapowiedział. To poprawiło nieco klimat. Świstak John wykonał solo na perkusji i widzowie nagrodzili go gwizdami oraz krzykami aprobaty, a Maggio radził sobie całkiem przyzwoicie, nawet jeśli nie rewelacyjnie, z trudnymi gitarowymi akordami. On również otrzymał w nagrodę kilka okrzyków. Towarzyszył im jednak głos tego samego malkontenta co poprzednio.

- Grajcie stare kawałki! - zawołał. Poparło go kilka innych głosów.

- Wścieknij się dla nas, Rick! - domagał się jakiś chłopak.

- My chcemy *Rag*! Dajcie nam *Rag*! - wołała kobieta. Richmond obejrzał się, by spojrzeć na Faxona, który znowu zmarszczył brwi.

- Czy ktoś tu lubi ciasteczka? - zapytał. Nie było odpowiedzi.

Mimo to Maggio wyszczerzył zęby w uśmiechu, a Richmond odwrócił się z zaleknionym wyrazem spoconej twarzy, i The Nazgul zagrali *Cupcakes* najlepiej, jak potrafili.

- Totalna kłapa - mruknął Sandy. - Mieli zachować *Cupcakes* na początek drugiej części.

- Tubylcy się burzą - zauważyła Ananda.

- Niech jedzą ciastka - mruknął ponuro Sandy. Głównym wokalistą był w tym utworze Maggio. Jego ochryply głos dobrze sobie radził z ostrym tekstem Faxona, Richmond skupił całe swe siły na gitarze, a Świstak John omal nie eksplodował za bębnami, więc *Cupcakes*

przyjęto całkiem dobrze. Gdy Slozewski zakończył utwór serią uderzeń w talerze, kilka osób wstało nawet z miejsc, a ktoś zawołał:

- Tak jest! Tak trzymać!

Słysząc też było jednak inne głosy, domagające się ulubionych utworów, takich jak *Elf Rock*, *This Black Week*, *Ragin'* i *The Armageddon Rag*.

Muzycy byli już jednak wyraźnie zmęczeni.

- Zrobimy sobie teraz krótką przerwę - oznajmił Faxon ale nigdzie nie idźcie, bo niedługo wrócimy.

Znużonym ruchem zdjął gitarę basową i poczłapał za kulisy. Pozostali poszli za nim.

Mijając Sandy'ego i Anandę, warczeli na siebie nawzajem.

- Chuj z tego będzie, koleś - oznajmił głośno Maggio wszystkim, którzy chcieli go słuchać. - Nowe kawałki są gównem warte, a ten tępą szczyl nie umie śpiewać. Chuj z tego będzie.

Sandy podążył za nimi, podobnie jak Ananda i kilkunastu innych ludzi. Faxon przegnał większość z nich jednym, na wpeł artykułowanym warknięciem, ale Sandy'emu i Anandzie pozwolił zostać. Świstak John klapnął ciężko na fotel i otworzył piwo. Maggio wygrzebał z kieszeni trochę czarnych pastylek - trzy sztuki - i połknął je, popijając z gwinta Jackiem Danielsem. Larry Richmond siedział bez ruchu, gapiąc się na własne stopy. Wyglądał tak, jakby chciał umrzeć. Faxon oparł się o drzwi i popatrzył kwaśno na pozostałych.

- Co teraz zrobimy? - zapytał.

- Chłopak sobie nie poradzi - stwierdził Maggio. - Daj mi zaśpiewać, koleś. Kurwa, musimy ratować własną dupę. Słyszałeś ich, kiedy śpiewałem *Cupcakes*. Byli zachwyceni. Kurwa, zachwyceni.

- Zrobiłem, co tylko mogłem - bronił się Richmond łamiącym się głosem, jakby miał zaraz się rozplakać. - Wydawało mi się, że brzmiałem całkiem nieźle.

Balrog podszedł do Richmonda i położył łeb na jego kolanach. Chłopak pogłaskał go roztargnionym ruchem, uśmiechając się blado.

- Staraleś się - przyznał Faxon. - Wszyscy się staraliśmy. Ale nam nie wychodzi.

- Daj mi zaśpiewać - powtórzył Maggio.

- Odpierdol się, Rick! - naskoczył na niego gniewnie FaXon. - Ledwie zdołałeś się nauczyć tekstów chórków. Nie ma mowy, żebyś pamiętał główną część.

- Znam stare kawałki, koleś - nie ustępował Maggio. To właśnie powinniśmy grać, ważniaku. Spodobała im się *Napalm Love*, nie? Banda pieprzonych dupków.

Pociągnął kolejny łyk z butelki Jacka Daniela.

- On ma rację - poparł go Świstak John. Faxon spojrzał na niego ze zdumieniem w oczach.

- Ty też?

Słozewski skrzywił się wściekle.

- Mnie również się to nie podoba, Peter. Nowe kawałki są bomba, to prawda, ale nie docierają do tej publiki. Oni przyszli tu z powodu tego, kim byliśmy kiedyś. Musimy im dać to, co chcą usłyszeć. Nie musimy całkowicie porzucić nowych utworów. Ale może powinniśmy wprowadzać je stopniowo, zamiast atakować publikę całą masą muzyki, której w życiu nie słyszała.

- Nie, do cholery - odparł z naciskiem Faxon.

- Panie Faxon - wtrącił Richmond. - Stare utwory potrafię zaśpiewać lepiej. Wiem, że potrafię. Robiłem to od lat i studiowałem to, jak wykonywał je Hobbit, każde słowo, każdy ruch. Mogę naprawdę się zbliżyć do jego wersji, wiem, że mogę. Te nowe utwory, no więc, tak jak powiedział John, są naprawdę bardzo dobre i tak dalej, ale Hobbit nigdy ich nie śpiewał, więc nie wiem, jak powinienem to zrobić, rozumie pan?

Faxon popatrzył po kolei na wszystkich trzech, a potem odwrócił się twarzą do Sandy'ego i Anandy.

- Wiem, co ty myślisz, Nando. A jaka jest twoja opinia, Sandy?

- Nie spodoba ci się to, co usłyszysz - odpowiedział z niechęcią Sandy.

Faxon zmarszczył brwi.

- Gadaj.

- Oni mają rację - oznajmił mu Sandy. Nie chciał tego mówić, wiedział, jak wiele znaczy dla Faxona nowy materiał i jak bardzo chciał zapobiec zamianie comebacku w nostalgiczny show. Niemniej jednak była to prawda. - Nie twierdzę, że stare

utwory uratują przedstawienie. Ale na pewno pomogą. Ci ludzie przyszli tu z głowami pełnymi wspomnień. Byli na początku po waszej stronie...

- Jak jebana suka z cieczką - poparł go Maggio. - Nigdy jeszcze nie widziałem tak nagrzanego tłumu. A my spieprzyliśmy sprawę.

- Aha - zgodził się Sandy. - Kiedy gracie stare utwory, przypominają im się chwile, gdy stracili cnotę, czy może mieli kapitalny odlot po kwasie albo widzieli was po raz pierwszy na koncercie w sześćdziesiątym dziewiątym, albo jak brzmieście na ich starym gramofonie, kiedy po raz pierwszy kupili wasz album, czy jak to było, gdy śpiewali wasze kawałki podczas demonstracji. Przywoływanie miłych wspomnień pomaga. Nowe utwory muszą się bronić jako muzyka, a to im się nie udaje.

Peter Faxon wepchnął ręce do kieszeni. Wyglądał na straszliwie wkurzonego.

- Chyba zostałem przegłosowany - przyznał. - Proszę bardzo. Nie zgodzę się na całkowite porzucenie nowego materiału, ale w drugiej części dodamy więcej starych kawałków.

- Kto będzie głównym wokalistą? - zapytał Maggio.

- Larry - odparł Faxon. - Zacznieś ty z *Ragin'*, ale potem będzie śpiewał on.

- On spierdoli sprawę, koleś. Kurwa, gwarantuję ci to. Richmond w końcu stracił panowanie nad sobą.

- Pierdol się, Maggio - warknął. Maggio ryknął śmiechem.

- Ha, ha, ha - zawołał. - Ale się boję. Kolana mi się trzęsą. Mały niedojda się zdenerwował.

- Powinienem... - zaczął Richmond, zaciskając pięść. Maggio zerwał się z krzesła.

- No, mały! Tylko spróbuj. Chcę zobaczyć, jak spróbujesz. Uśmiechnął się szyderczo.

- Spokój! - wrzasnął Faxon. Maggio odwrócił się ku niemu.

- Bo co mi zrobisz, waśniaku? He? Słucham? Każesz mi się zamknąć? Dać chłopakowi spokój? Może ta mała ciota robi ci laskę, kiedy nas nie ma. Tak? Czy to dlatego go bronisz? Ananda puściła dłoń Sandy'ego i weszła między nich.

- Ja każę ci się zamknąć, Rick - oznajmiła, patrząc prosto na Maggia. - Chcesz, żebym porozmawiała o tym z Edanem?

- Cholera, nie - ustąpił Maggio. Usiadł gwałtownie i znowu złapał za butelkę Jacka Danielsa. - Nikt już, kurwa, nie zna się na żartach - mruknął. - Nikt nie ma poczucia humoru.

- Dziękuję - powiedział Anandzie Faxon. Sandy spoglądał na nią z pewną dozą zdumienia. - Na początek - ciągnął Faxon - zagramy im *Ragin'*, a potem pójdą na zmianę nowe i stare utwory. Powiem Malcolmowi, żeby zwiększył trochę głośność. Wokal jest naszym najsłabszym punktem, więc może lepiej będzie, jeśli trochę go zagłuszemy. Na koniec zagramy *Wednesday's Child*.

- Niedobrze - warknął Maggio. - Chcemy, żeby nas wywołali na pierdolony bis, tak? Nic z tego nie będzie, jeśli zamkniemy koncert jakimś nowym syfem, koleś.

- Do cholery, Rick... - zaczął Faxon.

Świstak John Slozewski powstrzymał go, zanim zdołał powiedzieć coś więcej.

- Spokojnie, Peter. Mówię to z wielką niechęcią, ale Maggio ma rację. Wiesz, że ją ma. Zachowajmy *Wednesday's Child* na bis, jeśli nas wywołają. Zamknijmy występ czymś, co znają.

Faxon wyglądał na bliskiego załamania, ale zapanował nad sobą.

- No dobra - powiedział bezradnie. - To co zagramy?

- *Rag* - zasugerował Maggio.

- Nie - sprzeciwił się Faxon. - Jest za długi, zbyt skomplikowany i nie ćwiczyliśmy go.

Nie jesteśmy gotowi go zagrać. To musi być coś prostszego.

- A może *What Rough Beastl* - zaproponował Świstak John.

Faxon zastanawiał się przez moment, a potem skinął ze znużeniem głową.

- Dobra - zgodził się. - Jeśli po tym nie podniosą tyłków, to nic ich nie ruszy. Dasz sobie z tym radę, Lany?

- Jasne - zgodził się Richmond ze znacznie weselszą miną. - Śpiewałem to setki razy. Ale powinieneś mówić do mnie „Pat”. Pan Morse powiedział, że wszyscy mają tak do mnie mówić.

- Pierdolę pana Morse’a - oznajmił z lubością Maggio.

- Zawołaj tu Reynarda - poprosił Anandę Faxon, osuwając się na krzesło. - Chcę z nim pomówić o światłach.

Kobieta skinęła głową i wyszła z pokoju.

Grupa wróciła na scenę po jakichś dwudziestu minutach. Muzycy poruszali się apatycznie i niespokojny tłum przywitał ich cienkimi, uprzejmymi brawkami. Światła znowu padły na scenę i Nazgiile poświęcili parę chwil na nastrojenie instrumentów. Wydawało się, że opuściła ich cała energia. Wyjątkiem był Maggio, który był nakręcony amfą i uśmiechał się jak szaleniec.

- Wiecie co, frajerzy? - warknął do mikrofonu, gdy Faxon skinął głową. - Przed przerwą zdrowo mnie wkurzyliście!

Jego słowa przywołały kilka głośnych okrzyków radości. Jeden czy dwa donośne głosy odpowiedziały mu w oczekiwany sposób:

- Jak bardzo się wkurzyłeś, Rick?

- Cholera, koleś - odparł Maggio. - Jestem po prostu wściekły.

Pałki Szozewskiego uderzyły w werble i tam-tamy, by podkreślić jego słowa, a gitary podjęły gniewnie ten rytm. Maggio zaczął śpiewać.

Nie będę już spokojny

Nie będę tego znosił.

Mam dość tego, że mnie depczą,

Gdy leżę tu, na podłodze.

Publiczność bardzo chciała dobrze się bawić. Gdy nadeszła pora na refren, około setki głosów zakrzyknęło chórem: *Wściekły!* Kilka par wstało z krzeseł i zaczęło tańczyć w

przejściach.

Słysząc było gwizdy i krzyki zachęty. Wydawało się, że Nazgule nabierają życia dzięki aprobachie widzów. Muzyka zwiększyła tempo, a głos Maggia brzmiał coraz bardziej szaleńczo. Jego telecaster ryczał z bólu i frustracji, z bezradnej, desperackiej wściekłości, która przesycala każdą linijkę tekstu.

Sandy poczuł, że jego również wypełnia ogień.

- Dobrze grają - oznajmił Anandzie tak głośno, żeby przekrzyczeć muzykę. - Brzmią prawie jak dawni Nazgule.

Skinęła głową na znak potwierdzenia.

Widzowie również to poczuli. Coraz więcej ludzi podnosiło się z miejsc, gdy grupa zaśpiewała drugi refren, połowa publiczności wściekała się razem z Rickiem. Uśmiechał się do nich szyderczo, tak jak w dawnych czasach, uśmiechał się, zalewał go pot, jego palce dręczyły struny gitary, a on pluł na nich trucizną, na nich wszystkich i na cały świat. I byli zachwyceni! Ostatni refren przywitano ogłuszającym rykiem, który przytłumił nawet płynącą z potężnych wzmacniaczy muzykę. Maggio zakończył utwór zwierzęcym wrzaskiem, gitary krzyczały razem z nim, bębny Szlozowskiego eksplodowały w orgazmie ostrego rytmu, światła zmieniały się raz po raz z czerwonych na białe, jakby ogarnęła je stroboskopowa furia. Publikacja była wniebowzięta. Brawa trwały bez końca. Słysząc było krzyki: „Brawo!” i „Tak trzymać!”, a także inne, mniej artykułowane. Towarzyszyły im kolejne gwizdy oraz tupanie nogami. Przynajmniej w tym jednym utworze Nazgulom udało się dotrzeć do publiczności.

Gdy Maggio skończył, cały był mokry od potu. Jego T-shirt przybrał odcień ciemniejszej czerwieni pod pachami oraz na piersi, gdzie plama miała kształt szerokiej litery V. Mimo to uśmiechał się szeroko. Faxon był mniej pewien zwycięstwa. Obliznął nerwowo wargi, a potem obaj ze Świstakiem Johnem zagrali naprawdę ciężki podkład na basie i bębnach, prowadzący do *Dogfood*.

Jeszcze przed połową utworu w hali znowu zapadła cisza. Sandy przyglądał się, jak entuzjazm wygasa, jak tańczący wracają na krzesła, a przepaść dzieląca wykonawców od słuchaczy staje się coraz szersza. Muzycy również to widzieli. Można było

wyczytać tę świadomość w ich twarzach. Larry Richmond sprawiał wrażenie, że w każdej chwili może się załamać, ale w jakiś sposób udało mu się dotrzeć do końca utworu. W słaby aplauz wchodziła się trochę gwizdów dezaprobaty.

Od tej chwili było coraz gorzej i gorzej.

Nawet Peter Faxon musiał dać za wygraną. Po *Dogfood* całkowicie zrezygnował z nowych utworów, próbując odzyskać sympatię i entuzjazm audytorium za pomocą

bezpiecznego materiału, starych, dobrze znanych hitów. Postanowił, że grupa zagra teraz *Elf Rock*, pierwszy przebój Nazguli, z płyty *Hot Wind out of Mordor*, głupawy utworek, gumę do żucia dla uszu, którą Faxon z czasem znienawidził pomimo jej popularności, a może właśnie z jej powodu. Richmond jednak nie potrafił wykrzesać z siebie odpowiedniej dawki niewinnej, nastoletniej werwy, potrzebnej, by wykonać ten utwór jak należy. Co gorsza, po *Dogfood* był tak wstrząśnięty, że z wrażenia zapomniał całej linijki tekstu *Elf Rock*. Pozostali zaśpiewali ją za niego, ale publiczność знаła ten utwór i dały się słyszeć krzyki rozczarowania. Kiedy skończyli grać, rozległo się głośnie buczenie.

This Black Week był wielkim hitem z *Czarnego albumu*. To był długi utwór, na płycie miał blisko dziesięć minut, a na koncertach często trwał dwukrotnie dłużej. Składał się z siedmiu wyraźnie odrębnych części. Każdemu z dni tygodnia przypisano inne brzmienie i inny kolor. Zaczynał się niemal bolesciwym rytmem, któremu towarzyszył ponury, niebieski blask reflektorów. Larry Richmond zaczął śpiewać:

Poniedziałek to smutny dzień, kochanie. W poniedziałek jestem na dnie...

Kiedyś publiczność z pewnością byłaby zachwycona, ale teraz partie Hobbinsa śpiewał Richmond. Sandy zauważył jedną Parę, która wyszła z sali podczas środy. Nim grupa doszła do soboty, to samo zrobiło kilka kolejnych osób.

Gdy długi, smutny tydzień wreszcie się skończył, Sandy widział rozpacz Nazguli. Larry Richmond wyglądał jak mały, zagubiony chłopiec. Jego czerwony strój i czarna koszula były zaledwie żalosną maską, niezdolną ukryć faktu, że jest oszustem. Maggio nadal się pocił i miał nieszczęśliwą minę. Zbyt dobrze zdawał sobie sprawę ze swej tuszy, by zdjąć koszulkę. Wyjął coś z kieszeni i połknął to. Świstak John pochylał się ciężko nad bębnami, jak człowiek, który wolałby włożyć garnitur w paski i wybrać się gdzieś z kolegami z Izby Handlowej. A Peter Faxon cierpiał. Nic im nie wychodziło. Faxon postanowił skrócić agonię i zarządził wykonanie *What Rough Beast*, żeby szybciej zakończyć tę katastrofę.

Czysty, przeszywający dźwięk pierwszych akordów zabrzmiał słabo i nieprzekonująco. Perkusja łomotała ospale, choć powinna bębnić jak opętana. Larry Richmond zaśpiewał pierwszą linijkę tekstu wysokim, wysiłonym głosem:

Kołując coraz to szerszą spiralą

Faxon, Maggio i Słozewski zakrzyknęli chórem:

On nadchodzi!

Richmond kontynuował:

Sokół przestaje słyszeć sokolnika

I znowu Nazgule zapowiedzieli:

On nadchodzi!

Richmond popatrzył z zaszępioną miną na gitarę, wydobył z niej narastający kontrapunkt do tonów gitary Maggia, odrzucił do tyłu białe włosy i zaśpiewał:

Wszystko w rozpadzie, w ods...

I nagle jego ciałem targnął wstrząs.

Przez moment Sandy sądził, że wydarzył się jakiś straszliwy wypadek, że doszło do spięcia w korpusie gibsona albo w strunach i wokalistę poraził prąd. Chłopaka na krótką chwilę ogarnęły straszliwe spazmy. Przestał śpiewać i rozejrzał się wokół z oszołomioną miną. Wrogo nastawiony tłum poruszył się nieprzyjemnie.

I nagle na twarzy Larry'ego Richmonda wykwitł złowrogi uśmiezek, gładki, arogancki i straszliwie znajomy. Chłopak znowu potrząsnął długimi włosami, gardząc niezadowoleniem publiczności.

- Tak! - krzyknął głosem, który wypełnił całą halę. Uderzył w struny gibsona, uśmiechnął się, słysząc dysonans, i wrócił do śpiewania:

Wszystko w rozpadzie, tak! W odśrodkowym wirze!

Pozostali Nazgule przestali grać. Sandy zauważył, że Maggio i Faxon wymienili spojrzenia, zanim ponownie zakrzyknęli:

On nadchodzi!

Wydawało się, że zaśpiewali te słowa nieco głośniejszym głosem niż poprzednim razem.

Czysta anarchia szaleje nad światem,

Wzdyma się fala mętna od krwi, wszędzie wokół

Zatapiając obrzędy dawnej niewinności!

Tak brzmiało prococtwo, wyśpiewane głosem, który płonął i skwierczał w wielkich wzmacniaczach Marshalla, przemykał w przejściach między krzesłami niczym kulisty piorun, wnikając wprost do szpiku kości, głosem aromatycznym jak dobre wino i cierpkim jak ocet, głosem, który przebił się przez obojętność widowni, sprawiając, że popłynęła z niej krew.

On nadchodzi! zakrzyknęli Nazgule i kilka głosów podjęło ten zew, kilka dłoni klasnęło, kilka pięści uniosło się w górę.

Najlepsi tracą wszelką wiarę, a w najgorszych Tak! Kipi żarliwa i porywczą moc

Maggio najwyraźniej ocknął się nagle z długiego snu i jego gitara prowadząca trysnęła energią. Głośniki wypełnił syk i warkot sprzężeń, jakby w hali znalazł się nagle ogromny, zwinięty wąż, żywy stwór, krzykiem wyrażający swe złowrogie niezadowolenie.

On nadchodzi! ryknęła setka ochrypłych głosów. Pięści uniosły się wyżej, a Larry Richmond otworzył usta, uśmiechnął się i przybrał dumną pozę. Gdy śpiewał, uśmiech nie

znikał z jego twarzy.

Tak, objawienie jakieś się przybliża! Tak! Z pewnością się przybliża!

Perkusję Świstaka Johna ogarnął szal. Slozewski skrzywił się pod wpływem koncentracji, jego wielkie, czerwone łapska poruszały się z szybkością błyskawic, wielki bęben drżał, talerze dźwięczały i brzęczały, drwiąc z wszelkiej nadziei, a potężny, niski głos Slozewskiego dołączył do tysiąca innych w okrzyku:

On nadchodzi!

Hobbins obejrzał się na perkusistę, uśmiechnął się złowrogo, odwrócił błyskawicznie i podskoczył trzy stopy w górę. Jego palec wskazał na widzów niczym nóż z żywego ciała. Jego oczy

płonęły i sypały skrami, czerwone jak otchłań, a jego głos również zdawał się płonąć.

Tak, Drugie Przyjście chyba się przybliża. Tak! Cóż innego mogłoby to być!

Twarz Faxona zbieleła i utraciła wszelki wyraz, ale jego palce szarpały struny rickenbackera pewnie jak za dawnych lat, a niskie, grzmiące dźwięki basu włączały się w nurt muzyki, głębokie niczym chrząknięcia samego Boga, groźne jak pierwszy łoskot trzęsienia ziemi, prawdziwe i przerażające jak chmura w kształcie grzyba.

On nadchodzi!!! On nadchodzi!!!! On nadchodzi!!!!

Cała publika zerwała się na nogi, krzycząc, śpiewając, unosząc pięści w górę niczym odnóża przewróconej na grzbiet stonogi. Ramiona widzów poruszały się w górę i w dół niby kafar jakiejś ogromnej, złowrogiej maszyny. Ich rytm miał seksualny charakter i błyszczał od oleju.

- *On nadchodzi!* - zawołał Sandy razem z całą resztą. Jego pięść złożyła nieme świadectwo siły i furii tej prawdy.

Hobbins obrócił się wkoło, osłaniając oczy przed padającym z góry blaskiem reflektorów, milczącą kakofonią, która uwięziła w sobie grupę i wokalistę. Wbił spojrzenie w ciemność, wypatrzył tam coś i zawołał:

Drugie Przyjście, tak! Ale coż to widzę! On nadchodzi!

Jaki ogromny obraz wzrok mój poraża? On nadchodzi!

Kształt o lwim cielsku i człowieczej głowie!

On nadchodzi!

Z okiem jak słońce, pustym, bezlitosnym!

On nadchodzi!

On nadchodzi!!!

On nadchodzi!!!!

Maggio płaśał na scenie jak szaleniec, jak człowiek porażony elektrycznym ościeniem, ale nie przestawał się uśmiechać, a jego gitara pluła kwasem, zionęła płomieniem. Gorączkowo szarpał struny i akordy fruwały niczym brzytwy. Hobbins odwrócił się i łypnął na niego spod łba, uderzając w struny własnego instrumentu. Płonące tony śmigały między obydwojma w oszalałym dialogu. Wszyscy zerwali się z krzesel, klaskali w dłonie nad głowami, wili się w rytm muzyki, drżeli, gwałcili powietrze pięściami.

On nadchodzi! On nadchodzi!!! Tak! On Naaaadchodzi!!!

Maggio uśmiechnął się szyderczo, a jego telecaster przerodził się w kołyszącą się kobrę, która syczała, skradała się, sypała skrami. Hobbins łypnął na niego i jego gibson stał się ichneumonem, dzikim, agresywnym i szybkim jak błyskawica, a dźwięk pełen był ostrych zębów. Bas i perkusja stworzyły im tło ciężkie niczym lawina, wprawiając obu w bojowy szal. Improwizacja trwała pięć minut. Dziesięć. Piętnaście. Tłum krzyczał, tłum był zelektryzowany, tłum wpadł w histerię.

On nadchodzi! Och, On Nadchodzi!!! Tak, On Naaaadchodzi!!!

Maggio uderzył i zabił, a Hobbins zachwiał się na nogach, uśmiechnął, zatoczył do tyłu, wydał z siebie przerażający wrzask, od którego wszystkich rozboleły uszy, podskoczył wysoko, obrócił się w powietrzu i znowu wskazał na widzów.

Dźwiga powolne łapy, a wokół krząją Pustynnych ptaków rozdrażnione cienie. Znow mrok zapada; lecz teraz już wiem. Tak, kochanie, teraz już wiem! On nadchodzi!

Och tak, wiem, wiem, Że dwadzieścia stuleci kamiennego snu Rozkołysała w koszmar dziecinna kolebka Och, rockandrollowa kolebka!

Stojący za jego plecami Nazgule śpiewali, a tłum śpiewał razem z nimi:

- *On nadchodzi, on nadchodzi, on nadchodzi, on nadchodzi, on nadchodzi on nadchodzi onnadchodzionnadchodzionnadchodzionnadchodzion...* - aż po chwili ich głos przeszedł w głuchy łoskot gromu.

Patrick Henry Hobbins uniósł rękę, nakazując im się uciszyć. Wszystkie dźwięki w hali umilkły gwałtownie. Śpiewy ustały. Bębny i gitary zamarły. Światła pogasły. W mroku jego głos wydawał się płaczliwy i pełen strachu.

Och, cóż za bestia, której czas wreszcie powraca,

Pełźnie w stronę Betlejem, by tam się narodzić?

Pośród pełnej ech ciszy, która zapadła po tych słowach, zapalił się jeden reflektor, oświetlający jedynie twarz Hobbinsa, białą i nieruchomą. Nastąpiła długa przerwa. Potem Hobbins się uśmiechnął.

- *Nadchodzę* - rzekł cicho i reflektor zgasł.

kilku stóp od Larry'ego Richmonda.

Rrrrrrrrrrrrrrrrrrrrrrrrr.

To było niskie, groźne warczenie, od którego włoski na karku jeżyły się gwałtownie. Trzymający w ręku butelkę piwa Richmond wydawał się jeszcze bledszy niż zwykle. Usta miał otwarte. Balrog również rozchylił paszczę, szczerząc kły. Ogon trzymał zupełnie nieruchomo. Jego smycz ścisnął w dłoniach jakiś podenerwowany chłopak, bezskutecznie usiłujący odciągnąć zwierzę, które nie przestawało warczeć.

- Jebany pies! - wybuchnął Richmond. Richmond?

Balrog rzucił się do ataku.

Dwadzieścia jeden

*

Jak szczur w labiryncie mam przed sobą drogę! Drogę, która nigdy się nie zmienia, dopóki szczur żyje!

Pies zatrzymał się raptownie, gdy dotarł do końca smyczy, ale impet jego skoku był tak wielki, że przerażony młodzieniec padł na kolana, wypuszczając rzemień z rąk. Po chwili oswobodzony Balrog wylądował na podłodze i warknął, napinając mięśnie przed następnym skokiem. Tak samo jak wszyscy, Sandy zmarł w bezruchu z zaskoczenia, i grozy.

I nagle przesunął się przed nim olbrzymi cień. Gort poruszał się tak szybko, że Sandy nie wierzył własnym oczom. Gdy Balrog ponownie skoczył na Richmonda, ogromny mężczyzna był już między nimi. Złapał psa w locie obiema rękami i cisnął nim mocno o ścianę. Zwierzę odbiło się od niej i wylądowało na stole. Potem podniosło się, przewracając na wszystkie strony butelki, ale Gort dopadł już do niego i uderzył je mocno w pysk. Balrog pisnął z szoku i z bólu, a potem zaczął się cofać, warcząc i kłapiąc zębami. Gort chwycił koniec smyczy, owinał ją wokół szyi psa i zacisnął. Balrog zaskomlił. Furia opuściła go nagle. Mocz trysnął z niego strumieniem, opryskując kanapki. Gort zacisnął pętlę jeszcze mocniej. Zwierzę opierało się mu bezskutecznie. Przez chwilę wydawało się, że potężny mężczyzna za chwilę udusi je na oczach wszystkich.

- Nie! - zawołał nagle Larry Richmond. - Zostaw go!

Jego głos wyrwał ludzi z transu. Wszyscy nagle zaczęli coś

mówić albo śpieszyli z pomocą. W pokoju eksplodowały dźwięki i ruch. Gort stęknął głośno i złagodził nieco uchwyt. Balrog zaskomlił z ulgi. Richmond odepchnął Gorta na bok i objął zwierzę w opiekuńczym uścisku.

- Hej, piesku - mówił - spokojnie, Bal. Wszystko w porządku, piesku. Jestem tu, wszystko w porządku.

Pies dyszał ciężko, ale gdy Richmond mówił, głaskał go i mierzwił mu sierść, uniósł ogon i po chwili zaczął nim merdać.

Gort odsunął się z pomrukiem niesmaku, odwrócił się i wezwał gestem dwóch pracowników technicznych

- Ty. I ty. Wyprowadźcie tego cholernego psa i przywiążcie go.

- Nie! - zawołał Richmond. - Bal zostanie tutaj! Ze mną! Ananda podeszła do chłopaka i złapała go za barki.

- Nic mu się nie stanie, Pat. Nie może tu zostać. Przed chwilą obsikał całe żarcie, prawda? Na pewno za bardzo się tym wszystkim podekscytował. Tyle hałasu. Tylu obcych. Nie chciałbyś, żeby zrobił komuś krzywdę, prawda?

- Nie chciałbym - przyznał z niechęcią Richmond.

- W takim razie wyprowadzimy go na dwór - stwierdziła Ananda. Wzięła smycz i wręczyła ją pracownikowi technicznemu. - Czemu nie pójdziesz im pomóc, Pat? Ale potem wróć na przyjęcie. - Uśmiechnęła się. - Masz się z czego cieszyć, prawda?

- Pewnie tak - zgodził się Richmond. Gdy Balrogowi towarzyszył pan, który go uspokajał, pies bez oporu pozwolił się wyprowadzić dwóm podwładnym Gorta.

Sandy rozejrzał się wokół. Ananda odprowadziła Gorta na bok i oboje pograżyli się w cichej, prywatnej rozmowie. Przyjęcie rozkręciło się na nowo. Połowa gości rozmawiała o koncercie, a druga połowa o szalonym psie. Peter Faxon stał sam, oparty o ścianę, patrząc z namysłem na drzwi, przez które przed chwilą wyszedł Richmond. Napelnił sobie wielką szklankę chivas regal z kostkami lodu i zdążył już wypić większą część jej zawartości. Sandy podszedł do niego.

- To był dobry koncert - stwierdził. - Jak sądzisz, co za 1 diabeł wstąpił w tego psa?

Faxon przyjrzał mu się uważnie, popijając trunek. Zmarsz - | czył brwi.

- W niego żaden - burknął. - Pytanie brzmi, co za diabeł I wstąpił w Richmonda?

Sandy spojrzał w czyste, zielone oczy Faxona i uświadomił] sobie, że patrzą one przez niego na wskroś.

- Myślę, że znasz już odpowiedź na to pytanie.

- Jasne - zgodził się Faxon. - Tyle że to niemożliwe. Opróżnił szklankę, odszukał wzrokiem kogoś z obsługi i ka - j zał nalać sobie następną.

- Cokolwiek to było, pies to wypłoszył - skonkludował; Sandy, gdy jego rozmówca znowu miał w ręku pełną szklankę.

Faxon pociągnął spory łyk. Większość lodu już się rozpuściła i i pił prawie czystą szkocką. Połykał ją jak ktoś, kto bardzo pragnie zalać się w trupa.

- To nie był dobry koncert - zaprzeczył. - Był beznadziejny, prawie do samego końca. I wtedy nagle coś się stało. Po - 1 czułem to. W Richmondzie zaszła zmiana. I my również się zmieniliśmy pod jego wpływem. - Strzelił palcami. - Znowu staliśmy się The Nazgul. Na czas jednego utworu graliśmy jak za I dawnych lat. Muzyka żyła i czuło się promieniującą z publi - i ki energię. Nie mogłem uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Wszystko, czego pragnęliśmy, co staraliśmy się osiągnąć przez cały koncert i przez wszystkie tygodnie ćwiczeń, nagle się zreali - ■ zowało. I wiesz co? Przestraszyłem się tego. Przestraszyłem się jak cholera. - Wysączył z melancholijną miną kolejny łyk whi - j sky. - Ale chcę, żeby to wróciło, Sandy. Tyle przynajmniej wiem. Cokolwiek się dziś wydarzyło, chcę, żeby to wróciło.

- Mam wrażenie, że tak się stanie - stwierdził Sandy. Peter Faxon odstawił pustą szklankę.

- Muszę zadzwonić do Trący i zdać jej relację z koncertu. Ale za cholere nie wiem, co właściwie powinienem jej po - j wiedzieć.

Wychodząc, Faxon minął Larry'ego Richmonda, który właśnie wracał. Zatrzymał się, klepnął chłopaka w ramię i rzekł mu kilka słów. Richmond się uśmiechnął. Gdy tylko Faxon wyszedł, młodzieńca otoczył tłum gratulujących, groupies oraz członków obsługi. Chłopak szczerzył zęby w uśmiechu niczym sześciolatek, który znalazł w bożonarodzeniowy poranek w pokoju martwego świętego Mikołaja i właśnie zaczyna sobie uświadamiać, że dostanie wszystkie zabawki na świecie. Świstaka Johna również otaczała grupa wielbicieli krążących wokół niego niczym rój tłustych, szczęśliwych gzów. Przynosili mu piwo za piwem i stos pustych butelek u jego stóp nie przestawał rosnać. Maggio rozwalił się w wielkim fotelu, jakby siedział na tronie. Śmiał się ochryple i płynął z niego wodospad słów, to głośniejszych, to znowu cichszych, tak że stojący na drugim końcu pokoju Sandy słyszał tylko pozbawione sensu urywki. Na kolanach Maggia siedziała już jakaś dziewczyna i mężczyzna wepchnął wolną rękę pod jej bluzkę. Druga, jeszcze młodsza i ładniejsza, przysiadła na ramieniu fotela i Maggio poświęcał jej więcej uwagi niż tej pierwszej. Blondynka, która towarzyszyła mu na przyjęciu przed koncertem, z miną pełną urazy stała w odległości pięciu stóp.

Sandy wziął sobie drugą wódkę z sokiem i zaczął przechodzić od jednej grupki do drugiej. Słuchał rozmów, tylko z rzadka dorzucając coś od siebie. Z jakiegoś powodu nie miał zbyt wielkiej ochoty rozmawiać. Podniecenie było zaraźliwe, ale on najwyraźniej był na nie odporny. Nie miał kontaktu z tłumem. Być może zbyt wiele rozumiał. Wędrował po pokoju, szukając Anandy, ale najwyraźniej wyszła gdzieś z Gortem. W końcu, gdy pił już czwartego czy piątego drinka i wódka spowiła cały pokój miłą mgiełką, Sandy zatrzymał się przed Larrym Richmondem, spoglądając w twarz Patricka Henry'ego Hobbinsa.

- Jak się wtedy czuleś? - usłyszał własne pytanie.

- Było świetnie! - odpowiedział Richmond pełnym entuzjazmu tonem i zaczął gadać o tym, jak cudownie było grać 2 The Nazgul.

- Nie - przerwał mu nagle Sandy. - Chodziło mi o to, jak się czuleś podczas tego ostatniego utworu? Kiedy wszystko się zmieniło. No wiesz, podskoczyłeś nagle. Jakby poraził cię prąd. Podskoczyłeś i przestałeś śpiewać.

- Aha, wiem - potwierdził Richmond z odrobiną wahania w głosie. - Ale to nie był wstrząs. To znaczy nie elektryczny. To było jak... sam nie wiem, no wie pan, dopiero zacząłem śpiewać i nagle... to było, jakby przeszył mnie dreszcz... nie, gorzej... jakby ktoś stanął za mną i wrzucił mi za kołnierz kostkę lodu. Przeniknął mnie prawdziwy chłód. Dziwne, prawda?

- Faktycznie, dziwne - zgodził się Sandy.

- Ale szybko mi przeszło - ciągnął beztrząsowo Richmond. - To była tylko chwila, a potem znowu wszystko było w porządku.

- Byłeś świetny - zgodził się Sandy. - Śpiewałeś tak, że wszystkim poszła krew z uszu. Larry Richmond uśmiechnął się niepewnie.

- Ludzie krzyczeli, wrzeszczeli i tańczyli. Kurczę! To było niezwykle, prawda? Nigdy nic takiego mi się nie przydarzyło. Ale wszyscy mówią, że to było niezwykle.

Sandy również poczuł lekki dreszcz przebiegający mu wzdłuż kręgosłupa.

- Wszyscy mówią? Nie pamiętasz tego, Larry?

- Pat - poprawił go odruchowo chłopak. Był grzecznym dzieciakiem i robił to, co mu kazał Morse. Uśmiechnął się słabo, jakby chciał przeprosić Sandy'ego za to, że go poprawił. - Jasne, że pamiętam - zapewnił. - Ale muszę przyznać, że całe to podniecenie... no wie pan, wszystko wydaje mi się trochę zamazane. Chyba pograżyłem się w muzyce naprawdę głęboko. Wie pan, jakbym przez cały ten czas był oszołomiony. Człowiek czuje się wtedy naprawdę słaby i zdezorientowany. Zacząłem myśleć jasno dopiero w chwili, kiedy Bal wpadł w szal.

- Chyba wszyscy byliśmy trochę oszołomieni - potwierdził Sandy, pomyślał jednak, że chłopak nie ma najlepszego pojęcia o tym, co się z nim stało. Pies wiedział, ale nie jego pan. - I co teraz będzie?

- Tournee - odparł rozpromieniony chłopak.

- Tournee?

- Jasne. Czy pan Morse jeszcze panu nie powiedział? Wszystko już załatwił. Wielkie tournee po całym kraju, od wybrzeża do wybrzeża. Mówi, że potem może wydamy nowy album, ale najpierw musi być tournee, żeby pobudzić zainteresowanie ludzi.

- No, jasne - mruknął Sandy. - Tournee po całym kraju. Oczywiście. Rzecz jasna,

weźmiesz w nim udział?

- Pewnie - potwierdził Richmond, nieco zbity z tropu. Czemu miałbym nie wziąć?

- Nie ma powodu - uspokoił go Sandy, uśmiechając się słabo. - Chyba wypilem za dużo wódki. Muszę odetchnąć świeżym powietrzem. Przepraszam.

Oddalił się szybko, idąc ku drzwiom. Gdy obejrzał się za siebie, Richmond nadal stał w tym samym miejscu, a na jego twarzy malowało się zdziwienie.

Sandy skierował się do toalety dla mężczyzn i spryskał sobie twarz wodą. Poczul się od tego odrobinę lepiej, ale uznał, że i tak powinien odetchnąć świeżym powietrzem. Podszedł do tylnych drzwi. Stał przy nich jeden z pracowników technicznych, mężczyzna w srebrnych lustrzankach. Wbił wzrok w Sandy'ego, nie odezwał się jednak ani słowem. Balrog również tam był, przywiązany tuż za drzwiami. Zaszczekał i Sandy pogłaskał go po głowie, zanim wyszedł na ulicę.

Garstka ludzi stała jeszcze przed halą, a na chodniku widać było nielicznych przechodniów. Sandy zignorował ich wszystkich i oparł się o mur, radując się chłodnym, nocnym powietrzem. Tego właśnie chciał Richmond - pomyślał. Całe życie pragnął zostać Patem Hobbinsem i teraz jego życzenie miało...

- Sandy? - usłyszał cichy, przestraszony głos u swego boku.

Odwrócił się i wytrzeszczył oczy. Nagle nawiedziło go poczucie dziwnej dezorientacji czy deja vu. Nastoletnia dziewczyna, która stała obok, patrząc na niego, wydawała mu się dziwnie znajoma, ale miał w głowie mętlik od alkoholu i nie potrafił so-

bie przypomnieć, gdzie ją widział. Była niska i chuda, a na płaskiej piersi nosiła koszulkę The Nazgul, przynajmniej trzy rozmiary na nią za dużą. Pociągnęła go za rękaw i zobaczył, że, na każdym palcu ma pierścionki. Twarz miała pokrytą zielonymi plamami, w miejscach, gdzie rozmył się jej tusz do rzęs, a wielkie brązowe oczy sprawiały wrażenie, że za chwilę pociekną z nich łzy.

- Znam panią - stwierdził Sandy. Uśmiechnęła się blado.

- Cieszę się, że pan mnie pamięta. Jestem Francie.

- Francie? - powtórzył Sandy. I nagle sobie przypomniał. Maggia i Come On Inn. - Jasne - zgodził się. - Była pani z Rickiem.

Nadal jednak odnosił wrażenie, że coś tu jest nie w porządku. Faktycznie pamiętał ją z tamtego wieczoru, gdy przeprowadził wywiad z Maggiem, ale nie chodziło o to, a przynajmniej nie tylko o to. Znał ją również skądinąd, poznawał ją... ale dlaczego?

- Byłam starą Ricka - potwierdziła Francie. - Chcę się] z nim zobaczyć, Sandy. Tak bardzo chcę się z nim zobaczyć. Nie przysłał mi biletów i nie chcieli mnie wpuścić, chociaż

mówiłam im, kim jestem. - Jej głos brzmiał żałośnie. - Żyliśmy ze sobą przez prawie dwa lata, a on po prostu sobie wyjechał. Nawet do mnie nie napisał, nie zadzwonił ani nie przysłał biletów. No wie pan, byłam pewna, że zadzwoni, kiedy tylko wróci do Chicago. Zaprosi mnie na koncert i tak dalej. Ale nie zrobił tego.

Sandy wciąż bezskutecznie próbował sobie przypomnieć, gdzie widział tę dziewczynę poza Come On Inn.

- Przykro mi - mruknął. - Wszyscy byliśmy bardzo zajęci - | ci. Może po prostu zapomniał.

- Czy może mnie pan zaprowadzić do Ricka? - zapytała z nadzieją w głosie. - Albo przynajmniej powiedzieć mu, że tu a jestem? Proszę. Bardzo chcę się z nim zobaczyć, Sandy. Kocham J go. No wie pan, to mój stary.

Sandy pomyślał o Maggiu, który siedział w środku, otoczony przez grupę. Wiedział cholernie dobrze, że gitarzysta naj - I

mniej by w tej chwili pragnął wizyty chudej byłej przyjaciółki, zapłakanej i pełnej wyrzutów.

- Niech pani posłucha - zaczął. - Nie sądzę... to znaczy koncert dopiero się skończył i wszyscy zachowują się jak wariaci. Są pijani, zmęczeni i szaleni. Nie sądzę, żeby to był najlepszy moment. Ale wie pani co? Zatrzymamy się w Chicago przynajmniej do jutra. Niech pani przyjdzie do hotelu jutro rano, a zabiorę panią do Ricka. Zgoda?

- Proszę - powtórzyła Francie z błaganiem w głosie. Muszę się z nim zobaczyć teraz. Nie obchodzi mnie, czy z kimś jest, Sandy. To mi nie przeszkadza. Wiem, że z kimś jest. No wie pan, Rick już taki jest. Nie chce nikogo skrzywdzić, po prostu taki jest. Potrzebuje dziewczyn. Jestem do tego przyzwyczajona. Naprawdę. Zawsze mnie prosił, żebym przyprowadzała koleżanki, jeśli tylko mogłam. No wie pan, on lubi trójki. - Rozciągnęła usta w wymuszonym uśmiechu. - Nic mi się nie stanie. Muszę się z nim zobaczyć. Proszę.

Sandy nadal nie był pewien, czy może jej uwierzyć, ale jej głos brzmiał tak żałośnie, a Maggio traktował ją tak podle zarówno w Come On Inn, jak i teraz, że wściekł się na niego z jej powodu.

- Mówiłem już pani kiedyś, że Rick na panią nie zasługuje - powiedział. - To prawda.

- Ja tylko chcę się nim zaopiekować. To nie jest zły człowiek, tylko potrzebuje opieki. Pomoże mi pan?

- Zgoda - zdecydował Sandy. Ujął ją za rękę. - Proszę pójść ze mną. Wejdziemy tylnym wejściem.

Facet w lustrzankach może spróbuje ją zatrzymać, ale Francie będzie z Sandym i lepiej,

żeby nie próbował zbyt mocno.

- Dziękuję - powiedziała Francie, gdy okrążali budynek. Uścisnęła rękę Sandy'ego.

Przy tylnych drzwiach było bardzo ciemno. Bardzo ciemno i bardzo cicho. Pracownik techniczny zniknął.

- Kurwa - mruknął Sandy. - Drzwi są zamknięte. Załomotał w nie pięścią. - Otwierać! - zawołał.

Nikt mu nie odpowiedział. Po dobrych trzech minutach dobijania się Sandy dał za wygraną.

- Chyba nas nie słyszają przez to przyjęcie. Kit z tym. Będziemy musieli wejść od frontu. Odwrócił się z niesmakiem i ruszył przed siebie. Francie podążyła za nim.

Po zaledwie czterech krokach pośliznął się na czymś mokrym i runął ciężko na chodnik, wymachując rękami. Zadrapał rękę i rozdarł sobie dzinsy na siedzeniu, a do tego wylądował w jakimś paskudztwie. Było mokre, ciepłe i krążyło wokół niego mnóstwo much.

- Cholera! - mruknął. - Co to, do licha...

Pomacał ręką wokół, poczuł sierść i ciepłą wilgoć między palcami. Wciągnął powietrze przez zęby i dźwignął się ciężko.

Francie wydała z siebie cichy, płaczliwy dźwięk i odsunęła się trwożnie.

- To krew - wyszeptała.

Sandy spojrział w dół i dopadły go mdłości. Omal nie zwymiotował. Poczł, jak fala wzbiera mu w gardle i powstrzymał ją z najwyższym wysiłkiem. Zakręciło mu się w głowie. Nakazał sobie klęknąć, by lepiej się przyjrzeć temu, co leżało na chodniku.

Krew. Mnóstwo krwi. Obok puszek na śmieci spoczywał Balrog, czy raczej jego szczątki, oblezione muchami i jeszcze ciepłe. Poderżnięto mu gardło - otaczała go kałuża własnej krwi.

Sandy wyciągnąwszy niepewnie rękę, dotknął głowy psa. Poruszała się swobodnie, pod niewiarygodnym kątem. Na szyi widać było wielką, czerwoną ranę, z której wypływała świeża krew. Francie krzyknęła.

Ten, kto to zrobił, musiał być silny - pomyślał otępiały Sandy. Przeciął skórę, mięśnie i ścięgna szyi jednym, szybkim ruchem i dotarł aż do kości, omal nie odcinając łba. Francie krzyknęła znowu, tym razem głośnie.

Sandy wyprostował się. Kręciło mu się w głowie. Francie chwytiała spazmatycznie powietrze w płuca w przerwach między krzykami i krzyczała znowu. Ktoś wpadł do zaułka i biegł w ich

stronę. Dziewczyna wtuliła plecy w ceglany mur i skuliła się, zasłaniając twarz

upierścienionymi dłońmi. Krzyczała. Krzyczała. Jej wrzaski były słabe, piskliwe, przepojone szokiem i niemal niewyobrażalnym bólem. Słuchając ich, Sandy spoglądał na nią z narastającą grozą, która zaćmiła to, co czuł dla biednego, zamordowanego psa. Poznał ten krzyk. Znał go bardzo dobrze. Wreszcie zrozumiał, dlaczego Francie wydawała mu się tak niesamowicie znajoma.

Faktycznie poznał ją w Come On Inn.

Ale widział ją też potem, nie raz, lecz kilka razy. Widział ją i słyszał jej krzyki. Widział ją w snach, podczas koncertu, nagą i krwawiącą, przybitą do wielkiego krzyża w kształcie litery X.

Dwadzieścia dwa

*

Gdy logikę i proporcje trafił nagły szlag! A biały rycerz zaczął gadać wspak

A potem... a potem... Sandy nie pamiętał, co było potem. Nie pamiętał, jak oddalił się chwiejnym krokiem od szczątków psa, nie pamiętał, jak zwymiotował, nie pamiętał, jak drzwi się otworzyły i tłum wypadł na zewnątrz. Wszystko przesłoniła mgła krwi i wódki. Francie zauważyła wychodzącego w noc Maggia, podbiegła do niego z płaczem i zarzuciła mu ręce na szyję. Z początku wyglądał na zaskoczonego, ale potem uśmiechnął się dziwnie, niemal czule, i odwzajemnił uścisk. Słyszał było krzyki i pytania, ludzie tłoczyli się jak szaleni. Policjant wydawał warkliwe rozkazy, na które nikt nie zwracał uwagi. Sandy nie mógł już dłużej tego znieść. Zaczął wycofywać się w głąb zaułka, odsuwać od hałasu i od krwi. Pojawił się Larry Richmond, a tłum rozstąpił się przed nim. Kiedy Richmond zobaczył Balroga, wpadł w histerię. Ktoś go obejmował, potrząsał nim. Sandy odwróciwszy się do tego plecami, ruszył przed siebie. Po chwili przeszedł w trucht, nie do końca zdając sobie sprawę, dokąd zmierza.

Na mrocznych ulicach nadal było tłoczno. Spodnie miał rozdarte, dłoń podrapaną, ręce lepkie od krwi, a koszulę brudną od zwymiotowanej wódki z sokiem pomarańczowym. Ludzie odsuwali się od niego, ale on niemal tego nie zauważał. Biegł coraz szybciej.

Usłyszał na chodniku za sobą kroki, szybkie kroki kogoś, kto go ścigał. Nagle zawładnął nim irracjonalny strach. Zaczął biec

Jak szalony, próbując uciec. Ale i tak go dopadła. Była szybsza od niego. Złapała go za ramię, odwróciła i zobaczył, że to Ananda, tylko Ananda. Złapał ją z drżeniem i przyciągnął do siebie, przytulając się do niej ze wszystkich sił. Była dla niego kotwicą w oceanie krwi i ciemności. Pogłaskała go po włosach.

- Spokojnie - mówiła. - Spokojnie, kochanie. Wszystko w porządku. W porządku.

Sandy odsunął się od niej.

- Nie - zaprzeczył. - Nie jest w porządku. Zabili psa. Poderżnęli mu gardło. I ją również zabijają.

- Kogo?

- Francie - wyjaśnił. - Starą Maggia. Francie. Przybijają do krzyża i...

Nie był w stanie skończyć.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz - zdziwiła się Ananda. - Dokąd biegłeś?

- Nie wiem - odparł Sandy. Ale wiedział. Nagle sobie uświadomił, dokąd chciał dotrzeć.

- Muszę się zobaczyć z Morse'em. Porozmawiać z nim.

- Pójdę z tobą - zdecydowała Ananda i nagle wzięła jego rękę w swą dłoń, chłodną i silną. Świetnie już znał jej pasmo stwardniałej skóry oraz krótko obcięte paznokcie. Nie zwracała uwagi na krew na jego dłoni, nie przeszkadzało jej, że cały drży. Szła obok niego i wydawało się, że samą swą obecnością odpędza cienie.

Było już późno. Sandy wiedział, że jest późno. Drzwi apartamentu Edana Morse'a otworzył Gort.

- Jest późno - oznajmił, spoglądając na nich.

Sandy chciał mu powiedzieć, żeby spierdalał, ale słowa uwięzły mu w gardle i to Ananda przemówiła w jego imieniu.

- Obudź go - zażądała krótko. - To jest ważne.

Gort popatrzył na podarte, brudne od wymiocin ubranie Sandy'ego, stęknął głośno i wpuścił ich do środka.

- Zaczekajcie tu - rzucił swym niskim, groźnym głosem. Pokazawszy im kanapę, ruszył w stronę sypialni.

Po chwili pojawił się Edan Morse. Wyglądał równie kiepsko, jak kiepsko czuł się Sandy. Minęło kilka tygodni, odkąd Sandy widział go po raz ostatni i zaszły w nim zdumiewające zmiany. Twarz miał zapadniętą, bladą, opalenizna zniknęła, a dołeczki pokryła brązowa, wystrzępiona broda. W oczach nadal widziało się błysk fanatyzmu, ale teraz towarzyszyło mu zmęczenie. Były też paskudnie podkrążone, jak u kogoś, kto nie sypia dobrze. Miał na sobie czarny, atłasowy szlafrok.

- O co chodzi? - zapytał, siadając w wielkim fotelu ustawionym naprzeciwko kanapy.

Sandy pokazał mu ręce.

- To... pies. - Jego głos zabrzmiał ochryple. - Zarżnęli psa. Psa Richmonda.

Morse udał zaskoczenie.

- Wiesz coś na ten temat, Nando?

- Psa pilnował Lusterko. Wrócił do środka na parę minut, skołować trochę papierosów.

Ktoś to zrobił pod jego nieobecność.

- To był Gort - odezwał się nagle Sandy, spoglądając z wściekłością na potężnego mężczyznę.

- Hej, nie chrzań głupot, kurwa - poskarżył się Gort. - Siedzę z Edanem już od wielu godzin. Kurde, gdybym chciał go zabić, mogłem to zrobić na przyjęciu, kiedy skurwysyn wpadł w szal.

- To jest złe - wygarnął nagle Sandy, odgarniając opadające na oczy włosy. - Pies, Francie, to, co wydarzyło się dziś na koncercie... to wszystko, nie wiem... po prostu złe. Mam dość, Morse. Wycofuję się.

- A dlaczego?

Na to pytanie Sandy nie potrafił odpowiedzieć. Nie przyszedł tu z zamiarem powiedzenia tego, co przed chwilą powiedział. Nie był pewien, dlaczego właściwie to zrobił. Niczego już nie był pewien. Kręciło mu się w głowie. Rysy twarzy Morse'a rozmazywały się przed jego oczyma, jakby to tracił ostrość widzenia, to znowu ją odzyskiwał.

- Przez krew - odparł wreszcie. - Przez tę całą krew. Ananda wyciągnęła rękę i położyła dłoń na jego kolanie.

- On jest pijany, Edan. Nie wie, co mówi.

- Nieprawda - upierał się Sandy. - Wiem... ale... po prostu nie mogę już tego znieść. Całej tej krwi. To nie jest miejsce dla mnie.

- Tak? - zapytał zimno Morse. - A gdzie jest miejsce dla ciebie?

Gdzie było dla niego odpowiednie miejsce? Gdzie powinien być? Jeśli nie z Morse'em i z Anandą, nie z Nazgulami, to w takim razie gdzie? Wszystko inne utracił. Maggie, Sharon i kobiety, które były w okresie między nimi, „Hedgehoga”, swoje książki, agenta i dom. Wszystko. I nikogo już to nie obchodziło. Ani on, ani cała reszta. Oczywiście, że tu właśnie było dla niego miejsce. Nie zostało mu już nic innego.

- Edan, boję się - usłyszał własny głos. - Nie rozumiem, co się dzieje. To nie ma sensu, ale i tak się tego boję. I cała ta krew... Lynch, Norka Świstaka, pies... to zbyt wysoka cena.

- Krew mnie się również nie podoba - odparł Morse. Trzeba jednak zapłacić pewną cenę. Sam płacę tyle, ile tylko leży w moich możliwościach. - Wyciągnął rękę, ukazując dłoń poprzecinaną bliznami, głębokimi, straszliwymi bliznami. - Być może to za mało. Nie wiem. Staram się. Nigdy nie było naprawdę bezkrwawej rewolucji. Trzeba zapłacić tę cenę.

- Ale za co? - zapytał ochrypłym głosem Sandy. - Kto zabił psa, do cholery? Kto wyrwał Lynchowi serce?

- Nieważne.

- Kto? - wrzasnął Sandy. - Czy może - co? To jest właściwe pytanie, prawda? Co, nie kto? Coś... jakaś siła. Nie potrafię w to uwierzyć, ale to prawda, tak?

- Nie potrafisz w to uwierzyć. Na tym właśnie polega twój problem. Czas racjonalizmu minął i dobrze o tym wiesz. Słyszałeś muzykę. Dlaczego wciąż się opierasz? To ostatni utwór na pierwszej stronie...

- ...preludium do szaleństwa - zakończył za niego Sandy. - Aha, zauważyłem to. Umarły wziął dziś karty w rękę, czyż nie tak?

Edan Morse uśmiechnął się bez słowa.

Sandy poczuł, że w pokoju panuje straszliwy chłód. Jedno z okien za plecami Morse'a było otwarte i zasłony poruszały się lekko, ale ciepły, czerwcowy wietrzyk nagle stał się lodowaty. Na nocnym niebie, nad czarnymi wieżowcami usianymi brylantami świateł, lśniły gwiazdy przypominające milion złotych oczu. Nigdy nie odwracały wzroku. Sandy zadrżał. Wiedział w głębi duszy, że pan Morse'a towarzyszy im w tej chwili i patrzy na niego, przywołany przez muzykę, krew i śmierć.

- Zamknijcie okno - zażądał.

- Zrób to, Gort - warknął Morse. Potężny mężczyzna ruszył w stronę okna, a jego szef pochylił się ku Sandy'emu. Nie pochwalasz tego.

- Nie wiesz, co robisz.

- Och, ależ wiem. Wypróbowaliśmy już wszystkie metody, nieprawdaż? Ty próbowałeś wyborów, prasy, perswazji i kompromisu, ja zaś uciekałem się do skrytobójczych zamachów, demonstracji i przemocy. I wszystko to na nic się nie zdało, prawda? Zostało nam jedynie to, Blair. Nasza ostatnia szansa.

- To zbyt wysoka cena.

Morse wbił w niego wzrok, ale odpowiedziała Ananda. Wyciągnęła rękę, dotknęła jego twarzy i obróciła ją sobie.

- Nie masz racji - oznajmiła.

- Mam... - zaczął.

- Nie masz - powtórzyła z naciskiem. - Wysłuchaj mnie. Zbyt wysoka cena? Sandy, jakiś wariat zabija psa i ty mówisz, że to zbyt wysoka cena? Psa? Rozejrzyj się wokół. Popatrz, ku czemu zmierza świat. Mamy wyścig zbrojeń jądrowych, który w każdej chwili może doprowadzić do zagłady. Mamy ajatollaha, Falwella i mieliśmy też Jima Jonesa, a wszyscy oni są dokładnie tacy sami, zgadza się? Mamy pierdolony rząd, który gównem obchodzi nędza, głód i ludzkie cierpienie. Wszędzie trwają lokalne wojny, a nam zaczyna brakować surowców, energii i nadziei. Zatrujemy powietrze, wodę i ziemię. Mamy ludobójstwo na Bliskim

Wschodzie, rasizm i seksizm w kraju, a wszędzie ksenofo-

bię i nienawiść. Przyszłość przyniesie nam przerażającą nędzę, gospodarczy chaos i nieubłagane represje nowego faszystowskiego państwa. Brakuje nam siły, by się temu wszystkiemu przeciwstawić, bo utraciliśmy odwagę, staliśmy się cyniczni i samolubni. Jesteśmy pokonani, zagubieni i potępieni. Musimy wszystko zmienić. Musimy odzyskać to, co utraciliśmy, a to jest jedyny sposób: zniszczyć cały ten śmierdzący, przegniły system i zacząć od nowa, mądrzej i lepiej. Warto to zrobić. Gdyby była taka konieczność, zabiłabym wszystkie pierdolone psy na całym pierdolonym świecie, a i tak byłoby warto!

Twarz miała zaczerwienioną i pełną pasji. W wielkich, ciemnych oczach, często tak figlarnych, pojawił się wyraz gniewu. Błyszczące, czarne włosy, które Sandy lubił głaskać, kołysały się, gdy potrzasała głową pod wpływem furii. Dyszała ciężko, a jej osłonięte jasnoniebieskim swetrem piersi poruszały się z każdym oddechem. Z ust Anandy zniknął kwaśny, ironiczny uśmiešek. Zaciskała je mocno na znak wyzwania. Takie samo wrażenie wywierała teraz prowokująca pozycja, w jakiej tak często unosiła głowę. Sandy'ego ogarnął nagły strach. Uświadomił sobie, że właściwie wcale jej nie zna. Była jednak wszystkim, co mu zostało, i zdał sobie - przygnębiony i zmieszany - sprawę, że jeśli powie teraz coś niewłaściwego, Ananda również odejdzie od niego na zawsze.

- Ja tylko...

Nie potrafił znaleźć właściwych słów, nie wiedział, jak powinny zabrzmieć. Miała oczywiście rację, wszystko, co powiedziała, było prawdą, ale, ale...

- Jesteś nam potrzebny, Sandy - dodała Ananda nagle łagodniejszym głosem. Dotknęła lekko jego ramienia. - Jesteś potrzebny mnie.

- Jestem wam potrzebny - powtórzył. - A do czego? Edan Morse odwrócił się i strzelił palcami.

- Gort, przynieś mi kopię planu.

Olbrzym stęknął głośno, podszedł do stojącego tuż za drzwiami sypialni biurka, przyniósł stamtąd białą kartkę papieru i wręczył ją Sandy'emu.

To był plan tournée, o którym wspominał Richmond: fotokopia równych kolumn tekstu, daty i godziny koncertów, miasta i hale. Trasa zaczynała się w Nowym Jorku, wiała się niczym wąż na zachód, skręcając to na północ, to na południe: Pittsburgh, Detroit, Cincinnati, Minneapolis, Saint Louis, Houston, Kansas City, Denver. Ale to ostatnią pozycję Sandy przeczytał na głos:

- Albuquerque. West Mesa. Dwudziesty września. - Złożył kartkę na czworo z wystudiowaną precyzją i wepchnął ją do tylnej kieszeni spodni. - Nie ma dat koncertów na

Zachodnim Wybrzeżu.

- Oczywiście. Po zabójstwie te koncerty odwołano. Nie miałyby sensu sprzedawać biletów na występy po West Mesa.

- I po to właśnie mnie potrzebujecie?

- Za dzień czy dwa wygłosisz oświadczenie na konferencji prasowej. Potem pokierujesz kampanią w mediach o ogólnokrajowym zasięgu.

- Nic z tego nie będzie - sprzeciwił się Sandy, rozpaczliwie pragnąc, by jego słowa okazały się prawdą. - Wystarczy jedno spojrzenie, żeby Faxon poznał ten rozkład. Wydaje się wam, że zechce znowu zatańczyć ten sam taniec? Że zagra jeszcze jeden koncert na West Mesa? I że lokalne władze na to pozwolą, jeśli już o tym mowa?

Morse uśmiechnął się złowrogo.

- Mamy już w ręku wszystkie niezbędne pozwolenia, przygotowania są w toku. Pieniądze potrafią dokonać cudów. Nie doceniasz rozmiarów korupcji w naszym społeczeństwie. Wszystko odbędzie się zgodnie z planem. W tym czasie i miejscu zgromadzą się potężne siły. Czas, miejsce, muzyka, ludzie, wiara. Kiedy The Nazgul zaśpiewają, wszystko połączy się w jedno. Przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Wykonają kolejno wszystkie utwory z albumu, tak jak w siedemdziesiątym pierwszym, ale tym razem ukończą *Rag*, zaśpiewają go w całości, przywołają Armagedon i dadzą nam zmartwychwstanie. Patrick Henry Hobbins wróci do życia, a Ruch razem z nim. Tym razem nie przegapimy prądu.

Zacisnął naznaczoną bliznami dłoń w pięść i zaczął stukać nią rytmicznie w poręcz fotela.

- Ale by tak się stało, wszyscy musimy dochować wiary, jasne? - dodała Ananda. - Wszyscy mamy do odegrania pewne role, Sandy. Jesteś ważny. Jeśli nas opuścisz, oni mogą znowu wygrać.

Sandy czuł się zagubiony i zbity z tropu.

- Chcę tego samego co wy - zapewnił. - Równie mocno, jak każde z was pragnę powrócić do dawnych czasów, spróbować zacząć od nowa, ale tym razem zrobić wszystko jak należy. Pragnę tego dla siebie samego i... dla paru moich przyjaciół, ludzi, których nie znacie. Ale krew... nie chcę już więcej krwi. Francie, w moich snach... nie chcę, żeby coś się jej stało, słyszycie?

- Kto to jest Francie? - zapytał Morse.

- Jedna z przyjaciółek Ricka - wyjaśniła Ananda. - Była z Sandym, kiedy znalazł psa.

- Proszę bardzo - rzucił Morse. - Udowodnię ci, że nie chcę przelewu krwi tak samo jak ty, Blair. - Odwrócił się i spojrzał na Gorta. - Znajdź tę dziewczynę. Zaopiekuj się nią. Pilnuj

jej. Jeśli ktoś spróbuje ją skrzywdzić, wykończ skurwysyna. Kapujesz?

Gort strzelił palcami.

- Prosta sprawa.

- Rewelacja - mruknął Sandy. - Właśnie kazaleś głównemu rzeźnikowi pilnować jagnięcia.

- Odchrzań się ode mnie - burknął Gort. - Mam cię już serdecznie dość, Blair.

- Nie mogę zrobić nic więcej - stwierdził Morse. - Albo mi zaufasz, albo nie, chuj mnie to obchodzi. Tylko wreszcie się zdecyduj.

- Jeśli nie jesteś elementem rozwiązania, jesteś elementem problemu - dodała Ananda. Cofnęła rękę, a jej twarz zrobiła się zimna. Widać było, że kobieta jest gotowa dokonać osądu.

- Wszystko odbędzie się zgodnie z planem, Blair - ciągnął Morse. - Z tobą czy bez ciebie. Twoja aprobata lub jej brak ni-

czego nie zmieni. Krew popłynie, ich albo nasza, albo i ich, i nasza. To Armagedon, bracie. Uwierz w to. Zmartwychwstanie. Musisz tylko zdecydować, po której stronie jesteś. Zdecyduj się, Blair. My czy oni?

Jego twarz przypominała żelazo - twarde, szare i zimne. Jego słowa byty nagłymi uderzeniami młota, spychały Sandy'ego do defensywy, przybijały go do ściany. Pokój wirował wokół niego. Wszyscy się mu przyglądali: Morse, Ananda i Gort. Podniósł się cicho.

Sam - sam nie wiem. - Uniósł rękę do czoła. Było tu strasznie duszno i parno. Czuł się uwięziony i się dusił. - Dajcie mi minutę - „zażądał.

Dostaniesz minutę - zgodził się Morse. Gort stęknął głośno i strzelił groźnie palcami.

Musisz odetchnąć świeżym powietrzem - dodał Sandy.

Podszedł do okna, tego samego, które wcześniej zamknął Gort. Wszyscy nadal gapili się na niego. Dotknął szyby otwartą dłonią. Była zimna, niemal lodowata. Był czerwiec, a mimo to szyba wręcz parzyła chłodem. Sandy przycisnął dłoń do szkła i ziąb przeniknął aż do jego ramienia, a koniuszki palców przeszły ukłucie bólu - Za cieniutką szklaną taflą rozciągała się ciemność. Wszystkie oczy kierowały się na niego, po obu stronach szyby. Za oknem dął zimny wiatr oraz błyszczały okna czarnego, obcego miasta, w którym niczego nieświadome armie nadal co noc stawały do boju, choć minęło już tyle lat. Widział, jak gwardziści z Kent State unoszą karabiny i zaczynają strzelać, a studenci padają na ziemię? - Widział napalm padający z nieba. Słyszał śpiewy, gapił się na oblicza wroga - maski gazowe o szklanych szybkach oczu - i widział, jak małe świeczki gasną jedna po drugiej.

W powiewie wokół niego unosiły się twarze, które powstawały z chaosu. Otwierały szeroko usta z bólu. Twarze znane z gazet, z telewizji, z przeszłości. Był tam Bobby z

okrwawioną głową. I King. którego sen roztrzaskała kula. Był tam też Nixon, w którego oczach Sandy dojrzał odbicie gry Redskins. Widział,

jak blokują akcje przeciwnika, podczas gdy tysiące maszerują niepostrzeżenie obok nich.

W nocy była też Maggie rozciągająca usta w delikatnym uśmiešku. Nic nie mówiła, ale jej oczy były pełne smutku. Przy oknie stał uśmiechnięty Żabcio.

- Pociągnij za mój magiczny wihajster, Sandy - wychrypiał. - No jazda, zrób to. Możesz to zrobić, tak jest.

Był tam też Lark, w opasce na głowie i z nieodłącznym drwiącym uśmiechem.

- Zawsze wiedziałem, że brak ci odwagi, Blair - stwierdził. - Rewolucja przegrała z powodu takich ofermowatych zwolenników jak ty.

Bambi popatrzyła na niego z powagą.

- Musisz uwierzyć - rzekła. - Musisz w coś uwierzyć.

A na koniec pojawił się Łajza, odziany we wspaniały Kostium Łajzy. Ze sztywniackich krawatów uszył coś dzikiego, wolnego i pięknego. Bujna broda opadała mu na pierś. Był naćpany i uśmiechał się łagodnie.

- Wpuść mnie, Sandy - odezwał się swym delikatnym, przepraszającym tonem. - Wpuść mnie, proszę. Nie chcę być umarły. Nie chcę być niepoczytalny. Wpuść mnie.

Uniósł rękę i Sandy zauważył, że trzyma w niej młotek.

Za szybą widać było chaos, chaos i zamęt, krew i wściekłość. Ale po tej stronie szkła nie było nic. Po tej stronie szkła panowała martwa nieruchomość i Sandy nie był w stanie zaczerpnąć powietrza w płuca. Na zewnątrz wiatr był świeży i zimny, przyjaciele czekali tam na niego z kwiatami, marzeniami i nadzieją. Za szybą. Za zasłoną bólu.

Łajza uniósł wysoko młotek.

- Twoja minuta dobiegła końca, Blair - oznajmił Morse. Sandy otworzył okno.

Dwadzieścia trzy

Chodź posłuchać, jak grupa wuja Johna gra dla morskich fal! Chodź ze mną albo idź sam, bo on zaprowadzi dzieci do domu.

Na trasie. Nowy Jork. Pittsburgh. Detroit. Cincinnati. Minneapolis. Saint Louis. Houston. Kansas City. „Nazgule rozpostarli nad ziemią swe czarne skrzydła” - napisał Sandy w oświadczeniu dla prasy.

Na trasie wszystkie miasta łączyły się w jedno, dni, tygodnie i miesiące zlewały się w jednolitą pozbawioną snu całość. Na trasie były tylko tanie posiłki, siedzenie za kółkiem, hałas i zatłoczone pokoje, tylko identyczne motelowe apartamenty, telewizory wiecznie włączone,

mimo że nikt nie oglądał programów, prochy, gorzała, nieznajomi i bezcelowe spory, a także muzyka, przede wszystkim muzyka; utwory wypełniające swym brzmieniem parne, upalne noce i niosące się ogłuszającym echem po salach koncertowych.

Na trasie zawsze była noc.

Na trasie zawsze było gorąco. Lipiec był upalny, a sierpień nie do zniesienia. Nadeszło Święto Pracy, słoneczne i skwarne, klimatyzacja nigdy nie działała jak trzeba, a na przyjęciach zawsze było zbyt tłoczno. Ale autobus i ciężarówki toczyły się przed siebie, Sandy jechał za nimi, Mrzonka połykała mile, a wszystkie stare utwory odtwarzane na magnetofonie wypełniały szeptem

jego czaszkę. To był szalony, zwariowany czas, całe miesiące nabrały od upału szkarłatnej barwy gorączki.

Nowy Jork płonął jasnym ogniem, Nowy Jork to był Shea Stadium. Tu właśnie The Nazgul rozpoczęli swoje tournee w 1971 roku i tu teraz powrócili. Wtedy był komplet, ale teraz po tak wielu latach, gdy prasa wyjaśniła tajemnicę Larry'ego Richmonda, a recenzje z Chicago były mieszane („Hedgehog” zmieszał ich z błotem), wykupiono zaledwie połowę miejsc. Niemniej jednak przyszło trzydzieści tysięcy ludzi, trzydzieści tysięcy dawnych fanów zjawilo się tu w upalną, lipcową noc. Stojąca na polu bramkowym grupa wydawała się maleńka. Występ okazał się powtórką z Chicago. Faxon upierał się, żeby wykonywali nowe utwory, a to on był ich liderem. Klótnie za kulisami trwały bez końca, ale w ostatecznym rozrachunku decyzja należała do niego. Dlatego zagrali *Visions in the Dark*. Maggio wydusił ze swego wiosła wszelkie możliwe dźwięki, a Świstak John wystukiwał na werblach i tam-tamach jedną serię za drugą i złamał pałkę w najtrudniejszej, najbardziej szalonej solówce, jaką zagrał od lat, ale Richmond zaśpiewał tekst swym słabym głosem i publiczność pozostała chłodna. Zagrali *Wednesday 's Child* z głośnością podkreconą tak bardzo, że marshalle aż drżały, wypełniając swym grzmotem parną noc na Long Island. Ale noc połknęła wokal Larry'ego Richmonda, połknęła go w całości, nie dając nic w zamian, a publiczność była znużona i obojętna. The Nazgul zaśpiewali *Goin' to the Junkyard*, *Good Ol' Days* oraz *Sins* i dopiero wtedy Faxon zrozumiał swój błąd. Gdy zarządził, że teraz zagrają stare utwory, Richmond skinął głową, Maggio uśmiechnął się złowieszczo, a Świstak John skrzywiwszy się, zaczął walić w bębny, rozpoczynając *Blood on the Sheets*. I znowu wydarzyło się to samo. Sandy wiedział, że tak będzie, oni wszyscy wiedzieli. *Kochanie, wycięłaś mi serce* - zaśpiewał Richmond, ale już w chwili, gdy dotarł do słowa „serce”, to nie był Richmond, tylko Hobbins. Hobbins, który wrócił, by znowu wystąpić na koncercie. Przez tłum przebiegł niespokojny, niepewny szmer. Potem podniecenie zaczęło narastać. Pod koniec utworu wszyscy ze-

rwali się z miejsc, wypełnieni jakąś mocą, której żaden z nich nie potrafiłby nazwać. Krzyczeli, wołali głośno i tańczyli w przejściach między krzesłkami, a The Nazgul uderzali w nich falą dźwięku i nagich emocji. Hobbins zaśpiewał sześć utworów, na bis wykonali piętnastominutową wersję *What Rough Beast* i Świstak John podrzucił pałkę na dwadzieścia stóp w górę, aż odbiła się od przednich zębów gwiazd, a potem złapał ją zrećnie.

Na trasie była pusta autostrada, mokra i lśniąca od deszczu, szmer kół na śliskiej nawierzchni, światła pozostałych samochodów daleko z tyłu, strzałka szybkościomierza docierająca do osiemdziesiątki, Ananda śpiąca na siedzeniu obok. Sandy włączył radio i odnalazł całodobową stację, ale nadawała ona muzykę z listy przebojów, pozbawioną wyrazu i duszy, komercyjną jak cała epoka. Wyłączył odbiornik i zwiększył prędkość. Gdzieś w nocy przed nim czekała West Mesa i słodki dźwięk przeszłości.

W Detroit (a może to było Cincinnati?) razem z Johnem Słozewskim pożerali po koncercie cheeseburgery w czynnej całą dobę kawiarni. Świstak John był straszliwie zgłodniały. Pochłonął cztery cheeseburgery i potrójną porcję frytek.

- Mam koszmary - wyznał ciężkim, znużonym głosem. Cały czas śni mi się ten pożar. Tak jest. Cały czas. Ginące w ogniu dzieciaki. Krzyki. Mówią że to ja zamknąłem wyjścia przeciwpożarowe. To kłamstwo, Sandy, kurewskie kłamstwo. Nigdy bym czegoś takiego nie zrobił. - Uśmiechnął się. - Dobrze się czuję na scenie. Kiedy bębnię. Muzyka pozwala mi zapomnieć o płomieniach.

W Cincinnati (a może to było Minneapolis?) występowały przed nimi Pop-Tarts, głośno grająca dziewczęca grupa wyko - i nużąca dawne przeboje. Dziewczyny wyszły na scenę w białych szortach i trykotowych koszulkach z wyciętymi plecami, by zagrać serię starych hitów. Podnieceni ich widokiem widzowie reagowali głośnym aplauzem, więc The Nazgul zagrali dla nich kolejne stare kawałki. Przyjęcie po występie było szalone i nie - | okiełznane. Sandy wypił za dużo i urwał mu się film. Kiedy się 1 ocknął, siedział na krześle, a jedynym Nazgulem w pokoju był j

Maggio. Był nieprzytomny, a ciemnowłosa, pijana dziewczyna o wielkich piersiach - basistka Pop-Tarts - obojętnie ssała mu miękkiego kutasa. Telewizor był włączony, nadawano kablowe wiadomości. Sandy patrzył na nie zapijaczonym wzrokiem, aż nagle ujrzał znajomą twarz. Znał tego człowieka, ale nie potrafił sobie przypomnieć skąd, słowa komentatora nie miały sensu. Maggio jęknął i poruszył się lekko. Sandy zauważył, że zaczyna mu stawać. Komentator mówił coś o człowieku nazwiskiem Paul Lebeque, którego mieli sądzić w Maine. Kto to, do licha, był Paul Lebeque? Maggio usiadł i pogłaskał dziewczynę po głowie.

- Cudownie, kochanie, och, cudownie - mruknął.

Na trasie zawsze byli pijani, naćpani albo podnieceni.

Saint Louis, Houston, Pittsburgh, Cincinnati - wszędzie było tak samo. Nowe utwory nie spotykały się z dobrym przyjęciem, a przy starych widownia ożywała. I każdej nocy, gdy grali kawałki z *Musie to Wake the Dead*, znowu śpiewał z nimi Patrick Henry Hobbins. Ale tylko w tych utworach. W nowych to zawsze był Richmond: biedny, nieśmiały, plastikowy Lany. Nawet gdy próbowali grać materiał z *Napalmu* czy z *Hot Wind out of Mordor*, byli skazani na Richmonda. Tylko *Musie to Wake the Dead* budziła Hobbinsa. Peter Faxon uporczywie nie dawał za wygraną, przerabiał nowy materiał, układał program wciąż na nowo, lecz nigdy nic z tego nie wynikało. Richmond sobie nie radził. Potrzebowali Hobbinsa. Po każdym występie szale przechylały się coraz bardziej. W Detroit odpuścili sobie *Sins*, które zastąpił *Survivor*. W Saint Louis (a może w Minneapolis?) porzucili *Good Ol' Days*. Przez pewien czas grali *Napalm Love*, a w Kansas City wstrząsnęli publicznością, wykonując *Ash Mana*. Wyrzucali nowe utwory, zastępując je starymi. Z sukcesem nie można dyskutować.

Na trasie potrzebny jest aplauz, krzyki, gwizdy, uwielbienie tłumów.

Na trasie Francie towarzyszyła grupie. Znowu była starą Maggia, przynajmniej z nazwy. Podczas koncertów była na scenie, blisko niego, kołysała się i tańczyła w rytm muzyki. Jej usta roz-

ciągały się w smutnym, niepewnym uśmiešku, a w wielkich oczach nadal widziało się lekki wyraz zagubienia. Rick traktował ją teraz z dziwną czułością. Od Nowego Jorku aż po Saint Louis zmieniał grupie szybciej niż kiedykolwiek i bezustannie opowiadał o każdej nowej zdobyczy. Francie godziła się na wszystkie laski i trójkąci, a gdy zasypiał albo tylko się kładł, siadała obok niego i głaskała go po długich, przetłuszczonych włosach, uśmiechając się czule jak matka do niegrzecznego, szalonego, ale ukochanego syna. Powiedziała kiedyś Sandy'emu, że wie, iż jest dla niego realna, podczas gdy inne dziewczyny są tylko przelotnymi snami, twarzami, imionami i ustami zmieniającymi się z każdym miastem. Francie zawsze towarzyszyła Rickowi, a Gort, wielki i milczący, nigdy nie był daleko od Francie.

Na trasie zawsze była północ. Na ostatnim odcinku autostrady przed Minneapolis Sandy włączył radio. Anteny wysunęły się z głośnym szumem i Mrzonkę wypełniła muzyka. W przerwie między dwoma tandetnymi, komercyjnymi przebojami spiker zapowiedział: „A teraz czas na gorący powiew z przeszłości... albo może z przyszłości, co?” - i zagrał *Napalm Love*, długą wersję nagraną na koncercie, ale nigdy nie umieszczoną na żadnym albumie.

Nazgule rozpostarli nad ziemią swe czarne skrzydła i plemiona się zgromadziły - pomyślał Sandy. Rzeczywiście tak się stało. Na każdym koncercie widział tłumy widzów, które

stawały się coraz liczniejsze i gęstsze, a potem się zmieniały. Przychodzili ludzie w średnim wieku, nieco już dotknięci zębem czasu, ubrani w firmowe dżinsy i obwieszani klejnotami. Przyciągały ich wspomnienia, echa utworów, przy akompaniamencie których maszerowali na demonstracjach, pieprzyli się, brali kwas, które śpiewali i w które wierzyli w latach sześćdziesiątych. Kiedy wychodzili, wydawali się młodszy, pełni niemal dotykanej energii, iskrzącej się mocy. Uśmiechali się i pogwizdywali, trzymali się za ręce jak dzieci, a ich dżinsy nierzadko sprawiały wrażenie spranych, tanich, znoszonych i brudnych, pełnych dziur zamaskowanych łatanami w kształcie kwiatów i pacyf. W Minneapolis (a może to

było Saint Louis?) naliczył dwadzieścia opasek na głowę, pięć farbowanych nierównomiernie koszul i jedną parę drucianych okularów. Koncerty ciągnęły się godzinami, ale czy to możliwe, żeby ludzkie włosy rzeczywiście rosły tak szybko? A jeśli nie, jak inaczej wytłumaczyć fakt, że włosy wychodzących z koncertu kobiet wydawały się tak długie, proste, czyste i powiewające na wietrze, podczas gdy przedtem sprawiały wrażenie puszystych, kręconych i ufryzowanych?

Na trasie wszystko wydawało się możliwe i wszystko było realne. W Saint Louis Sandy odniósł wrażenie, że poznaje twarz, którą widział w Pittsburghu. W Houston był już tego pewien. Zauważył też kilkanaście innych. Podążali za grupą z koncertu na koncert - pulchna kobieta, która zawsze rozbierała się do naga i tańczyła powoli nawet przy szybkich utworach, zamykając oczy; wysoki, żylasty facet z kozią bródką, który nigdy nie wyjmował z ust jointa; garstka staromodnych hipisów; mężczyzna kudłaty jak wilkołak, ale ubrany w trzyczęściowy, fiołkowy garnitur w stylu datującym się sprzed pierwszej wojny; zmysłowa ślicznotka o ciemnych, migdałowych oczach i srebrnoblond włosach. Koncert po koncercie, miasto po mieście. W Kansas City mógłby przysiąc, że dostrzegł w tłumie Larka, który unosił w górę pięść i krzyczał: „On nadchodzi!” razem z całą resztą, wypełniając halę rykiem prorocstwa i obietnicy.

Na trasie wszystkie twarze wydają się znajome.

Kansas City, Houston, Saint Louis - wszędzie było tak samo. Żyli i podróżowali we własnym, wyizolowanym świecie, w oku rockandrollowego cyklonu, otoczeni zbierającą się mocą. W Saint Louis (a może to było Houston?) znowu stali się sensacją dnia. Zapomniano o mieszanych recenzjach z Chicago. Dan Rather wspomniął o The Nazgul w wieczornym dzienniku CBS, „Time” w końcu dał im miejsce na okładce, obiecane kilka miesięcy temu, a „Hedgehog” umieścił tam zespół po raz drugi. Tym razem pismo potraktowało ich znacznie lepiej niż poprzednio, publikując dwudziestostronicowy artykuł pod tytułem „Niewiarygodny lot powrotny”, mimo że Sandy nie odpowiadał na telefony

Jareda. W Minneapolis (a może to było Saint Louis?) zagrali dwa bisy, a w Houston publika nie chciała ich wypuścić ze sceny, Hobbins tańczył i śpiewał jak opętany (cóż w tym dziwnego?), a gdy zabrakło im materiału, nie przestali grać. Wykonali *What Rough Beast* z ciągnącą się bez końca improwizacją pośrodku, aż wreszcie powtarzające się krzyki: „On nadchodzi!” ściągnęły policję, która próbowała przerwać koncert. Publiczność krzyczała, przeklinała, ciskała kamieniami. Gliniarze aresztowali garstkę widzów i rzucili dwa pojemniki gazu łzawiącego, by rozproszyć tłum. Nazgule przez cały ten czas nie przestawali grać, a gdy policjanci wyciągnęli w końcu pałki i ustawili się w szereg, tłum rzucił się do ataku, zmuszając ich do odwrotu. Grupa zagrała *Ragin’*. „Nazgule rozpostarli nad ziemią swe czarne skrzydła, wolne ludy się zgromadziły i wzniosły dawne chorągwie z miłością, radością i sprawiedliwym gniewem” - tak napisał Sandy w oświadczeniu dla prasy po „policyjnych zamieszkach” w Houston. Potem jednak się zreflektował i wykreślił to zdanie przed opublikowaniem tekstu. Można już było zauważyć początki polaryzacji. Niektórzy z teksaskich polityków chcieli postawić grupę w stan oskarżenia za spowodowanie rozruchów, w Kansas City, Denver i Albuquerque prowadzono agitację na rzecz odwołania trzech pozostałych koncertów, a telewizyjny ewangelista z Alabamy oznajmił, że rock jest komunistycznym, satanistycznym spiskiem. Gdy jednak Sandy mknął przez ciemność, by zdążyć przed świtem do Kansas City, powiedział Anandzie, żeby włączyła radio. Udało się jej znaleźć wielką stację z Dallas nadającą aktualne przeboje, ale tym razem puszczano tam *This Black Week*. Po nim usłyszeli *Blood on the Sheets*, *Napalm Love* i *What Rough Beast* - pełna godzina przebojów The Nazgul, jeden po drugim. Na koniec spiker powiedział: „Chcę podziękować wszystkim, którzy do nas zadzwonili. Będziemy grać kawałki Nazguli tak długo, jak długo będziecie do nas dzwonić, chłopaki i dziewczyny. Przysyłajcie też dalej pieniądze. Pamiętajcie, że cały nasz niegodziwy zysk idzie na opłacenie adwokatów dla osiemnastu aresztowanych w Houston”.

Ananda zacisnęła dłoń w pięść, walnęła nią w tablicę rozdzielczą i wybuchła radosnym śmiechem.

Kansas City to było pięćdziesiąt tysięcy ludzi pod gwiazdami i muzyka, która nie cichła przez pół nocy, jeden bis po drugim. The Nazgul zaczęli od *Wednesday 's Child* - Faxon wciąż jeszcze miał nadzieję - a jakiś czas później, gdy byli już porządnie rozgrzani, zagrali *Goin' to the Junkyard* ot, tak sobie, dla draki. Publika była tak rozochociona i spragniona, że omal nie kupiła obu tych utworów, bez względu na Richmonda. Tej nocy jednak niemal od początku do końca był to Patrick Henry Hobbins, który dominował nad sceną i nad widownią, zmuszał ją do wycia, klaskania w dłonie i przytupywania nogami. Muzyka stawała się coraz głośniejsza i bardziej natarczywa. W morzu widzów siedziało wszystkich sześciu muzyków z American

Taco, drugiej grupy światowej klasy prowadzonej przez Jamiego Lyncha. Zespół rozpadł się już w roku 1975, ale Hobbins wypatrzył na widowni wszystkich jego członków i wywołał ich na scenę. Przez blisko godzinę obie grupy toczyły ze sobą pojedynek, jak za dawnych lat. Nawet osławiony Todd Oliver z Taco, ubrany w koszulę w tureckie wzory i wysoki, srebrnoszary cylinder zamiast kombinezonu ze srebrnej lamy, który zakładał, gdy występował z Glisten, sprostował zadaniu i przypomniał sobie, o co chodzi w tym całym rock and rollu. Pod koniec pojedynku zespołów Oliver i Hobbins paradowali po scenie, śpiewając obłąkańczy duet, a Maggio przerzucał się gorącymi akordami z gitarzystą prowadzącym Taco. Potem druga grupa zeszła ze sceny i The Nazgul zakończyli występ ekscytującą, chaotyczną, głośną wersją *Prelude to Madness*.

Kansas City to jednak był również Larry Richmond, któremu nagle odbiło w pokoju hotelowym. Sandy szedł korytarzem w poszukiwaniu pepsi, gdy nagle usłyszał jakiś hałas. Drzwi były uchylone. Zawahał się moment, a potem je otworzył. Richmond stał pod oknem, zaciskając dłonie w pięści. Jego biała twarz poczerwieniała od histerycznych łez. Na dywanie leżała przewrócona lampa. Jej podstawa pękła i zerwano z niej abażur,

ale żarówka nadal świeciła, nadając pokojowi nienaturalny, posepny wygląd. Było tu zbyt wiele cieni widocznych w nieodpowiednich miejscach, a do tego światło padało z dołu. Peter Faxon przystanął w odległości kilku stóp od Richmonda, przemawiając do niego uspokajającym, zrównoważonym tonem.

- Spokojnie, Larry. Nic się nie stało. Połknąłeś za dużo pigułek, to wszystko.

- Ja nie biorę pigułek! - sprzeciwił się Richmond przenikliwym głosem. Zatrzymał na Sandym spojrzenie pobladłych ze strachu oczu. - Nie biorę! - powtórzył.

- W połowie pierwszej części koncertu łyknąłeś całą garść - poinformował go Faxon. - Dlatego teraz ci odbija.

Uniósł dłonie, obracając je wewnętrznymi powierzchniami do przodu w geście, który mówił: „Spokój, spokój, spokój”.

- Nie - powtarzał Richmond tonem naburmuszonego dziecka. - Nie, nie, nie, nie, nie. Nie łyknąłem! Nie... nie...

- Ty mu powiedz - poprosił Sandy'ego Faxon. Sandy skinął powoli głową.

- To chyba była amfa.

Larry Richmond wrzasnął przeraźliwie i z całej siły kopnął leżącą lampę. Ta obróciła się wkoło i cienie zakołysały się w nieprzyjemny, przyprawiający o mdłości sposób. Potem chłopak osunął się z łkaniem na sofę.

- Nic nie pamiętam - oznajmił głośno. - Nie pamiętam. Zupełnie nic nie pamiętam. Co

się ze mną dzieje? Co się dzieje?

- Daj mi rękę - odezwał się Faxon. Obaj z Sandym położyli chłopaka na kanapie i przykryli go kocem. - To przez stres - stwierdził Faxon spokojnym tonem człowieka znającego się na rzeczy. - Przeżyłeś wiele stresów. Trasa, koncerty. Nie jesteś do tego przyzwyczajony. Cholera, nikt z nas się do tego nie przyzwyczał. Popatrz tylko, co się dzieje z Johnem i Rickiem. John za dużo je i za dużo pije, a Rick odjeżdża na prochach. A przecież obaj są weteranami. Może to załamanie. Nerwowe załamanie. Wielka mi rzecz. Przeżyjesz to, kurwa. Zostały jeszcze tylko dwa koncerty, a potem czeka nas długi

odpoczynek. Po West Mesa nagramy nowy album, a później wrócimy do domu i będziemy spać cały rok. Nie przejmuj się tym. Słyszysz? Nie przejmuj się. - Rozciągnął usta w wymuszonym uśmiechu. - A do tego z każdym cholernym koncertem śpiewasz coraz lepiej.

Wydawało się, że słowa Faxona złagodziły nieco strach Richmonda. Po ostatnim zdaniu chłopak nawet lekko się uśmiechnął.

- Naprawdę? - zapytał. - Nie wciskasz mi kitu?

- Nie wciskam - zapewnił Faxon.

Ale po krótkiej chwili, gdy wyszli na korytarz i zamknęli za sobą drzwi, lider Nazguli zapytał Sandy'ego znacznie mniej radosnym tonem:

- Wierzysz w te farmazony, które mu plotłem?

- Dlaczego pytasz?

- Bo ja nie wierzę - odpowiedział Faxon. - Chodź ze mną. Chcę porozmawiać.

Poszli do pokoju Faxona. Basista wyjął z lodówki parę piw, otworzył je i z twardą, ponurą miną usiadł na krześle.

- Wiesz, dlaczego mu odbiło?

- Potrafię się domyślić - odparł Sandy.

- Ktoś wspomniał o American Taco, o tym, jak świetnie z nami grali. Richmond nic nie pamiętał. Absolutnie nic. Nawet nie wiedział, że byli dziś na sali, a tym bardziej, że z nimi graliśmy. Po każdym cholernym koncercie pamięta coraz mniej, ale do tej pory okłamywał sam siebie. Pamięta coraz mniej, ale brzmi coraz lepiej. Ciekawe dlaczego?

- Czemu akurat mnie o to pytasz? - zainteresował się Sandy. Zielone oczy Faxona przeszywały go świdrującym spojrzeniem.

- Dlatego, że sądzę, iż wiesz na ten temat znacznie więcej, niż mówisz. Nie wciskaj mi kitu, Sandy. Obaj jesteśmy za bystrzy na takie gierki. Jesteś częścią tej sprawy. Nie wiem dlaczego, ale jesteś. Dla mnie wszystko zaczęło się w chwili, gdy wybraliśmy się razem Latającym Okiem i przywołałeś cholerne mnóstwo wspomnień oraz uczuć, które już dawno

pogrzebałem. Dlatego nie udawaj niewiniątka. Powiedz mi, co tu, kurwa, jest grane.

- Nie uwierzyłbyś mi.

Peter Faxon parsknął śmiechem.

- Przekonamy się. W tej chwili jestem gotowy uwierzyć we wszystko. Ty nie wchodzisz na tę scenę koncert po koncercie. Ja wchodzę. Czuję to, widzę, słyszę. Czasami... - Zawahał się, pociągnął łyk piwa z butelki i zmarszczył brwi. - Daję słowo, że czasami nawiedzają mnie dziwne uczucia. W Saint Louis grałem sobie, całkowicie pogrążony w muzyce, i nie zwracałem uwagi na publiczność, a kiedy uniosłem wzrok... to było chyba w środku *Prelude to Madness*... w całej pieprzonej hali paliło się mnóstwo świec. Tysiące świec płonących w ciemności. To było tak, jakbym cofnął się w czasie o piętnaście lat. A potem mrugnąłem i świece zniknęły. - Potrząsnął głową. - Czasami czuję też taki okropny chłód. Ledwie mogę się powstrzymać przed dzwonieniem zębami. Najczęściej zdarza mi się to wtedy, gdy widzę śpiewającego Pata. Pata! Nie Richmonda. Tak, wiem, że są do siebie podobni, ale znałem Pata Hobbinsa lepiej niż rodzona matka i, uwierz mi, potrafię ich od siebie odróżnić. - Zawahał się i wypił jeszcze trochę piwa. - To rzeczywiście jest Pat, prawda? - zapytał, przekrzywiając głowę z chytrą miną.

- Powinieneś to wiedzieć - stwierdził Sandy. - W końcu to ty napisałeś muzykę.

- Muzykę?

- *Musie to Wake the Dead* - wyjaśnił Sandy.

- Wariactwo - mruknął Faxon. - To nie może się dziać.

- Dzieje się - zapewnił Sandy. - Nie oszukuj sam siebie. Wierzysz w to, tak samo jak ja. Larry Richmond nic nie pamięta z koncertów, bo przez większość czasu nie jest na nich obecny.

- Pat - wyszeptał Faxon. - Wiedziałem to. Czuję. Sandy milczał.

- To na pewno... sam nie wiem... psychologiczne, tak? Rozdwojenie osobowości. Słyszałem o podobnych przypadkach. Aktorowi, który wciąż gra tę samą rolę, miesza się w głowie i zaczyna się uważać za odtwarzaną postać. Na pewno o to chodzi.

W ciele Richmonda żyją dwie osoby: chłopak i ten pseudo-Hobbins. Na scenie chłopak nie potrafi sobie poradzić, więc Hobbins obejmuje kierownictwo.

- Brzmi wiarygodnie - przyznał Sandy. - Możesz w to wierzyć, jeśli chcesz. Ale obaj wiemy, że to nieprawda.

- A jaka jest alternatywa? - warknął Faxon. - Opętanie? Opętanie z za grobu?

Sandy nagle poczuł się bardzo zmęczony. Piwo nabrało kwaśnego smaku w jego ustach. Skinął ze znużeniem głową.

- To niemożliwe - upierał się Faxon. - Nie wierzę.

- Nie możesz sobie pozwolić na to, żeby uwierzyć.

- A dlaczego?

- Dlatego że jesteś porządnym człowiekiem, Peter, i gdybyś w to uwierzył, musiałbyś przestać, prawda? A sam powiedziałeś w Chicago, za kulisami, kiedy wydarzyło się to po raz pierwszy, że nie chcesz, aby się skończyło. Prawda?

Peter Faxon odwrócił wzrok, marszcząc brwi.

- Prawda? - nalegał Sandy. Faxon odwrócił gwałtownie głowę.

- Tak - wycedził przez zaciśnięte usta. - Nie chcę. Skrzywił się. - Jezu, co ja mówię?

- Prawdę - odparł Sandy. - Ale Richmondowi nie chciałeś jej powiedzieć, tak? Czemu go okłamałeś? Po co były te fałszywe zapewnienia? Dlatego że chcesz, aby to trwało dalej.

Faxon wpatrywał się teraz w podłogę. Jego oczy nabrały udręczonego, pełnego strachu wyrazu.

- Nie chodzi tylko o brzmienie, Sandy. Nie tylko o muzykę. Chodzi o Pata. On... był dla mnie jak brat, był moim najlepszym przyjacielem, drugą stroną mnie samego... czasami go nienawidziłem, ale również go kochałem. Kiedy widzę go na scenie, w odległości kilku stóp, rozdziera mi się serce. Chcę podejść do niego, uściskać go, porozmawiać z nim. Chcę, żeby wrócił. Tak. Ale on zanika. Za każdym cholernym razem, gdy koncert się kończy, Pat zanika i wraca Richmond. - Uniósł wzrok i spojrzał Sandy'emu w oczy. - Ale po West Mesa tak nie będzie, prawda? To właśnie

W jest punkt, ku któremu wszyscy zmierzamy. Morse, ty, ja. West Mesa i... i...

- *The Armageddon Rag* - dokończył cicho Sandy. Peter Faxon skinął głową.

- Zostaw mnie już, Blair - zażądał. - Chciałbym chwilę pobyć sam. Zjeżdżaj stąd.

Sandy wstał i ruszył ku drzwiom. Świetnie rozumiał, co przeżywa Faxon. Ale gdy już dotykał ręką klamki, muzyk go powstrzymał.

- Mam jeszcze jedno pytanie.

- Słucham?

- Wiem, dlaczego ja tego nie powstrzymam. Chcę, żeby Pat wrócił. Być może mówiąc to, pogrążam samego siebie, ale Pat jest dla mnie cenniejszy od dziesięciu Larrych Richmondów. Ale co z tobą Blair? Dlaczego ty to robisz?

Trudno było odpowiedzieć na to pytanie tak późno w nocy, tak krótko po zakończeniu koncertu.

- Nie tylko ty kochasz ducha - odparł Sandy.

Faxon skinął głową i odwrócił wzrok. Sandy wyszedł z pokoju. Gdy jednak drzwi zamknęły się za nim z cichym trzaskiem, jego ostatnie słowa zdawały się rozbrzmiewać

głuchym echem na korytarzu, zagłuszając szum lodówki i automatu z pepsi. Nieprawda - pomyślał tępo - nieprawda, nieprawda, nieprawda. W końcu jego duchy nie umarły, a tylko się zmieniły. Być może ten fakt nasilał jeszcze ból, ale to była zasadniczo odmienna sytuacja.

Wrócił do pokoju i obudził Anandę. Spojrzała na niego z uśmiechem, pocałowała go i kochali się ze sobą szybko i gwałtownie. Sandy znalazł w jej ciele pocieszenie, a ramiona kobiety dały mu otuchę.

Na trasie Ananda zawsze była blisko niego i jej bliskość sprawiała, że wszystko wydawało się w porządku.

Na trasie nie było miejsca na wątpliwości.

Dwadzieścia cztery

Posłuchaj, jak muzycy grali, jak krzyčeliśmy o więcej! A ludzie skupiali się ciasno, żeby im było cieplej.

Tłumy dotarły do Denver na długo przed przybyciem tam grupy. Wszystkie bilety wyprzedano już przed miesiącem, ale to nie powstrzymywało chętnych. Przybywały przyczepy kempingowe i samochody z częściami mieszkalnymi, nowe porsche i stare, wyeksploatowane chrabąszcze, pikapy, furgonetki i zielone autobusy szkolne. Ludzie zjeżdżali się setkami i tysiącami, wypełniając Red Rocks Park, położony na wzgórzach na zachód od miasta, tuż u stóp gór. Obozowali w górach, między wzgórzami i w samym amfiteatrze, spali w samochodach, w śpiworach, w jurtach, namiotach i tipi - wszystkie wzniesiono bezprawnie. Gromadzili się wokół nielegalnie zapalonych ognisk, grali na gitarach, palili niedozwolone jointy i śpiewali stare piosenki, ignorując strażników parkowych, policję i koncertowych ochroniarzy.

Tydzień przed koncertem w gazetach zapanował szal i podniecenie. Mówiło się o wysłaniu całej armii gliniarzy, którzy przepędziliby dzikich lokatorów, domagano się wezwania Gwardii Narodowej. Poważnie rozważano możliwość odwołania koncertu, zabronienia jego przeprowadzenia, przeniesienia go w inne miejsce. Amfiteatr był naprawdę piękny, cały z jasnoczerwonego kamienia. Kolejne piętra wykutych w skale siedzeń wznosiły się coraz wyżej i wyżej. Z trzech stron otaczały go zwietrzałe urwi-

ska oraz wysokie, skalne kolumny, ale od wschodu opadał nisko, tak że za sceną widać było w oddali światła miasta... Mimo że mieściło się w nim dziewięć tysięcy ludzi, był o wiele za mały dla hord, które przybyły do Denver wysłuchać The Nazgul. Ci, którzy chcieli odwołania koncertu, twierdzili, że Red Rocks ulegnie zniszczeniu. Przewidywano poważne zamieszki.

Edan Morse starał się rozładować napięcie przy pomocy co rozsądniejszych

przedstawiciele miejscowych władz, tych, którzy pamiętali przykład Houston. Poprosił o pozwolenie ustawienia wież nagłaśniających w całym otaczającym amfiteatr parku, by ci, którzy w nim przebywają, również mogli wysłuchać koncertu. Otrzymał pozwolenie. Podwoił liczebność ochrony, potem podwoił ją po raz drugi, a w końcu powiększył ją do prawie tysiąca osób. Władze poszły mu na rękę i Morse zebrał małą, prywatną armię. Podpisał prawne zobowiązanie, obciążające grupę kosztami naprawy wszelkich zniszczeń, i zgodził się zapłacić wygórowany rachunek za sprzątanie po koncercie.

Sandy wydał ostatnie oświadczenie dla prasy. Morse przyrzekał, że koncert na West Mesa będzie całkowicie bezpłatny. Zostało do niego tylko dziesięć dni. Obiecywał mnóstwo miejsca dla każdego, znakomite nagłośnienie i dobry widok na grupę. „Jedźcie do Albuquerque” - mówił Morse, i tysiące ludzi słuchało jego rady. Reszta pozostała na miejscu. W dzień koncertu policja oceniała ich liczebność na trzydzieści tysięcy.

Sandy i Ananda pojechali na koncert cztery godziny przed jego rozpoczęciem, a i tak mieli problemy z dotarciem na miejsce. Drogi były zapchane, wszystkie samochody toczyły się powoli w tym samym kierunku. Również na poboczach pełno było pojazdów, które tam parkowały albo utknęły w korkach. Musieli porzucić Mrzonkę prawie trzy mile od amfiteatru, gdy zapchana samochodami droga stała się całkowicie nieprzejezdna. Sandy znalazł miejsce na poboczu i resztę drogi pokonali na piechotę jako część ludzkiej rzeki płynącej do Red Rocks. Chaosowi towarzyszyła osobliwa bez troska, radosny, świąteczny nastrój. Wszyscy sprawiali przyjazne wrażenie. Bez oporów otwierano sze-

ściopaki, rozdając puszki każdemu, kto wyglądał na spragnionego. Nieznajomi chętnie rozmawiali ze sobą, dzielili się jointami, w jednej chwili stawali się przyjaciółmi. W późnopopołudniowym powietrzu śmigały frisbee.

Blżej amfiteatru tłum stał się gęstszy i bardziej poirytowany. Droga była tu węższa, a skały wokół niej rzeczywiście czerwone, tak jak zapowiadano. Pielgrzymi tłoczyli się coraz bardziej i zaczynały im puszczać nerwy. Niemniej jednak parli wciąż naprzód, w ścisku, aż wreszcie rzeka zaczęła żyć własnym życiem. Sandy nie mógłby teraz zawrócić, nawet gdyby chciał. Przed wejściem do amfiteatru tłum przeradzał się w litą zaporę kłębiącą się z frustracji, rozczarowania, a także klaustrofobii. Ci, którym udało się zdobyć bilety, przeklinali ze złością, próbując się przepchać naprzód, ale inni nie ustępowali.

Sandy zauważył kąciakiem oka wysoką blondynkę z obstawy Morse'a. Kobieta miała na ramieniu karmazynowa opaskę z czarnymi literami: „The Nazgul”.

- Z biletami - wołała. - Z biletami, z biletami do mnie. W dłoni trzymała coś, co wyglądało na odpitowany kawałek kija bejsbolowego, i zręcznie torowała sobie tym

narzędziem drogę przez tłum. Podążało za nią trzech czy czterech uśmiechniętych, spoconych posiadaczy biletów.

- Hej - zawołała Ananda, gdy kobieta podeszła bliżej. Obie wymieniły krótkie skinienia głowami, po czym Ananda i Sandy przepchnęli się do porządkowej, która ruszyła przed nimi w stronę wejścia.

Gdy już widzieli barierkę, wysoki, czarnoskóry grubas w luźnej, kolorowej koszuli zauważył Anandę.

- Hej, dziewczynki - zawołał bełkotliwym, pijackim głosem. - Hej, mamuśka, pomóż mi. Daj mi wejść.

Ananda go zignorowała. Próbowali się oddalić, ale tłum był zbyt gęsty. Mężczyzna przepchnął się do niej.

- Hej, cycuszk - mówił. - Ja dogodzę ci lepiej niż ten biały. - Unieruchomiony w tłumie Sandy nie był w stanie interweniować. Nieznajomy objął Anandę wielkim, mięsistym ra-

mieniem i uszczypnął ją mocno w pierś. - Hej, mamuśka, bądź dla mnie miła, to...

Nie zdążył dokończyć. Ananda poruszyła się, bardzo szybko, obróciła się zwinnie o sto osiemdziesiąt stopni, wrywając się z jego uścisku, walnęła go łokciem w brzuch, aż mu zatkało dech w piersiach, a potem uderzyła z całej siły w górę otwartą dłoń. Zmiażdżyła mu nos kłębem ręki i z jednego nozdrza pociekła strużka krwi. Mężczyzna osunął się na ziemię... czy raczej zaczął się osuwać, bo tłum był tak gęsty, że facet mógł jedynie oprzeć się ciężko o sąsiadów. Potem jednak usmarowana krwią twarz i nagle nieobecny wyraz oczu sprawiły, że sąsiedzi zaczęli się od niego odsuwać, a masywne ciało w zielono-czarnym stroju zniknęło, opadając powoli na twardą, piaszczystą ziemię.

W wejściu stało co najmniej dwudziestu ludzi Morse'a w jaskrawoczerwonych opaskach na ramionach. Kierował nimi Lusterko. W jego srebrnych okularach odbijały się bliźniacze słońca. Ananda wskazała kciukiem na znokautowanego przez siebie mężczyznę.

- Zabierzcie go stąd - rzuciła.

- Zajmiemy się tym - zapewnił Lusterko.

Przeszli przez bramę i znaleźli się na górnym skraju amfiteatru. Tu również było tłoczno, ale przynajmniej dawało się zaczerpnąć tchu.

- Jezu - wydyszał Sandy, oglądając się za siebie. - Co ty mu zrobiłaś, Nando?

- Złamałam świni pieprzony nos - warknęła.

- Złamałaś mu nos - powtórzył oszołomiony Sandy. Przypomniał sobie pewny, szybki cios. Otwartą dłoń. Trzask towarzyszący uderzeniu. Strumyk krwi. - Ale jak padł na ziemię...

nawet nie krzyknął...

- Lusterko się tym zajmie

- Takim ciosem mogłabyś kogoś zabić. Spojrzała na niego niewinnie.

- Tak? No cóż, to on zaczął, prawda? Nikt nie będzie mnie obmacywał, chyba że sama tego chcę. - Ujęła z uśmiechem

dłoń Sandy'ego. - A obecnie chcę tego tylko od ciebie. Koniec dyskusji. Chodź.

Amfiteatr Red Rocks był ciasno zapchany widzami. Tłum wypełniał nawet przejścia między miejscami. Również na wysokie skały w okolicy wspięło się mnóstwo ludzi. Niewielką sekcję na dole odgrodzono linami. Kolejny szereg ochroniarzy nie dopuszczał do niej widzów. Sandy wypatrzył Gorta. Jego spalona słońcem łysina wystawała ponad ciżbę. Zeszli na dół, starając się nikogo nie nadepnąć. Gort stęknął głośno na ich widok i przeniósł Anandę nad sznurem.

- Ale jebane zoo, co? - zapytał.

- Tylko zaczekaj na West Mesa - odparł Sandy. Maggio był już na miejscu. Spacerował w kółko i bełkotał coś podekscytowany. Kiedy zobaczył Sandy'ego, podszedł do niego.

- Hej, koleś, ale szaf, co? Nie przyciągaliśmy takich tłumów nawet w siedemdziesiątym pierwszym. Nie, kurwa, nie ma mowy. To będzie rewelacyjny koncert. Kurwa, gwarantuję ci to.

Ryknął gromkim śmiechem.

- Naprawdę? - zapytał Sandy. Myślni przebywał daleko stąd. Wspominał masywnego mężczyznę, który padł bez słowa na ziemię. Jego jaskrawa koszula zniknęła w ludzkim morzu, a z nosa popłynęła mu krew. Zastanawiał się nad dłonią Anandy, którą właśnie ścisnął, nad długimi, silnymi palcami, obciętymi do żywego paznokciami, znajomym stwardnieniem wzdłuż jej zewnętrznej krawędzi. Niepokoiło go to.

- Tak jest, kurwa - potwierdził Maggio. - Reynard ma zrobić parę zakręconych numerów ze światłami. Gdzieś tam będą sztuczne ognie i inny taki syf. - Wskazał palcem w stronę Denver. - I muzyka, koleś. Dzisiaj nie będzie przestojów. Żadnych słabszych chwil. Kurwa, gwarantuję ci.

To przyciągnęło uwagę Sandy'ego.

- Słucham? O czym mówisz? Maggio uśmiechnął się.

- Nic nie słyszałeś, koleś? Nasz lider w końcu poszedł po rozum do tej swojej kapuścianej głowy i posłuchał mnie. Nie będziemy już grać tego nowego syfu.

- I to jeszcze nie wszystko - wtrącił Edan Morse. - Dzisiaj Nazgule zagrają Rag. Prawda,

Rick?

- Jasne. - Wyciągnął rękę. - Przybij grabę, koleś.

- Nie mogę... - mruknął Morse, unosząc dłonie. Obie były zabandażowane.

- Chuj z tym - rzucił Maggio. Zauważył Francie, odwrócił się i zostawił ich.

Sandy wbił wzrok w Morse'a. W ciągu ostatnich dwóch tygodni często rozmawiał z nim przez telefon, ale nie widział go od czasu Chicago. Gdyby nie głos, mógłby go nie poznać. Morse był straszliwie wyniszczony. W głęboko zapadniętych oczach płonął ogień obsesji, a twarz była jedynie skórą naciągniętą na sterzące kości. Miał na sobie jasną, bawełnianą koszulę, która nie ukrywała trupiego wyglądu ciała. Broda mu urosła, dzika i krzaczasta, ale włosy najwyraźniej wypadały. Na szyi nosił kilkanaście masywnych łańcuchów i breloków. Wydawało się, że ledwie jest w stanie udźwignąć ich ciężar. Morse pochylił się, pocałował Anandę, uśmiechnął się z przekąsem i usiadł obok niej.

- Co ci jest, do diabła? - wygarnął Sandy.

- Nic - uspokoił go Morse. - Wszystko jest pod kontrolą. Pod kontrolą.

- Myślę, że powinieneś pójść do szpitala. Dlaczego właściwie tu przyjechałeś? Nigdy dotąd nie fatygowałeś się na koncerty.

- Dzisiejszy koncert będzie inny - odpowiedział Morse.

- A dlaczego? - zainteresował się Sandy. - Co dziś...

- Sam zobaczysz - odparł Morse z napięciem w głosie. Pochylił się w stronę Anandy i pogрузzył się w cichej, prywatnej rozmowie z nią.

Zostawiony samemu sobie Sandy gapił się na pustą scenę, na czekające instrumenty i leżące daleko w tyle Denver. Przemknęło mu przez głowę, że gdzieś tam jest Łajza przetrzymywany w domu, który stał się dla niego więzieniem, zamknięty w klatce własnej rozpacz. Sandy zaczął fantazjować. Wyobraził sobie,

że wszedł na pustą scenę, wygłosił do mikrofonu długą przemowę i wszyscy widzowie ruszyli za nim, całe trzydzieści tysięcy. Maszerowali ulicami, krzycząc, pogwizdując i śpiewając, w stronę Fortu Byrne, zalali swą masą Rzeźnika z jego bronią i psami. Łajza wyszedł im na spotkanie, a z każdym krokiem jego wygląd się zmieniał. Twarz mu się wypełniła, włosy odrosły, ubranie zmieniło postać i rozkwitło setką jaskrawych kolorów. Kiedy uściskał Sandy'ego, znowu był sobą, odzyskał młodość i siłę.

Sandy odsunął marzenie na bok i nacisnął przycisk zegarka, by odczytać czas. Do koncertu została jeszcze godzina.

Minęło półtorej godziny. Późnopołudniowe cienie wydłużyły się wyraźnie, amfiteatr pękał w szwach, a ludzie zaczęli się niepokoić. Ktoś zaklaskał w dłonie.

- Chcemy koncertu - zawołał. Inni podjęli to hasło. Chcemy koncertu, chcemy koncertu, chcemy koncertu! - Seria oklasków. - Chcemy koncertu!

Klaskali tak i skandowali przez dziesięć minut, coraz głośniej i głośniej, aż wreszcie Sandy uświadomił sobie, że do widzów z amfiteatru przyłączyli się ci, którzy czekali w parku i przy drodze.

Otoczający go kamień przybrał w blasku zachodzącego słońca jaskrawoczerwoną barwę. Zniecierpliwione twarze widzów również były czerwone. W Denver zapalały się już pierwsze światła, a horyzont na wschodzie zasnuło pasmo granatowoczarnej ciemności.

- Chcemy koncertu, chcemy koncertu, chcemy koncertu, chcemy koncertu!

Wydawało się, że cała góra wibruje w rytm oklasków.

Nie cichły one jeszcze przez co najmniej dwadzieścia minut, wciąż nabierając głośności, aż wreszcie wydawało się, że nie mogą już być głośniejsze. Denver stało się tymczasem siatką świateł, wielkim polem gwiazd schwytych, poskromionych, uporządkowanych i ułożonych na tle ciemności. Szczyty gór na zachodzie wyglądały jak czarne, niebotyczne zębiska. Ich wierzchołki lśniły krwawoczerwonym blaskiem na tle zachodu słońca.

Nad nimi gromadziły się chmury. Złowieszczą ścianą skłębionej czerni i szkarłatu. Sandy'emu nie spodobał się ten widok.

- Chcemy koncertu, chcemy koncertu, chcemy koncertu, chcemy... achchchch!

Przez tumult przebił się świst racy, która eksplodowała gdzieś na wschodzie. Na tle nocnego nieba rozbłysło czerwono-pomarańczowe koło ogniste. Skandowanie przeszło w westchnienie uznania i zachwytu. Wystrzelono kolejne racy - jedną, dwie, trzy, cztery. Ich wybuchy zakłóciły rytm oklasków, złamały go, rozproszyły. Noc rozświetliły sztuczne ognie. Wszyscy unieśli wzrok. Pośród blednących fontann płomieni pojawił się nagle feniks, gorejący, żółty feniks o rozpiętości skrzydeł większej niż całe miasto. Jego oczy płonęły niczym rozżarzone węgle.

- Nadeszła godzina - zagrzmiął spiker.

Muzycy wyszli na scenę w chwili, gdy widzowie patrzyli w górę. Stali na niej nieruchomi i milczący jak cienie, ściskając w rękach ledwie widoczne w półmroku instrumenty.

- Nadszedł dzień - kontynuował spiker.

Zapłonęło kilka świateł, bladych, czerwonych świateł iluminujących ich od dołu. Scena przybrała wygląd mrocznej, szkarłatnej sadzawki.

- Nadszedł rok - zapowiedział spiker.

W górę pomknęła ze świstem kolejna raca, bliższa i głośniejsza od poprzednich. Ekspłodowała nad głowami widzów, nakrywając ich olśniewającym białym parasolem, tak jasnym, że na mgnienie oka ciemność zniknęła całkowicie. Z zachodu dobiegł cichy łoskot nadciągającej burzy.

- Nazguli! - rozdarł się spiker. Tysiąc ludzi zakrzyknęło razem z nim, a potem pięć tysięcy i coraz więcej, w miarę jak fala podniecenia przemieszczała się na zewnątrz, przelewając się przez krawędź amfiteatru do pogrążonego w mroku parku. Wszystkie światła na scenie zapaliły się jednocześnie w oślepiającej łunie o kilkunastu różnych kolorach. Perkusja, bas i gitara zagrały razem w tej samej chwili, produkując muzyczne uderzenie młota, które wstrząsnęło widownią, górami i burzą. Białe

włosy wokalisty lśniły w blasku reflektorów, czarny, dzinsowy strój pochłaniał ich światło. Patrick Henry Hobbins zaśpiewał:

Hej, kochanie, co widzisz na nieeeeebie?!

Rzeczywiście coś tam było, połyskliwy, srebrny kształt, który przeszywał ciemność. Ciągnęło się za nim migotliwe pasmo ognia, płomienna zorza, która przesłoniła Denver. Garstka widzów skuliła się, przerażona jej furją, ale pozostali krzyczeli jak szaleni. Maggio odpowiedział Hobbinsowi ochryłym, lubieżnym głosem.

To miiiiiiłość!

Ze sceny runęła na nich muzyka, echa wojskowych marszów zgłośnionych, wypaczonych i przeobrażonych w nową postać. Gitara prowadząca była gorąca jak zagęszczona benzyna, którą miała przywozić na myśl, bas dudnił pomrukiem nadlatujących bombowców, dźwięk buchał dymem i ogniem, widocznymi na tle ranionego, czerwonego, przeszywanego błyskawicami nieba. Głos Hobbinsa był czystym seksem, gorącym i spoconym. Gdy nadeszła pora na refren, widownia zaśpiewała razem z nim:

Ooooo, napalm! Ooooo, napalmowa miłość!

Potem znowu śpiewał sam, ale jego głos niósł się na wiele mil.

Jest gorący, bo cię kocham! Oo, parzy, bo cię kochamy!

Przepełniony uczuciem, którego nie umiał opisać, uczuciem wykraczającym poza muzykę, Sandy pochylił się w stronę Anandy.

- To jest Hobbins! - krzyknął jej do ucha, by usłyszała go przez muzykę. Skinęła głową z roztargnioną miną. Przemknęło mu przez głowę, że nie zrozumiała, w czym rzecz. *Napalm Love* była utworem z płyty *Napalm*, nie z *Musie to Wake the Dead*. To dn* powinien być Larry Richmond. Ale nie był. Dzisiaj Hobbins był obecny od pierwszego utworu.

Od pierwszego aż do ostatniego.

Gdy wokalista skończył śpiewać, zapytał z uśmiechem.

- Leci wam już krew z uszu?

- Kurwa, nieeeee! - odkrzyknęły tysiące głosów.

- No to będziemy musieli grać głośniej - stwierdził Hobbins i poprowadził grupę do *This Black Week*. Sztuczne ognie przesłaniały niebo za jego plecami, niebieskie, potem zielone, a następnie czerwone - inny kolor dla każdej linijki tekstu. Światła na scenie zmieniały się wraz z efektami pirotechnicznymi na górze. Muzyka również się zmieniała. Gdy Hobbins dotarł do czarnej niedzieli, audytorium śpiewało razem z nim, kołysząc się z boku na bok i klaszcząc w niezliczone dłonie. Edan Morse zamknął oczy i obandażowaną ręką stukał delikatnie do taktu o kolano. Nawet Gort, który stał z zasepioną miną pod sceną poruszał się lekko w rytm muzyki.

Pierwsza część koncertu składała się z jednego hitu po drugim. Wszystko to były stare utwory ze starych albumów. Pierwszych czterech albumów. Wykonali *Elf Rock* i *Cold Black Water* z *Hot Wind out of Mordor*, *Crazy Cara* z *The Nazgul*, *Jackhammer Blues*, *Poison Henry* i *Schuylkill River* z *Czarnego albumu*, a na koniec bardzo długą wersję *Makin' War!* z *Napalmu*. Maggio wpadł w trans i wszedł między widzów. Jego telecaster zawodził przeraźliwie, podczas gdy publika śpiewała razem z grupą: *Czyńcie wojnę, czyńcie wojnę, czyńcie wojnę, czyńcie wojnę, wojnę, wojnę!* - ale tym, co czyniła, nie była wojna, lecz swego rodzaju, pełna pasji miłość. Gdy Maggio wreszcie zakończył długą improwizację, był zlany potem. Ricky Faxona i gibson Hobbinsa zaprowadziły go z powrotem na scenę, ku ostatniej linijce tekstu. Świstak John zakończył utwór serią uderzeń tak gwałtownych, że wydawało się, iż chce obedrzeć swe bębny ze skóry. Wszyscy w Red Rocks zerwali się z krzykiem z miejsc. Aplauz przypominał donośny, przeciągły grzmot.

Gdy jednak w końcu umilkł, tak jak milkną wszystkie grzmo-

ty, odpowiedział mu inny, bardziej głuchy grom. Sandy obejrzał się za siebie i zobaczył burzę. Była coraz bliżej, czarna i groźna. Horyzont przesłoniła potężna ściana atramentowej czerni, w każdej chwili gotowa na nich runąć. Na oczach Sandy'ego chmury rozświetliła od środka błyskawica.

Podczas krótkiej przerwy ludzie wstawali z miejsc, przeciągali się i kręcili z kółko. Sandy podniósł się, gdy tylko podszedł do nich Gort.

- Faxon chce skrócić drugą część - zameldował olbrzym.

- Co takiego? - zdumiał się Morse. - Dlaczego? Gort wskazał wielkim kciukiem na zachód.

- Boi się burzy.

- Nie - zaprotestował podekscytowany Morse. - Nie, absolutnie nie. Muszą skończyć

koncert. Muszą... muszą... - Zatoczył się, twarz mu pobladła. - Kręci mi się w głowie mruknął.
- Muszę usiąść.

Niemal osunął się na krzesło.

- Porozmawiam z nim - rzuciła Ananda i podążyła za Gortem przez kłębiący się tłum. Sandy poszedł za nimi, szybko, lecz nie wystarczająco szybko. Gdy dotarł na miejsce, kłótnia już się zaczęła.

- Nie! - krzyczał Faxon. - Absolutnie nie! Oszalałaś, czy co? - Wyciągnął rękę. - Ta burza dotrze tu za moment.

- Co znaczy odrobina wody? - sprzeciwiła się Ananda. Na Woodstock grali podczas deszczu, prawda?

- Deszczu? Chyba żartujesz? Spójrz na te chmury! Ja patrzyłem na nie przez cały koncert. To nie będzie jakiś tam taki sobie deszczyk, Nando. To burza pierwszej klasy. Pioruny i elektryczne instrumenty nie pasują do siebie.

1- Masz stracha, liderze? - wtrącił stojący obok Maggio. Ja się nie boję. Będę grał.

Faxon wyglądał na zdeprymowanego. Przeciwnik miał przewagę liczebną. Mimo to basista nie zamierzał dać za wygraną. Nagle przez tłum pracowników technicznych przepchnął się Hobbins.

- Będziemy grać - oznajmił. - Słyszysz mnie, Peter? Będziemy grać.

- Nie - sprzeciwił się Faxon, ale jego głos zabrzmiał słabo. Pobladł i był wyraźnie podenerwowany.

- Tak - warknął Hobbins. - Kto tu, kurwa, jest gwiazdą? Wszyscy popatrzyli na niego. Wypowiedział te słowa lekkim, żartobliwym tonem, ale wyczuwało się za nimi niezachwianą pewność siebie. Ten ton zapowiadał, że postawi na swoim, tak jak zawsze. To był Hobbins, nie Richmond.

- Pat - wyszeptał Faxon. - To ty.

- Jezu Chryste na drągu - wygarnął Maggio, rozdziawiając szeroko usta.

- Cieszę się, że cię widzę - odparł Hobbins. - Widzę, że zgadłeś, jak mam na imię.

Peter Faxon z wyraźnym wysiłkiem wziął się w garść.

- Jeśli mamy zagrać, to zaczynamy - zasugerował. - Zanim burza tu dotrze i wszystkich nas trzasną pioruny.

- Świetnie - ucieszył się Hobbins. - Ja jestem gotowy. Gramy cały nowy album, jeden utwór po drugim.

- Zgoda - potwierdził Faxon. Gdy zaczęli się rozchodzić, Sandy postąpił kilka kroków naprzód i złapał Hobbinsa za ramię.

- Co jest? - warknął wokalista.

- Oni tego nie rozumieją - powiedział Sandy. - Nawet Faxon. Są tylko narzędziami Morse'a... czy kto tam właściwie za tym wszystkim stoi. Ale ty rozumiesz, prawda?

Oczy tamtego rozbłysły szkarłatem, usta wykrzywiły się w drwiącym, ironicznym uśmiešku.

- A jeśli nawet, to co?

- To Armagedon - wyjaśnił Sandy. - Ostatnia bitwa. Ostateczna konfrontacja między dobrem a złem. Na tym właśnie ma polegać Armagedon, czyż nie tak?

Hobbins uniósł białe brwi, nie odzywając się ani słowem.

- Ale po której stronie my jesteśmy? - zapytał Sandy. Po której?

- Na to pytanie sam musisz sobie odpowiedzieć, przyjacielu. To nie jest tak jak u Tolkiena, co?

Zaczął się oddalać.

- Zaczekaj - zawołał za nim Sandy. Hobbins odwrócił się i potrząsnął głową.

- Wybacz, Charlie. Będę teraz grał muzykę. - Uniósł kciuk w górę. - Słuchaj jej, brachu. Słuchaj jej uważnie.

Ananda i Gort przysłuchiwali się tej wymianie słów. Gdy Sandy się odwrócił, wydawało mu się, że dostrzega w ciemnych oczach Anandy dziwny, pełen namysłu wyraz. Wyciągnęła jednak rękę i ujęła jego dłoń.

- Chodź - powiedziała i wrócili na miejsce.

. Reynard wystrzelił kolejną racę, która przeszła noc z wysokim, przenikliwym gwizdem tworzącym kontrpunkt dla łoskotu nadchodzącej burzy. Świstak John uderzył w bębny, z gitar popłynęły ostre tony i Hobbins zaczął śpiewać:

Kochanie, wycięłaś mi serce. Kochanie, przez ciebie krwaaawię!

Pierwsze krople deszczu spadły, gdy wybrzmiewała *Blood on the Sheets*, maleńkie kulki zimna, które chłodziły skórę i przesywały dreszczem duszę. Gdy zespół grał *Ash Mana*, lało coraz bardziej, ale deszcz nie ochłodził entuzjazmu widowni. Jedna z rac zgasła ze skwierczeniem, lecz duch w Red Rocks nie upadał. Nad amfiteatr nasunęła się czarna, kłębiąca się niczym morze chaosu, zasłona, która połknęła gwiazdy.

Rick Maggio wysunął się przed pozostałych muzyków. Na jego ustach malował się znany z dawnych czasów wzgardliwy uśmieszek. Przemókł do suchej nitki.

- Chuj z deszczem! - ryknął do mikrofonu. Zdarł z siebie mokry T-shirt, zwinął go w kulę i cisnął w tłum. Kobiety biły się o niego z krzykiem. Pod skórą Maggia sterczały żebra. Cała była poźółkła, wyglądała niezdrowo i wszędzie pokrywał ją lśniący

na deszczu trądzik. - Zmokłem - poinformował publiczność. Dotknął strun i nadepnął na pedał kaczki, by podkreślić swe słowa. - A kiedy zmoknę, to, kurwa, się wkurzaaam! - dodał.

- Jak bardzo się wkurzyłeś? - zakrzyknął tłum.

- Jestem po prostu wściekły! - zawołał Maggio. W tej samej chwili rozbłysła błyskawica i uderzył grom. Fioletowoniebieski blask zamienił noc w dzień. Gitarzysta uniósł z uśmiechem wzrok. - Cholera jasna - mruknął. - Chyba nie tylko ja się zeźliłem.

Publika ryknęła śmiechem. Maggio uderzył w struny gitary i zabrzmiała muzyka.

Nie będę już spokojny Nie będę tego znosił.

Francie wdrapała się na scenę i zaczęła tańczyć w rytm muzyki. Zamknęła oczy i kołysała się w przód i w tył, stojąc przed grupą. Ona również przemokła do suchej nitki, tak jak wszyscy. Jej długie, cienkie włosy przylepiały się do twarzy, a duże, ciemne brodawki uwidaczniały się wyraźnie pod mokrym T-shirtem. Widzowie poszli za jej przykładem. Włazili na scenę i tańczyli tam, klaszcząc w dłonie.

Bo jestem wściekły!

Zaśpiewał Maggio, a tysiące widzów powtórzyło za nim.

Wściekły! zakrzyknęli. Niebo nad nimi przeszyły kolejne błyskawice. Nad górami za nimi rozbłysła pajęczyna światła, która dotknęła ziemi raz, dwa, trzy razy. Zahuczały gromy i w kolumnach odezwał się na chwilę zagłuszający granie Nazguli szum. Potem jednak muzyka zabrzmiała znowu, jeszcze głośniejsza niż przedtem. Hobbins wrócił na pozycję pierwszego wokalisty z delikatną,

ale chwytającą za serce interpretacją *Survivora*. Później uśmiechnął się do wszystkich drapieżnie, odrzucił do tyłu grzywę białych włosów - woda ściekała z nich strumieniami i z pewnością zrobiły się od niej diabelnie ciężkie - rozpostarł ramiona, uniósł wzrok i zaśpiewał:

Kołując coraz to szerszą spiralą

Nazgule wyszeptali: *On nadchodzi!*, głośno jak przybycie północy.

Sokół przestaje słyszeć sokolnika śpiewał Hobbins. Sandy usłyszał, że wystrzelono racę, obserwował, jak leci w górę, walcząc z ulewą, wpatrywał się w ciągnący się za nią, skwierczący ogień, przyglądał się, jak wznosi się ku atramentowym chmurom... i nagle trafiła w nią błyskawica - potężny niebiesko-biały zygzak, od którego rozboleły go oczy - a za nią druga, trzecia i czwarta, aż przez chwilę wydawało się, że cztery pajęczno smukłe ramiona trzymają racę w uścisku na tle ciemności. Potem raca eksplodowała. Na mgnienie oka na niebie pojawiła się sylwetka kołującego sokoła, która jednak szybko przerodziła się w coś złowrogiego i ohydneho, a potem zniknęła bez śladu.

On nadchodzi!

Faxon miał twarz równie bladą jak Hobbins, ale jego bas nigdy dotąd nie brzmiał lepiej. Wszędzie wokół szalała burza, uderzały pioruny, głośniki w nieprzewidywalnych momentach wypełniał szum, jednak Maggio w jakiś sposób potrafił wykorzystać to wszystko. Opierał na tych dźwiękach swą grę, wciągał je w muzykę. Gromy raz po raz uderzały w tej samej chwili, gdy Świstak John tłukł pałką w wielki bęben.

Najlepsi tracą wszelką wiarę

zaśpiewał Hobbins i popatrzył na Sandy'ego, przenikając spojrzeniem czerwonych oczu głęboko do jego duszy. a w *najgorszych*

Och! Kipi żarliwa i porywcza moc!

Hobbins przesunął lekko wzrok, ale na kogo teraz patrzył? Na Morse'a? Na Gorta? Na Anandę?

W wysoką skalną wyniosłość uderzył kolejny piorun. Kobieta siedząca w odległości kilku stóp od niej krzyknęła przeraźliwie, ale jej pozbawiony wsparcia wzmocniaczy głos był słaby i cichy na tle nocy. Pozostali widzowie śmiali się, klaszcząc w dłonie i wyciągając ręce. Hobbins pogroził burzy pięścią. Trzydzieści tysięcy głosów zakrzyknęło jak jeden mąż: *On nadchodzi!*

Tak jest! - odpowiedział im Hobbins. Faxon był skupiony, twarz miał pobladłą. Maggio uśmiechał się szyderczo. Świstak John krzywił się wyjątkowo wściekle, nie przestając bębnić ani na moment.

Sandy był bardzo mokry, zziębnięty i przerażony. Ujął dłoń Anandy. Wydała mu się zimna i śliska od deszczu, a zgrubienie na jej zewnętrznej krawędzi było twarde i ostre.

Jaki ogromny obraz wzrok mój poraża? On nadchodzi!

Twarz Anandy miała nieobecny wyraz, jej oczy błyszczały od muzyki i jakichś tajemniczych wizji, a wargi rozchyłały się, jakby w uniesieniu. Siedzący dalej Edan Morse oklapł bezwładnie. Oczy miał zamknięte, a obandażowane ręce spoczywały na kolanach. Bandaże zrobiły się już bladoróżowoczerwone. Po nogach spływały mu wąskie strużki zabarwionej krwią deszczówki. Mokra, bawełniana koszula przylepiła mu się do ciała i nad sercem również nabrała różowego koloru. Plama ciemniała i rosła na oczach Sandy'ego.

Z okiem jak słońce, pustym, bezlitosnym!

Wydawało się, że nad sceną, pośród chmur formuje się jakiś ogromny kształt, gigantyczna, czarna twarz o płonących oczach. W jej otwartych ustach migotały błyskawice.

On nadchodzi! On nadchodzi!!! Tak, on nadchodzi!!!

Skandowanie. Oklaski. Opadające z nieba strugi deszczu. Bijące wszędzie wokół

pioruny. Gromy i perkusja. Skandowanie. Oklaski. Patrick Henry Hobbins śpiewał linijkę po linijce. Jego głos wypełniał park i odbijał się echem od gór. A gdy zadał ostatnie pytanie, na scenie zapadła ciemność i od strony nieba dobiegł przeszywający łoskot. Na dalekim horyzoncie rozbłysła długa błyskawica i widzowie - w tym również Sandy - pogrążyli się na moment w śmiertelnej ciszy. Wszystkie światła w Denver zgasły.

W mroku ktoś podał Sandy'emu świeczkę. Zapalił ją w deszczu i trzymał pod brodą, uśmiechając się szeroko. Głośniki przebudziły się z głośnym trzeszczeniem.

- Nadchodzę - oznajmił Hobbins. - Cholera, jestem już prawie na miejscu.

Denver zamrugało, znowu zgasło i zapaliło się, witając go swym blaskiem.

Histerii nie było końca.

Gdy Sandy pomyślał już, że tłum nigdy się nie uspokoi, Nazgule znowu zaczęli grać. Zabrzmiały tony *Prelude to Madness*. Ten kawałek pełen był chaotycznych brzmień instrumentów, pełen sprzężeń i ech, pełen dysonansów, od których aż drżały plomby w zębach, lecz mimo to po szale *What Rough Beast* brzmiał niemal uspokajająco.

Dobro jest złem, czarne jest białe Gdzie, kurwa, jest dziś sprawiedliwość?

Sandy usłyszał, że Edan Morse wciągnął nagle powietrze i krzyknął głośno. Spojrzał w jego stronę. Morse unosił w górę dłonie.

- Nie - krzyczał. - To nie tak, nie, nie! - Popatrzył na Anandę i złapał ją za ramię, plamiąc krwią mokry od deszczu rękaw. - Pomóż mi - zawołał. Cała jego koszula przesiąkła już krwią, a głos dławił się ze strachu. Ludzie gapili się na niego.

Słyszę śmiech w niewłaściwych miejscach Widzę kolory w białych przestrzeniach

Morse podniósł się chwiejnie. Nie przestawał krzyzczeć, wymachując okrwawionymi rękami. Ananda wstała razem z nim. Trzymała dłonie na jego ramionach, próbując go uspokoić. Po ich twarzach spływał deszcz. Gort zauważył tę szarpaninę i zaczął się przepychać przez tłum tańczących na scenie.

Damy zawsze biją asy, tak jest! Ręka umarłego, ręka umarłego! A Charlie jest dzokerem w talii!

Sandy próbował dotrzeć do Anandy, pomóc jej zająć się Morse'em, ale oddaliła się już od niego, a tłum pogrążał się w coraz większym szale. Sandy wpadł na kogoś, wymamrotał przeprosiny, a potem zachwiał się na nogach, gdy mężczyzna odwrócił się i uderzył go. Ktoś inny przywalił mu z boku. Muzyka nie przestawała grać.

- Krwawię! - wrzasnął Morse przenikliwym głosem, tak donośnym, że przekrzyczał muzykę. - Co się ze mną dzieje?!

Sandy zauważył, że Morse zamachnął się jak szaleniec na Anandę i uderzył ją z cichym,

wilgotnym dźwiękiem, zostawiając na jej policzku ślad krwi, który po chwili zmył deszcz. Potem dopchał się do nich Gort, wyrastający ponad tłum. Odepchnął tłoczących się ludzi na bok potężnymi ramionami i objął nimi Morse'a. Ten krzyknął coś do niego i Gort chwycił go pod

pachy, podniósł i przerzucił sobie przez szerokie ramię. Potem ruszył ku wyjściu, przedzierając się przez tłum dzięki masie i sile mięśni. Niósł Morse'a na plecach. Tancerze wirowali wokół niego, nie zwracając uwagi na wydarzenia.

Sandy dotarł do Anandy obalonej podczas szamotaniny na ziemię. Podał jej rękę i pomógł wstać.

- Nic ci się nie stało? - zapytał.

Maggio zagrał długi, chwiejny, szalony riff, który drażnił zakończenia nerwowe. Bas Faxona wydawał z siebie bardzo niskie tony, niemal dotykające granicy słyszalności. Hobbins po raz ostatni zaśpiewał refren.

Damy zawsze biją asy, tak jest! Ręka umarłego, ręka umarłego! A Charlie jest dzokerem w talii.

Z kolana płynęła jej krew i miała rozdartą nogawkę, zlekceważyła to jednak.

- To tylko draśnięcie - zapewniła.

Sandy wykrzyczał kolejne pytanie, ale nic to nie dało. Świstak John grał końcowe solo z *Prelude to Madness*, które w pewnej chwili nagle zwolniło tempo i przeszło z drzeniem w coś innego, początek kolejnego utworu.

Tłum krzyknął chóralnie.

Gdzieś w oddali zahuczał grom, jakby burza już mijała.

Hobbins skierował na widzów spojrzenie swych straszliwie czerwonych oczu, uśmiechnął się z mądrą miną i zaśpiewał:

To jest kraina, do której wiodą wszystkie słuszne sprawy. To jest kraina, gdzie grzyby będą wyrastały.

I rzeczywiście zaczęły rosnać na niebie za jego plecami, ponad światłami Denver - wysokie, widmowe kształty, od spodu barwy trującego błękitu i fioletu, a od góry gorejące bielą słońca. Rozkwitały i wydawały nasiona, a potem wokół nich wyrastały

następne, grzyb po grzybie, od horyzontu po horyzont. Tańczący zamarli w bezruchu, wstrzymując oddech. Cały świat czekał, pogrążony w milczeniu. Nawet burza się uspokoiła, gdy Nazgule śpiewali:

Na pole bitwy droga wiedzie, Och, czy słyszysz to bębnienie? To grają rag Armagedonu, och! Grają rag Armagedonu!

I perkusja rzeczywiście zabrzmiała. Wielki bęben wniósł w krwiobieg swym niskim dudnieniem, tam-tamy wyszeptywały narastający powoli wojskowy rytm, który wzywał, jątrzył, czarował. Świstak John spojrzał z zaszępioną miną na swe wielkie łapska, które poruszały się coraz szybciej i szybciej. Każde uderzenie było kulą, każda seria pociskiem artyleryjskim.

To jest dzień, do którego wszyscy przybywamy. To jest dzień, który wybieramy.

Hobbins zaczął utwór smutnym, niemal delikatnym głosem, ale wydawało się, że z każdym słowem narasta w nim gniew. Burza również przybrała ponownie na sile. W oddali znowu uderzył piorun, mącąc krótką chwilę ciszy. Kiedy wybrzmiał, Nazgule zaśpiewali:

Przyszedłem po to, by wszystko naprawić, W ostatniej walce się wykrwawić. A oni grają rag Armagedonu, och! Grają rag Armagedonu!

Rozebrany do pasa, mokry, wykończony, uśmiechający się szyderczo Rick Maggio śmigał palcami po strunach fendera i muzyka płynęła z głośników skwierczącą kanonadą. Faxon i Hobbins

odpowiadali mu ogniem i wspólna improwizacja przeradzała się w pojedynek. Każdy z nich wykrzywił twarz w grymasie i poruszał się drobnymi kroczkami, by zwrócić się twarzą do przeciwnika. Akordy przelatywały między nimi przez długie minuty, nim wreszcie Maggio zakończył walkę długim, bolesnym krzykiem sprzężenia. Wielki bęben łomotał, rytm był żywą, lepką istotą, która poruszała się wciąż szybciej i szybciej. Widownia zaczęła klaskać w ręce do taktu. Hobbins ponownie objął przewodnictwo:

To dzień burzy dusz, moja droga! Dzień sploty wszystkich długów! pamiętaj o krzywdach, które mi wyrządziłaś, Kiedy ja wyrządzam je tobie!

Zacisnął dłoń w pięść i unióś ją nad głowę. Tysiąc innych pięści powtórzyło ten gest. Inne dłonie nie przestawały klaskać, trzydzieści tysięcy par dłoni uderzających w hałaśliwym unisono. Sandy również klaskał. Hobbins śpiewał pieśń lodu i ognia, pieśń zbawienia. Gitarę Maggia opętała demoniczna wścieklizna. Bas Faxona był miarowym, śmiercionośnym ostrzałem artyleryjskim. Świstak John zatracił się w katastrofie bębnienia, a niebo przerodziło się w wielki, fioletowoczarny siniak, przeszywany ogniem błyskawic. I wszystkie dawne duchy pojawiły się niczym mgła, drwiąc z Sandy'ego. Ludzie bez twarzy wypadali z wind, wymachując okrwawionymi pałkami. Brzydkie, obwisłe policzki Daleya wykrzywiały się z nienawiści, Nixon kręcił i kłamał, Rzeźnik Byrne ponownie uderzał strzelbą. W chmurach pełno było bagnetów i kwiatów, toczących ze sobą wojnę. Kłębiące się armie wirowały wokół siebie, prowadząc ogień z karabinów, które pluły błyskawicami i huczały jak gromy. Umarli powstali, by znowu walczyć. Zniekształcenia dźwięku. Śmierć. Sprzężenia. Krew. Echa.

Duchy. Słowa tekstu. Krzyki. Dawne czasy dawne rany dawni wrogowie potraktowali nas niesprawiedli-

wie chcieliśmy tylko pokoju dawna gorycz sfalszowana konwencja głuche uszy ślepotą głupota chciwość nie uznaję zabijania nie ma wyboru wojna o pokój zabij dla miłości zabij zabij zabij zabij zabij.

Utwór osiągnął wyjące crescendo. Wszystkie instrumenty wydawały z siebie przeraźliwy pisk, który nie przestawał narastać. I Hobbins śpiewał:

Zabij brata, tak jest!

Ten frajer cię skrzywdził.

Zabij przyjaciela, cholernego zdrajcę

Posłuchaj słów pieśni

Bo oni grają rag Armagedonu!

Zabij brata, zabij przyjaciela, zabij siebie!

Bo ty też jesteś zabójcą

I polegli są podobni do ciebie

Kiedy grają rag Armagedonu!

Tak jest! Grają rag Armagedonu!

Śpiewał te słowa, patrząc prosto na Sandy'ego. Jego szkarłatne oczy miały szyderczy wyraz. Sandy przypomniał sobie, co Hobbins powiedział mu podczas przerwy. Nazgule przelecieli przez długi pomost, wznosząc się coraz wyżej. Zwalniali jednak stopniowo aż do chwili, gdy zabrzmiały pierwsze słowa *Zmartwychwstania*. Hobbins odwrócił wreszcie wzrok od Sandy'ego i zaśpiewał:

To jest dzień, ku któremu nasze marzenia zmierzają, To jest kraina, gdzie kwiaty zakwitają.

Ale na niebie nad nim nie było kwiatów, tylko ciemność i błyskawice. Deszcz wciąż padał miarowo i szął zaczął powoli stygnąć. Sandy nagle poczuł, że jest mu bardzo zimno. Zwrócił się w stronę Anandy i zobaczył w jej twarzy coś, co go przestraszyło, lecz mimo to odwrócił ją ku sobie.

W dzień Armagedonu - zaczął mówić - obie armie będą sądziły, że walczą za sprawę dobra. I obie będą w błędzie.

Ale muzyka grała zbyt głośno i Ananda go nie słyszała. Jej oczy, tak jak oczy wszystkich wokół, były twarde i błyszczące jak czarny lód. iii

Dwadzieścia pięć

Była biegła w sztuce oszustwa!

Poznałem to po jej okrwawionych dłoniach

Sandy obudził się z męczącego, pełnego koszmarów snu wczesnym popołudniem, gdy pokojówka po raz trzeci czy czwarty zapukała do jego drzwi w Hiltonie.

- Niech pani przyjdzie później! - krzyknął do niej zza zamkniętych na łańcuch drzwi głosem przepojonym irracjonalną furią. Próbował znowu zasnąć, ale mu się nie udało, zamówił więc śniadanie.

Kawa była zbyt gorzka, a sok pomarańczowy za kwaśny, ale najpewniej była to wina jego nastroju, nie samych napojów. Zmusił się do przełknięcia naleśników i kiełbasek, a potem włączył lampkę, żeby przeczytać miejscowe gazety. Ananda jeszcze spała, nie odsłaniał więc okien.

„Rockowa rozróżba w Red Rocks!” informowały aliteracyjnie „Rocky Mountain News”; „Fani rocka pustoszą park” - oznajmiała „Denver Post” wielką czerwoną czcionką. W obu dziennikach umieszczono tę wiadomość na pierwszej stronie, ilustrując ją mnóstwem fotografii.

Sandy przełknął parę łyków kawy i przejrzał obydwa artykuły, krzywiąc się na widok niektórych zdjęć. Ślady wygasłych ognisk upstrzyły park niczym wrzody, wszędzie pozostawiono góry puszek po piwie, niedopałków oraz potłuczonych butelek, nawet na samych czerwonych skałach widać było blizny po przej-

ściu armii. „News” zamieściły trzy strony zdjęć wymalowanych sprayem graffiti. Wszędzie widać było pacyfy, wielkie i małe. Slogany, stare i nowe. A także - co bardziej złowieszcze - wypisane w kilkunastu różnych kolorach, literami wysokimi na dziesięć cali albo na dziesięć stóp, urywki z samych utworów. *Wściekły!* - nabazgrał ktoś drżącą ręką przy użyciu krwistoczerwonej farby i podkreślił to słowo trzy razy. *On nadchodzi!* - napisano ze sto razy, a raz czy dwa również: *On już tu jest. Och, czy słyszysz to bębnienie?* - zapytała jakaś osoba, a jakaś inna - wielkimi czarnymi literami nabazgranymi na siedzeniach w samym amfiteatrze - zachęcała: *Zatańczcie w rytm ragy!*

Tekst artykułu był jeszcze gorszy. Autor skupił się na rozróżbach, jakie wydarzyły się po koncercie. Utworzyły się potężne korki drogowe, doszło do z górą czterdziestu drobnych stłuczek oraz dwóch poważnych wypadków, bójek między fanami a mieszkańcami okolicznych domów, między fanami a policją, między policją a ochroną Morse'a. Obrzucono radiowóz kamieniami, wybijając przednią szybę. Uwięzionego w korku mercedesa przewrócono na bok i pomalowano sprayem na psychodeliczne kolory. Bijatyki, głośne śpiewy, pijaństwo, potłuczone szyby, wybite zęby, połamane kości. Aresztowano kilkanaście osób. I było sześć ofiar śmiertelnych. Trzy osoby spaliły się w rozbitym samochodzie, jedna

kobieta próbowała wspiąć się na skałę i spadła z wysokości prawie stu stóp, w jednego młodzieńca uderzył piorun i jeden mężczyzna został zabity podczas bójki. LeRoi J. King, lat trzydzieści dziewięć, bezrobotny kucharz z Los Angeles, zginął na miejscu, gdy ktoś złamał mu nos, wbijając odprysk kości aż do mózgu.

Sandy złożył gazetę i popatrzył na Anandę. Jej ciemne włosy leżały splątane na poduszce, a twarz przez sen wyglądała zupełnie niewinnie. Wyciągnął rękę i zgasił lampę. W tej samej chwili zadzwonił telefon.

Sięgnął po słuchawkę, ale Ananda miała bliżej i podniosła ją pierwsza.

- Słucham - powiedziała zasnętym głosem. Odpowiedź

jednak wyraźnie ją obudziła. Usiadła, potarła powieki, by przegnać resztki snu, i skinęła głową. - Dobra. Tak. Już nie śpi. Zaraz przyjdziemy. Tak. Natychmiast. - Odłożyła słuchawkę i spojrzała na Sandy'ego. - Ubieraj się. To był Gort. Edan chce z nami rozmawiać.

- Jak się czuje?

- Lepiej nie pytaj - warknęła Ananda po drodze do łazienki. Po niespełna dziesięciu minutach znaleźli się pod drzwiami apartamentu Morse'a. Gort wpuścił ich do wewnątrz i zaprowadził do sypialni. W pokoju panowała ciemność. Kotary szczelnie zasunięto. Morse leżał wsparty o poduszki, przykryty kocami. Jego sylwetka była ledwie widoczna w mroku.

- Wejdźcie - rzucił niecierpliwie. Wydawało się, że mówienie sprawia mu trudność. Ananda chciała włączyć światło, ale Gort powstrzymał ją, potrząsając głową. Usiedli na fotelach w ciemności, która stała się jeszcze głębsza, gdy olbrzym zatrzasnął drzwi do sąsiedniego pokoju.

- Słyszeliście poranne wiadomości? - zapytał słabym głosem Morse.

- Spaliśmy - wyjaśniła Ananda.

- Podali... - kaszlnął i uniósł ku ustom bladą, zabandażowaną dłoń - ...w wiadomościach - dodał. - Albuquerque. Odwołują koncert. Boją się. Już... już jest tam czterdzieści, pięćdziesiąt tysięcy ludzi. Obozują. Czekają. A każdego dnia napływają nowi. Zabronili przeprowadzenia koncertu.

- I co z tego? - zapytała ostrym tonem Ananda. - Widziałeś to wszystko już dawno, prawda? W swoich wizjach. Już nie mogą nas powstrzymać. Jest nas zbyt wielu. Sandy ogłosi, że The Nazgul i tak zagrają, zagrają dla ludzi, za darmo, i pieprzyć faszystowskie władze. Niech spróbują rozpędzić sto tysięcy ludzi, dwieście tysięcy, trzysta. Tym razem będziemy się bronić. Spalimy ich pieprzone miasto i zatańczymy na jego popiołach.

- Nie - sprzeciwił się ochryplym tonem Edan Morse. Sandy, chcę... chcę urządzić konferencję prasową. Powiedz im.

- Co mam im powiedzieć?

- Ze odwołujemy koncert. Odwołujemy West Mesa.

- Nie! - zaprotestowała Ananda głosem łagodnym, ale twardym jak stal. - Co ci się stało, Edan? Wszystko idzie zgodnie z twoimi przewidywaniami. Tak jak pokazano ci w wizjach, prawda? Czemu gadasz takie bzdury? Nie możemy się sprzedać, kiedy jesteśmy tak kurewsko blisko!

- Co mi się stało? - powtórzył Morse wysokim, histerycznym tonem. Wybuchnął śmiechem, ale ten śmiech przeszedł w atak kaszlu tak gwałtowny, że mężczyzna aż zgiął się wpół. - To się wyrwało spod kontroli, Nando - wyjaśnił, kiedy atak minął. - Nie tak miało być. Nie tak! Wszystko miało... miało się skończyć.

- Co się miało skończyć? - zapytała Ananda.

- Krwawienie - mruknął Morse.

- Jesteś chory, Edan. Chory i przerażony, prawda? Morse ponownie parsknął śmiechem, tym razem bardziej przenikliwym.

- Gort - rozkazał. - Światło.

- Jesteś pewien? - zapytał olbrzym.

- Światło - powtórzył Morse. Gort zapalił światło.

Edan Morse ociekał potem, potem, który był krwią. Wydawało się, że sączy się ona ze wszystkich porów skóry, spływa po ciele, wsiąka w bandażę, pościel, koce. Z jego nozdrzy wypływały dwa bliźniacze strumyczki. Na prześcieradle widać było krwawe plamy; poduszki, o które się opierał, były brudne i czerwone, a w brodzie miał pełno zakrzepłej krwi, która kruszyła się, gdy otwierał usta. Białka oczu przybrały karmazynową barwę, a źrenice wydawały się małe i przerażone. Nawet dziąsła mu krwawiły. Jego uśmiech był czerwony i wilgotny.

Ananda wciągnęła głośno powietrze. Sandy'emu zrobiło się niedobrze.

- Jezu Chryste - mruknął i zaczął się podnosić z krzesła. - Musisz jechać do szpitala - powiedział. Gort złapał go za ramię i popchnął z powrotem na miejsce.

- Nie ma czasu - odparł Morse z zaskakującą stanowczością. - Zresztą to by nic nie pomogło. To krwawienie... nie ma powodu. Jest nienaturalne. Lekarze gównem mogą zrobić. - Uniósł lewą rękę w pełnym znużenia geście. - Moja krew - oznajmił.

- To część ceny. Ale nie tak wiele. Nie myślałem, że to będzie tak wiele.

- Żal mi cię, Edan - oznajmiła Ananda twardym, pozbawionym wyrazu głosem. - Ale to niczego nie zmienia. Zostań tutaj. Mam nadzieję, że wydobrzejesz. Ale jeśli nawet nie, warto będzie zapłacić tę cenę. Rewolucja jest ważniejsza niż twoje albo moje życie.

Edan Morse zamknął na chwilę czerwone, pełne bólu oczy. Potem nakazał sobie znowu je otworzyć. Dłoń opadła mu na koc.

- Nic nie... nie rozumiesz. Nie chodzi tylko o mnie. Obietnice... to gówno... ojciec kłamstw. To nie tak miało być!

Ananda zerwała się z krzesła ze złością w oczach.

- Co ty, kurwa, wygadujesz?

Morse znowu uniósł z wysiłkiem lewą dłoń, podtrzymując ją prawą.

- Ceną była krew! - oznajmił z całą siłą, jaką zdołał z siebie wykrzesać. - Płaciłem ją, tak jest. Szybkie cięcia, głębokie i bolesne. Ale te rany się zamykały, Nando! Goiły się. A potem blizny... były mocniejsze niż nieokaleczone ciało, no wiesz, mocniejsze, twardsze. Miało być właśnie tak. Krótka, czysta walka, a potem mieliśmy wyzdrowieć. Stać się lepsi. Silniejsi. Twardsi.

- Puścił swą dłoń i rozciągnął usta w ohydny, krwawym uśmiechu. Między białymi zębami widać było cienkie linie czerwieni. - Nie tak. Nie rozumiesz, ty cholerna suko? Krew nie przestanie płynąć! Kurwa, krew nigdy nie przestanie płynąć! zakończył, wrzeszcząc przeraźliwie.

Ananda pozostała obojętna.

- Zawsze byłeś zbyt delikatny, Edan. Chciałeś wykorzystać moc zawartą w muzyce, ale pragnąłeś też nad nią zapanować. No cóż, to niemożliwe, frajerze. Moc stawia swoje żądania. Nie można jej dać tylko trochę. Żąda wszystkiego. - Zmarszczyła

brwi, zerknęła na Gorta, a potem na Sandy'ego, zawahała się, a następnie potrząsnęła głową i mówiła dalej. - Nie można zrobić pieprzonego omletu, nie rozbijając kilku cholernych jaj, zgadza się? Ale ty wolisz siedzieć z założonymi rękami i czekać, aż jaja same się rozbiją w magiczny sposób. Muzyka nie dokona tego sama. Potrzebuje naszej pomocy, żeby proroctwo się spełniło. A ty chcesz udawać, że wszystko jest słodkie i miłe. Ale nie jest. Kurwa, świat jest paskudny i nie można z nim walczyć, samemu nie stając się paskudnym. Naprawdę sądziłeś, że kilka cholernych kropli krwi z twojej dłoni wystarczy, żeby zapłacić cenę? Naprawdę?

Roześmiała się pogardliwie.

- Ja... nie...

Morse skrzywił się i odwrócił wzrok.

- Tak jest. Udawaj, że nie rozumiesz. Udawaj, że nie widzisz. Robiłeś to od samego początku. Zgodziłeś się zapłacić cenę za wizję, ale tylko ja byłem gotowa zapłacić cenę za rewolucję. Gotowa zrobić to, czego żądała muzyka.

Sandy zerwał się z krzesła i spojrzał na Anandę. Nagle wypełniło go straszliwe zimno,

jakby coś w jego wnętrzu umarło.

- To byłaś ty - oznajmił z niewzruszoną pewnością. Uświadomił sobie, że podejrzewał prawdę od... jak dawna? Zbyt długo. Ale kochał ją i ona była wszystkim, co mu zostało. Dlatego nie dopuszczał do siebie tej myśli, okłamywał samego siebie. - To od początku byłaś ty, prawda?

Ananda wysunęła do przodu jedno biodro i wsparła na nim dłoń, przybierając drwiącą, prowokacyjną pozę. Przesunęła językiem po dolnej wardze.

- Co, ja? Ja jestem tylko małą, napaloną hipiską. Myślisz, że mogłabym być zdolna do przemocy?

- Jezu Chryste - mruknął Sandy.

- Wiesz, na czym polega twój problem, Blair? Masz cały rozum w kutasie. Tak samo jak Jamie Lynch. Trudno było załatwić spotkanie z tym skurwysynem, ale jak już mi się udało, reszta poszła gładko. Tak mocno chciał mnie zaprowadzić do

siebie, że omal nie spuścił się w portki. - Zerknęła na Morse'a.

- To była krwawa ofiara, Edan. Ktoś musiał to zrobić. Morse milczał.

- A Norka Świstaka? - dopytywał się Sandy.

- Trzeba było spowodować, żeby Slozewski zmienił zdanie, zrobić z niego Człowieka z Popiołów. Zamknięcie drzwi... krew to ułatwiła. Tak wiele ofiar. Dzięki temu reszta poszła gładko i prosto.

Jej głos był zimny jak lód.

- To dla ciebie zupełnie obojętne - oskarżył ją Sandy.

- Nie jest obojętne. Dlatego właśnie to robię.

- To nie ma znaczenia - wtrącił Morse znużonym tonem.

- Już nie. Czy tego nie widzisz? Jeśli się nie zatrzymamy, nie będzie... nie będzie tak, jak chcieliśmy. Za dużo krwi. Ona nie przestanie płynąć. Nie... nie będzie zmartwychwstania. Zmartwychwstanie to kłamstwo. Armagedon będzie trwał wiecznie.

- Po prostu boisz się śmierci, Edan - skontrolowała Ananda.

- Być może. Ale mam rację.

- Przekonamy się, prawda?

- Nie. Powstrzymam to. Powiedziałem ci. Powstrzymam.

- A jak to zrobisz, Edan? - zapytała z uśmiechem Ananda.

- Spójrz tylko na siebie. Wezwiesz tu wszystkich żołnierzy, jednego po drugim, i przekazesz im tę wiadomość? Ja jestem twoją tubą, głupi skurwysynu. Ja przekazuję twoje rozkazy. Cholera, skąd ci przyszło do głowy, że cię posłuchają? To mnie słuchają. Lusterko,

Reynard, Mewa, Beca. Razem walczyliśmy w wojnach i oni należą do mnie. A ja im powiem, że mamy to zrobić.

Edan Morse wyprostował się ze straszliwym wysiłkiem.

- Słuchają też Gorta - stwierdził. - Gort, powiedz im. Sandy, załatw tę konferencję prasową. Odwołaj West Mesa. Odwołaj, słyszysz?

Sandy skinął głową. Ananda westchnęła.

- Nie dajecie mi wyboru, frajerzy - oznajmiła. - Stawka jest zbyt wysoka, żebym mogła wam pozwolić wszystko spie-

przyć. Zaczynają grać *The Armageddon Rag* i żaden z was nie zdoła już tego powstrzymać. Przykro mi. - Ananda poruszyła błyskawicznie dłoń. Ukrywała w niej mały, srebrny pistolet o dziwnym wyglądzie. - Chyba nikt stąd nie wyjdzie żywy.

- On strzela tylko strzałkami - odezwał się Morse pewnym siebie głosem. - Gort, zabierz jej...

Palec Anandy poruszył się dwukrotnie. Pistolet wydał z siebie cichy odgłos przypominający splunięcie. Morse krzyknął przeraźliwie i uniósł dłoń do twarzy, zasłaniając oczy. Jego ciałem targnęły nagle spazmy, nogi kopnęły pościel. Pokój wypełnił obrzydliwy smród, gdy puściły zwieracze.

Sandy ledwie miał czas myśleć. Gdy tylko Ananda wystrzeliła, upuściła pistolet i zwróciła się w stronę Gorta. Olbrzym był silny i szybki, ale ona była szybsza i lepiej wyszkolona. Spotkali się u stóp łóżka. Gort zdołał ją na chwilę złapać, ale odwróciła się błyskawicznie, wrywając się z jego niepewnego uchwytu i łamiąc mu nadgarstek. Potem walnęła go otwartą dłonią w wielki, wydatny podbródek i obaliła na podłogę straszliwym kopniakiem w nerki. Padłszy z głośnym stęknieniem, spróbował się od niej odtoczyć, ale był zbyt powolny. Skoczyła mu na plecy, owinęła ręce wokół głowy i pociągnęła z całej siły. Sandy usłyszał trzask łamanego karku. Ciało Gorta oklapło. Z rozchylonych ust popłynęła krew. Ananda upuściła głowę mężczyzny na dywan.

Sandy zbliżył się niepewnie o dwa kroki.

Wyprostowała się szybko, gotowa na jego przyjście.

Złapał pistolet, który upuściła, i odsunął się tak prędko, jak tylko potrafił.

Zostali we dwoje w pokoju pełnym trupów. Wycelował w nią, ściskając pistolet w obu dłoniach.

- On strzela tylko strzałkami - poinformowała go, uśmiechając się z przekąsem. - Usypiającymi. Ale nie powstrzymają ninie na czas. Gorta też by nie powstrzymały.

- Zabiłaś z niego Morse'a.

- Jasne. Trafiłam go strzałką w oko. Potrafisz tak celnie strzelać, kochanie?

Odrzuciła znad oczu grzywę ciemnych włosów. Twarz miała zaczerwienioną z podniecenia i wysiłku. Była piękna. Piękna i śmiertelna groźna.

- Jezu - mruknął Sandy. - Kochałem cię! Na twarzy Anandy odbił się na moment smutek.

- Ja też zaczynałam cię lubić - przyznała. - Nie z początku. Z początku tylko udawałam. Edan powiedział mi, że jesteś ważny dla naszej sprawy i musimy cię skaptować. Przeczytałam szybko twoje książki, żeby się przygotować. No wiesz, zawarłeś w nich wszystkie swe erotyczne marzenia. Dałam ci to, czego pragnąłeś. Udało mi się, prawda? - Uśmiechnęła się. Ale potem... jesteś miłym facetem, Sandy. Nie mam nic przeciwko tobie. W lepszym świecie może mogłabym cię pokochać. Ale w tym miłość jest niemożliwa. To tylko narzędzie ucisku. Żołnierz nie może nikogo kochać, dopóki trwa wojna. Miłość pozbawia sił. Spójrz tylko na siebie. Nadal coś do mnie czujesz. Jeśli zaatakuję, nie będziesz w stanie nacisnąć spustu.

- Ale ty mogłabyś to zrobić, prawda? Zabiłabyś mnie bez mrugnięcia okiem.

Uśmiechnęła się z zalem.

- Znaliśmy się z Edanem od Dni Gniewu. - Wskazała na łóżko. - Każdego z nas można poświęcić. Jego, ciebie, mnie.

Pozwolę jej mówić - pomyślał oszalały ze strachu Sandy. - Dopóki będzie mówiła, nic mi nie grozi.

- Czy był dla ciebie za mało radykalny? Ananda wzruszyła ramionami.

- Kiedy chodziło o retorykę, o finansowanie naszej działalności, tworzenie ambitnych planów, to nie. Ale w głębi duszy był tylko kolejnym cholernym mięczakowatym liberałem. Tak samo jak ty. Boże, chroń mnie przed idealistami, którzy mają za słabe żołądki na pole bitwy.

- Sądziłbym, że jego cholerne dokonania wojenne wystarczą nawet dla ciebie.

Ananda parsknęła śmiechem.

- Sandy, jesteś tak naiwny, że mogłabym cię pocałować.

Jego dokonania wojenne! Cholera, czy nigdy nie zastanawiałeś się nad tym, dlaczego nie mogli mu nic udowodnić? - Potrząsnęła głową. - Edan lubił udawać, że wykonuje wyroki w imieniu ludu, przypisywać sobie zasługi za najróżniejsze sprawy. Nie miałam nic przeciwko temu. To było dla mnie bardzo korzystne.

- O Jezu - jęknął Sandy. - Ty. To wszystko ty... Sylvester, Maxwell Edison, Victor Von Doom. Morse tylko pozwalał, żeby pogłoski...

- Miał pewne dary. Dzięki wizjom był bardzo użyteczny. Ujrzał moc ukrytą w *Musie to*

Wake the Dead i zobaczył, w jaki sposób możemy ją wykorzystać. Przewidział to, co się teraz dzieje. Czasami trudno było zrozumieć jego wizje, niekiedy bywały wewnętrznie sprzeczne, a w innych przypadkach po prostu fałszywe... ale to zdarzało się rzadko. Zapłacił cenę i ujrzał wszystko, jak przez mgłę. Widział również ciebie.

- Również mnie - powtórzył Sandy.

- Tak jest.

- I dlatego postanowił mnie zwerbować.

- Co nie było zbyt trudne. Sandy zignorował te słowa.

- Dlaczego? - zapytał.

- Może potrzebowaliśmy specjalisty od public relations.

- Dla kogoś z taką forszą jak Morse koszt wynajęcia rzecznika nie stanowi problemu.

Musi w tym kryć się coś więcej.

Uśmiechnęła się, przesuając powoli i zmysłowo językiem po wardze szyderczym ruchem.

- A może zobaczył, jaki z ciebie świetny ogier.

- Przestań pieprzyć głupoty. Mów prawdę!

Poruszył pistoletem. Miał nadzieję, że wyglądało to groźnie.

- Posłuchaj muzyki - odparła.

- Nazguli? Ja też tam jestem? Skinęła głową.

- Wizje nigdy nie były do końca klarowne, ale Edan uważał, że z jakiegoś powodu będziesz miał kluczowe znaczenie. Miał rację. Obudziłeś mnóstwo wspomnień, wprowadziłeś wszystko

w ruch. Widział cię też na końcu. Powiedział, że opowiesz się po jednej albo po drugiej stronie. Nie sposób przewidzieć, po której ani jak to wpłynie na bieg wydarzeń. Dlatego zaczęłam z tobą flirtować i szybko cię poderwałam. Pamiętasz, jak przyjechaliśmy do Malibu i podałam Edanowi prognozę pogody? Gdyby pogoda była mniej obiecująca, wykończylibyśmy cię na miejscu. A tak tylko dosypaliśmy ci prochów i daliśmy przedsmak tego, co ma się wydarzyć. To zawsze jest skuteczne. A rankiem powiedziałam ci, że zrobiliśmy to ze sobą. Wiedziałam z twoich książek, że będziesz uważał, iż to stworzyło między nami więź, która osłabi inne twoje więzi. I rzeczywiście tak się stało, prawda?

Sandy pragnął krzyknąć na nią, przeklinać ją, zasypać słowami, ale chyba po raz pierwszy w życiu żadne nie przychodziły mu do głowy.

- Powinienem cię teraz zastrzelić.

- Powinieneś, ale tego nie zrobisz. Znam cię. Nie możesz zabić kogoś, z kim pieprzyłeś

się tyle razy, prawda?

Postąpiła krok w jego stronę, powoli i z niezachwianą pewnością.

- Zatrzymaj się - zażądał. Ananda rozciągnęła usta w uśmiechu.

- Nie uznajesz przemocy. Jeśli mnie zastrzelisz, zabijesz, staniesz się taki sam jak ja, czyż nie?

Postawiła drugi krok, a potem trzeci.

- Stój - zawołał Sandy. Ręce mu drżały.

- Chyba nie - odpowiedziała. Czwarty krok, piąty, a potem uniosła szybko rękę i wyrwała mu pistolet z dłoni. Westchnęła. - A nie mówiłam?

Obrzucił ją zimnym spojrzeniem, pełnym gniewu i goryczy.

- Teraz mnie również zabijesz. No dobra, skończ z tym. Przechyliła głowę na bok.

- Szukasz śmierci? Sandy, gdybym chciała cię zabić, już byś nie żył. Nie mam zwyczajnie gawędzić z wrogami. Być może bezpieczniej byłoby cię wykończyć, ale nie mogę podjąć takiego ryzyka.

Zalała go fala ulgi. Zakręciło mu się w głowie.

- Ryzyka? - powtórzył słabym głosem.

- Twoja rola w tym, co ma się wydarzyć, jest bardzo niejasna, ale co do jednego Edan miał pewność. Będziesz na końcu, na dobre albo na złe. Nie odważę się ciebie wyeliminować. Charlie jest dzokerem w talii, a my potrzebujemy pełnej talii, nieprawdaż? - Poruszyła palcem i pistolet wystrzelił, raz, a potem drugi. Sandy poczuł ukłucie bólu w barku, a potem drugie trochę wyżej, w szyi. Ogarnęło go odrętwienie, wypływające z miejsc, gdzie trafiły igły. - Dobranoc, słodki książę - rzuciła lekkim tonem Ananda. Potem podeszła bliżej i pocałowała go, szybko i delikatnie. Świat wokół Sandy'ego zawirował kalejdoskopem barw, a nogi ugięły się pod nim, jakby były z plasteliny.

- Dwadzieścia sześć

Ale moje sny nie są tak puste, Jak kiedyś było moje sumienie!

Noc. Brukowana ulica jest śliska i wilgotna. Idzie, bez końca, bez odpoczynku, bez celu. Nad ulicą płynie gęsta, szara mgła. Nic tu nie jeździ, nie słychać żadnych hałasów. Nawet jego buty nie stukają o kocie łby, tak jak powinny. Z obu stron wabią go migotliwe światła neonów, ale przesłania je mgła i nie jest w stanie odczytać liter. Nie wie, od jak dawna już idzie tą długą, prostą, ciemną ulicą, ale czuje się zmęczony. Mimo to nie zatrzymuje się. Wilgotny ziąb przenika aż do jego kości. Stawia kołnierz płaszcza, ale to nie pomaga.

Ktoś idzie obok niego. Jego kroki również są bezgłośnie. Spogląda w tamtą stronę i dostrzega przez mgłę niewyraźną postać. To młoda kobieta, odziana w krótką spódniczkę i

koszulkę z wyciętymi plecami. Dotrzymuje mu kroku, poruszając długimi, opalonymi nogami. Chłód najwyraźniej jej nie przeszkadza. Wydaje mu się bardzo atrakcyjna, mimo że nie widzi jej dokładnie. Jej długie, proste włosy opadają aż do krzyża. Za ucho ma zatknięty kwiat - różę. Jego jaskrawa czerwień jest szokiem w tym sza-; rym, wilgotnym świecie. Idą razem przez pewien czas, aż w końcu pyta ją, dokąd zmierzają.

- Do San Francisco - odpowiada mu głosem przepełnionym radością, muzyką i niewinnością. - Czemu nie masz kwiatu we włosach? - Poznaje teraz jej głos. To głos Maggie, brzmiały tak

jak przed wielu laty. - Wracamy do wszystkiego, czego tak dobrze nauczyliśmy się w latach młodości - mówi mu - do dni, gdy byliśmy jeszcze młodzi i znaliśmy prawdę. - To głos Sharon, senny po akcie miłosnym, pełen uczucia i promienności zrodzonej z nowo poznanej miłości. - Wznies się razem z wiatrem

- zachęca go - zaraz miniemy zakręt. - To Donna mówi do niego, wielkooka i poważna; to delikatna nieśmiałość Alicii, to oschły, autoironiczny dowcip Becky; to Barbara, w której kochał się w młodszych klasach liceum, ale nigdy nie odważył się z nią umówić. To Ananda idzie obok niego, młoda, uśmiechnięta i pełna życia, a wokół nich panuje Lato Miłości, niebo jest głęboko modre, słońce nigdy nie przestaje świecić, kwas jest najwyższej jakości, a dziewczyny noszą kwiaty w długich blond włosach.

- Ach, przyjacielu, zestarzałeś się, ale nic nie zmądrzałeś

- odzywa się kolejny głos. - Dlatego, że w twoim sercu wciąż żyją te same marzenia. - Żabcio idzie z jego drugiej strony, uśmiechając się szeroko. Jest ubrany w jaskrawoczerwony smoking, kamizelkę i muszkę. Twarz ma pomalowaną na zielono, a zęby żółte. - Mój drogi Sanderze, to nie zielona, zielona trawa rodzinnych stron czeka tam na ciebie. Nie tylko umówiłeś się z najbrzydszą babą, jaką w życiu widziałem czy z jaką robiłem cokolwiek innego, jeśli już o tym mowa, ale w dodatku w jej oczach nie dostrzegam nic. Absolutnie nic.

Nie rozumie jego słów. Kobieta jest piękna, zawsze była piękna. Spogląda na nią po raz kolejny i widzi, że czerwień, która przeszywa mgłę, nie jest już różą, ale otwartą raną, wciąż jeszcze pulsującą świeżą krwią. Obok niego idzie wysoki, ciemnowłosy młodzieniec, któremu skroń rozbiła policyjna pałka. To Bobby Kennedy, martwy, o pustym spojrzeniu. To szczupła, czarna dziewczyna, zabita podczas demonstracji. To Martin Luther King, którego sen zdruzgotano. To potężny mężczyzna w mundurze; połowę twarzy urwał mu pocisk z moździerza, a z wielkiej, czerwonej jamy w brzuchu wylewają się jelita. Trzyma je w dłoniach i idzie na oślep przed siebie, w zamgloną dal. Podążają za nim mni, ledwie dostrzegalni. Cały pluton, kompania, armia.

- Kim oni są? - pyta Żabcia. - Dokąd idą?

Żabcio tańczy walca, trzymając w ramionach wyimaginowaną partnerkę. Uśmiecha się szeroko.

- Och, czy słyszysz to bębnienie? Na pole bitwy droga wiedzie. Oni grają swój utwór, tak jest, tak jest. - Strzela palcami. - Jak to się nazywa ten album? Umknęło mi z głowy, tak jest, tak jest.

- *Musie to Wake the Dead* - szepcze Sandy.

Żabcio mruga do niego znacząco i wskazuje kciukiem na człapiących przed siebie umarłych.

- Jeśli chcesz z nimi pomaszerować, potrzebny będzie rock and roli.

Edan Morse idzie razem z umarłymi. Nawet po śmierci nie przestał krwawić. Jego bose stopy zostawiają na kocich łbach ciemnoczerwone ślady. Kaszle, wlokąc się przed siebie szarpanym, urywanym, pełnym bólu krokiem. Kaszle. Widzi Sandy'ego.

- Zatrzymaj, zatrzymaj, zatrzymaj taniec - błaga. - Daj mi czas odetchnąć.

Wyciąga pokrytą cienką warstewką krwi dłoń, prosząc o pomoc, ale Sandy'ego nagle ogarnia strach. Odwraca się i ucieka od parady.

Wpada w boczną uliczkę, która staje się coraz węższa i bardziej kręta. Został sam. Jest zagubiony, boi się. Ogromne, udręczone, znajome twarze uśmiechają się do niego szyderczo z cieni i wynurzają się z deszczu. Krzyczy, zrywa się do ucieczki, potyka się i pada. Kiedy się podnosi, ręce ma czerwone i podrapane.

Majaczą przed nim otwarte drzwi. Widać za nimi światło, azył przed dławiającą ciemnością, najcudowniejszy blask, promienną poświatę, która wabi go w tamtą stronę. W drzwiach siedzi w pozycji lotosu Bambi. U stóp kobiety przycupnęło kilkanaścioro przyglądających się jej z szeroko otwartymi oczami dzieci. Jest w zaawansowanej ciąży, a jej uśmiech wyraża głęboki duchowy spokój. Opowiada cichym, pełnym zadowolenia głosem o tym, co leży za drzwiami. Musi usłyszeć, co ona mówi, usłyszeć słowa mądrości, poznać odpowiedzi. Przepycha się między dzieć-

mi, dociera do światła. Bambi spogląda na niego, uśmiecha się, otwiera usta.

- Uu ii uu aa aa - mówi. - Ting tang bala bala bing bang. Uu ii uu aa aa. Ting tang bala bala bing bang.

- Nie! - krzyczy, uciekając od niej w popłochu. Dzieci wokół niego wpadają nagle w amok. Łapią go za kostki, obrzucają czekoladowymi ciasteczkami, pałkami kadzidła, krzyżkami, maleńkimi kubeczkami winogronowego Kool-Aid. Ogarnia go przerażenie. Odgania dzieci kopniakami, wyrywa się na swobodę i ucieka z powrotem w ciemność, daleko

od fałszywego światła.

Ze wszystkich stron otaczają go coraz głębsze cienie. Ulica przeradza się w zwykłą ścieżkę, z każdą chwilą jeszcze węższą i jeszcze bardziej krętą. Wędruje przez spowity mgłą labirynt. Ceglane mury są mokre i śliskie, pokrywa je graffiti, szydercze slogany wypisane w niezwykłych językach. Nie potrafi przeczytać słów. Spod mrocznych drzwi prowadzących donikąd nawołują go jaskrawo umalowane kurwy. Mają skąpe suknie we fluoryzujących kolorach, zakrywające wielkie piersi, ale w mroku te barwy wyglądają odrażająco, twarze dziewczyn są chude jak u szkieletów, a oczy głodne i znużone, pomimo zielonych cieni do powiek.

Przed nim migocze kolejne światło. Biegnie ku niemu zdyszany i wpada na wielki, wypełniony ludźmi plac. Ze wszystkich stron otaczają go czarne wieżowce przesłaniające niebo. Ogromne, elektryczne reklamy błyskają natarczywie. Tłum bije im pokłony, klęka przed nimi, oddając cześć, śpiewa chórem reklamowe piosenki. Reklamy rywalizują między sobą o uwagę tłumu i wybuchają bójki, gdy jego odłamy zwracają się przeciw sobie. Atmosfera jest pełna napięcia. Slogany i rysunki wydają się niewiarygodnie wielkie, jakby w każdej chwili mogły na niego runąć. Zewsząd dobiega dźwięk skwierczenia neonów. Ich światło mruga, drażni, wabi. Czuje na ramieniu czyjaś dłoń i odwraca się. Lark uśmiecha się i zaczyna coś mówić, ale z jego ust nie wydobywa się żaden dźwięk. Sandy odsuwa się od niego. Znowu otacza go ciemność.

Długimi godzinami wędruje po ślepych zaułkach i zwodniczych ulicach, które prowadzą go wciąż w to samo miejsce, aż wreszcie udaje mu się wrócić na główną arterię, długą, prostą aleję z jej wysokimi, żelaznymi latarniami otoczonymi aureolami mgły. Ale ulica jest teraz pusta, a on całkowicie utracił poczucie kierunku i nie wie, dokąd się zwrócić. Wyszedłszy na środek jezdni, zatrzymuje się tam, bezradny i zdezorientowany. Spogląda najpierw w jedną stronę, a potem w drugą, lecz boi się ruszyć z miejsca. Szare ściany mgły wokół niego stają się lite, nieprzepuszczalne. Kręci się wciąż w kółko, aż dopadają go zawroty głowy.

Potem mgła rozstępuje się nieco i widzi przed sobą Nazguli. Niosą instrumenty, grając na nich po drodze. Za nimi podąża armia cieni, armia wspomnień, armia dobrych intencji. Sandy towarzyszy im przez pewien czas.

- Dokąd idziecie? - pyta Świstaka Johna, Maggia, Faxona. Żaden z nich mu nie odpowiada. Faxon krwawi ze starych ran. Tylko muzyka może uśmierzyć jego ból. Maggio wygląda makabrycznie: skóra i kości, pełno sączących się wrzodów. Świstak John idąc, łomocze w wielki bęben i wpatruje się w dal. Ale przodem podąża Hobbins. Stąpa pewnie, ze

śmiechem na ustach. Odciąga Sandy'ego na bok. Jego czerwone oczy płoną, wyglądają we mgle jak punkciki ognia, a usta wykrzywiają się w grymasie złowrogiej wesołości.

- Chodź - mówi. - Maszerujemy ku morzu. Odwraca się nagle i znowu rusza przed siebie. Nazgule idą za nim, a za nimi wlecze się długa, kręta kolumna. Sandy jednak traci pewność. Odsuwa się na bok i kuli pod drzwiami. Zamurowano je i nie znajduje tam azylu. Z czasem kolumna go mija i znowu zostaje sam.

Osunąwszy się na ziemię, siada na niej z twarzą bez wyrazu, oparty plecami o zimne, wilgotne cegły. Siedzi tak całymi dniami, ale mgła nie opada, a słońce się nie pokazuje. Czasami wydaje mu się, że słyszy znajomą muzykę. Jest niewyraźna i odległa, dobiega z kierunku, w którym odeszli Nazgule. W innych chwi-

lach nie jest to jednak muzyka, a odgłosy bitwy. Kusi go, żeby tam pójść. Czuje się samotny i opuszczony.

Ściska głowę w dłoniach, nie zauważa więc wynurzającej się z mgły Maggie, nie widzi, skąd nadeszła. Nagle jest obok niego. Ujmuje dłoń mężczyzny, a on unosi głowę i spogląda na nią

- Gdzie się podziali moi kochankowie? - pyta Maggie żalnym tonem. Sandy wie, jak powinna brzmieć odpowiedź, ale nie jest w stanie jej z siebie wykrztusić. Maggie uśmiecha się do niego, odważnie i z przekąsem. Pociąga go za rękę, pomagając mu wstać, i prowadzi z powrotem w mgłę. Tam jednak zaczyna się wahać i Sandy uświadamia sobie, że jest tak samo zagubiona jak on. Znowu słyszy muzykę. Jej dźwięki wskazują mu kierunek, jedyny kierunek, jaki można znaleźć w tym straszliwym, szarym świecie. Bierze Maggie za rękę i ciągnie ją za sobą. Ruszają przed siebie ulicą. Muzyka z każdą chwilą staje się głośniejsza. Maggie się uśmiecha i idą coraz szybciej, choć w pewnej chwili, gdy Sandy prawie przechodzi w bieg, kobieta go powstrzymuje, skarżąc się na zbyt szybkie tempo. Zwalnia, ale wciąż zmierzają niestrudzenie w tym samym kierunku. Dobrze jest ściskać jej dłoń, a jej twarz jest znajoma, pełna akceptacji i zadowolenia.

Nagle, pośrodku drogi, natrafiają na wielki, trójkołowy motocykl pomalowany na czerwono, białą i niebiesko. Siedzi na nim Łajza, opierając boscie stopy na kierownicy. W bujną brodę wplótł sobie kwiaty i uśmiecha się łagodnie. Widzi, dokąd zmierzają, i potrząsa głową. Trike jest zwrócony w przeciwną stronę.

- Nic nie rozumiesz - tłumaczy mu cierpliwie Sandy. Tam nic na nas nie czeka. W tę stronę. Chodź w tę stronę.

Wyciąga rękę.

Kapelusz z szerokim rondem na głowie Łajzy porusza się samoistnie. Potem się unosi i

wygląda spod niego czarny kotek. Łajza bierze go w rękę i głaszcze z westchnieniem.

- Przykro mi - mówi - ale tam trwa wojna. Nie uznaję zabijania.

- Ale my walczymy o... ważne sprawy - sprzeciwia się Sandy.

- Tak właśnie mówi Rzeźnik - przypomina mu Łajza.

- Jesteś tchórzem - oskarża go Maggie. Ale czy to rzeczywiście Maggie? Jej głos brzmi dziwnie, a dłoń stała się nagle zimne. Wzdłuż zewnętrznej krawędzi biegnie stwardnienie. Tchórzem - powtarza.

- Tak właśnie mówi Rzeźnik - przypomina po raz drugi Łajza.

- Wojna o słuszną sprawę jest sprawiedliwa - upiera się z pasją Ananda. - Czasami trzeba zabijać.

- Tak właśnie mówi Rzeźnik - powtarza Łajza.

- Jeśli nie jesteś elementem rozwiązania, jesteś elementem problemu - argumentuje Ananda. - Jeśli nie jesteś jednym z nas, jesteś jednym z naszych wrogów. Linie podziału są nakreślone.

- Nikt nie ma racji, jeśli wszyscy się mylą - odpowiada Łajza.

Z mgły wyłania się Rzeźnik Byrne. Trzyma w dłoniach strzelbę. Jego twarz wygląda jak oblicze śmierci.

- Strzeż się - mówi i celuje w syna. Ananda również wyciąga broń i zwraca się ku niemu.

- Strzeż się - mówi. A może to znowu jest Rzeźnik? Ich głosy brzmią tak samo.

- Raz, dwa, trzy, o co oni walczą? - pyta Łajza, wzruszając ramionami.

- Łajza, zgubiłem drogę - mówi Sandy. - Dokąd mam pójść?

- Idź za biegiem rzeki - radzi mu przyjaciel. - Idź za dziećmi. Idź za neonami w oczach młodych kochanków.

- Ale jak? - pyta. - Nie mogę... nie mogę tak wszystkiego zostawić. Żabcia, Maggie, Larka, Bambi, siebie samego. Ciebie. Zwłaszcza ciebie. Muszę z nią wrócić, pomóc to zmienić. Nawet nie wiesz, co on ci zrobił.

Jego przyjaciel wsadza rękę pod Kostium Łajzy i wyciąga stamtąd zdjęcie. Wręcza je Sandy'emu.

- Czasie, zobacz, co się ze mną stało - mówi.

Na fotografii widać innego Jeffersona Davisa Byrne'a, gładko wygolonego, wychudłego mężczyznę o zapadniętych oczach i wylęknionym spojrzeniu. Jest ubrany na biało i otwiera usta w wyrazie zaskoczenia bądź bólu.

Sandy kiwa głową.

- Widzisz? - mówi. - A więc o tym wiesz. Rozumiesz, dlaczego muszę z nią iść.
Dlaczego musimy wrócić?

- Nie rozumiem - odpowiada Łajza.

- Chodzi o to zdjęcie. O to, że cię skrzywdzono. Że skrzywdzono nas wszystkich.

- Och, ale wtedy byłem znacznie starszy. Teraz jestem młodszy. - Łajza ponownie puka palcem w fotografię. Obraz się zmienił. Przedstawiony na niej mężczyzna jest masywny, niemal tłusty, i ma bujną, łopatowatą brodę upstrzoną pasmami siwizny. Nosi drelichową koszulę i czerwoną bandanę, ma pełne, rumiane policzki i uśmiecha się bardzo szeroko. To Łajza, starszy, zdrowszy i szczęśliwszy. Sandy spogląda na niego.

- Nigdy nie jest za późno - wyjaśnia Łajza. - No wiesz, mam swoje życie.

Sandy jest zbity z tropu. Odsuwa się o krok, rozgląda wokół siebie. Mgła nadal krąży bezgłośnie wokół Anandy i Rzeźnika, którzy z bronią w rękach spoglądają na siebie. Ich twarze mają twarde wyraz, oboje zamarli w wiecznym żywym obrazie.

- Nic już nie wiem - skarży się Sandy. - Jestem dezorientowany.

- Najlepsi tracą wszelką wiarę - cytuje Łajza. - A w najgorszych kipi żarliwa i porywcza moc.

Głaszcze kotka, wsadza go z powrotem do kapelusza, a ten wkłada na głowę. Maggie siedzi na motorze za jego plecami, obejmując go w pasie. Ona również się uśmiecha i Sandy nie rozumie, jak mógł jej nie zauważyć. Łajza łapie za kierownicę, włącza silnik i maszyna budzi się z rykiem do życia.

- Dokąd jedziecie? - pyta zdesperowany Sandy. Nie chce zostać sam we mgle. Nie chce zostać z Anandą i Rzeźnikiem. Boi się ich.

Łajza wyciąga rękę.

- Jest taka droga, nie zwyczajna szosa, między świtem a ciemną nocą.

- Zabierzcie mnie ze sobą. Łajza potrząsa głową.

- Przykro mi. Odwiózłbym cię do domu, gdybym znał drogę, ale tam, dokąd jadę, nikt nie może za mną podążać.

- Łajza, muszę to powstrzymać. Nadchodzi konfrontacja, wojna, Armagedon. Oni nic nie rozumieją. To zniszczy ich wszystkich, Nazguli, Larry'ego Richmonda, Francie... złożą w ofierze, Łajza, otworzą się bramy piekła i umarli powrócą do życia.

- W takim razie powstrzymaj to, Sandy. Nie dopuść do tego.

Zwiększa obroty silnika.

- Zaczekaj - sprzeciwia się Sandy. - Sam nie dam rady. Maggie uśmiecha się do niego z przekąsem.

- Pewnie, że dasz, kochanie - zapewnia, unosząc w górę kciuk. - Wcale nie jesteś gorszy niż Superman czy Green Laniem.

Łajza naciska gaz i oboje odjeżdżają z rykiem, tnąc mgłę na cienkie, białe wstęgi. Sandy odprowadza ich spojrzeniem, aż wreszcie nikną w oddali. Tunel, który utworzyli we mgle, nie zamyka się jednak. Sandy idzie za nimi, coraz szybciej. Po chwili zaczyna biec i wreszcie, wreszcie widzi słońce, wielkie, białe słońce oświetlające koniec drogi. Biegnie w jego stronę, słońce staje się coraz większe i większe, aż wreszcie wypełnia cały jego wszechświat, przeganiając strzępy snu.

Ocknął się i zobaczył, że leży na wąskim, składanym łóżku w zagraconym pokoju hotelowym. Zasłony były odsunięte i słońce świeciło mu prosto w twarz. Sandy osłonił oczy dłonią i spróbował się podnieść. Kręciło mu się w głowie. Czuł się oszołomio-

ny i zdezorientowany. Rozejrzał się wokół, nie poznając pokoju. Gdzie był? Jak się tu znalazł? Przez chwilę przypominał sobie tylko niejasną wizję przerażającej wędrówki przez ciągnące się bez końca, zamglone ulice, podczas której toczył dziwaczne, surrealistyczne rozmowy. Potem sen w końcu się rozproszył i powróciły inne wspomnienia. Przypomnił sobie Denver, pokój w Hiltonie, śmierć Edana Morse'a i Gorta oraz trzy delikatne pocałunki Anandy.

- Jezu - mruknął. Wstał ze sporym wysiłkiem, zachwiał się, omal się nie przewracając. Trudno mu było ustać. Głowa mu pękała.

W pokoju było pusto, żadnego z obu łóżek nie posłano. Na jedno z nich rzucono gazetę. Wziął w rękę jej część i gapił się przez dłuższy czas na litery, niezdolny zrozumieć nagłówek. Potem uświadomił sobie, że to wiadomości sportowe i wszystko nagle nabrało sensu. To był „Albuquerque Journal” z datą dwudziestego września. Odrzucił gazetę na łóżko i ponownie spojrzął na okno. Położenie słońca sugerowało, że jest późne popołudnie.

Czuł się źle i wszystko go bolało. Tu i ówdzie jego ciało przeszywały dziwne ukłucia. Miał paskudne dreszcze, a całe jego prawe ramię pokrywały ślady ukłuć. Mimo to dotarł jakoś do łazienki, rozebrał się i wszedł pod prysznic. Stał pod strumieniami lodowatej wody, aż wreszcie wypłukały z niego ostatnie resztki długiego, narkotycznego snu. Kiedy się wytarł, czuł się już lepiej. Znacznie lepiej.

Kluczyki od jego samochodu leżały na telewizorze. W szafce znalazł czyste ubranie... i coś jeszcze. Karabin. Czarny i naoliwiony, z pasem do noszenia na plecach oraz wielką lunetą. Sandy nic nie wiedział o broni palnej, nigdy w życiu z niej nie strzelał. Mimo to podniósł karabin i przebiegł po nim dłońmi. Z jakiegoś powodu broń przyciągała go. Przemknęło mu przez głowę, że musi ich powstrzymać. Przypomnił sobie, że Nazguli raz już powstrzymano, w 1971 roku.

Mrzonka czekała pod hotelem. Była brudna, pokryta pyłem z drogi, a na masce i przedniej szybie pełno było martwych owa-

dów. Ten widok wywołał w nim niewiarygodny, irracjonalny gniew. Otworzył bagażnik, wrzucił do środka karabin i wysypał na niego całą torbę brudnych łachów. Potem wsiadł i zapalił silnik. Elektroniczny zegarek pokazywał godzinę 4:49. Będzie musiał się śpieszyć.

Dwadzieścia siedem

To koniec!

Mój jedyny przyjacielu, koniec.

Spodziewał się, że będzie się musiał przebijać przez popołudniowe korki, ale ulice Albuquerque były dziwnie puste. Sandy mknął na zachód, ku opadającemu coraz niżej słońcu. Niebo miało bladoniebieski kolor, magiczny i bardzo nietrwały. Sandy wiedział, że nie utrzyma się on długo. Ludzie, których widział na chodnikach, byli dziwnie cisi. Co najmniej połowa nielicznych samochodów miała zapalone reflektory. Zastanawiał się, co to może znaczyć. Wydawało się, że nad miastem zaciągnięto jakiś dziwny całun przywodzący na myśl spokojny świt tego odległego dnia, gdy Peter Faxon zabrał go w górę Latającym Okiem.

Ktoś kiedyś, dawno temu, powiedział mi, że przed burzą zawsze jest cisza - pomyślał Sandy. Obawiał się, że nim noc dobiegnie końca, zobaczy bardzo wiele deszczu.

Na granicy miasta napotkał policyjną blokadę.

Gdy Mrzonka pokonała długi, pokryty pyłem zakręt, ujrzał ich przed sobą - dwa radiowozy blokowały szosę, a na poboczu stała wielka, brązowa ciężarówka z plandeką oraz dżip z zamontowanym z tyłu karabinem maszynowym. Po obu stronach szosy przycupnęli uzbrojeni gwardziści narodowi. Sandy usłyszał dźwięk gwizdka i zauważył, że jeden z policjantów wzywa go skinieniem dłoni. Zahamował i zjechał na pobocze. Odpiął pas, otworzył

drzwi i zaczął wysiadać, ale ktoś złapał go i odwrócił gwałtownie, opierając o maskę samochodu.

- Nie ruszać się! - warknął mężczyzna.

Sandy rozpostarł ręce i nogi i znieruchomiał, pozwalając, żeby go przeszukali. Na koniec otrzymał szturchańca kolbą w tyłek.

- No dobra, ruszaj się! Dokąd się wybierasz?

Sandy odwrócił się i zobaczył niskiego, ciemnowłosego gwardzistę z podoficerskimi naramiennikami i czarnymi, pełnymi wrogości oczami. Sam również nieźle się wkurzył.

- Co to ma znaczyć, do cholery?

Gwardzista omiół go spojrzeniem, zauważając brodę, długie, mokre jeszcze od prysznicia włosy oraz dzinsy.

- Nie pyskuj - warknął. - Pytałem, dokąd się wybierasz. Czekam na odpowiedź.

- Na West Mesa. Na koncert.

Gwardzista przyjrzał się mazdzie. Potem znowu spojrzał na Sandy'ego.

- Masz papiery na ten samochód?

- Jasne.

Gwardzista wyciągnął rękę.

- To je pokaż.

Drugi gwardzista podszedł do samochodu od tyłu. - I otwórz bagażnik - zażądał.

- A po co? - zaprotestował Sandy. Pomyślał o karabinie, który miał schowany pod brudnymi ubraniami. - Nie macie prawa rewidować ludzi.

- Chcesz się ze mną sprzeczać? - zapytał z uśmiechem podoficer. Skinął dłonią i podeszli do niego dwaj kolejni gwardziści z gotowymi do strzału karabinami w rękach.

Sandy pomyślał, że to zaczyna wyglądać groźnie. Cofnął się o krok.

- Chwileczkę! - zawołał, unosząc ręce. - Dajcie mi wyjąć portfel. - Sięgnąwszy powoli za siebie, wydobyl go z kieszeni dzinsów. Otworzył go i przerzucił szybko z gorączkową nadzieją, że wizytówki jeszcze tam są. Znalazł jedną i podał

gwardziście. - Widzi pan, jestem reporterem. National Metro News. - Wyjął też prawo jazdy. - Niech pan popatrzy, to ja, zanim jeszcze zapuściłem brodę.

Gwardzista zerknął na wizytówkę, popatrzył na prawo jazdy i przyjrzał się uważnie twarzy Sandy'ego. Potem skinął z niechęcią głową. Sandy pamiętał ten gest z dawnych czasów. Oglądał go wtedy wiele razy, gdy prasowa wizytówka zmieniała jego status w oczach jakiegoś nieprzychylnie nastawionego przedstawiciela władz.

Postanowił to wykorzystać.

- Chciałbym porozmawiać z kimś, kto tu dowodzi. Podoficer miał niezadowoloną minę, ale odwrócił się do gwardzisty, który stał obok.

- Chavez, zawołaj kapitana. Mamy tu reportera, który chce z nim pogadać.

Kapitan Mondragon był śniadym, masywnie zbudowanym mężczyzną mniej więcej w wieku Sandy'ego. Spojrzał przelotnie na jego dokumenty i wzruszył przepaszając ramionami.

- Przepraszam, jeśli moi ludzie źle pana potraktowali powiedział. - Musi pan zrozumieć, że nie jesteśmy do tego przyzwyczajeni. No, i są młodzi. To właściwie jeszcze chłopcy. Wszystko to wydaje się im bardzo ekscytujące i niektórzy z nich dają się ponieść.

- Co się tu dzieje? - zapytał Sandy.

- Nie wie pan? - zdziwił się kapitan.

- Dostałem zlecenie dziś rano. Przyleciałem z Nowego Jorku. Nie oglądałem telewizji ani nic w tym rodzaju. Mógłby mnie pan wprowadzić w szczegóły?

- Ja też nie zwracałem na to wszystko zbytnej uwagi, dopóki nas tu nie przerzucili - przyznał Mondragon ze zrozumieniem w głosie. - Właściwie nie mam zbyt wiele do powiedzenia. Po tym, jak ci wszyscy hipisi zignorowali rozkaz rozproszenia się, policja doszła do wniosku, że sama sobie nie poradzi. Dlatego nas wezwano. Zamknęliśmy drogi, ale to nie zmieniło wiele. Przedostają się przez pola, wzgórze i góry. Słyszałem, że

garstka nawet przyleciała balonem. Mamy za mało ludzi, aby otoczyć kordonem całą okolicę. W tej chwili czekamy tylko na posiłki. Podobno mają nas tam wysłać, żebyśmy rozprędzili tłum. Obawiam się, że do tego dojdzie, jeśli tylko będą kłopoty.

- Tak? A co pan o tym sądzi?

- Niektórzy z moich ludzi palą się na tę myśl. Doszło już do kilku starć. Gliniarze pojechali tam i próbowali aresztować parę osób, ale skopano im tyłki. Osobiście wołałbym, żeby pozwolili im w spokoju grać tę ich cholerną muzykę.

- Ilu ludzi tam jest? Mondragon wzruszył ramionami.

- Nasze oficjalne oceny mówią o stu tysiącach.

Sandy zagwizdał. To było prawie dwukrotnie więcej niż przybyło na West Mesa w roku 1971.

- Mam zdać z tego relację - stwierdził. - Muszę już ruszać.

- Wiem, jak to jest, kiedy ma się zadanie do wykonania odparł Mondragon, pociągając się z niezadowoloną miną za mundur. - No to niech pan jedzie. Będzie pan musiał przedostać się poboczem, ale jeśli będzie pan jechał powoli, auto nie powinno ugrzęznąć. Ostrzegam, niech pan szybko stamtąd zmiata, jeśli się zaczną kłopoty. Słyszałem, że mają wysłać czołgi, wezwać regularną armię. Bardzo szybko może się zrobić naprawdę nieprzyjemnie i nikt nie będzie wiedział, że jest pan tylko reporterem. Mówią, że niektórzy z nich też mają karabiny.

- Tak mówią - zgodził się Sandy przygnębionym tonem. Podziękował kapitanowi, wsiadł do Mrzonki i zjechał na twarde, wyboiste, pełne kolein pole, by ominąć blokadę. Potem oddalił się szybko.

Widział po drodze innych gwardzistów patrolujących okolicę, a raz zauważył też skulonego za krzakiem jałowca mężczyznę składającego meldunek przez walkie-talkie. Minął stary, szkolny autobus zaparkowany na poboczu. Potem mijał inne samochody: volkswageny i cadillaki, pikapy i furgonetki, przyczepy kempingowe i samochody z częścią mieszkalną. Było

ich coraz więcej. Po pewnym czasie zajmowały już całe pobocze po obu stronach.

Sandy słyszał już wówczas muzykę, słabe, ale łatwe do rozpoznania dźwięki *Johnny B. Goode*. To nie byli The Nazgul. W 1971 wyszli na scenę dopiero o zmierzchu, a przez cały dzień grał szereg mniej znanych zespołów. Tym razem Ananda z pewnością postanowiła zrobić tak samo. Droga przeszła w polną i Sandy zwolnił. Trzymające się pod ręce pary schodziły mu z drogi, machając do niego radośnie. Dzieci przemykały obok na podskakujących na kamieniach rowerach. Na okolicznych polach pełno było namiotów, śpiworów, ognisk oraz grupek tańczących, choć dobiegająca z oddali muzyka była tu jeszcze cicha. Sandy musiał ominąć parę kochającą się pośrodku drogi, a po krótkiej chwili przejechał obok tłumku biegających w kółko, roześmianych, rozebranych do pasa mężczyzn, którzy grali w jakąś grę piłką do koszykówki.

W końcu samochód nie mógł już jechać dalej. Na skrzyżowaniu dwóch polnych dróg zaparkowano na ukos wielką ciężarówkę z naczepą, całkowicie blokując przejazd. Stała na niej ubrana w jednoczęściowy kombinezon kobieta z czerwoną opaską na ramieniu. Kobieta kierowała ruchem i wskazała Sandy'emu pole po prawej. Gęste skupisko zaparkowanych samochodów stało na kolonii piesków preriowych. Wysiadając z Mrzonki, Sandy dostrzegł zwierzątko wytaczające ze swej norki butelkę po piwie. Zauważyło go i zniknęło. Sandy'emu było go żal. Bóg wie, skąd przybyły inne pojazdy, odcinając mu drogę odwrotu. Zaczekał chwilę, żeby nikt go widział, a potem otworzył bagażnik i wsunął karabin do torby, w której zwykle nosił brudne ubrania. Zabrał torbę i ruszył w dalszą drogę na piechotę.

Tłum z każdym krokiem gęstniał, a muzyka brzmiała coraz głośniejsze. Sandy minął pierwszą wieżę nagłaśniającą, pośpiesznie wzniesiony metalowy szkielet, na którego szczycie ustawiono pierścień głośników. Płynęła z niej grzmiąca muzyka. Samej sceny nie było jeszcze widać i Sandy uświadomił sobie, że wieża z pewnością przekazuje dźwięki drogą radiową. W 1971 na West Mesa nie było wież, a tylko ogromne głośniki ustawione na scenie. To jednak, co wystarczało dla sześćdziesięciu tysięcy widzów, dla tego, większego tłumu byłoby niewystarczające.

Stopniowo, wlokąc się naprzód, zaczął dopiero zdawać sobie sprawę, jak znacznie większego. Według jego przybliżonej oceny wieże były odległe od siebie o dwie mile, a minął ich po drodze jeszcze trzy. Słońce wisiało już nisko nad zachodnim horyzontem, zbierające się tam chmury miały złowieszczy, fioletowoczarny kolor, jak wielkie posiniaczone owoce, gotowe w każdej chwili trysnąć krwią. Na ich tle ostro rysowały się sylwetki wież przypominające Sandy'emu koszmarne sny o marsjańskich machinach bojowych, które dręczyły go w dzieciństwie po lekturze *Wojny światów*. Podobnie jak te śmiercionośne

machiny, wieże miały po trzy metalowe nogi, ale zamiast emiterów promieni ciepłych były uzbrojone w dźwięk; dźwięk, od którego wibrowało przesycone pyłem wieczorne powietrze i drżała ziemia, dźwięk, który wypełniał sobą świat i palił duszę. W pobliżu wież muzyka była czymś żywym. Dudniła ogłuszająco, ale to właśnie tam ludzie gromadzili się najgęściej. Leżeli na kocach i na ręcznikach, całkowicie ubrani, nadzy bądź na wpół ubrani, samotnie i parami. Siedzieli na kamieniach, krążyły między nimi jointy albo butelki. Klaskali w dłonie i śpiewali razem z muzyką. Tańczyli, tańczyli i tańczyli. Kilku odważnych osobników wdrapało się nawet na wieże. Leżeli wyciągnięci na gorącym metalu, otoczeni muzyką. Wokół wież kłębiły się tłumy, przy każdej następnej coraz gęstsze, aż wreszcie nie było już między nimi wolnej przestrzeni, cały świat stał się nieprzerwanym morzem ludzi stojących na drodze i poza nią. Jaskrawe ubrania, muzyka i ludzkie ciała były wszechobecne. Sandy uświadomił sobie, że „oficjalne oceny”, jakie podał mu kapitan Mondragon, są absurdalnie, celowo, irytująco zaniżone - podobnie jak wszystkie policyjne oceny dotyczące koncertów rockowych i demonstracji w dawnych czasach. Mondragon powiedział „sto tysięcy”. Sandy pozostał jeszcze dziennikarzem w wystarczającym stopniu, by potrafić dokonać oceny wielkości tłumu. Na West Mesa było co najmniej trzy razy tyle ludzi, być może nawet znacznie więcej. *Gdy przybyliśmy do Woodstock, pół miliona było już.* Zadrżał, jakby przeszył go nagły dreszcz, gdy tylko sobie uświadomił, że liczba mieszkańców

Albuquerque jest mniejsza od liczebności tłumu, który zgromadził się pod miastem.

Minął linię przenośnych klozetów. Przed każdym z nich czekały cierpliwie w kolejce setki ludzi. Grupa grała *Proud Mary*, głośno i z pasją. Na zachodzie słońce szybko kryło się za horyzontem zasnutym posępными, fioletowymi chmurami. Minął balon na gorące powietrze, przywiązany do ziemi. Jego powłokę zdobiła jaskrawożółta, uśmiechnięta twarz. Trzy kobiety siedzące w gondoli machały rękami do przyjaciół stojących na dole, a mężczyzna wpatrywał się w dal przez teleskop. Zespół grał *Summer in the City*, ale żar zniknął już wraz z zachodzącym słońcem. Za kilka godzin na pustyni zrobi się zimno. Sandy przeszedł obok białej ciężarówki z hot dogami. Zamknięto ją na cztery spusty, a wielki szyld na jej boku głosił: „WYPRZEDANE”. Na nim wypisano sprayem wyrażające dezaprobatę komentarze. „SPEKULANT!” - nabazgrał ktoś wielkimi, czerwonymi literami. „MIĘSOŻERCY!” - oskarżał ktoś inny jeszcze większymi, zielonymi. Inna grupa grała *Riders on the Storm*. W zapadającym zmroku coraz trudniej było rozróżnić twarze. Sandy’ego bolały stopy.

Daleko z przodu, nad falującym morzem głów, ujrzał skapaną w barwnym, wciąż zmieniającym się świetle scenę. Obok przystanął szczupły, czarnoskóry mężczyzna z wąsami w stylu Fu Manchu, który miał na szyi lornetkę. Sandy pożyczył ją od niego, żeby obejrzeć

wszystko z bliska. Przyjrzał się instrumentom, muzykom, kłębiącemu się wokół sceny, roztańczonemu tłumowi oraz ochroniarzom spychającym w dół tych, którzy próbowali się wdrapać na pomost. Scena rozciągała się na wysokości dziesięciu stóp nad ziemią, a za nią majaczyła wysoka na trzydzieści stóp metalowa konstrukcja podtrzymująca szeregi wzmocniaczy oraz sprzętu oświetleniowego. Całość wspierała się na dwóch potężnych belkach z twardego drewna, krzyżujących się za plecami muzyków na kształt wielkiej litery X.

Sandy próbował oddać lornetkę, ale mężczyzna, od którego ją pożyczył, już gdzieś zniknął, zatrzymał ją więc sobie i ruszył

w dalszą drogę. Dwie ostatnie wieże nagłaśniające ustawiono w odległości około dwóch tysięcy stóp od sceny. Stały po obu jej stronach i były zwrócone na zewnątrz. Skierował się ku bliższej z nich, tej po prawej stronie.

Droga trwała długo. Szybko już zapadała ciemność, a grunt pod stopami był wyboisty i pełen kamieni. Wszędzie roilo się od ludzi, którzy popychali Sandy'ego to w tę, to w tamtą stronę. Musiał siłą torować sobie drogę przez tłum, zaciskając ręce na torbie. Niekiedy unosił ją przed sobą na wysokość piersi, jakby dźwigał dziecko. W pewnej chwili przytuliła się do niego ładna, szczupła, rudowłosa kobieta o pustym spojrzeniu. Bluzkę owinęła wokół talii, a jej małe piersi dotykały jego klatki piersiowej.

- Chcesz się bzykać? - zapytała. Odsunął się od niej bez słowa. Później zderzył się z kudłatym mężczyzną w barwnym, dżinsowym stroju ozdobionym swastykami i pacyfami. Nieznajomy łypnął na niego spode łba.

- Na kogo, kurwa, się pchasz, koleś? Chcesz, żeby cię dziabnąć? Zaraz cię dziabnę.

Potem on również zniknął, uniesiony nurtem ludzkich ciał.

Gdy Sandy znalazł się w odległości stu jardów od wieży, światła na scenie zgasły i na całym świecie zapadła cisza.

Czuł, jak ogarnia ona stopniowo tłum. Muzyka milkła, tańce przerywano, rozmowy cichły w coraz szerszym kręgu.

- Tak - usłyszał obok siebie ochrypy, kobiece szept. Tak - powtórzyła kobieta, jakby zachęcała kochanka doprowadzającego ją do orgazmu. - Tak, tak, tak.

Zauważył, że na pogrążonej w mroku scenie coś się poruszyło. Z głośników dobiegł głośny syk, po którym zabrzmiały słowa:

- Nadeszła godzina!

- Godzina! - odpowiedziało audytorium, pół miliona głosów rozprasających ciszę. Kapitan Mondragon i jego ludzie z pewnością usłyszeli ten krzyk w odległości wielu mil niczym potężną falę przyboju rozbijającą się o góry. Sandy przyłożył lornetkę do oczu w tej

samej chwili, gdy zapaliło się przyćmione,

czerwone światło przypominające krew i ogień. Jego blask padł na Świstaka Johna Słozewskiego, który siedział z zasepioną miną na swym tronie, pośród czarno-czerwonych bębnow.

- Nadszedł dzień! - ryknęły głośniki.

- Dzień! - odkrzyknął tłum i zapaliło się drugie światło o niezdrowej, zielonej barwie, światło tętniące rozkładem. Padło na Ricka Maggia, który uśmiechał się szyderczo, trzymając palce na strunach gitary.

- Nadszedł rok!

- Rok! - wrzasnęli ludzie i pojawiła się plama głęboko fioletowego blasku, oświetlająca Petera Faxona i jego rickenbackera. Wydawał się w tym świetle niewyraźnym, posiniaczonym cieniem o twarzy bez wyrazu. Miał na sobie znajomą, białą, skórzaną kurtkę z długimi frędzlami. W fioletowym świetle plamy krwi wydawały się niemal czarne.

- Na...

- ...zguuuuuuuuuuuli!!! - zakrzyknęły tłumy i wszystkie światła zapaliły się jednocześnie. Tańczyły po scenie, pojawiały się i znikwały, błyskały szalonym, hipnotycznym stroboskopowym rytmem; rytmem, który wychwytywał każdy najdrobniejszy ruch, powiększając go i uwydatniając, tak by wszyscy mogli go ujrzeć. Na scenę wyszedł Patrick Henry Hobbins w czarnym dżinsowym stroju z amerykańską flagą wszytą w kroczu. Tam, gdzie powinny być gwiazdy, umieszczono Oko Mordom. Hobbins wziął w rękę gibsona i wybuchnął najgłośniejszym śmiechem na świecie.

- Tak jest! No dobra, skurwysyny, spokój. Teraz zagramy rocka, aż krew popłynie wam z uszu!

Ludzie zakrzyknęli jeszcze głośniejsze, witając go jak szaleńcy. Hobbins uderzył w struny gitary i przez głośniki popłynęła muzyka, gwałtowniejsza i bardziej pełna strasznego życia niż cokolwiek innego na całym świecie. Głos Hobbinsa było słycać na przestrzeni wielu mil.

Hej, kochanie, co widzisz na nieeeeebie?!

W górze rozbłysły sztuczne ognie, dające złudzenie deszczu płomieni. Nazgule grali *Napalm Love*, a publika krzyczała i biła brawo. Sandy opuścił lornetkę. Poczł uderzenie muzyki. Krążyła w jego krwi, dotykała go, wstrząsała nim. Pragnął włączyć się w nią, porzucić karabin, klaskać w dłonie, wtopić się w otaczającą go masę, pozwolić, by stało się to, co miało się stać. Nie mógł jednak do tego dopuścić, po prostu nie mógł. Przygryzł wargę i ruszył w stronę wieży.

Grali te same utwory co w Denver. Tamten koncert był próbą generalną przed West

Mesa. Sandy czuł podniecenie otaczającego go tłumu, czuł chwilę, gdy zaczęła się zmiana, gdy wszystkie te tysiące i setki tysięcy połączyły się w jedną całość, wielką bestię o pół miliona par oczu oraz jednym głosem i jednym sercem, które biło teraz szybciej, szybciej, intensywniej i mocniej. Uniósł wzrok i gwiazdy spojrzały na niego miliardem żółtych ślepiów. Nie widział, żeby mrugały. Były twarde, zimne jak lód i niezmiennie.

Z każdym jego krokiem dźwięk pulsował coraz głośniejszy, a tłum ogarniał coraz większy szal. Sandy uświadomił sobie, że musi walczyć z muzyką, zupełnie jakby była żywą istotą, jakimś mrocznym, nieustępliwym stworzeniem, które cały czas stawiało mu zawzięty opór. Przepychał się przez tłum, utwór po utworze, odsuwając ludzi na boki. Zmierzał w samą paszczę muzyki. W miarę jak zbliżał się do wieży, dźwięk stawał się coraz głośniejszy i głośniejszy. Ryczał na niego, syczał i warczał, uderzał w niego gwałtownie niczym jakiś pradawny, nadnaturalny huragan wiejący znikąd, z niewyobrażalnej ciemności. Każdy krok był dla niego niezmiernym wysiłkiem. Mimo to ciągle parł naprzód, gdy grupa grała *Elf Rock*, *Cold Black Water* i *Crazy Cara*. Przedarł się przez zmuszający wszystkich do przytupywania nogami rytm *Jackhammer Blues*, przez ciała kołyszące się w rytm *Poison Henry* i *Schuylkill River*. Usłyszał krzyki, gdy Maggio zdjął koszulkę i cisnął ją w tłum, zobaczył kolorowy dym buchający ze sceny, kiedy Nazgule zagrali z ogłuszającą siłą *Makin' War*. W tej samej chwili w ścianie ciał przed Sandym utwo-

rzyła się wąska luka. Zauważył ją i przedarł się przez nią aż do podstawy wieży nagłaśniającej. Nagłe poruszenie w tłumie omal go od niej nie oderwało. Uczepił się wielkiej, metalowej nogi i trzymał się jej ze wszystkich sił.

- *Czyńcie wojnę, czyńcie wojnę, czyńcie wojnę, wojnę, wojnę!* - śpiewał raz po raz tłum, podczas gdy Maggio i Hobbins improwizowali.

- Spierdalaj stąd! - usłyszał tuż obok znajomy głos. W odległości kilku stóp od niego na rusztowanie wdrapała się jakaś dziewczyna. Krzyk był skierowany do niej i dobiegał z góry. Spierdalaj z wieży! - powtórzył głos. Silnie zbudowany mężczyzna stojący na dźwigarze pochylił się i uderzył mocno nunczakiem w palce dziewczyny. Ta spadła z krzykiem w tłum na dole.

Na scenie czerwone, żółte i białe światła rozbłysły nagłą, oślepiającą sekwencją, odbijając się w srebrnych lustrzankach mężczyzny stojącego na górze.

Czyńcie wojnę, czyńcie wojnę, czyńcie wojnę, wojnę, wojnę!

Świstak John rozpoczął długie solo na perkusji. Wszyscy krzyczeli, gwizdali, wili się w tańcu. Sandy spojrział bez słowa na Lusterko. Nic na to nie poradzi.

Zaczekał, aż tamten odwróci wzrok, a potem podszedł do wieży i zaczął się wspinać.

Konstrukcję zbudowano z nagiego, ostrego metalu wbijającego się boleśnie w dłonie. Torba, którą niósł pod pachą, ciążyła bardzo i wciąż się wysuwała. Co chwila Sandy musiał się zatrzymać, żeby ją poprawić. Zdążył się wdrapać zaledwie dziesięć stóp w górę i znalazł się na tym samym poziomie co strażnik, gdy Lusterko odwrócił się nagle i zobaczył go.

Sandy skulił się, spróbował ukryć w cieniu nogi wieży, ale nic to nie dało. Tamten już go zauważył. Lusterko ruszył w jego stronę, poruszając się na dźwigarze pewnie niczym kot. W dłoni trzymał nunczako. Sandy pomyślał, że nie ma drogi odwrotu. Oparł się mocno o nogę wieży, gotowy użyć karabinu jak maczugi.

Wtem Lusterko się zatrzymał.

- A, to ty - powiedział i skinął głową. - Nie poznałem cię. Włóż na górę.

Uśmiechnął się i odwrócił do niego plecami.

Sandy zamarł na chwilę w niedowierzaniu. Ciało miał zeszywniałe z napięcia. Potem znowu złapał niezgrabnie torbę z karabinem i podjął wspinaczkę.

Nie był w dobrej formie. Musiał się zatrzymać trzy albo cztery razy, żeby odetchnąć. Bardzo trudno mu było utrzymać torbę i dwukrotnie omal jej nie wypuścił. W końcu przystanął, zdjął sweter i przytroczył nim sobie torbę do pleców. Teraz było łatwiej, ale i tak dotarł tylko na wysokość sześćdziesięciu stóp, gdy Nazgule ogłosili przerwę, wywołując kakofoniczną eksplozję aplauzu, gwizdów i krzyków. Rytmiczne klaskanie setek tysięcy dłoni było tak głośne, że wieża drżała od niego. W pewnej przerażającej chwili Sandy był przekonany, że cała konstrukcja zaraz się zawali na skutek rezonansu. Potem jednak muzycy wrócili na scenę, odpowiadając na wezwanie. Uwieszony, boku wieży Sandy przyglądał się im uważnie. Hobbins pociągnął łyk z butelki, a Maggio połknął pastylkę. Później znowu zabrzmiała muzyka. Nazgule zaczęli drugą, ostatnią część koncertu od *Blood on the Sheets*. Od szczytu dzieliło go już tylko dwadzieścia stóp. Tak blisko głośników ich przenikliwy gwizd przeszywał uszy niczym nóż i wywoływał ból zębów. Sandy omal nie spadł ze swej wąskiej grzędy od tego hałasu. Trzymał się jednak, krzywiąc się, kołysząc i zaciskając zęby. Potem, bliski desperacji, pokonał ostatni odcinek i wdrapał się na platformę, na której zamontowano głośniki. Wszystkie aż drżały od ogłuszającego huku. Sandy wyjął z kieszeni chusteczki higieniczne, zwilżył je w ustach i wetknął sobie do uszu. Trochę pomogły, ale nie sposób było uciec przed muzyką. Otaczała go ze wszystkich stron. Przetoczył się na plecy, dysząc ciężko po długiej wspinaczce. Zdarł sobie skórę z dłoni i ciekła mu z nich krew. Przez długą chwilę chciał tylko leżeć tu bez ruchu.

Nazgule zagrali długą, szaloną wersję *Blood on the Sheets*, a potem *Ash Mana*, a Sandy wciąż nie miał siły ruszyć się z miej-

sca-. Potem z wielkich głośników dobiegł go ostry, basowy, pełen złości głos Ricka Maggia, z łatwością przebijający się przez prowizoryczne zatyczki do uszu.

- Te skurwysyny chciały nam zabronić urządzenia koncertu - mówił Maggio. - I co wy na to?

- Chuj z nimi! - zakrzyknął tłum.

- Powiedzieli, że to jest nielegalne zgromadzenie, potraficie w to uwierzyć? - warknął Maggio. - Mówili wam, żebyście zostali w domach. Żebyście się rozeszli.

- Chuj z nimi! - powtórzyło ochryple pół miliona głosów. Maggio ryknął śmiechem.

- Tak jest! No wiecie, oni tam teraz są. Te skurwysyny nadal chcą nas powstrzymać. Mają czołgi, karabiny i pierdolony napalm, ale nie powstrzymają nas, nie tym razem. Kurwa, gwarantuję wam to. Czy nas powstrzymają?

- Nie!

- Mogą spróbować. Ale jeśli nawet to zrobią, nic mnie to nie obchodzi. A wiecie dlaczego? Bo się wkurzyłem!

- Jak bardzo się wkurzyłeś?

Wydobył z fendera telecastera ostry ton, wzmocniony wiele tysięcy razy; pojedynczy, szarpący, parzący, gorejący, zgrzytliwy dźwięk, który wstrząsnął nocą.

- Kurde - oświadczył Maggio - jestem po prostu wściekły! Nazgule eksplodowali muzyką, zabrzmiał dudniący rytm i Maggio wyśpiewał swą furję.

Nie będę już spokojny

Nie będę tego znośił.

Mam dość tego, że mnie depczą,

Gdy leżę tu na podłodze.

Sandy przetoczył się na brzuch, podczołgał do skraju pomostu, otworzył torbę i wyciągnął karabin. Zrzucił kopniakiem torbę na dół i patrzył, jak spada w tłum, który kłębił się i wściekał u podstawy wieży. Oparł karabin o ramię i wycelował w Maggia.

Był teraz bliżej, a luneta karabinu dawała większe powiększenie niż lornetka. Widział wszystko wyraźnie. Maggio ociekał potem. Wykwity na twarzy zamaskował makijażem, który jednak teraz spływał z potem. Krosty wyglądały brzydko, wydawały się otwarte i bolesne. Rzeczulki wilgoci spływające po piersi gitarzysty lśniły w blasku reflektorów. Sandy mógłby policzyć jego żebra. Maggio wkładał w muzykę wszystko, co miał, pluł jadem na całą niesprawiedliwość świata, uśmiechał się szyderczo do swej gitary, wytaczając z niej krew. Utwór wydobywał się z głośników z siłą demonicznego wiatru, choć przecież był to tylko ból jednego człowieka, cała gorycz, poczucie zagrożenia i strach, które żyły w duszy Ricka

Maggia.

- *Tak bardzo wściekły!* - śpiewał.

- *Wściekły!* - odpowiedzieli chóralnie, dzieląc się jego bólem.

Muzyka była tak gorąca, że Sandy'emu robiły się od niej pęcherze.

Miał już Maggia pośrodku celownika. Wsunął palec w otwór spustu. Mógł to zakończyć, tu i teraz. Pomyślał, że to on jest najgorszy z nich. To był słaby, rozgoryczony człowiek, który nie potrafił kochać, a tylko zadawać ból. Nikt nie będzie go żałował. Gdyby załatwił Maggia zamiast Hobbinsa, świat stałby się lepszy.

- *Wściekły!* - krzyczał tłum.

W lunecie pot Maggia wyglądał niemal jak łyż. Sandy zdjął palec ze spustu. Nie Maggia. Nie. Mógł być odrażający, ale niczym w tej sprawie nie zawinił. Nie potrafiłby go zabić, bez względu na cenę. Nazgule byli tu tylko pionkami, wszyscy poza jednym. Poza Patrickiem Henrym Hobbinssem. Hobbins to co innego - pomyślał Sandy. To nie będzie morderstwo. W końcu on już nie żył.

Nagle na scenie pojawiła się Francie. Tańczyła z zamkniętymi oczyma, klaszcząc uniesionymi nad głową dłońmi. Gdy Sandy ujrzał ją poruszającą się w rytm muzyki przed tym ogromnym X, przeszył go zimny dreszcz.

Kiedy utwór się skończył i oklaski wreszcie umilkły, Hobbins przesunął się z powrotem do przodu. Reflektory skupiły się na jego twarzy, na tej bladej, białej masce i czerwonych, gorejących oczach.

- *Leci wam już krew z uszu?* - zapytał z uśmiechem.

- *Kurwa, nieeeee!* - ryknęli chórem.

- *No, no* - zdziwił się Hobbins. - *Chyba będziemy musieli grać głośniej.*

Zabrzmiały pierwsze tony *Swvivora*,

Wrócił z wojny zupełnie nietknięty I usłyszał od nich, że sprzyjał mu los.

To był najwolniejszy utwór na całym albumie i Hobbins śpiewał go, stojąc cały czas nieruchomo. Sandy wycelował w niego. Krzyż nitek zatrzymał się na jasnym czole zasłoniętym kosmykami białych włosów. Teraz? - zastanowił się Sandy. Zawahał się, a potem opuścił broń. Nie teraz. To nie była... odpowiednia chwila, z jakiegoś powodu. To będzie musiało być później, podczas innego utworu.

Uniósł wzrok. Gwiazdy nadal lśniły na niebie, ale chmury zbliżały się szybko, pożerając je jedną po drugiej. Dzisiaj jednak nie będzie burzy, nie będzie szalonych, przeszywających mrok błyskawic. To były chmury innego rodzaju, ciemniejsze i spokojniejsze. Zakrywały nocne niebo niczym atrament, przynosząc ze sobą chłód, martwość

oraz ciszę zdolną pochłonąć nawet muzykę Nazguli.

Sandy zaczął się teraz przysłuchiwać tej muzyce, przez kilka chwil słuchał jej naprawdę uważnie, odkładając na bok wszelkie myśli o tym, co będzie musiał zrobić za minutę, dwie albo za dziesięć. Pieśń była smutna jak zawód miłosny i równie nieunikniona. Muzyka miała w sobie moc. Czymkolwiek innym mogli się teraz stać The Nazgul, nadal byli piekielnie dobrą grupą rockową. Docierali do niego z równą łatwością jak przed wielu laty, gdy był nastolatkiem słuchającym ich pierwszej płyty na swym pierwszym gramofonie. Jego rodzice nigdy nie potrafili

4S7 tego zrozumieć. Nie słyszeli radości, życia i piękna zawartych w rocku. Ojciec mówił na tę muzykę „hałas”. Matka, która za często chodziła do kościoła i na spotkania komitetu rodzicielskiego, była gorsza.

„To diabelska muzyka” - warczała. Musiał ukrywać przed nią płyty Doorsów.

Pomyślał o Jamiem Lynchu, który krzyczał z bólu, przywiązany do biurka, wykrwawiając się na koncertowy plakat. O nastolatkach, którzy spłonęli w Norce Świstaka, łomocząc w zamknięte drzwi, aż metal zrobił się czerwony od żaru i otoczyły ich kłęby dymu. Pomyślał o Balrogu, któremu wypruto wnętrzności w zaułku, o krwi w oczach Edana, o dźwięku, z jakim złamał się kark Gorta. Może to ona miała rację - pomyślał.

Ale z wielkich głośników za jego plecami nadal dobiegała muzyka. Jej czyste, dręczące dźwięki sprawiały, że chciało mu się płakać i wściekać, i uczynić świat lepszym. Sandy zrozumiał, że jednak matka nie miała racji, nigdy jej nie miała. Ponownie uniósł lornetkę do oczu, ale tym razem nie patrzył na scenę, lecz na tłum. Nie wiedział, czego szuka. Znalazł tylko twarze. Grubego mężczyznę rozciągającego usta w narkotycznym uśmiechu. Młodą, piękną kobietę, która zamykała oczy, siedząc na ramionach swego chłopaka. Inną kobietę, brzydką i tłustą, która tańczyła, tańczyła sama, lecz nie była samotna, gdyż stała się częścią tego wszystkiego - częścią tłumu, częścią muzyki i częścią nocy. Motocyklistę, być może tego samego, który przedtem groził, że go dziabnie. Teraz podskakiwał niezgrabnie w rytm muzyki, a z jego twarzy zniknęło wszelkie napięcie. Dobrych i złych, starych i młodych, mężczyzn i kobiety, radosnych i smutnych. Twarze. Ludzi.

To dobry koncert - pomyślał otępiały, opuszczając lornetkę. Przypomniał sobie, że koncert na West Mesa w 1971 roku był rewelacyjny. Wszyscy się zgadzali, że Nazgule grali fantastycznie aż do chwili, gdy z mroku padł strzał i Hobbins zginął pośród krwi i ciszy, nie ukończywszy swej pieśni. A teraz musiało się to wydarzyć znowu i to on miał obowiązek nacisnąć spust. Prawda? Prawda?

Robiło mu się niedobrze na tę myśl.

Na dole znowu slychać było aplauz. Setki tysięcy ludzi gromadziły się wokół ognisk i wież. Trzymali się za ręce i ściskali, tańczyli razem i śpiewali, gwizdali i klaskali w dłonie, podczas gdy on leżał tu samotnie. Uświadomił sobie niejasno, że utwór się skończył. Po chwili muzyka zabrzmiała na nowo, ale tym razem podkład był twardszy i mocniejszy, a tony gitary brzmiały szyderczo i złowrogo.

Kołując coraz to szerszą spiralą

Z pół miliona gardeł wyrwała się szeptana obietnica, wypełniająca ciemność swym westchnieniem.

On nadchodzi!

Hobbins wkładał w tekst całego siebie przy akompaniamencie śpiewnych tonów gitar.

Sokół przestaje słyszeć sokolnika

Sandy przyglądał się mu przez lunetę karabinu. Miał wrażenie, że Hobbins patrzy prosto na niego, że ciemnoczerwone oczy wokalisty spoglądają wprost w jego oczy, a słowa utworu są przeznaczone wyłącznie dla niego.

Najlepsi tracą wszelką wiarę, a w najgorszych Och, kipi żarliwa i porywczmo moc

Teraz - pomyślał Sandy, gdy ocean ludzi śpiewał: *On nadchodzi!* coraz głośniej i głośniej z każdym powtórzeniem. Ale nie nacisnął spustu. Najlepsi tracą wszelką wiarę. Dlaczego się wahał? To nie byłoby morderstwo. W końcu Patrick Henry Hobbins zginął w roku 1971. To był tylko jakiś demoniczny sobowtór. Słuchali śpiewu umarłego.

Och tak, wiem, wiem, Ze dwadzieścia stuleci kamiennego snu Rozkołysała w koszmar dziecinna kołobka Och, rockandrolłowa kołobka!

Ale co z Larrym Richmondem? Może to i Hobbins śpiewał, ale ciało należało do Richmonda. Jeśli zabije tego pierwszego, zginie również i drugi. A Hobbins... Sandy pamiętał go z dawnych dni. Arogancki, bezczelny, pewny siebie i swego talentu, zmanierowany z powodu sukcesów, może trochę świrujący z powodu nadużycia prochów, może stojący na krawędzi załamania... ale potwór? Nie. Po prostu wokalista rockowy, dobry wokalista rockowy, jeszcze prawie dzieciak. Faxon znał go najlepiej ze wszystkich ludzi i Faxon go kochał. Zakrzyknęli:

On nadchodzi! On nadchodzi! On nadchodzi!

I światła zgasty, wszystkie poza jednym. Hobbins stał w plamie blasku, spoglądając na widzów, spoglądając na gwiazdy. Uśmiechnął się i powiedział:

Już tu jestem.

- Tak - wyszeptał Sandy. Wiedział, że to prawda. Ale kto tu był, kto, kto? Antychryst? Diabeł? Jakiś potwór? Czy po prostu Hobbit?

Nazgule zaczęli grać *Prelude to Madness*. Sandy słuchał ich i obserwował, wyciągnięty na zimnym metalu wieży. Głośniki huczały za jego plecami. Jeszcze jeden utwór, tylko jeden. Potem zagrają *The Armageddon Rag*. Tyle że Morse powiedział, iż zmartwychwstanie jest kłamstwem, że Armagedon będzie trwał wiecznie i krew nigdy nie przestanie płynąć. Musiał to powstrzymać. Prawda?

Charlie jest dzokerem w talii.

To on był Charliem. „Wybacz, Charlie” - tak powiedział do niego Hobbins w Red Rocks. Ananda potwierdziła to później. Dlatego go nie zabiła. Morse przewidział wszystko, zobaczył, że Sandy będzie obecny na końcu, widział go w tym miejscu, między ziemią i gwiazdami, z karabinem w ręku. Sandy poczuł chłód przebiegający mu wzdłuż kręgosłupa. Jeśli Morse o tym wiedział, Ananda również musiała wiedzieć, prawda? Wiedziała, gdzie będzie i po co tam pójdzie.

Kluczyki od samochodu na telewizorze.

Brak strażników.

Ocknął się akurat we właściwym momencie.

Lusterko uśmiechnął się, odwracając się plecami.

Damy zawsze biją asy, tak jest!

Ale czy damy biją też dzokery? - zadał sobie w duchu pytanie. Nie był tego pewien. Nie był pewien niczego. Nazgiile śpiewali, a pół miliona ludzi śpiewało razem z nimi.

Wilkołak popatrzył w zwierciadło i ujrzał twarz Lona Chaneya

Sandy spojrzał na czarne, zasnute skłębionymi chmurami niebo. Drżał na zimnym wietrze. Ciężar naoliwionego karabinu w jego dłoniach wydawał się czymś obcym. Powietrze wokół niego wibrowało od drżących dysonansów i dziwnych ech. Ponownie spojrzał na scenę i zobaczył tańczącą Francie oraz wielkie X za jej plecami. Jeżeli nie wystrzeli, przybiją ją do tego krzyża, wytoczą krew, rozbiorą ją, wyłupią oczy, a tłum będzie tańczył w rytm *Ragu*, trwającego bez końca *Ragu*, na zewnątrz zaś zgromadzą się demony i nikt nie będzie słuchał jego ostrzeżeń. Jeżeli tego nie powstrzyma. Jeżeli nie wystrzeli.

A może... może... jeżeli wystrzeli?

West Mesa, 1971. Kula znikąd, śmierć Hobbinsa, sześćdziesiąt tysięcy ludzi ogarniętych ślepej paniką. Ośmiu zabitych, setki

rannych. A teraz? Kolejny strzał, kolejne zbroczone krwią zwłoki, muzyka zabita na zawsze, ale tłum był dzisiaj znacznie liczniejszy i wszyscy ci ludzie będą wiedzieli, że nieprzyjaciół to zrobił, ten sam, który cały czas próbował ich powstrzymać, który czekał na nich ze swymi czołgami, dżipami i mundurami, który otoczył ich kordonem, zapędził w kozi

róg jak zwierzęta. Przez chwilę Sandy widział wszystko wyraźnie, tak samo wyraźnie jak duchy, które tamtej nocy toczyły walkę na ulicach Chicago. Pełni gniewu i żalu ludzie zburzą wieże, a potem zaczną rozszarpać się nawzajem na strzępy. Ananda i jej bojówki w czerwonych opaskach przybiją do krzyża Francie, złożą ją w krwawej ofierze i przejmą kontrolę. Hobbins powróci z umarłych, grupa będzie grała, bez końca będzie grała *The Armageddon Rag* w zimnym mroku, a armie trupów zgromadzą się i ruszą przez noc.

Muzyka ucichła. Skończyło się *Prelude to Madness*. Powoli, bardzo powoli, zaczęło się.

To jest kraina, do której wiodą wszystkie słuszne sprawy. To jest kraina, gdzie grzyby będą wyrastały.

Ujrzał ich znowu na horyzoncie, usłyszał przeciągłe westchnienie tłumu, który również ich zobaczył, widmowe wieże w kolorach czerwieni, fioleto i płonącego indygo, ukoronowane oślepiającym ogniem, który rozrastał się powoli, pochłaniając świat swą furią i nienawiścią.

Na pole bitwy droga wiedzie, Och, czy słyszysz to bębnienie? To grają rag Armagedonu, och! Grają rag Armagedonu!

A co, jeśli się myli? Jeśli nic nie zrobi i okaże się, że się mylił? Hobbins tańczył w celowniku broni. Poruszał się bezustannie, popisывał się, śpiewał ciałem tak samo jak głosem. Sandy przesunął karabin, znalazł go, zgubił, znowu znalazł i znowu

zgubił. Zauważył w lunecie Faxona, który stał za Hobbinsem na linii ognia. Znowu wycelował w Hobbita i zawahał się z palcem na spuście. Usłyszał słowa Bambi, która mówiła mu, że musi uwierzyć. Ale w co? W swoje instynkty? Czy w koszmary?

- Wiesz, co musisz zrobić - wyszeptała Maggie. Żabcio roześmiał się szyderczo i wydał z siebie swój nieprzyjemny odgłos.

- A potem włożysz spaghetti w ich włosy, tak jest, tak jest.

To jest dzień, do którego przybywamy To jest dzień, który wybieramy.

Świat wirował wokół niego w szalonym tańcu. Nocne niebo było pasiaste - pasma chmur na przemian z pasmami gwiazd na czystym, atramentowym tle. Na dole miał niezliczoną armię. Na dole miał nieliczny, przerażony tłum. Wieża nagłaśniająca przestała mu się wydawać materialna. Spojrzał w dół przez lity metal i ujrzał pod sobą ziemię. Na jego nadgarstku Spiro Agnew unosił obie ręce do góry.

Sandy odłożył karabin i wstał.

Ledwie zdążył oddalić się o trzy kroki, wyszła zza głośników i spojrzała na niego z gniewem i zdziwieniem na twarzy.

- Co ty wyrabiasz? - wrzasnęła, przekrzykując muzykę. - Wracaj tam. Strzelaj!

Lusterko na pewno ją zawiadomił - pomyślał Sandy. Była tak gibka i poruszała się tak cicho, że nie zorientował się, kiedy wdrapała się na wieżę.

- Tego właśnie chcesz - odkrzyknął. - O to właśnie chodziło od początku, prawda? Miałem być dzokerem w talii. Zamachowcem.

- Zastrzel go! - rozdarła się. Nie była teraz piękna. Jej włosami targał czarny, lodowaty wichur, a twarz zniekształcił grymas niemal zwierzęcej wściekłości.

- Włóż sobie pierdolone spaghetti we włosy! - zaproponował w odpowiedzi Sandy.

*Bo ty też jesteś zabójcą I polegli są podobni do ciebie Kiedy grają rag Armagedonu!
Tak jest! Grają rag Armagedonu!*

Skoczyła na mężczyznę i złapała go.

- Zrób to! - krzyczała. - Zrób to albo złamię ci kark, jak Gortowi. Zrób to. Zrób to!

Sandy uspokoił się. Z jakiegoś powodu nie czuł strachu. Przestał się już bać.

- To dzień Armagedonu, kochanie - oznajmił jej - i wybraliśmy przeciwne strony. Sama go zastrzel.

Nazgule przeszli do pomostu, długiej części instrumentalnej. Gitary łkały i zawodziły, perkusja łomotała, bas dudnił nisko, a ogromna widownia na dole kołysała się, przytupywała i krzyczała ogłuszająco na znak aprobaty. Ananda uniosła pełne paniki spojrzenie i zamarła z ręką wiszącą w powietrzu.

- Kurwa, za późno - wrzasnęła. - Sama to zrobię. Była niewiarygodnie szybka. W jednej chwili z niego zeskoczyła, a w następnej już trzymała w rękach karabin.

- Nie uda ci się - zawołał do niej Sandy.

Hobbins poruszał się jak szalowiec, śmiał się i płąsał w rytm muzyki. Pół miliona ludzi śmiało się i tańczyło razem z nim.

- Nie ruszaj się - mruknęła Ananda. - Nie ruszaj się, kurwa!

Zatrzymał się za jej plecami.

- Ty nie masz tu prawa wyboru. Twój wybór nic by nie znaczył. To musiałem być ja, dzoker w talii. Musiałbym zabić wszystko, w co kiedyś wierzyłem. Daj sobie spokój, Nando. Nic z tego nie wyjdzie.

Zignorowała jego słowa. Zataczała karabinem małe kręgi, śledząc ruchy Hobbinsa.

- Achchchch - wydyszała wreszcie i nacisnęła spust. Jęk elektrycznych gitar zagłuszył odgłos strzału.

Hobbins zatoczył się do tyłu w tej samej chwili, gdy Sandy

uniósł lornetkę. Przez tłum przebiegła fala szoku. Faxon przestał grać. Gitara Maggia ucichła z przeraźliwym zgrzytem sprzężenia. Bębny Świstaka Johna brzmiały jeszcze przez

chwilę, samotne i zagubione. Potem on również znieruchomiał.

Zapadła cisza. Wszyscy wstrzymali oddechy.

Hobbins odgarnął białe włosy znad oczu i uśmiechnął się.

- Wybacz, Charlie - rzucił. - To na pewno od prochów.

Tysiące ludzi wybuchły śmiechem. Twarz Hobbinsa była czerwona, ale to był rumieniec, nie krew. Wokalista spojrział prosto na Sandy'ego i Anandę i wydobył z gibsona krótki, radosny dźwięk ulatujący ku niebu akord. Potem poprowadził grupę ku dalszej części utworu i ciemność wypełniły dźwięki muzyki.

Chmury rzedły. Sandy widział gwiazdy mrugające na czystym niebie.

- Nie - zaprotestowała Ananda ochryplym z niedowierzania głosem. Załadowała kolejny nabój, lecz nagrodził ją tylko stuk pustego magazynka. Strzelała raz po raz, ciągle z tym samym rezultatem.

- Miałaś tylko jeden strzał - poinformował ją Sandy. Chybiłaś.

Odrzuciła karabin, poderwała się i odwróciła błyskawicznie w stronę Sandy'ego.

- Magazynek był pełny! Sama go ładowałam! I nie mogłam chybić! Miałam go w krzyżu nitek!

- W takim razie może go zabiłaś - stwierdził ze smutkiem Sandy.

Ananda nie rozumiała go. Była szalona, zdezorientowana. Nazgule grali *The Resurrection Rag*, tak jąkanie grano go jeszcze nigdy. Pół miliona ludzi klaskało w dłonie, uśmiechało się i kołysało w rytm muzyki. Sandy był słaby i znużony, lecz jednocześnie z jakiegoś powodu czuł się bardzo dobrze. Jakby coś znalazł, coś cennego, co utracił już bardzo dawno temu.

To jest dzień, ku któremu nasze marzenia zmierzają, To jest kraina, gdzie kwiaty zakwitają.

/ wszystkie swe nadzieje przynoszą,

Och, czy słyszysz, jak śpiewają te głosy?

I wszystkie swe marzenia przynoszą,

No, czy nie słyszysz, jak śpiewają te głosy?

I cały swój ból przynoszą,

I włączam się w śpiew ze swym głosem!

Bo grają rag zmartwychwstania, och!

Grają ten rag zmartwychwstania!

Tak jest! Ten cholerny, radosny, pełen wiecznej miłości

Rag zmaaaaaaartwychwstania!

Czterej Nazgule zaśpiewali ostatnią linijkę chórem jako jeden szalony, radosny okrzyk. Tony basu, gitar i perkusji połączyły się w grzmiącym, ogłuszającym crescendo, potężnym, pulsującym, skwierczącym, podkreconym na maksa, głośnym jak młot pneumatyczny, chwytającym za gardło zakończeniu, które brzmiało wciąż głośniej, głośniej, głośniej i GŁOŚNIEJ, aż wreszcie urwało się raptownie. Na króciutki ułamek sekundy zapadła absolutna cisza. Potem zaczął się hałas. Aplauz. Śmiech. Gwizdy. Owacje. Krzyki. Pandemonium.

Dźwięk niósł się przez noc na odległość wielu mil, coraz donośniej i donośniej.

Owacja trwała pięć minut, dziesięć, piętnaście. Faxon dwukrotnie próbował poprowadzić Nazguli do bisu, ale aplauz nie cichł nawet wtedy, gdy muzyka zaczynała grać - z obu prób nic nie wyszło. W końcu muzycy stanęli po prostu na scenie, pozwalając, by brawa ich zalały.

Sandy klaskał razem z innymi. Rany na jego dłoniach otworzyły się i znowu zaczęły krwawić, ale prawie tego nie czuł. Klaskał, aż dłonie mu obrzękły i zaczęły go boleć. Klaskał i klaskał, i klaskał.

Ananda stała obok niego, milcząca i zagubiona.

W końcu tumult zaczął cichnąć. Milkł stopniowo, słabnąc i łagodniejąc. Wreszcie zapadła cisza. Patrick Henry Hobbins,

który wreszcie ukończył swą pieśń, podszedł do brzegu sceny i otworzył ramiona przed tłumem.

- Kocham was, cholerne dupki - zawołał. - Czy leci wam już krew z uszu?

- Tak! - odkrzyknęli. - Tak, tak, tak!

Hobbins rozciągnął usta w smutnym, ironicznym uśmiešku. Przepelniał go jakiś wewnętrzny blask. Wyglądał jak przezroczyste widmo, jakby był czymś więcej niż człowiekiem. Przez długą chwilę wydawało się, że nie stoi na scenie sam. Po obu jego stronach tłoczyli się inni. Szczupły, młody, czarny mężczyzna w pięknym, widmowym stroju; z jego szyi i pasa zwisały długie, barwne apaszki, miał koszulę z koronkowymi mankietami i zawieszoną na piersi elektryczną gitarę. Młoda, pulchna kobieta w zbyt wielkich okularach i ozdobionej kwiatami sukni, z fioletowym boa owiniętym wokół szyi, rozciągała szeroko usta w krzywym, pełnym życia uśmiešku. Dalej zatrzymał się przystojny mężczyzna z bujną brodą, o twarzy pozbawionej cienia uśmiechu, noszący buty z jaszczurczej skóry i obcisły skórzany kombinezon. A za nimi stali inni, tak wielu innych, dziesiątki, może setki, promienne i mroczne cienie z niespokojnego dnia wczorajszego, które dopiero teraz odnalazły spokój. Wszyscy byli umarli i wszyscy będą żyć wiecznie w muzyce, w dźwiękach, które nigdy nie umrą.

Nadszedł łagodny powiew i wszyscy zniknęli. Nazgule zostali sami na pustej scenie. A

przed nimi stał Lany Richmond. Spojrzał na ogromny, milczący, porażony zachwytem tłum ze zdziwieniem i strachem na twarzy, a potem odwrócił się w nagłej panice. Peter Faxon zdążył już odłożyć gitarę i pośpieszył mu z pomocą. Dwaj mężczyźni padli sobie w objęcia. Sandy widział przez lornetkę, że obaj płaczą.

Dwadzieścia osiem

Dopiero niedawno zrozumiałem, jak dziwną i długą podróż odbyłem.

Zważywszy wszystko razem, przyjęcie udało się świetnie. Sandy zamówił do hotelowego apartamentu to, co najlepsze, wszyscy za dużo zjedli i za dużo wypili. Jedynym wyjątkiem była Bambi, która nie chciała tknąć niczego oprócz herbaty i ciągle powtarzała, że cała reszta jest strasznie nieorganiczna i niezdrowa. Sandy zdołał ją jednak podejść. O dziesiątej wezwał boya, który po piętnastu minutach powrócił ze srebrną tacą. Postawił ją przed Bambi i uniósł pokrywę, odsłaniając wysoki na stopę stos czekoladowych ciasteczek z Hostess Creme. Bambi przez chwilę gapiała się na nie ze zgrozą, a potem zaniósła się niepowstrzymanym śmiechem. Następnie wstała, rozsmarowała jedno ciasteczko na twarzy Sandy'ego, wróciła na miejsce i pochłonęła sześc.

- Świetnie się zgadzają z surowym mlekiem - oznajmiła. Sandy miał całą twarz upačkaną czekoladowym ciasteczkiem z kremem, ale nie miało to większego znaczenia, bo Maggie wypła mnóstwo szampana, a nadużycie tego trunku zawsze wprawiało ją w słodki, miłosny nastrój. Usiadła mu na kolanach i zlizwała ciasteczko z twarzy. Żabcio przyglądał się temu, wygłaszając zgryźliwe komentarze.

- A teraz odgryziesz mu ucho, tak jest, tak jest - odpowiedział jej złowieszczym rechotem, ale Maggie zachichotała

tylko i zignorowała jego sugestię. Żabcio oddalił się, by porozmawiać z Fern o równoważeniu aury.

Bambi przywiozła ze sobą z komuny Fern i Raya, a Żabcio przywiózł Samanthę, posągową brunetkę, która rozczarowała Sandy'ego, gdyż okazało się, że przypomina raczej Raquel Welch niż Andy'ego Devine'a. Miała dobre poczucie humoru, co było koniecznym warunkiem dla kogoś, kto żył z Żabciem Cohenem.

- Nigdy nie zapomnę pierwszego razu, gdy biedakowi się ze mną poszczęściło - opowiedziała wszystkim. - Byliśmy w moim łóżku, on leżał na mnie, a jego magiczny wihajster pracował ze wszystkich sił. I nagle skurczybyk pochylił się, uśmiechnął lubieżnie i powiedział tym swoim głosem: - Jej głos przeszedł w rozkazujący, zabi rechot. - „A teraz będziesz miała orgazm, tak jest, tak jest”.

Żabcio autentycznie się zarumienił.

- I, niech to szlag, rzeczywiście go miałam - zakończyła Samantha. Wszyscy ryknęli śmiechem.

Z czasem jednak zarówno jej, jak i przyjaciom Bambi zabrakło wytrzymałości. Wszyscy po kolei kładli się spać i zostali tylko we czworo. Sandy zamówił więcej szampana, Bambi zajęła się robieniem na drutach, a on, Żabcio i Maggie osuszali butelkę za butelką śpiewając piosenki ze starych seriali. Sandy był przyjemnie wstawiony, Maggie wtulała twarz w jego szyję, a Żabcio bez końca śpiewał wyimaginowane, obsceniczne wersje piosenki z *Have Gun, Will Travel*. Nagle rozległo się pukanie do drzwi. Była już prawie pierwsza.

- Pewnie ktoś przyszedł się poskarżyć na hałas - stwierdził Sandy. Otworzył jednak drzwi.

Za nimi stał schludny, niski mężczyzna o falistych, kasztanowych włosach i cienkich, brązowych wąsach. Ubrany był w firmowe dżinsy, rozpiętą batystową koszulę roboczą i buty z cholewami. Przyniósł ze sobą gitarę. Sandy gapił się na niego z rozdziawionymi ustami.

- Wyglądasz bardzo inteligentnie, Blair - stwierdził Lark

z typowym dla siebie, drwiącym uśmieszkiem. - Zamknij gębę, bo ci pszczoła wleci.

- Nie sądziłem, że przyjedziesz - przyznał Sandy.

- Kto to? - zapytała Maggie z wnętrza pokoju.

- Przysłałeś mi zaproszenie - przypomniał mu Lark.

- Jasne, ale nie było cię... to znaczy nie potwierdziłeś przyjazdu, a impreza zaczęła się przed kilkoma godzinami i...

- Powiedz to, Blair - rzucił Lark. - Cholera, gwiazda zawsze przybywa ostatnia.

Ominął Sandy'ego i wszedł niespiesznie do środka.

- Lark! - zawołała Maggie. - Nie mogłeś sobie odpuścić takiej okazji, prawda?

Bambi odłożyła na bok robótkę, podbiegła do Larka i uściskała go serdecznie.

Żabcio zerknął nań z ukosa i wydał z siebie swój nieuprzejmy odgłos.

- Przyniósł gitarę. Będzie śpiewał. Wiem, że będzie, tak jest, tak jest.

Zatoczył oczyma.

- To jest spotkanie starych przyjaciół, tak? W dawnych czasach zawsze dla was grałem, więc pomyślałem sobie, że byłoby fajnie...

- W dawnych czasach zawsze próbowałeś dla nas grać, mój drogi Larku - skorygował go Żabcio. - A to coś całkiem innego.

- Czego się napijesz, Steve? - zapytał Sandy.

Nowo przybyły rozciągnął usta w swym drwiącym uśmiechu.

- Lark - poprawił go. Maggie zakrzyknęła radośnie.

- On znowu to zrobił!

- Czy mógłbyś mi załatwić członkostwo w Klubie Imienia Miesiąca? - zapytał Żabcio. -
Będę dobrym członkiem, tak jest, tak jest.

Bambi uśmiechnęła się do dawno niewidzianego przyjaciela i uścisnęła go raz jeszcze.

- To świetnie.

Lark uwalił się na fotelu, przerzucając od niechcienia nogę przez jego ramię.

- No wiecie, zmęczył mnie już ten cały świat reklamy. Trzyczęściowe garnitury i obiady z trzema martini mogą się po pewnym czasie znudzić. Wszystko to jest ekscytujące, ale płytkie. Dlatego pomyślałem sobie, że dam sobie na pewien czas spokój z życiem na pasie szybkiego ruchu i wpadnę sprawdzić, jak wam się wiedzie, głąby.

- Życie na pasie szybkiego ruchu - powtórzył Sandy.

- Wypaliłbyś się w tydzień, Blair - stwierdził Lark.

- Z pewnością - zgodził się Sandy.

- Sander lepiej się nadaje do życia na postojach - zasugerował Żabcio.

- To kiedy cię wylali, Lark? - zainteresował się Sandy. Na twarzy zapytanego znowu pojawił się sławetny uśmiezek

Ellyna, który jednak po chwili zniknął bez śladu.

- Nie wylali mnie - sprzeciwił się z lekką nutą urazy w głosie. - Kontrakt, nad którym pracowałem, przeszedł do innej agencji i podziękowano mi za współpracę. Cholera, w świecie reklamy takie rzeczy zdarzają się bardzo często i to w niczym nie obciąża...

Maggie usiadła mu na kolanach.

- Zamknij się - zażądała i pocałowała go w nos. - Jeśli nie przestaniesz, Bambi uderzy cię ciasteczkami.

- Czekoladowym ciasteczkami - uzupełniła groźnym tonem Bambi. - Z kremem. To bardzo nieorganiczne.

- Do cna rozwali ci aurę, tak jest, tak jest - zagroził Żabcio. Lark Ellyn popatrzył kolejno na ich uśmiechnięte twarze, po czym potrząsnął z niesmakiem głową.

- Nie potrafię uwierzyć, że siedzę tu z takimi nieudacznikami jak wy - skwitował.

- Może i jesteśmy nieudacznikami, ale twoimi nieudacznikami - wyjaśnił mu Żabcio.

Sandy podał Larkowi kieliszek szampana. Ten wziął go w rękę, pociągnął mały łyk, dał się napić Maggie i uniósł wzrok.

- Blair, mówię to z wielką niechęcią ale chyba należą ci się

gratulacje. Słyszałem, że ta twoja książka sprzedaje się naprawdę nieźle.

- Dzięki niej stać mnie na tego szampana - odparł Sandy.

- Sześć tygodni na liście bestsellerów „New York Timesa”.

- I nadal się trzyma! - zawołała Maggie, szczerząc zęby w krzywym, pijackim uśmiechu. - Jestem pewna, że nigdy z niej nie spadnie!

- Moglibyśmy urządzić zakłady - zaproponował Żabcio.

- Nie miałem jeszcze czasu jej przeczytać - przyznał Lark

- ale obiecuję, że to zrobię.

- Na pewno zaczekasz na wydanie w miękkiej oprawie, tak jest, tak jest - oskarżył go Żabcio.

- Jest zadedykowana tobie - oznajmił Sandy.

Lark Ellyn omal się nie zakrztusił szampanem. Wyprostował się nagle, prychając i wciągając kurczowo powietrze w płuca. Siedząca na jego kolanach Maggie ryczała ze śmiechu, wymachując nogami w powietrzu.

- Co takiego? - zdołał wreszcie wykrztusić Lark. - Wciskasz kit. Daj spokój, Blair. My się nawet nie lubimy.

- Nie powiedziałem, że zadedykowałem ją wyłącznie tobie

- wyjaśnił z uśmiechem Sandy. - Nie mam aż tak złego gustu. Jest zadedykowana wam wszystkim.

- To tania sztuczka, mój drogi Sanderze - poskarżył się Żabcio. - Zbiorowa dedykacja to wyrachowany sposób na zwiększenie liczby sprzedanych egzemplarzy. Niech ci się nie zdaje, że o tym nie wiem. Jeśli wkrótce nie doczekam się indywidualnej dedykacji, to daję słowo, że przestanę cię uczyć, jak się podrywa dziewczyny.

- Pokaż mi ją - poprosił Lark. Sandy skinął głową.

- Mam egzemplarz w sypialni.

Wstał i poszedł po książkę. To był okazały, gruby, ciężki tom w twardej oprawie. Na okładce widniało zdjęcie The Nazgul podczas koncertu, z krzyżem nitek celownika na twarzy Pata Hobbinsa, Na górze jaskrawymi literami wypisano tytuł *Rok*

Nazguli, a od spodem, mniejszymi: *Relacja naocznego świadka i Sander Blair*.

Przyniósłszy książkę do pokoju, Sandy wręczył ją Larkowi, otwartą na stronie z dedykacją, która brzmiała:

Dla Maggie, Lar/ca, Bambi, Żabcia i Łajzy... Poradziłem sobie, z niewielką pomocą przyjaciół.

- Co to znaczy? - zapytał Lark. - Z czym sobie poradziłeś?

- Przeczytaj książkę - odparł Sandy. - Znajdziesz w niej odpowiedzi. Mam nadzieję, że zrozumiesz ją lepiej niż recenzenci. Oni nawet nie wiedzą, czy to beletrystyka, czy reportaż.

Wzruszył ramionami. - Szczerze mówiąc, są chwile, gdy sam nie jestem tego pewien. -
Podszedł do baru, nalał sobie trochę szampana i upił mały łyczek. - Jestem wdzięczny za
gratulacje - ciągnął - ale czasami zastanawiam się, czy naprawdę na nie zasługuję. Ta książka
właściwie... tak jakby napisała się sama.

- Alarm przeciwszkromnościowy! - zawołał Żabcio, otaczając sobie usta dłońmi. -
Alarm przeciwszkromnościowy, alarm przeciwszkromnościowy! Powstrzymajcie go, zanim
zrobi się pokorny.

Lark z zamyśloną miną przerzucał stronicę.

- Ta kobieta niedługo będzie miała proces, prawda? Jak to się nazywała.

- Ananda Caine - odpowiedziała Maggie, wykrzywiając twarz w grymasie. - Okropna
suka.

- Okazało się, że to był tylko jeden z jej pseudonimów uściślił Sandy. - Używała wielu
nazwisk. I bardzo dużo wycierpiała. Jej ojciec był folkowym piosenkarzem, który popełnił
samobójstwo, gdy umieszczono go na czarnej liście. Przeżyła też gwałt zbiorowy w Alabamie,
we wczesnych latach sześćdziesiątych. Jej matka walczyła tam o prawa obywatelskie. Ananda
miała dopiero trzynaście lat. Są chwile, gdy prawie potrafię zrozumieć wszystko, co zrobiła.
Ale kiedy indziej nie rozumiem

tego w ogóle. Podczas procesu pewnie wszystko wyjdzie na jaw. Zastanawiam się, czy
uwierzą chociaż w połowę. - Westchnął i wypił kolejny łyk szampana. - Mój wydawca jest
przekonany, że proces przez całe miesiące będzie sensacją z pierwszych stron gazet i sprzedaż
książki powinna pobić wszystkie rekordy. Oto, ile jest warta sztuka pisarska.

Lark znowu popatrzył na dedykację.

- Chyba muszę ci podziękować. - Przyjrzał się słowom raz jeszcze. - Hej, a co z Łajzą?
Gdzie się podziewa nasz stary Łajzol?

Po tym pytaniu z twarzy przyjaciół zniknęły uśmiechy.

- Zapomniałem, że nic nie wiesz - odparł Sandy. Opowiedział mu o wszystkim pełnym
znużenia głosem. Lark słuchał go z miną pełną niedowierzania. - Właściwie dlatego napisałem
tę książkę - zakończył Sandy.

- Nie rozumiem, Blair - przyznał Lark. - W czym twoja książka może pomóc Łajzie?

- To jest tak szalona historia, że byłem pewien, iż okaże się wielkim hitem. I miałem
świętą rację. - Uśmiechnął się blado. - Wydawca mówi mi, że sprzedaje się zdecydowanie
lepiej niż ostatnia powieść Rzeźnika. A każdy pieprzony cent idzie na fundusz pomocy prawnej
dla Łajzy. Już udało mi się pozyskać paru znanych, drogich adwokatów, a Żabcio zainteresował
sprawą kilku swych znajomych z ACLU. A gdyby zabrakło mi forsy, Peter Faxon zaoferował

się z pomocą. Bardzo się ze sobą zaprzyjaźniliśmy po West Mesa, a, uwierz mi, Faxon mógłby kupić Rzeźnika za pieniądze na drobne wydatki. Nie ma żadnych gwarancji, ale... - Uniósł kieliszek w toaście. - ...wypijmy za Łajzę. Mam cholerną nadzieję, że za rok będzie mógł wypić z nami!

Lark uniósł kieliszek. Maggie zszła z jego kolan, podeszła chwiejnym krokiem do baru i naląła pozostałym. Wszyscy wypili, nawet Bambi, która nie uznawała alkoholu. Szampan smakował pysznie. Był słodki, zimny i pełen nadziei.

Potem Żabcio opowiedział dowcip o słoniu, po którym przeszli do dowcipów o winogronach i o martwych niemowlętach. W końcu wszyscy zrobili się tak pijani i naćpani, że byli skłonni pozwolić Larkowi zaśpiewać. Wykonał *Lemon Tree*, *Lewin' on a Jet Plane* oraz *IflHad a Hammer*. Żabcio siedział obok niego.

- Gdybyś miał młotek, walnąbyś się nim w palec, tak jest, tak jest - mamrotał.

Najciemniejsza część nocy nadeszła i minęła, a oni siedzieli razem, śpiewając, żartując i rozmawiając. W końcu jednak wszyscy zasnęli, nawet Żabcio.

- Odznaki - bełkotał pijackim głosem. - Nie potrzebuję żadnych śmierdzących od... odz...

Nagle zaczął chrapać i Sandy został sam.

Siedział pogrążony w oszołomieniu, popijając zwietrzałego już szampana i gapiąc się na śpiących przyjaciół. Być może sam też zasnął, nie był tego pewien. Niemniej jednak czuwał, gdy za oknami zaczął się świt. Pokój wypełniały ciężkie oddechy i poranna cisza. Przypomniało to Sandy'emu poranki w mieszkaniu Maggie, gdzie ich grupa nieraz spędzała całą noc. Czasami gospodyni budziła ich wonią smażonego boczku oraz głośną muzyką.

Wstał, podszedł do telefonu i zamówił cztery porcje jajecznicy na boczku oraz miskę chrupkich płatków owsianych. Jeśli zaś chodzi o muzykę, przyniósł wczoraj na przyjęcie gramofon. Podszedł do płyt i przyjrzał się im.

Rzecz jasna, żadna z nich się nie nadawała. W grę wchodził tylko jeden album. Miał go w sypialni, promocyjny egzemplarz, który dostał od Faxona jeszcze przed oficjalnym wydaniem. Chciał go puścić wczoraj, ale działo się mnóstwo rzeczy i w końcu o tym zapomniał.

Zdjęcie na okładkę zrobiono na miejskim wysypisku śmieci w Filadelfii. Muzycy stali otoczeni porzuconymi lodówkami, starymi oponami, zepsutymi telewizorami oraz kanapami, z których wylaziła wyściółka. Było ich teraz sześciu: pierwotna trójka, Lany Richmond na gitarze rytmicznej, cholernie dobry muzyk grający na instrumentach klawiszowych oraz zupełnie nowy wokalista, chudy jak szczapa czarny chłopak o głosie niemal równie

ekscytującym jak głos Hobbinsa. *The Nazgul* - głosił napis na okładce. - *Backfrom the Junkyard!*

Na materiał składały się wyłącznie nowe utwory, przerobione i przearanżowane na większą grupę. Sandy trzymał płytę w rękach, zastanawiając się, jak będzie brzmiała i jak się sprzeda. Nie było żadnych gwarancji. Ale przecież nigdy ich nie było.

Zaniósł album do gramofonu, przeciął paznokciem plastikową koszulkę i położył go ostrożnie na talerzu. Obudziły ich dźwięki *Thursday's Child*. Dziecko czwartku miało przed sobą długą drogę.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Those Were the Days (Słowa i muzyka Gene Rankin), TRO - copyright © 1962, 1968 Essex Music, Inc., New York, New York. Zamieszczone za zgodą.

ROZDZIAŁ DRUGI

Bad Moon Risin' (John Fogerty), copyright © 1969 Jondora Music. Zamieszczone za zgodą.

ROZDZIAŁ TRZECI

Did You Ever Have to Make Up Your Mind? (John Sebastian), copyright © 1965, 1966 Hudson Bay Music Company. Zamieszczone za zgodą. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Daydream (John Sebastian), copyright © 1966, 1967 Hudson Bay Music Company. Zamieszczone za zgodą. Wszelkie prawa zastrzeżone.

ROZDZIAŁ CZWARTY

House Burning Down (Jimi Hendrix), copyright © 1968 Bella Godiva Music, Inc. Wszelkie prawa należą do Chappell & Co., Inc. Międzynarodowe prawa autorskie zabezpieczone. Wszelkie prawa zastrzeżone. Zamieszczone za zgodą.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Yesterday (John Lennon i Paul McCartney), copyright © 1965 Northern Songs Limited. Prawa dla USA, Meksyku i Filipin należą do Maclen Music, Inc., c/o ATV Music Corp. Zamieszczone za zgodą. Wszelkie prawa zastrzeżone. *Tombstone Territory* (William M. Backer), copyright William M. Backer. Zamieszczone za zgodą.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

The Alabama Song (Feldman & Weill), copyright © 1928 (przedłużone) UNIVERSAL EDITION. Wszelkie prawa zastrzeżone. Zamieszczone za zgodą Warner Bros. Music.

ROZDZIAŁ SIEDEM

Sounds of Silence (Paul Simon) copyright © 1964 Paul Simon. Zamieszczone za zgodą.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Don 't Look Now (John Fogerty), copyright © 1969 Jondora Music. Zamieszczone za zgodą.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Sgt. Pepper's Lonely Hearts Club Band (John Lennon i Paul McCartney), copyright © 1967 Northern Songs Limited. Prawa dla USA, Meksyku i Filipin należą do Maclen Music, Inc., c/o ATV Music Corp. Zamieszczone za zgodą. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Garden Party (słowa i muzyka Rick Nelson), copyright © 1972 Matragun Music. Zamieszczone za zgodą.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Aquarius (słowa James Rado i Gerome Ragni, muzyka Galt McDermot), copyright © 1966, 1967, 1968 James Rado, Gerome Ragni, Galt McDermot, Nat Shapiro i United Artists Music Co., Inc. Prawa zarządzane przez CBS Songs, oddział CBS, Inc. Wszelkie prawa zastrzeżone. Międzynarodowe prawa autorskie zabezpieczone. Zamieszczone za zgodą.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Volunteers (Kanter/Balin), copyright © 1969 Ice Bag Corporation. Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedrukowane za zgodą wydawcy.

The Circle Game (Joni Mitchell), copyright © 1966 Siquomb Publishing Corp. Zamieszczone za zgodą. Wszelkie prawa zastrzeżone.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

End of the Nighl (słowa i muzyka James Morrison, Robert Kricgcr, Ray Manzarek i John Densmore), copyright © 1966 Doors Music Co. Wszelkie prawa zastrzeżone. Zamieszczone za zgodą.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Up From the Skies (Jimi Hendrix), copyright © 1968 Yameta Co., Ltd. Wszelkie prawa należą do Unichappell Music, Inc. Międzynarodowe prawa autorskie zabezpieczone. Wszelkie prawa zastrzeżone. Zamieszczone za zgodą.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Chimes of Freedom (Bob Dylan), copyright © 1964 Warner Bros. Inc. Wszelkie prawa zastrzeżone. Zamieszczone za zgodą.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Hotneward Bound (Paul Simon), copyright © 1966 Paul Simon. Zamieszczone za zgodą.

A Hazy Shade of Winter (Paul Simon), copyright © 1966 Paul Simon. Zamieszczone za zgodą. *I Am a Rock* (Paul Simon), copyright © 1965 Paul Simon. Zamieszczone za zgodą.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Mexicali Blues (Weir-Barlow), copyright © 1972 Ice Nine Publishing Co., Inc. Zamieszczone za zgodą.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Let It Be (John Lennon i Paul McCartney), copyright © 1970 Northern Songs Limited. Prawa dla USA, Meksyku i Filipin należą do Maclen Music, Inc., c/o ATV Music Corp. Zamieszczone za zgodą. Wszelkie prawa zastrzeżone.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

What Have They Done To My Song Ma (Melanie Salka), copyright © 1970 Kama Ripa Music, Inc. oraz Amelanie Music. Wszelkie prawa na cały świat przekazane Yellow Dog Music Inc. Zamieszczone za zgodą. Wszelkie prawa zastrzeżone.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Purple Haze (Jimi Hendrix), copyright © 1967, 1968 Yameta Co., Ltd. Wszelkie prawa zarządzane przez Unichappell Music, Inc. Międzynarodowe prawa autorskie zabezpieczone. Wszelkie prawa zastrzeżone. Zamieszczone za zgodą.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Do You Believe In Magic? (John Sebastian), copyright © 1965 Hudson Bay Music Company. Zamieszczone za zgodą. Wszelkie prawa zastrzeżone. *Woodstock* (Joni Mitchell), copyright © 1969 Siquomb Music Corp. Zamieszczone za zgodą. Wszelkie prawa zastrzeżone.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Patterns (Paul Simon), copyright © 1965 Paul Simon. Zamieszczone za zgodą.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

White Rabbit (słowa i muzyka Grace Slick), copyright © 1967 Irving Music, Inc. (BMI). Wszelkie prawa zastrzeżone. Międzynarodowe prawa autorskie zabezpieczone. Zamieszczone za zgodą.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Uncle John 's Band (Hunter-Garcia), copyright © 1970 Ice Nine Publishing Co., Inc. Zamieszczone za zgodą.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Who'll Stop the Rain? (John Fogerty), copyright © 1970 Jondora Music. Zamieszczone za zgodą.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

You Can't Always Get What You Want (Jagger-Richards), copyright © 1969 ABKCO Music, Inc. Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedrukowane za zgodą.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Behind Blue Eyes (Pete Townshend), copyright © 1971 Fabulous Music, Ltd. Wszelkie prawa dla USA, ich terytoriów zależnych, Kanady, Meksyku oraz Filipin należą do Towser Tunes, Inc. Wszelkie prawa zastrzeżone. Międzynarodowe prawa autorskie zabezpieczone. Zamieszczone za uprzejmą zgodą Petera Townshenda, Fabulous Music, Ltd., oraz Towser Tunes, Inc. *Goin' Back* (Gerry Goffin, Carole King), copyright © 1966, 1967 Screen Gems-EMI Music Inc., 6920 Sunset Blvd., Hollywood, California 90028. Zamieszczone za zgodą. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Up Around the Bend (John Fogerty), copyright © 1970 Jondora Music. Zamieszczone za zgodą.

Those Were the Days (słowa i muzyka Gene Raskin), TRO - copyright © 1962, 1968 Essex Music, Inc., New York, New York. Zamieszczone za zgodą. *Stop, Stop, Stop* (T. Hicks, A. Ciarke, G. Nash), copyright © 1966 Galto Music Limited. Zamieszczone za zgodą. Wszelkie prawa zastrzeżone. *Witch Doctor* (Ross Bagdasarian), copyright © 1958 Monarch Music/Ross Bagdasarian. Zamieszczone za zgodą. Wszelkie prawa zastrzeżone. *I-Feel-Like-I'm-Fixin'-to-Die Rag* (Joe McDonald), copyright © Joe McDonald 1965, Alcatraz Corner Music Co. 1977. Zamieszczone za zgodą. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Where Do I Go? (słowa James Rado i Gerome Ragni, muzyka Galt McDermot), copyright © 1966, 1967, 1968 James Rado, Gerome Ragni, Galt McDermot, Nat Shapiro oraz United Artists Music Co., Inc. Wszelkie prawa zarządzane przez CBS Songs, oddział CBS, Inc. Wszelkie prawa zastrzeżone. Międzynarodowe prawa autorskie zabezpieczone. Zamieszczone za zgodą. *A Hazy Shade of Winter* (Paul Simon), copyright © 1966 Paul Simon. Zamieszczone za zgodą.

My Back Pages (Bob Dylan), copyright © 1964 Warner Bros. Inc. Wszelkie prawa zastrzeżone. Zamieszczone za zgodą.

Ripple (Hunter, Garcia), copyright © 1970 Ice Nine Publishing Co., Inc. Zamieszczone za zgodą.

Sunshine Superman (Donovan), copyright © 1966 Donovan (Music) Ltd. London. Wyłączny agent Peer International Corporation. Zamieszczone za zgodą. Wszelkie prawa zastrzeżone.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

The End (słowa i muzyka James Morrison, Robert Krieger, Ray Manzarek i John Densmore), copyright © 1967 Doors Music Co. Wszelkie prawa zastrzeżone. Zamieszczone za zgodą.

Have You Ever Seen the Rain? (John Fogerty), copyright © 1970 Jondora Music.
Zamieszczone za zgodą.

Woodstock (Joni Mitchell), copyright © 1969 Siquomb Publishing Corp. Zamieszczone
za zgodą. Wszelkie prawa zastrzeżone.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Truckin' (Hunter, Garcia, Lesh, Weir), copyright © 1970 Ice Nine Publishing Co., Inc.
Zamieszczone za zgodą.

Od tłumacza

Słowniczek tytułów najważniejszych płyt i utworów zespołu The Nazgul:

Hot Wind out of Mordor - Gorący wiatr z Mordoru

Musie to Wake the Dead - Muzyka budząca umarłych

Blood on the Sheets - Krew na płachcie

Ash Man - Człowiek z popiołów

Ragin' - Wściekły

The Survivor - Ocalony

What Rough Beast - Cóż za bestia

Prelude to Madness - Preludium do szaleństwa

The Armageddon/Resurrection Rag - Rag Armagedonu/zmartwychwstania

Makin' War - Czyniąc wojnę

Dying of the Light - Umieranie światła

Flying Wing - Latające skrzydło

Wednesday 's Chi Id - Dziecko środy

Thursday 's Chi Id - Dziecko czwartku